

# Oblicza Wód

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

# ROBERT SILVERBERG

## OBLICZA WÓD

**PRZEŁOŻYLI: BARBARA KAMIŃSKA I ZBIGNIEW A. KRÓLICKI**

*Charliemu "Brownowi",*

*duszy "Locusa" - był już chyba najwyższy czas.*

*A ziemia była bezkształtna i pusta;*

*i w otchłani zapadła ciemność.*

*A duch boży unosił się nad obliczem wód.*

*Genesis I, 2*

*Ocean nie zna litości, wiary, praw czy pamięci. Jego*

*niestałość człowiek może wykorzystać*

*do własnych celów jedynie dzięki nieugiętej woli oraz*

*bezszennemu, zbrojnemu, zawistnemu*

*czuwaniu, w którym chyba zawsze było więcej*

*nienawiści niż miłości. Joseph Conrad Lustro morza*

Powyżej był błękit, a poniżej inny błękit, dwie niezmierzone i niedostępne otchłanie,

tak że statek wydawał się zawieszony pomiędzy tymi dwiema niebieskimi pustkami, nie

dotykając żadnej z nich, nieruchomy, doskonale spokojny. W rzeczywistości leżał na wodzie,

gdzie było jego miejsce, a nie nad nią - i cały czas poruszał się. Noc i dzień, przez cztery

doby, sunął miarowo naprzód, oddalając się od Sorve, żeglując wciąż dalej przez dziewicze

morze.

Gdy Valben Lawler wyszedł na pokład wczesnym rankiem piątego dnia, ujrzał wokół

statku setki długich srebrzystych pysków sterczących z wody. To było coś nowego. Pogoda

również się zmieniła: wiatr ucichł, morze znieruchomiało, spokojne, lecz jakby naładowane

jakąś dziwną energią. Żagle obwisły. Liny były luźne. Cienkie ostre pasmo mgły przecinało niebo niczym najeźdźca z innej części świata. Lawler, wysoki, smukły mężczyzna w sile wieku, o atletycznej budowie i wdzięku, uśmiechnął się do stworków w wodzie. Były tak brzydkie, że niemal miłe.

Paskudne bestie, pomyślał. Błąd. Paskudne - tak; bestie - nie. W ich nieprzyjemnych szkarłatnych ślepiach migotał zimny błysk inteligencji. Jeszcze jeden inteligentny gatunek na tym świecie, który liczył ich tak wiele. Były paskudne właśnie dlatego, że nie były zwierzętami. I w dodatku wyglądały okropnie: wąskie głowy, rozszerzone, rurowate szyje. Przypominały ogromne metalowe robaki sterczące z wody. Z mocnymi szczękami; małymi, ostrymi jak piły zębami, których całe rzędy błyszcząły w promieniach słońca. Wyglądały tak całkowicie i zdecydowanie wrogo, że naprawdę budziły podziw.

Przez moment Lawler bawił się myślą, że mógłby skoczyć za burtę i popluskać się z nimi. Zastanawiał się, jak długo pozostałby przy życiu. Prawdopodobnie jakieś pięć sekund. A potem spokój, spokój na zawsze. Miła perwersyjna idea, przelotna myśl o samobójstwie. Jednak, oczywiście, nie myślał o tym poważnie. Lawler nie był typem samobójcy, inaczej zrobiłby to dawno temu, a poza rym był teraz chemicznie uodporniony na depresję, niepokoje i tym podobne nieprzyjemne rzeczy. Ten mały łyk nalewki z ziela uśmierzychy, który sobie zaaplikował z samego rana - jakże dziękował za niego losowi. Narkotyk zapewnił mu, przynajmniej na kilka godzin, cienką, nieprzenikliwą powłoczkę spokoju, pozwalającą spoglądać z uśmiechem w ślepie bandy zębatach potworów, takich jak te. Bycie lekarzem - takim lekarzem, jedynym w tej społeczności - z pewnością miało pewne zalety.

Przy grotmaszcie dostrzegł Sundirę Thane, przechylającą się przez nadburcie. W odróżnieniu od Lawlera ta smukła, ciemnowłosa kobieta była doświadczonym podróżnikiem morskim i odbyła wiele podróży między wyspami, pokonując czasami bardzo duże

odległości. Ona знаła morze. On nie był tutaj w swoim żywiole.

- Widziałaś już kiedyś takie stwory? - zapytał ją. Podniosła oczy.

- To drakkeny. Wstrętne, co? Są bystre i szybkie. Połknęłyby cię w całości, gdybyś tylko dał im choć cień szansy. A nawet mniej. Na szczęście dla nas, my jesteśmy na górze, a one tam w dole.

- Drakkeny - powtórzył Lawler. - Nigdy o nich nie słyszałem.

- Pochodzą z północy. Niezbyt często widuje się je w wodach tropikalnych czy w tym morzu. Myślę, że wybrały się na wakacje.

Wąskie, zębate pyski, długości połowy ramienia człowieka, wznosiły się jak las mieczy nad powierzchnią wody. Lawler dostrzegał cień smukłych wstęgowatych ciał poniżej, lśniących jak polerowany metal, zwisających w toni. Czasami ukazywał się nerkowaty ogon lub silna, płetwiasta łapa. Jasnoczerwone ślepie odpowiadały mu niepokojąco intensywnymi spojrzeniami. Stwory porozumiewały się ze sobą wysokimi, donośnymi głosami, wydając brzęczące dźwięki przypominające uderzenia młota o kowadło.

Gabe Kinverson podszedł do nadburcia i stanął między Lawlerem i Thane. Kinverson, opalony olbrzym o otwartej, spalonej słońcem twarzy, miał ze sobą narzędzia swego zawodu: wiązkę haczyków i linę oraz długą wędkę ze zdrewniałych wodorostów.

- Drakkeny - wymamrotał. - To dopiero dranie. Kiedyś wracałem do portu z dziesięciometrowym morskim lampartem przywiązany do łodzi, a pięć drakkenów wyjadło go wprost spode mnie. Nic nie mogłem zrobić, cholera. - Kinverson wyjął złamany kołek cumowniczy i cisnął go w wodę. Drakkeny runęły na przynętę, unosząc się prawie na długość ramienia nad wodę i kłusząc ją z wrzaskiem wściekłości. Potem pozwoliły mu zatonać.

- One nie mogą wejść na pokład, prawda? - zapytał Lawler.

Kinverson zaśmiał się.

- Nie, doktorze. One nie mogą wejść na pokład. Na nasze szczęście.

Drakkeny - mogło ich być około trzysta - przez kilka godzin towarzyszyły statkowi, z łatwością utrzymując tempo, dźgając powietrze swymi paskudnymi pyskami i prowadząc swój wielogłosowy dialog. Jednak około południa zniknęły, nagle zapadając się w wodę, i nie wynurzyły się znowu.

Chwilę później powiał wiatr. Załoga dziennej wachty krzątała się przy takielunku.

Daleko na pomocy, tuż poniżej warstwy brudnoszarych obłoków zakrzepło małe pasmo deszczowych chmur, które wypuściły pajęczynę opadu, zdającą się nie dochodzić do powierzchni wody. W sąsiedztwie statków powietrze nadal pozostało czyste i suche.

Lawler wszedł pod pokład. Czekala go praca, chociaż niezbyt ciężka. Neyana Golghoz miała pęcherz na kolanie; Leo Martello cierpiał z powodu poparzonych słońcem ramion, a ojciec Quillan stłukł sobie łokieć spadając z koi. Uporawszy się z tym wszystkim, Lawler przeprowadził rutynowe rozmowy radiowe z pozostałymi statkami, sprawdzając, czy nie pojawiły się na nich jakieś problemy medyczne. Około południa wyszedł na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza. Nid Delagard, właściciel flotylli kierujący wyprawą, rozmawiał z kapitanem okrętu flagowego, Gospo Struvinem, przy sterówce. Ich śmiech niósł się po całym statku. Byli podobni do siebie: krępi mężczyźni o grubych karkach, uparci i nie znający strachu, tryskający energią.

- Hej, czy widziałeś dziś rano drakkeny, doktorze?! - zawołał Struvin. - Słodkie, prawda?

- Tak, śliczne. Czego od nas chciały?

- Pewnie nas sprawdzały. Nie można wyjść kawałek w morze, aby coś nie przypląnęło powęszyć. W czasie podróży odwiedzi nas jeszcze mnóstwo dzikich zwierząt. Spójrz tam, doktorze. Na sterburcie.

Lawler popatrzył we wskazanym kierunku. Tuż pod powierzchnią widać było wydęty i lekko obły kształt jakiegoś ogromnego stworzenia. Wyglądało jak księżyc, który spadł z nieba - olbrzymi, zielonkawy i dziobaty. Po chwili Lawler zauważył, że dzioby te w rzeczywistości były okrągłymi otworami gębowymi, rozmieszczonymi ciasno na całej powierzchni kuli, nieustannie otwierającymi się i zamykającymi. Sto rozdziawionych pysków, wciąż ukazujących kły. No, może tysiąc. Miriady długich niebieskawych jęzorów pracowicie trzaskających tam i z powrotem, tam i z powrotem - jak cepy młójące wodę. To coś nie było niczym innym jak jedną gigantyczną, pływającą maszyną do jedzenia.

Lawler popatrzył na nią z niesmakiem.

- Co to jest?

Lecz Struvin nie znał nazwy tego potwora. Delagard też nie. Był to po prostu anonimowy mieszkaniec morza, ohydny, monstualny, uosobienie horroru, który przyplynał, aby sprawdzić, czy niewielki konwój przewozi coś wartego zjedzenia. Powoli odpłynął, niesiony prądem, wciąż pracowicie poruszając ustami. Potem, jakieś dwadzieścia minut później, statki wpłynęły na obszar gęsty od wielkich meduz w pomarańczowo-zielone paski. Wyglądały jak pełne wdzięku, lśniące parasolki wielkości głowy człowieka, z których zwieszały się kaskady spiralnych, czerwonych, mięsistych nitek, grubych na palec i długich chyba na kilkanaście metrów. Meduzy wyglądały dziwnie łagodnie, nawet zabawnie, lecz powierzchnia morza wokół nich gotowała się i parowała, jak gdyby wydzielały jakiś mocny kwas. Były tak ciasno upakowane w wodzie, że podchodziły wprost do kadłuba okrętu, obijały się on, zderzały się z obrastającymi go wodorostami i odskakiwały z cichymi westchnieniami protestu.

Delagard ziewnął i zniknął we włazie sterówki. Lawler, stojąc przy relingu, patrzył z podziwem na masy meduz w dole. Trzęsły się jak horda pulchnych piersi. Były tak blisko, że

mógł sięgnąć i schwytać jedną z nich. Gospo Struvin minął go i idąc wzdłuż lewej burty, powiedział nagle:

- Hej, kto zostawił tutaj tę sieć? Neyana, czy to ty?

- Nie ja - powiedziała Neyana Golghoz nie podnosząc oczu. Była zajęta szorowaniem pokładu na dziobie. - Pogadaj z Kinversonem. On jest od sieci.

Przy nadburciu leżała niedbale rzucona bezładna masa wilgotnych, żółtych włókien.

Struvin kopnął ją, jakby była stertą śmieci. Wymamrotał przekleństwo i kopnął jeszcze raz.

Lawler spojrział w tę stronę i zobaczył, że sieć oplatała się wokół jednego z ciężkich butów Struvina. Kapitan stał z nogą w powietrzu, potrząsając nią, jak gdyby chciał uwolnić się od czegoś lepkiego i klejącego.

- No - warknął Struvin. - No!

Jedna część sieci nagle wpełzła Struwinowi do połowy uda, owijając się ciasno wokół niego. Reszta wśliznęła się na nadburcie i zaczęła splezać za burtę, do wody.

- Doktorze! - ryknął Struvin.

Lawler rzucił się biegiem do niego, tuż za nim biegła Neyana. Jednak sieć poruszała się teraz z niewiarygodną szybkością. Przestała być bezładnym kłębem włóknistych sznurów, a wyprostowana okazała jakąś formą życia, mającą dobre trzy metry długości. Teraz gwałtownie ściągała Struvina do wody. Kapitan kopiać, jęcząc i warcząc zwisał za burtą. Zjedną nogą w uchwycie sieci, drugą starał się zaklinować w okrężnicy, aby uniknąć wciągnięcia do wody. Jednak potwór najwyraźniej postanowił rozerwać go na pół, gdyby dalej się opierał. Oczy Struvina prawie wychodziły z orbit. Było w nich zdziwienie, przerażenie i niedowierzenie.

W ciągu prawie ćwierćwiecza swojej praktyki medycznej Lawler często, zbyt często widywał ludzi w sytuacjach ekstremalnych. Jednak jeszcze nigdy nie widział takiego wyrazu

w niczyich oczach.

- Zdejmijcie ze mnie to świństwo! - wykrzyknął Struvin. - Jezu! Doktorze... Proszę, doktorze...

Lawler skoczył i chwycił najbliższą część sieci. Jego dłonie zamknęły się na niej i natychmiast poczuł gwałtowne pieczenie, jak gdyby jakiś żrący kwas przepalał mu ciało do kości. Chciał puścić sieć, lecz okazało się to niemożliwe. Jego skóra przylgnęła do niej. Struvin wisiał już daleko za burtą. Widać było zaledwie jego głowę i ramiona oraz rozpaczliwie zaciśnięte dłonie. Jeszcze raz zawołał o pomoc chrapliwym, przerażonym głosem. Nie zważając na ból Lawler przerzucił jeden koniec sieci przez ramię i pociągnął ją z powrotem w stronę środka pokładu, mając nadzieję wyciągnąć Struvina wraz z nią.

Wymagało to ogromnego wysiłku, ale Lawler był naładowany energią, którą pod wpływem stresu czerpał nie wiadomo skąd. Sieć przepalała skórę jego rąk, czuł jej żrący dotyk na plecach, szyi i ramionach. Sukinsyn, pomyślał. Sukinsyn. Mocno przygryzł wargę i zrobił krok, potem drugi i jeszcze jeden, ciągnąc, starając się zrównoważyć ciężar Struvina i opór siatkowego potwora, który do tego czasu ześliznął się daleko po kadłubie i zdecydowanie podążał do wody.

Coś zaczęło pisać na plecach Lawlera, gdzie nadmiernie napięte mięśnie tańczyły i podskakiwały. Jednak wydawało się, że uda mu się wciągnąć sieć z powrotem na pokład. Struvin był już prawie na nadburciu.

I wtedy sieć pękła - czy też, co bardziej prawdopodobne, podzieliła się z własnej woli. Lawler usłyszał przeraźliwy jęk i obejrzawszy się, zobaczył, jak Struvin spada prosto w kipiące, parujące morze. Woda natychmiast zakotłowała się wokół niego. Lawler widział ruch tuż poniżej powierzchni, miękkie, migocące obiekty zbiegające się ze wszystkich stron jak strzałki w dziecinnej grze. Meduzy nie wyglądały już spokojnie ani niewinnie.



Drugą połowę sieci pozostała na pokładzie i oplatała się wokół nadgarstków Lawlera.

Musiał walczyć z parzącym siatkowatym stworzeniem, które wiło się, skręcało i przyklejało do niego przy każdym dotknięciu. Ukląkł i zaczął tłuc siatką o pokład. Jej ciało było twarde i sprężyste jak chrząstka. Po chwili zaczęło słabnąć, ale wciąż nie mógł się go pozbyć.

Pieczenie stawało się nie do wytrzymania.

Kinverson nadbiegł i przycisnął obcasem jeden koniec sieci, unieruchamiając ją, Neyana cisnęła ścierką w jej środek, a Pilya Braun, zjawiając się nie wiadomo skąd, pochyliła się nad Lawlerem i wyciągnęła kościany nóż z pochwy u pasa. Zaczęła wściekle ciąć gumowate, drgające oczka sieci. Metalicznie lśniąca, ciemnoniebieska krew tryskała z potwora, a krawędzie sieci odskakiwały z sykiem od ostrza. Po chwili Pilya odrąbała tę część, która przylegała do rąk Lawlera, tak że mógł się podnieść. Najwidoczniej ta część była za mała, żeby podtrzymać życie - skurczyła się i zwiotczała tak, że zdołał strzepnąć ją z palców.

Kinverson nadal przydeprzywał swoją część sieci, pozostałość kawałka, który został na pokładzie po tym, jak potwór porwał Struvina za burtę.

Oszołomiony Lawler dopadł do nadburcia z zamiarem wskoczenia do morza na ratunek Struwinowi. Widocznie Kinverson pojął jego zamiary, bo wyciągnął rękę, chwytając go za ramię i odciągając w tył.

- Nie szalej - powiedział. - Bóg jeden wie, co pływa tam w dole, czekając na ciebie.

Lawler niepewnie skinął głową. Odsunął się od relingu i spojrzał na swe poparzone palce. Zobaczył odcisniętą na skórze, jaskrawoczerwoną siatkę krzyżujących się linii. Ból był niesamowity. Wydawało mu się, że dłonie zaraz mu eksplodują.

Całe wydarzenie trwało nie więcej niż półtorej minuty.

Z luku wyłonił się Delagard. Podbiegł do nich, zdenerwowany i zmieszany.

- Co się tu dzieje, do diabła? Co to za jęki i krzyki?

- Przysnął i wytrzeszczył oczy. - Gdzie jest Gospo? Zdyszany Lawler, z zaciśniętą krtanią i walącym sercem, prawie nie mógł mówić. Machnął ręką w kierunku nadburcia i potrząsnął głową.

- Za burką? - wykrztusił z niedowierzaniem Delagard. - Wypadł?

Podbiegł do burty i spojrzał w dół. Lawler stanął obok niego. Na dole było zupełnie cicho. Rozpychające się hordy tańczących meduz zniknęły. Woda była ciemna, gładka i cicha. Nie było śladu ani Struvina, ani sieciowatego potwora, który go porwał.

- On nie wypadł - powiedział Kinverson. - Został wciągnięty. Pociągnęła go druga połowa tego czegoś.

- Wskazał na porwane, obszarpane resztki sieci, które przydeptywał butem. Teraz pozostała z nich jedynie zielonkawa plama na żółtym drewnianym pokładzie.

Ochryłym głosem Lawler dodał:

- Wyglądało to jak stara sieć rybacka. Leżało na pokładzie, całe poplątane. Może meduzy wysłały je tutaj, aby dla nich zapolowało. Struvin kopnął to, a ono złapało go za nogę i...

- Co? Co to za pierdoły? - Delagard ponownie spojrzał za burtę, a potem na ręce Lawlera i na plamę na pokładzie. - Mówicie poważnie? Coś, co wyglądało jak sieć, wyszło z morza i porwało Gospo?

Lawler kiwnął głową.

- To niemożliwe. Ktoś musiał go wypchnąć za burtę.

Kto? Ty, Lawler? Kinverson? - Delagard zamrugał, jakby sam zdawał sobie sprawę z niedorzeczności tego, co powiedział. Potem popatrzył na nich uważnie i zapytał: - Sieć? Żywa sieć wypełzła tutaj z morza i porwała Gospo?

Lawler ponownie przytaknął ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Powoli otworzył i

zamknął dłonie. Pieczenie z wolna ustępowało, lecz wiedział, że będzie je czuł jeszcze przez wiele godzin. Był otępiały, ogłuszony, drżący. Przed oczyma wciąż miał tę koszmarną scenę: Struvin zauważający sieć, kopiący ją, oplatany, sieć przesuwaną się przez balustradę i unosząca Struvina...

- No nie - jęknął Delagard. - Jezu, nie mogę w to uwierzyć, do diabła. - Potrząsnął głową i obrzucił wzrokiem ciche wody, po czym zawołał: - Gospo! Gospo! - Żadnej odpowiedzi z dołu. - Kurwa! Pięć dni na morzu i już ktoś zginął? Czy możecie to sobie wyobrazić? - Odwrócił się od nadburcia w chwili, gdy nadciągnęła reszta załogi, na czele Leo Martello, potem ojciec Quillan i Onyos Felk, tuż za nimi inni. Delagard zacisnął usta. Jego policzki wyduły się, twarz zrobiła się czerwona ze zdumienia, wściekłości i szoku. Lawler był zaskoczony rozpaczą Delagarda. Struvin zginął okropną śmiercią, ale ładnych sposobów umierania było tak niewiele. Lowler nigdy nie sądził, aby Delagardowi zależało na kimkolwiek oprócz własnej osoby.

Właściciel statku odwrócił się do Kinversona.

- Czy słyszałeś już o czymś takim?

- Nigdy. Nigdy, przenigdy.

- Coś, co wyglądało jak zwykła sieć - powtórzył Delagard. - Stara, brudna sieć, która skacze na ciebie i porywa cię. O Boże, co to za miejsce! Co za miejsce!

Wciąż potrząsał głową, jakby miał nadzieję, że jeśli będzie nią trząsł wystarczająco długo i mocno, to uda mu się odzyskać Struvina.

Potem pochylił się w stronę duchownego.

- Ojciec Quillan! Prosimy o modlitwę! Duchowny wyglądał na zmieszanego.

- Co? Co?

- Nie słyszał ojciec. Mamy ofiarę. Struvin zginął. Coś wpęzło na pokład i ściągnęło

go za burtę.

Quillan milczał. Trzymał ręce przed sobą, dłońmi na zewnątrz, jakby sugerował, że obiekty wypływające z oceanu nie wchodzą w zakres jego kapłańskiej odpowiedzialności.

- Mój Boże, proszę coś wyrecytować! Niech ojciec coś powie! - Quillan wciąż się wahał. Nagle, z tyłu, niepewny głos wyszeptał: - Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

- Nie - powiedział duchowny. Wyglądało, jakby powoli budził się ze snu. - Nie, nie ta.

- Zwilżył wargi i bardzo skupiony zaczął: - Panie, choć idę doliną śmierci, nie boję się żadnego zła, bowiem Tyś jest ze mną. Ty przyszykowałeś mi ucztę w obliczu nieprzyjaciół moich... Z pewnością dobroć i litość będą towarzyszyć mi po kres mego żywota.

Pilya Braun podeszła do Lawlera, ujęła go za łokcie, odwróciła jego ręce w górę, odsłaniając czerwone ślady na dłoniach.

- Chodź - powiedziała cicho. - Chodźmy na dół, pokażesz mi, którą maść na nie położyć.

W swojej małej kabinie, wśród proszków i mikstur, Lawler powiedział:

- Właśnie to. Ta buteleczka.

- Ta? - spytała Pilya. Patrzyła podejrzliwie. - To nie jest maść.

- Wiem. Wlej kilka kropel do małej ilości wody i podaj mi. Potem zajmiemy się maścią.

- Co to? Środek znieczulający?

- A tak, środek znieczulający.

Pilya zajęła się przygotowaniem leku. Miała około dwudziestu pięciu lat, złote włosy, brązowe oczy, szerokie ramiona, wyraziste rysy, niewielkie piersi i lśniącą oliwkową skórę - przystojna, mocna kobieta, a według Delagarda, także pracowita. Z pewnością umiała

obchodzić się z takielunkiem statku. Lawler rzadko spotykał ją na Sorve, lecz jakieś dwadzieścia lat temu, gdy był niewiele starszy niż była teraz, kilka razy przespał się z jej matką. Głupio postąpił. Lawler wątpił, aby Pilya wiedziała cokolwiek na ten temat. Jej matka już nie żyła, zabrana przez gorączkę po jedzeniu zepsutych ostryg jakieś trzy zimy temu. W czasie gdy nawiązał się ich romans - a było to wkrótce po rozpadzie jego jedyne, krótkiego i nieudanego małżeństwa - Lawler znacznie bardziej zajmował się kobietami. Teraz te czasy minęły i Lawler wolałby, aby Pilya przestała patrzeć na niego z pożądaniem i nadzieją w oczach, jakby był wszystkim, czego oczekiwała od mężczyzny. Z pewnością myliła się. Lecz był zbyt uprzejmy lub zbyt obojętny - sam nie wiedział - aby jej to powiedzieć.

Podawała mu szklanekę pełną różowego płynu. Lawlerowi wydawało się, że ręce ma ciężkie jak maczugi, a palce sztywne jak kołki. Musiała mu pomóc podnieść szklanekę. Jednak nalewka z uśmierzychy zaczęła działać natychmiast, jak zwykle dodając otuchy, łagodząc szok wywołany potwornym zdarzeniem na pokładzie. Pilya wzięła od niego pustą szklanekę i odstawiła ją na półkę naprzeciw koi.

Lawler trzymał tam pamiątki z Ziemi, sześć niewielkich fragmentów istniejącego niegdyś świata. Pilya stanęła i uważnie obejrzała: monetę, statuetkę z brązu, skorupę naczyń, mapę, pistolet oraz kamyk. Delikatnie dotknęła statuetki koniuszkiem palca, jakby spodziewała się, że może parzyć.

- Co to takiego?

- Mała figurka bożka z miejsca zwanego Egiptem. Na Ziemi.

- Ziemi? Masz przedmioty pochodzące z Ziemi?

- Skarby rodzinne. Ten ma cztery tysiące lat.

- Cztery tysiące lat. A to? - Podniosła monetę. - Co mówi napis na tym malutkim

kawałku białego metalu?

- Mówi: “Ufamy Bogu”, po tej stronie, gdzie jest twarz kobiety. A z drugiej strony tam gdzie widzisz ptaka, napisano: “Stany Zjednoczone Ameryki” u góry, a u dołu “ćwierć dolara”.
- Co to znaczy: “ćwierć dolara”? - zapytała Pilya.
- To był rodzaj pieniędzy na Ziemi.
- A “Stany Zjednoczone Ameryki”?
- Miejsce.
- Masz na myśli wyspę?
- Nie wiem - powiedział. - Nie sędzę. Ziemia nie miała takich wysp jak my.
- A to zwierzę, to ze skrzydłami? Takie zwierzęta nie istnieją.
- Istniały, na Ziemi - odparł Lawler. - Nazywano je orłami. Rodzaj ptaka.
- Co to jest ptak? Zawahał się.
- Coś, co fruwa w powietrzu.
- Jak ślizgowiec - powiedziała.
- Coś w tym rodzaju. Nie wiem na pewno. Pilya w zadumie dotykała innych przedmiotów.
- Ziemia - powiedziała bardzo cicho. - A więc naprawdę było takie miejsce.
- Oczywiście, że było!
- Nigdy nie byłam tego pewna. Może to tylko bajka. - Odwróciła się do niego i z kokietyjnym uśmiechem pokazała mu monetę. - Czy dasz mi ją, doktorze? Podoba mi się, chcę mieć jakiś przedmiot z Ziemi.
- Nie mogę tego zrobić, Pilya.
- Proszę, bardzo proszę! Ona jest taka piękna!
- Należy do mojej rodziny od setek lat. Nie mogę się jej pozbyć.

- Pozwolę ci ją obejrzeć, kiedy tylko zapragniesz.

- Nie - rzekł, zastanawiając się przy tym, dla kogo właściwie to przechowuje. -

Przykro mi. Chciałbym ci ją dać, ale nie mogę. Nie te przedmioty.

Pokiwała głową, nie próbując ukryć rozczarowania.

- Ziemia - powtórzyła smakując tajemniczość tej nazwy. - Ziemia! - Odłożyła monetę

na półkę i powiedziała: - Innym razem opowiesz mi o pozostałych przedmiotach z Ziemi.

Jednak teraz mamy jeszcze coś do .robienia. Maść na twoje dłonie. Gdzie ona jest?

Pokazał jej. Znalazła maść i wycisnęła trochę. Potem, odwróciwszy jego dłonie w górę

tak jak na pokładzie, potrząsnęła smutno głową.

- Spójrz na nie. Będziesz miał blizny.

- Prawdopodobnie nie.

- To coś mogło ciebie też wciągnąć.

- Nie - odpowiedział Lawler. - Nie mogło. Nie wciągnęło. Gospo stał blisko burty, a

poza tym dosięgło go, zanim zrozumiał, co się dzieje. Ja miałem lepszą pozycję do obrony.

Zobaczył strach w jej ślicznych, nakrapianych złotem oczach.

- Jeśli nie teraz, dostanie nas następnym razem. Wszyscy zginiemy, zanim dotrzemy

do celu, dokądkolwiek podążamy... - powiedziała.

- Nie. Nie, wszystko będzie w porządku. Pilya roześmiała się.

- Ty zawsze dostrzegasz dobrą stronę wydarzeń. A jednak to będzie smutna,

mordercza podróż. Gdybyśmy mogli zawrócić na Sorve, doktorze, czy nie chciałbyś wrócić?

- Przecież nie możemy wrócić. Wiesz o tym. Równie dobrze można by mówić o

powrocie na Ziemię. Już nigdy nie ujrzymy Sorve.

**CZEŚĆ PIERWSZA**

# WYSPA SORYE



Noc przyniosła dziwne, głębokie przekonanie, że to właśnie on jest wybrańcem losu, mogącym ułatwić i poprawić egzystencję siedemdziesięciu ośmiu istot ludzkich, które żyły na sztucznej wyspie Sorve, na wodnej planecie zwanej Hydros.

To była zabawna myśl i Lawler świetnie o tym wiedział. Odebrała mu sen, którego nie mógł przywołać żadną ze zwykłych metod: ani medytacją, ani za pomocą tabliczki mnożenia, ani przez różowe kropelki środka uspokajającego produkowanego z glonów, środka, od którego chyba trochę za bardzo się j uzależnił. Prawie od północy aż do świtu leżał czuwając, opętany tą genialną, heroiczną i pokrętną myślą. Aż wreszcie, we wczesnych godzinach poranka, gdy niebo było jeszcze ciemne, zanim pierwsi pacjenci pojawili się, aby skomplikować jego dzień i zrujnować czystość jego nowej, nagłej wizji, Lawler wyszedł ze stojącej na środku wyspy chaty, w której mieszkał samotnie, i udał się nad morze, aby zobaczyć, czy Skrzelowcy naprawdę! uruchomili w ciągu nocy nową elektrownię.

Jeśli tak, pogratulowałby im wylewnie. Przywołałby cały swój słownik języka gestów, aby wyrazić podziw dla ich niebywałej sprawności technologicznej. Wychwalałby ich za całkowitą zmianę jakości życia na Hydros - nie tylko na Sorve, lecz na całej planecie - i to za pomocą pojedynczego, mistrzowskiego posunięcia.

Potem zaś powiedziałby:

- Mój ojciec, wielki dr Bernat Lawler, którego wszyscy tak dobrze pamiętacie, przewidział, że taki moment nadejdzie. - Pewnego dnia - mówił często, kiedy byłem chłopcem - nasi przyjaciele, Mieszkańcy, nauczą się uzyskiwać pewny i stały dopływ elektryczności. Wtedy nastanie tutaj nowa epoka, w której Mieszkańcy i ludzie będą pracować ramię w ramię, w zgodnej współpracy...

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Subtelnie przeplatał gratulacje stwierdzeniami

sugerującymi potrzebę harmonii między obiema rasami. Na koniec doszedł do wyraźnej propozycji, aby Hydranie i ludzie zapomnieli o wszelkich dawnych urazach i wreszcie zaczęli wspólnie pracować w imię dalszego postępu technologicznego. A przywołując święte imię ukochanego zmarłego, dr. Bernata Lawlera, tak często, jak tylko mógł, przypominał im, jak za życia wykorzystywał on swoją ogromną wiedzę medyczną, zarówno Mieszkańców, jak i ludzi, dokonywał wielu prawie cudownych uzdrowień, bezinteresownie poświęcał siebie dla dobra obu społeczności wyspy... Lawler nie żałował pochlebstw, atmosfera wokół drżała z emocji, co miało doprowadzić Skrzelowców do tego, by z oczami pełnymi łez Wywołanych nowo odkrytą miłością międzygatunkową, z zadowoleniem przystały na jego zdawkową sugestię, że dobrym sposobem rozpoczęcia nowej ery byłoby pozwolić ludziom zaadaptować elektrownię również do produkcji świeżej Wody. Potem przedłożył swą zasadniczą propozycję: ludzie sami zaprojektują i zbudują zespół odsalania, kondensator, przewody przenośnika, kompletny aparat, a następnie przełożą go Skrzelowcom. Proszę, wystarczy włożyć wtyczkę. Nic was nie kosztuje, a my już nie będziemy zależni od opadów deszczu.

O

Będziemy też najlepszymi przyjaciółmi na zawsze wy - Mieszkańcy i my - ludzie.

Ta wizja odebrała Lawlerowi sen. Zwykle nie miał skłonności do wikłania się w podobne wątpliwe przedsięwzięcia. Lata praktyki lekarskiej - choć nie był geniuszem jak jego ojciec, lecz raczej pracowitym i zręcznym medykiem, który w tych trudnych warunkach wykonywał dobrą robotę - nauczyły go realizmu i pragmatycznego podejścia do większości spraw. Jednak tej nocy udało mu się jakoś przekonać samego siebie, że jest jedyną osobą na wyspie, która mogłaby namówić Skrzelowców, aby pozwolili przyłączyć do swojej elektrowni urządzenie odsalające wodę. Tak. Uda mu się to, co nie udało się nikomu innemu. Lawler wiedział, że ma na to niewielkie szanse. Lecz w nocy szanse wydają się często

większe niż w jasnym świetle poranka.

Elektryczność, którą zużywała wyspa, pochodziła z prymitywnych, mało wydajnych baterii chemicznych, zanurzonych w słonej wodzie stert cynku i miedzi, oddzielonych pasmami papieru z wodorostów. Skrzelowcy - Hydranie lub Mieszkańcy, czyli istoty dominujące na wyspie i na świecie, na którym Lawler spędził całe swoje życie - od niepamiętnych czasów pracowali nad lepszym sposobem generowania elektryczności.

Obecnie, jak głosiła krążąca po mieście plotka, nowa elektrownia była prawie gotowa do rozruchu; może dziś, może jutro, a na pewno w przyszłym tygodniu. Gdyby Skrzelowcy naprawdę zdołali tego dokonać, byłoby to doniosłym wydarzeniem dla obydwu gatunków.

Zgodzili się już, choć niezbyt chętnie, udostępnić ludziom część nowych zasobów elektryczności, okazując - jak jednogłośnie stwierdzono - niezwykłą wspaniałomyślność.

Lecz byłoby jeszcze wspanialej dla siedemdziesięciu ośmiu ludzi, z trudem wegetujących na tym wąskim, nędznym spłachetku ziemi, jakim była Sorve, gdyby Skrzelowcy ustąpili i pozwolili używać elektrowni również do odsalania wody. Ludzie nie byłiby wtedy zależni od rzadkich i przypadkowych opadów deszczu. Musiało to być oczywiste nawet dla Skrzelowców, że życie byłoby łatwiejsze dla ich człowieczych sąsiadów, gdyby ci mogli liczyć na niezawodne i nieograniczone dostawy wody.

Jednak na razie Skrzelowcy niczym nie okazywali, że im na tym zależy. Nigdy nie zdradzali szczególnej ochoty do jakiegokolwiek ułatwiania życia garstce żyjących wśród nich istot ludzkich. Woda pitna była niezbędna człowiekowi, ale nie miała żadnego znaczenia dla Skrzelowców. To, czego ludzie potrzebowali, chcieli lub o czym marzyli, nie obchodziło Skrzelowców. I właśnie wizja zmiany tej sytuacji metodą delikatnej perswazji kosztowała Lawlera bezsenłą noc.

Cóż, u diabła: kto nie ryzykuje, ten nie ma.

Tej tropikalnej nocy Lawler był boso, a za całe ubranie służył mu owinięty wokół pasa kawałek żółtego materiału liści wodnej sałaty. Powietrze było ciepłe i ciężkie, morze spokojne. Wyspa - ta pajęczyna żywej, półżywej i obumarłej tkanki - dryfująca po bezkresnym, okalającym świat oceanie, falowała prawie niewyczuwalnie pod jego stopami. Podobnie jak wszystkie zamieszkałe wyspy Hydros, Sorve była nieukorzenionym, swobodnie żeglującym wędrowcem, przemieszczanym przez każdy prąd czy wiatr, czy też przypadkowe fale przyływu, na które się natknął. Lawler czuł, jak ciasno splecione witki podłoża uginają mu się pod nogami, i słyszał cichy plusk fal przepływających zaledwie kilka metrów niżej. Poruszał się jednak zwinnie i lekko, a jego długie, smukłe ciało automatycznie dostrajało się do kołysania wyspy. Dla niego było to rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem.

Ta miękkość nocy była zwodnicza. Przez większą część roku Sorve z pewnością nie była miejscem łatwym do życia. Jej klimat oscylował między okresem gorącym i suchym a zimnym i mokrym, z wyjątkiem jednego słodkiego i krótkiego, letniego interludium, kiedy Sorve dryfowała w łagodnych i wilgotnych równikowych szerokościach geograficznych, przynosząc krótkotrwałą iluzję wygody. To była dobra pora roku, przynosząca obfitość pożywienia i słodycz powietrza. Wyspiarze cieszyli się nią. Przez pozostałą część roku toczyła się zaciekle walka o przeżycie.

Lawler niespiesznie przeszedł wokół zbiornika, a potem rampą w dół na niższy taras. Łagodny stok opadał na brzeg wyspy. Lawler minął rozrzucone budynki stoczni, z której Nid Delagard zarządzał swym morskim imperium, oraz niewyraźne, zaokrąglone kształty nadbrzeżnych fabryczek, gdzie w powolny i mało wydajny sposób z tkanek nisko-rozwiniętych morskich stworzeń wydobywano metale - nikiel, żelazo, kobalt, wanad i cynę. Trudno było cokolwiek dostrzec, ale po blisko czterdziestu latach życia na tej niewielkiej wyspie Lawler nie miał problemów z poruszaniem się tutaj po ciemku.

Ogromna, dwupiętrowa szopa mieszcząca elektrownię znajdowała się kawałek dalej, po prawej, na samym brzegu wyspy. Skierował się tam.

Jeszcze nic nie zapowiadało świtu. Niebo miało kolor głębokiej czerni. Sunrise, bliźniacza planeta Hydrosa, często lśniła na niebie jak wielkie niebieskozielone oko. Jednak dziś w nocy rzucała swój blask na tajemnicze wody niezbadanej, drugiej półkuli. Widoczny był jeden z trzech księżyców - małeńki punkt ostrego, białego światła na wschodzie, tuż nad horyzontem. A gwiazdy migotały wszędzie jak kaskady połyskliwego srebrnego proszku rzuconego na czerń, wszędobyłski puder jaskrawości. Ta niezliczona horda odległych słońc tworzyła oszalamiające tło dla potężnej pierwszoplanowej konstelacji wspaniałego Krzyża Hydros - dwóch płonących rzędów gwiazd przecinających niebo pod kątem prostym w stosunku do siebie, które jak podwójny pas obejmowały świat: jeden od bieguna do bieguna, a drugi w regularnych odstępach tuż nad równikiem.

Dla Lawlera te gwiazdy, jedyne gwiazdy, jakie znał, oznaczały dom. Urodził się na Hydros, w piątym pokoleniu. Nigdy nie był ani nie będzie na żadnym innym świecie. Wyspa Sorve była mu tak bliska jak własna skóra. A jednak czasami doznawał niespodziewanych i przerażających przyływów depresji, gdy całe jego poczucie bezpieczeństwa zniknęło, pozostawiając wrażenie obcości; chwile, gdy wydawało mu się, że dopiero co przybył na Hydros, zrzucony . kosmosu jak spadająca gwiazda, wygnaniec ze swojej prawdziwej, dalekiej wyspy. Czasami oczyma duszy widział matkę Ziemię, lśniącą jak każda inna gwiazda, z jej błękitnymi morzami, rozdzielonymi przez ogromne złotozielone masywy lądów, które nazywano kontynentami. Myślał wtedy: to mój dom, mój prawdziwy dom. Lawler zastanawiał się, czy ktokolwiek z pozostałych ludzi na Hydros doznawał od czasu do czasu podobnego uczucia. Prawdopodobnie tak, chociaż nikt o tym nie wspominał. Ponadto wszyscy byli tutaj obcy. Ten świat należał do Skrzelowców. Lawler i tacy jak on byli tutaj

nieproszonymi gośćmi.

Doszedł już do brzegu morza. Znajoma balustrada, chropowata i drewnopodobna, jak wszystko inne na tej sztucznej wyspie, nie posiadającej ani gleby, ani roślinności, wyszła naprzeciw jego dłoni, gdy wgramolił się na szczyt ogrodzenia.

Tutaj, przy ogrodzeniu, pochylenie w topografii wyspy, biegnące stopniowo w dół od nadbudowanej wyżyny na środku do otaczającego ją wału ochronnego, gwałtownie zmieniało kierunek, a podłoże odwracało się w górę, tworząc menisk, półokrągłą krawędź chroniącą wewnętrzne ulice przed wszystkim z wyjątkiem najsilniejszych fal. Chwyciwszy się balustrady, Lawler wychylił się nad pluskającą wodę i stał przez chwilę, jakby ofiarowując siebie wszech-otaczającemu oceanowi.

Nawet w ciemności podświadomie wyczuwał przecinkowaty kształt wyspy oraz położenie stron świata. Wyspa miała osiem kilometrów długości oraz około kilometra szerokości w najszerszym punkcie, licząc od czoła zatoki do szczytu tylnego waha, który odpierał ataki morza. Lawler znajdował się blisko środka wewnętrznej zatoki. Po jego prawej i lewej stronie rozciągały się dwa zakrzywione ramiona wyspy, jedno zaokrąglone, gdzie mieszkali Skrzelowcy, oraz drugie, w kształcie wąskiego stożka, na którym skupiła się garstka ludzkich osadników. Dokładnie przed nim, zamknięta parą nierównych ramion, leżała zatoka stanowiąca żywe serce wyspy. Skrzelowcy, budowniczo wie wyspy, zbudowali dla niej sztuczne dno, podwodną półkę wykonaną z wręg oplecionych wodorostami i przymocowanych między ramionami. Pozwoliło to na uzyskanie płytkiej, żyznej laguny zawsze towarzyszącej wyspie, czegoś w rodzaju stawu na uwięzi. Dzikie, groźne drapieżniki polujące na otwartym morzu nigdy nie odwiedzały zatoki: może Skrzelowcy dawno temu zawarli z nimi jakiś układ. Wyściółka z gąbczastych, przydennych wodorostów nie potrzebujących światła umacniała dno zatoki, zawsze zabezpieczając je i odnawiając swoim jednostajnym,

upartym wzrostem. Powyżej zalegał piasek naniesiony sztormami z nieznanymi obszarów oceanicznego dna. A jeszcze wyżej rósł gęszcz użytecznych roślin wodnych ze stu lub więcej gatunków. W tym gęszczu roiło się od rozmaitych morskich stworzeń. Niższe poziomy zamieszkiwały różne gatunki skorupiaków, które filtrowały wodę morską przez swoje miękkie tkanki, zatrzymując cenne minerały wykorzystywane później przez wyspiarzy. Wśród nich kręciły się węże i robaki morskie. Tam szukały pożywienia pulchne i delikatne ryby. Właśnie teraz Lawler zobaczył ławicę ogromnych, fosforyzujących stworzeń poruszających się i pulsujących falami niebieskofioletowego światła: wielkie bestie znane jako jamochłony, a może nawet platformy, jednak było jeszcze zbyt ciemno, aby je rozpoznać. A za jaskrawozieloną wodą zatoki rozpościerał się wielki ocean falujący aż po horyzont i dalej, trzymający cały świat w swoim uścisku jak dłoń w rękawiczce trzymająca piłkę. Patrząc nań, Lawler po raz nie wiedzieć który poczuł jego ogrom, moc i nieustępliwość. Spojrzał w kierunku elektrowni, masywnej i samotnej na malutkim, perkatym cypelku wysuniętym w wody zatoki.

A jednak nie ukończyli jej. Niezgrabny budynek, otoczony girlandami plecionych ze słomy mat dla ochrony przed deszczem, był cichy i ciemny. Kilka niewyraźnych sylwetek kręciło się wokół. Po pochyleniu pleców można było bezbłędnie rozpoznać w nich Skrzelowców.

Elektrownia miała wytwarzać elektryczność dzięki wykorzystywaniu różnic temperatury morza. Dann Henders, który na Sorve był kimś w rodzaju inżyniera, objaśnił to Lawlerowi za pomocą wydobytego od jednego ze Skrzelowców szkicu projektu. Ciepła, powierzchniowa woda morska była wciągana przez wirniki do kabiny próżniowej, w której znacznie obniżano jej punkt wrzenia. Następnie gwałtownie wrząca woda miała produkować rozrzedzoną parę, która napędzałyby turbiny generatora. Zimna woda morska, pompowana z

niższych poziomów morza spoza zatoki, miała być następnie użyta do ponownego skraplania pary w wodę, która wracałaby do morza poprzez otwory wylotowe umieszczone w odległości około połowy obwodu wyspy od elektrowni. Skrzelowcy wykonali całą jednostkę - przewody, pompy, wirniki, turbiny, kondensatory oraz samą kabinę próżniową - z różnorodnych organicznych tworzyw sztucznych otrzymywanych z glonów i innych roślin wodnych.

Najwidoczniej nie zastosowano w konstrukcji prawie żadnych metali, co nikogo nie dziwiło, biorąc pod uwagę trudność uzyskiwania metali na Hydros. Całość była bardzo pomysłowa, zwłaszcza że na ogół Skrzelowcy nie byli utalentowani technicznie w porównaniu z innymi inteligentnymi gatunkami tej galaktyki. Autorem tego pomysłu musiał być jakiś prawdziwy geniusz. Mimo to musieli włożyć bardzo dużo pracy w uruchomienie czegoś, co właśnie miało wyprodukować swój pierwszy wat. Większość ludzi zastanawiała się, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Mogło być o wiele prościej i szybciej, myślał Lawler, gdyby Skrzelowcy pozwolili Dannowi Hendersowi lub innemu technicznie zorientowanemu człowiekowi popracować nad tym projektem. Jednak Skrzelowcy nie mieli zwyczaju szukać pomocy u nieproszonych gości, z którymi wbrew woli dzielili wyspę, nawet gdyby taki krok miał im przynieść jakieś korzyści. Jedynym wyjątkiem był wybuch epidemii dziesiątkującej ich młode, kiedy to święty ojciec Lawlera pospieszył ze szczepionką. Było to jednak wiele lat temu i gdyby nawet usługi poprzedniego Lawlera zaowocowały wśród Skrzelorców jakimiś okruciami dobrej woli, to te dawno już wyparowały bez śladu.

Fakt, że elektrownia wciąż wyglądała na nieczynną, stanowił pewien minus w szczytnym planie Lawlera. Co teraz? Pójść i porozmawiać z nimi? Wygłosić tę małą, kwiecistą mówkę, naoliwić Skrzelorców szlachetną retoryką, przedstawić plan, który powstał w wyniku nocnych przemyśleń, nim świt okradnie je z jakiegokolwiek wiarygodności?

- W imieniu całej społeczności wyspy Sorve ja, który, jak wiecie, jestem synem



ukochanego zmarłego doktora Lawlera, który służył wam tak dobrze w czasie strasznej epidemii, chciałbym pogratulować wam z okazji bliskiego ukończenia waszego pomysłowego i wspaniale dobrego...

- Nawet jeśli realizacja tego wspaniałego marzenia oddali się jeszcze o kilka dni, w imieniu całej ludzkiej społeczności wyspy Sorve pragnę wyrazić naszą najgłębszą radość z powodu korzystnych zmian, jakie nieuchronnie nastąpią na wyspie, którą wspólnie zamieszkujemy, kiedy nareszcie uda się...

- Wielka radość, jaką w naszej społeczności budzi historyczne osiągnięcie, które niebawem...

Dosyć, pomyślał i ruszył w stronę cypla elektrowni.

W miarę jak podchodził do elektrowni, starał się robić dużo hałasu: kaszłał, klaskał w dłonie i gwizdał. Skrzelowcy nie lubili, gdy ludzie pojawiali się nieoczekiwanie.

Był jeszcze około piętnaście metrów od elektrowni, kiedy zobaczył dwóch

Skrzelowców, którzy wyszli mu naprzeciw, w charakterystyczny sposób szurając nogami.

W ciemności wyglądali jak olbrzymy. Unosili się wysoko ponad nim, pozornie bezkształtni, a ich małe żółte oczka lśniły jak latarnie w niewielkich głowach.

Lawler powoli i dokładnie wykonał gest powitania, tak aby nie pozostawić żadnych wątpliwości co do swych przyjaznych zamiarów.

Jeden ze Skrzelowców odpowiedział przeciągłym prychnięciem, które brzmiało jak wrrr - i wcale nie było przyjazne.

Skrzelowcy to duże, dwunożne stworzenia o wysokości dwóch i pół metra, pokryte grubymi warstwami gumowatej, czarnej szczeciny, zwisającej gęstymi i zmierzwionymi kudłami. Ich groteskowo małe, stożkowate główki były osadzone na szczycie ogromnych barków i od tego miejsca ich torsy przechodziły w masywne, otyłe, niezdarne ciała. Ludzie uważali,

że ich mózgi muszą się mieścić w tych ogromnych piersiach wraz z sercem i płucami. Z pewnością nie zmieściłyby się w tych niewielkich czaszkach.

Bardzo możliwe, że Skrzelowcy byli kiedyś ssakami morskimi. Świadczył o tym ich niezdarny sposób poruszania się na lądzie i wdzięk, z jakim pływały w wodzie. Spędzali w morzu prawie tyle czasu, co na lądzie. Kiedyś Lawler widział, jak jeden ze Skrzelowców nie wynurzając się przepłynął zatokę od końca do końca, co trwało prawie dwadzieścia minut. Ich nogi, krótkie i krępe, były z pewnością zaadaptowanymi płetwami. Ich ręce również przypominały płetwy - krótkie, mocne, niewielkie kończyny, które zawsze trzymali blisko tułowia. Dłonie, wyposażone w trzy długie palce i przeciwstawny kciuk, były nadzwyczaj szerokie i układały się w naturalny sposób w głębokie kielichy przystosowane do odpychania dużych objętości wody.

Przodkowie tych istot miliony lat temu, w jakimś nieprawdopodobnym i zadziwiającym akcie powtórnego samookreślenia się, wyszli z morza i zbudowali dla siebie domy - wyspy utkane z materiałów morskiego pochodzenia i zabezpieczone wymyślnymi barykadami przed nieustannymi falami przyływów, które otaczały ich planetę. Wciąż jednak pozostawali tworamami morza.

Lawler podszedł do Skrzelowców tak blisko, jak mu starczyło odwagi, i dał im znak:

Jestem-Lawler-lekarz.

Skrzelowcy wydawali dźwięki przyciskając ramiona do boków i wypychając powietrze przez umiejscowione w klatkach piersiowych głębokie otwory w kształcie skrzeli. Wytwarzali w ten sposób przeciągłe dźwięki przypominające muzykę organów. Ludzie nigdy nie nauczyli się języka Skrzelowców ani też Skrzelowcy nie okazali najmniejszej ochoty nauczenia się ludzkiej mowy. Jednak potrzebowali jakiegoś sposobu porozumiewania się ze sobą. Z czasem powstał język migowy. Skrzelowcy mówili do ludzi po swojemu, ludzie

odpowiadali znakami.

Skrzelowiec, który odezwał się przedtem, prychnął ponownie, dodając szczególnie wrogie sapnięcie. Podniósł w górę płetwy, co Lawler odebrał jako postawę wyrażającą gniew.

Nie, nie gniew: pasję. Krańcową furię.

Hej, pomyślał Lawler. Co się dzieje? Co ja zrobiłem?

Nie było wątpliwości, że Skrzelowiec był wściekły. Teraz zaczął pocierać płetwami o boki, co najwyraźniej miało oznaczać: Odejdź! Znikaj! Zabierz stąd szybko swój tytek.

Zmieszany Lawler zasygnalizował: Nie chcę przeszkadzać, przyszedłem pertraktować.

Znów parsknięcie, głośniejsze, głębsze. Odbite od poszycia ścieżki, zmieniło się w drganie, które Lawler poczuł w podeszwach stóp.

Bywało, że Skrzelowcy zabijali istoty ludzkie, które ich denerwowały lub nawet takie, które ich nie denerwowały - kłopotliwa, przypadkowa skłonność do nadużywania siły.

Zwykle wydawało się to niezamierzone - jakieś poirytowane machnięcie płetwą, szybkie, pogardliwe kopnięcie lub bezmyślne stratowanie. Były bardzo duże, bardzo silne i wydawały się nie rozumieć albo nie dbać o to, że ciała ludzkie są tak kruche.

Drugi ze Skrzelowców, większy, zrobił krok lub dwa w kierunku Lawlera. Jego oddech nadpłynął z ciężką, sapiącą, nietowarzystą intensywnością. Rzucił Lawlerowi spojrzenie, które ten odczytał jako pełne rezerwy i roztargnionej wrogości.

Lawler zasygnalizował zdziwienie i konsternację. Potem Znowu przyjaźń. Następnie gotowość do rozmów. c Oczy pierwszego Skrzelowca bezsprzecznie płonęły gniewem.

- Precz. Dalej. Odejdź.

Nie było wątpliwości. Wszelkie dalsze próby pokojowych dyskusji były bezcelowe.

Najwyraźniej nie chcieli go widzieć w pobliżu elektrowni.

W porządku, pomyślał. Niech będzie po waszemu.

Nigdy dotąd Skrzelowcy nie potraktowali go w ten sposób - lecz przypominać im teraz, że jest ich przyjacielem, lekarzem z wyspy, lub że jego ojciec bardzo im kiedyś pomógł, byłoby niebezpiecznym idiotyzmem. Jedno machnięcie płetwą mogłoby go wrzucić w wody zatoki ze złamanym kręgosłupem.

Wycofał się więc, pilnie ich obserwując, zdecydowany skoczyć do wody, gdyby zrobili jakiś groźny ruch w jego kierunku.

Jednak Skrzelowcy stali w miejscu, groźnym wzrokiem patrząc, jak wynosi się chyłkiem. Gdy powrócił na główną ścieżkę, odwrócili się i weszli do swojego budynku. To by było na tyle, pomyślał Lawler.

Ten dziwny afront dotknął go do żywego. Przez chwilę stał przy okalającej zatokę balustradzie, pozwalając, aby opadło z niego napięcie wywołane tym niesamowitym spotkaniem. Teraz widział aż nazbyt jasno, że jego wielki plan wynegocjowania układu pomiędzy ludźmi a Hydranami, uknuty tej nocy, był niczym więcej jak romantycznym nonsensem.

Wyparowywał ze świstem z umysłu Lawlera jak mgła, jaką był, przez moment śląc po skórze fale ciepła spowodowane zmieszaniem.

No cóż, wracajmy do domu i poczekajmy na rano, zdecydował.

Tuż za nim zgrzytliwy, basowy głos powiedział:

- Lawler?

Zaskoczony Lawler odwrócił się gwałtownie, z mocno bijącym sercem. Ukradkiem zerknął w tył, w szarzejącą ciemność. Ledwie dostrzegł postać niskiego, krępego mężczyzny z gęstą czupryną długich, przetłuszczonych włosów. Człowiek stał jakieś dziesięć czy dwanaście metrów dalej.

- Delagard? Czy to pan?

Krępy mężczyzna zrobił krok do przodu. Tak, to był Delagard, ten samozwańczy

przywódca wyspiarzy, który pociągał za wszystkie nitki. Co on, do diabła, tu robił, kręcąc się o tej porze?

Delagard zawsze wyglądał, jakby szykował jakiś podstęp, nawet jeśli w rzeczywistości niczego nie kombinował. Był niski, ale nie mały; jego krępe ciało po prostu zostało zbudowane tuż przy ziemi. Miał gruby kark i ciężkie, obwisłe ramiona. Nosił sięgającą kostek przepaskę, która odsłaniała szeroką, owłosioną pierś. Nawet w ciemności ten strój lśnił falami szkarłatu, turkusu i wściekłego różu. Delagard był najbogatszym człowiekiem w osadzie, cokolwiek by to znaczyło w świecie, gdzie pieniądze jako takie nie miały żadnego znaczenia, gdyż nie można ich było na nic wydać. Podobnie jak Lawler, Delagard urodził się na Hydros. Posiadał firmy na kilku różnych wyspach i dużo podróżował. Był o kilka lat starszy od Lawlera, mógł mieć około czterdziestu ośmiu, pięćdziesięciu lat.

- Dość wcześnie jest pan dziś na nogach, doktorze - powiedział Delagard.

- Zwykle wcześniej wstaję. Wie pan o tym. - Głos Lawlera był bardziej napięty niż zazwyczaj. - To dobra pora.

- Tak, jeśli ktoś chce być sam. - Delagard skinął głową w kierunku elektrowni.

- Sprawdza pan ich, nieprawdaż?

Lawler wzruszył ramionami. Prędzej udusiłby się własnymi rękami, zanim choć słowem napomknąłby Delagardowi o tym pretensjonalnym, heroicznym pomysle, przez który spędził bezsenną noc.

Delagard rzekł:

- Mówią, że elektrownia ruszy jutro.

- Słyszę to już od tygodnia.

- Nie, nie. Jutro już ją uruchomią. Nareszcie. Udało im się uzyskać niski poziom mocy, a dzisiaj podniosą ją do poziomu pełnej wydajności.

- Skąd pan wie?

- Wiem - odpowiedział Delagard. - Skrzelowcy nie lubią mnie, ale mówią mi o

wszystkim. Rozumie pan, w ramach wspólnych interesów. - Podeszedł do Lawlera, po czym śmiało i serdecznie poklepał balustradę wału ochronnego, jakby wyspa była jego królestwem, a balustrada berłem. - Nie spytał pan, dlaczego wstałem tak wcześnie.

- Nie, nie zapytałem.

- Szukam pana, oto dlaczego. Najpierw poszedłem do pana chaty, lecz tam pana nie zastałem. Spojrzałem w dół,

' na niższy taras, i dostrzegłem postać idącą ścieżką w tym kierunku. Domyśliłem się, że to może być pan, i przyszedłem sprawdzić, czy miałem rację.

Lawler uśmiechnął się kwaśno. Nic w głosie Delagarda nie wskazywało, że widział, co zaszło na cyplu przed elektrownią.

- Bardzo wcześnie, jak na wizytę u mnie, jeśli w sprawach zawodowych - powiedział

Lawler. - Również na wizytę towarzyską, jeśli o tym mowa. - Wskazał na horyzont. Wciąż świecił księżyc, jeszcze nie było widać oznak zbliżającego się ranka. Krzyż, lśniący jeszcze wyraźniej niż zwykle, pod nieobecność Sunrise tętnił i pulsował na tle intensywnej czerni nieba. - Zwykle nie zaczynam pracy przed świtem, jak pan wie, Nid.

- Szczególny problem - powiedział Delagard. - Nie cierpiący zwłoki. Najlepiej zająć się nim, gdy jest jeszcze ciemno.

- Czy to problem medyczny?

- Tak, problem medyczny.

- Pański?

- Tak. Ale nie ja jestem pacjentem.

- Nie rozumiem.

- Zrozumie pan. Proszę tylko pójść ze mną.

- Dokąd? - zapytał Lawler.

- Stocznia.

Co, do diabła? Tego ranka Delagard zachowywał się bardzo dziwnie. To musiało być coś ważnego.

- W porządku - rzekł Lawler. - W takim razie ruszajmy.

Delagard odwrócił się bez słowa i podążył ścieżką wzdłuż wewnętrznej strony wału, w kierunku stoczni. Lawler szedł za nim w milczeniu. W tym miejscu ścieżka okrążyła niewielki cypel, równoległy do tego, na którym stała elektrownia. Kiedy znaleźli się na cyplu, zobaczyli ją ponownie. Skrzelowcy wychodzili i wchodzili do budynku, niosąc mnóstwo sprzętu.

- Oślizgłe skurwysyny - mruknął Delagard. - Mam nadzieję, że ta ich elektrownia wybuchnie im prosto w pyski, kiedy ją uruchomią. Jeśli kiedykolwiek ją uruchomią.

Okrążyli cypel i weszli w małą zatoczkę, gdzie znajdowała się stocznia Delagarda.

Jak dotąd było to największe ludzkie przedsięwzięcie na Sorve, przy którym było zatrudnionych ponad tuzin ludzi. Statki Delagarda nieustannie krążyły między różnymi wyspami, z którymi prowadził interesy, przewożąc z miejsca na miejsce skromne towary produkowane w różnorodnych wiejskich fabryczkach obsługiwanych przez ludzi. Asortyment obejmował: haczyki wędkarskie, dłuta i pobijaki, butelki i słoje, części odzieży, papier i atrament, ręcznie kopiowane książki, gotową żywność i inne. Flota Delagarda była również głównym dystrybutorem metali i tworzyw sztucznych, chemikaliów oraz innych artykułów pierwszej potrzeby, produkowanych tak pracowicie na różnych wyspach. Co kilka lat Delagard dołączał do swego łańcucha handlowego kolejną wyspę. Od samego początku ludzkiej bytności na Hydros Delagardowie prowadzili tutaj interesy, ale Nid znacznie rozwinął to rodzinne

przedsięwzięcie.

- Tędy - powiedział Delagard.

Pasemko perłowego światła zorzy nagle przecięło wschodnią część nieba. Gwiazdy zbladły, a w miarę jak nadchodził dzień, maleńki księżyc na horyzoncie zaczął płowieć.

Zatoka przybierała na nowo swój poranny, szmaragdowy kolor. Lawler, idąc za Delagardem ścieżką w stronę stoczni, spojrział w wodę i dopiero teraz zobaczył wyraźnie ogromne fosforujące stwory, które krążyły tam przez całą noc. Teraz rozpoznał w nich jamochłony:

olbrzymie, spłaszczone, przypominające torby stworzenia o długości blisko stu metrów, które krążyły przez morza z szeroko otwartymi paszczami, pochłaniając wszystko, na co trafiły.

Raz w miesiącu ławica, licząca dziesięć do dwunastu sztuk, przybywała do zatoki Sorve i wyrzucała z siebie jeszcze żywą zawartość żołądków do wielkich koszy przygotowanych w tym celu przez Skrzelowców, którzy w wolnym czasie zajmowali się przebieraniem ich zawartości. Był to dla nich dobry układ, pomyślał Lawler - całe tony bezpłatnej żywności.

Trudno było jednak zgadnąć, jakie korzyści przynosił jamochłonom.

Delagard powiedział, chichocząc:

- Oto moja konkurencja. Gdybym tylko” mógł pozbyć się tych cholernych jamochłonów, sam zwoziłbym tutaj wszelki towar i sprzedawał go Skrzelowcom.

- A czym by panu płacili?

- Tymi samymi rzeczami, którymi płacą teraz - odparł Delagard, krzywiąc się. -

Pożyteczne metale. Kadm, kobalt, miedź, cyna, arsen, jod, wszystko, z czego zrobiony jest ten przeklęty ocean, lecz w ilościach znacznie większych niż te okruchy, jakie mi teraz wydzielają lub jakie jesteśmy w stanie sami uzyskać. Jeśli jakoś pozbędziemy się jamochłonów, ja będę zaopatrywał Skrzelowców w żarcie, a oni w zamian zarzucą mnie cennymi towarami. Całkiem miły układ, niech mi będzie wolno powiedzieć. W ciągu pięciu lat



uzależniłbym ich od siebie całkowicie pod względem dostaw żywności. Można na tym zrobić fortunę.

- Myślałem, że już jest pan wart fortunę. Ile jeszcze trzeba?

- Pan nie rozumie, prawda?

- Chyba nie - powiedział Lawler. - Jestem tylko lekarzem, nie biznesmenem. Gdzie jest ten pana pacjent?

- Spokojnie. Prowadzę pana tak szybko, jak potrafię, doktorze. - Szybkim gestem ręki

Delagard wskazał w stronę morza. - Widzi pan tam w dole, przy Molo Jolly'ego? Tam gdzie ta mała łódka rybacka? Tam właśnie idziemy.

Molo Jolly'ego przypominało palec z gnijącego drewna, sterczący na długość trzydziestu metrów poza wał ochronny, w najbardziej odległym miejscu stoczni. Choć wyblakły i wypaczony, poobijany przyplływami i nadgryziony przez komiki oraz tarniki, stanowił ciągle sędziwy twór minionej epoki. Skonstruował go szalony stary żeglarz, od dawna nieżyjący, niesamowity facet, który twierdził, że samotnie przewędrował cały świat dookoła - aż po Morze Puste, gdzie nie zapuściłby się nikt będący przy zdrowych zmysłach, aż po granice Obliczy Wód, ogromnego, zakazanego lądu, wielkiej planetarnej tajemnicy, do której nawet Skrzelowcy nie wazyli się zbliżać. Lawler pamiętał, jak jako mały chłopiec siadywał na końcu Mola Jolly'ego słuchając starego człowieka snującego swe dzikie, barwne opowieści o nieprawdopodobnych, cudownych przygodach. Było to jeszcze zanim Delagard zbudował tutaj stocznię. Nie wiadomo dlaczego Delagard zachował to zrujnowane molo. Może też lubił słuchać niestworzonych historii starca.

Jedna z łódek rybackich Delagarda była przywiązana do mola i podskakiwała na falach zatoki. Tuż obok miejsca, gdzie była przycumowana, na molo znajdowała się szopa, dość stara na to, by być domem Jolly'ego, którym jednak nie była. Zatrzymując się przed nią

Delagard spojrział ostro w oczy Lawlera i burknął miękko, świszczącym głosem:

- Rozumie pan, doktorze, że cokolwiek ujrzy pan w środku, musi pozostać absolutną tajemnicą.

. - Niech mi pan oszczędzi melodramatów, Nid.

- Mówię poważnie. Musi mi pan obiecać, że nie puści pan pary z ust. Tu chodzi nie tylko o mój tyłek, jeśli rzecz wyjdzie na jaw. To może załatwić nas wszystkich.

- Jeśli mi pan nie ufa, proszę się zwrócić do innego lekarza. Jednak trudno będzie go znaleźć na tej wyspie.

Delagard obrzucił go ponurym spojrzeniem. Uśmiechnął się chłodno.

- W porządku. Jak pan chce. Proszę wejść.

Pchnięciem otworzył drzwi szopy. Wewnątrz było całkiem ciemno i bardzo wilgotno.

Lawler poczuł ostry, słony zapach morza, mocny i skoncentrowany, jakby butelkowany tutaj przez Delagarda, oraz coś jeszcze; jakąś kwaśną i gryzącą, odpychającą woń, której nie potrafił rozpoznać. Słyszał lekkie chrząknięcia, powolne i chrapliwe, jakby westchnienia wyklętych. Delagard tuż przy drzwiach gmerał przy czymś, co wydawało chropowaty i wysoki dźwięk. Po chwili zapłonęła zapalka i Lawler zobaczył, że jego towarzysz trzyma w ręku wiązkę wodorostów związanych z jednej strony, tak że tworzyły pochodnię, którą właśnie zapalał. Nikłe, kopzące światło rozpląywało się jak pomarańczowa plama po szopie.

- Są tutaj - powiedział Delagard.

Środek szopy zajmował niezgrabny, prostokątny pojemnik magazynowy z

uszczelnionego smołą koszyka, długości około trzech metrów, a szerokości dwóch,

napełniony do krawędzi wodą morską. Lawler podszedł do niego i zajrzał. Wewnątrz jeden obok drugiego, stłoczone jak ryby w konserwie, leżały trzy ssaki morskie znane pod nazwą nurków. Ich mocne płetwy były powykrzywiane pod niemożliwymi kątami, a uniesione nad

powierzchnię wody głowy odrzucone w tył w nienaturalny sposób. Ten dziwny, cierpki zapach, który Lawler poczuł przy wejściu, pochodził od nich. Teraz nie był taki nieprzyjemny. Straszne, mrukliwe dźwięki wydawał nurek z lewej strony. Były to odgłosy przejmującego bólu.

- O gówno! - powiedział spokojnie Lawler. Teraz zaczął rozumieć gniew

Skrzelowców. Ich płonące oczy, ich groźny pomruk. Poczuł nagły przyływ gniewu, który spowodował przelotny skurecz mięśni policzka. - Gówno!

Z niesmakiem i prawie z nienawiścią spojrzął na towarzyszącego mu mężczyznę.

- Delagard, co pan tu narozrabiał?

- Niech pan posłucha, nie po to pana tutaj przyprowadziłem, aby mógł pan mnie objeżdżać...

Lawler powoli potrząsnął głową.

- Coś ty zrobił, człowieku? - powtórzył, patrząc prosto w mrugające nagle oczy

Delagarda. - Coś ty, kurwa, narobił?

Chodziło o absorbcję azotu, co do tego Lawler nie miał wątpliwości. Przerazająco powykręcane ciała zwierząt stanowiły wystarczająco wyraźny sygnał. Delagard musiał zatrudnić je gdzieś w głębinach otwartego morza, w których trzymał je tak długo, że ich stawy, mięśnie i tkanka tłuszczowa wchłonęły ogromne ilości azotu. Zapewne później, choć wydawało się to nieprawdopodobne, wróciły na powierzchnię zbyt szybko i nie miały czasu na dekompresję. Azot, rozszerzając się w miarę spadku ciśnienia, w postaci śmiercionośnych banieczek gazu przedostał się do układu krwionośnego i stawów.

- Przynieśliśmy je tutaj, jak tylko zrozumieliśmy, że są kłopoty - powiedział Delagard.

- Mieliśmy nadzieję, że może pan mógłby im jakoś pomóc. Sądziłem, że trzeba trzymać je w wodzie, że muszą przebywać pod wodą, więc napełniliśmy ten pojemnik i...

- Zamknij się - powiedział Lawler.

- Chcę, żeby pan wiedział, że zrobiliśmy wszystko...

- Zamknij się. Proszę. Po prostu zamknij się. Lawler zdjął przepaskę z wodnej sałaty, którą miał na

sobie, i wdrapał się do zbiornika. Woda przelała się z pluskiem, gdy wcisnął się między nurki. Niewiele jednak mógł dla nich zrobić. Ten w środku był już martwy: Lawler przyłożył dłonie do muskularnych ramion stworzenia i poczuł, że zaczęły już sztywnieć. Dwa pozostałe były żywe - tym gorzej dla nich; musiały potwornie cierpieć, jeśli w ogóle były przytomne. Zazwyczaj gładkie ciała nurków o kształcie torpedy, dłuższe niż ciało człowieka, pokrywały dziwaczne guzy, każdy mięsień napręzał się, a ich lśniące, złociste skóry, normalnie gładkie i miękkie jak satyna, teraz były szorstkie i pełne niewielkich grudek.

Bursztynowe oczy zasnuwała mgła. Wystające dolne szczęki zwisały bezwładnie. Szara piana pokrywała ich pyski. Ten z lewej ciągle jeszcze wydawał miarowe jęki co trzydzieści sekund,

w przerażający sposób wydobywając dźwięki z głębi trzewi.

- Czy może je pan jakoś wyleczyć? - zapytał Delagard. - Czy może pan dla nich cokolwiek zrobić? Wiem, że może pan tego dokonać, doktorze. Wiem, że pan może. - W tonie głosu Delagarda był jakiś nagły i przymilny dźwięk, którego Lawler nigdy przedtem nie słyszał. Był przyzwyczajony do tego, że chorzy zwykli przypisywać lekarzowi boską moc i prosić go o cuda. Tylko dlaczego Delagardowi zależało na tych nurkach? O co tutaj naprawdę chodziło? Przecież nie mógł czuć się winny. Nie Delagard.

Lawler odpowiedział chłodno:

- Nie jestem lekarzem od nurków, umiem jedynie leczyć ludzi. A i w tej dziedzinie mógłbym być o niebo lepszy.

- Niech pan spróbuje, niech pan coś zrobi, proszę.

- Jeden z nich już nie żyje. Nigdy nie uczono mnie, jak wskrzeszać zmarłych. Chce pan cudu. Niech pan wezwie swego przyjaciela duchownego, Quillana.

- Chryste! - jęknął Delagard.

- Cuda to jego specjalność, nie moja.

- Chryste. Chryste.

Lawler ostrożnie poszukał pulsu przy krtani nurków. Tak, jeszcze biją z przyzwyczajenia, wolno, nierówno. Czy to oznacza, że są umierające? Nie umiał odpowiedzieć. Jaki, u licha, był normalny puls nurka? Skąd miał to wiedzieć? Wszystko, co można zrobić, pomyślał, to wypuścić dwa pozostałe przy życiu nurki z powrotem do morza. Umieścić je na takiej głębokości, na jakiej były poprzednio, a potem podnieść wolno na powierzchnię, dając im tym razem wystarczająco dużo czasu na pozbycie się nadmiaru azotu. Ale to nie było możliwe. Poza tym prawdopodobnie było już za późno.

W udręce wykonywał bezskuteczne, prawie mistyczne ruchy dłońmi wzdłuż

poskręcanych ciał, jak gdyby mógł usunąć bańki azotu samym tylko głaskaniem.

- Jak głęboko zeszły? - zapytał nie podnosząc oczu.

- Nie jesteśmy pewni; czterysta, może czterysta pięćdziesiąt metrów. Dno w tym miejscu było nieregularne, a przy niespokojnym morzu nie udało nam się zmierzyć dokładnie długości liny.

Na samo dno. Szaleństwo.

- Czego szukaliście?

- Samorodków manganu - odrzekł Delagard. - Miał tam być jeszcze molibden, a może i antymon. Wyciągnęliśmy łyżką całą cholerną menażerię próbek minerałów.

- Więc trzeba było użyć łyżki do wydobycia swojego manganu - powiedział Lawler ze złością. - A nie ich.

Poczuł, jak nurek z prawej strony plusnął, zadrżał i umarł w jego rękach. Ten z lewej ciągle jeszcze wił się i jęczał.

Zimna furia ogarnęła Lawlera, podżegana zarówno gniewem, jak i pogardą. To było morderstwo, głupie, bezmyślne morderstwo. Nurki były zwierzętami inteligentnymi - nie tak inteligentnymi jak Skrzelowcy, ale z pewnością bardziej niż psy, konie czy jakiegokolwiek inne zwierzęta ze starej Ziemi, o których słyszał w dzieciństwie. Morza Hydros roiły się od stworzeń, które można było uważać za inteligentne; jedną z zadziwiających cech tego świata było to, że ewoluowały nie tylko pojedyncze gatunki, lecz najwidoczniej całe ich tuziny. Nurki miały swój język, swoje imiona oraz pewien rodzaj struktury plemiennej. Jednakże, w odróżnieniu od wszystkich innych inteligentnych form życia na Hydros, miały pewną zgubną słabość: były łagodne, a nawet przyjazne w stosunku do istot ludzkich. W wodzie były swawolnymi kompanami. Można je było skłonić do oddawania przysług. A nawet nakłonić do pracy. Jak widać, można je było nawet zaharować na śmierć.

Lawler desperacko masował ostatniego, pozostałego przy życiu nurka, wciąż żywiąc bezzasadną nadzieję, że jakoś zdoła wypchnąć azot z jego tkanek. Przez moment oczy stworzenia ożywiły się i w swoim szczekliwym, gardłowym języku nurek wypowiedział pięć czy sześć słów. Lawler nie znał jego języka, ale znaczenie tych słów dość łatwo było odgadnąć: ból, smutek, żal, utrata, rozpacz. Potem jego bursztynowe oczy zaszklily się ponownie i nurek umilkł.

Masując go, Lawler rzekł:

- Nurki są przystosowane do życia w głębi oceanów. Pozostawione sobie są wystarczająco bystre, aby wiedzieć, że nie wolno wznosić się z jednej strefy ciśnienia do drugiej zbyt szybko, ze względu na gospodarkę gazami. Każde stworzenie morskie to wie, nawet najgłupsze. Nawet gąbka wiedziałaby o tym, a co dopiero nurek. Jak to się stało, że ta trójka wypłynęła tak szybko?

- Uwięźli w kołowrocie - odparł żałośnie Delagard. - Były w sieci, o czym nie wiedzieliśmy, póki nie wypłynęły. Czy jest cokolwiek, co mógłby pan zrobić, aby je uratować, doktorze?

- Ten z tamtej strony też nie żyje. Temu tutaj pozostało może pięć minut. Jedyne, co mogę zrobić, to skrócić mu kark, żeby skrócić jego męki.

- Jezus.

- Taak. Jezus. Co za gówniany interes.

Wystarczył moment, jeden szybki trzask. Lawler znieruchomiał na chwilę z ramionami pochylonymi do przodu i westchnął z ulgą, gdy nurek zmarł. Następnie wyszedł ze zbiornika, otrząsnął się i owinął wokół pasa zawój z wodnej sałaty. To, czego teraz potrzebował, i to bardzo, to porządny łyk nalewki z uśmierzychy; różowych kropli, które przynosiły mu pewien rodzaj ukojenia. I kąpiel po tak długim przebywaniu w zbiorniku

razem z umierającymi zwierzętami. Jednak już wykorzystał swój przydział kąpielowy na ten tydzień. Będzie musiał zadowolić się pływaniem, trochę później w ciągu dnia. Chociaż, jak podejrzewał, to nie wystarczy, aby znów poczuć się czystym po tym, co widział tutaj dzisiejszego ranka.

Spojrzał ostro na Delegarda.

- To nie są pierwsze nurki, którym to zrobiłeś, prawda?

Krępy mężczyzna nie spojrzał mu w oczy.

- Nie.

- Nie masz rozumu? Wiem, że nie ma pan sumienia, ale mógłby pan mieć zdrowy rozsądek. Co się stało z pozostałymi?

- Zmarły.

- Tak sędzę. Co pan zrobił z ciałami?

- Przerobiłem je na karmę.

- Cudownie. Ile?

- To było jakiś czas temu. Cztery, pięć - nie jestem pewien.

- To prawdopodobnie znaczy, że dziesięć. Czy Skrzelowcy dowiedzieli się o tym?

“Tak” Delagarda było najcichszym dźwiękiem, jaki człowiek mógł z siebie wydać.

- Tak - przedrzeźnił go Lawler. - Oczywiście dowiedzieli się. Skrzelowcy zawsze wiedzą, gdy źle obchodzimy się z miejscową fauną. I cóż powiedzieli, gdy dowiedzieli się o tym?

- Ostrzegli mnie - powiedział trochę głośniejszym, markotnym głosem niegrzecznego ucznia.

Oto nadchodzi, pomyślał Lawler, nareszcie dochodzimy do sedna.

- Ostrzegli, że co? - zapytał.



- Abym nigdy więcej nie używał nurków w moich operacjach.

- Jednak, jak widać, nie posłuchał pan ostrzeżenia. Dlaczego do diabła, znowu pan to zrobił?

- Zmieniliśmy metodę. Nie sądziliśmy, że stanie się im jakakolwiek krzywda. - Część energii wróciła do głosu Delagarda. - Niech pan posłucha, Lawler, czy pan wie, jak cenne mogły być te samorodki minerałów? Mogły one zrewolucjonizować całą naszą egzystencję na tej pieprzonej planecie! Skąd miałem wiedzieć, że nurki wpłyną do tej cholernej sieci? Jak mogłem przewidzieć, że pozostaną w niej po tym, jak zasygnalizowaliśmy, że ją wyciągamy?

- One nie pozostały w sieci. Musiały się w niej zaplątać. Inteligentne zwierzęta nurkujące nie pozwalają sobie, tak po prostu, na pozostanie w sieci, która podnosi się szybko z głębokości czterystu metrów.

Delagard spojrział wyzywająco.

- Ale tak było. Niezależnie od przyczyny.

Potem spokojnie i przewracając oczami poczęstował Lawlera dla odmiany spojrzeniem przeznaczonym dla cudotwórcy. Wciąż ma nadzieję, nawet teraz?

- Nic nie można było zrobić, aby je uratować, Lawler? Zupełnie nic?

- Ależ było. Mogłem zrobić wiele różnych rzeczy. Po prostu nie byłem w nastroju.

- Przepraszam. To było głupie. - Delagard wyglądał na zbitego z tropu. Ochryplym głosem powiedział: - Wiem, że zrobił pan wszystko, co było można. Jeśli chciałby pan, abym przysłał coś do pańskiego domu jako zapłatę, może skrzynkę brandy czy też tygodniowy zapas steków...

- Brandy - powiedział Lawler. - To najlepszy pomysł. Tak abym mógł się porządnie upić i zapomnieć o tym, co tutaj dzisiaj widziałem. - Na moment zamknął oczy. - Skrzelowcy wiedzą o tym, że ma pan tutaj trzy umierające nurki przez całą noc.

- Wiedzą? Skąd pan może o tym wiedzieć?

- Ponieważ natknąłem się na kilku z nich spacerując nad brzegiem morza i omal nie odgryźli mi głowy. Pienili się wręcz z wściekłości. Nie widział pan, jak mnie odpędzili?

Ze spopieliała nagle twarzą Delagard potrząsnął przecząco głową.

- Tak, tak właśnie było. A ja nie zrobiłem nic złego poza tym, że podszedłem może zbyt blisko do elektrowni. Jednak nigdy przedtem nie sugerowali, że jest to zabronione. Tak więc to musiało być przez te nurki.

- Tak pan myśli?

- Cóż innego?

- W takim razie niech pan usiądzie. Musimy porozmawiać, doktorze.

- Nie teraz.

- Niech pan mnie posłucha!

- Nie chcę słuchać, rozumie pan? Nie mogę sterczeć tutaj ani chwili dłużej. Mam inne rzeczy do zrobienia. Być może ludzie czekają na mnie w domu. Do diabła, nie zjadłem nawet śniadania.

Delagard wyciągnął doń rękę, ale Lawler odtrącił ją. Nagle gorąca wilgoć powietrza szopy, zabarwiona teraz słodkawym odorem rozkładających się ciał, przyprawiła go o mdłości. Odczuł zawroty głowy. Nawet lekarz ma swoje granice wytrzymałości. Ominął patrzącego nań z otwartymi ustami Delagarda i wyszedł na zewnątrz. Tuż przy drzwiach zatoczył się, zamknął oczy i odetchnął głęboko, nasłuchując niezadowolonego pomruku swego pustego żołądka oraz skrzypienia mola pod stopami, dopóki mdłości nie ustały. Splunął. Ślina była gorzka i zielonkawa. Spojrzał na nią chmurnie. Jezu. Co za początek dnia. Tymczasem nadszedł brzask, w pełni swego blasku. Kiedy Sorve znajdowała się tak blisko równika, słońce prędko pojawiało się rankiem nad horyzontem i równie nagle znikowało

za nim o zmroku. Ponadto dzisiaj niebo było niezwykle piękne. Jaskrawe, różowe smugi, przeplecione z plamami pomarańcza i turkusu, rozbryzgiwały się po sklepieniu nieba.

Wyglądało to prawie jak sarong Delagarda, pomyślał Lawler. Uspokoił się szybko, jak tylko znalazł się na zewnątrz chaty i odetchnął świeżym, morskim powietrzem, teraz jednak poczuł nową falę gniewu kipiącą w nim i wywołującą niezdrowy rezonans w jego wnętrznościach, więc odwrócił wzrok w dół, na stopy, znów starając się oddychać głęboko. Czego potrzebował, to, powiedział sobie, dostać się do domu. Dom, śniadanie i być może kropelka lub dwie nalewki z uśmierzychy. A potem powrót do codziennej rutyny.

Zaczął iść w górę zbocza.

W głębi wyspy ludzie byli już na nogach, kręcili się tu i tam.

Nikt tutaj nie spał długo po wschodzie słońca. Noc była dla snu, a dzień do pracy.

Przemierzając wyspę w drodze powrotnej do domu, by czekać na pojawienie się pierwszej tury prawdziwie cierpiących oraz chronicznych utyskiwaczy, Lawler spotkał i pozdrowił znaczny procent całej ludzkiej populacji wyspy. Tutaj, na węższym końcu, gdzie mieszkali ludzie, wszyscy bez przerwy objali się o siebie.

Większość tych, którym kiwał na powitanie idąc łagodnie wznoszącą się, twardą, jaskrawożółtą, wyplataną ścieżką, znał od dziesiątków lat. Cała populacja Sorve zrodziła się na Hydros, z czego ponad połowa, podobnie jak on sam, urodziła się i wychowała tutaj, na tej wyspie. Tak więc przeważnie nie byli to ludzie, którzy postanowili spędzić całe swe życie na tej obcej bańce wodnej, lecz żyli tutaj, ponieważ nie dano im żadnego wyboru. W momencie urodzenia loteria życia po prostu wręczyła im bilet na Hydros, a raz znalazłszy się tutaj, nie można było się stąd wydostać. Nie było tu lotnisk międzyplanetarnych, a opuścić to miejsce można było tylko umierając. Urodzenie się tutaj przypominało wyrok dożywocia. To dziwne, że w galaktyce pełnej nadających się do zamieszkania i zamieszkałych światów nie miało się

żadnego wyboru co do miejsca, w którym chciałoby się żyć. Lecz byli też inni, którzy przybyli wpadając tutaj z zewnątrz za pomocą kapsuły, ci, którzy mieli wybór, którzy mogli udać się w dowolne miejsce świata i z wyboru przybyli tu, wiedząc, że nie ma drogi odwrotu. To było jeszcze dziwniejsze.

Pierwszym, którego spotkał, był Dag Tharp, szef radia dorabiający jako dentysta i czasami pomagający Lawlerowi jako anestezjolog, mały, kanciasty człowieczek o czerwonej twarzy i słabowitym wyglądzie, sękatej szyi i wielkim, haczykowatym nosie, wystającym spomiędzy małych oczu, oraz prawie pozbawionych mięśni ustach. Później nadszedł Sweyner, wytwórca narzędzi i szkła, nieduży, starszy mężczyzna, guzłowaty i zdeformowany, oraz jego guzłowata i zdeformowana żona, która wyglądała jak jego siostra bliźniaczka. Niektórzy z nowych osadników podejrzewali nawet, że jest nią naprawdę, lecz Lawler wiedział lepiej. Żona Sweynera była kuzynką Lawlera w drugim pokoleniu, a Sweyner nie był żadnym krewnym - ani jego, ani jej. Sweynerowie, podobnie jak Tharp, urodzili się tutaj i byli tubylcami na Sorve. Zwyczajowo uważano, że nie należy poślubić kobiety z tej samej wyspy, tak jak to zrobił Sweyner, i właśnie to oraz ich zewnętrzne podobieństwo dawało powody do plotek.

Lawler znajdował się teraz blisko wysokiego grzbietu wyspy, na głównym tarasie. Prowadziła tutaj szeroka, drewniana rampa. Na Sorve nie stosowano schodów: przysadziste, niesprawne nogi Skrzelowców nie nadawały się do pokonywania schodów. Lawler szybkim krokiem przemierzył rampę i wkroczył na taras, płaski obszar sztywnych, twardych, ciasno powiązanych włókien wodnego bambus-a o szerokości pięćdziesięciu metrów, laminowanych i lakierowanych sokiem z seppeltanu, wspartych na ciężkich, czarnych kratownicach ze zdrewniałych wodorostów. Przez środek przechodziła długa i wąska główna droga wyspy. Idąc w lewo można było dojść do części zamieszkałej przez Skrzelowców, a idąc w prawo

dochodziło się do slumsów zajmowanych przez ludzi. Lawler poszedł w prawo.

- Dzień dobry, panie doktorze - zamruczał Natim Gharkid w odległości około dwudziestu kroków w dół drogi, odsuwając się, aby przepuścić Lawlera.

Gharkid przybył na Sorve przed czterema lub pięcioma laty z jakiejś innej wyspy - łagodny człowiek o ciemnej, gładkiej skórze, któremu nie udało się jeszcze w żaden znaczący sposób dopasować do życia w społeczności. Jako farmer uprawiający glony spędzał całe dni zbierając morskie wodorosty na płycznach. To wszystko, czym się zajmował. Większość ludzi na Hydros miała różnorakie zajęcia w tak małej grupie konieczne było opanowanie kilku umiejętności. Jednak Gharkid nie wydawał się tym przejmować. Lawler pełnił nie tylko funkcję lekarza wyspy, ale również aptekarza, meteorologa, grabarza i - jak najwidoczniej sądził Delagard - weterynarza. Tym czasem Gharkid był tylko plantatorem glonów i nikiem więcej. Lawler uważał, że prawdopodobnie pochodził on z Hydros, ale nie był tego pewien, ten człowiek bowiem bardzo rzadko mówił coś o sobie. Gharkid był najskromniejszym ze znanych Lawlerowi ludzi; milczący, cierpliwy i pracowity, miły, lecz nieodgadniony - nieokreślona, cicha obecność i niewiele więcej.

Mijając się wymienili zdawkowe uśmiechy.

Potem nadeszły rzędem trzy kobiety, wszystkie w luźnych zielonych szatach: siostry Halla, Mariam i Thecla, które parę lat wcześniej założyły pewien rodzaj klasztoru na samym końcu wyspy, za popielnię, w której gromadzono wszelkie rodzaje kości, przetwarzane potem na wapno, a następnie na mydło, atrament, farby i chemikalia o stu rozmaitych przeznaczeniach. Zazwyczaj nikt prócz popielarzy tam nie chodził; siostry, mieszkając za składem kości, były bezpieczne od wszelkiej ingerencji. Jednakże był to dziwny wybór. Od założenia klasztoru siostry miały tak mało do czynienia z mężczyznami, jak tylko to było możliwe. Dotąd było ich już jedenaście, prawie jedna trzecia wszystkich kobiet na Sorve:

ciekawa ewolucja, unikalna w krótkiej historii wyspy. Delagard snuł sprosne domysły na temat tego, co tam się działo. Bardzo prawdopodobne, że miał rację.

- Siostrze Halla - powiedział Lawler, pozdrawiając je. - Siostrze Mariam. Siostrze Thecla.

Spojrzały na niego, jak gdyby powiedział coś plugawego. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Główny zbiornik znajdował się tuż ponad nim, kryty, okrągły pojemnik o wysokości trzech i średnicy pięćdziesięciu metrów, skonstruowany z polakierowanych kołków bambusa morskiego, związanych pomarańczowymi obręczami z liści glonów i uszczelniony wewnątrz czerwoną smołą, wyprodukowaną z ogórków wodnych. Ze zbiornika wychodził skomplikowany labirynt drewnianych rur biegnących w kierunku chat, znajdujących się tuż za nim. Ten zbiornik był najprawdopodobniej najważniejszą konstrukcją w osadzie.

Zbudowali go pierwsi ludzie, którzy tutaj dotarli, jakieś pięć generacji wstecz, na początku dwudziestego czwartego wieku, kiedy Hydros była ciągle jeszcze używana jako karna kolonia i wymagała stałego utrzymania, łatania, uszczelniania i dociskania bez końca. Przez ostatnie dziesięć lat mówiło się o wymianie zbiornika na coś bardziej eleganckiego, lecz jak dotąd nic nie zrobiono i Lawler wątpił, żeby w przyszłości coś się zmieniło. Zbiornik dość dobrze służył swoim celom.

Podchodząc do wielkiego, drewnianego zbiornika Lawler zobaczył duchownego, który niedawno przybył na Hydros, ojca Quillana z Kościoła Wszystkich Świątów, wychylającego się wolno zza niego i robiącego coś nadzwyczaj dziwnego. Co każde dziesięć kroków Quillan zatrzymywał się, obracał twarzą do ściany zbiornika i wyciągał ramiona, jak gdyby chciał go objąć, z namysłem przyciskając końce palców do ściany tu i tam, jakby poszukując przecieków.

- Obawia się pan, że ściana trzaśnie? - zawołał do niego Lawler. Duchowny był przybyszem spoza tego świata. Na Hydros przebywał niecały rok, a na Sorve pojawił się kilka tygodni wcześniej. - Nie ma potrzeby się o to martwić.

Quillan szybko obejrzał się, wyraźnie zmieszany. Odjął ręce od ściany zbiornika.

- Dzień dobry, Lawler.

Duchowny był krępy męczyzną o surowym wyglądzie, łysiejącym i gładko wygolonym, który mógł równie dobrze mieć czterdzieści pięć, co sześćdziesiąt lat. Był szczupły, jak gdyby wypocił z siebie całe ciało, miał długą, owalną twarz i bardzo kościsty nos. Oczy, głęboko osadzone, miały kolor chłodnego, jasnego błękitu, skóra zaś była bardzo blada i wyglądała na wybieloną, choć jednostajna dieta, składająca się z produktów pochodzenia morskiego, którymi żywili się ładzie na Hydros, zaczynała nadawać mu charakterystyczną, śniadą cerę o morskim odcieniu, którą posiadali starzy osadnicy: można by powiedzieć, że glony wydostawały się przez skórę.

Lawler powiedział:

- Zbiornik jest niezwykle mocny. Proszę mi wierzyć, ojcze. Spędziłem tutaj całe swoje życie i ani razu zbiornik nie poprzerywał ścian. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

Quillan zaśmiał się nieśmiało.

- W zasadzie nie o to mi chodziło. Tak naprawdę chciałem objąć jego siłę.

- Rozumiem.

- Odczuć całą zamkniętą w nim moc. Doświadczyć wielkiej, skrępowanej siły: tony wody zatrzymane niczym więcej jak tylko ludzką wolą i zdecydowaniem.

- A także bambusem morskim i obręczami, ojcze. Nie wspominając o łasce boskiej.

- No tak - powiedział Quillan.

Bardzo szczególne - obejmować zbiornik, aby doświadczyć jego siły. Jednak Quillan

zawsze zachowywał się równie dziwacznie. Wydawało się, że był w tym człowieku jakiś desperacki głód; głód łaski, litości, poddania się czemuś większemu niż on sam. Być może głód samej wiary. Lawlerowi wydawało się, że człowiek, który uważał się za duchownego, nie powinien tak bardzo potrzebować ducha.

Powiedział:

- Wie pan, że zaprojektował go mój prapradziadek, Harry Lawler, jeden z Założycieli?

Jak mówił mój dziadek, Harry był w stanie zrobić wszystko, do czego przyłożył ręce. Wyciąć wyrostek robaczkowy, przeprowadzić statek od wyspy do wyspy, zaprojektować zbiornik... -

Lawler urwał, po czym dodał: - Zesłano go tutaj za zbrodnię, a ściślej mówiąc, za zabójstwo.

- Nie wiedziałem. A zatem pańska rodzina zawsze mieszkała na Sorve?

- Od początku. Urodziłem się tutaj. Dokładnie sto osiemdziesiąt metrów od miejsca,

gdzie teraz stoimy. - Lawler czule klepnął ścianę zbiornika. - Dobry, stary Harry. Bez tego mielibyśmy kłopoty. Widzi pan, jak suchy jest nasz klimat.

- Zaczynam się przekonywać - powiedział duchowny. - Czy tutaj nigdy nie pada deszcz?

- W pewnych porach roku - odrzekł Lawler. - Ale to nie jest jedna z tych pór. Nie zobaczy pan tutaj deszczu przez kolejne dziewięć, dziesięć miesięcy. Oto dlaczego postaraliśmy się, aby nasze zbiorniki nie przepuszczały wody.

Na Sorve woda występowała w niedostatecznej ilości: przynajmniej ta woda, której mogli używać ludzie. Przez większą część roku wyspa podróżowała przez suche obszary.

Odpowiadały za to nieubłagane prądy morskie. Pływające wyspy Hydros, chociaż dryfowały swobodnie po morzu, bywały jednakże więzione przez całe dekady w ściśle ograniczonych pasmach długości geograficznej przez prądy oceaniczne, rwące jak wielkie rzeki. Co roku każda z wysp pokonywała sztywno wytyczoną trasę wędrówki od jednego bieguna do



drugiego i z powrotem: każdy biegun otoczony był wirem wartkiej wody, która chwyciła przyplływające wyspy, okręcała je i wysyłała z powrotem na przeciwny koniec planety. Choć wyspy przepływały przez każde pasmo szerokości geograficznej w swej dorocznej wędrówce z pomocy na południe, fluktuacje ze wschodu na zachód były minimalne z powodu siły przemożnych prądów. Jeżeli Lawler dobrze pamiętał, to Sorve w swej me kończącej się podróży z góry na dół świata, zawsze pozostawała pomiędzy czterdziestym i sześćdziesiątym stopniem zachodniej długości geograficznej. Te obszary wydawały się strefą suszy. Deszcz padał rzadko, z wyjątkiem stref polarnych, gdzie z zasady napotykali obfite opady. Te prawie nieustanne susze nie stanowiły problemu dla Skrzelowców, którzy byli przystosowani do picia wody morskiej. Jednak ludziom bardzo utrudniały życie. Racjonowanie wody było codziennością «a Sorve. Lawler pamiętał tylko dwa takie lata - jedno, gdy miał dwanaście lat, i drugie, kiedy ukończył dwadzieścia, w czarnym roku śmierci jego ojca - kiedy kapryśne deszcze padały przez całe tygodnie bez przerwy, tak że zbiorniki przelały się i zaniechano racjonowania. Za każdym razem była to interesująca nowość przez pierwszy tydzień, a potem nie kończące się ulewy, szare dni i obrzydliwy zapach pleśni stały się nudne. Lawler wolał suszę, przynajmniej był do niej przyzwyczajony.

Quillan powiedział:

- To miejsce mnie fascynuje. Jest to najdziwniejszy świat, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Przypuszczam, że mógłbym powiedzieć to samo.

- Czy dużo pan podróżował? Mam na myśli planetę Hydros.

- Byłem raz na wyspie Thibeire - odparł Lawler.

- Przyplłynęła bardzo blisko, weszła prawie w zatokę i całą grupą popłynęliśmy na nią

łódką na cały dzień. Miałem wtedy piętnaście lat. To jedyny raz, kiedy byłem gdzieś indziej. -

Rzucił Quillanowi ostrożne spojrzenie.

- Tymczasem, o ile wiem, pan jest prawdziwym podróżnikiem. Ludzie mówią, że w swoim czasie zwiedził pan spory kawałek galaktyki.

- Kawałek - powiedział Quillan. - Niezbyt duży. W sumie byłem na siedmiu światach. Ośmiu włącznie z tym.

- To o siedem więcej, niż ja kiedykolwiek zobaczę.

- Jednak teraz dotarłem do końca drogi.

- Tak - odpowiedział Lawler. - Z pewnością. Przybysze z innych światów pojawiają się na Hydros

to coś, czego Lawler nie mógł pojąć. Dlaczego oni to robili? Pozwolić się wpełznąć do kapsuły na Sunrise, oddalonej tylko o jakiś marny tuzin milionów kilometrów, a następnie wrzucić na orbitę lądującą, która wywali cię do morza w pobliżu jednej z pływających wysp - wiedząc, że już nigdy nie będziesz mógł opuścić Hydros? Od czasu kiedy Skrzelowcy odmówili poparcia dla budowy portu kosmicznego na Hydros, przybycie tutaj było dosłownie podróżą w jedną stronę, co wszyscy dobrze rozumieli. A jednak wciąż przybywali - rzadko, lecz stale wybierając na zawsze życie wyrzutka na bezbrzeżnym oceanie, na świecie bez drzew czy kwiatów, ptaków, insektów i zielonych łąk, bez jakichkolwiek zwierząt futerkowych czy kopytnych pozbawieni ułatwień, wygod czy jakichkolwiek dobrodziejstw współczesnej technologii, unosząc się na powierzchni nieustannych przyływów, dryfując od bieguna do bieguna i powrotem na pokładzie wysp uplecionych jak koszyki, na świecie odpowiednim jedynie dla stworzeń wyposażonych w płetwy. Lawler nie miał pojęcia, dlaczego Quillan chciał przyjechać na Hydros, lecz nie była to rzecz, o którą można zapytać kogoś wprost.

Rodzaj pokuty. Akt samozaparcia. Z pewnością nie przybył tutaj, aby spełniać funkcje

kościelne. Kościół Wszystkich Świątów był schizmatyczną, postpapieską, katolicką sektą bez żadnych wyznawców na tej planecie, o ile wiedział Lawler. Duchowny nie przybył tutaj jako misjonarz. Od chwili przybycia na Sorve nie podjął żadnych prób nawracania i bardzo dobrze, ponieważ religia nigdy nie cieszyła się większym zainteresowaniem wyspiarzy. Ojciec Lawlera lubił mówić: - Bóg jest bardzo daleko od wyspy Sorve.

Quillan spoglądał przez chwilę ponuro, jakby rozważał realia pobytu na Hydros do końca swoich dni. Potem rzekł:

- Czy nie przeszkadza panu przebywanie zawsze w tym samym miejscu? Czy nigdy nie bywa pan niespokojny? Ciekawy innych wysp?

- Raczej me - odpowiedział Lawler. - Stwierdziłem, że Thibeire bardzo przypomina Sorve. Ten sam kształt, ten sam klimat. Tylko nikogo tam nie znałem. Jeśli jedno miejsce jest takie samo jak drugie, dlaczego nie pozostać na tym, które znasz, wśród ludzi, z którymi zawsze żyłeś? - Jego oczy zwęziły się. - To, o czym myślę, to inne światy. Te o stałych lądach. Prawdziwie lądowe planety. Zastanawiam się, jak to jest, gdy idzie się całymi dniami nie widząc nigdy otwartego morza, gdy przez cały czas pozostaje się na twardym lądzie, nie na wyspie, ale na ogromnym kontynencie, którego nie ogarniesz wzrokiem od końca do końca z miejsca, w którym mieszkasz; niezmierny obszar lądu, a na nim miasta, góry, rzeki. To dla mnie tylko puste słowa. Miasta. Góry. Chciałbym wiedzieć, jak wyglądają drzewa i ptaki, i rośliny, które mają kwiaty. Wie pan, że myślę o Ziemi? Śni mi się czasem, że ona wciąż istnieje, że chodzę po niej oddychając jej powietrzem, czując glebę pod stopami. Gromadząc ją pod paznokciami. Na Hydros nigdzie nie ma gleby, czy pan sobie z tego zdaje sprawę? Tylko piasek z morskiego dna.

Lawler spojrział szybko na ręce duchownego, na jego paznokcie, jakby szukał tam czarnego brudu z Sunrise. Oczy Quillana podążyły za jego wzrokiem, uśmiechnął się, ale nic

nie powiedział.

Lawler dodał:

- Słyszałem, jak w ubiegłym tygodniu rozmawiał pan z Delagardem we wspólnym domu o planecie, na której mieszkał pan przed przybyciem tutaj. Pamiętam każde słowo, które pan powiedział. Jak ląd tam wydawał się ciągnąć bez końca, najpierw obszary trawy, potem las, góry, a za górami pustynia, cały czas siedziałem tam starając się wyobrazić sobie, jak to wszystko naprawdę wygląda. Jednak, oczywiście, nigdy nie będę tego wiedział. Stąd nie możemy się dostać na inne światy, prawda? Dla nas równie dobrze mogłyby one nie istnieć. A ponieważ na Hydros każde miejsce jest takie samo, nie zachęca mnie to do włości.

- Rzeczywiście - powiedział smutno Quillan, a po chwili dodał: - To jednak nie jest typowe, nieprawdaż?

- Typowe dla kogo?

- Ludzi mieszkających na Hydros. Mam na myśli niechęć do podróżowania.

- Kilku z nas jest wędrowcami. Ci lubią zmieniać wyspy co pięć lub sześć lat. Inni nie są tacy. Powiedziałbym, że większość nie jest. W każdym razie ja nie jestem.

Quillan rozważył to.

- Rzeczywiście - powtórzył jakby przetrawiając jakąś złożoną informację. Wydawało się, że na razie wyczerpał swój ciąg pytań, więc należało oczekiwać jakiejś doniosłej konkluzji.

Lawler obserwował go bez większego zainteresowania, uprzejmie czekając na to, co jeszcze Quillan mógł mieć do powiedzenia.

Tymczasem upłynęła długa chwila, a Quillan wciąż milczał. Najwidoczniej mimo wszystko nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

- Taak - rzekł Lawler. - Myślę, że czas otworzyć zakład. - Zaczął iść w dół ścieżką w stronę chat.

- Proszę poczekać - powiedział Quillan. Lawler odwrócił się i obejrzał.

- Słucham?

- Czy dobrze się pan czuje, doktorze?

- Dlaczego? Czy wyglądam na chorego?

- Wygląda pan na zdenerwowanego - powiedział ' !Quillan. - Nieczęsto tak pan

wygląda. Kiedy pierwszy

raz pana spotkałem, uderzyło mnie, że jest pan człowiekiem, który po prostu

(

przeżywa swoje życie, dzień po dniu, godzina po godzinie, przyjmując wszystko, co mu ono

przyniesie. Jednak dzisiejszego ranka wygląda pan jakoś inaczej. Ten pański wybuch na temat

innych światów... nie wiem. To zupełnie do pana niepodobne. Oczywiście nie mogę po-

wiedzieć, że naprawdę pana znam.

Lawler rzucił duchownemu ostrożne spojrzenie. Nie czuł się na siłach opowiadać mu

o trzech zmarłych nurkach w szopie na Molu Jolly'ego.

- Zeszłej nocy myślałem o kilku rzeczach. Nie spałem dobrze. Nie sądziłem, że to tak

rzuca się w oczy.

- Umiem dostrzegać takie rzeczy - powiedział z uśmiechem Quillan. Jego

jasnoniebieskie oczy, zwykle odległe, a nawet pozbawione wyrazu, teraz wydawały się

niezwykle przenikliwe. - To nie jest trudne. Niech pan posłucha, Lawler, jeśli kiedykolwiek

chciałby pan porozmawiać ze mną o czymś, o czymkolwiek, po to tylko, by zrzucić ciężar z

piersi...

Lawler zaśmiał się i wskazał na swoją nagą pierś.

- Jak widać, nic na niej nie leży, prawda?

- Pan wie, o co mi chodzi - powiedział Quillan. Przez chwilę coś wydawało się narastać między nimi, jakieś iskrzące napięcie, jakieś sprzężenie, którego Lawler nie chciał i które go nie cieszyło. Potem duchowny uśmiechnął się znowu, dobrotliwie, zbyt dobrotliwie, rozmyślnie uprzejmym, niewyraźnym, łaskawym uśmiechem zamierzonym na stworzenie między nimi dystansu. Podniósł jedną rękę w górę, w geście, który mógł być błogosławieństwem lub odprawą, skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Kiedy Lawler zbliżył się do swojej chaty, zobaczył kobietę o długich, czarnych włosach czekającą na niego na zewnątrz. Pacjentka, pomyślał. Stała odwrócona plecami do niego i nie był pewien, kto to jest. Przynajmniej cztery kobiety na Sorve miały takie włosy. W osadzie, w której mieszkał Lawler, znajdowało się trzydzieści warag, kolejne sześćdziesiąt, nie wszystkie zamieszkałe, stało dalej, na końcu wyspy. Nieregularne, szare konstrukcje, niesymetryczne, lecz przypominające kształtem wydrążone w środku piramidy, wysokości podwójnego wzrostu wysokiego mężczyzny i zwężające się u góry w tępo zakończony, pochylony stożek. Tuż pod wierzchołkiem miały wybite otwory okienne, nachylone na zewnątrz, tak że deszcz przedostawał się do środka tylko przy najbardziej ulewnych burzach, i to z trudem. Wykonano je z jakiegoś grubego, przypominającego celulozę materiału, szorstkiego i pomarszczonego - czegoś wyjętego z morza; a skąd, jak nie z morza? - najwidoczniej bardzo dawno temu. Materiał był solidny i trwały. Kiedy uderzyło się w chatę kijem, dźwięczała jak metalowy dzwon. Pierwsi osadnicy przybywszy tutaj, znaleźli je gotowe i wykorzystali jako tymczasowe mieszkanie. Upłynęło jednak ponad sto lat, a wyspiarze ciągle w nich mieszkali. Nikt nie wiedział, dlaczego znalazły się tutaj. Niemal na każdej wyspie znajdowały się osady takich chat; być może opuszczonych siedzib jakiegoś wymarłego stworzenia, które niegdyś dzieliło wyspę ze Skrzelowcami. Domy Skrzelowców były zupełnie innego rodzaju; nietrwałe szopy z morskich wodorostów, które burzyli i wymieniali co kilka tygodni, podczas gdy te konstrukcje wydawały się tak niezniszczalne, jak nic innego na tym wodnym świecie. - Czym one są? - pytali wcześniej osadnicy, a Skrzelowcy odpowiadali po prostu: - To waragi. - Nikt nie wiedział, co oznacza to słowo. Porozumienie się ze Skrzelowcami nawet teraz było bardzo trudne. Gdy Lawler podszedł bliżej, zobaczył, że kobietą czekającą na niego jest Sundira Thane. Podobnie jak duchowny,

ona również była przybyszem na Sorve. Wysoka, poważna, młoda kobieta przybyła z wyspy Kentrup kilka miesięcy wcześniej, jako pasażer jednego ze statków Delagarda. Zajmowała się konserwacją i naprawą - łodzi, sieci, sprzętu, wszystkiego - lecz, jak się wydawało, naprawdę interesowali ją Hydranie. Lawler słyszał, że była ekspertem w dziedzinie ich kultury, biologii oraz innych aspektów ich życia.

- Czy jestem zbyt wcześnie? - zapytała.

- Nie, jeśli pani tak nie uważa. Proszę wejść.

Wejście do chaty Lawlera było niskim, trójkątnym wycięciem w ścianie, jakby przeznaczonym dla gnomów. Lawler przykucnął i przecisnął się przez nie. Podążyła za nim kucając i szurając nogami. Była prawie tak wysoka jak on. Wyglądała na spiętą, skupioną i zamyśloną.

Błade światło poranka wpadało ukosem do chaty Na parterze cienkie ścianki działowe, z tego samego materiału co ściany zewnętrzne, dzieliły chatę na trzy pomieszczenia, każde małe i kanciaste - pokój przyjęć, sypialnię i poczekalnię służącą za salonik.

Była dopiero siódma rano. Lawler odczuwał coraz dotkliwszy głód. Zdał sobie jednak sprawę, że śniadanie będzie musiało poczekać jeszcze chwilę. Niedbale odmierzył do kubka kilka kropel nalewki z uśmierzychy, dodał trochę wody i wysączył mieszankę, jakby nie było to nic innego, tylko lekarstwo przepisane na użytek każdego ranka. W pewnym sensie tak było. Lawler obrzucił kobietę szybkim, pełnym winy spojrzeniem. Nie zwracała wcale uwagi na to, co robił. Przyglądała się jego małej kolekcji pamiątek z Ziemi. Jak każdy, kto tutaj przychodził. Ostrożnie przejechała palcem wzdłuż wyszczerbionej krawędzi małej, pomarańczowo-czarnej skorupy, po czym pytająco spojrzała przez ramię na Lawlera.

- Pochodzi z miejsca zwanego Grecją - powiedział. - Bardzo znane miejsce na Ziemi,



bardzo dawno temu.

Mocne alkaloidy narkotyku prawie natychmiast zakończyły trasę w jego układzie krwionośnym i przeszły do mózgu. Czuł, jak jego dusza uwalnia się od napięć spowodowanych przez spotkanie o brzasku.

- Kaszlę - powiedziała Thane. - Nie mogę przestać.

I faktycznie, jakby na znak, zaniosła się suchym, urywanym kaszlem. Na Hydros kaszel mógł być równie trywialną przypadłością, jak gdziekolwiek indziej - lecz mógł również oznaczać coś poważnego. Wszyscy wyspiarze wiedzieli o tym. Występował tu pasożytniczy wodny grzyb, występujący zazwyczaj w umiarkowanych, północnych wodach, który rozmnażał się atakując różne formy życia morskiego zarodnikami, które wydalał do atmosfery w postaci czarnych, gęstych chmur. Zarodnik, wchłonięty z oddechem przez jakiegoś ssaka morskiego wynurzającego się nad powierzchnię wody, osadzał się w ciepłym przełyku

gospodarza i natychmiast kiełkował, wypuszczając gęstą plątaninę jaskrawoczerwonych strzępków, które bez trudności penetrowały tkanki płuc, jelit, żołądka, a nawet mózgu. Wnętrze gospodarza stawało się ciasno upakowaną masą jasnoszkarłatnych włókien. Włókna te poszukiwały zawierającego miedź pigmentu oddechowego, hemocjaniny. Większość stworzeń morskich na Hydros posiadała hemocjaninę we krwi, co nadawało im niebieskawy kolor. Wydawało się, że grzyb również znalazł jakieś zastosowanie dla hemocjaniny.

Śmierć w wyniku zakażenia grzybem była powolna i straszna. Nosiciel puchł pod wpływem gazów wydzielanych przez najeźdźcę i bezsilnie dryfując na powierzchni, ostatecznie podawał się, a wkrótce po tym grzyb wyrzucał dojrzałą, owocującą strukturę przez otwór wydrążony w brzuchu gospodarza. Była to kulista drewnopodobna masa, która

wkrótce pękała, uwalniając nową generację dorosłych grzybów, aby te z czasem wyprodukowały świeże chmury zarodników - i cykl się powtarzał.

Zarodniki grzyba zabójcy mogły się zakorzenić w płucach człowieka, co było sytuacją niekorzystną dla obu stron: ludzie nie byli w stanie dostarczyć grzybowi hemocjaniny, której potrzebował, a grzyb uznawał za konieczne zaatakować i pochłonąć w procesie poszukiwania każdy obszar ciała gospodarza, co było bezużytecznym wydatkiem energii.

Pierwszym objawem zakażenia grzybem u człowieka był uporczywy kaszel.

- Zaczniemy od kilku informacji o pani - powiedział Lawler. - A potem zbadamy sytuację.

Wyjął z szuflady nowy skoroszyt i nagryzmolił na nim nazwisko Sundiry Thane.

- Pani wiek? - zapytał.

- Trzydzieści jeden.

- Miejsce urodzenia?

- Wyspa Khamsilaine. Podniósł wzrok.

- To jest na Hydros?

- Tak - odpowiedziała z lekką irytacją. - Oczywiście. - Dostała kolejnego ataku kaszlu.

- Nigdy pan nie słyszał o Khamsilaine? - zapytała, kiedy odzyskała mowę.

- Jest sporo wysp. Ja nie podróżuję zbyt wiele. Nie, nigdy o niej nie słyszałem. Po którym morzu pływa?

- Lazurowym.

- Lazurowym - powtórzył Lawler. Miał bardzo mgliste pojęcie, gdzie mogło się znajdować Morze Lazurowe. - Coś takiego! Rzeczywiście przebyła pani kawał drogi, nieprawdaż? - Odpowiedzi nie było. Po chwili rzekł: - Jakiś czas temu przyjechała pani tutaj z Kentrup, czy tak?

- Tak. - Znowu kaszel.

- Jak długo pani tam mieszkała?

- Trzy lata.

- A przedtem?

- Osiemnaście miesięcy na Velmise. Dwa lata na Shaktan. Około roku na Simbalimak.

- Spojrzała na niego zimno i powiedziała: - Simbalimak jest też na Morzu Lazurowym.

- Słyszałem o Simbalimak - powiedział.

- Przedtem Khamsilaine. Tak więc to moja szósta wyspa. Lawler zanotował to.

- Zameżna?

- Nie.

To też zanotował. Panująca ogólnie niechęć do zawierania małżeństw wśród mieszkańców tej samej wyspy doprowadziła do nieoficjalnej egzogamii na Hydros. Ludzie pragnący zawrzeć związek wędrowali na inną wyspę, aby tam znaleźć partnera. Jeśli kobieta tak atrakcyjna jak Sundira Thane odbyła tak wiele podróży nie poślubiając nikogo, to oznaczało, że albo była bardzo wybredna, albo też w ogóle nie miała tego zamiaru. Lawler podejrzewał to drugie. Jedynym mężczyzną, z którym, jak zauważył, spędzała czas w ciągu tych kilku miesięcy na Sorve, był rybak Gabe Kinverson. Chmurny, małomówny, o niedostępnej twarzy, Kinverson był silny i szorstki oraz, jak przypuszczał Lawler, interesujący w pewien zwierzęcy sposób. Nie był to jednak typ mężczyzny, jakiego w przekonaniu Lawlera kobieta taka jak Sundira Thane chciałaby poślubić, zakładając, że w ogóle myślała o małżeństwie. Ponadto Kinverson także nie należał do gatunku skłonnego do żeniactwa.

- Kiedy zaczął się ten kaszel? - zapytał.

- Osiem, dziesięć dni temu. Powiedziałabym, że około ostatniej Nocy Trzech

Księżyców.

- Czy wcześniej cierpiała pani na coś podobnego?

- Nie, nigdy.

- Gorączka, ból w piersiach, dreszcze?

- Nie.

- Czy przy kaszlu pojawia się płwocina? Krew?

- Płwocina? Ma pan na myśli ciecz? Nie, nie było żadnej... - Znowu dostała ataku kaszlu, jeszcze gorszego. Jej oczy zaszkliły się, policzki poczerwieniały, całe ciało wydawało się drżeć. Siedziała z głową pochyloną do przodu i skulonymi ramionami, wyglądała na zmęczoną i nieszczęśliwą.

Lawler zaczekał, aż odzyska oddech. W końcu powiedziała:

- Nie byliśmy na tych szerokościach, gdzie rośnie grzyb zabójca. Ciągle to sobie powtarzam.

- Wie pani, że to o niczym nie świadczy. Zarodniki przebywają z wiatrem tysiące kilometrów.

- Dziękuję bardzo.

- Chyba nie podejrzewa pani, że to grzyb zabójca? Podniosła wzrok i spojrzała na niego prawie wyzywająco.

- A skąd mam wiedzieć? Mogłabym być pełna czerwonych włókien, od piersi do palców u nóg, i jak zdołałabym to rozpoznać? Wiem jedynie, że nie przestaję kaszleć. To pan powie mi dlaczego.

- Może tak - powiedział Lawler. - Może nie. Ale zobaczmy. Proszę zdjąć koszulę.

Z szuflady wyjął stetoskop.

To był niewiarygodnie prymitywny instrument, po prostu kawałek bambusa

morskiego o długości dwudziestu centymetrów, do którego przymocowano plastikowe słuchawki na dwóch elastycznych rurkach. Lawler nie dysponował niemal żadnym nowoczesnym sprzętem medycznym, niczym takim, co lekarz nawet z dwudziestego lub dwudziestego pierwszego wieku uznałby za nowoczesne. Musiał posługiwać się prymitywnymi, średniowiecznymi przyrządami. Zdjęcie rentgenowskie wyjaśniłoby mu w ciągu dwóch sekund, czy ma do czynienia z zakażeniem pasożytem, tylko skąd miał wziąć aparat rentgenowski? Kontakty Hydros z wszechświatem były ograniczone, nie istniała żadna wymiana importowo-eksportowa. Dobrze, że w ogóle mieli jakieś przyrządy medyczne, i jakichkolwiek lekarzy, nawet tak niedowarzonych jak on. Tutejsze osady” ludzkie były ubogie. Posiadały tak niewielu ludzi, tak płytkie rezerwy fachowców.

Rozebrana do pasa, stała przy stole lekarskim przyglądając się, jak zawieszał na szyi rurkę stetoskopu. Była bardzo szczupła, prawie chuda; jej ramiona były długie i muskularne w sposób typowy dla smukłych kobiecych rąk o małych, twardych i płaskich mięśniach. Piersi miała drobne, wysokie i szeroko rozstawione. Jej rysy skupiały się w środku szerokiej twarzy o mocnych kościach; małe usta o cienkich wargach, wąski nos, chłodne szare oczy. Lawler zastanawiał się, dlaczego uznał ją za atrakcyjną. Z pewnością nie było w niej nic konwencjonalnie pięknego. To sposób poruszania się, zdecydował; lekko wysunięta głowa na długiej szyi, zdecydowana szczeka, oczy bystre, czujne, ruchliwe. Wydawała się pełna wigoru, nawet agresywna. Ku swemu zdziwieniu poczuł podniecenie, nie dlatego, że jej ciało było na pół nagie - na wyspie Sorve nie było nic niezwykłego w nagości, częściowej czy nie - ale z powodu otaczającej ją aury witalności i siły.

Od dawna już nie utrzymywał stosunków z kobietami. Obecnie życie w celibacie wydawało się łatwiejsze, wolne od bólu i zamieszania. Trzeba jedynie uporać się z początkowym uczuciem wyobcowania i pustki, jeśli tylko można, a jemu się to wreszcie udało.

Nigdy nie miał szczęścia w miłości. Jedyne małżeństwo, zawarte w wieku dwudziestu trzech lat, przetrwało niecały rok. Wszystko, co nastąpiło potem, było chaotyczne, byle jakie, przypadkowe. W sumie bezsensowne.

Przelotny przypływ podniecenia szybko minął. Po chwili znów był profesjonalistą.

Doktorem Lawlerem przeprowadzającym badanie.

Głośno powiedział:

- Proszę otworzyć usta bardzo, bardzo szeroko.

- Nie ma znów tak wiele do otwierania.

- To proszę zrobić, co pani może.

Otworzyła usta. Miał małą rurkę z umieszczonym w niej światłem, którą przekazał mu ojciec; małą baterię trzeba było ładować co kilka dni. Włożył ją do krtani kobiety i spojrzał.

- Czy jestem pełna czerwonych włókien? - zapytała, kiedy wyjął rurkę.

- Nie wygląda na to. Wszystko, co widzę, to niewielkie podrażnienie w okolicy nagłośni, nic niezwykłego.

- Co to jest nagłośnia?

- Języczek zakrywający głośnię. Proszę się tym nie martwić.

Przyłożył koniec stetoskopu do jej mostka i posłuchał.

- Czy słyszy pan rosnące tam strzępki?

- Ciii.

Lawler wolno przesunął przyrząd po twardym, płaskim obszarze między jej piersiami nasłuchując serca., a potem w dół, wzdłuż żeber.

- Staram się wychwycić odgłos świadczący o zapaleniu osierdzia - powiedział jej. - To worek otaczający serce. Słucham również dźwięków wytwarzanych w kanalikach

powietrznych i workach płuc. Proszę głęboko nabrać tchu i wstrzymać oddech. Proszę spróbować nie kaszleć.

Nagle, co wcale go nie zdziwiło, zaczęła kaszleć. Lawler trzymał stetoskop przy jej klatce piersiowej w czasie ataku kaszlu. Każda informacja była jakąś wskazówką. W końcu kaszel ustał, pozostawiając ją wyczerpaną i zaczerwienioną.

- Przepraszam - powiedziała. - Kiedy pan powiedział, nie kaszleć, to był to jakby jakiś sygnał dla mojego mózgu i ja...

Znowu zaczęła kaszleć.

- Spokojnie - powiedział. - Spokojnie.

Tym razem atak był krótszy. Lawler słuchał, kiwał głową i znów słuchał. Wszystko wydawało się w normie.

A przecież nigdy nie miał do czynienia z przypadkiem zakażenia grzybem zabójcą.

Wszystko, co o tym wiedział, zasłyszał dawno temu od ojca lub w rozmowach z lekarzami z innych wysp. Czy stetoskop naprawdę mógł wykazać, zastanawiał się, czy coś zamieszkuje w jej płucach, czy nie?

- Proszę się odwrócić - powiedział. Nasłuchiwał dźwięków w jej plecach. Kazał jej podnieść ręce do góry i przejechał palcami wzdłuż jej boków, poszukując obcych narośli.

Wierciła się, jakby ją łaskotał. Pobrał próbkę krwi z ramienia, a także wysłał ją za parawan w rogu pokoju, aby otrzymać próbkę moczu. Lawler posiadał mikroskop, a przynajmniej rodzaj mikroskopu, który zrobił dla niego Sweyner. Jego możliwości analityczne były nie większe niż mikroskopu zabawki, może jednak, jeśli było coś żywego w jej organizmie, zdoła to zobaczyć.

Naprawdę wiedział tak mało.

Jego pacjenci stanowili codzienną próbę jego umiejętności. Większość czasu musiał

blefować. Jego wiedza medyczna była kiepską mieszaną przekazów od wybitnego ojca, desperackiego zgadywania oraz ciężko zdobytego doświadczenia, stopniowo zdobywanego na pacjentach. Kiedy zmarł ojciec, Lawler jeszcze nie zakończył swojej edukacji medycznej i nie mając jeszcze dwudziestu lat został lekarzem wyspy Sorve. Nigdzie na Hydros nie można było zdobyć prawdziwego wykształcenia medycznego ani niczego, co choć w przybliżeniu można by uznać za nowoczesny przyrząd medyczny, ani też żadnych leków oprócz tych, które sam komponował ze stworzeń morskich, wyobraźni i modlitw. Za czasów jego dziadka jakaś organizacja charytatywna na Sunrise zrzucała co jakiś czas paczki ze sprzętem medycznym, lecz było ich niewiele, odstępy między zrzutami duże, a zawartość trzeba było dzielić między wiele wysp. Paczki przestały przychodzić już dawno temu. Zamieszkała galaktyka była bardzo duża; nikt już nie pamiętał o ludziach żyjących na Hydros. Lawler robił, co mógł, ale to często nie wystarczało. Przy każdej okazji konsultował się z lekarzami z innych wysp, mając nadzieję nauczyć się czegoś od nich. Ich medyczne umiejętności były równie wątpliwe jak jego, lecz z doświadczenia wiedział, że czasami taka wymiana niewiedzy może wytworzyć małą iskierkę zrozumienia. Czasami.

- Może pani włożyć koszulę - powiedział.

- Czy pan myśli, że to grzyb?

- To tylko nerwowy kaszel - odparł. Umieścił próbkę krwi na szkiełku

mikroskopowym i zajrzał w okular. Co to takiego, czerwone w czerwonym? Czyżby

szkarłatne włókna grzybni wiły się w chmurze purpury? Nie. Nie. Złudzenie wzrokowe. To

normalna krew. - Jest pani zupełnie zdrowa - powiedział, podnosząc oczy. Jej piersi były

jeszcze nagie, z zarzuconą na chude ramiona koszulą, zastygła w oczekiwaniu. Patrzyła

podejrzliwie. - Dlaczego musi pani myśleć, że to jakaś straszna choroba? - zapytał Lawler. -

To tylko kaszel.



- Muszę wiedzieć, że to nie jest straszna choroba. Dlatego przyszłam do pana.

- No cóż, nie jest.

Żywił szczerą nadzieję, że to prawda. Nie miał podstaw, aby sądzić inaczej.

Patrzył, jak się ubierała, i ku swemu zdziwieniu zaczął się zastanawiać, czy między nią i Gabem Kinversonem rzeczywiście coś jest. Lawler, którego nie interesowały plotki, dotychczas nie zastanawiał się nad taką możliwością, a rozważając ją teraz, z zaskoczeniem stwierdził, że ta myśl budzi w nim niechęć.

Głośno powiedział:

- Czy przeżyła pani ostatnio jakiś silny wstrząs?

- Nie, raczej nie.

- Przepracowanie? Bezsenność? Romans, który nie układa się dobrze?

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

- Nie. Na wszystkie trzy pytania.

- Czasami żyjemy w napięciu i nawet tego nie zauważamy. Stres nawarstwia się i staje czymś zwyczajnym. Chcę powiedzieć, że moim zdaniem to nerwowy kaszel.

- To wszystko? - Wydawało się, że jest rozczarowana.

- Pani chce, żeby to był grzyb zabójca? W porządku, to grzyb zabójca. Kiedy dojdzie pani do stadium, że czerwone nitki zaczną pani wystawać z uszu, proszę przykryć głowę workiem, aby nie niepokoić sąsiadów. Inaczej mogliby pomyśleć, że są w niebezpieczeństwie. Lecz oczywiście nie będą, przynajmniej dopóki nie zacznie pani rozsiewać zarodników, co przyjdzie znacznie później.

Roześmiała się.

- Nie wiedziałam, że jest pan takim komikiem.

- Nie jestem. - Lawler ujął jej dłoń, zastanawiając się, czy to gest prowokujący, czy

dobrotliwy, w stylu Dobrego Starego Doktora Lawlera. - Proszę posłuchać, nie znalazłem u pani żadnej fizycznej dolegliwości, są więc szansę, że ten kaszel to tylko nerwowy nawyk.

Kiedy zaczynamy kaszleć, podrażniamy błonę krtani, śluzówkę i tak dalej, a kaszel samoistnie się pobudza i nasila. Ostatecznie sam ustanie, ale to ostatecznie może trwać bardzo długo. Mam zamiar przepisać pani pewien środek uspokajający, przytłumiający nerwy, coś na powstrzymanie odruchu wykrztusznego na tyle długo, aby umożliwić ustąpienie mechanicznego podrażnienia, tak że przestanie pani wysyłać do siebie sygnały kaszlowe.

Zaskoczyło go to, że chciał się z nią podzielić uśmierzyczą. Nigdy nikomu nie mówił o tym leku, nie wspominając już o przepisywaniu go pacjentom. Jednak podanie jej lekarstwa wydawało się rzeczą właściwą. Miał go dostatecznie dużo, żeby się podzielić.

Wyjął z szafki małą, suchą tykwę, przelał do niej kilka centylitrów różowego płynu i zakorkował zwitkiem morskiego plastyku.

- To lek, który produkuję sam z uśmierzyczy, jednego z glonów rosnących w zatoce.

Każdego ranka proszę brać pięć lub sześć kropel - nie więcej - w szklance wody. To silny środek. - Zmierzył ją skupionym, przenikliwym wzrokiem. - Roślina zawiera mnóstwo silnych alkaloidów, które mogą zwalić z nóg. Wystarczy przeżuć jeden mały listek glonu, aby stracić przytomność na cały tydzień lub na wieczność. To tutaj jest bardzo rozcieńczonym wyciągiem, ale proszę zachować ostrożność.

- Czy nie brał pan sam tego lekarstwa zaraz po przyjściu tutaj? - A więc jednak zwracała uwagę. Bystre oczy, uważny obserwator. Interesujące.

- Ja też denerwuję się od czasu do czasu - powiedział Lawler.

- Czy to ja pana niepokoję?

- Podobnie jak inni pacjenci. W rzeczywistości niewiele wiem o medycynie i nienawidzę myśli, że mogliby to odkryć. - Roześmiał się z przymusem. - Nie, to nieprawda.

Nie wiem tak dużo, jak powinienem, lecz wystarczająco, aby dawać sobie radę. Jednak to lekarstwo uspokaja mnie, kiedy mam zły poranek, a dzisiejszy dzień nie zaczął się dla mnie zbyt dobrze. To nie miało nic wspólnego z panią. Proszę, równie dobrze może pani wziąć pierwszą dawkę już teraz.

Odmierzył ją dla niej. Wypiła ostrożnie małymi łydkami, niepewnie. Skrzywiła się, gdy poczuła dziwnie słodki smak alkaloidów.

- Czy czuje pani skutek? - zapytał Lawler.

- Natychmiast! Hej, to dobry środek!

- Być może zbyt dobry. Troszeczkę zdradliwy. - Dokończył zapisków w jej karcie. -

Pięć kropel w szklance wody każdego ranka, a następną porcję otrzyma pani dopiero po pierwszym następnego miesiąca.

- Aye, aye, sir!

Wszystkie rysy jej twarzy zmieniły się; wyglądała teraz znacznie spokojniej, chłodne, szare oczy były cieplejsze, prawie lśniły, wargi nie były tak mocno ściągnięte, napięte mięśnie policzków rozluźniły się trochę. Była młodsza. Ładniejsza. Lawler nie miał nigdy okazji obserwowania skutków działania zieleń na kimś innym. Wydały mu się nieoczekiwane dramatyczne.

- W jaki sposób odkrył pan ten lek? - Zapytała.

- Skrzelowcy używają uśmierzychy do połowu ryb w zatoce.

- Ma pan na myśli Mieszkańców?

Cierpka poprawka zaskoczyła Lawlera. Mieszkańcy - takim terminem określała siebie dominująca forma życia na Hydros. "Skrzelowcami" nazywał ich każdy, kto przebywał tu dłużej niż kilka miesięcy, a przynajmniej w tej okolicy. Możliwe, że termin był inny na wyspie, z której ona pochodziła, na odległym Morzu Lazurowym. Albo też był to termin

używany teraz przez młodych ludzi. Terminologia się zmienia. Przypomniał sobie, że jest od niej o dziesięć lat starszy. Najprawdopodobniej jednak użyła tego formalnego terminu z szacunku, ponieważ wyobrażała sobie, że jest badaczem kultury Skrzelowców. Do licha, niech będzie, jak chce, postara się być uprzejmy.

- Tak, Mieszkańcy - powiedział. - Odrywają parę włókien i owijają je wokół przynęty, którą następnie rzucają rybam. Połykając przynętę ryby słabną i bezwładnie wypływają na powierzchnię. Wtedy ruszają Mieszkańcy i zbierają je nie przejmując się ich ostrymi jak noże mackami. Powiedział mi o tym pewien stary rybak o imieniu Jolly, kiedy byłem małym chłopcem. Później przypomniałem sobie o tym i poszedłem do zatoki poobserwować połowy Skrzelowców. Zebrałem też trochę ziela i zacząłem z nim eksperymentować. Myślałem, że będę mógł go użyć jako anestetyku.

- I mógł pan?

- Dla ryb tak. Nie wykonuję jednak zbyt wielu zabiegów chirurgicznych na rybach.

Gdy użyłem go na ludziach, okazało się, że każda dawka wystarczająco silna, aby być dobrym anestetykiem, była śmiertelna. - Lawler uśmiechnął się ponuro. - Miałem okres prób i błędów. Głównie błędów. Ostatecznie jednak odkryłem, że bardzo rozcieńczona nalewka może być skutecznym środkiem uspokajającym. I jest, jak pani widzi. To fantastyczny środek. Moglibyśmy sprzedawać go w całej galaktyce, gdybyśmy mieli jakikolwiek środek transportu.

- A tak nikt o nim nie wie oprócz pana?

- I Skrzelowców - powiedział. - Proszę wybaczyć, Mieszkańców. I teraz pani. Tutaj nie ma dużego zapotrzebowania na środki uspokajające. - Zachichotał. - Wie pani, obudziłem się tego ranka z nedorzecznym pomysłem namówienia Mieszkańców, aby pozwolili nam przyczepić urządzenie do odsalania wody do swojej elektrowni, jeśli kiedykolwiek ją

uruchomią. Chciałem im palnąć długą serdeczną mowę na temat współpracy międzygatunkowej. To był idiotyczny pomysł, jeden z tych, co przychodzą do głowy nocą i znikają jak rosa wraz ze wschodem słońca, nigdy nie zgodziliby się na to. A co naprawdę powinienem był zrobić, to nafaszerować ich dużą dawką uśmierzychy. Założę się, że wtedy zrobiliby wszystko, o cokolwiek by się ich poprosiło.

Nie wyglądała na rozbawioną.

- Żartuje pan, prawda?

- Tak sędzę.

- Jeżeli nie, to proszę tego nawet nie próbować, ponieważ do niczego to pana nie zaprowadzi. To nie czas, by prosić Mieszkańców o przysługi. Są na nas dość poważnie rozgniewani.

- Z powodu? - zapytał Lawler.

- Nie wiem. Lecz najwyraźniej coś ich drażni. Wczoraj wieczorem poszłam na ich stronę wyspy, gdzie odbywała się wielka konferencja. Zobaczywszy mnie, wcale nie byli przyjacielscy.

- Czy kiedykolwiek są?

- W stosunku do mnie tak. Ale wczoraj nie chcieli nawet ze mną rozmawiać. Nie pozwolili mi się zbliżyć. Byli niezadowoleni. Czy wie pan cokolwiek o języku ciała Mieszkańców? Byli sztywni jak deski.

Nurki, pomyślał, muszą wiedzieć o nurkach. To musi być to. Nie była to jednak sprawa, o której Lawler chciałby rozmawiać właśnie teraz, ani z nią, ani z nikim innym.

- Problem z obcymi - powiedział - polega na tym, że są obcy. Nawet jeśli sądzimy, że rozumiemy, to naprawdę nie rozumiemy ani trochę. Nie widzę żadnej możliwości rozwiązania tego problemu. Proszę posłuchać, jeśli kaszel nie ustąpi w ciągu dwóch lub trzech

dni, proszę przyjść jeszcze raz i zrobimy kilka innych testów. Proszę jednak przestać gryźć się tym, że ma pani grzyba zabójcę w płucach, dobrze? Cokolwiek by to było, to nie jest grzyb.

- Miło to usłyszeć. - Znowu podeszła do półki z pamiątkami. - Czy te wszystkie rzeczy pochodzą z Ziemi?

- Tak. Mój prapradziadek kolekcjonował je.

- Naprawdę? Prawdziwe rzeczy z Ziemi? - Dotknęła egipskiej statuetki i kawałka kamienia pochodzącego z jakiejś ważnej ściany, Lawler zapomniał gdzie.

- Prawdziwe rzeczy z Ziemi... Nigdy dotąd takich nie widziałam. Ziemia nie wydaje mi się nawet realna, czy pan uwierzy? Zawsze tak było.

- Dla mnie jest realna - powiedział Lawler. - Lecz znam wielu ludzi, którzy czują jak pani. Proszę mnie poinformować o tym kaszlu, dobrze?

Podziękowała mu i wyszła.

A teraz do śniadania, powiedział sobie Lawler, nareszcie.

Smaczny filet z ryby, grzanka z glonów i świeżo wyciśnięty sok z owocu managordo.

Czekał jednak zbyt długo. Nie miał dużego apetytu i tylko liznął śniadanie.

W chwilę później następny pacjent pojawił się przed jego chatą. Brondo Katzin, który zajmował się handlem rybnym, podniósł jeszcze żywą rybę-strzałę, ujmując ją z niewłaściwej strony, i miał teraz wbity w środek lewej dłoni jej gruby, lśniący, czarny kręgosłup o długości pięciu centymetrów.

- Proszę sobie wyobrazić, jaki byłem głupi - powtarzał ciągle baryłkowaty, niezbyt lotny Katzin. - Niech pan sobie wyobrazi.

Oczy wychodziły mu na wierzch z bólu, a jego ręka, spuchnięta i błyszcząca, wyglądała na dwa razy większą niż normalna. Lawler wyciął kręgosłup, wyczyścił całą ranę, aby pozbyć się trucizny i innych podrażnień, po czym dał mu trochę tabletek ziołowych na

złagodzenie bólu. Katzin gapił się na swoją nabrzmiałą rękę, smutno potrząsając głową.

- Taki głupi - powtórzył.

Lawler miał nadzieję, że wydobył wystarczająco dużo kołtuna, aby uchronić ranę przed zakażeniem. Jeżeli nie, to Katzin mógłby utracić rękę, a nawet całe ramię. Uprawianie medycyny było prawdopodobnie łatwiejsze, pomyślał Lawler, na planecie posiadającej jakiś ład, port lotniczy, a także coś w rodzaju współczesnej technologii. Wiedział jednak, że zrobił wszystko, w granicach swoich możliwości. Hej ho! Dzień toczył się dalej.

W południe Lawler wyszedł z chaty, aby odpocząć chwilę od pracy. To był najpracowitszy ranek od miesiący. Na wyspie zamieszkałej przez zaledwie siedemdziesiąt osiem istot ludzkich, w większości zupełnie zdrowych, Lawler czasami spędzał całe dni, a nawet tygodnie nie oglądając ani jednego pacjenta. W takie dni zazwyczaj spędzał poranki brodząc w zatoce i zbierając glony o własnościach leczniczych. Często pomagał mu Natim Gharkid, wskazując taką czy inną pożyteczną roślinę. Czasami nie robił zupełnie nic, spacerował, pływał, wypuszczał się łódką na wody zatoki lub siedział cicho, obserwując morze. Jednak to nie był jeden z tych dni. Najpierw był to synek Dany Sawtelle z gorączką, potem Marya Hain, cierpiąca na skurcze po zjedzeniu zbyt wielu pełzających ostryg poprzedniego wieczoru, po niej Nimber Tanamind z kolejnym atakiem drgawek i migreny, młody Bard Thalheim z mocno zwichniętą kostką w wyniku głupich hołubców na śliskim zboczu wału. Lawler wyrecytował odpowiednie zaklęcia, zastosował najbardziej prawdopodobne maści i odesłał ich wszystkich, nie zapominając o stosownych zapewnieniach i prognozach. Prawdopodobnie za dzień lub dwa poczują się lepiej. Obecny dr Lawler nie był może wspaniałym internistą, ale jego niewidzialny asystent, dr Placebo, na ogół prędzej czy później radził sobie z problemami pacjentów.

Teraz jednak nikt na niego nie czekał i odrobina świeżego powietrza na pewno mu nie zaszkodzi. Lawler wyszedł na jasne południowe słońce, przeciągnął się i zrobił kilka wymachów wyciągniętymi ramionami. Spojrzał w dół zbocza w kierunku wybrzeża. Tam była zatoka, przyjazna i znajoma, jej spokojne, zamknięte wody marszczyły się łagodnie. W tym momencie wyglądała przepięknie: błyszczący arkusz lśniącego złota, gładki jak lustro. Na płyciznach kołysały się leniwie ciemne liście różnych morskich roślin. Połyskliwe płetwy od czasu do czasu przecinały w oddali migotliwą powierzchnię. Dwa statki Delagarda



niedbale cumowały przy molo stoczni, kołysząc się łagodnie w rytm spokojnego przyływu.

Lawler poczuł, że ten moment letniego południa będzie trwać wiecznie, że noc i zima nigdy nie powrócą. Nieoczekiwane uczucie spokoju i dobrego samopoczucia przeniknęło jego duszę; jak dar, odrobina niespodziewanej radości.

- Lawler - usłyszał głos z lewej strony.

Suchy, drżący głos, jak grzechot rozsypujących się kości, głos, który był popiołem i gruzem. Ponury, wypalony, zmieniony nie do poznania głos, który w jakiś sposób Lawler rozpoznał jako należący do Nida Delagarda.

Nadszedł południową ścieżką od brzegu i stał między chatą Lawlera a niewielkim zbiornikiem, w którym Lawler przechowywał zapas świeżo zebranych glonów. Był zaczerwieniony, zmięty i spocony, a jego oczy wyglądały dziwnie szkliscie, jakby miał zawał.

- Cóż, do diabła, wydarzyło się teraz? - zapytał zirytowany Lawler. Delagard bezgłośnie poruszył ustami jak ryba wyrzucona z wody i nie odpowiedział.

Lawler wbił palce w grube, mięsiste ramię mężczyzny.

- Czy może pan mówić? Dalej, do cholery. Co się stało?

- Tak. Tak. - Delagard pokręcił głową z boku na bok, powolnym, niezgrabnym, topornym ruchem. - Jest bardzo źle. Jest gorzej, niż mogłem sobie wyobrazić.

- Co jest?

- Te pieprzone nurki. Skrzelowcy wpadli w prawdziwą furję i mają zamiar zmusić nas, żebyśmy drogo za to zapłacili. Bardzo, bardzo, bardzo drogo. Właśnie to chciałem panu powiedzieć w szopie, kiedy mnie pan zostawił.

Lawler kilkakrotnie zamrugał oczami.

- Na Boga, o czym pan mówi?

- Proszę mi dać najpierw trochę brandy.

- Dobrze. Dobrze. Wejdźmy.

Nalał sporą miarkę gęstego trunku koloru morza dla Delagarda i, po krótkim namyśle, mniejszą dla siebie. Delagard opróżnił swoją jednym haustem i podstawił kubek. Lawler nalał mu znowu.

Po chwili Delagard powiedział, wypowiadając słowa z takim trudem, jakby cierpiał na jakąś wadę wymowy:

- Przed chwilą przyszli do mnie Skrzelowcy, było ich około tuzin. Wyszli prosto z wody na dziedziniec stoczni i kazali moim ludziom zawołać mnie na rozmowę.

Skrzelowcy? Na ludzkim końcu wyspy? To nie zdarzyło się od dziesięcioleci.

Skrzelowcy nigdy nie zapuszczali się dalej na południe niż cypel, na którym zbudowali swoją elektrownię. Nigdy.

Delagard spojrział na lekarza udręczonym wzrokiem.

- Czego chcecie? - zapytałem, używając najgrzeczniejszych gestów, Lawler, wszystko bardzo, bardzo uprzejmie. Sądzę, że była to elita Skrzelowców, ale skąd to można wiedzieć?

Kto zdoła odróżnić jednego z nich od drugiego? W każdym razie wyglądali na ważniaków.

Powiedzieli: "Czy ty jesteś Nid Delagard?" - jakby tego nie wiedzieli, a kiedy powiedziałem, że tak, pochwycili mnie.

- Pochwycili?

- Przecież mówię; złapali mnie. Dotknęli tymi swoimi małymi, śmiesznymi płetwami, popchnęli mnie i przycisnęli do ściany mojego własnego budynku.

- Ma pan szczęście, że może pan jeszcze o tym rozmawiać.

- Bez żartów. Mówię panu, doktorze, byłem przerażony jak cholera. Myślałem, że zamierzają wypatroszyć mnie na miejscu i sfiletować. Proszę spojrzeć, o tutaj, na ślady pazurów na moim ramieniu. - Pokazał zanikające czerwone plamy. - Mam opuchniętą

twarz? Próbowałem odsunąć głowę, gdy jeden z nich rąbnął mnie, może przypadkiem, ale niech pan patrzy. Tutaj. Dwóch trzymało mnie, a trzeci wetknął mi nos prosto w twarz i zaczął mówić do mnie, naprawdę mówić, wielkimi huczącymi dźwiękami: ooom whang booaf theeeezt ooom whangboooof theeezt.

- Z początku byłem tak wstrząśnięty, że nic nie rozumiałem, ale później dotarło do mnie. Powtarzali to raz po raz, aż upewnili się, że rozumiałem. To było ultimatum. - Głos Delagarda przeszedł na niższe rejestry. - Zostaliśmy wyrzuceni z wyspy. Mamy trzydzieści dni na wyniesienie się stąd. Wszyscy.

Lawler poczuł, że grunt umyka mu spod nóg.

- Co?!

W twardych brązowych oczkach rozmówcy pojawił się błysk szaleństwa. Dał znak, że chce jeszcze brandy. Lawler nalał mu, nawet nie patrząc na kubek.

- Po upływie tego czasu wszyscy ludzie mieszkający na Sorve zostaną wrzuceni do laguny bez prawa powrotu na ląd. Wszystkie budowle, które tutaj wznieśliśmy, zostaną zniszczone. Zbiornik, stocznia, te budynki na placu, wszystko. Rzeczy, które pozostawimy w chatach, pójdą do morza. Wszystkie pozostawione okręty zostaną zatopione. Jesteśmy skończeni, doktorze. Jesteśmy eksmieszkańcami wyspy Sorve. Skończeni, załatwieni, nie ma nas.

Lawler patrzył z niedowierzaniem. Wstrząsnęła nim cała seria gwałtownych emocji: dezorientacja, depresja, bezradność. Wpadł rozpacz. Opuścić Sorve? Opuścić Sorve? Zadrzał. Z trudem panował nad sobą, usiłując odzyskać równowagę wewnętrzną.

Zaciskając zęby powiedział:

- Śmierć kilku nurków w wyniku wypadku przy pracy nie jest z pewnością dobrą rzeczą. Jednak ich reakcja jest mocno przesadzona. Na pewno źle ich pan zrozumiał.

- Gównu! W żadnym razie! Wyrazili się bardzo, bardzo jasno.
- Wszyscy musimy stąd odejść?
- Tak, wszyscy musimy odejść. W ciągu trzydziestu dni. Czy ja dobrze słyszę? -  
zastanawiał się Lawler. Czy to się dzieje naprawdę?
- Czy podali powód? Czy chodziło o nurki?
- Oczywiście, że tak - powiedział Delagard niskim, matowym głosem, zakrzepłym ze wstydu. - Było tak, jak pan powiedział rano. Skrzelowcy wiedzą o wszystkim, co robimy.
- Chryste. Chryste. - Szok zaczynał przechodzić w gniew. Delagard bezmyślnie ryzykował, stawiając na szalę życie wszystkich mieszkańców wyspy; grał i przegrał. Skrzelowcy ostrzegali go: nie rób tego więcej, bo was stąd wyrzucimy. A on i tak to zrobił.
- Delagard, jesteś godnym pogardy bękartem!
- Nie wiem, jak się dowiedzieli. Podjąłem środki ostrożności. Wnieśliśmy je nocą, trzymaliśmy pod przykryciem, dopóki nie znalazły się w szopie. Szopa była zamykana...
- Jednak dowiedzieli się.
- Tak - powiedział Delagard. - Wiedzą o wszystkim, ci Skrzelowcy. Pieprzysz cudzą żonę, a Skrzelowcy o tym wiedzą. Nie zależy im na tym. Na tym nie. Zabijasz parę nurków i zależy im jak diabli.
- Co panu powiedzieli, kiedy poprzednio miał pan wypadek z nurkami? Kiedy ostrzegli, aby nie zatrudniał pan nurków, co powiedzieli? Co zrobią, jeśli pana złapią?  
Delagard milczał.
- Co powiedzieli? - naciskał Lawler. Delagard oblizał wargi.
- Że zmuszą nas do opuszczenia Sorve - wymamrotał, ponownie spoglądając pod nogi, jak zganiony uczeń.
- A pan to zrobił. Mimo wszystko.

- Któżby im uwierzył? Jezu, Lawler. Żyjemy tutaj od stu pięćdziesięciu lat! Czy przeszkadzało im, kiedy się wprowadziliśmy? Kiedy spadliśmy z kosmosu i przycupnęliśmy na ich pieprzonych wyspach, czy powiedzieli nam: idźcie stąd, wy okropne, obrzydliwe, czworonożne, owłosione, obce stworzenia? Nie. Nie. Nie zależało im ani trochę.

- Po drodze było Shalikomo - powiedział Lawler.

- To było dawno temu, zanim obaj się urodziliśmy.

- Skrzelowcy zabili dużo ludzi na Shalikomo. Niewinnych ludzi.

- Inni Skrzelowcy. W innej sytuacji.

Delagard strzelił kostkami palców złożonych razem dłoni. Mówił coraz głośniej i pewniej. Wydawało się, że szybko opuszcza go wcześniejsze poczucie winy i wstydu. To wrodzony talent, pomyślał Lawler, takie szybkie odzyskiwanie poczucia własnej wartości.

- Shalikomo to wyjątek - powiedział. Skrzelowcy uważali, że na Shalikomo, która jest bardzo małą wyspą, było o wiele za dużo ludzi, kazali więc części z nich odejść. Jednak ludzie z Shalikomo nie byli w stanie porozumieć się co do tego, kto powinien odejść, a kto może zostać, i prawie nikt nie opuścił wyspy. W końcu Skrzelowcy zdecydowali, ilu ludziom pozwolą żyć wśród siebie, a pozostałych zabili. - To zamierzchła historia - dodał Delagard

- Tak, dawne dzieje - odrzekł Lawler. - Lecz dlaczego pan sądzi, że to się nie może powtórzyć?

Delagard powiedział:

- Skrzelowcy nigdzie indziej nie okazywali nam wrogości. Nie można powiedzieć, że nas lubią, ale nie zabraniają nam tego, na co mamy ochotę, jak długo pilnujemy swojego końca wyspy i nie rozmnażamy się zbyt. Zbieramy wodorosty, łowimy do woli, wznosimy budynki, polujemy, robimy wiele różnych rzeczy, które mogłyby denerwować obcych, a oni ani pisną. Tak więc jeśli mogłem przyuczyć kilka nurków do pomocy w pozyskiwaniu metali

z dna oceanu, co mogło przynieść korzyści zarówno nam, jak i Skrzelowcom, dlaczego miałbym myśleć, że tak bardzo je wzburzy śmierć kilku zwierząt w wyniku wypadku przy pracy, że... że...

- Może to była ta ostatnia kropla - powiedział Lawler - która przepełniła dzban.

- Co? Co pan, kurwa, gada?

- Stare, ziemskie przysłowie. Nieważne. Mówię, że z jakiegoś powodu sprawa z nurkami przekroczyła granicę ich cierpliwości. I teraz chcą, abyśmy stąd odeszli.

Lawler na chwilę zamknął oczy. Wyobraził sobie siebie pakującego rzeczy, wchodzącego na pokład statku, który odpłynie na jakąś inną wyspę. To nie było łatwe. Opuszczamy wyspę Sorve. Opuszczamy wyspę Sorve. Opuszczamy...

Zdał sobie sprawę że Delagard coś mówi.

- To był szok, niech mi pan wierzy. Nigdy się tego nie spodziewałem. Stałem tam, przyciśnięty do ściany, z dwoma Skrzelowcami przytrzymującymi mnie za ręce i trzecim mlaskającym tuż przed moim nosem słowa: wszyscy musicie wynieść się stąd w ciągu trzydziestu dni, macie zniknąć z tej wyspy, bo inaczej... Jak pan myśli, jak ja się czułem?

Wiedząc, że to ja jestem za to odpowiedzialny.

Powiedział pan dziś rano, że nie mam sumienia, ale pan nic o mnie nie wie. Pan uważa mnie za gbura, prostaka i kryminalistę. Ale co pan wie naprawdę? Ukrywa się pan tutaj samotnie, upija do ogłupienia i siedzi osądzając innych ludzi, którzy mają więcej energii i ambicji w jednym palcu niż pan w całej...

- Niech pan kończy, Delagard.

- Powiedział pan, że nie mam sumienia.

- A ma pan?

- Powiem panu, Lawler, czuję się jak gówno, sprowadzając na nas to nieszczęście. Ja

też się tutaj urodziłem. Nie musi mi pan zaszuwać żadnych wzniosłych, snobistycznych bajek o Pierwszej Rodzinie, nie mnie. Moja rodzina była tu od początku, tak samo jak pańska.

Zbudowaliśmy tę wyspę, my, Delagardowie. A teraz słyszę, że wyrzucają mnie jak kawał zepsutego mięsa razem z wszystkimi innymi. - Głos Delagarda znów się zmienił. Gniew stopniał; mówił bardziej miękko, szczerze, prawie pokornie. - Chcę, aby pan wiedział, że biorę na siebie pełną odpowiedzialność za to, co zrobiłem. Tak więc zamierzam...

- Chwileczkę - powiedział Lawler podnosząc rękę, aby go uciszyć. - Słyszysz pan ten hałas?

- Hałas? Jaki hałas? Gdzie?

Lawler pochylił głowę w kierunku drzwi. Nagły zgiełk, dzikie wrzaski dobiegały z długiego trójstronnego placu, który leżał między dwiema grupami chat na wyspie.

Kiwając głową Delagard rzekł:

- Tak, teraz słyszę. Może to jakiś wypadek?

Lecz Lawler już zniknął za drzwiami i szybkimi susami sadył w kierunku placu.

Przy placu stały trzy zniszczone pogodą budynki - a właściwie szopy, baraki, byle jakie budy - każdy z innej strony placu. W największym, od strony lądu, mieściła się szkoła.

W bliższym z dwóch bocznych znajdowała się mała kawiarenka, prowadzona przez kobietę Delagarda, Lis Niklaus. Za nią stał dom wspólnoty.

Gromadka szepczących dzieci stała przed szkołą wraz z dwójką nauczycieli. Przed klubem pół tuzina starszych kobiet i mężczyzn kręciło się bez celu, jak porażeni słońcem. Lis Niklaus wychyliła się z kawiarni i z otwartymi ustami patrzyła nie wiadomo na co. Dalej stało dwóch kapitanów Delagarda: Gospo Struvin, przysadzisty i krępy, oraz smukły, długonogi Bamber Cadrell. Stali u szczytu rampy prowadzącej na plac od strony wody, przytrzymując się balustrady jak ludzie oczekujący nagłego uderzenia fali przyływu. Między nimi,

przedzielając plac swoją masą, stał zwalisty handlarz ryb, Brondo Katzin, jak ogromna, ogłupiała bestia, przyglądając się w skupieniu swojej odwiniętej z bandaża prawej ręce, jak gdyby właśnie wyrosło na niej oko.

Ani śladu wypadku, żadnych ofiar.

- Co się dzieje? - spytał Lawler.

Lis Niklaus odwróciła się do niego dziwnie majestatycznym ruchem, obracając całe ciało. Była wysoką, dorodną, krzepką kobietą o wielkiej grzywie żółtych włosów i skórze tak mocno opalonej, że wyglądała prawie jak czarna. Dala-gard żył z nią od pięciu, sześciu lat, czyli od śmierci żony, ale nigdy się z nią nie ożenił. Pewnie starał się zabezpieczyć dziedzictwo swoim synom, a przynajmniej tak przypuszczali ludzie. Delagard miał czterech dorosłych synów mieszkających na innych wyspach, każdy na innej.

Lis powiedziała ochryplym, lekko zduszonym głosem:

- Bamber i Gospo właśnie przyszli ze stoczni... mówią, że byli tam Skrzelowcy... że one kazały... powiedziały nam... powiedziały N idowi...

Jej głos ucichł, przechodząc w bełkot.

Pomarszczona, mała Mendy Tanamind, wiekowa matka Nimbera, powiedziała piskliwym głosem: - Musimy odejść! Musimy odejść! - i zachichotała.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - powiedział Sandor Thalheim. Był równie wiekowy jak Mendy. Gwałtownie potrząsnął głową, co sprawiło, że zadrżała mu broda i wąsiska.

- Wszystko z powodu kilku zwierząt - powiedział Bamber Cadrell. - Z powodu trzech nieżywych nurków.

A zatem wieści już się rozeszły. Niedobrze, pomyślał Lawler. Ludzie Delagarda powinni trzymać gęby na kłódkę, dopóki nie wiemy, co robić.

Ktoś zapłakał. Mendy Tanamind znowu zachichotała. Brondo Katzin otrząsnął się z



otępienia i zaczął ze złością mamrotać w kółko:

- Pieprzeni, śmierdzący Skrzelowcy. Pieprzeni, śmierdzący Skrzelowcy!

- Co tu się dzieje? - zapytał Delagard, który nareszcie dokuśtykał ścieżką z domu Lawlera.

- Pańscy chłopcy, Bamber i Gospo, uznali, że muszą podzielić się nowiną z innymi.

Wszyscy już wiedzą - powiedział Lawler.

- Co? Co takiego? Dranie! Zabiję ich!

- Zabiję ich? Na to już trochę za późno.

Na plac nadchodzili inni. Lawler zobaczył Gaba Kinversona, Sundirę Thane, ojca Quillana, Sweynerów. A za nimi innych. Stłoczyli się; czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi, wszyscy. Znalazło się tu nawet pięć czy sześć sióstr, stojących blisko siebie jak mała żeńska falanga. W kupie różnej. Pojawił się Dag Tharp, Marya i Gren Hain, Josc Yanez, siedemnastoletni pomocnik Lawlera, który zamierzał pewnego dnia zostać kolejnym lekarzem wyspy. Onyos Felk, kartograf. Natim Gharkid przyszedł od swoich grządek glonów w spodniach mokrych do pasa. Wieść najwidoczniej rozeszła się po całej społeczności.

Twarze większości zdradzały szok, zdziwienie i niedowierzanie. Czy to prawda? - pytały. Czy to możliwe?

Delagard zawołał:

- Posłuchajcie wszyscy, nie ma się czym martwić. Mamy zamiar załagodzić tę sprawę!

Gabe Kinverson podszedł do Delagarda. Wyglądał na dwa razy większego od właściciela stoczni, kawał chłopca, o wystającej szczęce, masywnych barkach i zimnych prowokujących oczach koloru morza. Otaczała go atmosfera niebezpieczeństwa i potencjalnej przemocy.

- Wyrzucili nas? - zapytał. - Czy naprawdę powiedzieli, że musimy odejść?

Delagard kiwnął głową.

- Dali nam trzydzieści dni, a potem won. Wyrazili się bardzo jasno. Nie obchodzi ich, dokąd pójdziemy, ale nie możemy zostać tutaj. Mam jednak zamiar załatwić tę sprawę.

Możecie na to liczyć.

- Mnie się wydaje, że już się pan wszystkim zajął - powiedział Kinverson. Delagard cofnął się o krok i zmierzył go gniewnym spojrzeniem, jakby szykując się do walki. Jednak morski łowca wydawał się bardziej zdumiony niż rozgniewany. - Trzydzieści dni i wynocha - powiedział Kinverson na w pół do siebie. - To przecież szczyt wszystkiego. - Odwrócił się plecami do Delagarda i odszedł drapiąc się po głowie.

A może Kinversonowi naprawdę nie zależy, pomyślał Lawler. I tak większość czasu spędzał na dalekim morzu, zupełnie sam, polując na wszelkie rodzaje ryb, które nie chciały wpłynąć do zatoki. Kinverson nigdy nie brał czynnego udziału w życiu społeczności Sorve; przepływał przez nie, podobnie jak wyspy na Hydros dryfowały po oceanie, stał na uboczu, niezależny, dobrze zabezpieczony, podążający własną ścieżką.

Pozostali byli bardziej przejęci. Delikatna, drobna, złotowłosa żona Brondo Katzina, Eliyana, szlochała rozpaczliwie. Ojciec Quillan próbował ją pocieszyć, lecz najwidoczniej sam był zdenerwowany. Sękaci, starzy Sweynerowie rozmawiali ze sobą niskimi, napiętymi głosami. Kilka młodszych kobiet próbowało wyjaśnić sytuację swoim zmartwionym dzieciom. Lis Niklaus wyniosła z kawiarni dzban brandy z winnych wodorostów, który szybko przechodził z ręki do ręki w grupce mężczyzn pociągających z niego w ponurym, zdesperowanym milczeniu. Lawler zapytał cicho Delagarda:

- Jak właściwie zamierza pan poradzić sobie z tym wszystkim? Ma pan jakiś plan?

- Tak, mam - odpowiedział. Nagle zaczął tryskać energią. - Powiedziałem panu, że

przyjmuję pełną odpowiedzialność, i tak będzie. Pójdę do Skrzelowców na kolanach, a jeśli będę musiał lizać ich tylne płetwy, zrobię to, prosząc o przebaczenie. Złagodnieją, prędzej czy później. Przecież nie zechcą utrzymać tego absurdalnego, cholernego ultimatum.

- Podziwiam pański optymizm. Delagard mówił dalej:

- A jeśli nie wycofają się, poproszę, aby tylko mnie skazali na wygnanie. Po co karać wszystkich. Tak im powiem. Tylko mnie. Ja jestem winny. Wyprowadzę się na Velmise, Salimil lub jakiegokolwiek inne miejsce i nigdy więcej nie zobaczycie mojej wstrętnej gęby na Sorve, przyrzekam. Uda się, Lawler. Przecież to rozumne istoty. Zrozumieją, że wyrzucanie starej kobiety, takiej jak Mendy, z wyspy, która była jej domem przez osiemdziesiąt lat, nie posłuży żadnemu rozsądnemu celowi. To ja jestem tym draniem, tym mordującym nurki łajdakiem, i ja odejdę, jeśli będę musiał, chociaż nie sądzę, aby i to było konieczne.

- Może ma pan rację. A może nie.

- Będę się przed nimi czołgał, jeśli będę musiał.

- A jeśli każą panu odejść, to sprowadzi pan jednego ze swych synów z Velmise, aby zarządzał stoczną, prawda?

Delagard wydawał się zaskoczony.

- No tak, a cóż w tym złego?

- Mogą pomyśleć, że nie jest pan tak zupełnie szczery, zgadzając się odejść. Mogą pomyśleć, że jeden Delagard jest taki sam jak następny.

- Myśli pan, że może im nie wystarczyć, jeśli odejdę tylko ja?

- Właśnie. Mogą chcieć od pana czegoś więcej niż to.

- Na przykład czego?

- A gdyby powiedzieliby panu, że przebaczą reszcie pod warunkiem, że pan odejdzie i zgodzi się na to, aby pan i pana rodzina nigdy więcej nie postawili nogi na Sorve, a cała

stocznia Delagardów została zniszczona?

Oczy Delagarda rozbliły.

- Nie - powiedział. - Nie, zażądali tego!

- Już zażądali. Nawet więcej.

- A jeśli odejdę, jeśli naprawdę odejdę... jeśli moi synowie przyrzekną nigdy już nie zranić żadnego nurka...

Lawler odwrócił się do niego plecami.

Pierwszy szok już mu minął. To proste zdanie: Musimy opuścić Sorve wryło się w jego mózg, w duszę, w kości. Zważywszy na powagę sytuacji, przyjmował wszystko bardzo spokojnie. Zastanawiał się dlaczego. Przecież w jednej chwili cała jego egzystencja na tej wyspie, wszystko, co budował przez całe życie, legło w gruzach.

Przypomniawszy sobie, jak popłynął na Thibeire. Jak głęboko niepokojące było oglądać te wszystkie nieznane twarze, nie znać nazwisk ani historii rodzin, iść w dół ścieżką i nie wiedzieć, co leży u jej kresu. Z zadowoleniem wrócił do domu, nawet po tych kilku godzinach.

A teraz będzie musiał pojechać gdzieś i zostać tam do końca życia - będzie musiał mieszkać wśród obcych - straci poczucie tego, że jest Lawlerem z wyspy Sorve i stanie się jednym z wielu, przybyszem, outsiderem, intruzem w nowej społeczności, bez miejsca i celu. Trudno będzie to przełknąć. A jednak początkowe przerażenie i dezorientacja zmieniły się w apatyczną akceptację, jakby ta eksmisja była mu równie obojętna, jak zdawała się być Gabe Kinversonowi lub Gharkidowi, temu notorycznemu abnegatowi. Dziwne. Może to po prostu do mnie nie dotarło, powiedział sobie Lawler.

Podeszła do niego Sundira Thane. Miała wypieki, a na jej czole lśniła warstewka potu.

Cała jej postawa wyrażała podniecenie i rodzaj przewrotnego zadowolenia z siebie.

- Mówiłam panu, że są na nas rozgniewani, prawda? Prawda? Wygląda na to, że miałam rację.

- Miała pani - powiedział Lawler. Przyglądała mu się przez chwilę.

- Naprawdę musimy odejść. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. - Jej oczy rozbliły olśniewająco. Wydawała się cieszyć tym wszystkim, niemal upajać tą sytuacją.

Lawler przypomniał sobie, że to już szósta wyspa, na której mieszkała, mając lat trzydzieści jeden. Zmiany nie przeszkadzały jej. Może je nawet lubiła.

Powoli pokiwał głową.

- Dlaczego jest pani tego taka pewna?

- Ponieważ Mieszkańcy nigdy nie zmieniają zdania. Kiedy coś mówią, to trzymają się tego. A zabijanie nurków wydaje się dla nich poważniejszą sprawą niż zabijanie ryb mięsnych lub bangerów. Mieszkańcy nie mają nic przeciwko temu, gdy wypływamy na zatokę i polujemy dla zdobycia żywności. Oni sami jedzą rybie mięso. Jednak nurki to... no cóż, to co innego. Mieszkańcy traktują je bardzo opiekuńczo.

- Tak - powiedział Lawler. - Tak sędzę. Spojrzała mu prosto w oczy. Nie musiała w tym celu unosić głowy.

- Mieszka pan tutaj bardzo długo, prawda, Lawler?

- Całe moje życie.

- Och. Przykro mi. To będzie trudne dla pana.

- Dam sobie radę - odpowiedział. - Na każdej wyspie przyda się jeszcze jeden lekarz.

Nawet tak niedowarzony jak ja. - Zaśmiał się. - A jak tam pani kaszel?

- Nie kaszlałam, od kiedy dał mi pan ten narkotyk.

- Tak sądziłem.

Nagle przy łokciu Lawlera znalazł się znowu Delagard. Nie przeprasząc za

przerwanie rozmowy z Sundirą powiedział: - Czy pójdzie pan ze mną do Skrzelowców, doktorze?

- Po co?

- Znają pana, szanują, jest pan synem swojego ojca i to daje panu u nich punkty.

Uważają pana za poważnego i czciwego człowieka. Jeśli będę musiał obiecać, że opuszczę wyspę, może pan za mnie poręczyć, za moją szczerość, kiedy obiecuję odejść i nigdy nie wracać.

- Jeżeli pan im to powie, uwierzą panu bez mojej pomocy. Nie spodziewają się, aby jakiegokolwiek inteligentne stworzenie kłamało - nawet pan. Jednak to jeszcze niczego nie zmienia.

- Mimo to niech pan ze mną pójdzie, Lawler.

- To strata czasu. Powinniśmy zacząć planować ewakuację.

- Spróbujmy. Nie będziemy pewni, jeśli nie spróbujemy. Lawler rozważył to.

- Teraz?

- Po zmroku - odparł Delagard. - Oni nie chcą teraz widzieć nikogo z nas. Są zbyt zajęci uroczystością otwarcia nowej elektrowni. Uruchomili ją prawie dwie godziny temu, wie pan? Mają idący od wody na ich koniec wyspy przewód, którym płynie prąd.

- Dobrze dla nich.

- Spotkajmy się przy nabrzeżu o zachodzie słońca, dobrze? I obaj pójdziemy z nimi porozmawiać. Zrobi pan to, Lawler?

Po południu Lawler siedział w swojej chacie próbując zrozumieć, co może oznaczać konieczność opuszczenia wyspy, przeżywając tę myśl i zamartwiając się nią. Nie przyszedł żaden pacjent. Delagard, dotrzymując obietnicy danej wczesnym rankiem, przysłał kilka butelek brandy z winnych wodorostów. Lawler wypił troszeczkę, a potem jeszcze troszeczkę,

bez żadnego szczególnego skutku. Właśnie zastanawiał się nad zażyciem jeszcze jednej dawki swojego środka uspokajającego, co nie wydawało się dobrym pomysłem. I bez tego był wystarczająco spokojny, przynajmniej teraz.

To, co czuł, nie było zwykłym niepokojem, lecz raczej jakimś bezsilnym otępieniem, ciężkim brzemieniem depresji, której różowe kropelki nie mogły uleczyć.

Opuszczę wyspę Sorve, myślał. Zamieszkać gdzieś indziej, na wyspie, której nie znam, wśród ludzi, których imiona, przodkowie oraz charaktery będą dla mnie całkowitą tajemnicą.

Mówił sobie, że to nie ma znaczenia, że za kilka miesięcy będzie się czuł jak w domu na Thibeire, Velmise czy Kaggeram, czy jakiegokolwiek innej wyspie, na której ostatecznie osiadzie. Wiedział, że to nieprawda, lecz i tak powtarzał to sobie bez przerwy.

Rezygnacja wydawała się pomagać. Akceptacja, nawet obojętność. Kłopot polegał na tym, że nie mógł pozostawać w stanie permanentnej apatii. Od czasu do czasu odczuwał gwałtowny przypływ zgrozy i zdumienia, poczucie nieodżałowanej straty, a nawet bezgranicznego przerażenia. I wtedy musiał zaczynać wszystko od początku.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Lawler opuścił chatę i ruszył w stronę wału.

Wzeszły dwa księżyce, na niebo powrócił bladossrebrny kształt Sunrise. Zatoka ożyła kolorami półcieni, długimi pasmami odbitego złota i purpury, rozplywającymi się szybko w szarość nocy. Ciemne kształty tajemniczych morskich stworzeń poruszały się wytrwale w płytkich wodach. Było spokojnie: zatoka o zachodzie słońca, cicha, śliczna. Lecz zaraz myśli o podróży dopadły go i wpełzły do jego umysłu. Spojrzał dalej, poza port, na ogrom nieprzyjaznego, niewyobrażalnego morza. Jak daleko będą musieli żeglować, zanim znajdą wyspę, która zechce ich przyjąć? Tydzień? Dwa tygodnie? Miesiąc? Nigdy nie był na morzu, nawet przez jeden dzień. Wtedy, kiedy popłynął na Thibeire, odbył tylko krótką podróż

czółnem, tuż poza płycizny, na drugą wyspę, która znalazła się tak blisko Sorve.

Lawler zrozumiał, że obawia się morza. Czasami wyobrażał je sobie jako ogromną paszczę wielkości świata, która połknęła Hydros w jakiejś pradawnej konwulsji, nie zostawiając nic prócz niewielkich dryfujących wysp, zbudowanych przez Skrzelowców. Jego również połknie ocean, jeśli spróbuje go przepłynąć.

Ze złością powiedział sobie, że to głupota, iż tacy jak Gabe Kinverson wypływali na morze co dnia i żyją, że Nid Delagard odbył w swoim życiu setki podróży między wyspami, że Sundira Thane przybyła na Sorve z Morza Lazurowego, które było tak daleko, że nigdy o nim nie słyszał. Wszystko będzie w porządku. Zaokrętuje się na jeden ze statków Delagarda i za tydzień lub dwa znajdzie się na wyspie, która zostanie jego nowym domem.

A jednak... ta czern, ten ogrom i potęga przerażającego, bezkresnego morza...

- Lawler? - zawołał jakiś głos.

Rozejrzał się wokół. Po raz drugi tego dnia Nid Delagard wyszedł opodal z cienia.

- Chodźmy - powiedział właściciel stoczni. - Robi się późno. Chodźmy porozmawiać ze Skrzelowcami.



Kawałek dalej, na łuku wybrzeża widać było światła elektrowni Skrzelowców. Inne światła, tuziny, a może całe setki, płonęły na ulicach ich miasta. Nieoczekiwana katastrofa wygnania całkowicie usunęła w cień drugie wielkie wydarzenie dnia - rozruch napędzanej turbiną elektrowni na wyspie Sorve.

Płynące z elektrowni światło było zimne, zielonkawe, lekko drwiące. Skrzelowcy mieli coś, co uchodziło za technologię pozostającą na poziomie osiemnastego, dziewiętnastego wieku na ziemi. Wynaleźli też rodzaj żarówki, używając włókna żarowego wykonanego z włókien bambusa morskiego o wszechstronnym zastosowaniu. Żarówki były kosztowne i trudne do wykonania, a prymitywne ogniwo będące głównym źródłem mocy na wyspie, toporne i krnąbrne, wytwarzało elektryczność ospale i z przerwami. Jednak teraz - po ilu latach pracy? pięciu? dziesięciu? - żarówki na wyspie miały być zasilane z nowego i niewyczerpanego źródła - z morza, którego ciepła woda powierzchniowa była zamieniana w parę, para poruszała turbiny generatora, a elektryczność płynęła strumieniem z generatora wprost do lamp na wyspie Sorve. Skrzelowcy wcześniej pozwolili, aby ludzie z drugiego końca wyspy zabierali część nowej energii w zamian za pracę - Sweyner wykonał żarówki, Dann Henders pomógł przeciągnąć przewody itd. Lawler pośredniczył w rozmowach, razem z Delagardem, Nicko Thalheimem i dwoma innymi. Był to jedyny drobny sukces międzygatunkowej współpracy, jaki ludziom udało się osiągnąć w ostatnich latach. Wymagało to około sześciu miesięcy powolnych i trudnych negocjacji. Jeszcze tego ranka, przypomniał sobie Lawler, miał nadzieję wypracować kolejne takie wspólne przedsięwzięcie, tym razem zupełnie sam. Wydawało się, że od tego czasu upłynęło milion lat. A teraz przyszli tutaj po zmroku, aby błagać o to, żeby pozwolono im choć zostać na wyspie.

Delagard powiedział:

- Pójdziemy prosto do chaty szefa, dobrze? Jeśli chodzi o tę sprawę, najlepiej zacząć od góry.

Lawler wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy.

Okrążyli elektrownię i podążyli w kierunku terytorium Skrzelowców, wciąż trzymając się brzegu zatoki. Tutaj wyspa rozszerzała się gwałtownie, jednocześnie przechodząc z niziny przy wale ochronnym w szeroki okrągły płaskowyż, na którym wznosiła się większość osad Skrzelowców. Na dalekim krańcu płaskowyżu znajdował się stromy uskok, gdzie szeroki drewniany wał ochronny opadał stromo w ciemną toń oceanu.

Wioska Skrzelowców była nieregularnym kołem z najważniejszymi budynkami w środku i pozostałymi rozsypanymi bezładnie na obwodzie. Główna różnica między budynkami centralnymi a zewnętrznymi wydawała się polegać na trwałości: budynki centralne mające najwidoczniej przeznaczenie ceremonialne, wykonano z tego samego drewna wodorostowego, z którego zbudowana była sama wyspa. Natomiast budynki zewnętrzne, w których mieszkali Skrzelowcy, były byle jak skleconymi szałasami, zrobionymi z wilgotnych zielonych wodorostów rzuconych na bambusowe kołki. One to wydzielały upiorny odór zgnilizny, piekąc się w słońcu, a kiedy stawały się zbyt suche, poszycie z wodorostów zdzierano i wymieniano na świeże. Wydawało się, że pewna kasta Skrzelowców jest nieustannie zajęta rozbieraniem starych szop i budowaniem nowych.

Przejście z jednego końca terytorium Skrzelowców na drugi zabrałoby około pół dnia marszu. Zanim Lawler i Delagard wkroczyli do wewnętrznego kręgu wioski, Sunrise zniknęła za horyzontem, a na niebie jasno świecił Krzyż Hydros.

- Oto nadchodzą - powiedział Delagard. - Może ja będę mówił pierwszy. Jeżeli zaczną

na mnie sarkać, pan przejmie pałeczkę. Może im pan powiedzieć, że uważa mnie pan za gówno. Wszystko, byle ich przekonać.

- Naprawdę sądzi pan, że cokolwiek ich przekona?

- Cii. Nie chcę słyszeć takiego gadania.

Pół tuzina Skrzelowców - samców, jak zgadywał Lawler - zbliżało się do nich ze środkowej części wioski. Kiedy byli już dziesięć lub dwanaście metrów od nich, zatrzymali się i ustawili w linię prostą.

Delagard podniósł ręce w geście, który oznaczał: "Przychodzimy w pokoju". To było uniwersalne pozdrowienie między ludźmi a Skrzelowcami. Żadna rozmowa nie zaczynała, się bez niego. Skrzelowcy powinni teraz odpowiedzieć ponurym sapaniem, które oznaczało: "Przyjmujemy to do wiadomości i oczekujemy na wasze słowa". Tymczasem nie wydali żadnego dźwięku. Po prostu stali tam i patrzyli.

- Mam złe przeczucia, a pan? - powiedział cicho Lawler.

- Zobaczymy. Zobaczymy.

Delagard ponownie wykonał znak pokoju. Gestami pokazywał im: "Jesteśmy waszymi przyjaciółmi i darzymy was najwyższym szacunkiem".

Jeden ze Skrzelowców wydał dźwięk podobny do pierdnięcia.

Ich błyszczące, żółte oczka, osadzone blisko siebie u podstawy małych głów, z lodowatą obojętnością spoglądały na obu mężczyzn.

- Może ja spróbuję - szepnął Lawler.

Wysunął się naprzód. Wiatr wiał od strony Skrzelowców: przynosił ich wilgotny, ciężki, piźmowy zapach, wymieszany z ostrą wonią gnijących wodorostów od rozklekotanych chat.

Powtórzył znak "Przychodzimy w pokoju". Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, tak samo

jak po znaku "Jesteśmy waszymi przyjaciółmi". Po krótkiej przerwie przystąpił do wykonywania sygnału oznaczającego: "Prosimy o posłuchanie u władcy".

Jeden ze Skrzelowców znowu wydał pierdzący dźwięk. Lawler zastanawiał się, czy był to ten sam osobnik, który huczał i chrapał tak groźnie rankiem tego dnia przy elektrowni. Delagard zaproponował: "Proszę o wybaczenie za niezamierzone wykroczenie".

Cisza; zimne, obojętne oczy spoglądające nieruchomo.

Lawler spróbował: "Jak możemy odpokutować za nasze wykroczenie?" Żadnej reakcji.

- Wszawie skurwysyny - wymamrotał Delagard. - Chętnie wbiłbym dzidę w te ich grube brzuchy.

- One o tym wiedzą - powiedział Lawler. - Dlatego nie chcą z tobą gadać.

- Odejdę. Niech pan rozmawia z nimi sam.

- Jeśli pan sądzi, że warto próbować...

- Ma pan u nich czystą kartę. Niech pan im przypomni, kim pan jest. Kim był pana ojciec i co dla nich zrobił.

- Jeszcze coś? - zapytał Lawler.

- Ja tylko chcę pomóc. Ale niech pan zrobi, jak pan chce. Będę w stoczni. Proszę wstąpić, kiedy pan wróci i powiedzieć, jak poszło.

Delagard zniknął w ciemności.

Lawler zrobił kilka kroków w stronę Skrzelowców i zaczął wszystko od początku, od powitalnego gestu. Następnie przedstawił się: Valben Lawler, lekarz, syn Bernata Lawlera, lekarza, wielkiego uzdrowiciela, którego z pewnością pamiętają, człowieka, który uwolnił ich młode od groźby zarazy.

Czuł ironię losu ukrytą w tej sytuacji: te słowa były wstępem do mowy, którą

przygotowywał przez pół bezsennej nocy. Ostatecznie miał okazję ją wygłosić. Jednak w zupełnie innym kontekście.

Patrzyli na niego nie odpowiadając.

Przynajmniej tym razem nie pierdzą, pomyślał Lawler.

Zasygnalizował: “Kazano nam opuścić wyspę. Czy to prawda?”

Skrzelowiec po lewej wydał głęboki buczący ton oznaczający potwierdzenie.

- To nas bardzo zasmuca. Czy jest jakiś sposób, aby spowodować cofnięcie tego rozkazu?

Skrzelowiec po prawej huknął przecząco.

Lawler patrzył na nich bezradnie. Wiatr wzmógł się, rzucając mu w twarz ich ciężki odór, tak że z trudem powstrzymał mdłości. Skrzelowcy zawsze wydawali mu się dziwni, tajemniczy i nieco odpychający. Wiedział, że powinien przyjmować ich takimi, jacy są, po prostu jako jeden z aspektów świata, w którym zawsze żył, jak ocean i niebo. Lecz mimo długotrwałej znajomości pozostali dla niego stworzeniami z innego świata. Stworzeniami gwiazdnymi. Byli obcy - my i oni, ludzie i obcy, żadnego pokrewieństwa. Dlaczego? - zastanawiał się. Jestem w taki samym stopniu obywatelem tego świata, co oni. Nie ustępował.

- Te nurki zginęły w nieszczęśliwym wypadku. Nie było w tym złej woli.

Pomruk. Sapnięcie. Świst. Znaczenie: “Nie interesuje nas, dlaczego to się stało, tylko że w ogóle to się stało”.

Za sześcioma stojącymi Skrzelowcami włączały się i wyłączały blade, zielonkawe światła oświetlając dziwaczne konstrukcje - posągi? maszyny? pomniki? - które zajmowały otwartą przestrzeń w centrum wioski, przedziwne bryły i węzły metali, cierpliwie wydobywanych z tkanek drobnych morskich stworzeń i gromadzonych w przypadkowo wyglądające, przerdzewiałe sterty żelastwa.

- Delagard obiecuje nigdy więcej nie wykorzystywać nurków - powiedział Lawler

Skrzelowcom, przymilając się i szukając słabszego punktu.

Sapnięcie. Pomruk. Obojętność.

- Czy nie powiedzielibyście nam, jak możemy wszystko naprawić? Żałujemy tego, co się stało. Bardzo tego żałujemy.

Brak odpowiedzi. Zimne, żółte oczy, nieruchome, odległe. To idiotyzm, pomyślał Lawler. Rzucanie słów na wiatr.

- Cholera, to przecież nasz dom! - krzyknął, dopasowując słowa do odpowiadających im wściekłych gestów. - Zawsze nim był!

Trzy dudniące tony opadające tercjami.

- Znaleźć inny dom? - powtórzył Lawler. - Przecież my kochamy to miejsce!

Urodziłem się tutaj. Nigdy przedtem nie wyrządziliśmy wam żadnej krzywdy, nikt z nas. Mój ojciec... znaliście mojego ojca, pomógł wam, gdy...

Znowu pierdzący dźwięk.

To oznacza dokładnie to, co słyszeć, pomyślał Lawler. Nie było sensu kontynuować.

Zrozumiał daremność swoich wysiłków. Traciły do niego cierpliwość. Wkrótce zaczną buczeć, potem chrapać, a w końcu rozgniewają się. A wtedy wszystko może się zdarzyć.

Jeden ze Skrzelowców machnięciem płetwy wskazał, że spotkanie dobiegło końca.

Odprawa nie budziła wątpliwości.

Lawler zrobił gest rozczarowania. Zasygnalizował smutek, niepokój, zmieszanie.

Niespodzianie jeden ze Skrzelowców odpowiedział na to szybką, grzmiącą frazą, która mogła uchodzić za wyraz współczucia. A może była to tylko jego optymistyczna wyobraźnia? Lawler nie był pewien. A później, ku jego zdumieniu, stworzenie wystąpiło z szeregu i z nieoczekiwaną prędkością podbiegło do niego szurając nogami i wyciągając

ramiona - pletwy. Lawler był zbyt zaskoczony, żeby się poruszyć. Co to było? Skrzelowiec unosił się nad nim jak ściana. Oto nadchodzi, pomyślał lekarz, atak - przypadkowy, śmiertelny wybuch irytacji. Stał jak wrośnięty w ziemię. Poczł jakiś gwałtowny impuls samozachowawczy, lecz nie mógł wykrzesać w sobie dość woli, aby spróbować uciec. Skrzelowiec chwycił go za rękę, przyciągnął do siebie i objął pletwami, zamykając go w mocnym pieścnotliwym uścisku. Lawler czuł ostro zakrzywione pazury delikatnie wbijające się w jego ciało, trzymające go z zadziwiającą, tajemniczą delikatnością. Przypomniał sobie czerwone ślady, które pokazał mu Delagard.

W porządku. Rób, co chcesz. Wcale mi nie zależy.

Jeszcze nigdy Lawler nie znalazł się tak blisko Skrzelowca. Głowę miał wciśniętą w ogromną pierś stworzenia. Słyszał serce Skrzelowca bijące nie znanym mu ludzkim dźwiękiem: tuk-tuk, ale raczej jak: fam-fam-fam, fam-fam-fam. Zadziwiający mózg Skrzelowca znajdował się tylko o kilka centymetrów od jego policzka. Fetor dusił Lawlera. Człł zawroty głowy i mdłości, ale, co najdziwniejsze, wcale się nie bał. Było coś obezwładniającego w tym dziwacznym skrzelowcowym uścisku, co nie pozostawiało miejsca na strach, przynajmniej teraz. Bliskość obcego powodowała jakieś wirowanie w jego mózgu. Wrażenie tak silne jak zimowa burza, tak mocne jak sama Fala, przeniknęło gwałtownie całą jego duszę. W ustach miał smak wodorostów. Słona woda płynęła w jego żyłach.

Skrzelowiec trzymał go przez chwilę, jak gdyby chcąc mu coś przekazać - coś, czego nie mogą wyrazić słowa. Uścisk nie był ani przyjazny, ani wrogi. Lawler nie był w stanie tego pojąć. Mocne ramiona obejmowały go ciasno i mocno, jednak najwidoczniej Skrzelowiec nie zamierzał go zranić. Lawler czuł się jak małe dziecko przytulone przez jakąś brzydką, dziwną, nieczułą macochę. Albo jak lalka przyciśnięta do tułowia wielkiej bestii.

Wreszcie Skrzelowiec puścił go i lekko odepchnął, a potem poczłapał w kierunku

pozostałych. Lawler stał jak sparaliżowany. Trząsał się. Patrzył, jak Skrzelowcy, nie zwracając już na niego uwagi, odwrócili się niezdarnie i odeszli z powrotem do swojej wioski. Stał patrząc za nimi przez długą chwilę, niczego nie rozumiejąc. Wciąż czuł na sobie cuchnącą woń Skrzelowca. W tamtej chwili wydawało mu się, że ten zapach pozostanie z nim na zawsze.

To było pożegnanie, zdecydował ostatecznie.

Tak, właśnie to. Skrzelowcowe pożegnanie, czuły uścisk przed rozstaniem się. Może nie tak czuły, ale jednak pożegnalny. Czy to ma sens? Nie, nie ma. To wszystko nie ma sensu. Nazwijmy to pożegnalnym gestem, pomyślał Lawler. I na tym zakończmy tę sprawę.

\* \* \*

Była już późna noc. Lawler powoli wracał brzegiem morza, znów obok elektrowni, do stoczni i do krzywego drewnianego domku, w którym mieszkał Delagard. Delagard gardził mieszkaniem w waragach. Jak sam mawiał, lubił przez cały czas być blisko stoczni. Lawler znalazł go samego, pijącego brandy z winnych wodorostów przy kapryśnym świetle dymiącego kominka. Pokój był mały, zagracony, pełen haków i lin, sieci, wioseł, kotwic, stert rybich skór oraz skrzynek brandy. Przypominał raczej magazyn niż mieszkanie. A był to dom najbogatszego człowieka na wyspie. Delagard pociągnął nosem.

- Śmierdzi pan jak Skrzelowiec. Co pan robił, pozwolił im się przelecieć?

- Zgadł pan. Powinien pan spróbować. Może nauczyłby się pan czegoś nowego.

- Bardzo śmieszne. Ale naprawdę śmierdzi pan jak Skrzelowiec. Czy próbowali złoić panu skórę?

- Jeden z nich otarł się o mnie na odchodne. Myślę, że przypadkowo.

Wzruszając ramionami, Delagard powiedział:

- W porządku. Uzyskał pan coś?



- Nie. A naprawdę sądził pan, że cokolwiek uzyskam?

- Zawsze jest nadzieja. Taki ponurak jak pan może uważać inaczej, ale zawsze jest.

Mamy miesiąc, aby ich ułagodzić. Chce pan drinka, doktorze?

Delagard już nalewał. Lawler wziął kubek i szybko go opróżnił.

- Pora skończyć z głupotami, Nid. Czas przestać marzyć o ułagodzeniu ich.

Delagard podniósł wzrok. Przy bladym, migocącym świetle jego okrągła twarz

wydawała się bardziej nalana niż w rzeczywistości, cienie podkreślały wałki tłuszczu wokół krtani, zmieniając opalone, lśniące policzki w obwisłe wola. Jego oczy wydawały się małe jak paciorki i zmęczone.

- Tak pan myśli?

- Nie ma wątpliwości. Oni naprawdę chcą się nas pozbyć. Nic, co powiemy lub zrobimy, nie zmieni tego.

- Czy powiedzieli to panu?

- Nie potrzebowali. Jestem na tej wyspie wystarczająco długo, aby wiedzieć, że naprawdę tak myślą. I pan też.

- Tak - powtórzył z namysłem Delagard. - Ja też.

- Czas stawić czoło rzeczywistości. Nie ma szans, żebyśmy zdołali ich namówić na wycofanie ultimatum. Jak pan myśli, Delagard? Czy mamy jakąś szansę? Na rany Chrystusa, mamy?

- Nie. Nie sądzę.

- To kiedy przestanie pan udawać, że jest inaczej? Czy muszę przypomnieć panu, co oni zrobili na Shalikomo, kiedy kazali ludziom odejść, a ci nie posłuchali?

- To było Shalikomo, dawno temu. Tutaj jest Sorve, teraz.

- A Skrzelowcy to Skrzelowcy. Chce pan kolejnego Shalikomo tutaj?

- Zna pan na to odpowiedź.

- A więc w porządku. Wiedział pan od początku, że nie ma żadnej nadziei, aby zmienili zdanie. Po prostu pozorował pan działanie? Tylko po to, żeby pokazać wszystkim, jak przejmuję się pan zamieszaniem, które sam pan wywołał.

- Sądzi pan, że was oszukiwałem?

- Tak.

- To nie tak. Czy pan rozumie, co czuję, sprowadziwszy na nas to nieszczęście? Czuję się jak śmieć, Lawler. Tak w ogóle, to za kogo mnie pan uważa? Za bezdusznego krwiopijcę? Sądzi pan, że mogę po prostu wzruszyć ramionami i powiedzieć miastu: to zwykły pech, kochani. Ciągnąłem przez chwilę zyski z zatrudniania nurków, a potem coś się nie udało, więc musimy odejść. Przepraszam za kłopot, to na razie, do zobaczenia wkrótce? Sorve jest moją rodzinną społecznością, doktorze. Czuję, iż muszę pokazać, że przynajmniej próbuję naprawić szkodę, jaką wyrządziłem.

- No dobra. Spróbował pan. Obaj spróbowaliśmy. I niczego nie uzyskaliśmy - zgodnie z oczekiwaniami. Co zamierza pan teraz zrobić?

- A czego się pan po mnie spodziewa?

- Powiedziałem panu wcześniej. Dość czezej gadaniny o całowaniu płetw Skrzelowców i błaganii o wybaczenie. Musimy zacząć zastanawiać się nad tym, jak się stąd wydostać i dokąd się udać. Niech pan zacznie robić plany ewakuacji, Delagard. To pańskie dzieło. Pan to spowodował. Teraz musi pan to załatwić.

- W zasadzie - powiedział wolno Delagard - już nad tym pracuję. Dziś wieczorem, kiedy pan pertraktował ze Skrzelowcami, wysłałem wiadomość do moich trzech okrętów, które obecnie pracują jako promy, aby zawróciły i przybyły tutaj natychmiast, żeby służyć nam jako środki transportu.

- Transportu dokąd?

- Proszę, niech się pan jeszcze napije. - Nie czekając na odpowiedź Delagard znowu napełnił szklanekę Lawlera. - Coś panu pokażę.

Otworzył szafkę i wyjął z niej mapę morską. Był to laminowany plastikowy globus o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów, wykonany z mnóstwa pojedynczych, różnokolorowych pasków spiętych mistrzowską ręką jakiegoś rzemieślnika. Ze środka dobiegało tykanie mechanizmu zegarowego. Lawler pochylił się nad nią. Mapy morskie stanowiły bezcenną rzadkość. Nieczęsto miał okazję obejrzeć podobną mapę z bliska.

- Zrobił ją ojciec Onyosa Felka, Dismas, pięćdziesiąt lat temu - powiedział Delagard. -

Mój ojciec odkupił ją od niego, kiedy stary Felk postanowił, że zajmie się handlem, i potrzebował pieniędzy na zbudowanie statków. Pamięta pan flotę Felka? Trzy statki. Wielka Fala zatopiła je wszystkie. Okropna rzecz, sprzedać mapę, żeby zapłacić za statki, a potem stracić je. Szczególnie, jeśli to najlepsza mapa, jaką kiedykolwiek zrobiono. Onyos oddałby za nią źrenicę jednego oka, lecz dlaczego ja miałbym ją sprzedać? Od czasu do czasu pozwalam na nią spojrzeć.

Okrągłe, purpurowe medaliony wielkości paznokcia u kciuka przesuwały się wolno w dół i górę mapy, około trzydziestu lub czterdziestu, a może nawet więcej. Poruszał je wewnętrzny mechanizm. Większość przesuwała się po linii prostej, podążając od jednego bieguna do drugiego, czasami jednak któraś ześlizgiwała się prawie niezauważalnie na sąsiednie pasmo długości geograficznej w sposób, w jaki prawdziwa wyspa mogłaby zboczyć nieco na wschód lub na zachód, pchana przez główny prąd niosący ją do bieguna. Lawler nie mógł nadziwić się pomysłowości całej konstrukcji.

- Czy pan umie czytać taką mapę? - spytał Delagard. - Te tutaj, to są wyspy. Tutaj jest Morze Ojczyste. Ta wyspa to Sorve.

Małeńka purpurowa plamka, wolno przesuująca się w górę, w pobliżu równika, na tle zieleni pasma, po którym podróżowała: nic nie znacząca cętka, kawałeczek poruszającego się koloru, nic więcej. Zbyt mała, jak na tak ukochaną, pomyślał Lawler.

- Pokazano tutaj cały świat, przynajmniej tak, jak my go rozumiemy. To są wyspy zamieszkałe, purpurowe - to wyspy zamieszkałe przez ludzi. To jest Morze Czarne, to Morze Czerwone, a to tutaj Morze Żółte.

- A gdzie jest Morze Lazurowe? - zapytał Lawler. Delagard był lekko zdumiony.

- O, daleko stąd, w górę, na drugiej półkuli. Co pan wie o Morzu Lazurowym, doktorze?

- Niewiele. Ktoś niedawno wspomniał o nim przy mnie, to wszystko.

- Cholernie daleka podróż, to Morze Lazurowe. Nigdy tam nie byłem.

Delagard odwrócił globus, aby pokazać Lawlerowi drugą stronę.

- Tutaj jest Morze Puste. Ta duża plama tutaj na dole to Oblicza Wód. Czy pamięta pan wspaniałe historie, które stary Jolly opowiadał nam o Obliczach Wód?

- Gderliwy stary kłamca. Chyba nie wierzy pan, że dotarł aż tam?

Delagard mrugnął do niego.

- To była niesamowita historia, prawda?

Lawler przytaknął, a myślami wrócił na chwilę blisko trzydzieści pięć lat wstecz, do starego, wysmaganego wiatrami człowieka, który często powtarzał opowiadanie o swej samotnej podróży przez Morze Puste, o tajemniczym i przypominającym sen spotkaniu z Obliczami, wyspą tak dużą, że można by na niej pomieścić wszystkie wyspy tego świata, rozległym i groźnym miejscem wypełniającym horyzont, wznoszącym się jak czarna ściana z oceanu w tym odległym i cichym zakątku świata. Na mapie Oblicza Wód były jedynie ciemną, nieruchomą łata wielkości męskiej dłoni, nierówną czarną skazą na pustej poza tym

przestrzeni drugiej półkuli, umieszczoną nisko, prawie w regionie bieguna południowego.

Odwrócił globus z powrotem na drugą półkulę i obserwował wolno wędrujące wyspy.

Lawler zastanawiał się, jak wykonana tak dawno mapa mogła przewidzieć bieżące położenia wysp. Z pewnością ich pierwotny kurs został zniekształcony przez różne krótkotrwałe zjawiska pogodowe. A może twórca mapy wziął to wszystko pod uwagę, wykorzystując jakąś naukową wiedzę tajemną odziedziczoną po ogromnym świecie nauki innych galaktyk? Na Hydros wszystko było takie prymitywne, że Lawler był zawsze zdumiony, kiedy jakkolwiek mechanizm działał. Wiedział jednak, że inaczej rzeczy się miały w innych zamieszkałych planetach przestrzeni, tam gdzie mieli lądy, zasoby metali i możliwość poruszania się ze świata do świata. Do tych światów przeniesiono technologiczne cuda Ziemi, tej starej, utraconej matki światów. Jednak tutaj nie było niczego takiego.

Po chwili powiedział:

- Jak dokładna jest pańskim zdaniem ta mapa? Biorąc pod uwagę, że ma już pięćdziesiąt lat.

- A czy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat dowiedzieliśmy się czegoś nowego o Hydros? To najlepsza mapa morską, jaką mamy. Stary Felk był mistrzem w swym rzemiośle, rozmawiał też z każdym, kto wypływał na morze, dokądkolwiek. Te informacje sprawdzał z obserwacjami prowadzonymi z kosmosu na Sunrise. To dokładna mapa. Diabelnie dokładna. Lawler jak zahipnotyzowany śledził ruchy wysp. Może mapa naprawdę podawała wiarygodne informacje, a może nie; nie on będzie o tym decydować. Nigdy nie rozumiał, jak człowiek na morzu może znaleźć powrotną drogę do swojej własnej wyspy, nie mówiąc już o jakiejś odległej wyspie, biorąc pod uwagę, że i statek, i wyspa były w ciągłym ruchu. Muszę o to kiedyś zapytać Gaba Kinversona, pomyślał.

- W porządku. Jaki jest pański plan? Delagard wskazał mu Sorve.

- Widzi pan tę wyspę na południowy zachód od nas, zbliżającą się wzdłuż sąsiedniego pasma? To Velmise. Dryfuje na pomocny wschód, poruszając się z większą niż my prędkością, i minie nas w stosunkowo bliskiej odległości za około miesiąc. Wtedy podróż do niej zajmie około dziesięciu dni, może nawet mniej. Zamierzam porozumieć się z moim synem, który tam mieszka, i zapytać, czy zechcą nas przyjąć, wszystkie siedemdziesiąt osiem osób.

- A jeśli nie? Velmise wygląda na bardzo małą.

- Mamy inne możliwości. Oto Salimil zbliżająca się z drugiej strony. Będzie o około dwa i pół tygodnia od nas, kiedy będziemy musieli stąd odejść.

Lawler zastanowił się nad perspektywą spędzenia dwu i pół tygodnia na statku na otwartym morzu, w palącym słońcu, w ciągłych wysuszających podmuchach słonej morskiej bryzy, jedząc suszoną rybę, przemierzając tam i z powrotem niewielki pokład i widząc tylko ocean i ocean.

Sięgnął po butelkę brandy i napełnił sobie kubek.

Delagard rzekł:

- Jeśli Salimil nas nie weźmie, mamy Kaggeram tutaj w dole, albo Shaktan, lub nawet Grayvard. Mam krewnych na Grayvard. Myślę, że mogę coś zorganizować. To będzie jakieś osiem tygodni podróży.

Osiem tygodni? Lawler próbował sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało. Po chwili powiedział:

- W ciągu trzydziestu dni nigdzie nie znajdzie się miejsca dla siedemdziesięciu ośmiu ludzi. Ani na Velmise, ani Salimil, ani nigdzie indziej. W takim przypadku będziemy musieli się rozdzielić, część pójdzie tutaj, a część tam.

- Nie! - rzucił gwałtownie Lawler.

- Nie?

- Nie zgadzam się. Chcę, aby społeczność pozostała razem.

- A jeśli to okaże się niemożliwe?

- Musimy znaleźć jakiś sposób. Nie możemy rozproszyć grupy ludzi, która była razem przez całe swoje życie, po całym tym przeklętym oceanie. Jesteśmy rodziną, Nid.

- Czyżby? Nie sądzę, abym myślał w ten sposób.

- To radzę zacząć.

- No cóż - powiedział Delagard. Siedział cicho, marszcząc brwi. - Myślę, że w ostateczności moglibyśmy po prostu przybić do jednej z wysp, które nie są obecnie zamieszkałe przez ludzi i poprosić mieszkających tam Skrzelowców o azyl. To się już zdarzało.

- Tamtejsi Skrzelowcy będą wiedzieli, że zostaliśmy wygnani stąd i dlaczego.

- Może to nie będzie miało znaczenia. Zna pan Skrzelowców równie dobrze jak ja, doktorze. Wielu z nich jest bardzo tolerancyjnych wobec nas. Dla nich jesteśmy jeszcze jednym przykładem niezbadanych kolei wszechświata, czegoś, co po prostu wyrzuciło na ich brzegi ogromne morze kosmosu. Oni rozumieją, że kwestionowanie tajemniczych zwyczajów wszechświata jest zwykłą stratą czasu. Dlatego też, jak sądzę, wzruszyli tylko ramionami i pozwolili nam wtargnąć na swoje terytorium, kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy.

- Najmądrzejsi z nich być może myślą w ten sposób. Reszta pogardza nami i nie chce mieć z nami nic wspólnego. Dlaczego, do diabła, mają nas wziąć Skrzelowcy z innej wyspy, jeśli Skrzelowcy z Sorve wyrzucili nas jako morderców?

- Damy sobie radę - powiedział spokojnie Delagard, nie reagując na mocne słowo. W obydwu dłoniach ścisnął kubek brandy, w który wbił wzrok. - Pojedziemy na Velmise lub Salimil, lub Grayvard, jeżeli będziemy musieli, albo do jakiegoś nowego miejsca. I zostaniemy razem, budując dla siebie nowe życie. Dopilnuję tego. Może pan na mnie liczyć,

doktorze.

- Czy ma pan wystarczająco dużo statków?

- Mam sześć. Po trzynaścioro na statek i nawet nie odczujemy tłoku. Niech się pan nie martwi, doktorze. Niech się pan napije.

- Już wypilem.

- W takim razie, czy pozwoli pan, że ja się napiję?

- Ależ proszę bardzo.

Delagard zaśmiał się. Był coraz bardziej pijany. Przez chwilę pieścił mapę, jakby to była kobieca pierś, następnie podniósł ją ostrożnie i umieścił z powrotem w szafce. Butelka brandy była już prawie pusta. Nie wiadomo skąd Delagard wyjął następną i nalał sobie dużego drinka. Nalewając zachwiał się, złapał równowagę, zachichotał.

- Może pan być pewien jednego, doktorze - wybełkotał. - Zaryzykuję głowę, aby znaleźć dla nas nową wyspę i dowieźć nas tam bezpiecznie. Czy wierzy mi pan, doktorze?

- Pewnie, że tak.

- I może pan wybaczyć mi to, co zrobiłem tamtym nurkom? - spytał Delagard.

- Tak. Tak.

- Jest pan kłamcą. Nienawidzi mnie pan.

- Skończ z tym, Nid. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musimy z tym żyć.

- Słowa prawdziwego filozofa. Proszę, jeszcze jeden.

- W porządku.

- I jeszcze jeden dla starego Nida Delagarda. Dlaczego nie? Jeszcze jeden dla starego,

dobrego Delagarda. Proszę bardzo, Nid. Ależ dziękuję, Nid. Dziękuję bardzo. Do diabła, to jest świetne. Świetny... po prostu świetny... - Delagard ziewnął. Oczy zamknęły mu się, a

głowa pochyliła nad stołem. - Świetny... trunek... - wymamrotał. Ziewnął znowu, cicho



beknął i po chwili już spał. Lawler dopił swoją brandy i wyszedł.

Na zewnątrz było cicho, słychać było jedynie plusk fal o brzeg zatoki, do którego

Lawler był tak przyzwyczajony, że prawie go nie słyszał. Do świtu brakowało jednej lub dwóch godzin. Krzyż płonął nad głową, bezlitośnie przecinając czarne niebo od horyzontu do horyzontu, jakby był lśniąca, czteroramienną konstrukcją zamocowaną dla utrzymania świata w jednym miejscu.

Umysł Lawlera osiągnął stan kryształowej klarowności. Niemal słyszał pracę swojego mózgu.

Pojął, że wcale nie żałuje wyjazdu z Sorve. Ta myśl zdziwiła go. Jesteś pijany, powiedział sobie.

Być może. Lecz w jakiś sposób, pośród nocy, otrząsnął się z szoku spowodowanego wygnaniem. Lawler nie był pewien, czy to stan stały, czy jedynie przejściowy. Lecz przynajmniej w tym momencie, nagle, był w stanie śmiało stawić czoło tej myśli. Wyjazd stąd stał się czymś, z czym mógł sobie poradzić. Było w tym nawet coś więcej. Perspektywa podróży była...

Radosna? Czy to możliwe?

Tak, radosna. Wzorzec jego życia był raz na zawsze ustalony, zamrożony - doktor

Lawler z Sorve, człowiek z Pierwszej Rodziny, Lowler z Lawlerów, starzejący się z dnia na dzień; wykonuj codzienną pracę, lecz chorych najlepiej jak umiesz, pospaceruj wzdłuż wału morskiego, popływaj sobie, powędkuj troszeczkę, poświęć odpowiednio dużo czasu na przygotowanie czeladnika, jedz i pij, odwiedzaj starych przyjaciół, tych samych bardzo starych przyjaciół, których miałeś, kiedy byłeś chłopcem, potem idź spać, wstań i zaczynaj wszystko od nowa, zima czy lato, deszcz czy susza. Teraz ten wzorzec zmieni się. Będzie mieszkał gdzieś indziej. Może stanie się kimś innym. Ta myśl fascynowała go. Z

zaskoczeniem stwierdził, że był nawet odrobinę wdzięczny losowi. Mimo wszystko żył tutaj już bardzo długo. Zbyt długo był sobą.

Jesteś bardzo, bardzo pijany, powtórnie powiedział sobie Lawler i roześmiał się.

Bardzo, bardzo, bardzo pijany.

Przyszedł mu do głowy pomysł, aby przespacerować się po śpiącej osadzie, odbyć rodzaj sentymentalnej podróży i pożegnać się, przyjrzeć się wszystkiemu, jakby to była ostatnia noc na Hydros, przeżyć wszystko, co mu się przytrafiło tutaj i tam, tam i tutaj, każdy epizod swego życia. Miejsca, gdzie przystawał z ojcem, wyglądając na morze, gdzie słuchał fantastycznych opowiadań starego Jolly'ego, gdzie złapał swoją pierwszą rybę. Gdzie obejmował swoją pierwszą dziewczynę. Sceny związane z przyjaźniami, miłościami, takimi jakie one były. Ta strona zatoki, w której prawie zakłuł Nicko Thalheima. I miejsce za składem kości, gdzie podglądał siwobrodego Marinusa Cadrella uprawiającego miłość z siostrą Damisa Sawtelle'a, Mariam, która była teraz w klasztorze. Przypomniało mu to, jak sam pieprzył się z Mariam, kilka lat później, w części wyspy należącej do Skrzelowców. Oboje wtedy ryzykowali i uwielbiali to.

Wszystko wracało jak fala powodzi. Mglista postać matki. Bracia; ten, który zmarł o wiele za młodo, i drugi, który poszedł na morze i odpłynął na zawsze z jego życia. Ojciec, niestrudzony, potężny, odległy, zaabsorbowany wszystkim, bez końca ćwiczący go w technice medycznej wtedy, gdy chętniej pluskałby się w zatoce; te czasy młodości, która wcale nie była beztraska, tyle zawierała godzin przymusowej nauki, nie pozostawiającej czasu na gry i zabawy. Pewnego dnia zostaniesz lekarzem powtarzał mu w kółko ojciec. Zostaniesz lekarzem. Jego żona, Mireyl, wsiadająca na pokład promu "Morvendir". Czas cofał się. Tik - i widział dzień wycieczki na wyspę Thibeire. Tak - i już biegnie z Nestorem Vanezem, zataczając się ze śmiechu, uciekając przed rozwścieczoną samicą Skrzelowca,

którą obrzucili zepsutymi jajami. Tik - i oto nadchodzi delegacja o twarzach zastygłych w smutku, która przyszła mu powiedzieć, że jego ojciec zmarł i on teraz będzie lekarzem. Tak - dowiaduje się, co to znaczy przyjąć na świat dziecko. Tik - tańczy po pijanemu na szczycie wału, w samym środku trójksiężycowej nocy, razem z Nicko i Nestorem Lyonidesem, Moirą, Meelą, i Quiggim; młody, wesoły Valben Lawler, który teraz wydawał mu się kimś obcym, kimś, kogo znał przelotnie dawno, dawno temu. Całe czterdzieści lat życia na Sorve widziane wstecz. Tik. Tak. Tik. Tak. No cóż, zrobię sobie przed świtem długi, miły spacer w przeszłość, pomyślał. Od końca do końca wyspy. Wydało mu się jednak, że przedtem powinien na chwilę wrócić do swojej chaty - chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Potknął się, pokonując niski próg, i runął jak długi. Leżał tak jeszcze dwie godziny później, gdy słońce wstało i obudziło go.

Przez moment Lawler nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co robił i mówił poprzedniej nocy. Później wróciła mu pamięć. Uścisk Skrzelowca. Wciąż czuł jego zapach. Potem Delagard, brandy, więcej brandy, perspektywa wyjazdu na Velmise, Salimil, może nawet Grayvard. I ta dziwna radość na myśl o opuszczeniu Sorve. Czy to było prawdziwe? Tak. Tak. Teraz był trzeźwy, a czuł to samo.

Ale - mój Boże - moja głowa!

Ciekawe, ile brandy, pomyślał, zdołał Delagard wlać we mnie zeszłej nocy?

Na zewnątrz chaty dziecinny, wysoki głosik zapytał:

- Doktorze? Skaleczyłem się w nogę.

- Chwileczkę - wychrypiał Lawler głosem zgrzytliwym jak pilnik.

Tego wieczoru w domu społecznym odbyło się zebranie w celu przedyskutowania powstałej sytuacji. Powietrze w środku było gęste i parujące, cuchnące potem. Temperatura uczuć rosła. Lawler siedział w kącie sali naprzeciw drzwi, na swoim zwykłym miejscu. Stąd widział wszystko. Delagard nie przyszedł. Przysłał wiadomość, że niecierpiące zwłoki sprawy zatrzymują go w stoczni, w oczekiwaniu na wiadomości ze statków.

- To pułapka - powiedział Dann Henderson. - Skrzelowcy są zmęczeni naszą obecnością tutaj, nie chcą jednak trudzić się zabijaniem nas. Zamierzają więc zmusić nas do wyjścia w morze, gdzie zrobią to za nich ramehorny i morskie lamparty.

- Skąd pan to wie? - zapytał Nicko Thalheim.

- Nie wiem. Tylko zgaduję. Staram się zrozumieć, dlaczego każą nam opuścić wyspę z powodu czegoś tak trywialnego jak trzy nieżywe nurki.

- Trzy nieżywe nurki nie są sprawą trywialną! - krzyknęła Sundira. - Mówimy o inteligentnych stworzeniach!

- Inteligentnych? - powiedział drwiąco Dag Tharp.

- Jeszcze jak! I gdybym była Skrzelowcem i odkryłabym, że przekłęci ludzie wybijają nurki, również chciałabym się ich pozbyć.

Henders stwierdził:

- Nieważne. Chcę powiedzieć, że jeśli Skrzelowcom uda się wyrzucić nas stąd, cały ocean powstanie przeciw nam, gdy tylko znajdziemy się na wodzie. I to nie przypadkiem. Skrzelowcy kontrolują wszystkie morskie zwierzęta. Każdy o tym wie. Użyją ich, żeby nas zniszczyć.

- A jeśli po prostu nie damy Skrzelowcom wyrzucić się z stąd? - zapytał Damis

Sawtelle. - Jeżeli będziemy walczyć?

- Walczyć? - rzekł Bamber Cadrell. - Jak walczyć? Czym? Rozum ci się pomieszał, Damis?

Obaj byli kapitanami promów, solidnymi, praktycznymi ludźmi i przyjaźnili się od dziecka. Teraz patrzyli na siebie tępym, groźnym wzrokiem zajadłych wrogów.

- Ruch oporu - odparł Sawtelle. - Wojna partyzancka.

- Zakradniemy się na ich koniec wyspy i ukradniemy ze świętych budowli coś, co wygląda na ważne - zaproponował Nimber Tanamind. - Nie oddamy, dopóki nie pozwolą nam zostać.

- Moim zdaniem to głupi pomysł - powiedział Cadrell.

- Zgadzam się - dodał Nicko Thalheim. - Kradzież ich fetyszy nic nam nie da. Należy stawić zbrojny opór, tak jak mówi Damis. Wojna partyzancka, absolutnie. Krew Skrzelowców popłynie ulicami, dopóki nie wycofają ultimatum. Oni na tej planecie nawet nie znają pojęcia wojny. Kiedy zaczniemy walczyć, nie będą nawet wiedzieli, co robimy.

- Shalikomo - powiedział ktoś z tyłu. - Pamiętajcie, co tam się wydarzyło.

- Shalikomo, tak! - zawołał inny głos. - Wymordują nas w ten sam sposób! I nie będziemy ich mogli powstrzymać!

- Racja - powiedziała Marya Hain. - To my nie mamy pojęcia, co to wojna, nie oni.

Oni wiedzą, jak zabijać, jeśli chcą. A czym ich zaatakujemy, nożami do czyszczenia ryb? Młotami i dłutami? Nie jesteśmy wojownikami. Nasi przodkowie być może, lecz my nie wiemy, co oznacza to słowo.

- Musimy się nauczyć - powiedział Thalheim. - Nie możemy pozwolić się wyrzucić z naszych domów.

- Nie możemy? - spytała Marya Hain. - A jaki mamy wybór? Jesteśmy tutaj tylko dzięki ich zezwoleniu. Które teraz cofnęli. To ich wyspa. Jeśli spróbujemy się opierać,

wyłapią nas jednego po drugim i wrzucą do morza, podobnie jak to było na Shalikomo.

- Zabierzemy ze sobą wielu z nich - rzucił wściekle Damis Sawtelle.

Dann Henders wybuchnął śmiechem.

- Do morza? Świetnie. Świetnie. Będziemy trzymać ich głowy pod wodą, dopóki nie utoną.

- Wiesz, co mam na myśli - burknął Sawtelle. - Oni zabiją jednego z nas, my zabijemy jednego z nich. Kiedy raz zaczną umierać, cholernie szybko zmienią zdanie co do naszego wyjazdu.

- Pozabijają nas szybciej niż my ich - stwierdziła żona Poilina Stayvola, Leynila.

Stayvol był drugim kapitanem we flocie Delagarda, po Gospo Struvinie. Teraz prowadził prom na Kentrup. Leynila, niska i energiczna, jak zwykle sprzeciwiała się wszystkiemu, co mówił Damis Sawtelle. Ich stosunki były takie same, od czasu kiedy byli dziećmi. - A nawet jeśli nie, co przez to uzyskamy?

Dana Sawtelle pokiwała głową. Przeszła przez pomieszczenie, po czym stanęła obok Maryi i Leynili. Większość kobiet znalazła się po tej stronie, a garstka mężczyzn tworzących frakcję wojenną - po drugiej stronie.

- Leynila ma rację. Jeśli spróbujemy walczyć, wszyscy zginiemy. Jaki to ma sens?

Jeżeli wybuchnie wojna i będziemy bohatersko walczyć, żeby zginąć co do jednego, to czy nie lepiej po prostu wsiąść na statek i odpłynąć?

Jej mąż odwrócił się do niej i powiedział:

- Siedź cicho, Dana.

- Nie będę, Damis! Do diabła, nie będę! Myślisz, że” będę siedzieć jak dziecko, kiedy wy rozmawiacie o ataku na fizycznie silniejsze obce stworzenia, przewyższające nas liczebnie w stosunku dziesięć do jednego? Nie możemy z nimi walczyć.

- Musimy.

- Nie. Nie.

- To głupota, ta cała gadanina o walce. Oni tylko blefują - powiedziała Lis Niklaus. -

Przecież nie każą nam odejść.

- A jednak zrobią to...

- Nie, jeśli Nid będzie miał cokolwiek do powiedzenia!

- To właśnie twój cenny Nid wpakował nas w to wszystko! - wrzasnęła Marya Hain.

- I on nas z tego wyciągnie. Skrzelowcy są rozgniewani teraz, ale nie będą...

- A co pan myśli, doktorze? - zawołał ktoś. Lawler siedział cicho w czasie tej dyskusji, czekając, aż wypalą się emocje. Zbyt szybkie włączanie się do dyskusji byłoby błędem. Teraz

wstał. Nagle w pokoju zrobiło się cicho. Wszystkie oczy spoczęły na nim. Od niego

oczekiwali odpowiedzi, jakiegoś cudu, jakiejś nadziei zawieszenia wyroku. Wierzyli, że on

udzieli im tej odpowiedzi. Podpora społeczności, potomek słynnego Założyciela, lekarz

darzony zaufaniem, który znał ich ciała lepiej niż oni sami; mądry i spokojny, szanowany

rozdawca mądrych rad. Rozejrzał się dokoła i zaczął mówić:

- Przykro mi, Damis, Nicko, Nimber. Uważam, że rozmowy o oporze do niczego nie doprowadzą. Musimy sobie jasno powiedzieć, że to żadne wyjście.

Natychmiast rozległy się niechętnie pomruki wśród zwolenników wojny. Lawler

uciszył je chłodnym spojrzeniem.

- Walczyć ze Skrzelowcami to jak próbować wypić morze do sucha. Nie mamy broni.

Jest nas może czterdziestu sprawnych, zdolnych do walki mężczyzn, przeciwko setkom. Nie

warto nawet o tym myśleć.

Zapadła lodowata cisza. Widział jednak, że jego spokojne słowa osiągnęły cel: ludzie

wymieniali spojrzenia, głowy potakiwały. Zwrócił się do Lisy Niklaus:

- Lis, Skrzelowcy nie blefują, a Nid nie ma żadnego sposobu, aby zmusić ich do cofnięcia rozkazu. Rozmawiał z nimi, i ja też. Wiecie o tym. Jeśli wciąż myślicie, że Skrzelowcy mają zamiar zmienić zdanie, jesteście marzycielami.

Jak ponuro wyglądali, jak smutno! Sweynerowie, Dag Tharp, gromadka Thalheimów, Sawtellesowie, Sidero Volkin i jego żona Elka, Dann Henders, Martin Yanez, młody Josc Yanez, Lis, Leo Martello, Pilya Brown, Leynila Stayvol, Sundira Thane. Znał ich wszystkich tak dobrze, z wyjątkiem kilku. Byli jego rodziną, tak jak to powiedział Delagardowi w tę pijaną noc. Tak. Tak było. Wszyscy na tej wyspie.

- Przyjaciele - powiedział - lepiej stawmy czoło rzeczywistości. Nie podoba mi się to tak samo jak wam, ale nie mamy wyboru. Skrzelowcy mówią, że musimy odejść? W porządku. To ich wyspa. Mają przewagę liczebną, mają siłę. My wkrótce będziemy mieszkać gdzie indziej i tyle. Chciałbym móc powiedzieć wam coś weselszego, ale nie mogę. Nikt nie może. Nikt.

Czekał na jakąś gwałtowną odpowiedź ze strony Thalheima, Tanaminda lub Damisa Sawtella. Nie mieli jednak nic więcej do powiedzenia. Trudno było coś dodać. Cała ta gadanina o zbrojnym oporze była tylko pustą retoryką. Spotkanie zakończono bez podsumowania. Nie mieli wyboru - musieli ustąpić; teraz każdy to widział.

Lawler stał przy wale między stoczną Delagarda a elektrownią Skrzelowców, obserwując zmieniające się kolory zatoki. Było późne popołudnie w drugim tygodniu od czasu ultimatum. Nagle zobaczył pływającą w morzu Sundirę Thane. W połowie ruchu ramieniem spojrzała w górę i pomachała mu. Lawler uklonił się i pomachał ręką. Jej długie, smukłe nogi błysnęły w nożycowatym ruchu i pomknęła naprzód, wyginając ciało w nagłym, zwinnym skręcie.

Przez moment Lawlerowi mignęły nad wodą blade, chłopiące pośladki, a potem



Sundira śmignęła dalej, tuż pod powierzchnią, jak smukły, nagi, smagły duch, odpływający od brzegu spokojnymi i mocnymi ruchami. Lawler podążał za nią wzrokiem, aż zniknęła mu z pola widzenia. Pływa jak Skrzelowiec, pomyślał. Czy ona w ogóle potrzebuje oddychać? Mireyl była równie dobrym pływakiem, pomyślał.

Lawler zmarszczył brwi. Zdziwiło go, że jego była żona niespodziewanie pojawiła się z przeszłości. Nie myślał o niej od wieków. A potem przypomniał sobie, że wspominał ją ubiegłej nocy, w czasie swej pijackiej wędrówki. Mireyl, tak. Dawna historia.

Teraz prawie ją widział. Nagle znów miał dwadzieścia trzy lata, był młodym, świeżo upieczonym lekarzem, a ona stała przed nim: jasnowłosa i jasnoskóra, zwarta, szeroka w biodrach i ramionach, o nisko położonym środku ciężkości; nie kobieta, a mocny mały pocisk, okrągły, muskularny i śmiały. Nie widział jednak wyraźnie jej twarzy. W ogóle nie pamiętał jej twarzy.

Była cudowną pływaczką. W wodzie poruszała się jak oszczep. Nigdy się nie męczyła i mogła pozostać zanurzona bardzo, bardzo długo. Mimo iż był silny i sprawny, Lawler musiał ciężko pracować, aby dogonić ją w wodzie. Często odwracała się w końcu ze śmiechem i czekała na niego, a on podpływał do niej, obejmował ciasno i trzymał blisko przy sobie.

Znowu pływali. Zbliżył się do niej, a ona wyciągnęła do niego ramiona. Wokół nich pływały w wodzie drobne lśniące stworki, giętkie i przyjazne.

- Powinniśmy się pobrać - powiedział.

- Naprawdę?

- Tak, powinniśmy.

- Żona lekarza. Nigdy nie sądziłam, że będę żoną lekarza - zaśmiała się. - Jednak ktoś musi nią być.

- Nie, nie ktoś. Ja chcę, abys ty nią była. Wywinęła się z jego objęć i zaczęła płynąć.

- Złap mnie, to za ciebie wyjdę!

- To nie fair. Miałaś fory.

- Nigdy nie jest fair! - krzyknęła do niego. Uśmiechnął się szeroko i popłynął za nią, płynąc szybciej niż kiedykolwiek przedtem, i tym razem dogonił ją gdzieś w połowie zatoki.

Nie wiedział, czy dlatego, że płynął powyżej swych możliwości, czy też dlatego, że ona pozwoliła się złapać. Prawdopodobnie z obu powodów, zdecydował. Tak więc lekarz miał żonę.

- Czy jesteś szczęśliwa? - pytał.

- O tak, tak.

- Ja też.

Trwały związek. Tak przynajmniej uważał. Ona jednak stawiała się niespokojna. Po pierwsze, przybyła na Sorve z innej wyspy, a potem chciała jechać dalej, chciała zobaczyć świat, a on był przywiązany do Sorve swoim zawodem, swoim zdyscyplinowanym temperamentem, milionem niewidzialnych więzi. Nie rozumiał jej niespokojnej natury: sądził, że tęsknota za innymi wyspami jest jedynie przejściowa, że wyrośnie z niej, gdy tylko ułoży się ich wspólne życie na Sorve.

Teraz inna scena. W porcie jedenastej miesiący po ich ślubie. Mireyl wsiada na międzywyspowy prom Delagarda udający się na Morvendir, przystaje na molo, odwraca się i macha do niego. Lecz nie uśmiecha się. On też nie, niepewnie kiwając jej ręką. Potem ona odwraca się plecami i znika.

Lawler nigdy więcej o niej nie słyszał. To było dwadzieścia lat temu. Miał nadzieję, że jest szczęśliwa, gdziekolwiek była.

W oddali zobaczył ławice latających ryb, wyskakujących z wody i miotających się

gwałtownymi przelotami. Ich łuski migotały czerwienią i złotem jak drogie kamienie z bajek jego dzieciństwa. Nigdy nie widział drogich kamieni - nic podobnego nie istniało na Hydros - trudno jednak było wyobrazić sobie, by mogło być coś piękniejszego niż latające ryby w powietrzu o zachodzie słońca. Nie umiał też wyobrazić sobie piękniejszej scenerii niż zatoka Sorve w wieczornych kolorach. Jaki wspaniały letni wieczór! Były też inne pory roku, kiedy powietrze nie było takie miękkie i łagodne - gdy wyspa wpływała na wody polarne, smagana ciężkimi porywami wiatru, zamiatana ostrym jak nóż mokrym śniegiem. Okresy, kiedy jest sztormowa pogoda, tak że nikt nie odważy się wyjść dalej niż na krawędź zatoki po ryby i rośliny, a wszyscy jedzą suszoną rybę i mąkę glonów oraz suszone pasma morskich wodorostów, i tłocząc się w swoich chatkach niecierpliwie czekają na powrót ciepła. Ale lato! Ach, lato, kiedy wyspa przesuwiała się na wody tropikalne! Nie było nic lepszego. Dlatego wygnanie wyspy w środku lata było tym bardziej bolesne: podstępnie ukradziono im najpiękniejszą porę roku.

Czyż nie taka była jednak historia rodzaju ludzkiego od jego początku? - pomyślał.

Jedno wygnanie za drugim, począwszy od raju. Eksmisja za eksmisją.

Patrząc teraz na zatokę w całej jej krasie, Lawler poczuł na nowo ostry ból utraty. Jego życie na Sorve z każdą chwilą nieodwracalnie uciekało w przeszłość. Ciągle była w nim jeszcze ta dziwna radość na myśl o rozpoczęciu nowego życia gdzieś indziej, którą poczuł pierwszej nocy. Jednak nie przez cały czas.

Myślał o Sundirze. Jak by to było, gdyby się z nią przespał.

Nie było sensu udawać, że go nie pociągała. Te długie, gładkie nogi, ta zwinna, smukła, atletyczna sylwetka. Jej energia, jej pewny siebie sposób bycia. Wyobrażał sobie, jak głaszcze palcami wnętrza jej ud, gładką i chłodną skórę. Jak wtula głowę w zagłębienie między jej ramieniem i szyją. Te nieduże, twarde piersi w jego dłoniach, małe sutki, tward-

niejące pod dotykiem palców. Jeśli Sundira kochała się choć w połowie z takim wigorem, jaki wkładała w pływanie, musiała być nadzwyczajna.

To dziwne uczucie - znowu pożądać kobiety. Przez długi czas Lawler był samowystarczalny: poddać się pragnieniu znaczyło stracić część pracowicie skonstruowanej zbroi. Lecz perspektywa opuszczenia wyspy pobudziła wszystko, co leżało spokojnie na dnie jego duszy.

Po chwili uświadomił sobie, że minęło co najmniej dziesięć minut, może nawet więcej, a on nie widział Sundiry wynurzającej się na powierzchnię. Nawet świetny pływak nie mógł tego dokonać, jeśli był człowiekiem. Nagle zaniepokojony, Lawler wpatrywał się w powierzchnię wody.

Nagle zobaczył ją po lewej, idącą ku niemu promenadą przy wale morskim. Jej ciemne, wilgotne włosy były związane ciasno z tyłu. Miała na sobie błękitną szatę z wodorostów, lekko rozpiętą z przodu. Musiała okrążyć wyspę od południa i nie zauważona wyszła na brzeg przy rampie obok stoczni.

- Czy mogę się przyłączyć? - zapytała. Lawler zrobił szeroki gest ręką.

- Tu jest mnóstwo miejsca.

Podeszła do niego i stanęła w tej samej pozycji co on, oparta łokciami o balustradę i pochylona do przodu, patrząc w wodę.

Powiedziała:

- Kiedy przed chwilą przepływałam tędy, wyglądał pan bardzo poważnie. Zamyślony.

- Naprawdę?

- A czy był pan zamyślony?

- Tak sędzę.

- Myśląc o czymś wielkim, doktorze?

- Właściwie nie. Po prostu myślałem. - Nie kwapił się, aby wyjaśnić jej, o czym to myślał przed chwilą. - Próbowałem pogodzić się z koniecznością opuszczenia wyspy - powiedział, improwizując naprędce. - Z koniecznością ponownego wyjazdu na wygnanie.

- Znowu? - powiedziała. - Nie rozumiem. Co pan rozumie przez to “znowu”? Czy musiał pan już kiedyś opuszczać jakąś wyspę? Sądziłam, że zawsze mieszkał pan na Sorve.

- To prawda, lecz jest to drugie wygnanie dla nas wszystkich, nieprawdaż? To znaczy, najpierw nasi przodkowie zostali wygnani z Ziemi. A teraz my musimy odejść z naszej wyspy.

Odwróciła się do niego, była zaskoczona. Nikt, kto się urodził na Ziemi, nigdy nie osiedlił się na Hydros. Ziemia została zniszczona setki lat wcześniej, nim przybyli tutaj pierwsi ludzie.

- To nie ma znaczenia. Wszyscy pochodzimy z Ziemi, jeśli cofnąć się do początków. I utraciliśmy ją. To też rodzaj wygnania. Myślę o wszystkich, o każdej istocie ludzkiej na wszystkich planetach kosmosu. - Nagle słowa posypały się jak lawina. - Widzisz, mieliśmy kiedyś świat, mieliśmy jedną planetę przodków, a teraz jej nie ma - zniszczona, zrujnowana. Skończona. Nic, tylko wspomnienie, i to bardzo mgliste wspomnienie, nic nie zostało prócz garstki drobnych fragmentów, takich jak te, które widziała pani w mojej chacie. Mój ojciec często opowiadał, że była jednym, przepięknym miejscem pełnym cudów. Najpiękniejszą planetą, jaka kiedykolwiek istniała. Świat-ogród jak mówił. Raj. Może i tak było. Są tacy, którzy mówią, że Ziemia wcale taka nie była, że było to upiorne miejsce, że ludzie nie mogli tam wytrzymać i dlatego stamtąd uciekali, tak było okropne. Nie wiem. To wszystko jest teraz legendą. Tak czy inaczej, to był nasz dom, z którego wyszliśmy, a drzwi za nami zamknięto na dobre.

- Ja nigdy nie myślę o Ziemi - powiedziała Sundira.

- A ja tak. Wszystkie inne stworzenia galaktyki mają swoje ojczyste światy, tylko my nie. Musimy żyć rozrzuceni po setkach planet, pięciuset mieszka tu, a tysiąc tam, osiedlając się w dziwnych miejscach. Jesteśmy tolerowani, lepiej lub gorzej, przez różne obce stworzenia na planetach, na których uda się nam zaczepić. Oto, co rozumiem przez wygnanie.

- Nawet gdyby Ziemia wciąż istniała, nie bylibyśmy w stanie na nią wrócić. Nie z Hydros. To Hydros jest naszym domem, nie Ziemia. A nikt nie wygania nas z Hydros.

- Tak, lecz wypędzają nas z Sorve. Przynajmniej temu nie może pani zaprzeczyć.

Wyraz jej twarzy, dotychczas kpiący i trochę niecierpliwy, teraz złagodniał.

- Pan to odczuwa jako wygnanie, ponieważ nigdy nie mieszkał pan gdzieś indziej. Dla mnie wyspa to tylko wyspa. Tak naprawdę wszystkie są do siebie podobne. Mieszkam na jednej przez chwilę, potem zaczynam odczuwać potrzebę zmiany i płynę dalej.

Przez moment poczuł rękę Sundiry na swojej.

- Wiem, dla pana to musi być coś innego. Przykro mi. Lawler odkrył, że rozpaczliwie pragnie zmienić temat.

Ten był całkowicie niewłaściwy. Zaczynał budzić w niej litość, a to znaczyło, że reagowała na coś, co odbierała jako jego uzalanie się nad sobą. Rozmowa, która wystartowała z nieprawidłowej nogi, nadal podążała złym kursem. Zamiast opowiadać o wygnaniu i o wzruszającym losie biednych, bezdomnych istot ludzkich, rozsypanych jak ziarnka piasku po całej galaktyce, powinien był powiedzieć jej, jak szalowo wyglądała w wodzie, gdy dała tego ukazującego pupę nura, i zapytać, czy nie chciałaby już teraz pójść do jego chaty na małą obłapkę przed obiadem. Na to było już jednak za późno. A może nie? Po chwili spytał:

- Jak tam kaszel?

- Świetnie. Jednak chciałabym dostać jeszcze trochę tego lekarstwa. Zostało zaledwie na parę dni.

- Kiedy się skończy, proszę przyjść do mojej waragi po kolejną porcję.

- Przyjdę - powiedziała. - Chciałabym też popatrzeć na te przedmioty, które pan ma z Ziemi.

- Oczywiście, jeśli pani chce. Jeśli panią interesują, opowiem pani, co o nich wiem.

Jednak większość ludzi szybko traci zainteresowanie, kiedy zaczynam opowiadać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest pan zafascynowany Ziemią. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto myślałby o niej tak dużo. Dla większości z nas Ziemia jest po prostu miejscem, gdzie dawno temu mieszkali nasi przodkowie. Jednak w rzeczywistości ten fakt leży poza granicami naszego rozumienia. Poza naszym zasięgiem. Myślimy jedynie o tym, jak mogli wyglądać nasi ojcowie.

- Ze mną jest inaczej - powiedział Lawler. - Nie wiem dlaczego. Myślę o wielu rzeczach znajdujących się poza moim zasięgiem. Na przykład o tym, jak to jest żyć na lądzie. W miejscu, gdzie pod stopami jest czarna ziemia i wyrastające z niej rośliny, ot tak, po prostu, na otwartym powietrzu - rośliny dwadzieścia razy wyższe od człowieka.

- Chodzi panu o drzewa? - Tak, drzewa.

- Wiem o drzewach. Są takie fantastyczne. Mają pnie tak grube, że nie można ich objąć ramionami. Całe pokryte są grubą, brązową, szorstką skórą. Niewiarygodne.

- Mówi pani tak, jak gdyby je pani widziała - powiedział Lawler.

- Ja? Nie, jak mogłabym? Urodziłam się na Hydros, jak pan. Znałam jednak ludzi, którzy żyli na światach lądowych. Kiedy byłam na Simbalimak, spędzałam dużo czasu z mężczyzną z Sunrise i on opowiadał mi o lasach i ptakach, o górach i wszystkich innych rzeczach, których nie mamy tutaj. O drzewach. Owadach. Pustyniach. To było zadziwiające.

- Tak to sobie wyobrażam - powiedział Lawler. Ta rozmowa nie uszczęśliwiała go bardziej niż poprzednia. Nie chciał słyszeć o lasach, ptakach czy górach, ani o mężczyźnie z

Sunrise, z którym spędzała dużo czasu na Simbalimak.

Przyglądała mu się dziwnie. Zapadła gęsta cisza. Cisza z podtekstem, chociaż za nic nie rozumiał znaczenia tego podtekstu.

Potem powiedziała innym, szorstkim tonem:

- Pan nigdy nie był żonaty, prawda, doktorze? - Pytanie było równie nieoczekiwane jak Skrzelowiec skaczący przez konia.

- Raz. Niezbyt długo. To było dość dawno temu, fatalna pomyłka. A pani?

- Nigdy. Chyba nie wiem, jak to się robi. Związać się na zawsze z jedną osobą - to wydaje się dziwne.

- Mówią, że to możliwe - zauważył Lawler. - Nawet na własne oczy widziałem, jak to się robi. Jednak, oczywiście, sam w tym względzie mam niewielkie doświadczenie. Kiwnęła głową. Wydawała się z czymś zmagać. On również, i dobrze wiedział, co to takiego: niechęć do przekroczenia narzuconych sobie ograniczeń, po odejściu Mireyl, niechęć do narażania się na ryzyko nowego bólu. Z czasem przywykł do swego skromnego, zdyscyplinowanego życia. Więcej niż przywykł; wydawało mu się tym, czego pragnął, zaspokojeniem jego najskrytszych potrzeb. Niczego nie ryzykujesz, nic nie tracisz. Czyżby czekała, aż wykona pierwszy ruch? Tak to wyglądało. No tak, tak to wyglądało. Tylko czy on to potrafi? Czy mógłby to zrobić? Jak w pułapce otoczył się murem obojętności i wydawało się, że nie ma sposobu, aby zdołał się z niej wydostać.

Łagodna letnia bryza, nadciągająca z południa, przyniosła zapach jej wilgotnych od morskiej wody włosów i zatrzepotała jej szatą, przypominając Lawlerowi, że dziewczyna pod nią jest naga. Pomarańczowe światło zachodzącego słońca, odbijające się od jej nagiej skóry, zmieniło porastające ją blade, delikatne, prawie niewidoczne włoski w złoto, tak że jej piersi lśniły w wycięciu sukni. Jej ciało było wciąż wilgotne po pływaniu. Małe, kremowe sutki



stwardniały od łagodnego wieczornego chłodu. Wydawała się miękka, zgrabna, powabna. Pragnął jej, nie było co do tego wątpliwości. No dobrze. Zaczynaj, w takim razie. Nie masz już piętnastu lat. Trzeba powiedzieć jej: "Zamiast czekać do rana, chodźmy teraz do mojej chaty, to dam pani lekarstwo. A potem zjemy razem obiad i wypijemy drinka albo dwa. Wie pani. Chciałbym poznać panią lepiej", i tak dalej. Lawler niemal słyszał te słowa w powietrzu, jakby już je wypowiedział.

Lecz właśnie wtedy nadszedł ścieżką Gabe Kinverson, po całym dniu spędzonym na morzu. Wciąż miał na sobie strój rybacki: ciężkie, podobne do namiotu szaty, mające go chronić przed cięciami macek mięsoryby. Pod pachą niósł złożony żagiel. Zatrzymał się i stał przez chwilę jakieś tuzin kroków dalej; przysadzisty, kanciasty jak skała, emanujący dziwną, z trudem powściąganą siłą, przemocą i niebezpieczeństwem.

- Tutaj jesteś - powiedział do Sundiry. - Szukałem cię. Dobry wieczór, doktorze.

Mówił spokojnie, łagodnie, zdawkowo. Głos Kinversona nigdy nie był tak groźny jak jego wygląd. Skinął na Sundirę, a ona poszła za nim bez wahania.

- Miło się rozmawiało, doktorze - powiedziała, spoglądając przez ramię na Lawlera.

- To prawda - odpowiedział.

Kinverson chce tylko, żeby naprawiła mu żagiel, mówił sobie Lawler.

Na pewno. Na pewno.

\* \* \*

Znowu przyśnił mu się jeden ze snów o ziemi. Miewał dwa takie sny, jeden bardzo nieprzyjemny, a drugi nie najgorszy. Co najmniej raz na miesiąc nawiedzał go jeden z nich, czasami obydwaj.

Tym razem był to ten miłszy, ten, w którym Lawler był na Ziemi i spacerował po stałym lądzie. Był boso, a niedawno padał deszcz i gleba była jeszcze ciepła i miękka. Kiedy

poruszał palcami w jedną i w drugą stronę, gdy je wbił w podłoże, zobaczył tryskające spomiędzy nich strumyczki ziemi, tak jak piasek, kiedy spacerował po płyciznach zatoki.

Gleba Ziemi była jednak ciemniejsza od piasku i dużo cięższa. Lekko ugięła się pod stopami w bardzo dziwny sposób.

Szedł przez las. Wszędzie wokół rosły drzewa, podobne do zdrewniałych wodorostów, o długich pniach i gęstych koronach w górze, nad jego głową, były jednak o wiele masywniejsze niż jakiegokolwiek wodorosty, które widział, a ich liście znajdowały się tak wysoko, że nie był w stanie rozróżnić ich kształtów. W koronach drzew trzepotały ptaki.

Wydawały dziwnie melodyjne dźwięki, muzykę, której nie słyszał nigdy przedtem i nigdy nie pamiętał po obudzeniu. Wszelkiego rodzaju dziwne stworzenia przebiegały las, niektóre chodziły na dwóch nogach, niektóre pełzały na brzuchach, a jeszcze inne stały na sześciu lub ośmiu niewielkich szcudłach. Kłaniał się im, a one oddawały mu pozdrowienie przechodząc obok, te ziemskie stworzenia.

Dotarł do miejsca, gdzie las się kończył, i ujrzał wznoszącą się przed nim górę.

Wyglądała jak ciemne szkło nakrapiane nieregularnymi plamkami lustrzanej jasności, a w ciepłym, złotym blasku słońca jarzyła się cudowną poświatą. Góra wypełniła pół nieba. Rosły na niej drzewa. Wydawały się tak maleńkie, że mógł je brać do ręki. Wiedział jednak, że wyglądały tak tylko dlatego, że góra znajdowała się daleko od niego, a w rzeczywistości drzewa te były przynajmniej tak duże jak w lesie, który niedawno opuścił, albo jeszcze większe.

Jakoś zdołał obejść podnóże góry. Po drugiej stronie znalazł zagłębienie - małą dolinkę, a za nią widział ciemne kontury miejsca, o którym wiedział, że było miastem, pełnym ludzi - tłumów większych, niż mógł sobie wyobrazić. Szedł w tamtą stronę myśląc, że pójdzie między ludzi z Ziemi i powie im, kim jest i skąd pochodzi, a także zapyta ich, jak

żyją, i o to, czy znają jego prapradziadka, Harry Lawlera, a może jego ojca czy dziadka.

Jednak chociaż szedł i szedł, miasto nie przybliżało się ani trochę. Przez cały czas widniało na horyzoncie, tam, po drugiej stronie doliny. Szedł godzinami, dniami i tygodniami. Miasto wciąż pozostawało poza jego zasięgiem, wciąż cofając się przed nim, kiedy się zbliżał - a gdy wreszcie budził się, był znużony i obolały jak po wielkim wysiłku i czuł się tak, jakby wcale nie spał.

Rankiem przyszedł do chaty Lawlera Josc Yanez, młody uczeń Lawlera, na codzienną naukę. Na wyspie obowiązywały surowe przepisy czeladnicze: nie wolno pozwolić aby zanikła jakakolwiek umiejętność. Po raz pierwszy od założenia osady zdarzyło się, że uczniem doktora nie był kolejny Lawler. Ród kończył się na nim - po jego odejściu jakaś inna rodzina będzie musiała przejąć odpowiedzialność.

- Kiedy wypłyniemy - zapytał Josc - czy będziemy w stanie zabrać ze sobą wszystkie zapasy medyczne?

- Tyle, na ile pozwoli ładowność okrętów - odparł Lawler. - Sprzęt, większość leków, przepisy.

- A rejestry chorych?

- Jeśli będzie miejsce. Nie wiem.

Josc miał siedemnaście lat, był wysoki i chudy. Był chłopcem o radosnej duszy, otwartej twarzy, łatwo się uśmiechał i umiał postępować z ludźmi. Wydawał się mieć uzdolnienia w kierunku zawodu lekarza. Uwielbiał drugie godziny nauki w stopniu, w jakim sam Lawler, jako niespokojny i buntowniczy chłopiec, nigdy ich nie lubił. W drugim roku nauki Josc, jak podejrzewał Lawler, znał już połowę podstawowych zasad technicznych - resztę oraz sztukę diagnozowania pozna w swoim czasie. Pochodził z rodziny żeglarzy; jego starszy brat, Martin, był jednym z kapitanów promów Delagarda. Przejmowanie się kartami

medycznymi pacjentów było typowe dla Josca. Lawler wątpił, aby je mogli zabrać ze sobą: statki Delagarda nie wyglądały na ładowne, a były przecież inne, ważniejsze rzeczy niż stare zapiski medyczne. Przed opuszczeniem wyspy i on i Josc będą musieli powierzyć historii choroby pacjentów swojej pamięci. Jednak to nie stanowiło żadnego problemu. Większość z nich Lawler już znał na pamięć. Podobnie, jak sądził, było z Joscem.

- Mam nadzieję, że trafię na ten sam statek co pan - powiedział chłopiec. Lawler, obok jego brata Martina, był największym bohaterem Josca.

- Nie - odpowiedział mu Lawler. - Będziemy musieli być na innych statkach. Jeśli ten, na którym ja będę, zgubi się na morzu, przynajmniej ty zostaniesz, aby leczyć.

Josc wyglądał jak rażony gromem. Dlaczego? Dlatego, że statek Lawlera mógłby zginąć na morzu, a jego bohater zginąć? Czy też na myśl o tym, że pewnego i być może niezbyt odległego dnia naprawdę zostanie lekarzem społeczności? Prawdopodobnie chodziło właśnie o to. Lawler przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, że jego praktyka czeladnicza, ta wyczerpująca, nie kończąca się nauka i ćwiczenia, służyła poważnemu celowi: że pewnego dnia ma zająć miejsce ojca w gabinecie i robić to wszystko, co on robił. Miał wtedy jakieś czternaście lat. A zanim ukończył dwadzieścia, ojciec już nie żył, a on został lekarzem.

- Posłuchaj, nie martw się - powiedział Lawler. - Nic mi się nie stanie. Jednak musimy wziąć pod uwagę nawet najgorsze ewentualności, Josc. Ty i ja przechowujemy w pamięci całą wiedzę medyczną tej osady. Musimy o nią dbać.

- Tak. Oczywiście.

- W porządku. To oznacza, że podróżujemy na oddzielnych statkach. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odparł chłopiec. - Tak, rozumiem. Wolałbym być z panem, ale rozumiem. -

Uśmiechnął się. - Mieliśmy dziś rozmawiać o zapaleniach opłucnej, prawda?

- Tak, o zapaleniach opłucnej - powiedział Lawler. Rozwinął swoją zużytą, zatartą mapę anatomiczną. Josc wyprostował się, czujny, skupiony, chętny. Ten chłopiec był natchnieniem. Przypominał Lawlerowi o tym, o czym ostatnio zaczął zapominać: że jego zawód to więcej niż zajęcie - to powołanie.

- Zapalenia i wycieki opłucnej. Objawy, etiologia, terapia. - Jakby słyszał głos swojego ojca; głęboki, miarowy, nieubłagany, dzwoniący w mózgu jak wielki gong. - Nagły ostry ból w klatce piersiowej, na przykład...

- Obawiam się, że nowiny nie są zbyt pomyślne powiedział Delagard.

- Och?

Znajdowali się w biurze Delagarda w stoczni. Było południe, pora, kiedy Lawler miał przerwę w pracy. Delagard poprosił, aby go odwiedził. Na stole stała otwarta butelka brandy z winnych wodorostów, ale Lawler odmówił drinka. Nie w godzinach pracy - powiedział. Zawsze starał się zachować jasność umysłu, kiedy leczył, wyjątkiem była uśmierzycha: mówił sobie, że to ziele nie wywoływało ujemnych skutków. Jeżeli już, to raczej działało dodatnio.

- Mam już pewne wiadomości. Jak dotąd niezbyt pomyślne. Velmise nie przyjmie nas, doktorze.

To było jak cios w żołądek.

- Powiedzieli to panu?

Delagard popchnął przez stół kartkę pergaminu z wiadomością.

- Dag Tharp przyniósł mi ją pół godziny temu. To od mojego syna Kendiego z

Velmise. Pisze, że ubiegłej nocy odbyło się zebranie rady i głosowanie nad naszym wnioskiem. Limit emigrantów wyznaczony na ten rok wynosi sześć osób. Wziąwszy pod uwagę

niezwykle okoliczności, zgadzają się zwiększyć tę liczbę do dziesięciu. Więcej nie przyjmą.

- A nie siedemdziesiąt osiem.

- Nie, nie siedemdziesiąt osiem. To z powodu tej starej historii z Shalikomo.

Wszystkie wyspy obawiają się zbyt dużej liczebności i rozgniewania Skrzelowców.

Oczywiście dziesięć to więcej niż nic. Gdybyśmy wysłali dziesięć osób na Velmise, dziesięć na Salimil, i jeszcze dziesięć na Grayvard...

- Nie - powiedział Lawler. - Chcę, abyśmy trzymali się razem.

- Wiem. W porządku.

- Jeżeli nie popłyniemy na Velmise, jaka jest następna najlepsza możliwość?

- Właśnie teraz Dag rozmawia z Salimil. Mam tam również syna. Może okaże się bardziej przekonujący niż Kendy. Albo ludzie z Salimil będą mniej rygorystyczni.

Chryste, myślałby kto, że prosiliśmy Velmise, aby ewakuowała całe cholerne miasto, żeby zrobić dla nas miejsce. Mogli nas przyjąć. Przez jakiś czas byłoby ciężko, ale dalibyśmy sobie radę. Takie Shalikomo nie zdarza się dwa razy. - Delagard przekartkował plik leżących przed nim pergaminowych kartek, po czym podał je Lawlerowi. - Pieprzyć Velmise. Coś wymyślimy. Chciałbym, aby pan to przejrzał.

Lawler spojrział na kartki. Każda strona zawierała listę nazwisk, nabazgranych dużym wyraźnym pismem Delagarda.

- Co to jest?

- Mówiłem panu dwa tygodnie temu. Mam sześć statków, co daje trzynaście osób na każdym. W rzeczywistości mamy jeden statek z jedenastoma osobami, dwa po czternaście i pozostałe trzy po trzynaście osób każdy. Za chwilę zobaczy pan dlaczego. To są listy pasażerów, które przygotowałem.

Delagard postukał palcem w pierwszą z nich.

- Proszę, to jest ta, która powinna pana najbardziej interesować.

Lawler szybko przebiegł wzrokiem listę zawierającą następujące nazwiska:

Ja i Lis

Gospo Struin

Doktor Lawler

Quillan

Kinverson

Sundira Thane

Dag Tharp

Onyos Felk

Dann Henders

Natim Gharkid

Pilya Braun

Leo Martello

Neyana Golghoz

- Ładna? - spytał Delagard.

- Co to jest?

- Powiedziałem panu. Wykaz pasażerów. To nasz okręt, "Królowa Hydros".

Lawler ze zdumieniem spojrział na Delagarda.

- Nid, ty draniu. Naprawdę, umiesz zadbać o siebie.

- O czym pan mówi?

- Mówię o tej wspaniałej robocie, jaką wykonałeś, żeby zapewnić sobie

bezpieczeństwo i wygodę podczas rejsu. I nawet nie krępujesz się pokazać jej mnie, prawda?

Nie, założę się, że jesteś z niej dumny. Masz na swoim okręcie jedynego lekarza,

najzręczniejszego radiowca, jedyne go człowieka, którego można uznać za inżyniera, oraz osobę znajdującą się na mapach. A Gospo Struvin jest najlepszym kapitanem pańskiej floty. Nie najgorsza załoga na podróż Bóg wie dokąd i Bóg wie jak długi. Dodajmy morską myśliwego - Kinversona, który jest tak silny, że czasem wydaje się nadczłowiekiem, a na oceanie czuje się równie dobrze jak pan w swojej stoczni. To diabelnie dobry zespół. No i nie ma denerwujących dzieci, starców ani chorowitych. Nieźle, przyjacielu.

Na chwilę, ale tylko na chwilę, w małych błyszczących oczkach Delagarda pojawił się gniewny błysk.

- Proszę posłuchać, doktorze. To jest okręt flagowy. To może nie być łatwa podróż, jeżeli będziemy musieli podróżować aż do Grayvard. Musimy przetrwać.

- Bardziej niż inni?

- Jest pan jedynym lekarzem. Chce pan być na wszystkich okrętach jednocześnie?

Proszę spróbować. Myślałem, że jeśli pan musi być na tym czy innym okręcie, to równie dobrze może być na moim.

- Oczywiście. - Lawler przejechał palcem po krawędzi kartki. - Jednak nawet stosując zasadę Delagard-ma-pierwszeństwo, nie mogę pojąć niektórych kryteriów wyboru. Na co przyda się panu Gharkid? To przecież kompletne zero.

- On się zna na wodorostach. To jedyna rzecz, na której się zna. Może nam pomóc szukać żywności.

- To brzmi rozsądnie. - Lawler popatrzył na gruby brzuch Delagarda. - Nie chcielibyśmy zgłodnieć na morzu, no nie? Ech? Ech? - I znów spoglądając na listę, powiedział: - A Braun? Golghoz?

- Dobrzy pracownicy. Pilnują własnych spraw.

- Martello? Poeta?



- On jest nie tylko poetą. Wie, co trzeba zrobić na pokładzie. Poza tym, dlaczego nie poeta? To będzie coś w rodzaju odysei. Pieprzonej odysei. Emigruje cała wyspa. Będziemy mieć kogoś, kto spisze naszą historię.

- Bardzo ładnie - rzekł Lawler. - Wziąć własnego Homera, tak aby potomni usłyszeli całą opowieść o wielkiej podróży. To mi się podoba.

Sprawdził jeszcze raz listę.

- Widzę, że ma pan tutaj cztery kobiety na dziesięciu mężczyźn.

Delagard uśmiechnął się.

- Proporcja kobiet i mężczyźn wymyka się spod mojej kontroli. Na wyspie mamy trzydzieści sześć kobiet i czterdziestu dwóch mężczyźn. Jednakże proszę nie zapominać, że jedenaście dam należy do tego pieprzonego Zakonu. Wysyłam je na morze zdane tylko na siebie. Niech się domyśla, jak żeglować, jeżeli potrafią. Mamy więc tylko dwadzieścia pięć kobiet i dziewcząt, statków jest pięć, matki powinny zostać z dziećmi, i tak dalej, i tak dalej. Obliczyłem, że mamy miejsce dla czterech kobiet na naszym statku.

- Rozumiem wybór Lisy. W jaki sposób wybrał pan pozostałe?

- Braun i Golghoz pracowały już w moich załogach, na liniach do Salimil i Velmise.

Jeśli mam mieć kobiety na pokładzie, niech to będą takie, które umieją zrobić co należy.

- A Sundira? Prawda, umie doskonale naprawiać sprzęt. To ma sens.

- Właśnie - powiedział Delagard. - A ponadto jest kobietą Kinversona, nieprawdaż?

Jeśli jest użyteczna, a oprócz tego są parą, to dlaczego ich rozdzielać?

- O ile wiem, nie są parą.

- Nie są? Ja to tak widzę - powiedział Delagard. - Widuję ich razem diabelnie często.

Tak czy owak, oto nasza załoga, doktorze. W przypadku rozdzielenia się floty na morzu, mamy ze sobą ludzi, którzy nas przeprowadzą. Teraz okręt numer dwa, "Bogini Sorve";

mamy tu Brondo Katzina i jego żonę, wszystkich Thalheimów, Tanamindów...

- Chwileczkę - rzekł Lawler. - Nie skończyłem z tym pierwszym. Nie rozmawialiśmy jeszcze o ojcu Quillanie. Kolejny pożyteczny wybór. Przypuszczam, że wybrał go pan, aby być w zgodzie z Panem Bogiem.

Delagard nie zareagował na drwinę. Parsknął grzmiącym śmiechem.

- O kurwa! Nie, to mi nigdy nie przyszło do głowy. Tak, to niezły pomysł zabrać ze sobą duchownego. Jeśli ktokolwiek ma chody na górze, to z pewnością on. Jednak powodem, dla jakiego go wybrałem, jest fakt, że bardzo lubię jego towarzystwo. Uważam, że to niezwykle interesujący człowiek.

- Oczywiście - pomyślał Lawler. Po Delagardzie nigdy nie należało oczekiwać konsekwentnego postępowania w jakiegokolwiek sprawie.

W nocy miał ten drugi sen o ziemi, ten nieprzyjemny, ten, przed którym zawsze chciał się ukryć. Od dawna nie zdarzyło się, aby te dwa sny przychodziły jeden po drugim.

Zaskoczyło go to, ponieważ sądził, że sen z poprzedniej nocy na jakiś czas uwolni go od tego drugiego. Tymczasem nie. Nie było od niego ucieczki. Ziemia zawsze będzie go prześladować.

Była tam, na niebie nad Sorve; cudowna, promienna, błękitno-zielona kula, wolno obracająca się i ukazująca swe lśniące morza i wspaniałe brązowe kontynenty. Była piękna ponad wszelkie wyobrażenie, jak ogromny klejnot błyszczący nad głową. Widział pasma górskie biegnące wzdłuż grzbietów kontynentów jak poszarpane, szare zęby. Na graniach dostrzegał biały i czysty śnieg. Stał na krawędzi drewnianego falochronu swej malutkiej wyspy i pozwalał unieść się w niebo. W ten sposób opuścił Hydros i znalazł się daleko w kosmosie, szybując nad błękitno-zieloną kulą, która była Ziemią. Patrzył na nią z góry niczym Bóg. Teraz widział miasta: budynek po budynku, pozbawione ostrych szczytów jak varagi,

lecz szerokie i płaskie, ustawione rzędami, jeden obok drugiego, na wielkich przestrzeniach, a między nimi biegły szerokie ścieżki. Po ścieżkach poruszali się ludzie, tysiące ludzi, wiele tysięcy pomykających chyżo sylwetek, niektórzy w małych wózkach wyglądających jak łodzie mknące po łądzie. Nad nimi po niebie fruwały uskrzydłone stworzenia zwane ptakami, podobne do latających ryb Hydros, o których wiedział, że umiały wyskakiwać z wody i szybować przez krótką chwilę, te zaś pozostawały w powietrzu, wzbijając się w niebo, krążąc i krążąc nad planetą wielkimi, niestrudzonymi łukami. Wśród ptaków znajdowały się również latające maszyny. Zrobione z metalu, gładkie i jasne, o niewielkich skrzydłach i długich, cylindrycznych korpusach. Lawler widział, jak wznosiły się z powierzchni Ziemi i z niewyobrażalną prędkością pokonywały ogromne odległości, przenosząc ludzi z miasta do miasta, z wyspy na wyspę, z kontynentu na kontynent, co było przedsięwzięciem tak wielkim, że na ten widok kręciło mu się w głowie.

Dryfował w ciemnościach, wysoko nad lśniącym błękitno-zielonym światem, patrząc, czekając i wiedząc co zaraz nastąpi, zastanawiając się, czy wydarzy się również tym razem. Oczywiście powtórzyło się. Tak samo jak przedtem, to samo, co przeżywał już tyle razy, co powodowało, że ciało oblewał mu pot, a mięśnie prężyły się w szoku i udręce. Zawsze bez żadnego ostrzeżenia. Po prostu zaczynało się: gorące, żółte słońce nagle puchło, stawało się jaśniejsze, zniekształcone i monstrialne - potargane języki ognia tryskały w niebo...

Płomienie wykwitające na wzgórzach i w dolinach, w lasach i w budynkach. Wrzące morza. Wypalone równiny. Chmury czarnego popiołu zaciemniające powietrze. Poczerniałe łądy rozdierane na pół. Ponure nagie góry wyrastające spośród zrujnowanych pól. Śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

Zawsze pragnął obudzić się, zanim nadejdzie ten moment. Jednak nigdy nie zdołał, nie

budził się, póki nie zobaczył wszystkiego, aż zagotowały się morza, a zielone lasy zamieniły się w popiół.

Pierwszym pacjentem następnego ranka był Sidero Volkin, jeden z robotników

Delagarda, któremu żądło ognistego robaka wbiło się w łydkę, gdy stał w płytkiej wodzie przycinając palcorosty na kilu jednego z okrętów. Blisko jedna trzecia pracy Lawlera polegała na leczeniu ran, które ludzie odnosili podczas pracy w łagodnych, płytkich wodach zatoki. Te płytkie, łagodne wody zbyt często odwiedzały stworzenia lubiące żądlić, gryźć, ciąć, dźgać, zakażać lub w inny sposób ranić ludzkie istoty.

- Sukinsyn podpłynął prosto do mnie wzdłuż burty, wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy - powiedział Volkin. - Rąbnąłem go w głowę siekierą, a wtedy uządlił mnie w plecy ogonem. Sukinsyn. Przeciąłem go na pół, ale nic mi to, kurwa, nie dało.

Rana była wąska, lecz głęboka i już zainfekowana. Ogniste robaki to długie wijące się stworzenia, które wydają się niczym więcej niż twardymi, giętkimi rurkami z paskudnym małym pyskiem z jednej strony i ostrym żądłem z drugiej. Nie miało znaczenia, którym końcem zaatakowały człowieka. Robaki żyły w symbiozie z licznymi mikroorganizmami wrogimi człowiekowi, a przenoszone przez nie wirusy powodowały natychmiastowe zagrożenie życia oraz poważne komplikacje, gdy dostawały się do tkanki ludzkiej. Noga Volkina była obrzmiała i zaczerwieniona, a delikatne zaognione ślady zapalenia rozbiegały się po skórze od punktu wejścia jak blizny po jakimś ponurym obrzędzie.

- Będzie bolało - powiedział Lawler zanurzając długą bambusową igłę w misce z silnym antyseptykiem.

- Tak jakbym tego nie wiedział, doktorze.

Lawler sondował ranę igłą, kłując ją tu i tam, wprowadzając jak najwięcej środka antyseptycznego w spuchnięte ciało. Doker siedział bez ruchu, co jakiś czas klnąc pod nosem,

gdy Lawler nakłuwał ranę, co musiało być niezwykle bolesne.

- Oto środek przeciwbólowy - oznajmił Lawler wręczając mu paczuszkę białego proszku. - Przez parę dni będzie się pan czuł okropnie, potem zapalenie ustąpi. Ponadto dziś po południu wystąpi gorączka. Proszę wziąć wolny dzień.

- Nie mogę. Delagard mi nie da. Musimy przygotować statki do podróży. Jest okropnie dużo pracy.

- Niech pan weźmie wolny dzień - powtórzył Lawler. - Jeśli Delagard będzie truł panu dupę, niech mu pan powie, żeby przyszedł poskarżyć się do mnie. Za pół godziny zawroty głowy będą tak silne, że nie będzie pan w stanie wykonywać żadnej pracy. No już, niech pan idzie.

Volkin zawahał się chwilę w drzwiach.

- Serdecznie dziękuję, doktorze.

- Dobrze, dobrze. Niech pan da odpocząć tej nodze, zanim się pan przewróci.

Na zewnątrz czekał następny pacjent: jeszcze jeden pracownik Delagarda, Neyana Golghoz. Była to łagodna, krępa kobieta w wieku około czterdziestu lat. Jej włosy miały niezwykle pomarańczowy kolor, a szeroką twarz pokrywały czerwonawe piegi. Pochodziła z wyspy Kaggeram, lecz przybyła na Sorve pięć lub sześć lat temu. Neyana pracowała w charakterze konserwatora na pokładach statków floty Delagarda, podróżując stale tam i z powrotem między sąsiednimi wyspami. Sześć miesięcy temu między łopatkami pojawił się wykwit raka skóry, którego Lawler usunął chemicznie, wsuwając igły z rozpuszczalnikiem pod skórę, rozpuszczając go stopniowo, a następnie zdejmując. Proces ten nie był przyjemny dla żadnej ze stron. Lawler kazał jej wracać co miesiąc, aby sprawdzić, czy nie ma nawrotów.

Neyana zdjęła roboczą koszulę i odwróciła się do niego plecami, a Lawler zbadał

bliznę naciskając ją palcami. Prawdopodobnie wciąż bolała, ale kobieta nie reagowała. Jak większość wyspiarzy była wytrzymała i cierpliwa. Życie na Hydros, choć proste, a czasami nawet ciężkie, nigdy nie dostarczało wielu rozrywek ludzkiej populacji. Nie było wielu możliwości wyboru, niewiele wariantów tego, co można robić, kogo poślubić, gdzie zamieszkać. Jeżeli nie miałeś ochoty próbować szczęścia na jakiejś innej wyspie, to najistotniejsze wydarzenia w twoim życiu były z góry zdefiniowane, jeszcze zanim dorosłeś. A jeżeli popłynąłeś gdzie indziej, bardzo prawdopodobne, że niebawem okazało się, że tamtejsze możliwości wyboru są ograniczone przez takie same czynniki. To uczyło człowieka stoicyzmu.

- Wygląda dobrze - powiedział Lawler. - Wystrzega się pani słońca, Neyana?

- Dokładnie tak.

- Nakłada pani maść?

- Tak jest.

- A zatem nie będzie pani miała z tym więcej kłopotów.

- Jest pan diabelnie dobrym lekarzem - powiedziała Neyana. - Kiedyś znałam kogoś na innej wyspie, kto miał takiego raka, który przeżarł mu skórę, i ten człowiek zmarł. Lecz pan opiekuje się nami i strzeże nas.

- Robię, co mogę.

Lawler zawsze był zawstydzony, gdy pacjenci okazywali mu wdzięczność. W

większości przypadków czuł się jak rzeźnik stosujący przeróżne prehistoryczne metody, podczas gdy na innych planetach - jak słyszał od ludzi, którzy przybyli na Hydros skądinąd - lekarze dysponowali wszelkimi, absolutnie cudownymi sposobami leczenia. Stosowali fale dźwiękowe oraz elektryczność i promieniowanie, a także inne sposoby, które ledwie rozumiał, posiadali też leki, które leczyły wszystko w pięć minut. On za to musiał się

obchodzić własnej roboty maściami i wywarami z wodorostów oraz prowizorycznymi narzędziami, wykonanymi z drewna, pojedynczych kawałków żelaza i niklu. Jednak przynajmniej powiedział jej prawdę: zrobił, co mógł.

- Jeżeli będę coś mogła dla pana zrobić, doktorze, proszę tylko powiedzieć.

- To bardzo miło z pani strony - powiedział Lawler. Neyana wyszła, a wszedł Nicko Thalheim. Tak samo jak

Lawler, Thalheim urodził się na Sorve. Podobnie jak Lawler, on również pochodził z Pierwszej Rodziny, jego rodowód sięgał pięciu pokoleń wstecz, aż do czasów kolonii karnej: należał do przywódców wyspy, był prostodusznym, rumianym mężczyzną, o krótkiej grubej szyi i mocnych ramionach. W dzieciństwie byli z Lawlerem towarzyszami zabaw i wciąż byli dobrymi przyjaciółmi. Jak mówili wszyscy, siedem osób na wyspie to Thalheimowie, jedna dziesiąta całej populacji: ojciec Nicko, jego żona, siostra i troje dzieci. Rodziny rzadko miały troje dzieci. Przed kilkoma miesiącami siostra Thalheima przyłączyła się do grupy kobiet z końca wyspy: znano ją teraz pod imieniem siostry Body. Nie podobało się to Thalheimowi.

Lawler spytał:

- Czy ropień dobrze się oczyszcza?

Thalheim cierpiał na zakażenie pod lewą pachą. Lawler uważał, że prawdopodobnie nabawił się go wskutek uządlenia w zatoce, lecz Thalheim zaprzeczał temu. Wrzód jątrzył się i wciąż płynęła z niego ropa. Już trzy razy Lawler przecinał go i oczyszczał, ale zakażenie za każdym razem odnawiało się. Ostatnio zlecił tkaczowi, Harry Trawishowi, wykonanie z plastyku morskiego maleńkiego drenu, który przymocował do boku Thalheima, aby odprowadzał ropę.

Teraz Lawler zdjął opatrunek, przeciął szwy podtrzymujące rurkę i zajrzał do rany.

Skóra dookoła wrzodu była zaczerwieniona i gorąca w dotyku.

- Boli jak cholera - powiedział Thalheim.

- Wygląda też okropnie. Czy nakładasz lekarstwo, które ci dałem?

- Ależ oczywiście.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

- Możesz nakładać lub nie, jak uważasz, Nicko. Jednak jeśli to zakażenie rozejdzie się dalej, może dojść do tego, że będę musiał amputować ci kończynę. Sądziś, że możesz pracować z jedną tylko ręką?

- To tylko lewa ręka, Val - Chyba tak nie myślisz.

- Nie. Nie, oczywiście, że nie - mruknął Thalheim, kiedy Lawler ponownie dotknął rany. - Może raz czy dwa nie nałożyłem maści. Przykro mi, Val.

- Za chwilę będzie ci o wiele bardziej przykro. Chłodno, bezlitośnie Lawler oczyścił ranę, jak gdyby strugał kawałek drewna. Thalheim nie poruszył się ani nie drgnął.

Kiedy Lawler zamocowywał ponownie rurkę odbierającą, Thalheim odezwał się nagle.

- Znamy się już od bardzo dawna, prawda, Val?

- Tak, prawie czterdzieści lat.

- I żaden z nas nigdy nie miał ochoty przenieść się na inną wyspę.

- To nigdy nie przyszło mi do głowy - powiedział Lawler. - A poza tym byłem lekarzem.

- Tak. A mnie się tutaj podobało.

- Tak - odpowiedział Lawler. Do czego on zmierza?

- Wiesz, Val - powiedział Thalheim - myślałem w tej sprawie, o konieczności opuszczenia wyspy. Nienawidzę tej myśli. Powoduje, że czuję się całkowicie chory.

- Mnie też niezbyt się to podoba, Nicko.



- Wiem. Lecz wydajesz się pogodzony losem.

- A jaki mam wybór?

- Może znalazłoby się jakieś wyjście, Val. Lawler spojrzał na niego wyczekująco.

Thalheim powiedział:

- Słyszałem, co powiedziałaś na zebraniu. Kiedy mówiłaś, że próba podjęcia walki ze Skrzelowcami byłaby bezcelowa. Nie zgadzałem się z tobą tamtej nocy, ale kiedy przemyślałem wszystko, stwierdziłem, że masz rację. Jednak zastanawiam się, czy nie istnieje jakiś sposób, aby kilkoro z nas mogło tu pozostać.

- Jaki?

- Powiedzmy, że dziesięcioro lub dwanaścioro z nas ukryłoby się na najdalszym krańcu wyspy, tam gdzie teraz mieszkają siostry. Ty, ja i moja rodzina, Katzinowie, Hainowie - to już tuzin. Ponadto, to dość zgrana grupa, żadnych tarć, wszyscy zaprzyjaźnieni ze sobą. Trzymalibyśmy się na uboczu, schodzili z drogi Skrzelowcom, łowili z drugiej strony wyspy i próbowali żyć dalej tak, jak przedtem.

Ten pomysł był tak poroniony, że zupełnie zaskoczył Lawlera. Przez moment poczuł prawdziwą pokusę. Mimo wszystko zostać tutaj? Nie rezygnować ze znanych ścieżek, z przyjaznej zatoki? Skrzelowcy nigdy nie zachodzili do tego zakątka. Może nie zauważą, jeżeli pozostanie tylko kilku mieszkańców wyspy...

Nie.

Bezsens tego pomysłu przytłoczył go jak uderzenie Fali. Skrzelowcy nie musieli zachodzić na kraniec wyspy, aby wiedzieć, co się tam dzieje. Zawsze jakoś wiedzieli, co działo się w każdym miejscu wyspy. Odnaleźliby ich w ciągu pięciu minut i wyrzucili przez falochron do morza, i taki byłby koniec. Ponadto, nawet gdyby paru osobom udało się ukryć przed Skrzelowcami, czy można oczekiwać, że zdołałyby żyć tak jak przedtem, skoro

większość społeczności byłaby gdzie indziej? Nie. Nie. Niemożliwe, absurdalne.

- Co o tym myślisz? - zapytał Thalheim. Po krótkiej przerwie Lawler odpowiedział:

- Wybacz, Nicko. Sądzę jednak, że to taki sam idiotyzm jak pomysł Nimbera, żeby ukraść jednego z ich idoli i użyć go do szantażu.

- Naprawdę?

- Taak.

Thalheim zamilkł przyglądając się opuchliźnie pod swoim ramieniem, podczas gdy Lawler nakładał opatrunek. Potem powiedział:

- Zawsze umiałeś patrzeć na wszystko praktycznie. Uprzejmy i chłodny Val, zawsze praktyczny. Sądzę, że ty po prostu nie lubisz ryzykować.

- Nie wtedy, kiedy mam jedną szansę na milion.

- Sądysz, że jest aż tak źle?

- To się nie może udać, Nicko. W żaden sposób. No, przyznaj sam. Nikomu nie uda się przeprowadzić tego ze Skrzelowcami. Ten pomysł to głupota. To samobójstwo.

- Być może - odpowiedział Thalheim.

- Nie być może.

- Przez chwilę wydawało się to bardzo dobrym pomysłem.

- Nie mielibyśmy cienia szansy - powiedział Lawler.

- Nie. Nie. Nie mielibyśmy, prawda? - Thalheim potrząsnął głową. - Naprawdę

chciałbym tutaj zostać, Val. Nie chcę opuszczać wyspy. Oddałbym wszystko, co mam, żeby tu pozostać.

- Ja również - powiedział Lawler. - Jednak odpłyniemy. Musimy.

Sundira Thane przyszła do niego, gdy wyczerpał się jej zapas środka uspokajającego z uśmierzycy. Jej żywa, energiczna osobowość wypełniła niewielką izbę przyjęć w jego chacie

jak głos trąbki.

Jednak znowu kaszlała. Lawler wiedział dlaczego; na pewno nie z powodu jakiegoś obcego grzyba, który zaatakował jej płuca. Wyglądała na wymizerowaną i napiętą.

Blask, który nadawał jej oczom taką intensywność, był teraz błyskiem niepokoju, a nie oznaką wewnętrznej siły.

Lawler napełnił małe pojemniczki, który jej dał poprzednio, nowym zapasem różowych kropelek, w ilości wystarczającej do dnia odjazdu. Później, kiedy wypłyną na morze, jeśli nadal będzie kaszleć, będzie mogła korzystać z jego zapasu.

Powiedziała:

- Jedna z tych zwariowanych kobiet z zakonu przyszła niedawno do miasta, wiedział pan o tym? Mówiła wszystkim, że postawiła horoskop dla nas i że nikt z nas nie przeżyje podróży na nową wyspę. Ani jedna osoba, tak powiedziała. Część z nas zgubi się na morzu, a pozostali spadną z krawędzi świata i skończą w niebie.

- Zgaduję, że to siostra Thecla. Ona podaje się za jasnowidzącą.

- A jest nią?

- Postawiła mi kiedyś horoskop, dawno temu, w czasach przed Zakonem, kiedy jeszcze rozmawiała z mężczyznami. Powiedziała, że dożyję podeszłego wieku i że będę miał szczęśliwe, pełne życie. Teraz mówi, że zginie na morzu. Jeden z tych dwóch horoskopów musi być błędny, nie sądzi pani? Proszę otworzyć usta. Niech zerknę na pani gardło. ,

- A może siostra Thecla miała na myśli fakt, że będzie pan wśród tych, co poześlą prosto do nieba?

- Siostra Thecla nie jest niezawodnym źródłem informacji - odparł Lawler. - Siostra Thecla jest w rzeczywistości kompletnie niezrównoważoną kobietą. Otworzyć usta.

Spojrzał w głąb jej krtani. Zobaczył niewielkie, lekkie podrażnienie tkanek, nic

specjalnego: dokładnie to, co spowodowałyby przypadkowy, psychosomatyczny kaszel.

- Gdyby Delagard, wiedział jak się dostać do nieba, dawno już popłynąłby tam -

powiedział Lawler. - I poprowadziłby linię promową tam i z powrotem. A ponadto od razu wyekspediowałby tam siostry. Co do pani gardła, o ta sama stara historia. Napięcie, nerwowy kaszel, podrażnienie. Proszę spróbować odpocząć. Trzymać się z daleka od sióstr, które chcą przepowiadać pani przyszłość. Sundira uśmiechnęła się.

- Biedne, stare kobiety. Żal mi ich.

Mimo iż badanie było skończone, nie spieszyła się z odejściem. Wędrowała wzdłuż półki, na której trzymał swoją małą kolekcję z Ziemi, i badała ją przez chwilę.

- Obiecał pan, że opowie mi o tych przedmiotach. Podeszedł i stanął obok niej.

- Najstarsza jest ta metalowa statuetka. To bożek, którego czczono w miejscu zwanym Egiptem, tysiące lat temu.

Egipt był krajem nad rzeką, jednym z najstarszych miejsc na Świecie, gdzie rozpoczęła się cywilizacja. To jest bóg słońca albo bóg śmierci. A może obydwu. Nie jestem pewien. - Obydwu? Jak bóg słońca może być także bogiem śmierci? Słońce jest źródłem życia, jest jasne i ciepłe. Śmierć to coś ciemnego. To... - urwała. - Jednak Słońce przyniosło śmierć Ziemi, prawda? Chce pan powiedzieć, że oni wiedzieli, w tym miejscu nazwanym Egiptem, tysiące lat i przedtem, nim to się wydarzyło?

- Bardzo w to wątpię. Jednak słońce zachodzi co wieczór. I odradza się codziennie rano. Może połączyli te fakty. A może nie. Wiedział tak mało. Zgadywał tylko. Podniosła brązową figurkę i trzymała ją na dłoni jakby ważąc jej ciężar. - Cztery tysiące lat. - Nie mogę sobie wyobrazić czterech tysięcy lat.

Lawler uśmiechnął się

- Czasami trzymam ją w ten sam sposób i pozwalam, aby zaniósł mnie z powrotem

tam, gdzie została wykonana. Suchy piasek, gorące słońce, błękitna rzeka porośnięta drzewami. Miasta z tysiącami ludzi. Ogromne świątynie i pałace. Lecz tak trudno jest utrzymać tę wizję. Wszystko, co naprawdę możesz zobaczyć oczami duszy, to ocean i mała wyspa.

Odłożyła statuetkę i wskazała na skorupę naczynia.

- A ten kawałek twardego, malowanego materiału, to jest z Grecji?

- Tak, z Grecji. To wyrób garncarski. Robili to z gliny. Proszę spojrzeć, można tu zobaczyć fragment obrazka, postać wojownika i dzidę, którą musiał trzymać.

- Jaki piękny szkic. To musiał być cudowny wyrób. Ale my nigdy się nie dowiemy, nieprawdaż? Kiedy była Grecja? Po Egipcie?

- Dużo później. Lecz nadal bardzo dawno. Żyli tam poeci i filozofowie, i wielcy artyści. Homer był Grekiem.

- Homer?

- Napisał Odyseję i Iliadę.

- Przykro mi. Ja nie...

- Słynne poematy, bardzo długie. Jeden był o wojnie, a drugi o podróży morskiej. Mój ojciec zwykł opowiadać mi pochodzące z nich historie, kawałeczki, które usłyszał od swojego ojca. A ten z kolei nauczył się ich od swojego dziadka Harry'ego, którego dziadek urodził się na Ziemi. Ziemia istniała jeszcze siedem pokoleń wstecz. Czasami zapominam o tym:

czasami zapominamy, że Ziemia w ogóle istniała. Widzi pani ten okrągły, brązowy medalion?

To mapa Ziemi. Kontynenty i morza.

Ze wszystkich swych skarbów Lawler często uważał ten za najcenniejszy. Nie był on ani najstarszy, ani najpiękniejszy; lecz wyryto na nim obrazy samej Ziemi. Nie miał pojęcia, kto go wykonał, kiedy albo dla czego. Był to płaski, twardy krążek, większy niż moneta pochodząca ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz na tyle mały, że mieścił się w dłoni.

Wokół krawędzi biegł napis, którego nikt nie był w stanie odczytać, a w środku umieszczono dwa zachodzące na siebie kręgi, w których wygrawerowano mapę Ziemi, dwa kontynenty na jednej półkuli i dwa na drugiej, piąty kontynent znajdował się u dołu świata na obu półkulach, a wielkie przestrzenie mórz przerywały duże wyspy. Może niektóre z nich także były kontynentami; Lawler nie wiedział dokładnie, na czym polegała różnica między wyspą a kontynentem.

Wskazał na koło po lewej stronie.

- Przypuszczalnie Egipt był tutaj, pośrodku tego miejsca. A Grecja gdzieś tu, w górze.

Zaś to mogły być Stany Zjednoczone Ameryki, tam po drugiej stronie u góry. Ten mały kawałek metalu to moneta, której tam używano, w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

- Do czego?

- Pieniądze - powiedział Lawler. - Monety były pieniędzmi.

- A ten zardzewiały przedmiot?

- Broń. Nazywano to pistoletem. Wystrzeliwał małe strzałki nazywane kulami.

Zadrżała.

- Ma pan tylko sześć przedmiotów z Ziemi i jeden z nich musi być bronią. Lecz oni byli właśnie tacy, prawda? Cały czas wojowali ze sobą? Ranili się i zabijali nawzajem?

- Niektórzy właśnie tacy byli, szczególnie w czasach starożytnych. Sądzę, że później to się zmieniło. - Lawler wskazał na szorstki kawałek kamienia, jego ostatnią pamiątkę. - To pochodzi z jakiegoś muru, który postawili, muru między krajami, z powodu wojny. Coś jakby zbudować mur między naszymi wyspami, jeżeli może sobie pani wyobrazić coś takiego.

Wreszcie zapanował pokój i mur zburzono, i wszyscy świętowali, a kawałki tego muru zachowano, aby nikt nie zapomniał o jego istnieniu. - Lawler wzruszył ramionami. - Byli po prostu ludźmi. Niektórzy byli dobrzy, a inni nie. Nie sądzą, aby bardzo różnili się od nas. - W

przeciwieństwie do ich świata. - Ten bardzo się różnił, tak. Dziwne i cudowne miejsce. -

Kiedy mówi pan o Ziemi, w pańskich oczach pojawia się taki szczególny błysk. Widziałam go tamtego wieczoru nad zatoką, gdy mówił pan o naszym życiu na wygnaniu. Rodzaj blasku, spojrzenie pełne tęsknoty, jak się domyślam. Powiedział pan, że niektórzy ludzie, sądzą iż Ziemia była rajem, a inni, że była miejscem strasznym, z którego każdy chciał uciec. Pan pewnie należy do tych, którzy sądzą, że była rajem.

- Nie - powiedział Lawler. - Mówiłem pani. Nie wiem, jak tam było naprawdę. Sądzę, że pod koniec dość tłoczno, nędznie i brudno, bo inaczej nie byłoby tak licznej emigracji. Jednak niczego nie wiem na pewno. Myślę, że nigdy nie poznamy prawdy. - Przerwał i spojrzał na nią uważnie. - Jedyne, co wiem, to że był to kiedyś nasz dom. Nie powinniśmy o tym nigdy zapominać. Nasz prawdziwy i rzeczywisty dom. Niezależnie od tego, jak bardzo staralibyśmy się uwierzyć, że Hydros jest naszym domem, w rzeczywistości jesteśmy tutaj tylko gośćmi.

- Gośćmi? - zapytała Sundira.

Stała bardzo blisko. Jej szare oczy lśniły, wargi były wilgotne. Lawlerowi wydawało się, że jej piersi, pod lekką szatą, podnoszą się i opadają gwałtowniej niż zwykle.

Wyobraźnia? Czy też ulegała jego urokowi?

- Czy pani czuje się na Hydros jak w domu? - spytał Lawler. - Tak naprawdę, naprawdę jak w domu?

- Oczywiście. A pan nie?

- Chciałbym, żeby tak było.

- Przecież pan się tutaj urodził!

- I co z tego?

- Nie różu...

- Czy jestem Skrzelowcem? Czy jestem nurkiem? Albo mięsorybą? One czują się tutaj jak w domu. One są w domu.

- Podobnie jak pan.

- Wciąż pani nie rozumie - powiedział.

- Jednak staram się. Chcę zrozumieć.

To odpowiedni moment, aby wyciągnąć do niej rękę, pomyślał Lawler. Przyciągnąć ją do siebie, pieścić, zrobić to i owo, ręce, usta, niechaj się stanie. Ona chce cię zrozumieć, powiedział sobie. Daj jej szansę.

I wtedy przypomniał sobie głos Delagarda, a poza tym jest kobietą Kinversona, nieprawdaż? Jeśli jest użyteczna i prócz tego są parą, dlaczego ich rozdzielać?

- Tak - powiedział nagle oschłym głosem. - Wiele pytań, mało odpowiedzi. Czy tak nie jest zawsze? - Nagle zapragnął zostać sam. Postukał palcem w buteleczkę nalewki. - Ten zapas powinien pani wystarczyć na kolejne dwa tygodnie, dokładnie do czasu wyjazdu. Jeśli kaszel nadal nie ustanie, proszę dać mi znać.

Wydawała się trochę zaskoczona tą szorstką odprawą. Potem jednak uśmiechnęła się, podziękowała i wyszła.

Gównno, pomyślał. Gównno. Gównno.

- Statki są już prawie gotowe, a został nam jeszcze tydzień. Moi ludzie naprawdę wypruwali sobie bebechy, stawiając je na nogi! - powiedział Delagard.

W stoczni Lawler spojrzał w kierunku wody, gdzie cała flota Delagarda stała zakotwiczona w porcie, oprócz jednego okrętu, któremu łatano kadłub w suchym doku.

Pracowało przy nim dwóch cieśli. Trzech mężczyzn i cztery kobiety uwijały się na dwóch najbliższych okrętach, stukając i wygładzając.

- Zakładam, że użył pan przenośni.



- Co? Ha, ha. Bardzo śmieszne, doktorze. Niech pan posłucha, każdy, kto u mnie pracuje, musi być facetem z jajami, nawet kobiety. To jest po prostu mój wulgarny sposób mówienia. Albo jedna z moich osobliwych metafor, jak pan woli. Czy chce pan zobaczyć, nad czym pracowaliśmy?

- Nigdy nie byłem na pokładzie okrętu, wie pan? Tylko na małych łódkach rybackich, bączkach i tak dalej.

- Zawsze kiedyś jest pierwszy raz. Proszę bardzo. Pokażę panu okręt flagowy.

Widziany z pokładu, okręt zdawał się mniejszy niż oglądane przez Lawlera, zacumowane w zatoce statki Delagarda. Mimo to wydawał się wystarczająco duży. Był prawie jak miniaturowa wyspa. Lawler czuł, jak pokład faluje pod jego stopami, nawet tutaj, na płyciźnie. Kil wykonano z tego samego, twardego żółtego drewna z wodorostów co sama z długich mocnych włókien związanych ciasno i uszczelnionych smołą. Zewnętrzna strona kadłuba posiadała innego rodzaju uszczelnienie. Dokładnie tak samo jak falochrony wyspy pokrywał mech żywo rosnącego palcorostu, który stale odnawiał się i na nowo oplatał wały, przygniatany do nich mocą oceanu, dokładnie tak drewniane włókna dna zatoki były wzmocnione warstwą ochronnych glonów. Gęsta, zielona sieć palcorostu oplatała girlandami burty kadłuba, podchodząc w górę prawie do samej balustrady. Serdelkowate, niewielkie, błękitno-zielone rurki wodorostu, które zawsze przypominały Lawlerowi bardziej miniaturowe butelki niż palce, nadawały statkowi grubą szczeciniastą powłokę, która tuż pod poziomem wody rozszerzała się w pogmatwane zwoje. Pokład był płaski, wykonany z lżejszego rodzaju drewna, starannie uszczelniony, tak aby wewnątrz okrętu pozostało suche, gdy fale wlewają się do środka. Pośrodku wyrastały dwa maszty. Dwa luki, dziobowy i rufowy, wiodły do tajemniczych głębi. Delagard powiedział:

- Zajmowaliśmy się dotąd poprawieniem uszczelnienia pokładu oraz zewnętrznej

strony kadłuba. Chcemy, aby był całkowicie wodoszczelny. Możemy napotkać dość brzydkie sztormy i z całą pewnością gdzieś tam dopadnie nas Fala. W czasie rejsu między wyspami można starać się ominąć złą pogodę, a jeśli sprawy ułożą się pomyślnie, można mieć nadzieję na ominięcie najgorszej części Fali, lecz w czasie tej podróży może nie być tak łatwo.

- A czy nie jest to również podróż między wyspami? - zapytał Lawler.

- To może nie być podróż między wyspami, o które nam chodzi. Niekiedy, w czasie podobnego rejsu, trzeba wybrać dłuższą drogę.

Lawler niezupełnie rozumiał Delagarda, a ten nie wyjaśnił nic więcej i nie rozwijał tematu. Delagard sprawnie oprowadził Lawlera po statku, syjąc technicznymi terminami: oto część kabinowa, a to budka pokładowa, mostek, pokład dziobowy, nadbudówka, bukszpryt, winda kotwicz na, kołowrót, legar i szpula. Oto oszczepy, tutaj jest sterówka, a to postument z kompasem; pod pokładem znajdują się kwatery załogi - mówił - pomieszczenie magnetronu, pomieszczenie radiowe, warsztat stolarski i to, i jeszcze tamto. Lawler prawie nie słuchał.

Większość nazw nic mu nie mówiła. Co go uderzyło najbardziej, to fakt, że wszystko na dole znajdowało się tak niewiarygodnie blisko siebie, jedna rzecz stłoczona na drugiej. Przywykł do prywatności i samotności swojej chaty. Tutaj będą sobie nawzajem siedzieć na głowach. Próbował wyobrazić sobie siebie żyjącego na tej zatłoczonej łodzi przez dwa, trzy, cztery tygodnie, na otwartym oceanie, bez żadnego lądu w polu widzenia.

Nie na łodzi, powiedział sobie. To okręt. Oceaniczny okręt żaglowy.

- A jakie są ostatnie wieści z Salimil? - zapytał Lawler, kiedy w końcu Delagard wyprowadził go na górę z tych klaustrofobicznych głębi.

- Dag właśnie z nimi rozmawia. Mieli mieć zebranie rady dziś rano. Moim zdaniem przyjmą nas jak bryzę. Mają tam mnóstwo miejsca. Mój syn Rylie dzwonił do mnie w ubiegłym tygodniu i powiedział mi, że czterech członków lady jest zdecydowanie za nami, a

ponadto dwóch przechyla się na naszą stronę.

- Ilu jest w sumie? - Dziewięciu.

- Brzmi nieźle - powiedział Lawler. Tak więc pojedą na Salimil. W porządku. Niech tak będzie. Przywołał obraz wyspy Salimil, taki jak go sobie wyobrażał - bardzo podobny do Sorve, oczywiście, lecz jakiś większy, wspanialszy, bardziej wytworny - i zobaczył siebie, jak układa swój sprzęt medyczny w chacie na wybrzeżu Salimil, którą jego kolega, dr Nikitin z Salimil, przygotował dla niego. Lawler rozmawiał z Nikitinem wiele razy przez radio. Chciał wierzyć, że Rylie Delagard wiedział, co mówi, i że Salimil ich przyjmie. Przypomniał sobie jednak, że inny syn Delagarda, Kendy, który mieszkał na Velmise, był równie przekonany, że Velmise przyciągnie uciekinierów z Sorve.

Na pokład wyszedł utykając Sidero Volkin i rzekł do Delagarda:

- Jest tutaj Dag Tharp. W biurze. Delagard uśmiechnął się szeroko.

- Oto nasza odpowiedź. Zejdźmy na brzeg.

Kiedy zeszli ze statku, Tharp nadchodził już od strony stoczni i spotkał ich na brzegu.

Lawler ujrzał zaszokowaną i czerwoną twarz małego radiooperatora i zrozumiał, jaka była odpowiedź z Salimil.

- A więc? - zapytał mimo to Delagard.

- Odrzucili nas. Pięć przeciw przy czterech za. Powiedzieli, że mają za mało wody.

Dlatego, że lato było suche. Jednak zgodzili się wziąć sześciu ludzi.

- Dranie. No cóż, pieprzyć ich.

- To co mamy im powiedzieć? - zapytał Tharp.

- Proszę nic im nie mówić. Nie będę tracił czasu. Nie pošlemy im sześciu osób.

Gdziekolwiek popłyniemy, to albo wszyscy, albo nikt. - Spojrzał na Lawlera.

- Co dalej? - Zapytał Lawler. - Shaktan? Kaggeram? - Nazwy wysp z łatwością

wypływały na jego usta. Nie miał jednak pojęcia, gdzie się znajdowały ani jak wyglądały

- Sprzedadzą nam te same brednie - odpowiedział Delagard.

- Mimo wszystko spróbowałbym Kaggeram - powiedział Tharp. - Pamiętam, że są tam dość porządni ludzie. Byłem tam jakieś dziesięć lat temu, kiedy...

- Pieprzyć Kaggeram - powiedział Delagard. - Tam też mają jedną z tych rad.

Potrzebują tygodnia, aby przedyskutować sprawę, potem zebranie publiczne i głosowanie, no i cała reszta. Nie mamy tyle czasu. - Delagard pogrążył się w myślach. Mógł być o świat dalej. Wyglądał na kogoś, kto jest całkowicie pochłonięty jakimiś bardzo skomplikowanymi obliczeniami. Jego oczy były na pół przymknięte, a grube czarne brwi ściągnięte razem.

Otaczała go ciężka skorupa ciszy. - Grayvard - powiedział w końcu.

- Przecież od Grayvard dzieli nas osiem tygodni drogi - powiedział Lawler.

- Grayvard? - Tharp wyglądał na zaskoczonego. - Chce pan, abym połączył się z Grayvard?

- Nie pan. Ja. Sam porozmawiam, prosto ze statku. - Delagard zamilkł na chwilę.

Znów wydawało się, że jest bardzo daleko, jakby podsumowywał w pamięci słupki. Potem kiwnął głową, zadowolony z wyniku, i powiedział: - Mam kuzynów na Grayvard. Na litość boską, wiem, jak handlować z moimi własnymi kuzynami. Co im zaproponować. Przyjmą nas. Może pan być tego diabelnie pewien. Nie będzie żadnego problemu. Płyniemy na Grayvard!

Lawler stał przyglądając się, jak Delagard kroczył z powrotem w kierunku statku.

Grayvard? Grayvard?

Nie wiedział o niej prawie nic: najbardziej odległa wyspa archipelagu, do którego należała Sorve, wyspa, która przebywała równie długo na pobliskim Morzu Czerwonym, co na Morzu Ojczystym. Była tak odległa, jak tylko mogła być wyspa, zachowując równocześnie

jakiś rodzaj rzeczywistego związku z Sorve.

W szkole uczono Lawlera, że na około czterdziestu wyspach Hydros znajdują się ludzkie osady. Być może oficjalna ich liczba wzrosła obecnie do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, nie wiedział. Rzeczywista ich liczba była prawdopodobnie znacznie wyższa, dlatego że wszyscy żyli w cieniu masakry na Shalikomo, która miała miejsce w trzeciej generacji, i zawsze, ilekroć populacja wyspy zaczynała nadmiernie rosnać, dziesięć lub dwadzieścia osób opuszczało ją, aby szukać nowego życia gdzie indziej. Osadnicy, którzy przenosili się na nowe wyspy, nie zawsze posiadali odpowiednie środki, aby nawiązać kontakt radiowy z resztą Hydros. Tak więc łatwo było stracić rachubę. Powiedzmy osiemdziesiąt wysp zamieszkałych przez ludzi, jak dotąd, czy nawet sto. Rozrzuconych po całej planecie, uważanej za większą od Ziemi. Komunikacja między wyspami spoza najbliższej, niewielkiej grupy była sporadyczna i trudna. Luźne związki między wyspami tworzyły się i rozpadały, podczas gdy wyspy podróżowały wokół świata.

Jeden raz, dawno temu, ludzie próbowali zbudować własną wyspę, aby nie musieli żyć cały czas pod okiem swych sąsiadów Skrzelowców. Odkryli sposób jej budowy i zaczęli pleść włókna, zanim jednak posunęli się w pracach, wyspa została zaatakowana przez ogromne stwory morskie i zniszczona. Dziesiątki ludzi straciło życie. Wszyscy przypuszczali, że potwory zostały nasłane przez Skrzelowców, którym z pewnością nie podobał się pomysł zbudowania przez ludzi własnego, niezależnego terytorium. Nikt więcej nie podjął takiej próby.

Grayvard, pomyślał Lawler. Ciekawe.

Jedna wyspa jest równie dobra jak inne - powiedział sobie. Potrafi jakoś przystosować się, gdziekolwiek wylądują. Tylko czy rzeczywiście zostaną przyjęci na Grayvard? Czy w ogóle będą w stanie ją znaleźć, gdzieś tam między Morzem Ojczystym i Czerwonym? Co, u

diabła? Niech martwi się o to Delagard. Co go to obchodzi? To wszystko było poza nim.

Głos Gharkida, cienki, piskliwy i ochryPLY, dogonił Lawlera, gdy wolno wracał do swojej chaty.

- Doktorze? Panie doktorze?

Ciężko obładowany, zataczał się pod ciężarem dwóch ogromnych, ociekających koszy wypakowanych glonami, które niósł na nosidłach.

Lawler zatrzymał się i poczekał na niego. Gharkid podszedł do niego chwiejnym krokiem, pozwalając, by kosze ześliznęły się z jego ramion dosłownie u stóp Lawlera.

Gharkid był drobnym, żylastym mężczyzną, o tyle niższym od Lawlera, że musiał mocno odchyłać głowę do tyłu, aby móc spojrzeć prosto na lekarza. Uśmiechnął się, ukazując lśniaco białe zęby na tle śniadej zasłony twarzy. Było w nim coś szczerego i pociągającego. Jednakże dziecięca prostota, którą emanował ten człowiek, radosna wieśniacza niewinność, mogła być czasami nieco drażniąca.

- Cóż to jest? - zapytał Lawler, spoglądając w dół na płataninę wodorostów wysypujących się z koszy, zielonych, czerwonych i żółtych, upstrzonych smugami krzykliwych fioletowych żyłek.

- Dla pana, panie doktorze. Leki. Na wyjazd, do zabrania.

Gharkid uśmiechnął się szeroko. Wydawał się zadowolony z siebie.

Lawler, klęcząc, grzebał w ociekającej wodą beładnej masie. Umiął rozpoznać niektóre z wodorostów. Ten niebieskawy to środek przeciwbólowy, a ten z ciemnymi, poprzecznymi, podłużnymi liśćmi dostarczał lepszego z dwóch środków antyseptycznych, ten tutaj natomiast - tak, to uśmierzycha. Bezsprzecznie uśmierzycha. Dobry, stary Gharkid.

Lawler podniósł oczy, a gdy jego wzrok napotkał spojrzenie Gharkida, przez moment ujrzał błysk czegoś niezupełnie dzieciennego i naiwnego w jego ciemnych oczach.

- Do zabrania z nami na statek - powtórzył Gharkid, jak gdyby Lawler nie zrozumiał za pierwszym razem. - Te są dobre, na lekarstwa. Myślałem, że pan je zechce, trochę więcej.

- Bardzo dobrze pan zrobił - powiedział Lawler. - Proszę, zanieśmy je do mojej chaty.

To był duży połów. Mężczyzna zgromadził po trosze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość medyczną. Lawler odkładał tę wyprawę i odkładał, aż w końcu Gharkid po prostu wyprawił się do zatoki i zebrał całą farmakopeę. Naprawdę dobra robota, pomyślał Lawler. Szczególnie uśmierzycha. Do wyjścia w morze zostało wystarczająco dużo czasu, aby przetworzyć całość, oczyścić i zamienić na proszki i balsamy, maści i nalewki. A potem statek będzie dobrze wyposażony w środki lecznicze na długi kurs na Grayvard. Ten Gharkid znał się na swoich glonach, to fakt. Jeszcze raz Lawler pomyślał o tym, czy rzeczywiście Gharkid był takim prostakiem, na jakiego wyglądał, czy też była to jedynie jakaś swego rodzaju postawa obronna. Gharkid wydawał się często duszą bez wyrazu, jak tabula rasa, na której każdy mógł zapisać wszystko, co tylko chciał. Musiał mieć w sobie coś więcej, gdzieś wewnątrz. Ale gdzie?

...Ostatnie dni przed rejssem były złymi dniami. Każdy rozumiał konieczność odejścia, ale nie każdy wierzył, że naprawdę do tego dojdzie, a teraz rzeczywistość nadchodziła ze straszliwą siłą. Lawler widział, jak stare kobiety gromadziły przed chatami sterty swego dobytku, przyglądały się im pustym wzrokiem, przekładały je, wnosząc do środka jedne, a wnosząc inne przedmioty. Niektóre kobiety i kilku mężczyzn popłakiwało cały czas, jedni z cicha, inni wcale nie tak cicho. Odgłosy histerycznego łkania słyhać było przez całą noc. Lawler pomagał w najcięższych przypadkach, podając "nalewkę z uśmierzychy.

- Spokojnie - powtarzał ciągle. - Spokojnie, spokojnie. - Thom Lyonides był pijany przez trzy dni z rzędu, ryczał i śpiewał, a potem wszczął bójkę z Bamberem Cadrellem, mówiąc, że nikt nie zmusi go do wejścia na pokład jednego z tych statków. Delagard, który

przechodził akurat z Gospo Struvinem, powiedział: Co jest, do cholery? - a Lyonides skoczył na niego, warcząc i skrzecząc jak lunatyk. Delagard uderzył go w twarz, a Struvin chwycił za szyję i dusił, dopóki się nie uspokoił.

- Wrzućcie go na jego statek - powiedział Delagard do Cadrella. - Dopilnujcie, aby pozostał tam aż do odpłynięcia.

Przedostatniego dnia, jak również ostatniego, grupki Skrzelowców podchodziły aż do granicy między ich terytorium a osadą ludzką i stały tam, obserwując w swój nie-odgadniony sposób, jakby upewniając się, że ludzie przygotowują się do drogi. Każdy na Sorve wiedział już, że nie będzie żadnej zwłoki w wykonaniu wyroku, żadnego odwołania rozkazu wygnania. Ostatni wątpiący, ostatni zaprzeczający musieli ulec naciskowi tych rybich, wytrzeszczonych, nieprzejednanych oczu. Sorve była utracona na zawsze. Ich nowym domem będzie Grayvard. Tyle zostało ustalone.

Tuż przed końcem, na kilka godzin przed wypłynięciem, Lawler wspiął się na najbardziej odległy kraniec wyspy, po drugiej stronie zatoki, w miejscu, gdzie wysoki wał stykał się z otwartym oceanem. Było południe i woda lśniła odbitym światłem.

Ze swojej pozycji na wale Lawler patrzył na otwarte morze i wyobrażał sobie, jak żegluje po nim, z dala od jakiegokolwiek brzegu. Chciał sprawdzić, czy jeszcze się go obawia, tego bezkresnego świata wody, w który wyruszy niezadługo.

Nie. Nie. Wydawało się, że cały strach opuścił go tej pijanej nocy u Delagarda. Nie powrócił. Lawler utkwiał wzrok w oddali i nie zobaczył nic prócz oceanu; to było w porządku. Nie było się czego bać. Zamieni tylko wyspę na statek, który tak naprawdę nie był niczym innym jak miniaturową wyspą. Jaka więc była ta najgorsza ewentualność? Że statek mógł 1 zatonać w czasie sztormu, jak sądził, lub że zostanie roztrzaskany przez Falę i on umrze. To nic: wcześniej czy później musi umrzeć. Nic nowego. Poza tym okręty nie ginęły na morzu aż



tak często. Były szansę, że bezpiecznie dotrą do Grayvard. Znów wyjdzie na brzeg i zacznie nowe życie.

Bardziej niż strach przed czekającą go podróżą, Lawler Odczuwał nadal okazjonalne, ostre ukłucia żalu za tym wszystkim, co zostawiał za sobą. Tęsknota pojawiała się szybko i równie szybko odchodziła, niezaspokojona.

Lecz teraz, ku jego zdziwieniu, sprawy, które zostawiał za sobą, zdawały się mało ważne. Gdy tak stał, zwrócony plecami do osady, wpatrując się nieruchomo w czarny bezmiar wód, wszystkie wydawały się oddalać z wiatrem, który spoza niego wiał w kierunku morza: budzący lęk ojciec, łagodna, nieuchwytna matka, prawie zapomniani bracia. Całe jego dzieciństwo, wiek dojrzewania, krótki okres małżeństwa, lata, które przeżył jako lekarz wyspy, jako dr Lawler swojego pokolenia. Nagle wszystko oddalało się. Wszystko. Czuł się dziwnie lekki, mógłby po prostu dosiąść bryzy i poszybować na Grayvard. Wszystkie skorupy wydawały się popękane. Wszystko, co trzymało go tutaj, opadło z niego w jednej chwili. Wszystko.

## **CZEŚĆ DRUGA**

**NA MORZE MARTWE**

Pierwsze cztery dni podróży były spokojne, aż podejrzenie spokojne.

- To naprawdę dziwne - powiedział Gabe Kinverson i poważnie potrząsnął głową. -

Oczekiwałamby jakichś kłopotów do tej pory, wypływając tak daleko, w środek pustkowia - dodał, patrząc ponad spokojnymi, wolno poruszającymi się, szaroniebieskimi falami. Wiał jednostajny wiatr. Żagle były pełne. Okręty pozostawały blisko siebie, spokojnie przesuając się poprzez szkliste morze w swej podróży na północny zachód, w kierunku Grayvard. Nowy dom; nowe życie; dla siedemdziesięciu ośmiu podróżników, wyrzutek, wygnańców było to jak ponowne narodziny. Czy jednak jakiegokolwiek narodziny, pierwsze czy drugie, mogą być równie łatwe jak te? I jak długo jeszcze będą tak łatwe?

Pierwszego dnia, gdy wciąż jeszcze znajdowali się w zatoce, Lawler raz po raz wychodził na rufę, aby spojrzeć na wyspę Sorve znikającą w oddali.

W tych pierwszych godzinach rejsu Sorve wznosiła się za nimi jak długi, brązowy kopiec. Wtedy wciąż jeszcze wydawała się prawdziwa i namacalna. Mógł rozpoznać znajomy, środkowy grzbiet i wygięte na zewnątrz ramiona, szare wieże chat, elektrownię i chaotyczne budynki stoczni Delagarda. Wydawało mu się, że może nawet zobaczyć ponury rząd Skrzelowców, którzy zeszli na brzeg, aby popatrzeć na wyjście w morze sześciu okrętów.

Potem woda zaczęła zmieniać kolor. Głęboka, soczysta zieleń przeszła w barwę oceanu, który tutaj był ciemnobłękitny z odcieniem szarości. W ten sposób zaznaczało się wyjście na otwarte wody, poza zatokę. Lawler odczuwał to jak zwolnienie zapadki katapulty, wyrzucającej go w powietrze. Teraz, kiedy sztuczne dno pod nimi opadło, Sorve gwałtownie malała, stając się zaledwie ciemną linią na horyzoncie, a potem w ogóle niczym.

Jeszcze dalej ocean przybierał inne barwy, zależnie od żyjących w nim

mikroorganizmów, panującego klimatu oraz wydzielenia materii z głębin. Poszczególne morza nazywano w zależności od przeważającej w nich barwy: morze czerwone, żółte, lazuruwe, czarne. To, którego należało się bać, to Morze Martwe - morze bladego, lodowatego błękitu, morze-pustynia. Takie były wielkie przestrzenie oceanu, nie istniało w nich prawie żadne życie. Jednak trasa ekspedycji nie zbliżała się do żadnej z nich.

Okręty podróżowały zwartym szykiem w kształcie piramidy, który miały utrzymywać dzień i noc. Każdy znajdował się pod komendą jednego z kapitanów promowych Delagarda, z wyjątkiem tego, na którym żeglowało jedenaście kobiet Zakonu, całkowicie samodzielnie. Delagard zaproponował, że da im jednego ze swych ludzi jako pilota, lecz odmówiły, czego się zresztą spodziewał.

- Kierowanie okrętem to nie problem - powiedziała mu siostra Halla. - Będziemy patrzeć, co wy robicie, i robić to samo.

Okręt flagowy Delagarda, "Królowa Hydros", szedł na początku pod wodzą Gospo Struvina. Następnie płynęły dwa obok siebie: "Gwiazda Czarnego Morza" dowodzona przez Poilin Stayvol oraz "Bogini Sorve" pod Bamberem Cadrellem, za nimi trzy kolejne statki w szerszej linii, pośrodku siostry na "Krzyżu Hydros" między "Trzema Księżycami" pod Martin Yanezem i "Złote Słońce" dowodzone przez Damisa Sawtelle'a.

Teraz, gdy Sowę całkowicie zniknęła z pola widzenia, nie było widać nic prócz morza i nieba, płaskiego horyzontu i łagodnych grzbietów fal. Lawlera ogarnął przedziwny spokój. Zadziwiająco łatwo przyszło mu zanurzyć się i całkowicie zatracić w bezmiarze tego wszystkiego. Morze było ! spokojne i zdawało się, że może pozostać takim na zawsze. To prawda, że już nie było widać Sorve. Sorve zniknęła. Co z tego? Sorve już nie miała znaczenia.

Szedł po pokładzie, smakując siłę wiatru, który uderzał go w plecy, podmuchu

popychającego równomiernie statek, z każdą minutą unoszącego ich coraz dalej od wszystkiego, co kiedykolwiek znali.

Przy fokmaszcie stał ojciec Quillan. Miał na sobie ciemnoszarą szatę z jakiejś niezwykle lekkiej tkaniny, przewiewną i lekką, coś, co musiał przywieźć ze sobą z innego świata. Na Hydros nie było takich tkanin.

Lawler zatrzymał się przy nim. Quillan szerokim gestem wskazał na morze.

Wyglądało jak ogromny, błękitny klejnot, migoczący dzikim blaskiem, a jego wielka, szklana krzywa i rozpościerała się na wszystkie strony, jakby cała planeta była jedną lśniącą, wypolerowaną kulą.

- Patrząc na to wszystko trudno uwierzyć, że na tym świecie istnieje jeszcze coś oprócz wody, prawda?

- Owszem, trudno.

- Taki ogromny ocean. Taka pustka.

- Sprawia, że myślisz, iż Bóg nie istnieje, czyż nie? Bezmiar tego wszystkiego.

Quillan spojrzał na niego, zaskoczony.

- Naprawdę?

- Nie wiem. Pytam.

- Wierzysz w Boga, Lawler?

- Mój ojciec wierzył.

- Ale nie ty?

Lawler wzruszył ramionami.

- Mój ojciec miał Biblię. Często nam ją czytał. Dawno temu gdzieś zaginęła. A może została skradziona. Pamiętam trochę. "I Bóg powiedział, niech stanie się firmament pośrodku wód i niech odzieli wody od wód. I Bóg nazwał ten firmament Niebem". To jest niebo tam na

górze, prawda, ojciec Quillan? Tam za sklepieniem niebieskim? A wody, które powinny być nad nim, to ocean przestrzeni, nieprawdaż?

Quillan patrzył na niego ze zdumieniem.

- "I rzekł Bóg, niech wody pod niebem zgromadzą się w jednym miejscu i niech pojawi się suchy ląd, i tak się stało. I nazwał Bóg suchy ląd Ziemią - a zgromadzenie wód nazwał Morzami".

- Zna pan całą Biblię na pamięć, prawda? - powiedział Quillan.

- Tylko ten mały kawałeczek. Pierwszą stronę. Nie mogłem zrozumieć reszty, wszystkich tych proroków, królów, bitew i tym podobnych rzeczy.

- I Jezusa.

- To było na końcu. Nigdy nie doczytałem tak daleko.

- Lawler spojrzał ku nieustannie cofającemu się horyzontowi, gdzie błękit przechodził w błękit i w nieskończoność.

- Skoro nie ma tutaj suchego lądu, najwyraźniej Bóg zamierzał stworzyć na Hydros coś innego niż na Ziemi. Nie sądzi pan? "Bóg nazwał suchy ląd Ziemią". A mokry ląd nazwał Hydros, jak sądzę. Cóż to musiała być za praca, stworzenie tylu różnych światów. Nie tylko Ziemi, lecz każdego pojedynczego świata w galaktyce. Iriarte, Fenix, Me-galo, Kastro, Darma, Barma, Mentiroso, Copperfield, Nabomba Zom, całą ich masę, milion i jedną planetę. A każdą w innym celu, bo inaczej po co tworzyć tak wiele światów? Bo przecież stworzył je jeden Bóg, prawda?

- Nie wiem - odrzekł Quillan.

- Przecież jest pan duchownym!

- Co nie oznacza, że wiem wszystko. To nie oznacza nawet, że wiem cokolwiek.

- Czy wierzy pan w Boga? - zapytał Lawler,

- Nie wiem.

- A wierzy pan w cokolwiek?

Quillan zamilkł na chwilę. Jego twarz całkowicie zastygła, jakby duch na moment opuścił jego ciało.

- Nie sędzę - odpowiedział.

Z jakiegoś powodu morze wydawało się tutaj bardziej płaskie niż widziane z wyspy.

Ciemność nadchodziła nagle, spadając prawie z trzaskiem. Słońce spływało z zachodniego nieba, unosiło się przez chwilę nad morzem i tonęło. Świat wokół natychmiast czerniał i nad głowami zaczynał świecić Krzyż.

- Kolacja, pierwsza zmiana - wrzasnął Natim Gharkid tłukąc w patelnię.

Załoga "Królowej Hydros" była podzielona na dwie wachty, pracujące po cztery godziny z czterogodzinną przerwą. Członkowie obu wacht razem jadali posiłki. Do pierwszej należeli: Leo Martello, Gabe Kinversion, Pilya Braun, Gharkid, Dag Tharp i Gospo Struin; drugą tworzyli: Neyana Golghoz, Sundira Thane, Dann Henders, Delagard, Onyos Felk, Lis Niklaus i ojciec Quillan. Nie było specjalnej messy oficerskiej, Delagard i Struin, właściciel i kapitan jadali wraz z innymi w kuchni. Lawler, który nie miał stałego rozkładu obowiązków, ale był przez cały czas do dyspozycji, jako jedyny znajdował się całkowicie poza systemem wacht. Odpowiadało to jego rytmowi biologicznemu: poranny posiłek dzielił z drugą wachtą o świcie, a wieczorny z pierwszą wachtą o zachodzie słońca. Dawało mu to dziwne poczucie swobody i wyobcowania. Nawet tutaj, od pierwszych dni podróży, obie wachty zaczynały nawiązywać rodzaj więzi zespołowej, a on nie należał do żadnego zespołu.

- Dzisiaj gulasz z zielonych wodorostów - powiedziała Lis Niklaus, gdy pierwsza

wachta wmaszerowała rzędem do kuchni. - Pieczone płetwy włócznika, ciasteczka z mąki rybiej, sałatka z jagód trzciniowych.

Była to trzecia noc podróży. Menu powtarzało się każdego wieczoru; każdego wieczoru Lis ogłaszała je tubalnym głosem, oczekując, że będą zadowoleni. To głównie ona zajmowała się gotowaniem, z pomocą Gharkida i czasami Delagarda. Posiłki były skromne i nie wyglądało na to, że później poprawią się: suszona ryba, ciasteczka z mąki rybnej, suszone wodorosty, chleb z mąki wodorostowej, uzupełniane ostatnimi połowami świeżych glonów Gharkida oraz tym, co żywego udało się złowić tego dnia. Jak dotąd był to jedynie włóczęg. Ławice tych czujnych, ochoczo wyglądających stworzeń o nosach zakończonych ostrzami podążały za nimi od czasu, gdy opuścili Sorve. Głównymi rybakami byli Kinverson, Pilya Braun i Henders, którzy pracowali na stanowisku wędkarskim na rufie.

Struvin powiedział:

- Ładny dzisiaj dzień.
- Zbyt ładny - wymamrotał Kinverson, pochylając się nad talerzem.
- Wolałbyś sztorm? Wolisz Falę? Kinverson wzruszył ramionami.
- Nie ufam spokojnemu morzu.

Dag Tharp, biorąc kolejne ciasteczko z rybiej mąki, zapytał:

- Jak stoimy z wodą, Lis?
- Jeszcze jedna miarka na głowę i to wszystko do tego posiłku.
- Gówno. Nie wiesz, że to jedzenie wywołuje pragnienie?
- Będziemy bardziej spragnieni później, jeżeli wypijemy całą wodę w pierwszym tygodniu - odparł Struvin. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Lis, podaj kilka surowych filetów z ryby dla radiooperatora.

Przed opuszczeniem Sorve mieszkańcy wioski załadowali na statki tyle pojemników ze słodką wodą, ile tylko było możliwe. I tak pozwoliło to uzyskać zapas na jakieś trzy tygodnie, zakładając oszczędne racjonowanie. W czasie podróży będą musieli polegać na



deszczach napotykanym po drodze; jeśli nie spotkają żadnych, będą musieli znaleźć inne sposoby zaspokajania zapotrzebowania na świeżą wodę. Dobrym sposobem było jedzenie surowych ryb. Wszyscy o tym Wiedzieli. Lecz Tharp nie przyjmował tego do wiadomości. Spojrzał groźnie na Lis.

- Zapomnij o tym. Pieprzę surową rybę.

- Tłumi pragnienie - powiedział cicho Kinverson.

- Tłumi apetyt - odrzekł Tharp. - Pieprzę to. Wolę być spragniony.

Kinverson wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Za tydzień lub dwa zmienisz zdanie. Lis położyła na stole talerz bladego, zielonkawego mięsa. Wilgotne plastry nie ugotowanej ryby były owinięte pasemkami świeżych, żółtych wodorostów. Tharp wpatrywał się markotnie w talerz. Potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Lawler po chwili poczęstował się. Struvin też wziął trochę, i Kinverson.

Surowa ryba chłodziła język Lawlera, prawie gasząc pragnienie. Prawie.

- Co o tym sądzisz, doktorze? - zapytał po chwili Tharp.

- Nie najgorsza - odpowiedział Lawler.

- Może, gdybym wziął kawałtka - powiedział radiooperator.

Kinverson roześmiał się w swój talerz.

- Dupek.

- Co powiedziałaś, Gabe?

- Naprawdę chcesz, żebym powtórzył?

- Wy dwaj, jeśli chcecie się bić, to idźcie na pokład - powiedziała z niesmakiem Lis.

- Bójka? Ja i Dag? - Kinverson wyglądał na zaskoczonego. Mógł podnieść Tharpa do góry jedną ręką. - Nie wygłupiaj się, Lis.

- Chcesz walczyć? - krzyknął Tharp, a jego rumiana twarz o ostrych rysach

poczerwieniała jeszcze bardziej. - Chodź, Kinverson, no chodź. Myślisz, że się siebie boję?

- Powinieneś - Lawler powiedział do niego miękko. - Jest cztery razy większy od ciebie. - Roześmiał się i spojrzał w stronę Struvina. - Jeżeli zużyliśmy cały przydział wody na dzisiaj, Gospo, to co powiedziałabyś na kolejkę brandy? To ugasi nasze pragnienie.

- Prawda. Brandy! Brandy! - wrzasnął Struvin. Lis podała mu piersiówkę. Struvin oglądał ją przez chwilę z grymasem na twarzy.

- To brandy z Sorve. Zachowajmy ją na czas, kiedy będziemy naprawdę w potrzebie.

Podaj, proszę, tę z Khuviar. Brandy z Sorve to szczyzny.

Lis wyjęła z szafki inną butelkę, długą i obłą, o matowym połysku. Struvin przejechał dłonią wzdłuż jej boku i zaśmiał się z uznaniem.

- Khuviar, tak! Na tej wyspie naprawdę znają się na brandy. I na winie. Czy ktoś z was był tam kiedy? Nie, nie, widzę, że nikt. Oni tam piją na okrągło. Najszczęśliwsi ludzie na tej planecie.

- Ja byłem tam raz - powiedział Kinverson. - Bez przerwy byli pijani. Nic nie robili, tylko pili i wymiotowali, a potem znowu pili.

- Ale co pili - z zachwytem westchnął Struvin. - Och, co oni pili!

- W jaki sposób udaje im się cokolwiek zrobić - spytał Lawler - jeśli nigdy nie trzeźwieją? Kto zajmuje się łowieniem? Kto naprawia sieci?

- Nikt - odrzekł Struvin. - To nieszczęsne i plugawe miejsce. Trzeźwieją na tak długo, ile potrzeba, aby zejść do zatoki i znaleźć wiązkę winnego wodorostu, który potem przetwarzają na wino lub brandy i piją dalej. Nie uwierzylibyście, że można tak żyć. Ubierają się w łachmany. Mieszkają w szałasach z wodorostów jak Skrzelowcy. W zbiorniku mają słonawą wodę. To paskudne miejsce. Tylko kto powiedział, że wszystkie wyspy muszą być jednakowe? Każda jest inna. Jedna niepodobna do drugiej. I tak, według mnie, powinno być;

każda wyspa jest sobą i żadnym innym miejscem. A na Khuviar umieją pić. Proszę, Tharp.

Mówiłeś, że chce ci się pić? Spróbuj mojej doskonałej brandy z Khuviar. Ja stawiam.

Poczęstuj się.

- Nie lubię brandy - powiedział Tharp ponuro. - Diabelnie dobrze o tym wiesz, Gospo.

A poza tym brandy tylko zwiększy pragnienie. Wysusza błony śluzowe ust. Prawda, doktorze? Pan powinien zdawać sobie z tego sprawę. - Wypuścił powietrze w westchnieniu gwałtownym jak eksplozja. - Do cholery, dajcie mi tę surową rybę!

Lawler podsunął mu tacę. Tharp nadział plasterk na swój widelec, przyjrzał mu się przez chwilę, jak gdyby nigdy przedtem nie widział kawałka surowej ryby, i w końcu odgryzł próbny kęs. Obrócił go w ustach kilka razy, połknął, podumał. Potem odgryzł następny kęs.

- Hej - powiedział. - To jest niezłe. Całkiem niezłe.

- Dupek - powtórzył Kinverson. Uśmiechnął się jednak przy tym.

Po posiłku wszyscy wyszli na pokład na zmianę wachty. Henders, Golghoz i

Delagard, którzy trudzili się przy takielunku, zeszli na dół, a Martello, Pilya Braun i Kinverson zajęli ich miejsca.

Jaskrawy blask Krzyża przecinał niebo na ćwiartki. Morze było tak spokojne, że jego odbicie stanowiło schludną linię chłodnego, białego ognia leżącego na wodzie, rozciągającego się w nieskończoność, w której rozmazywało się i ginęło. Lawler stał przy burcie i patrzył w tył, w stronę miękkich migoczących świateł, znaczących obecność pozostałych pięciu okrętów, sunących za nimi w klinowatym szyku. Tutaj była Sorve, wprost na wodzie; cała, niewielka społeczność wyspy upakowana na tych statkach - Thalheimowie i Tanamindowie, Katzinowie i Yanezowie, Sweynerowie i Sawtelle'owie oraz cała reszta, znane nazwiska, stare, bardzo stare nazwiska. Po zmroku, co noc, na każdym okręcie mocowano światła wzdłuż nadburcia, długie, tłące się pochodnie z suszonych glonów, które

płonęły dymiącym, pomarańczowym ogniem. Delagard fanatycznie wprost obstawał przy tym, aby flota trzymała się zawsze razem, nigdy nie łamiąc szyku. Każdy okręt posiadał własny radioodbiornik i utrzymywano stały kontakt przez całą noc na wypadek, gdyby któryś z nich zabłądził.

- Nadchodzi bryza! - krzyknął ktoś. - Popuścić forsztak!

Lawler podziwiał sztukę manewrowania żaglami dla złapania wiatru. Żałował, że nie wie więcej na ten temat. Żeglowanie jawiło mu się jako magia, arkana oszałamiającego misterium. Na statkach Delagarda, znacznie większych od małych skifów, których wyspiarze używali w zatoce i do krótkich rejsów tuż przy jej ujściu, każdy z dwóch masztów był wyposażony w wielki, trójkątny żagiel, wykonany z ciasno splecionych bambusowych włókien, nad którym znajdował się mniejszy, czworokątny, przymocowany do rei. Kolejny, mały, trójkątny żagiel był rozpięty między masztami. Główne żagle przywiązywano do ciężkich, drewnianych bomów; na miejscu utrzymywał je system lin, połączonych nanizanymi na nie kulkami i zębatymi zaciskami, a manipulowano nimi za pomocą fałów przewleczonych przez bloki i talie.

W normalnych warunkach do obsługi żagli potrzeba było trzech osób, z czwartą stojącą przy sterze i wydającą komendy. Drużyna Martello-Kinverson-Braun pracowała pod komendą Gospo Struvina, a gdy na pokładzie była druga zmiana, Neyana Golghoz, Dann Henders i sam Delagard zajmowali się żaglami, a Onyos Felk, nawigator i kartograf, zajmował miejsce Struvina w sterówce. Sundira Thane pracowała jako pomocnik na zmianie Struvina, a Lis Niklaus na zmianie Felka. Lawler przystawał z boku, j przyglądając się, jak biegali w kółko wykrzykując polecenia w rodzaju "Popraw brasy!" i "Owiń za pokładnicą!" lub "Na nawietrzną! Na nawietrzną!" Wciąż od nowa, wraz ze zmianami wiatrów, opuszczali żagle, obracali je i ponownie stawiali w innych pozycjach. W jakiś sposób, niezależnie od

kierunku wiatru, udawało im się utrzymywać stały kurs statku.

Jedynymi, którzy nigdy nie brali w tym udziału byli Dag Tharp, ojciec Quillan, Natim Gharkid i Lawler. Tharp był zbyt lekki i wąty, żeby był z niego wielki pożytek przy linach, a poza tym większość czasu spędzał pod pokładem obsługując sprzęt radiowy, który zapewniał kontakt między okrętami floty. Ojciec Quillan został ogólnie uznany za zwolnionego z wszelkiej pracy pokładowej; odpowiedzialność Gharkida ograniczała się do robót kuchennych oraz łowienia włókiem dryfujących glonów; a Lawler, chociaż miał ochotę pomóc przy takielunku, krępował się prosić o to, by go nauczono tej sztuki, i trzymał się na uboczu czekając na zaproszenie, którego wciąż nie otrzymywał.

Gdy tak stał przy nadburciu, obserwując pracującą załogę, coś przyfrunęło z ciemnego morza i uderzyło go w twarz. Lawler poczuł kłujące uderzenie w policzek, bolesne, piekące pacnięcie, jakby szorstkie łuski otarły się o skórę. Wokół rozszedł się intensywny, nieprzyjemnie kwaśny zapach morza, przechodzący w bolesną gorycz. Coś z głuchym łoskotem upadło na pokład.

Spojrzał w dół. Skrzydlate stworzenie długości jego dłoni tłuło się bezładnie po pokładzie. W pierwszej chwili Lawler myślał, że to air-skimmer, lecz air-skimmer to pełne wdzięku, eleganckie stworzenia tęczowej barwy, o wymuskanych, opływowych liniach dla uzyskania maksymalnego efektu aerodynamicznego, a ponadto nigdy nie unosiły się w powietrze po zmroku. Ten mały, nocny stwór przypominał raczej skrzydlatego robaka, bladego, wiotkiego i brzydkiego, o małych, czarnych, paciorkowatych oczkach i krótkiej, sztywnej, czerwonej szczecinie turkoczącej na grzbiecie. To właśnie ta szczecina podrapała Lawlera, gdy stworek uderzył w niego.

Pomarszczone skrzydła o ostrych kątach, wyrastające z boków stworzenia poruszały się nieprzyjemnie pulsującym ruchem, coraz wolniej i wolniej. Miotając się po pokładzie

pozostawiało wilgotny ślad czarnawego śluzu. Choć było wstrętne, wydawało się nieszkodliwe, budziło litość umierając tak na pokładzie.

Sama jego brzydota fascynowała Lawlera. Ukłękł, aby bliżej mu się przyjrzeć, lecz w tym momencie Delagard, zszedłszy właśnie z rei, podszedł i podważył ciało stwora koniuszkiem buta. Jednym, zwinnym kopnięciem przerzucił je długim łukiem przez nadburcie prosto do wody.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał Lawler.

- Po to, aby nie mogła podskoczyć i odgryźć ci tego głupiego nosa, doktorze. Nie rozpoznałeś śluzicy?

- Śluzica?

- Młoda, tak. Dorosłe osiągają mniej więcej takie rozmiary i są podłymi skurczybykami. - Delagard rozstawił ręce na około pół metra. - Jeśli nie wiesz, co to jest, nie stawaj w zasięgu jego szczęk. Dobra zasada w tym miejscu.

- Zapamiętam ją.

Delagard oparł się o nadburcie i wyszczerzył zęby, co pewnie miało być ujmującym uśmiechem.

- I jak podoba ci się życie na morzu? - Był spocony po pracy na górze, zarumieniony, w pewien sposób pobudzony. - Czyż ocean to nie cudowne miejsce?

- Przypuszczam, że ma swój urok. Usilnie próbuję go odnaleźć.

- Nie jesteś szczęśliwy, co? Za ciasna kabina? Niezbyt interesujące towarzystwo? Nudna sceneria?

Nie rozbawiło to Lawlera.

- A może byś się odpierzył, Nid?

Delagard starł ze swego buta niewielką plamkę rybiego śluzu.

- Hej! - powiedział. - Chodziło mi tylko o chwilę przyjaznej pogawędki.

Lawler zszedł pod pokład i udał się do swojej kabiny na dziobie. Na tym poziomie okrętu, wzdłuż całej jego długości, wiódł wąski, zatęchły korytarzyk, oświetlony zatłuszczonym, pryskającym światłem lamp tkwiących w kościanych lichtarzykach. Gęste, pełne dymu powietrze szczypało go w oczy. Słyszał głuchy łoskot uderzających o kadłub fal, których zniekształcone echo niosło się po wręgach. Wyżej rozbrzmiewał głuchy jęk masztów skrzypiących w tulejach.

Jako lekarzowi okrętowemu przysługiwała Lawlerowi jedna z trzech małych, pojedynczych kabin na dziobie. Struvin zajmował sąsiednią kabinę na prawej burcie. Delagard i Lis Niklaus dzielili największą z trzech kabin, położoną dalej, przy przegrodzie dziobowej. Wszyscy pozostali mieszkali w forkasztele, stłoczeni razem w dwóch długich kabinach, które zwykle używane były jako przedziały pasażerskie, gdy okręt kursował jako prom między wyspami. Pierwsza wachta otrzymała przedział rufowy, a druga parkowała swój dobytek po stronie dziobowej.

Kinverson i Sundira wylądowali w różnych zmianach i spali w różnych przedziałach. Lawler był tym zdziwiony. Nie dlatego, aby to, gdzie kto spał, miało jakieś znaczenie: w tych zatłoczonych pomieszczeniach było tak ciasno, że para mająca ochotę uprawiać seks musiałaby zejść do ładowni, dwa poziomy niżej, i kochać się wciśnięta między skrzynie. Jednak czy tych dwoje tworzyło parę, jak twierdził Delagard, czy nie? Lawler zaczynał pojmować, że chyba nie. A jeśli nawet, to był to cholernie luźny związek. Od początku podróży wydawali się prawie nie zauważać siebie nawzajem. Może to, co zaszło między nimi na Sorve, jeśli cokolwiek zaszło, było zaledwie nic nie znaczącym flirtem, przypadkowym spotkaniem ciał, sposobem na zabicie czasu. Pchnął drzwi i wszedł do swojej kabiny. Nie większa od spiżarni, mieściła koję, umywalkę i małą drewnianą komodę, w której Lawler

trzymał kilka osobistych rzeczy, zabranych z Sorve. Delagard nie pozwolił mu zabrać wiele.

Kilka sztuk odzieży, sprzęt wędkarski, kilka garnków, patelni i talerzy oraz lustro.

Pamiątki z Ziemi były tu, oczywiście, również. Trzymał je na półce naprzeciwko koi.

Pozostałe rzeczy, jakie posiadał -> \_ skromne umeblowanie, lampy oraz kilka ozdób,

które wykonał z różnych materiałów znalezionych w morzu - pozostawił w spadku

Skrzelowcom. Sprzęt medyczny, większość zapasów oraz skromną biblioteczkę ręcznie

zapisanych tekstów medycznych umieścił na dziobie, za kuchnią, w kabinie służącej jako

okrętowa izba chorych. Główne zapasy medyczne znajdowały się na dole, w ładowni.

Zapalił słabe światelko i w lustrze obejrzał swój policzek. To lustro zrobił dla niego

przed laty Sweyner, z mętnego, grudkowego kawałka szkła morskiego. Dawało też mętne i

pełne grudek odbicie, zamglone i niewyraźne. Szkło wysokiej jakości stanowiło rzadkość na

Hydros, gdzie jedynym źródłem krzemu były okrzemki, zbierane z dna zatoki. Lawler lubił to

lustro, chociaż było ponure j grudkowane.

Spotkanie ze śluzicą nie spowodowało żadnych poważnych obrażeń. Nad lewą kością

policzkową miał niewielkie otarcie, lekko zaognione w miejscu, gdzie czerwonawe kolce

przebiły skórę - i to wszystko. Lawler przetarł ranę odrobiną brandy Delagarda

zabezpieczając się przed infekcją. Lekarski szósty zmysł podpowiadał mu, że nie było czym

się martwić.

Butelka uśmierzychy stała obok brandy. Zastanowił się nad nią przez chwilę.

Dzisiaj przed śniadaniem zażył j z swoją normalną porcją. Na razie nie potrzebował

u

więcej.

A co tam, do diabła, pomyślał. Co tam.

Później Lawler powędrował n górę, do kabin załogi, szukając towarzystwa, sam nie



wiedział czyjego.

Znowu zmieniła się wachta. Na pokładzie była teraz druga zmiana i przedział dziobowy był pusty. Lawler zajrzał do drugiej kabiny i zobaczył Kinversona śpiącego na koi, Jatima Gharkida siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami, jak gdyby pogrążonego w medytacjach, oraz Leo Martello gryzmołającego coś, przy migotliwym świetle lampki zapisującego stronice rozpostarte na niskiej, drewnianej skrzyni. Jak przypuszczał Lawler, Martello pracował nad nie kończącym się poematem epickim. Miał około trzydziestu lat. Dobrze zbudowany, energiczny, poruszał się zwykle, jakby był na sprężynach. Miał duże, brązowe oczy i żywą, otwartą twarz. Lubił nosić ogoloną głowę. Jego ojciec przybył na Hydros z własnej woli, jako jeden z tych dobrowolnych wygnańców wyrzucanych z kapsuły. Przyleciał na Sorve, gdy Lawler był małym chłopcem, i ożenił się z Jinną Sawtelle, starszą siostrą Damisa. Oboje już nie żyli, zabrani przez Falę, gdy w zły czas wypłynęli małą łódką na morze.

Od czternastego roku życia Martello pracował w stoczni Delagarda, lecz jego głównym powodem do dumy był długi poemat, który podobno pisał, opiewający wielką emigrację z wyklętej Ziemi do światów tej galaktyki. Pracował nad tym od lat, jak twierdził. Nikt nigdy nie widział więcej niż wilku linijek tego poematu.

Lawler przystanął w drzwiach, nie chcąc mu przeszkadzać.

- Doktor - powiedział Martello. - Człowiek, którego mi trzeba. Potrzebuję czegoś na oparzenia słoneczne.

Załatwiłem się dzisiaj na cacy.

- Rzućmy na to okiem.

Martello strząsnął koszulę z ramion. Pod ciemną opalenizną widać było ślady zaczerwienienia. Słońce na Hydros było silniejsze niż to, pod którym pierwotnie ewoluował

rodzaj ludzki. Lawler wciąż miał do czynienia z rakiem skóry, oparzeniami słonecznymi oraz wszelkiego rodzaju schorzeniami dermatologicznymi.

- Nie wygląda tak źle - powiedział Lawler. - Przyjdź do mojej kabiny rano, to się tym zajmę, dobra?

Jeśli sądzisz, że będziesz miał kłopoty ze spaniem, to dam ci coś już teraz.

- Nie, nie trzeba. Będę spał na brzuchu. Lawler skinął głową.

- A jak tam słynny poemat?

- Powoli. Piszę na nowo Pieśń Piątą.

Ku własnemu zdziwieniu Lawler usłyszał swój głos:

- Czy mogę spojrzeć?

Martello wydawał się równie zdziwiony. Podsunął mu jednak jedną ze zwijających się stronic glonowego papieru. Lawler przytrzymał ją obiema rękami. Pismo Martello było niewyrobite i chłopięce, pełne pętli i zakrętasów.

I pomknęły długie okręty w dal

W ciemność ciemności

Złote światy lśniące, wołające

Jak kiedyś nasi ojcowie.

- I nasze matki także - przypomniał Lawler.

- One także - powiedział lekko rozdrażniony Martello. - Trochę dalej poświęcam im całą pieśń.

- Doskonale - odrzekł Lawler. - To poezja o wielkiej sile. Oczywiście, ja nie jestem żadnym sędzią. Nie lubisz poezji rymowanej?

- Rymów nie używa się już od setek lat, doktorze.

- Naprawdę? Nie wiedziałem o tym. Mój ojciec czasami recytował ziemskie poematy.

Wtedy często używano rymów. Jednego zatrzymuje z trzech/Sędziwy dziad marynarz./Na

brodę twą i oka błysk, i po cóż mnie ty trzymasz?

- Co to za wiersz? - zapytał Martello.

- Nazywa się "Rymy o sędziwym Marynarzu". Opowiada o podróży morskiej - o podróży pełnej kłopotów. O Chryste! gniła nawet w głąb!/Któż kiedy słyszał o tym!/Po morzu pełzał błotny płaz,/Co samo było błotem.

- Mocna rzecz. Zna pan więcej?

- Tylko oderwane fragmenty - odparł Lawler.

- Powinniśmy kiedyś porozmawiać o poezji, doktorze. Nie wiedziałem, że pan zna się na niej. - Rozpromieniona twarz Martello zachmurzyła się na chwilę. - Mój ojciec też lubił stare wiersze. Z planety, na której żył wcześniej, przywiózł ze sobą tomik poezji z Ziemi.

Wiedział pan o tym?

- Nie - powiedział podnieconym głosem Lawler. - Gdzie on jest?

- Przepadł. Ojciec miał go ze sobą, kiedy utonęli razem z mamą.

- Chętnie bym go zobaczył - powiedział smutno Lawler.

- Są chwile, że wydaje mi się, iż tęsknię za nim tak bardzo jak za matką i ojcem -

powiedział Martello. I zaraz dodał: - Czy to nie brzmi strasznie?

- Nie sądzę, myślę, że cię rozumiem. - Woda, woda, woda wszędzie, pomyślał Lawler.

A tu się paczą deski. - Słuchaj, przyjdź do mnie z samego rana, po rannej wachcie, dobrze,

Leo? Opatrzę ci te poparzone plecy.

Woda, woda, woda wszędzie - M kropli w krtani ze-schlej.

Jeszcze później Lawler znów stał samotnie na pokładzie pod nocnym niebem,

pulsującym czernią nad głową, i w chłodnej, jednostajnej bryzie wiejącej z północy. Minęła

północ. Delagard, Henders i Sundira pracowali przy takielunku, wołając do siebie w

tajemniczym, fachowym języku. Na samym środku nieba jaśniał Krzyż.

Lawler spojrzał nań, na starannie rozmieszczone tam tysiące niewyobrażalnie wielkich kul eksplodującego wodoru, jeden rząd w tą, a drugi w tamtą stronę. Wciąż miał w pamięci niezgrabne strofy Martello. pomknęły długie okręty w dal/w ciemność ciemności. Czy jedno ze słońc w tej budzącej grozę konstelacji jest słońcem Ziemi? Nie. Nie. Mówili, że nie można go zobaczyć z Hydros. Te, które tworzyły Krzyż, to inne gwiazdy. Lecz gdzieś dalej w ciemności, ukryty przed jego wzrokiem przez wielkie, padające pod kątem prostym światło Krzyża, leżało to maleńkie, żółte słońce, pod którego łagodnymi promieniami rozpoczęła się cała ludzka saga. Złote światy lśniące, wołające jak kiedyś nasi ojcowie. I nasze matki, tak. To słońce, którego nagła, nieoczekiwana gwałtowność w kilkuminutowym ataku okrucieństwa odebrała darowane wcześniej życie. Zwracając się przeciw swym dzieciom, wysyłając śmiertelne wiązki twardego promieniowania, w jednej chwili zmieniając ojczysty świat ludzkości w poczerniałą skwarę.

Całe życie marzył o Ziemi, od kiedy dziadek opowiedział mu po raz pierwszy o świecie jego przodków, a jednak wciąż pozostawała dla niego tajemnicą, I wiedział, że tak będzie zawsze. Hydros był zbyt wyizolowany, zapadły, zbyt odległy od wszelkich istniejących gdzieś centrów uniwersyteckich. Nie było tu nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, jak wyglądała Ziemia. Nie znał prawie niczego, co było z nią związane - jej muzyki, książek, sztuki, historii. Dotarły do niego tylko okruchy, zwykle były to jedynie skorupy bez zawartości. Lawler wiedział, że istniało coś, co nazywano operą, lecz nie mógł wyobrazić sobie, jak wyglądała. Ludzie śpiewający opowiadanie? Setka muzyków grających w tym samym czasie? On nigdy nie widział setki istot ludzkich w tym samym miejscu naraz. Katedry? Symfonie? Wiszące mosty? Autostrady? Słyszał nazwy tych rzeczy; samych rzeczy nie znał. Tajemnice, same tajemnice. Utracone tajemnice Ziemi.

Ten niewielki glob - znacznie mniejszy od Hydros, jak mówiono - który zrodził imperia i dynastie, królów i generałów, bohaterów i łotrów, bajki i mity, poetów, śpiewaków, wielkich mistrzów sztuki i nauki, świątynie i wieże, posągi oraz otoczone murami miasta.

Wszystkie te wspaniałe, tajemnicze obiekty, które umiał sobie tylko słabo wyobrazić, spędzając całe swoje życie na nędznej, ubogiej, wodnej planecie Hydros. Ziemia, która zrodziła nas i wysłała po wiekach walki w ciemność ciemności, ku odległym światom obojętnej galaktyki. A potem jeden straszliwy wybuch promieniowania z trzaskiem zamknął za nami drzwi. Pozostawiając nas opuszczonych, zagubionych pośród gwiazd.

Złote światy lśniące, wołające -

I oto jesteśmy tutaj, na pokładzie małej, wędrującej białej plamki na wielkim morzu, na planecie, która sama jest zaledwie plamką na ogromnym czarnym morzu, otaczającym nas wszystkich.

Sam, sam, samotny, całkiem sam/A w krąg - bezmierne morze!

Lawler nie mógł sobie przypomnieć następnej linijki. I bardzo dobrze, pomyślał.

Zszedł pod pokład mając zamiar położyć się spać.

Miał nowy sen, sen o ziemi, ale niepodobny do tych, które nawiedzały go przez tak wiele lat. Tym razem śnił nie o śmierci Ziemi, lecz o jej opuszczeniu, o wielkiej diasporze, o locie do gwiazd. Znowu unosił się nad znajomą, błękitno-zieloną kulą ze swych snów; i gdy spoglądał w dół, zobaczył tysiące smukłych lśniących igieł unoszących się z Ziemi; było ich może milion, zbyt wiele, aby policzyć. Wszystkie wznosiły się ku niemu, odpływając dalej i dalej, strumień płynący w przestrzeń, jednostajny odpływ, miriada maleńkich punktów światła penetrujących ciemność, która otaczała błękitno-zieloną planetę. Wiedział, że to statki kosmicznych podróżników, tych, którzy postanowili opuścić Ziemię, badaczy, trampów, osadników podążających naprzód ku wielkiej niewiadomej, przedzierających się z ojczystego

świata do niezliczonych gwiazd galaktyki. Śledził ich kursy na niebie, odprowadzał wzrokiem do miejsc przeznaczenia, do wielu światów, których nazwy słyszał kiedyś, światów równie tajemniczych, magicznych i nieosiągalnych dlań jak sama Ziemia: Nabomba Zom, gdzie morze jest szkarłatne, a słońce niebieskie, Alta Hannalanna, gdzie wielkie powolne robaki z samorodkami drogocennego, żółtego jadeitu na czołach, kopią tunele w gąbczastej glebie, i złota Galgala, i Xamur, gdzie powietrze jest perfumowane, a na-elektryzowana atmosfera migocze i skrzy się pięknie, i Ma- rajo śpiewających piasków, i Iriarte, i Mentiroso, i Mulanol o dwóch słońcach, i Ragnarok, i Olympus, i Malebolge i Ensalada Yerde, i Sunnse...

A nawet Hydros, ślepy zaułek, z którego nie ma powrotu... j Statki kosmiczne opuszczające Ziemię podążały wszędzie, gdzie można się było udać. W trakcie tej podróży światełko będące Ziemią zgasło. Lawler, przewracając się na łóżku w męczącym śnie, zobaczył jeszcze raz ten ostatni, straszliwy błysk oraz zapadającą po nim ciemność i westchnął nad losem świata, który był. Lecz nikt zdawał się nie zauważać jego odejścia byli zbyt zaabsorbowani posuwaniem się naprzód, naprzód, naprzód.

Następnego dnia Gospo Struvin przechodząc przez pokład kopnął niechlujną stertę czegoś, co wyglądało jak mokra, żółta lina, i powiedział:

- Hej, kto zostawił tutaj tę sieć?

- Mówiłem wam - wielokrotnie powtarzał później Kinverson. - Nie ufam żadnemu morzu.

A ojciec Quillan rzekł:

- Tak, choć krocę przez dolinę cienia śmierci, nie ulęknę się żadnego zła.

Śmierć Struvina była zbyt gwałtowna i wydarzyła się zbyt szybko, aby można ją w jakikolwiek sposób zaakceptować lub choćby zrozumieć. Na Sorve śmierć była zawsze jedną z możliwości: ktoś wypłynął łodzią rybacką zbyt daleko w zatokę i nagle, nie wiadomo skąd, przychodził sztorm, ktoś spacerował nad brzegiem morza i bez ostrzeżenia spadała nań Fala i porywała go, albo ktoś znajdował na płyciźnie smakowicie wyglądającego skorupiaka, który później okazywał się mniej sympatyczny. Jednak okręt dawał jakieś poczucie bezpieczeństwa. Może dlatego, że sam był taki kruchy, może dlatego, że nie był niczym więcej niż maleńką, wydrążoną, drewnianą muszelką, drobinką unoszącą się pośród niewyobrażalnego ogromu, oni na przekór wszystkiemu zaczęli wierzyć, że na jego pokładzie są bezpieczni. W czasie podróży na Grayvard Lawler oczekiwał trudów, napięć i niewygód, może jakichś poważnych obrażeń, wyzwania dla jego płytkiej czasami wiedzy medycznej. Ale śmierci? Tutaj, na tych spokojnych wodach? Śmierci kapitana? Zaledwie po pięciu dniach od wypłynięcia z Sorve. Tak jak niesamowity spokój tych pierwszych kilku dni był niepokojący i podejrzany, tak śmierć Struvina wydawała się złowrogą zapowiedzią kolejnych nieszczęść, które nieuchronnie miały nadejść.

Podróżnicy zamknęli się w sobie, podobnie jak nowy, różowy naskórek zasklepia się wokół rany. Wszyscy starali się zachować pogodę ducha, byli pełni nadziei, ostentacyjnie troszczyli się o przeciążoną wytrzymałość psychiczną innych. Delagard oznajmił, że przejmie dowództwo statku. Aby wyrównać liczebność wacht, przesunięto Onyos Felka do pierwszej zmiany: miał kierować zespołem Martello-Kinverson-Braun, a Delagard przejął kierowanie nowym zespołem Golghoz-Henders-Thane.

Po pierwszym załamaniu spowodowanym śmiercią Struvina Delagard prezentował obecnie fasadę chłodnej kompetencji i powagi. Stał na mostku, sztywno wyprostowany,

obserwując jak dzienna zmiana mocuje takielunek. Wiatr ustalił się i wiał ze wschodu.

Podróżnicy płynęli dalej.

Cztery dni później Lawler nadal odczuwał piekący ból w dłoniach po zetknięciu z siatkowym stworem, a palce wciąż miał sztywne. Skomplikowany wzór czerwonych śladów po oparzeniu przybladł do matowego brązu, może jednak Pilya miała rację mówiąc, że pozostaną mu blizny. To go zbytnio nie martwiło: miał na ciele wiele blizn po różnych nieostrożnościach. Martwiło go zeszywnienie palców. Potrzebował całej swej zręczności, nie tylko do operacji, które musiał od czasu do czasu przeprowadzać, lecz także do palpacyjnego badania pacjentów, będącego nieodłączną częścią diagnozowania. Nie mógł odczytywać informacji wysyłanych przez ich ciała za pomocą palców sztywnych jak kołki.

Pilya również wydawała się martwić dłońmi Lawlera. Kiedy wyszła na pokład, aby objąć wachtę, podeszła do niego i delikatnie wzięła za ręce, tak samo jak po śmierci Gospo Struvina.

- Nie wyglądają najlepiej - stwierdziła. - Smarujesz je maścią?

- Sumiennie. Chociaż zagoiły się już na tyle, że maść niewiele im pomoże.

- A to drugie lekarstwo, te różowe kropelki? Ten środek przeciwbólowy?

- Ach, tak. Tak. Bez niego nie mógłbym istnieć. Lekko potarła palcami jego palce.

- Jesteś takim dobrym, takim poważnym człowiekiem. Gdyby coś ci się stało, złamałoby mi to serce. Bałam się o ciebie, kiedy widziałam, jak walczysz z tym stworzeniem, które zabiło kapitana. I kiedy zobaczyłam, że masz poranione ręce.

Na jej twarzy o wyrazistych rysach i zadartym nosie pojawił się, jak wschód słońca, wyraz szczerego przywiązania. Kontrast między jej złotymi włosami, a gładką oliwkową skórą był bardzo pociągający. Była silną, nieskomplikowaną dziewczyną, a uczucie, którym emanowała teraz, było silną i bezwarunkową miłością. Delikatnie, nie chcąc jej zranić,



Lawler uwolnił dłonie z jej uścisku, uśmiechając się do niej jednocześnie, życzliwie i zdawkowo. Byłoby łatwo przyjąć to, co mu oferowała, znaleźć jakiś ustronny zakątek i cieszyć się prostymi przyjemnościami, których tak długo sobie odmawiał. Przecież nie jest mnichem, mówił sobie. Przecież nie ślubował celibatu. Jednak stracił wiarę we własne uczucia. Nie chciał sobie zaufać nawet w tak nieskomplikowanym związku, jakim prawdopodobnie okazałaby się przygoda z Pilyą.

- Czy sądzisz, że przeżyjemy? - zapytała go nagle.

- Przeżyjemy? Oczywiście.

- Nie - powiedziała. - Ciągle boję się, że wszyscy zginiemy na morzu. Gospo był pierwszy.

- Nic nam nie będzie - odpowiedział Lawler. - Powiedziałem ci to wtedy i powtórzę teraz. Gospo miał pecha, to wszystko. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie ma szczęścia.

- Chcę żyć. Chcę dotrzeć do Grayvard. Tam będzie na mnie czekał mąż. Powiedziała mi to siostra Thecla, kiedy przepowiadała mi przyszłość przed odjazdem. Powiedziała, że u kresu podróży znajdę męża.

- Siostra Thecla powiedziała wielu ludziom mnóstwo szalonych rzeczy o tym, co się wydarzy u kresu podróży. Nie należy zwracać uwagi na wróżbitów. Lecz jeśli mąż jest tym, czego pragniesz, Pilya, mam nadzieję, że siostra Thecla przepowiedziała ci prawdę.

- Pragnę starszego mężczyzny. Kogoś mądrego i silnego, kto me tylko kochałby mnie, ale i uczył. Nikt nigdy nie uczył mnie niczego, wiesz? Oprócz tego jak pracować na okręcie, tak więc pracuję na okrętach, pływam tu i tam, tu i tam dla Delagarda, i nigdy nie miałam męża. A teraz chcę mieć. Przyszedł mój czas. Czy patrzy się na mnie z przyjemnością, czy jestem ładna?

- Bardzo ładna - powiedział Lawler.

Biedna Pilya, pomyślał. Czuł się winny, że jej nie kochał.

Odwróciła się od niego jakby rozumiejąc, że rozmowa nie prowadzi w pożądanym kierunku. Po chwili dodała:

- Myślałam o tych drobiazgach z Ziemi, które mi pokazywałeś, o przedmiotach, które masz w kabinie. Są piękne. Takie piękne! Powiedziałam, że chciałabym mieć jeden z nich, a ty odmówiłeś, lecz teraz zmieniłam zdanie. Nie chcę go - one są przeszłością. Ja chcę patrzeć w przyszłość. Ty zanedo żyjesz przeszłością, doktorze.

- Dla mnie jest to miejsce większe niż przyszłość. Tam jest więcej miejsca, aby rozejrzeć się dookoła.

- Nie. Nie. Przyszłość jest bardzo duża. Przyszłość ciągnie się bez końca. Poczekaj i zobaczysz, czy nie mam racji. Powinieneś wyrzucić te starocie. Wiem, że nigdy tego nie zrobisz, ale powinieneś - obdarzyła go nieśmiałym, czułym uśmiechem. - Muszę teraz iść na górę - powiedziała. - Jesteś wspaniałym człowiekiem. Myślałam, że powinnam ci to powiedzieć. Chciałam tylko, abyś wiedział, że masz przyjaciela, jeśli go będziesz potrzebował. - A potem odwróciła się i uciekła.

Lawler patrzył, jak wspina się na liny. Biedna Pilya, pomyślał znowu. Jesteś taką słodką dziewczyną. Nigdy nie mógłbym cię pokochać, nie tak, jak powinienem. Lecz na swój sposób jesteś świetna.

Wspinała się szybko i zwinnie, tak że po chwili była już wysoko w górze. Pięła się jak małpa z dziecinnych bajeczek, książek pełnych opowieści o niepojętym lądowym świecie, jakim była Ziemia - miejsce dżungli, pustyń, lodowców, małp i tygrysów, wielbłądów i szybkich koni, niedźwiedzi polarnych, morsów, kóz, które skakały z turni na turnię.

Co to są turnie? Co to są kozy? Musiał je sobie sam wymyślać na podstawie szkiców z bajek. Kozy były chude i obszarpane, o ogromnie długich nogach, mocnych jak stalowe

sprężyny. Turnie to zwrócone w górę kawałki skały, trochę podobne do zdrewniałych wodorostów, tylko nieskończenie twardsze. Małpy przypominały małych, brzydkich ludzi, były brązowe, włochate, przebiegłe i pomykały wierzchołkami drzew gaworząc i skrzecząc. No tak, Pilya wyglądała zupełnie inaczej. Lecz poruszała się tam w górze, jakby to było jej naturalne środowisko.

Lawlera uderzyło to, że nie mógł sobie przypomnieć, jak to było, kiedy kochał się z matką Pilyi, Anyą, dwadzieścia lat temu. Pamiętał sam fakt. Cała reszta, dźwięki, jakie wydawała Anya, sposób, w jaki się poruszała, kształt jej piersi - zniknęły. Odeszły tak jak Ziemia, te dźwięki. Jakby nigdy nic się między nimi nie wydarzyło. Anya miała takie same, złote włosy i ciemną, gładką skórę jak Pilya, przypominał sobie. Jednak wydawało mu się, że oczy miała niebieskie. Lawler był wtedy nieszczęśliwy, krwawił z tysiąca ran po odejściu Mireyli, a Anya pojawiła się i zaoferowała mu odrobinę pocieszenia. Jaka matka, taka córka. Czy matki i córki kochają się w taki sam sposób, nieświadomie wiedzione siłą genów? Czy Pilya w jego ramionach zniknęłaby i przeistoczyła się w swoją matkę? Gdyby objął Pilyę, czy odnalazłby utracone wspomnienia Anyi? Lawler myślał o tym, zastanawiając się czy warto przeprowadzić taki eksperyment, aby się przekonać. Nie, zdecydował. Nie. Nie.

- Bada pan kwiaty wodne, doktorze? - powiedział ojciec Quillan, stając obok.

Lawler rozejrzał się. Quillan miał dziwny sposób zbliżania się: jakby materializował się z powietrza. Jakby był zrobiony z ektoplazmy i przesuwał się po szynie, pozornie, nie poruszając nogami, a potem znajdował się tuż obok, migocząc metafizycznym niepokojem.

- Kwiaty wodne? - spytał w roztargnieniu Lawler, lekko ubawiony tym, że zaskoczono go w trakcie takich lubieżnych rozważań. - Ach, tam. Tak, widzę.

Jak mógłby nie zauważyć? Tego jasnego słonecznego 'i poranka kwiaty wodne balansowały jak rozsiane na całym łonie oceanu. Miały proste, mięsiste łodygi, wysokie na

prawie metr i jaskrawe zaradnie wielkości pięści, wesołej, żywo czerwonej barwy, o żółtych płatkach w zielone paski i dziwnie nabrzmiątych, czarnych pęcherzykach powietrznych poniżej. Te pęcherzyki wisiały tuż pod powierzchnią wody, utrzymując w ten sposób kwiat na powierzchni. Nawet uderzone przez wysoką Falę, rośliny natychmiast wracały do pionu jak niestrudzone wańki-wstańki, które można przewracać raz po raz i zawsze stają na nogi.

- Cud regeneracji - powiedział Quillan.

- Lekcja dla nas wszystkich, tak - powiedział Lawler, nagle zainspirowany do wygłoszenia kazania. - Musimy zawsze starać się naśladować. W tym życiu jesteśmy bici raz po raz i za każdym razem musimy się podnieść. Kwiaty wodne powinny być naszym wzorem: niewrażliwe na ciosy, całkowicie odporne, zdolne przetrwać wszystkie uderzenia. W rzeczywistości jednak nie jesteśmy tak sprężysti jak one, prawda ojcze?

- Powiedziałbym, że ty jesteś, doktorze.

- Jestem?

- Czy wiesz, że ludzie darzą cię głębokim szacunkiem? Wszyscy, z którymi rozmawiałem, wysoko oceniają twoją cierpliwość, wytrwałość, mądrość i siłę charakteru. Szczególnie siłę charakteru. Mówią, że jesteś najsilniejszym, najtrwalszym i najbardziej elastycznym człowiekiem w społeczności.

Zabrzmiało to zupełnie tak jak opis kogoś innego, kogoś o wiele mniej kruchego i sztywnego niż Valben Lawler. Lawler zachichotał.

- Przypuszczam, że mogę tak wyglądać w oczach innych. Jakże bardzo się mylą.

- Zawsze wierzyłem, że jest się takim, jakim widzą cię inni - rzekł duchowny. - To, co sam myślisz o sobie, jest całkowicie błędne i nieistotne. Tylko inni mogą dokładnie ocenić twoją prawdziwą wartość.

Lawler obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Długa, surowa twarz księdza była

całkowicie poważna.

- Czy pan w to wierzy? - zapytał Lawler. Zauważył, że w jego głosie pojawiła się nutka irytacji. - Dawno już nie słyszałem czegoś tak szalonego. Ale nie, nie, to tylko gra, prawda? Pan lubi takie gry.

Duchowny nie odpowiedział. Zamilkli obaj, stojąc jeden przy drugim w chłodnym, porannym słońcu. Lawler spoglądał w pustkę rozpościerającą się przed nimi. Straciła ostrość i stała się wielką plamą rozhuśtanych kolorów, chaotycznym baletem wodnych kwiatów.

Potem, po kilku chwilach, przyjrzał się baczniej temu, co się tam działo.

- Sądzę, że nawet kwiaty wodne nie są tak całkowicie odporne, no nie? - powiedział, wyciągając rękę w stronę wody. W najbardziej odległej części pola kwiatów widać było teraz pysk jakiejś ogromnej, zanurzonej kreatury, który poruszał się powoli tuż pod powierzchnią, tworząc ziejącą, czarną jaskinię, w której ginęły dziesiątkami kolorowe rośliny. - Choćbyś był nie wiem jak sprężysty, zawsze znajdzie się coś, co może cię pożreć. Czy nie tak, ojciec Quillan?

Odpowiedź porwał nagły podmuch wiatru.

Nastąpiła kolejna długa, chłodna cisza. Lawler wciąż słyszał słowa Quillana: jest się takim, jakim widzą cię inni. To, co sam myślisz o sobie, jest całkowicie błędne i nieistotne.

Kompletny nonsens, prawda? Prawda? Oczywiście, że to nonsens.

I wtedy Lawler usłyszał własny głos, mówiący bez ogródek:

- Ojciec Quillan, dlaczego w ogóle postanowił pan przybyć na Hydros?

- Dlaczego?

- Tak, dlaczego. Przecież to cholernie niegościnna planeta, jeśli przypadkiem jest pan człowiekiem. Nie była stworzona dla nas i udaje się nam przeżyć tutaj jedynie w skrajnie niedogodnych warunkach, a kto raz się tu dostał, nie może powrócić. Dlaczego miałby pan

skazać się na wieczną niewolę w takim świecie?

Oczy Quillana dziwnie się ożywiły. Z zapalem powiedział:

- Przybyłem tutaj, ponieważ stwierdziłem, że Hydros to nieodparcie atrakcyjne miejsce.

- To naprawdę nie jest odpowiedź.

- No cóż - głos duchownego brzmiał uszczypliwie, jakby właściciel czuł, że Lawler zmusza go do powiedzenia czegoś, czego mógłby równie dobrze nie mówić. - Ujmijmy to tak, że przyjechałem tutaj, gdzie zbierają się odpadki z całej galaktyki. To świat zamieszkały przez wyrzutków, śmieci z całego kosmosu. Tak to wygląda, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Wszyscy jesteście potomkami kryminalistów. Nie ma już żadnych kryminalistów w pozostałej części galaktyki. Na innych światach wszyscy są już zdrowi.

- Bardzo w to wątpię - Lawler nie mógł uwierzyć, że Quillan mówi poważnie. - Że jesteście potomkami kryminalistów, tak, niektórzy z nas. To nie tajemnica. A przynajmniej ludzi, których uważano za kryminalistów. Mój pra-pradziadek, na przykład, został zesłany, bo miał pecha, i to wszystko. Przypadkowo zabił człowieka. Przypuśćmy jednak, że masz rację, że jesteście jedynie odpadkami i potomkami kryminalistów. Dlaczego, w takim razie, chcesz mieszkać wśród nas?

Zimne, niebieskie oczy duchownego rozbłysły.

- Czy to nie jest oczywiste? Tutaj jest moje miejsce.

- Po to, abyś mógł realizować tutaj swoje święte posłanie, prowadzić nas do łaski?

- Bynajmniej. Przybyłem tutaj, aby realizować moje własne cele, a nie wasze.

- Aha. Tak więc przywiódł cię tutaj czysty masochizm, jakaś potrzeba samoukarama.

Czy tak, ojczyźnie Quillan?

Quillan milczał. Lecz Lawler wiedział, wiedział na pewno, że ma rację.

- Samoukaranie za co? Za zbrodnię? Przed chwilą powiedziałeś mi, że nie ma już zbrodniarzy. Moje zbrodnie to zbrodnie przeciw Bogu. Co zasadniczo czyni mnie jednym z was. Wyrzutkiem, wygnańcem z powodu wrodzonych wad charakteru.

- Zbrodnie przeciw Bogu - rzekł w zadumie Lawler. Bóg był dla niego pojęciem równie tajemniczym i odległym jak małpy i dżungle, turnie i kozy. - Co za zbrodnie mogłeś popełnić przeciw Bogu? Jeśli jest On wszechmocny z założenia, jest też niewrażliwy na ciosy, a jeśli nie jest wszechmocny, to jak może być Bogiem? Ponadto, nie dalej Jak przed tygodniem lub dwoma powiedziałeś mi, że nie wiesz nawet, czy wierzysz w Boga, czy nie.

- Co samo w sobie jest zbrodnią przeciwko Niemu.

- Tylko wtedy, jeżeli w Niego wierzysz. Jeżeli nie istnieje, z pewnością nie możesz mu zrobić żadnej krzywdy.

- Umiesz pokrętnie argumentować jak prawdziwy duchowny - powiedział Quillan z aprobatą w głosie.

- Czy mówiłeś poważnie, tamtym razem, kiedy powiedziałeś, że nie jesteś pewien swojej wiary?

- Tak.

- Nie grałeś ze mną w gierki słowne? Nie oferowałeś i odrobiny szybkiego, taniego cynizmu dla przelotnej

Chwili rozrywki?

- Nie. Naprawdę nie. Przysięgam. - Quillan wyciąg-

El rękę i położył ją na nadgarstku Lawlera dziwnie intymni gestem, który w innej sytuacji Lawler mógłby uznać niewybaczalną poufałość, lecz który teraz wydawał się zupełnie zwyczajny. Niskim, czystym głosem powiedział: - Poświęciłem się służbie Bogu

jeszcze jako bardzo młody człowiek. Wiem, że brzmi to dość pompatycznie. Jednak w praktyce oznaczało to ciężką i nieprzyjemną pracę, nie tylko długie modły w zimnych, pełnych przeciągów pomieszczeniach o nieprawdopodobnych godzinach dnia i nocy, lecz również w wykonywaniu posług tak okropnych, że jedynie lekarz, jak sądzę, może to zrozumieć. Jak to się mówi, obmywanie stóp ubogim. W porządku, niech tak będzie.

Wiedziałem, że właśnie do tego się zgłosiłem, i nie chcę za to żadnych medali. Jednak to, czego nie wiedziałem, Lawler, o czym z początku nie miałem zielonego pojęcia, to że im bardziej poświęcę się służbie Bogu poprzez pracę dla cierpiącej ludzkości, tym stanę się podatniejszy na okresy całkowitej duchowej martwoty. Bywały długie okresy, gdy czułem się odcięty od otaczającego mnie wszechświata, gdy istoty ludzkie stawały mi się tak obce jak istoty z innych planet, gdy nie ostawała mi się najmniejsza odrobina wiary w siłę wyższą, której ślubowałem poświęcić życie. Kiedy czułem się tak całkowicie samotny, że nawet nie potrafię ci tego opisać. Im ciężiej pracowałem, tym bardziej bezsensowne stawało się to wszystko. Okrutny żart losu: miałem nadzieję zapracować na łaskę Bożą, jak sądzę, a zamiast niej otrzymałem kilka solidnych dawek Jego nieobecności. Czy nadążasz za mną, Lawler?

- A jak sądzisz, co powoduje tę martwotę w tobie?

- Właśnie po to przyjechałem tutaj, aby się tego dowiedzieć.

- Ale dlaczego tutaj?

- Ponieważ tutaj nie ma Kościoła. Ponieważ tutejsza społeczność ludzka jest zupełnie szczątkowa. Ponieważ sama planeta jest wroga w stosunku do nas. I ponieważ to miejsce bez powrotu, jak samo życie. - W oczach Quillana pojawił się błysk czegoś niezrozumiałego dla Lawlera, czegoś równie niepokojącego i wprawiającego w zakłopotanie jak płomień świecy, który paliłby się do dołu zamiast do góry. Wydawał się patrzeć na Lawlera z głębi jakiejś unicestwiającej wieczności, o której wiedział, że z niej pochodzi, i za którą tęsknił. - Widzisz,



chciałem się tutaj zatracić. I w ten sposób może odnaleźć się. A przynajmniej odnaleźć Boga.

- Boga? Gdzie? Gdzieś tam na dnie tego ogromnego oceanu?

- Dlaczego nie? Nie wydaje się, żeby On był gdzieś indziej, prawda?

- Nie mam pojęcia - zaczął mówić Lawler. Wtem z góry dobiegł alarmujący krzyk.

- Łąd, ahój! - zawołała śpiewnie Pilya Braun. Stała” na rei fokmasztu. - Wyspa na północy! Wyspa na północy!

- Na tych wodach nie było żadnych wysp, ani na północy, ani na południu, wschodzie czy zachodzie. Gdyby były, wszyscy na pokładzie już od dawna oczekiwaliby na spotkanie z nimi. Lecz nikt nie wspominał słowem o wyspach w tym rejonie.

Stojący w sterówce Onyos Felk wydał ryk niedowierzania. Potrząsając głową kartograf ociężale ruszył -w stronę Pilyi na swych krótkich, krzywych nogach.

- Co ty mówisz, dziewczyno? Jaka wyspa? Co robiłaby jakaś wyspa w tej części morza?

- Skąd mam wiedzieć? - zawołała Pilya. Trzymając jedną ręką linę, śmignęła nad pokładem. - Może ja ją tu położyłam?

- To nie może być wyspa.

- Chodź tutaj i sam zobacz, ty wysuszony sztokfiszu!

- Co? Co?

Lawler osłonił oczy i spojrzał w dal. Zobaczył jedynie podskakujące na wodzie kwiaty. Jednak Quillan mocno szarpnął go za ramię.

- Tam! Widzisz?

Czy widział? Tak, tak, wydawało mu się, że coś zobaczył: jakby cienką, żółto-brązową linię na północnym horyzoncie. Czy to jednak wyspa? Skąd mógł wiedzieć?

Wszyscy już byli na pokładzie, kręcąc się bez celu. Otaczali Delagarda, niosącego w

jednej rękę swój cenny globus, a w drugiej grubą lunetę z żółtawego metalu. Onyos Felk błyskawicznie podbiegł do niego i wyciągnął rękę po globus. Delagard rzucił mu zjadliwe spojrzenie i strząsnął go z siebie.

- Ale ja muszę spojrzeć na...

- Ręce przy sobie, dobrze?

- Dziewczyna mówi, że tu jest wyspa. Chcę jej udo-1 wodnic, że to niemożliwe.

- Ona coś widzi, no nie? Może to wyspa. Ty nie wiesz wszystkiego, Onyos. Ty nic nie wiesz. - W przypiływie demonicznej siły Delagard precisnął się obok zagapionego kartografa i zaczął się wspinać na reję, używając do tego łokci i zębów. Wciąż podtrzymywał globus prawą ręką i ścisnął lunetę w lewej. Udało mu się jakoś dotrzeć do mostka, wdrapał się nań i przyłożył szkło do oka. Pod nim na pokładzie zapadła straszliwa cisza. Po nieskończonej długim czasie Delagard spojrział w dół i powiedział: - Niech mnie diabli, jeśli jej tam nie ma!

Właściciel podał lunetę Pilyi i gorączkowo zaczął badać globus, powtarzając ruchy sąsiednich wysp przesadnie ekspresyjnymi ruchami palców

- Nie Velmise, nie. Nie Salimil. Kaggeram? Nie. Nie. Kentrup? - Potrząsnął głową.

Wszyscy śledzili jego gesty. Niezłe przedstawienie, pomyślał Lawler. Delagard podał mapę Pilyi, wziął od niej lunetę, poklepał ją po plecach. Spojrział jeszcze raz. - Niech to szlag!

Nowa wyspa, oto, co to jest. Właśnie ją budują! Patrzcie na to! Wręgi! Rusztowania! Niech to szlag! - Upuścił lunetę. Dann Henders zręcznie chwycił ją, zanim roztrzaskała się o pokład, i przyłożył do oka, a pozostali stłoczyli się wokół niego. Delagard schodził w dół po linach mamrocząc do siebie: - Niech to szlag! Niech to szlag!

Luneta przechodziła z ręki do ręki. Jednak po kilku minutach okręt zbliżył się do nowej wyspy na tyle, że można ją było oglądać bez pomocy szkła. Lawler patrzył, zafascynowany i pełen podziwu.

Była to wąska konstrukcja. Liczyła może dwadzieścia lub trzydzieści metrów szerokości i około stu długości. Jej najwyższy punkt wznosił się zaledwie kilka metrów ponad wodę, jak grzbiet wyglądający niczym zgarbiony kręgosłup jakiegoś ogromnego morskiego stworzenia, pływającego się tuż pod powierzchnią wody. Skrzelowcy w liczbie około tuzina poruszali się na niej niezgrabnie, ściągając wiążąc je, nacinając wręgi za pomocą dziwnych skrzelowcowych narzędzi, owiazując je włóknami.

Morze wokół kipiało życiem i pracą. Niektóre z tych stworzeń w wodzie były Skrzelowcami, osądził Lawler rozpoznając ich charakterystyczne cechy. Niewielkie wieżyczki ich głów skakały w górę i w dół na spokojnych falach, podobnie jak szczyty kwiatów wodnych. Rozpoznawał jednak wśród nich także długie, gładkie, lśniące kształty nurków. Wyglądało na to, że przynosiły surowiec z głębin, oddając go Skrzelowcom jeszcze w wodzie, te z kolei obrabiały go, ociosywały i podawały wzdłuż podwodnego łańcucha na brzeg nowej wyspy, gdzie inni robotnicy, Skrzelowcy, wyciągali go na powierzchnię i zaczynali przygotowania do montażu.

Od prawej burty nadpłynęła "Gwiazda Czarnego Morza". Na jej pokładzie poruszały się postacie, machając rękami i wskazując na wyspę. Z drugiej strony zbliżała się szybko "Bogini Sorve", a tuż za nią "Trzy Księżycy".

- A tam jest platforma - powiedział Gabe Kinverson. - Pomocna strona wyspy, na lewo.

- Jezus, tak! - krzyknął Delagard. - Spójrzcie na jej rozmiary!

Tuż za wyspą, płynąc u jej brzegu, jakby było przycumowane, znajdowało się coś, co wyglądało jak druga wyspa, a w rzeczywistości było ogromnym stworzeniem morskim, jakim przez chwilę wydawała się sama wyspa. Platformy to największe zwierzęta morskie Hydros, o jakich kiedykolwiek słyszeli ludzie, większe nawet niż pochłaniające wszystko, podobne do

wielorybów bestie znane jako Jamochłony - ogromne, płaskie, kłocowate stwory, o lekko prostokątnym kształcie, tak bezwładne, że równie dobrze mogłyby być wyspami. Dryfowały swobodnie we wszystkich morzach, biernie cedząc mikroorganizmy poprzez ekranowate otwory gębowe na ich obwodach. W jaki sposób udawało się im zgromadzić wystarczającą ilość żywności w ciągu dnia dla utrzymania się przy życiu, nawet żrąc dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak jak to czyniły, przekraczało ludzkie pojęcie. Lawler wyobrażał sobie, że muszą być niemrawe jak dryfujące kłody - po prostu gigantyczne bryły prawie nie czującego mięsa. A jednak w ich wielkich, fioletowych ślepiach, osadzonych w potrójnych rzędach na grzbietach i mających średnicę większą niż ludzka ręka, widać było błysk inteligencji. Od czasu do czasu jakaś platforma wpływała do zatoki Sorve, niemal szorując brzuchem o deski dna. Pewnego razu Lawler, wypłynąwszy na wyprawę wędkarską w małej łódce, nieświadomie znalazł się nad jedną z nich i spojrzawszy w dół, ku swemu zdumieniu zajrzał wprost w te ogromne, smutne oczy, które odpowiedziały mu przez przezroczystą wodę spojrzeniem pełnym boskiego dystansu, a nawet, jak sobie wyobrażał, dziwnego współczucia. Platformy tej używano prawdopodobnie jedynie jako stołu warsztatowego. Na jej grzbiecie pracowały mozolnie zespoły Skrzelowców. Kręciły się po kolana w wodzie, zwijając i splatając długie pasma glonowych włókien, przysuwanych do platformy z głębin wody przez lśniące, zielone macki. Macki te miały grubość ludzkiego ramienia i bardzo miękkie wypustki podobne do palców. Nikt, nawet Kinverson, nie miał pojęcia, do jakiego stworzenia mogły należeć.

Ojciec Quillan powiedział:

- Jakie to cudowne, że te różnorodne zwierzęta pracują wszystkie razem!

Lawler odwrócił się do niego:

- Nikt dotąd nie widział wyspy w budowie, przynajmniej ja o tym nie słyszałem.

Wszystkie wyspy, które znamy, zostały wybudowane przed setkami, a nawet tysiącami lat. A więc tak to robią! Co za widok!

- Pewnego dnia - powiedział Quillan - cała ta planeta będzie miała prawdziwy ląd, tak jak inne światy. Dno morskie podniesie się za miliony lat. Budując te sztuczne wyspy i wychodząc z morza, aby na nich żyć, Skrzelowcy przygotowują się do następnej fazy ewolucji. Lawler zamrugał oczami.

- Skąd o tym wiesz?

- Studiowałem geologię i ewolucję w seminarium na Sunrise. Czy sądzisz, że duchowni nie uczą się niczego innego tylko modłów i Biblii? Albo, że bierzemy dosłownie opowieści biblijne? To miejsce jest bardzo spokojne geologicznie, jak wiesz. Nie występowały tutaj żadne dynamiczne ruchy skorupy, które wypychałyby łańcuchy górskie lub całe kontynenty z pierwotnego morza w taki sposób, jaki miał miejsce na planetach lądowych - dlatego wszystko pozostało na tym samym poziomie, w większości pod wodą. Z czasem morze spowodowało erozję wszelkich formacji lądowych, które znajdowały się ponad powierzchnią. Lecz to wszystko się zmieni. W jądrze planety wzrasta ciśnienie. Wewnętrzne napięcia grawitacyjne powoli pobudzają drgania i za trzydzieści milionów lat, może czterdzieści albo pięćdziesiąt...

- Zaczekaj - powiedział Lawler. - Co się tam dzieje? Delagard i Dag Tharp nagle zaczęli wrzeszczeć na siebie.

Wmieszał się w to również Dann Henders, który poczerwieniał jak burak, a na czole wystąpiły mu żyły. Tharp był niespokojnym, zapalczywym człowiekiem, wiecznie kłócącym się ze wszystkimi o wszystko; lecz widok łagodnego zazwyczaj Hendersa w stanie najwyższego podniecenia natychmiast przyciągnął uwagę Lawlera. Podeszedł do nich.

- O co chodzi? Delagard powiedział:

- Drobna niesubordynacja, to wszystko. Dam sobie z tym radę, doktorze.

Wydatny nos Tharpa zrobił się szkarłatny. Obwisłe fałdy skóry na jego szyi drżały.

- Henders i ja zaproponowaliśmy, aby podpłynąć do wyspy i poprosić Skrzelowców o schronienie - powiedział do Lawlera. - Możemy przycumować w pobliżu i pomóc im budować wyspę. Będzie to partnerstwo od samego początku. A Delagard mówi nie, nie, popłyniemy aż na Grayvard. Czy wiesz, ile czasu potrzeba, żeby dostać się na Grayvard? Jak wiele podstępnych, sieciowatych stworów może się dostać na pokład, zanim tam dotrzemy?

Bóg wie, co jeszcze może być tam w wodzie! Kinerson mówi, że dotychczas mieliśmy niesamowite szczęście, nie spotykając żadnych wrogich stworzeń, ale jak długo jeszcze...

- Płyniemy na Grayvard - powiedział Delagard lodowatym tonem.

- Widzisz? Widzisz? Henders powiedział:

- Powinniśmy przynajmniej poddać to pod głosowanie, nie sądzisz, doktorze? Im dłużej jesteśmy na morzu, tym większe ryzyko, że natkniemy się na Falę lub jakieś inne paskudne stwory, o jakich opowiadał nam Gabe, albo zabójczy sztorm lub coś innego. Mamy tu wyspę w budowie. Jeżeli Skrzelowcy używają do pomocy nurków i wszystkich innych stworzeń, nawet platform, dlaczego nie miałyby przyjąć także ludzkiej pomocy? I okazać wdzięczność? Jednak on nie chce nawet o tym słyszeć!

Delagard obrzucił inżyniera wojowniczym spojrzeniem.

- Od kiedy to Skrzelowcy potrzebują naszej pomocy? Wiesz, jak było na Sorve, Henders.

- To nie jest Sorve.

- Wszędzie jest tak samo.

- Skąd możesz wiedzieć? - odszczeknął Henders. - Posłuchaj, Nid, musimy o tym porozmawiać z pozostałymi okrętami i to wszystko. Dag, wezwij Yaneza, Sawtelle'a oraz

innych...

- Nie ruszaj się z miejsca, Dag - powiedział Delagard.

Tharp spojrział na Delagarda, potem na Hendersa i znów na Delagarda i nie poruszył się. Jego wąsy zadrgały gniewnie.

Delagard powiedział:

Posłuchajcie mnie! Czy chcecie zamieszkać na tej ubogiej, małej, płaskiej wyspie, na miesiące albo lata przed jej ukończeniem? W czym? W chatkach z wodorostów? Czy widzicie tam jakieś waragi? Czy jest tam jakaś zatoka, z której możemy wyciągać użyteczne materiały? A poza tym, oni nas nie przyjmą. Wiedzą, że zostaliśmy wyrzuceni na zbity pysk z Sorve. Wierzcie mi, wie o tym każdy Skrzelowiec na tej planecie.

- Jeśli ci Skrzelowcy nas nie chcą - powiedział Tharp - to skąd wiesz, że zechcą nas Skrzelowcy na Grayvard? Twarz Delagarda powlekleła się szkarłatem. Przez chwilę wydawał się pokonany. Lawler zdał sobie sprawę z tego, że jak dotąd Delagard nie napomknął ani słowem o tym, czy załatwił sprawę ich przybycia na Grayvard z prawdziwymi właścicielami wyspy. Jedynie ludzcy osadnicy na Grayvard zgodzili się udzielić im gościny. Jednak Delagard szybko doszedł do siebie.

- Dag, do cholery, nie wiesz, o czym mówisz. Od kiedy to musimy prosić Skrzelowców o pozwolenie na emigrację między wyspami? Jeśli raz wpuszczą ludzi na wyspę, nie obchodzi ich, którzy to ludzie. Prawie nie odróżniają jednych od drugich. Dopóki nie wychylimy się na ich część Grayvard, nie będzie żadnych problemów.

- Jesteś bardzo pewny siebie - powiedział Henders.

- Tylko po co płynąć aż do Grayvard, jeżeli nie musimy? Wciąż nie wiemy, czy nie moglibyśmy zahaczyć się na jakiejś bliższej wyspie, na której dotychczas nie było ludzkiej osady. Tutejsi Skrzelowcy mogą nie mieć nic przeciwko temu. A może nawet byliby

zadowoleni zyskując pomoc przy budowie.

- Pewnie - powiedział Delagard. - Szczególnie spodoba się im pozyskanie

radiooperatora i inżyniera. To będzie dokładnie to, czego potrzebują. W porządku: wy dwaj

chcecie żyć na tej wyspie? Więc płyncie do niej. No już! Za burtę, już!

Złapał Tharpa za ramię i zaczął ciągnąć go w stronę burty. Tharp gapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

- No już! Wynocha!

- Stój - powiedział cicho Lawler.

Delagard puścił Tharpa i pochylił głowę, kołysząc się na poduszkach stóp.

- Chcesz coś powiedzieć, doktorze?

- Jeśli oni pójdą za burtę, to ja też. Delagard zaśmiał się.

- Do diabła, doktorze! Nikt nie pójdzie za burtę! Za kogo mnie masz, do cholery?

- Naprawdę chcesz, żebym na to odpowiedział, Nid?

- Posłuchaj - rzekł Delagard - to się sprowadza do prostej rzeczy. To moje okręty.

Jestem teraz kapitanem tego okrętu, a także dowodzę całą tą ekspedycją, nikt tego nie

zakwestionuje. Z wrodzonej dobroci i wspaniałomyślności zaprosiłem wszystkich, którzy

mieszkali kiedyś na Sorve, aby pożeglowali ze mną do naszego nowego domu na wyspie

Grayvard. I tam płyniemy. Głosowanie nad tym, czy powinniśmy próbować osiedlić się na

tym małym skrawku nowej wyspy, nie wchodzi w grę. Jeśli Dag i Dann chcą tam zamieszkać,

świetnie, sam ich odwiozę wodolotem. Lecz nie będzie żadnych głosowań ani żadnych zmian

w zasadniczym planie podróży. Czy to jasne? Dann? Dag? Czy to jasne, doktorze?

Dłonie Delagarda były zaciśnięte w pięści. Umiał walczyć.

- O ile pamiętam, to ty nas w to wpakowałeś, Nid - powiedział Henders. - Czy to

również zrobiłeś z wrodzonej dobroci i wspaniałomyślności?



- Zamknij się, Dam - powiedział Lawler. - Daj mi pomyśleć. <

Spojrzał w kierunku nowej wyspy. Znajdowali się teraz' tak blisko niej, że mógł rozróżnić żółte błyski w oczach Skrzelowców. Wydawało się, że Skrzelowcy kręcą się wokół własnych spraw, w najmniejszym stopniu nie zwracając uwagi na zbliżającą się flotyllę okrętów.

Lawler nagle zdał sobie sprawę z tego, że to Delagard miał rację, a Henders i Tharp mylili się. Choć z zadowoleniem zakończyłyby tę podróż tu i teraz, Lawler wiedział, że próba osiedlenia się tu była pomysłem nie wartym uwagi. Wyspa była maleńka, zaledwie strzępek drzewa wznoszący się tuż ponad falami. Nawet jeśli Skrzelowcy zgodziliby się ich przyjąć, nie było tu dla nich miejsca.

Powiedział spokojnie:

- W porządku. Tym razem zgadzam się z tobą, Nid. Ta wysepka to nie miejsce dla nas.

- Dobrze. Bardzo rozsądnie z twojej strony. Zawsze mogę liczyć na to, że zajmiesz racjonalne stanowisko, prawda, doktorze? - Delagard przyłożył zwiniętą dłoń do ust i krzyknął w górę do Pilyi. - Zmień na nawietrzną! Ruszajmy stąd!

- Powinniśmy byli głosować - powiedział Dag Tharp ponuro, rozcierając ramię.

- Zapomnij o tym - powiedział mu Lawler. - To wycieczka Delagarda. Jesteśmy jedynie jego gośćmi.

Na początku następnego tygodnia pogoda zaczęła się diametralnie zmieniać. Kiedy okręty przyjęły północno-zachodni kurs na Grayvard, stopniowo pozostawiały za sobą tropikalne wody, mocne słońce i wyraźne błękitne niebo wiecznego lata, które królowało na środkowych szerokościach geograficznych. Wchodzili w wody strefy umiarkowanej. Woda była chłodna, a gdy ciepła bryza wiała od strony równika, podnosiły się przejmująco zimne mgły. Do południa mgła znikwała, lecz szeroka przestrzeń nieba często bywała pocętkowana kędzierzawymi łatami chmur, a nawet zasłonięta ich szarą, nisko wiszącą warstwą. Tylko jedno się nie zmieniało. Wciąż nie było deszczu. Nie spadł ani razu od czasu, gdy mała flota opuściła Sorve, i to zaczynało być powodem do zmartwienia.

Również samo morze wyglądało teraz inaczej. Znajome wody Morza Ojczystego dawno pozostały za nimi. To było Morze Żółte, oddzielone od błękitnych wód na wschodzie wyraźną linią demarkacyjną. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, powierzchnię wody pokrywała gruba, paskudna piana mikroskopijnych glonów, żółtych jak wymiociny, poprzecinanych długimi, czerwonymi pręgami wyglądającymi jak ciemne pęcherze krwi. Była brzydka, lecz żyzna. W wodzie roiło się od najrozmaitszych form życia, przeważnie nowych i niezwykłych. Duże i niezgrabne ryby wielkości człowieka, o szerokich głowach, bladoniebieskich łuskach i czarnych, niewidzących oczach węszyły wokół okrętów jak dryfujące kłody. Czasami piękny lampart morski o aksamitnej skórze ze straszliwą prędkością wyskakiwał na powierzchnię i jednym łapczywym kęsem połykał którąś z nich. Pewnego popołudnia jakiś krępy, rurowaty stwór o długości dwudziestu metrów i szczęce jak potrzask pojawił się nagle między okrętem flagowym a dziobem okrętu Bambero Cadrella i z przerażającym impetem zaczął skakać po śladzie okrętu flagowego, unosząc się i wściekle tłukąc w wodę, pozostawiając za sobą poszarpane kawałki błękitnych ryb o szerokich gło-

wach, porozrzucone wszędzie na żółtych falach. Potem z głębin wynurzyły się mniejsze okazy takich drapieżców i zaczęły ucztę. Pojawiały się również mięsoryby, zataczając kręgi i błyskając ostro zakończonymi mackami, lecz trzy mały się poza zasięgiem wędek Kinversona, co doprowadzało wszystkich do szału.

Milionowe armie małych, wielonożnych stworzeń o lśniących przezroczystych ciałach przecinały żółtą pianę jak kosy, wycinając w niej szerokie bulwary, które natychmiast zamykały się za nimi. Gharkid wyciągnął na pokład pełną ich sieć - wiły się i wściekle łomotały o deski, przerażone dziennym blaskiem, usiłując dostać się z powrotem do wody - a kiedy Dag Tharp, pół żartem zasugerował, że mogą być jadalne, Gharkid natychmiast ugotował kilka w ich własnej, zabarwionej na żółto morskiej wodzie i zjadł je, wykazując całkowity brak zainteresowania możliwymi konsekwencjami.

- Niezłe - powiedział. - Spróbujcie.

Dwie godziny później wciąż czuł się dobrze. Inni też podjęli ryzyko, a wśród nich Lawler. Jedli je w całości, wraz z nogami. Małe skorupiaki były kruche, lekko słodkie i najwidoczniej pożywne. Gharkid spędził cały dzień na pomoście wyciągając je tysiącami, a wieczorem odbyła się wielka uczta.

Inne formy życia Morza Żółtego były mniej zachęcające. Wielka liczba chorobliwie zielonych meduz, nieszkodliwych, lecz pozostawiających paskudne ślady, wczołgała się po burtach na pokład, gdzie po kilku minutach zaczęła gnić. Trzeba było wyrzucić wszystkie z powrotem za burtę, co zajęło im cały dzień. W innym rejonie napotkali sztywne, czarne wieżyczki owocni jakichś glonów, które co rano wystawały na wysokość siedmiu lub ośmiu metrów nad powierzchnię wody, a w ciepłe południa eksplodowały bombardując statki tysiącami twardych, malutkich kuleczek, tak że ludzie musieli szukać schronienia. Ponadto występowały tu śluzice. Plutony składające się z dziesięciu lub dwudziestu tych

robakopodobnych stworzeń wyskakiwały ze świstem i brzękiem nad fale, po czym przelatywały około stu metrów, desperacko tłukąc kanciastymi, skórzastymi skrzydłami z dziwnym, okropnym rozmysłem, by w końcu wpaść z powrotem do wody. Czasami przelatywały tak blisko statku, że Lawler mógł dostrzec twardą, czerwoną szczecinę na ich tułowiach. Dotykał wtedy ręką lewego policzka, gdzie jeszcze zostały otarcia po spotkaniu z jedną z nich.

- Dlaczego one tak latają? - zapytał Kinverson. - Czy próbują schwytać coś, co żyje w powietrzu?

- Nic podobnego - odpowiedział Kinverson. - Raczej usiłują uciec przed czymś, co próbuje je złapać. Widzą za sobą wielką, otwartą paszczę i startują. Bardzo dobry sposób ucieczki. Fruwają również w czasie godów. Samice wznoszą się i odlatują daleko, a samce je gonią. Chłopcy, którzy latają najszybciej i najdłużej, mają powodzenie u dziewczyn.

- Niezły system selekcji. Jeśli chce się wyhodować najszybsze i najwytrzymalsze okazy.

- Miejmy nadzieję, że tego nie zobaczymy. Te diabły pojawiają się wtedy tysiącami. Naprawdę zasłaniają niebo i są zupełnie oszalałe.

Lawler pokazał otarcie na policzku.

- Wyobrażam sobie. Zderzyłem się w ubiegłym tygodniu z jednym osobnikiem.

- Jak dużym? - powiedział Kinverson bez zainteresowania.

- Może piętnastocentymetrowym.

- Masz szczęście, że był tak mały - powiedział Kinverson. - Zdarzają się naprawdę duże okazy.

Za bardzo żyjesz przeszłością, doktorze, powiedziała Pilya. Lecz jakże mogło być inaczej? Przeszłość żyła w nim. Nie tylko Ziemia, to odległe i mityczne miejsce, ale Sorve, szczególnie Sorve, gdzie złożono w jedną całość jego ciało i krew, rozum i duszę. Przeszłość

trwała w nim przez cały czas. Teraz również, gdy tak stał przy nadburciu, przyglądając się dziwom Morza Żółtego.

Miał dziesięć lat i dziadek zawołał go do swojej chaty.

Trzy lata wcześniej dziadek zakończył praktykę lekarską i całymi dniami spacerował wzdłuż falochronu, a był cały skurczony i miał żółtawą cerę, tak że wszyscy wiedzieli, że nie zostało mu wiele życia. Był stary, tak stary, że pamiętał nawet niektórych osadników z pierwszej generacji, nawę swojego dziadka, Harry'ego Lawlera, Założyciela.

- Mam coś dla ciebie, chłopcze - powiedział dziadek. - Chodź tutaj. Podejdź bliżej.

Widzisz tamtą półkę, Valben? Tę, na której są rzeczy z Ziemi? Przynieś mi je.

Leżały tam cztery przedmioty z Ziemi, dwa płaskie, okrągłe i metalowe, jeden duży z zardzewiałego metalu oraz kawałek malowanej porcelany. Kiedyś było ich sześć, ale pozostałe dwa, niewielka statuetka i kawałek chropowatego kamienia, znajdowały się teraz w chacie ojca Valbena. Dziadek już zaczął rozdawać swój dobytek.

- Patrz, chłopcze - powiedział dziadek. - Chcę, żebyś to wziął. Należało do mojego dziadka Harry'ego, który otrzymał to od swojego dziadka, który z kolei zabrał to ze sobą z Ziemi, kiedy wyruszył w kosmos. A teraz należy do ciebie. - I wręczył mu kawałek porcelany pomalowany na pomarańczowo i czarno.

- Nie dla mojego ojca? Nie dla mojego brata?

- To dla ciebie - powtórzył dziadek. - Abyś pamiętał o Ziemi. I żebyś pamiętał o mnie.

Będiesz uważał, aby tego nie zgubić? Ponieważ to jedyne przedmioty z Ziemi, jakie posiadamy, a jeśli je zgubimy, nie dostaniemy żadnych innych. Proszę. Proszę - wcisnął prezent w dłoń Valbena. - To pochodzi z Grecji. Może należała do Sokratesa lub Platona. A teraz jest twoja.

Wtedy ostatni raz rozmawiał z dziadkiem.

Później miesiącami zawsze nosił przy sobie ten kawałek malowanej porcelany. A kiedy pocierał jej wyszczerbioną powierzchnię o nierównych krawędziach, wydawało mu się, że Ziemia znów ożywa w jego dłoniach, że z tego kawałka porcelany mówi do niego sam Sokrates albo Platon. Kimkolwiek byli.

Miał piętnaście lat. Jego brat Coirey, który uciekł na morze, przyjechał do domu w odwiedziny. Coirey był o dziewięć lat starszy od niego, najstarszy z braci, których było trzech; lecz średni, młody Bernat zmarł tak dawno, że Valben prawie go nie pamiętał. Coirey miał pewnego dnia zostać następnym lekarzem wyspy, ale nie był zainteresowany leczeniem. Leczenie przywiązałoby go do pojedynczej wyspy. Morze, morze i jeszcze raz morze było tym, czego chciał Coirey. Tak więc uciekł na morze, a listy od niego przychodziły z miejsc, które dla Valbena były tylko nazwami: Velmise, Sembilor, Thetopal i Meisa Meisanda; a teraz sam Coirey był tutaj, tylko na krótką chwilę, zatrzymując się na Sorve w drodze do miejsca zwanego Simbalimak, na morzu znanym jako Morze Lazurowe, które było tak daleko, że wydawało się to na innym świecie.

Valben nie widział go od czterech lat. Nie wiedział, czego oczekiwać. Mężczyzna, który wszedł, miał taką samą twarz jak jego ojciec, twarz, którą on też zaczynał mieć, twarz o wyrazistych rysach, mocnej szczęce, długim i prostym nosie; lecz był tak spalony przez słońce i wiatr, że jego skóra wyglądała jak kawałek starej skóry rugfish, a na jednym policzku ślad długiego cięcia - sinawą bliznę zaczynającą się pod okiem, a kończącą przy kąciku ust.

- Dostała mnie mięsna ryba - powiedział - ale ja też ją dostałem. - Szturchnął pięścią w ramię Valbena - Hej, jesteś duży! Prawie taki duży jak ja. Tylko lżejszy. Musisz nabrać ciała.

- Coirey mrugnął do niego. Przyjedź kiedyś na Meisa Meisanda. Tam znajdują się na jedzeniu.

Codziennie jest ucztą. A kobiety! Co za kobiety, chłopcze... - Zmarszczył brwi i powiedział: - Oglądasz się już za kobietami, prawda? Jasne, że tak. Zgadza się? Zgadza. Co ty na to, Val?

Kiedy wrócę z Simbalimak, czy wybierzesz się ze mną na wycieczkę do Meisa Meisanda?

- Wiesz, że nie ruszę się stąd, Coirey. Muszę się uczyć.

- Uczyć?

- Ojciec uczy mnie leczenia.

- Och, tak. Tak. Zapomniałem. Będziesz następnym Doktorem Lawlerem. Jednak możesz wypłynąć ze mną na Amorze na krótko, prawda?

- Nie - powiedział Valben. - Nie mogę.

I wtedy zrozumiał, dlaczego dziadek dał ten mały kawałek porcelany z Ziemi jemu, a nie jego starszemu bratu Coireyowi.

Jego brat nigdy więcej nie powrócił na Sorve.

Miał siedemnaście lat i był pochłonięty studiami medycznymi.

- Najwyższy czas, abys wykonał ze mną autopsję, Val - powiedział ojciec. - Jak dotąd wszystko pozostaje dla ciebie teorią. Jednak wcześniej czy później musisz dowiedzieć się, co jest wewnątrz opakowania.

- Może powinniśmy poczekać, aż ukończę lekcje anatomii - odpowiedział. - Tak, abym miał lepszy pogląd na to, co widzę.

- To najlepsza z możliwych lekcja anatomii - powiedział ojciec.

Zabrał go do środka, do salki operacyjnej, gdzie na stole pod lekkim kocem z sałaty wodnej ktoś leżał. Ojciec odsunął koc i Valben zobaczył, że była to stara kobieta o siwych włosach i zwiotczałych piersiach, które opadały w kierunku pach; a chwilę później zdał sobie sprawę, że ją zna, że patrzy na matkę Bambera Cadrella, Samarę, żonę Marinusa. To oczywiste, że ją znał, pomyślał: na wyspie było tylko sześćdziesięcioro ludzi, jak więc którykolwiek z nich mógł być mu obcy? A jednak - żona Marinusa, matka Bambera - naga, leżąca martwa na chirurgicznym stole...

- Zmarła dziś rano, bardzo szybko, po prostu upadła w swojej chacie. Marinus przyniósł ją tutaj. Prawdopodobnie był to atak serca, ale chciałbym mieć pewność, a ty również powinieneś to zobaczyć. - Ojciec podniósł skrzynkę narzędzi chirurgicznych. Potem powiedział miękko: - Mnie również nie podobała się moja pierwsza autopsja. Jednak tak trzeba, Valben. Musisz wiedzieć, jak wygląda wątroba, śledziona, płuca i serce, nie nauczysz się czytając o nich. A my nie dostaniemy tutaj wielu ciał, na których możemy pracować. To okazja, której nie pozwolę ci przepuścić.

Wybrał skalpel, pokazując Valbenowi prawidłowy chwyt, i wykonał pierwsze cięcie.

A potem zaczął odsłaniać sekrety ciała Samary Cadrell.

Na początku było źle, bardzo źle.

Potem odkrył, że może to znieść, że oswaja się z okropnością i bierze udział w tym krwawym pogwałceniu sanktuarium ciała.

A po pewnym czasie zaczęło go to fascynować; kiedy udało mu się zapomnieć, że to kobieta, którą znał przez całe życie, i zaczął myśleć o niej tylko jako o układzie organów wewnętrznych różnych kolorów, kształtów i budowy.

Jednak tej nocy, kiedy skończył ostatnie badanie i znalazł się za rezerwuarem z Bodą Thalheim i gładził dłońmi jej gładki, płaski brzuch, nie mógł powstrzymać myśli, że za tym napiętym bębmem pięknej, smagłej skóry znajdują się również zespoły organów wewnętrznych różnego koloru, kształtu i budowy, bardzo podobne do tych, które widział po południu, lśniące zwoje jelit i cała reszta, a wewnątrz tych twardych, okrągłych piersi są gruczoły wewnętrzne niewiele różniące się od tych wewnątrz obwisłych piersi Samary Cadrell, które ojciec zademonstrował mu kilka godzin wcześniej szybkimi ruchami skalpela. I zdjął ręce z gładkiego ciała Body, jakby pod wpływem jego pieszczot zamieniło się w ciało Samary.

- Czy coś nie w porządku, Val?



- Nie. Nie.

- Nie chcesz?

- Oczywiście, że chcę. Ale - ja nie wiem...

- Dobrze. Pomogę ci.

- Tak. Och, Bodą. Och, tak!

I za chwilę wszystko było w porządku. Zastanawiał się jednak, czy kiedykolwiek znów dotknie dziewczynę nie przypominając sobie niechcianych, a żywych obrazów jej trzustki, nerek oraz jajowodów i przyszło mu do głowy, że być lekarzem to bardzo skomplikowana sprawa.

Obrazy z minionego czasu. Zjawy, które nigdy go nie opuszczają.

Trzy dni później Lawler zszedł na dół, do ładowni w brzuchu okrętu po jakieś zapasy medyczne, niosąc tylko mały kaganek. W półmroku prawie zderzył się z Kinversonem i Sundirą, którzy wychodzili spomiędzy skrzyń. Wyglądali na spoconych i rozczochranych, a także troszeczkę zdziwionych jego widokiem. Nie było wątpliwości, co tutaj robili.

Kinverson spokojnie spojrział mu w oczy i powiedział:

- Dzień dobry, doktorze.

Sundirą nie odezwała się słowem. Zgarnęła swoją szatę z przodu, gdzie była rozcięta i przeszła obok, z twarzą bez wyrazu, patrząc w oczy Lawlerowi tylko przez krótki moment i szybko odwracając wzrok. Wydawała się nie tyle zmieszana, ile po prostu uciekała w swój własny świat. Ogluszony, Lawler skinął jej głową, jakby to było zupełnie zwyczajne spotkanie w całkowicie neutralnej części statku, i podążył w stronę medycznej części magazynu.

To był pierwszy, prawdziwy dowód, że Kinverson i Thane byli kochankami. Lawler przeżył to silniej, niż mógł przypuszczać. Przypomniały mu się teraz słowa Kinversona

sprzed kilku dni o zwyczajach godowych słuzie. Zastanawiał się, czy były skierowane do niego w jakiś przewrotny, drwiący sposób. Chłopcy, którzy latają najszybciej i najdłużej, mają powodzenie u dziewczyn.

Nie. Nie. Lawler wiedział, że na wyspie miał mnóstwo okazji, aby nawiązać bliższą znajomość z Sundirą. Nie wykorzystał ich z przyczyn, które wtedy wydawały się mieć sens.

A więc dlaczego teraz był taki zraniony?

Pragniesz jej bardziej, niż chcesz się do tego przyznać nawet przed sobą, prawda?

Tak. Pragnął. Szczególnie teraz. - Dlaczego? Ponieważ jest związana z kimś innym?

Jakie to miało znaczenie? Pragnął jej. Wiedział o tym wcześniej, ale nie zrobił nic.

Może nadszedł czas, aby poważnie zastanowić się nad tym, dlaczego tak się stało.

Później tego dnia zobaczył ich znowu razem na rufie, przy pomoście. Z daleka

wyglądało to tak, jakby Kinversion złapał coś niezwykłego i pokazywał jej to, dumny myśliwy prezentujący zdobycz swojej kobiecie.

- Doktorze! - zawołał Kinversion wystawiając głowę nad krawędź pomostu. Uśmiechał

się w sposób, który był albo uprzejmie sympatyczny, albo zdawkowo protekcyjny, Lawler nie mógł zdecydować. - Proszę tu przyjść na chwilę, doktorze. To może pana zainteresować.

W pierwszej chwili Lawler chciał odmownie potrząsnąć głową i iść dalej. Nie chciał

jednak dać im satysfakcji unikając ich. Czego się obawiał? Że zobaczy odciski łap

Kinversiona na jej skórze? Nie bądź głupi, powiedział sobie, i wdrapał się po małej drabince na pomost.

Kinversion miał tu rozmaity sprzęt rybacki przymocowany do pokładu - oszczepy,

haki, liny i tym podobne rzeczy. Tutaj również znajdowały się sieci Gharkida, używane do wylawiania glonów.

Pełna wdzięku zielonkawa ryba, trochę podobna do nurka, lecz mniejsza, leżała

bezwładnie w żółtej kałuży na deskach pokładu, jakby Kinverson dopiero co wyciągnął ją na pokład. Lawler nie rozpoznał tego stworzenia. Zapewne jakiś ssak. Oddychający powietrzem, jak wielu innych mieszkańców oceanów Hydros.

- Co to takiego? - zapytał Kinversona. - Właściwie nie jesteśmy pewni, doktorze.

Stwór miał niskie, pochyle czoło, wydłużony pysk zakończony krótkimi i grubymi wąsami oraz smukłe, opływowe ciało i trójpłetwy ogon. Wyraźnie zaznaczał się zarys kręgosłupa. Spłaszczone przednie kończyny przechodziły w wąskie płetwy podobne do płetw Skrzelowców. Wystawały z nich zakrzywione szare pazury, krótkie i ostre. Oczy - czarne, okrągłe i lśniące - były otwarte.

Wydawało się że Stworzenie nie oddycha. Nie wyglądało również na nieżywe. Jego oczy coś wyrażały. Strach? Zdziwienie? Któż to wie? Były to oczy obcej istoty. Miały zmartwiony wyraz.

Kinverson powiedział:

- Zaplątało się w jedną z sieci Gharkida i wyjąłem je, aby ją oczyścić. Wie pan, że można spędzić całe życie na oceanie i wciąż spotykać nowe stworzenia. - Dotknął boku zwierzęcia. Odpowiedziało słabym, ledwie widocznym ruchem ogona. - Ten jest stracony, nieprawdaż? Ładne małe stworzonko.

- Niech się przyjrzę - powiedział Lawler. Ukląkł obok zwierzęcia i położył dłoń na jego boku.

Skórę miało ciepłą, wilgotną, może pod wpływem gorączki. Teraz poczuł słaby oddech. Zwierzę obróciło oczy w dół, aby zobaczyć, co robi Lawler, lecz nie okazywało większego zainteresowania. Następnie otworzyło pysk i Lawler ze zdziwieniem zobaczył w nim owalny drzewiasty twór złożony luźno powiązanych, białych, włóknistych pasm, blokujących całą jamę ustną i przełyk zwierzęcia. Pasma łączyły się w grubą łodygę, która

ginęła w głębi jego krtani.

Zbadał tułów zwierzęcia uciskając go dłońmi i wyczuł środkiem sztywność, grudki i zgrubienia tam, gdzie wszystko powinno być gładkie. Lawler zdążył już odzyskać czubkie w palcach, tak że mógł teraz odczytać topografię wnętrza stworzenia, jakby leżało przed nim otwarte skalpelem. Gdziekolwiek dotknął, wyczuwał jakieś zmiany wewnętrzne. Przewrócił zwierzę na plecy i zobaczył pasma tej samej! drewnopodobnej siatki wystające z odbytu, tuż nad ogonem!

Nagle zwierzę wydało suchy, urywany, szczekliwy dźwięk. Pysk otworzył się szerzej, niż Lawler sądził, że to możliwe. Zdrewniały kłęb ukazał się w całej okazałości, stercząc z pyska zwierzęcia jak z postumentu, i zaczął kołysać się na boki. Lawler szybko wstał i odskoczył. Od włóknistej kuli oddzieliło się coś, co wyglądało jak mały, różowy jęczyzek, który śmigał ze świstem po pokładzie, skacząc jak opętany tam i z powrotem. Lawler przydepnął go butem, kiedy jęczyzek skierował się w stronę Sundiry. Z kuli wyskoczył drugi autonomiczny jęczyzek. Ten również rozdeptał. Kula leniwie kiwała się, jakby zbierając energię potrzebną do wypuszczenia kilku następnych jęczyzków.

Lawler powiedział do Kinversona:

- Wyrzuć to do morza, szybko. - He?

- Podnieś to i wywal. No już.

Kinverson ze zdumieniem i rezerwą patrzył na oględziny. Ostry ton głosu Lawlera pobudził go do działania. Jednym zwinnym ruchem wsunął dłoń pod tułów zwierzęcia, podniósł je i wyrzucił za burtę. Poleciało bezwładnie jak kawał mięsa. W ostatniej chwili zdołało przyjąć właściwą pozycję i wejść gładko w wodę, łbem naprzód, jakby kierowane wrodzonym odruchem, który częściowo jeszcze działał. Jedno mocne machnięcie ogonem i za moment zniknęło pod wodą.

- Co to było, do diabła? - spytał Kinverson.

- Inwazja pasożytnicza. To zwierzę było czymś przerośnięte od pyska do ogona. Nie widzieliście, co miało w pysku? Coś opanowało wszystkie tkanki jego ciała. A te różowe jęczyczki - sądzę, że to były wypustki szukające nowego gospodarza.

Sundira zadrżała.

- Coś jak grzyb zabójca?

- Tak, coś podobnego.

- Sądzi pan, że to mogło nas zaatakować?

- Na pewno miało ochotę spróbować - powiedział Lawler. - W oceanie tej wielkości pasożyty nie mogą być zbyt wybredne. Zapuszczają korzenie wszędzie, gdzie mogą. -

Spojrzał przez burtę, jakby oczekując, że zobaczy stado zaatakowanych przez pasożyta zwierząt, dryfujące beznadziejnie wokół okrętu. Jednak w wodzie nie było nic prócz żółtej piany usianej czerwonymi pręgami. Odwracając się do Kinversona powiedział: - Chcę, żebyście zaprzestali wędkowania do czasu, aż opuścimy te wody. Pójdę do Daga Tharpa i powiem mu, żeby przesłał tę wiadomość na inne okręty.

- Potrzebujemy świeżego mięsa, doktorze.

- Chcesz osobiście sprawdzać wszystko, co zostanie złapane, żeby zobaczyć, czy nie jest opanowane przez pasożyta?

- Do diabła, nie!

- W takim razie nie łowimy niczego w tych wodach. f o prostu. Wolę przez jakiś czas obejść się suszoną rybą, niż mieć coś takiego w swoich wnętrznościach, a ty?

Kinverson poważnie skinął głową.

- To było takie ładne stworzenie.

Dzień później, wciąż żeglując przez Morze Żółte, natknęli się na pierwszą falę

przyływu. Jedyne, co mogło dziwić, to że nadeszła dopiero teraz, skoro byli na morzu już od kilku tygodni.

Nie można było całkowicie uniknąć przyływów. Trzy księżycy planety, małe i szybkie, krążyły bez końca po skomplikowanych, krzyżujących się orbitach, a w regularnych odstępach czasu ustawiały się w taki sposób, że ich połączone siły grawitacyjne mocno oddziaływały na wielką wodną kulę, wokół której się poruszały. To powodowało ogromną falę przyływu, wędrującą stale wokół środkowej części Hydros, w miarę obrotu planety. Mniejsze fale, wy-wór pól grawitacyjnych poszczególnych księżyców, poruszały się prostopadle do głównej fali. Skrzelowcy tak zaprojektowali swoje wyspy, aby przetrwały nieuniknione spotkania z falami. W wyjątkowych przypadkach mniejsze fale przecinały drogę wielkiej, powodując ogromne zaburzenia, znane jako Fala. Wyspy Skrzelowców były zbudowane tak, żeby oprzeć się nawet Fali; lecz pojedyncze łódki i okręty nie miały na to żadnych szans. Fala była tym, czego każdy żeglarz obawiał się najbardziej.

Pierwszy przyływ należał do łagodnych. Dzień był ciężki jak ołów i wilgotny, a słońce blade, niewyraźne, bezkrwiste. Na wachcie pracowała pierwsza zmiana: Martello, Kinverson, Gharkid, Pilya Braun.

- Przed nami wzburzone morze! - zawołał z góry Kinverson. W sterówce Onyos Felk sięgnął po lunetę. Lawler, który właśnie wyszedł na pokład po radiowych konsultacjach medycznych z pozostałymi okrętami, poczuł, że pokład rzuca się i skacze pod nim, jakby statek stanął na czymś stałym. W twarz trysnął mu deszcz rozpryskującej się żółtej wody. Spojrzał w kierunku sterówki. Felk gwałtownie gestykulował.

- Nadchodzi fala! - wołał kartograf. - Do środka! Lawler zobaczył, jak Pilya i Leo Martello zabezpieczają

liny podtrzymujące żagiel. Chwilę później zeskoczyli na dół. Gharkid już zszedł pod

pokład. Kinverson przebiegł obok, machając do Lawlera.

- Chodź, doktorze. Nie chcesz chyba tu zostać.

- Nie - odparł Lawler, ale jeszcze na chwilę zatrzymał się przy nadburciu. Teraz ją zobaczył. Nadchodziła w ich stronę z północnego zachodu, jak wstępne przywitanie z odległej Grayvard - wielka, szara ściana wody, która leżała pod ostrym kątem w poprzek horyzontu, pędząc na nich z przerażającą prędkością. Lawler wyobraził sobie jakiś kij sunący tuż pod powierzchnią morza i tworzący ten nieubłagany, wydęty wał. Falę poprzedzał zimny, słony wiatr, zwiastun nieszczęścia.

- Doktorze - powtórzył Kinverson stojący w zejściówce. - Czasami taka fala przemiata pokład, kiedy uderza.

- Wiem - powiedział Lawler. Lecz siła nadchodzącej fali fascynowała go i trzymała na miejscu. Wzruszywszy ramionami, Kinverson zniknął we wnętrzu okrętu. Lawler został sam na pokładzie. Zdał sobie sprawę, że mogą zamknąć właz i pozostawić go na zewnątrz. Rzucił jedno ostatnie spojrzenie na falę i pobiegł. Pod pokładem wszyscy prócz Hendersa i Delagarda stali w przejściu, szykując się na nieuchronne uderzenie fali.

Kinverson zatrasnął pokrywę luku i zabezpieczył ją kołkiem.

Z głębin okrętu, gdzieś od rufy, dobiegł dziwny dźwięk, jakby obracających się żaren.

- Włącza się magnetron - powiedziała Sundira Thane. Lawler odwrócił się do niej.

- Przeżyłaś to już wcześniej?

- Zbyt często. Jednak tym razem nie będzie to nic wielkiego.

Chrobot stał się głośniejszy. Magnetron wysyłał w dół promień siły, który opierał się o kulę ciekłego żelaza w jądrze planety i dostarczał dźwigni zdolnej podnieść statek metr lub dwa nad wodę, a w razie potrzeby jeszcze wyżej, akurat tyle, aby osłabić najsilniejsze uderzenie fali. Pole przemieszczenia magnetycznego było jedyną zdobyczą supertechnologii,

jaką mieszkańcom Hydros udało się sprowadzić ze światów galaktyki. Dann Henders powiedział kiedyś, że urządzenie o takich ogromnych możliwościach jak magnetron można by wykorzystać z większym pożytkiem dla osadników niż tylko dla utrzymania promów Delagarda na powierzchni burzliwego morza. Bardzo możliwe, że Henders miał rację; Delagard jednak trzymał magnetrony na pokładach swoich okrętów. Były jego prywatną własnością, klejnotami koronnymi morskiego imperium Delagarda, podstawą rodzinnej fortuny.

- Czy już jesteśmy w górze? - niespokojnie zapytała Lis Niklaus.

- Kiedy ustanie chrobot - powiedziała Neyana Golghoz. - O, teraz.

Zapadła cisza.

Okręt unosił się tuż nad grzbietem fali.

Tylko przez chwilę; magnetron, mimo iż potężny, miał swoje ograniczenia. Jednak ten moment zupełnie wystarczył. Fala przeszła i statek spokojnie przepłynął po jej szczycie, a potem spłynął w dół, lądując za nią w kieszeni przemieszczonej wody. Wracając na swoje miejsce zakołysał się i zadrżał. Uderzenie przy zejściu było silniejsze, niż oczekiwał Lawler; musiał walczyć, aby utrzymać się na nogach.

A potem było po wszystkim; znowu unosili się na gładkim morzu. Delagard wyszedł z luku ładowni mając na twarzy szeroki uśmiech zadowolenia z siebie. Tuż za nim szedł Dann Henders.

- I już po wszystkim, kochani - obwieścił właściciel okrętu. - Wracajcie na stanowiska. Płyniemy dalej.

Fala pozostawiała za sobą lekko wzburzone morze, rozhuśtane jak kołyska. Po powrocie na pokład Lawler zobaczył ją odchodzącą na południowy wschód, malejącą zmarszczkę przecinającą spienioną powierzchnię wody. Zobaczył żółtą flagę na "Złotym



Słońcu”, czerwoną na “Trzech Księżycach” i zielono-czarną na “Bogini Sorve”. W oddali dostrzegł dwa pozostałe okręty, bezpieczne i najwidoczniej nieuszkodzone.

- Nie było tak źle - powiedział do Daga Tharpa, który nadszedł tuż za nim.

- Poczekaj - odrzekł Tharp. - Tylko poczekaj.

Morze znów się zmieniło. W tym miejscu przecinał je zimny, wschodni prąd, płynący z północy i wycinający pokos żółtych glonów. Na początku widać było jedynie wąskie pasmo czystej wody pośród pian, potem szersze, potem, gdy flotylla znalazła się w głównym nurcie prądu, bała woda wokół nich znów była czystym, jasnym błękitem. Kinverson zapytał Lawlera, czyjego zdaniem fauna morska tutaj jest wolna od pasożytniczych roślin. Podróżnicy wielu dni nie jedli świeżej ryby.

- Wciągnij coś na pokład i zobaczymy - powiedział Lawler. - Tylko uważaj przy wyciąganiu sieci na pokład.

Kinverson nie musiał uważać, ponieważ nic nie złowił, ego sieci pozostawały puste, haczyki nietknięte. W tych odach żyły ryby, mnóstwo ryb. Jednak trzymały się z daleka od statku. Czasami można było zobaczyć całe ich ławice, pospiesznie odpływające dalej. Z pozostałych statków nadchodziły takie same wieści. Równie dobrze mogliby płynąć przez opustoszałe wody.

W porach posiłków słychać było narzekania.

- Nie mogę ich gotować, jeśli nikt ich nie łapie - mówiła Lis Niklaus. -

Porozmawiajcie z Gabem.

Kinverson nie zwracał uwagi na skargi.

- Nie mogę ich łowić, jeżeli nie podpływają do nas. Nie podoba się, to wyskakujcie, płyńcie za nimi i łapcie je rękami, dobra?

\* \* \*

Ryby nadal trzymały się z daleka, lec teraz okręty wpłynęły w rejon obfitujący w wiele nowych rodzajów glonów, unoszące się na wodzie masy splecionych czerwonych gatunków, wymieszane z innymi pasmami szerokoliściastych, bardzo mięsistych, błękitno-

zielonych. Gharkid był tym zachwycony.

- Będą wspaniałe w smaku - oznajmił. - Jestem pewny. Zapewnię nam obfite posiłki.

- Przecież jeśli jeszcze nigdy nie widziałeś takich glonów... - spierał się Leo Martello.

- Umiem rozpoznawać. Będą doskonałe.

Gharkid wypróbował je na sobie w ten spokojny, nieustraszony sposób, który Lawler uważał za wyjątkową cechę. Zameldował, że czerwony glon nadaje się na sałatkę. błękitno-zielony najlepiej smakuje ugotowany w niewielkiej ilości rybiego oleju. Spędzał całe dnie na pomoście wciągając na pokład ładunek za ładunkiem, aż pół pokładu pokryło się stertami ociekających wodą morskich wodorostów.

Lawler podszedł do niego, gdy Gharkid siedział sortując śliskie paskudztwo, które wciąż ociekało wodą. Drobię stworzenia, które zostały wciągnięte na pokład wraz i siecią, wiły się wśród splątanych glonów: małe ślimaki, kraby i malutkie skorupiaki o jaskrawoczerwonych muszelkach wyglądających jak zamki z bajki. Gharkid nie obawiał się, że któryś z tych mikroskopijnych pasażerów może mieć jadowite kolce, ani małych szczęk potrafiących mocno uszczypnąć, toksycznych wydzielin czy innych nieznanymi niebezpieczeństw. Ściągał je ze swoich glonów za pomocą trzciniowego grzebienia lub rąk, jeśli tak było najszybciej. Kiedy Lawler podszedł, Gharkid uśmiechnął się do niego szeroko, błyskając zębami, oślepiająco białymi na tle smagłej twarzy.

- Morze było dzisiaj dla nas łaskawe - rzekł. - Zesłało nam wspaniałe zbiory.

- Gdzie nauczyłeś się tego wszystkiego, co wiesz o morskich roślinach, Natim?

Gharkid wyglądał na zaskoczonego.

- Na morzu, gdzieżby indziej? Morze daje nam życie. Wyprawiasz się na morze i

znajdujesz, co dobre. Próbujesz tego, czy tamtego. I pamiętasz. - Wyrwał coś z węzłowatej bryły czerwonego wodorostu i z zadowoleniem podniósł do góry, aby Lawler mógł to

zobaczyć. - Taki słodki. Taki delikatny.

Trzymał w ręce rodzaj morskiego ślimaka, żółtego z małymi, czerwonymi plamkami, podobnego do ożywionego kawałka piany z morza, które zostawili za sobą. Tuzin dziwnie intensywnych czarnych oczek wielkości koniuszków palców falował na krótkich i grubych czułkach. Lawler jakoś nie dostrzegał słodczy ani delikatności w nakrapianym, żółtym stworku, lecz Gharkid wydawał się nim oczarowany. Przysunął go blisko do twarzy i uśmiechnął się doń, a następnie przerzucił przez burtę do wody.

- Błogosławiony twór morza - powiedział Gharkid tak dobrodusznym tonem, że zirytował Lawlera i wzbudził w nim niesmak.

- Człowiek zastanawia się, po co to zostało stworzone.

- O nie, panie doktorze. Ja nigdy o tym nie myślę. Kim jestem, aby pytać morze, dlaczego robi to, co robi?

Jego pełen czci głos świadczył o tym, że uważał morze niemal za swego Boga.

Możliwe, że tak było. Tak czy inaczej, to pytanie nie wymagało odpowiedzi, należało do pytań, którymi ludzie pokroju Lawlera nie zaprzęтали sobie głowy. Nie chciał traktować Gharkida protekcjonalnie ani obrazić go. Czując się prawie nieczystym wobec niewinności i radości Gharkida, Lawler uśmiechnął się i ruszył dalej. Na pokładzie zauważył ojca Quillana, który przyglądał się im z oddali.

- Obserwowałem go przy pracy - powiedział duchowny do Lawlera. - Jak przebierał te wodorosty, oddzielał je od siebie, układał w stosy. Nigdy nie przestaje. Wydaje się tak łagodny, lecz gdzieś w tym człowieku drzemie gniew. A tak w ogóle, co o nim wiesz?

- O Gharkidzie? Niewiele. Trzyma się na uboczu, małomówny. Nie wiem, gdzie mieszkał, zanim pojawił się na Sorve kilka lat temu. Wydaje się, że nic go nie interesuje oprócz glonów.

- Zagadkowy.

- Tak, zagadkowy. Kiedyś uważałem go za myśliciela rozmyślającego w samotności o

Bóg wie jakich problemach filozoficznych. Jednak teraz nie jestem pewien, czy on zajmuje się czymkolwiek poza kontemplowaniem różnych rodzajów wodorostów. Wiesz, jak łatwo jest wziąć milczenie za głębię myśli. Ostatnio dochodzę do wniosku, że on jest dokładnie tak nieskomplikowany, jaki się wydaje.

- Hm, to możliwe - powiedział duchowny. - Jednak byłbym bardzo zdziwiony. Nigdy dotąd nie spotkałem naprawdę prostego człowieka.

- Mówisz poważnie?

- Możesz sądzić, że są prości, ale zawsze będziesz w błędzie. Mój rodzaj pracy zawsze daje mi szansę zajrzenia w głąb ludzkiej duszy, kiedy ostatecznie zaczynają mi ufać lub kiedy zaczynają wierzyć, że duchowny jest niczym więcej jak tylko cienką zasłoną dzielącą ich od Boga. Odkrywasz wtedy, że nawet prości ludzie wcale nie są prości. Może niewinni, ale nigdy prości. Umysł ludzki nawet w swojej minimalnej wersji rozwojowej jest zbyt skomplikowany, aby mógł być prosty. Tak więc wybaczone, doktorze, ale proponuję, żebyś powrócił do swojej pierwszej hipotezy na temat Gharkida. Wierzę, że on myśli. Wierzę, że poszukuje Boga, jak my wszyscy.

Lawler uśmiechnął się. Wiara w Boga to jedno, a poszukiwanie Go to coś całkiem innego. O ile Lawler wiedział, Gharkid równie dobrze mógł być wierzący, na jakimś podstawowym, nieskomplikowanym poziomie. Jednak to Quillan był tym, który poszukuje.

Zawsze bawiło Lawlera, jak inni ludzie przenosili własne potrzeby i niepokoje na otaczający świat, po czym podnosili je do rangi podstawowych praw wszechświata.

A czy znalezienie Boga było naprawdę celem, jaki oni wszyscy pragnęli osiągnąć,

każdy z nich? Quillan, tak. Można rzec, że taka była jego profesjonalna potrzeba. Ale Ghar-

kid? Kinverson? Delagard? Sam Lawler?

Lawler przyjrzał się uważniej Quillanowi. Do tej pory nauczył się czytać w twarzy duchownego. Quillan zwykle nakładał jedną z dwóch masek. Jedna była pobożna i szczerą.

Natomiast druga zimna, martwa, cyniczna i bezbożna. Zmieniał jedną na drugą zgodnie z duchowymi sztormami, które szalały w jego udręczonym umyśle. Lawler podejrzewał, że w tej chwili otrzymuje pobożną wersję Quillana, prawdziwego Quillana. Powiedział:

- Myślisz, że ja również jestem poszukiwaczem Boga?

- Oczywiście, że tak!

- Dlatego, że umiem zacytować kilka linijek Biblii?

- Dlatego, że sądzisz, iż potrafisz żyć w Jego cieniu przez całe życie i ani przez chwilę nie akceptować faktu Jego istnienia. Taka sytuacja automatycznie powołuje do życia swoje przeciwieństwo. Zaprzecz istnieniu Boga i jesteś skazany na Jego poszukiwanie, choćby tylko po to, aby sprawdzić, czy masz rację co do Jego nieistnienia.

- Co dokładnie opisuje twoją sytuację, ojczu.

- Oczywiście.

Lawler spojrzał na Gharkida, który cierpliwie sortował ostatni połów glonów, oskubując obumarłe pędy i wyrzucając je za burtę. Śpiewał sobie jakąś niemelodyjną piosenkę.

- A jeżeli ktoś ani nie zaprzecza istnieniu Boga, ani Go nie akceptuje, co wtedy? -

spytał Lawler. - Czy wtedy nie będzie on prawdziwie prostym człowiekiem?

- Przypuszczam, że będzie, tak. Tyle że jeszcze nie znalazłem takiej osoby.

- W takim razie proponuję rozmowę z naszym przyjacielem Gharkidem.

- Och, często rozmawiamy - powiedział duchowny.

Wciąż nie było deszczu. Ryby postanowiły powrócić w zasięg sprzętu rybackiego

Kinversona, ale niebo nie poddawało się. Rozpoczynali już trzeci tydzień podróży, a zapasy wody zabranej z Sorve zostały już poważnie uszczuplone. Reszta zaczęła przybierać stęchły, słonawy smak. Oszczędzanie było ich drugą naturą, jednak poprzestawanie przez cały ośmiotygodniowy rejs na Grayvard tylko na tym, co mieli w zbiornikach, stanowiło ponurą perspektywę. Jeszcze nie nadszedł czas, aby zacząć zaspokajać pragnienie gałkami ocznymi, krwią i płynem rdzeniowym zwierząt morskich - sposoby, o jakich opowiadał Kinverson, który podobno stosował je podczas długich, samotnych, bezdeszczowych podróży - a sytuacja nie była jeszcze tak krytyczna, aby wydobyć sprzęt do destylacji morskiej wody. Stanowił on ostatnią deskę ratunku, był mało wydajny i kłopotliwy w użyciu, które polegało na powolnym, jednostajnym gromadzeniu pojedynczych kropeł, co robiono jedynie w ostateczności.

Mogli jednak zrobić coś innego. Surowa ryba, pełna wilgoci i zawierająca stosunkowo niewiele soli, stała się teraz nieodłącznym składnikiem ich codziennej diety. Lis Niklaus robiła, co mogła, aby oczyścić i pociąć ryby na smakowicie wyglądające filety; mimo to szybko im się znudziły, a czasami nawet wywoływały mdłości. Skutkowało również polewanie skóry i ubrań morską wodą. Redukowano w ten sposób temperaturę ciała, zmniejszając jednocześnie wewnętrzne zapotrzebowanie na wodę. Był to także jedyny sposób utrzymania czystości, jako że świeża woda była zbyt cenna, aby używać jej do prania. “

Pewnego popołudnia niebo nieoczekiwanie pociemniało i nad nimi oberwała się chmura.

- Wiadra! - wrzasnął Delagard. - Butle, beczki, manierki, cokolwiek! Wszystko na pokład!

Biegali jak duchy w dół i w górę po schodkach, wyciągając wszystko, co nadawało się do łapania wody, aż zastawili cały pokład różnymi pojemnikami. Potem wszyscy rozebrali się

i nago tańczyli jak szaleńcy w strumieniach deszczu, zmywając z ciała i ubrań skorupki soli.

Delagard brykał na mostku jak krzepki satyr o włochatej piersi, tak wydatnej jak u kobiety.

Lis, obok niego; długie, żółte włosy przykleiły się jej do pleców, a duże kule piersi podskakiwały jak planety grożące wypadnięciem z orbit. Wychudzony, mały Dag Tharp tańczył z krzepką Neyaną Golghoz, która była tak silna, że mogłaby przerzucić go sobie przez ramię.

Lawler stał samotnie przy maszcie, delektując się ulewą, kiedy podeszła do niego

Pilya Braun, płasająca z błyszczącymi oczami i ustami rozciągniętymi w szerokim, wyraźnie zapraszającym uśmiechu. Jej oliwkowa skóra wspaniale lśniła w strugach deszczu. Lawler tańczył z nią przez chwilę, podziwiając jej silne biodra i wydatne piersi, lecz gdy Pilya swoim zachowaniem zaczęła sugerować odtąnczenie innego tańca w jakimś zacisznym miejscu pod pokładem, Lawler udał, że nie rozumie tego, co ona stara się mu zakomunikować, i po jakimś czasie dziewczyna odeszła.

Gharkid podskakiwał na pomoście obok sterty swoich glonów. Dann Henders i Onyos

Felk chwycili się za ręce i płasali w koło w pobliżu kompasu. Ojciec Quillan, kościsty i blady, bez okrycia, wyglądał, jakby był w transie - z głową zwróconą do nieba, szklistymi oczami, wyciągniętymi rękami i poruszającymi się rytmicznie ramionami. Leo Martello tańczył z Sundirą. Ci dwoje dobrze wyglądali razem, smukli, zwinni, pełni wigoru. Lawler rozejrzał się za Kinversonem i znalazł go na dziobie. Rybak nie tańczył, po prostu stał nagi, praktyczny, pozwalając, by woda spływała po jego mocarnym ciele.

Burza trwała najwyżej piętnaście minut. Lis obliczyła później, że dostarczyła im dodatkowej racji wody na pół dnia.

Lawler wciąż miał co robić: wypadki na pokładzie, poparzenia, zwichnięcia,

przypadki łagodnej dyzenterii, a pewnego dnia złamany obojczyk na okręcie Bambera



Cadrella. Lawler starał się zapewnić opiekę lekarską całej flocie i był znużony. Wiele przypadków leczył przez radio, kuląc się przed skomplikowaną gmatwaniną sprzętu w pomieszczeniu radiowym Daga Tharpa na "Królowej Hydros". Jednak złamanych kości nie można nastawić przez radio. Aby wykonać zadanie, pojechał łazikiem wodnym na "Boginię Sorve" Cadrella.

Podróżowanie łazikiem nie było łatwe. Ten pojazd był lekką amfibią napędzaną siłą człowieka, delikatną jak wielkie, długonogie kraby, które Lawler widywał czasami, jak ostrożnie wybierały drogę przez dno zatoki Sorve: zaledwie muszelka wykonana z wyścielanych pasm najlżejszego drewna wyposażona w pedały, pływaki pontonowe, podwodny wysięgnik zapewniający podnoszenie oraz wysoko wydajną śrubę. Powierzchnię łazika obrastał pólżywy płaszcz mikroorganizmów, które zmniejszały tarcie.

W tej podróży towarzyszył Lawlerowi Dann Henders. Łazik puszczono do wody za pomocą windy, a oni opuścili się po linie, ręka za ręką. Stopy Lawlera spoczęły w odległości nie większej niż kilka centymetrów od powierzchni morza. Niewielki, kruchy wehikuł kołysał się lekko na łagodnych falach. Lekarz miał wrażenie, że tylko cienka warstewka dna zabezpiecza go przed ziejącą pod nim otchłanią. Wyobrażał sobie macki sięgające z głębi, drwiące oczy wielkości spodków patrzące na niego spośród fal, rozdziawione srebrne szczęki. Henders usadowił się za nim.

- Gotów, doktorze? Zaczynamy.

Razem, równomiernie pedałuując, mieli dość siły, żeby zapewnić łazikowi prędkość startową. Najtrudniejsze były pierwsze chwile. Gdy osiągnęli właściwą prędkość, górne stateczniki łazika wynurzyły się nad wodę, redukując opór, a para szybkoobrotowych śrub pod kadłubem zwinnie poniosła ich naprzód.

Jednak osiągnąwszy właściwą prędkość, nie mogli zwolnić. Jak każdy inny szybki

pojazd wodny łazik musiał stale wspinać się na swe własne fale dziobowe: gdyby zwolnili tempo choćby na moment, fala ściągnęłaby ich w dół. Jednak podczas tej krótkiej podróży żadne macki nie wyciągały w ich stronę. Żadne zębate szczęki nie skubały ich stóp. Na "Bogini Sorve" czekały na nich rzucone liny, na których wciągnięto ich na pokład.

Złamany obojczyk należał do Nimbera Tanaminda, skończonego hipochondryka, który chociaż raz miał autentyczny problem ze zdrowiem. Spadający bom strzaskał mu lewy obojczyk i pozostawił całą górną część jego krępego ciała opuchniętą i siną. Ponadto tym razem Nimber wyjątkowo nie uskarżał się; może wskutek szoku, może strachu, a może oszołomienia bólem: siedział cicho oparty o stos sieci i wyglądał na oszołomionego, z rozbieganymi oczami i drżącymi rękami, których palce wykonywały dziwne, drgające ruchy. Obok niego stali Brondo Katzin i jego żona Eliyana, a żona Nimbera, Salai, niespokojnie kręciła się po pokładzie.

- Nimber - powiedział Lawler z troską w głosie. Byli prawie równolatkami. - Ty cholerny idioto, co tym razem zrobiłeś?

Tanamind podniósł nieco głowę do góry. Wyglądał na przerażonego. Nic nie mówił, tylko oblizwał wargi. Pot perlił mu się na czole, chociaż dzień był chłodny.

- Jak dawno temu to się wydarzyło? - Lawler zapytał Bambera Cadrella.

- Jakies pół godziny temu - odpowiedział kapitan.

- Czy był przytomny przez cały czas?

- Tak.

- Daliście mu coś? Jakiś środek uspokajający?

- Tylko trochę brandy - odparł Cadrell.

- W porządku - powiedział Lawler. - Zabierajmy się do roboty. Połóżcie go na plecach

- o tak, rozciągnijcie go. Czy macie poduszkę albo coś innego, co można by podłożyć pod

niego? O tak, tutaj, dokładnie między łopatkami. - Ze swojej torby lekarskiej wyjął środek przeciw- bólowy. - Dajcie mi trochę wody, żeby to rozpuścić. Potrzebuję też kilka kompresów, Eliyana? O takiej długości, podgrzej je w ciepłej wodzie...

Nimber jęknął tylko raz, gdy Lawler rozpląsał mu ramiona tak, aby obojczyk wygiął się i kość nasza z powrotem na miejsce. Potem zamknął oczy i wydawał się medytować, podczas gdy Lawler robił, co mógł, aby zmniejszyć opuchlinę i unieruchomić mu ramię, zabezpieczając je przed ponownym otwarciem.

- Dajcie mu jeszcze trochę brandy - powiedział Lawler, gdy skończył. Zwrócił się do żony Nimbera. - Salai, teraz ty musisz być lekarzem. Jeśli dostanie gorączki, podawaj mu porcję tego lekarstwa rano i wieczorem. Jeżeli spuchnie mu bok twarzy, daj mi znać. Gdyby skarżył się na drętwienie palców, także daj mi znać. Cokolwiek innego będzie mu dolegało, prawdopodobnie nie będzie miało żadnego znaczenia. - Lawler spojrzał w stronę Cadrella. - Bamber, ja też chciałbym trochę tej brandy.

- Czy wszystko u was w porządku? - zapytał Cadrell.

- Poza utratą Gospo, tak. A tutaj?

- Świetnie.

- Dobrze słyszeć.

To nie była długa rozmowa. Lecz całe to spotkanie od chwili wejścia na pokład sprawiało dziwne wrażenie. Jak się masz, doktorze, miło cię widzieć, witaj na naszym okręcie, tak, ale żadnego prawdziwego kontaktu, żadnej wymiany uczuć, niczego nie żądano ani nie oferowano. Nawet Nicko Thalheirn, który trochę za późno wyszedł na pokład uśmiechał się tylko i potakiwał. Lawler czuł się jak wśród obcych. Ci ludzie w ciągu kilku tygodni stali mu się obcy. Zrozumiał, że całkowicie pochłonęło go wyspiarskie życie, na okręcie flagowym. A ich mikrokosmos to "Bogini Sorve". Zastanawiał się, jaka będzie społeczność

wyspy, gdy ostatecznie osiądą w swojej nowej ojczyźnie.

Powrót na okręt flagowy przebiegł spokojnie. Lawler poszedł prosto do swojej kabiny.

Siedem kropel nalewki z uśmierzychy. Nie, niech będzie dziesięć.

Myśli o utraconej Ziemi często nawiedzały Lawlera, kiedy stał nocą przy nadburciu słuchając głuchych, tajemniczych odgłosów morza i patrząc w pustą, nieprzeniknioną ciemność, która zamykała się wokół nich. Obsesja utraconego ojczystego świata wydawała się pogłębiać, w miarę jak okręty posuwały się po rozległej powierzchni wodnej planety.

Milion razy próbował wyobrazić sobie, jak było, gdy tamten świat jeszcze istniał. Wielkie wyspy nazywane krajami, rządzone przez niewyobrażalnie bogatych i potężnych królów oraz królowe. Zaciekle wojny. Potężna broń, zdolna niszczyć światy. A potem ta wielka emigracja w kosmos, w który wysłali miriady statków kosmicznych, a w nich przodków wszystkich istot ludzkich żyjących obecnie w całej galaktyce. Wszystkich. One wszystkie wywodzą się z jednego źródła, z jednego małego > świata, który zginął.

Podeszła do niego Sundira, spacerująca nocą po pokładzie.

- Znowu myślisz o sprawach kosmosu, doktorze?

- Jak zwykle. Tak.

- Jaki dzisiaj temat?

-, Przewrotność losu. Przez wszystkie te lata Ziemianie usiłowali wyniszczyć się nawzajem, prowadząc zaciekle, okropne wojenki. I nigdy im się to nie udało. A potem ich własne słońce zrobiło to za nich w ciągu jednego po południa.

- Dzięki Bogu byliśmy wtedy już tutaj, osiedliwszy się wśród gwiazd.

- Tak - powiedział Lawler, rzucając chłodne spojrzenie na mroczne, rojące się od potworów, morze. - Rzeczywiście mieliśmy szczęście.

Jeszcze później tej samej nocy wróciła. Nie ruszył się ze swego miejsca przy burcie.

- Wciąż jesteś tutaj, Valben?

- Tak, to wciąż ja.

Jeszcze nigdy nie zwróciła się do niego po imieniu. Wydawało mu się dziwne, że zrobiła to teraz; nawet niestosowne. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś mówił do niego w ten sposób.

- Czy zniesiesz jeszcze raz moje towarzystwo?

- Z pewnością - powiedział. - Nie możesz zasnąć?

- Nie próbowałam - powiedziała. - Na dole odprawiają modły, wiedziałeś o tym?

- A kim są ci święci, którzy biorą w tym udział?

- Ojciec, oczywiście. Lis. Neyana. Dann. I Gharkid.

- Gharkid? Wreszcie wyszedł ze skorupy?.

- Prawdę mówiąc, on tylko tam siedzi. Ojciec Quillan odwala całą robotę. Opowiada im, jak ulotny jest Bóg, jak trudno nam jest wytrwać w wierze w Nadistotę, która nigdy do nas nie przemawia, nigdy nie daje żadnego dowodu swojego istnienia. Jak trudno jest wierzyć, i że to nie jest dobre, że nie powinno być to takim wysiłkiem, że powinniśmy po prostu skoczyć z zawiązanymi oczyma i zaakceptować Boga, tylko że dla większości z nas jest to za trudne, i tak dalej, i tak dalej. A pozostali chłoną te słowa. Gharkid słucha i od czasu do czasu potakuje. On jest dziwny. Chcesz zejść na dół i posłuchać, co mówi ojciec?

- Nie - powiedział Lawler. - Już miałem zaszczyt wysłuchać, jak rozprawiał na ten temat. Dziękuję.

Przez chwilę stali razem w milczeniu.

Potem Sundira powiedziała, pozornie bez związku:

- Valben. Co to za imię Valben?

- Ziemskie imię.

- Nie, to nie jest ziemskie imię. John, Richard, Eliza-beth to ziemskie imiona. Leo, on ma ziemskie imię. Nigdy nie słyszałam o imieniu Valben.

- Czy to oznacza, że to nie jest ziemskie imię?

- Wiem tylko, że znam ziemskie imiona i nigdy nie słyszałam o Valbenie.

- No dobrze, może w takim razie to nie jest ziemskie imię. Mój ojciec mówił, że jest. Mógł się mylić.

- Valben - powiedziała, bawiąc się brzmieniem tego słowa. - Może nazwisko rodowe, specjalne imię. Brzmi obco. Czy wolałbyś, żebym cię nazywała Valben?

- Wolałbym? Nie. Nazywaj mnie Valben, jeśli chcesz. Ale nikt tak do mnie nie mówi.

- A więc jak cię nazywają? Czy podoba ci się, kiedy mówią doktorze?

Wzruszył ramionami.

- Doktor jest w porządku. Inni nazywają mnie Lawler. Kilku mówi mi Val. Bardzo niewielu.

- Val. Moim zdaniem brzmi lepiej niż doktorze. Czy będzie w porządku, jeśli będę ci mówiła Val?

Tak zwracali się do niego tylko najstarsi przyjaciele, ludzie tacy, jak Nicko Thalheim, Nimber Tanamind, Nestor Yanez. W jej ustach nie brzmiało dobrze. A dlaczego miałyby to mieć jakieś znaczenie? Mógł się do tego przyzwyczaić. "Val" brzmiało lepiej niż "Valben".

- Jak sobie życzysz - powiedział.

Kolejna fala przyływu pojawiła się trzy dni później, tym razem nadeszła wprost z zachodu. Była silniejsza niż pierwsza, lecz magnetrony poradziły sobie z nią bez trudu. W górę i nad falą, w dół po jej grzbiecie, niewielkie uderzenie przy lądowaniu i to wszystko. Nadal było chłodno i sucho. Podróżnicy płynęli dalej.

W mrokach nocy rozległo się głośne, stłumione uderzenie o kadłub, jakby okręt

zderzył się z rafą. Lawler usiadł na koi, ziewnął, przetarł kciukami oczy, zastanawiając się, czy mu się to nie przyśniło. Przez chwilę było cicho. Potem przyszło kolejne uderzenie, mocniejsze. A więc nie sen. Wciąż był na pół uspiiony, ale też na pół obudzony. Odliczył minutę, półtorej minuty. Kolejne uderzenie. Słyszał, jak wręgi kadłuba skrzypią pod naporem. Owinął się czymś w pasie, wyszedł i ruszył w stronę włazu, już zupełnie obudzony.

Światła paliły się; ludzie opuszczali kabinę rufową z zaspanymi twarzami, niektórzy jeszcze nadzy, bez wątpienia tak jak spali. Lawler wyszedł na pokład. Nocna zmiana - Henders, Golghoz, Delagard, Niklaus, Thane - biegała w kółko z jednej strony okrętu na drugą, jakby śledząc ruchy jakiegoś wroga, który go atakował.

- Znowu nadchodzą! - krzyknął ktoś.

Łup. Tu na górze siła uderzenia była większa - okręt zdawał się trząść i przechylać na jedną stronę - a odgłos uderzenia o kadłub był głośniejszy, wyraźny, denerwujący.

Przy burcie Lawler znalazł Daga Tharpa.

- Co się dzieje?

- Wyjrzyj tam, to zobaczysz.

Morze było spokojne. W górze świeciły dwa księżyce, na przeciwnych krańcach nieba, a Krzyż rozpoczął już swój nocny ślizg do zorzy, zwisając ekscentrycznie, trochę na wschód. Flotylla sześciu okrętów porzuciła swój zwykły, trzyrzędowy szyk i ustawiła się w szeroki, nieregularny krąg. W środku grupy, na otwartym morzu, widniało może tuzin długich smug jaskrawego, niebieskiego, fosforyzującego światła, które jak długie strzały przecinały ocean tuż pod powierzchnią. Podczas gdy Lawler patrzył ze zdumieniem, jedna z fosforyzujących smug rozciągnęła się z zadziwiającą prędkością i wystrzeliła zwinnie prostą linią w kierunku okrętu płynącego po lewej stronie. Sunęła kursem na zderzenie, jaskrawa igła w ciemności. Wysoki, świszczący dźwięk nadbiegł skądś i narastał w miarę zbliżania się

smugi światła do okrętu.

Nastąpiło zderzenie. Lawler słyszał trzask uderzenia i widział przechył tamtego okrętu z niewielkiej odległości. Nad wodą unosiło się słabe echo krzyków.

Fosforyzująca smuga wycofała się i uciekła z powrotem na otwartą przestrzeń.

- Taranorożce - powiedział Tharp. - Próbują nas zatopić.

Lawler uchwycił się nadburcia i spojrział w dół. Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Wyraźnie widział napastników w świetle ich własnej fosforescencji.

Wyglądały jak żywe pociski, wąskie ciała, długie na dziesięć do piętnastu metrów, napędzane przez silne, dwupłatowe ogony. Z płaskiego czoła sterczał pojedynczy, gruby, żółty róg, długości może pięciu metrów i twardy jak pień wodorostów, zakończony tępym, lecz groźnie wyglądającym ostrzem. Płynęły z ogromną prędkością przez otwartą strefę między okrętami, rozpędzając się wściekłymi, gwałtownymi uderzeniami ogonów, i bodły rogami kadłuby okrętów z oczywistym zamiarem przebicia ich. Potem, z jakimś nienormalnym uporem zawracały, odpływały kawałek i ponawiały atak jeszcze gwałtowniej. Im szybciej płynęły, tym intensywniejsza była luminescencja ich boków i tym głośniejszy świszczący, ostry dźwięk, jaki wydawały.

Pojawił się Kinverson, dźwigając coś, co wyglądało jak ciężki, żelazny czajnik owiązany glonowym włóknem.

- Proszę mi pomóc, doktorze.

- Dokąd to niesiesz?

- Na mostek. To mina akustyczna.

Kociołek, lub cokolwiek to było, był zbyt ciężki dla Kinversona. Lawler chwycił za sznur, który zwisał po jego stronie. Razem z Kinversonem mogli z trudem donieść minę w stronę mostka. Delagard przyłączył się do nich i w trójkę zaholowali ją wyżej.



- Pieprzone taranorożce - mamrotał Kinverson. - Wiedziałem, że prędzej czy później muszą się pojawić.

W dole rozległ się odgłos kolejnego uderzenia. Lawler zobaczył smugę oślepiającego, błękitnego światła odbitą od okrętu i pierzchającą w przeciwnym kierunku.

Ze wszystkich dziwnych stworzeń, które dotąd morze wysłało przeciw nim w czasie tej podróży, te, które waliły w nich na oślep, wydały się Lawlerowi najbardziej przerażające.

Można było rozgnieść jedne, ominąć drugie, uważać na dziwnie wyglądające sieci. A jak poradzić sobie z tymi dzidami atakującymi człowieka z dołu i w nocy, z tymi ogromnymi stworami, usiłującymi cię zatopić i zdolnymi to zrobić?

- Czy są na tyle silne, żeby przebić kadłub? - zapytał Delagarda.

- Słyszano o takich przypadkach. Jezu. Jezu! Gigantyczna postać Kinversona obrysowana światłem

księżycy wznosiła się nad wielkim kotłem, który zainstalował już na przednim krańcu mostka. Wziął długi, laminowany pręt, który był przywiązany do boku kotła, po czym ujął go oburącz i opuścił na podobną do bębna pokrywę kotła. Donośny, huczący dźwięk rozszedł się po wodzie.

Uderzył znowu, znowu i znowu.

- Co on robi? - zapytał Lawler.

- Wysyła przeciwsygnal dźwiękowy. Taranorożce nie mają oczu. Kierują się dźwiękiem odbitym od celu. Gabe stara się zakłócić ich poczucie kierunku.

Kinverson z niezwykłą energią i gorliwością walił w bęben. Powietrze zgęstniało od łoskotu, który wytwarzał. Czy ten dźwięk mógł przeniknąć wodę? Najwidoczniej tak. W dole taranorożce jeszcze zwinniej niż przedtem kręciły się tam i z powrotem w przestrzeni między okrętami, tak że oślepiające smugi błękitnego światła, znaczące ich ślad, były coraz bardziej

poplątane. Z każdym uderzeniem bębna Khwersona ruchy taranorożców stawały się coraz bardziej chaotyczne. Poruszały się gwałtownymi skokami, od czasu do czasu przecinając powierzchnię, wyskakując w górę na chwilę lub dwie i lądując w wodzie z potężnym, przeciągłym pluskiem. Jeden z nich zderzył się z okrętem, lecz było to jedynie słabe, boczne uderzenie.

Wydawane przez nie świsty były nierytmiczne i nierówne. Kihverson przerwał na chwilę jakby ze zmęczenia i wydawało się, że taranorożce zdołają się jeszcze przegrupować. Jednak zaraz z jeszcze większym ferworem na nowo podjął bębnienie, raz po raz uderzając prętem. Nagle na dole zrobiło się wielkie poruszenie i dwa ogromne kształty wyskoczyły z wody jednocześnie. Przy świetle pozostałych, pływających wokół nich w poszarpanych kręgach, Lawler zobaczył, że róg jednego z nich wszedł w otwór skrzelowy drugiego, a w rzeczywistości wbił się głęboko w jego czaszkę; połączone w ten straszny sposób oba stworzenia spadły z powrotem do wody i zaczęły tonąć. Przez chwilę widać je było oświetlone ich własnym blaskiem. Potem zniknęły z pola widzenia. Kinverson wykonał jeszcze kilka ostatnich, powolnych uderzeń w bęben, rozdzielonych długimi przerwami - bum - bum - bum - i opuścił ramiona.

- Dag? Dag? Gdzie jesteś, do cholery. - To głos Delagarda nadszedł z ciemności. -

Zacznij wzywać tamte okręty. Upewnij się, że żaden nie ma przecieku.

Wody były ciche i ciemne. Jednak zamknąwszy oczy, Lawler miał wrażenie, że ostre smugi niebieskiego światła uderzają raz po raz o jego powieki.

Następna fala była najsilniejsza. Spadła na nich dwa dni wcześniej, niż oczekiwali, pewnie dlatego, że Onyos Felk pomylił się w obliczeniach; uderzyła z wielkim entuzjazmem i triumfalną złośliwością, waląc w okręty kołyszące się spokojnie na sennym morzu, gdzie dryfujące, szare wodorosty buchały dziwną, zniewalającą wonią. Lawler pracował pod

pokładem, porządkując swoje zapasy leków. Uderzenia były tak potężne, że z początku sądził, iż wróciły taranorożce. Jednak nie, to wcale nie przypominało pojedynczego, kierowanego uderzenia taranorożców; raczej jakby gigantyczna dłoń uderzała płasko w kadłub i popychała okręt do tyłu, spychając z kursu. Usłyszał, jak włączył się magnetron, i czekał na wrażenie podnoszenia, tę nagłą ciszę oznaczającą, że znajdowali się w polu przemieszczenia nad rozgniewaną wodą. Jednak ta cisza nie nadchodziła i Lawler musiał rozpaczliwie chwycić się koi, kiedy okręt pochylił się pod zdumiewającym kątem, ciskając nim w stronę dziobu. Przedmioty pospadały z półek i jednym, szybkim ruchem przesunęły się po podłodze, tworząc bezładną stertę w najodleglejszej części kabiny.

Co to było? Czyżby w końcu Fala? I czy będą w stanie ją wytrzymać?

Trzymał się mocno i czekał. Okręt odchylił się do tyłu i z potwornym trzaskiem spadł w wyrwę pozostawioną przez fale, znowu wspiął się w górę, posyłając wszystko, co spadło z półek, w przeciwny kąt kabiny. Potem wyprostował się. I znieruchomiał. Lawler podniósł egipskiego bożka oraz grecką skorupę i odłożył je na miejsce.

Jeszcze? Kolejny cios?

Nie. Cicho i spokojnie.

Czy toniemy?

Najwidoczniej nie. Lawler ostrożnie wyszedł z kabiny i nadstawił uszu. Delagard wrzeszczał. Nic im się nie stało, mówił. To był porządny, mocny klaps, ale już po wszystkim. Wielka fala uniosła ich ze sobą i zepchnęła z kursu o pół dnia na wschód. Jednak wszystkie okręty w cudowny sposób pozostały razem, jako jedna całość. Płynęły w luźnym szyku, lecz nadal znajdowały się w polu widzenia, dryfując po spokojnym już morzu.

Godzinę trwało odbudowanie formacji, kolejne sześć godzin powrót na pozycję zajmowaną przed uderzeniem fali. Całkiem nieźle, naprawdę. Popłynęli dalej.

Obojczyk Nimbera Tanaminda wydawał się goić prawidłowo. Lawler nie popłynął na “Boginię Sorve”, aby to sprawdzić, ponieważ nic, co Salai, żona Nimbera, opowiedziała mu o jego stanie, nie wskazywało na jakiegokolwiek komplikacje. Lawler powiedział jej, jak powinna zmieniać bandażę i czego szukać w pobliżu złamania. Martin Yanez z “Trzech Księżyców” zgłosił, że stary Sweyner, ten, który zajmował się dmuchaniem szkła, został uderzony w twarz przez lecącą z dużą prędkością służycę i teraz go boli tak bardzo, że nie może utrzymać głowy prosto. Lawler powiedział Yanezowi, co z tym zrobić. Z okrętu Zakonu, “Krzyż Hydros”, nadeszło dziwne pytanie: siostra Bodą cierpi na kłujący ból w lewej piersi. Nie było sensu tam płynąć. Zaordynował środki przeciwbólowe i poprosił o kontakt po następnej menstruacji siostry Body. Wtedy ostatni raz słyszał o bolącej piersi siostry Body.

Ktoś na “Gwieździe Czarnego Morza” spadł z olinowania i zwichnął rękę. Lawler krok po kroku pokierował Poilin Stayvolą, która nastawiła ramię. Ktoś na “Złotym Słońcu” wymiotował na czarno. Okazało się, że próbował jeść kawior arrowfish. Lawler doradził ostrożność w doborze diety. Na “Bogini Sorve” ktoś skarżył się na uporczywe koszmary nocne. Lawler zaproponował łyk brandy przed snem. Normalna praca lekarza.

Ojciec Quillan, być może z zazdrością, zauważył, że to musi być cudowne, takie poczucie tego, że jest się niezbędnym w życiu całej społeczności, możliwość wyleczenia większości przypadków u ludzi, którzy zwracali się do niego w potrzebie.

- Cudowne? Chyba tak. Nigdy dotychczas tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym. To po prostu moja praca.

I tak było. Jednak Lawler zdał sobie sprawę, że słowa duchownego miały jakiś sens.

Jego władza nad wyspą Sorve przypominała władzę boga, a przynajmniej duchownego. Jakie w końcu znaczenie miało to, że jest się lekarzem przez dwadzieścia pięć lat? No cóż, takie, że

przy tej lub innej okazji macał jądra każdego mężczyzny, wkładał rękę do pochwy każdej kobiety, że prawie każdy mieszkaniec Sorve, który nie ukończył dwudziestego pierwszego roku życia, był przez niego wyciągany na świat, okrwawiony i wierzgający, i od niego dostawał pierwszego klapsa w tyłek. Wszystko to stwarzało pewien, rodzaj więzi. Dawało lekarzowi pewne prawa do nich, a im do niego. Nic dziwnego, że ludzie wszędzie adorują swojego lekarza, pomyślał Lawler. Dla nich jest Uzdrowicielem. Lekarzem. Czarownikiem. Tym, który chroni, przynosi ulgę, koi ból. Daleko odeszliśmy od czasów jaskiniowców jeszcze na biednej, przeklętej, skazanej na śmierć, utraconej Ziemi. On był ostatnim z długiej linii. I w przeciwieństwie do nieszczęsnego ojca Quillana i innych przedstawicieli jego profesji, których niewdzięcznym zadaniem było oferowanie błogosławieństwa niewidzialnego Boga, on naprawdę mógł czasami pobłogosławić ich swoimi umiejętnościami. A więc tak, był potężną postacią w społeczności na mocy swojego powołania, człowiekiem rządzącym życiem i śmiercią, szanowanym, potrzebnym i prawdopodobnie budzącym obawę, co - jak sądził - sprawiało mu radość. Doskonale. Praca dawała mu satysfakcję. Nie rozumiał, jaką to mogło robić różnicę.

Znawali się teraz na morzu zielonym, gdzie gęste kolonie przepięknych roślin wodnych prawie uniemożliwiały okrętom posuwanie się naprzód. Mięśnista roślina o grubych, lśniących liściach w kształcie łyżki, rosnących na brązowej łodydze, miała szypułki zakończone olśniewającymi, żółto-fioletowymi zarodnikami, a napętnione powietrzem pęcherze utrzymywały ją na wodzie. Szare, omszałe korzenie, zwinięte jak macki pod powierzchnią, splatały się w ciemną matę. Poniżej linii wodnej gęstwina roślin była tak wielka, że tworzyła coś, co w rzeczywistości stanowiło lity dywan wyściełający morze. Okręty wbiły się weń dziobami i stanęły.

Kinverson i Neyana Golghoz wypłynęli łazikiem, aby poprzecinać je maczetami.

- Bez sensu - powiedział Gharkid, nie zwracając się do nikogo w szczególności. -

Znam je. Przecinasz je, a z każdej części odrasta pięć nowych.

Miał rację. Kinerson siekał ładne rośliny z całej siły, podczas gdy Neyana pedałowała, brutalnie pracując do przodu; jednak nie zdołali utorować przejścia. Jeden człowiek, obojętnie jak silny, nie był w stanie wyciąć w masie roślin otworu na tyle dużego, by stanowił prawdziwy kanał. Odcięte kawałki każdej rośliny natychmiast podejmowały niezależne życie: można było prawie dostrzec, jak odrastały, zasklepiały oczyszczone miejsca, wypuszczały nowe korzenie w dół, a w górę lśniące, nowe łyżeczki i efektowne szypułki zarodnikowe.

- Sprawdź zapasy leków - powiedział Lawler. - Może znajdę coś do posypania, co się im nie spodoba.

Zszedł na dół do ładowni, myśląc o wysokiej butelce czarnego, lepkiego oleju, przysłanej mu dawno temu przez kolegę - doktora Nikitina z wyspy Salimil - w zamian za przysługę. Zdaniem doktora Nikitina ten olej nadawał się do niszczenia ognistego kwiatu, nieprzyjemnej, piekącej rośliny, która czasami sprawiała kłopoty pływającym w morzu ludziom, bowiem Skrzelowcom ich obecność wydawała się w ogóle nie przeszkadzać.

Dotychczas Lawler nie musiał korzystać z oleju: ostania plaga ognistego kwiatu w zatoce Sorve miała miejsce, kiedy był jeszcze młodym człowiekiem. Jednak była to jedyna rzecz w jego kolekcji leków, medykamentów, maści i nalewek, która mogła wyrządzić krzywdę jakiejś formie życia roślinnego. Warto spróbować.

Instrukcja na nalepce, napisana skrupulatnie ręką doktora Nikitina, głosiła, że stężenie jednej części leku na tysiąc części wody wystarcza do oczyszczenia hektara zatoki. Lawler wymieszał jedną część z wodą i kazał zawiesić się nad powierzchnią, żeby posypać wodorosty wokół dzioba "Królowej Hydros".

Wydawało się, że rośliny pozostały nietknięte. Lecz kiedy rozcieńczony olej

przeniknął w dół przez zbity gąszcz i rozszedł się w wodzie, w głębinach rozpoczęło się podwodne zamieszanie, które szybko przerodziło się w awanturę. Z głębi wypłynęły ryby, tysiące, miliony małych, koszmarnych stworzonek o wielkich, rozwartych szczękach, smukłych, węzowatych ciałach i szeroko rozpostartych ogonach. W ogromnych ilościach musiały gnieździć się pod roślinami i teraz cała ich kolonia wypływała jak na jeden sygnał. Przebijały się w górę poprzez zbite kępy korzeni i na powierzchni rozpoczynały swój wściekły godowy taniec. Olej doktora Nikitina, choć nieszkodliwy dla roślin, widocznie niezwykle silnie wpływał na zwiększenie popędu płciowego stworzeń, które żyły w wodzie. Dzięki wirowanie ogromnej liczby węzowatych, małych stworzonek wytworzyło tak silny wir, że ciasno splecione, zbite wodorosty zostały rozszarpane i okręty mogły przebić się przez otwarte w ten sposób kanały. W zwartym szyku okręty minęły przeszkodę i weszły na otwarte wody.

- Ależ z ciebie sprytny facet, doktorze - powiedział Delagard.

- Tak. Szkoda, że nie wiedziałem, co robię.

- Nie wiedziałeś?

- Ani przez chwilę. Próbowałem tylko wytruć te rośliny. Nie miałem pojęcia o rybach pod nimi. Teraz widzisz, w jaki sposób dokonuje się większości wielkich odkryć naukowych.

Delagard zmarszczył brwi.

- To znaczy jak?

- Przez czysty przypadek.

- Och, tak - powiedział ojciec Quillan. Lawler zobaczył, że duchowny był w swoim cynicznym nie dowierzającym nastroju. Z kpiąco-poważną intonacją Quillan wykrzyknął: -

Niezbadane są drogi Boga, którymi wiedzie nas do swych cudów.

- Rzeczywiście - powiedział Lawler. - To prawda.

Kilka dni po opuszczeniu strefy roślin wodnych morze stało się płytkie, niewiele większe niż zatoka Sorve, a woda niezwykle przezroczysta. Na tle dna morskiego, pokrytego wspaniałym, białym piaskiem, który wydawał się leżeć w zasięgu wyciągniętej ręki, wyrastały powykrzywiane głowy koralowca, niektóre zielone, inne barwy ochry, a wiele z nich w głębokim odcieniu błękitu, który przechodził w czerń. Zielony koralowiec z fantastycznymi, barokowymi wieżami; błękitno-czarny miał kształt parasolek na długich, grubych ramionach; a ten w odcieniu ochry przybierał kształty wielkich spłaszczonych rogów, rozgałęziających się coraz bardziej i bardziej. Znajdował się tu również ogromny, szkarłatny koralowiec, tworzący pojedyncze, oddzielne, kuliste kształty, ostro zarysowane na tle białego piasku, które miały pomarszczony, spiralny kształt ludzkiego mózgu.

Miejscami koralowiec rozrastał się tak bujnie, że przecinał powierzchnię. Na linii wody widać było niewielkie, białe wierzchołki, sterczące jak języki. Kępki, które były najdłużej wystawione na działanie powietrza, obumierały, wybielane przez ostre słońce, a poniżej ginęły następne warstwy, przybierając matowy, brązowy kolor.

- Początek lądu na Hydros - zauważył ojciec Quillan. - Niech poziom morza zmieni się odrobinę, a wszystkie te koralowce znajdą się na powierzchni. Wtedy rozłożą się i zamienią w glebę. Rośliny nasienne, żyjące w powietrzu, wykształcą się i zaczną kiełkować, i tak wszystko się zacznie. Najpierw naturalne wyspy, potem dno morza podniesie się nieco i otrzymamy kontynenty.

- A jak długo, twoim zdaniem, będziemy na to czekać? - zapytał Delagard.

Quillan wzruszył ramionami.

- Trzydzieści milionów lat? Może czterdzieści. Albo znacznie dłużej.

- Dzięki Bogu! - wrzasnął Delagard. - A tymczasem nie musimy się tym przejmować!

Musieli jednak martwić się morzem koralowym. Brunatno-żółte głowy, rafy w



kształcie rogów wyglądały jak brzytwy, a miejscami ich górne krawędzie leżały tylko kilka metrów pod kilem. W innych miejscach prześwit mógł być jeszcze mniejszy. Okręt przepływający nad jednym z takich miejsc mógł zostać rozcięty od dziobu do rufy. Musieli więc posuwać się bardzo ostrożnie, wyszukiwać bezpieczne kanały pośród raf. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Sorve nie mogli żeglować nocą. Za dnia, gdy słońce stawało się latarnią zapalającą wzory migoczących linii na lśniącej bieli morskiego dna, podróżnicy ostrożnie podążali ścieżką pomiędzy wystającymi koralowcami, z zachwytem patrząc w dół, na niewyobrażalną obfitość połączanej ryby, która gnieździła się wokół koralowca, cicho i zwinnie kręcąc się wokół swoich spraw, wielkie ich stada oplatały każde przejście, żywiąc się bogatą populacją mikroorganizmów rafy. Nocami okręty kotwiczyły blisko siebie w jakimś bezpiecznym, otwartym sektorze, czekając na brzask. Wszyscy wychodzili na pokład i wychylali się, nawołując przyjaciół z innych okrętów, a nawet prowadząc krótkie rozmowy. Był to pierwszy, prawdziwy kontakt, jaki mieli ze sobą od wyjścia w morze.

Nocny spektakl był jeszcze wspanialszy od dziennego; pod chłodnym światłem Krzyża i trzech księżyców, przy Sunrise dodającej swój własny blask, koralowce budziły się do życia, wychodząc z bilionów bilionów maleńkich jaskiń w koralu: długie witki, szkarłatne, delikatnie różowe, na jednej odmianie koralu siarkowożółtej, na innym koloru modrej, jaskrawej akwamaryny, a całość rozwijała się i sięgała na zewnątrz, gwałtownie bicząc wodę, aby zebrać nawet najmniejsze z zawieszonych w niej istot. W przejściach między rafami pojawiały się oszłamiające, węzowate stworzenia, składające się wyłącznie z oczu, zębów i lśniących łusek, pracowicie ślizgające się po dnie i pozostawiające na piasku eleganckie ślady brzuchów. Emanowały zieloną, pulsującą luminescencją. A z miriadów ciemnych kryjówek wychodzili przypuszczalni władcy rafy: nabrzmiąte czerwone ośmiornice

o tłustych, torbiastych, okazałych ciałach chronionych długimi, wijącymi się i kręcącymi mackami, z których sączyło się pulsujące, przerażające, niebieskawo-białe światło. Nocą każda głowa koralowca stawała się tronem dla jednej z tych ośmiornic: oto jest, otoczona drobnomieszczańskim splendorem, cicho przeglądając swoje królestwo roziskrzonymi, żółtozielonymi oczami, ślepiami o średnicy większej niż rozprostowana dłoń człowieka. Nie było ucieczki przed spojrzeniem tych oczu, jeśli wychyliłeś się przez nadburcie, aby spojrzeć na pełen cudów świat w dole. Patrzyły na ciebie pewnie, spokojnie, nie okazując ciekawości ani strachu. Oczy te wydawały się mówić: Jesteśmy tutaj panami, a ty nie jesteś wcale ważny. Chodź, przyłyń tu do nas i pozwól, abyśmy zrobili z ciebie dobry użytek. A żółte, ostre dzioby otwierały się sugestywnie. Zejdź tu do nas. Zejdź do nas. Kusily.

Koralowe zarośla zaczęły rzednąć, stawały się coraz bardziej wątlejsze, aż wreszcie całkiem zniknęły. Jeszcze przez jakiś czas morskie dno pozostało płytkie i piaszczyste; potem, niespodziewanie, wspaniały biały piasek zniknął z pola widzenia, a turkusowa woda, tak jasna i pogodna, zmieniła się raz jeszcze w matowy, ciemny błękit głębin, nakrytej wzburzoną pokrywą lekko marszczących się fal.

Lawler miał wrażenie, że ta podróż nigdy się nie skończy. Okręt stał się nie tylko jego wyspą, ale całym światem. Mógłby krążyć po nim i bez końca. Pozostałe okręty podróżowały przy nim jak sąsiadujące planety w otchłani.

To dziwne, że nie widział w tym nic złego. Rytm podróży pochłonał go już całkowicie. Nauczył się cieszyć stałym, nieprzerwanym kołysaniem okrętu, akceptował drobne niedogodności, a nawet sporadyczne spotkania z potworami. Znalazł swoje miejsce. Zaadaptował się. Czy dojrzewał? Czy też, być może, przeobraził się w ascetę, tak naprawdę nie potrzebującym niczego, nie dbającym wcale o tymczasowe wygody? Możliwe. Zanotował w pamięci, żeby przy okazji zapytać o to ojca Quillana.

Dann Henders rozciął sobie przedramię oszczepem, pomagając Kinversonowi wciągnąć na pokład jakąś ogromną, trzepoczącą rybę wielkości człowieka, i Lawler stwierdziwszy, że zapas bandaży jest mocno uszczuplony, zszedł na dół do ładowni, aby go uzupełnić. Zawsze czuł niepokój, schodząc pod pokład, zawsze od czasu spotkania z Kinversonem i Sundirą; przypuszczał, że nadal wymykali się tam razem, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to natknąć się na nich jeszcze raz.

Kinverson był jednak teraz na pokładzie, zajęty patroszeniem ryby. Lawler przez jakiś czas przetrząsał śródokręcie, poruszając się po ciemnych, zatęchłych zakamarkach ładowni. Następnie odwrócił się, zamierzając ruszyć w powrotną drogę, i prawie zderzył się z Sundirą Thane, która nadchodziła tym samym, wąskim, kiepsko oświetlonym przejściem. Wydawała się równie zdziwiona spotkaniem jak on i jej zdziwienie wyglądało na autentyczne.

- Val? - powiedziała. Jej oczy rozszerzyły się i zrobiła pospieszny, niezdarny krok w tył, unikając zderzenia.

Nagle okręt przechylił się i pchnął ją znowu do przodu, prosto w ramiona Lawlera. To musiał być przypadek; nigdy nie zrobiłaby czegoś tak wyzywającego. Opierając się o stos skrzyń za plecami, Lawler wypuścił z rąk stertę złożonych bandaży i chwycił dziewczynę, gdy nadbiegła ku niemu jak lalka rzucona przez rozdrażnione dziecko.

Przytrzymał ją, pomagając odzyskać równowagę. Okręt zaczął przechylać się w drugą stronę, więc chwycił ją mocniej, chroniąc przed ciśnięciem o przeciwległą ścianę. Stali nos w nos, oko w oko, śmiejąc się.

Okręt znów się wyprostował, a Lawler uświadomił sobie, że nadal trzyma ją w objęciach.

A więc taka ma być ta jego deklarowana asceza. Do diabła. Do diabła, co tam. Ustami

odnalazł jej usta, a może to jej wargi odnalazły jego; potem nigdy nie był pewien, jak to się odbyło. Jednak pocałunek był długi, namiętny i gorący. Potem, mimo iż kołysanie statku stało się dużo mniej gwałtowne, naprawdę nie było sensu pozwolić jej odejść. Jego ręce poruszały się: jedna wędrowała po jej plecach w okolicach pasa, a druga ześlizgnęła się w dół ku naprężonym, jędrnym pośladkom. Przyciągnął ją do siebie, a może ona przesunęła się bliżej; tego również nie wiedział.

Lawler miał na sobie tylko żółtą przepaskę biodrową, a Sundira lekką tunikę z szarego materiału. Łatwo było uwolnić ją od niej. Wszystko działo się w prosty, uporządkowany, łatwy do przewidzenia sposób, który wcale nie stawał się nudny przez to, że był tak przewidywalny: miał wyraźną, świeżą, czystą nieuchronność snu i jego nieskończenie obiecującą tajemniczość. Jak we śnie poznawał jej skórę. Była gładka i ciepła. Sundira sennie przesunęła palcami po jego karku. Jak we śnie przeniósł prawą rękę z jej pleców na przód, w dół, między ich ściśnięte ciała, wzdłuż doliny między jej małymi, twardymi piersiami, tam gdzie przykładał stetoskop, co wydawało się, jakby było przed kilkuset laty, i niżej, po płaskim brzuchu do połączenia ud. Dotknął jej. Była wilgotna. Teraz ona przejęła inicjatywę, popychając go do tyłu, nie nieprzyjaźnie, ale najwidoczniej kierując do miejsca między skrzyniami, gdzie mogliby położyć się, a przynajmniej oprzeć. Po chwili zrozumiał jej zamiary.

Było ciasno i duszno. Oboje byli długonodzy, ale jakoś wszystko się im udawało, nawet bez prób. Żadne nie odezwało się słowem. Sundira była zwinna, energiczna i szybka. Lawler był ochoczy i pełen wigoru. Zsynchronizowanie rytmów zabrało im zaledwie chwilę, a potem płynnie poześlowali aż do końca. Gdzieś w trakcie Lawler stwierdził, że oblicza, jak dawno robił to ostatni raz, i zaraz udzielił sobie reprimendy, nakazując skierować uwagę we właściwym kierunku.

Później leżeli, śmiejąc się i łapiąc oddech, spoceni, z nogami wciąż splątanymi w sposób tak skomplikowany, że mógłby być wyzwaniem dla ośmiornic z rafy koralowej. Lawler czuł, że to nie czas mówić cokolwiek, co można by uznać za sentymentalne czy romantyczne.

Jednak w końcu musiał coś powiedzieć.

- Nie przyszedłeś tutaj za mną, prawda? - zapytał, przerywając wreszcie długie milczenie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i rozbawieniem.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Skąd mógłbym wiedzieć?

- Zeszłam na dół po narzędzia do naprawy lin. Nie wiedziałam, że tu jesteś. A potem okręt zaczął skakać jak szalony i znalazłam się w twoich ramionach.

- Tak. Nie żałujesz, mam nadzieję.

- Nie - powiedziała. - Dlaczego miałabym żałować? A ty?

- Nie, naprawdę.

- Dobrze - powiedziała. - Wiesz, że mogliśmy to zrobić już dawno temu?

- Rzeczywiście?

- Pewnie, że tak. Dlaczego tak długo czekałeś? Przyglądał się jej przy niewyraźnym, kopącym świetle.

W jej chłodnych szarych oczach widział błysk rozbawienia, na pewno rozbawienia, jednak ani śladu kpiny. Mimo to wydawało mu się, że traktowała tę sytuację mniej poważnie niż on.

- Mógłbym cię zapytać o to samo - powiedział.

- Słuszna uwaga. - I po chwili: - Dałam ci kilka okazji. Bardzo uważałeś, żeby z nich

nie skorzystać.

- Wiem.

- Dlaczego nie?

- To długa historia - powiedział. - I bardzo nudna. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Właściwie nie.

- To dobrze.

Zapadli w kolejne milczenie.

Po chwili przysłała mu do głowy myśl, że dobrze byłoby pokochać się jeszcze raz, więc zaczął głaskać leniwie jej rękę i biodro, gdy tak leżeli splątani na podłodze ładowni.

Zauważył jej pierwszą, słabą reakcję, ale z godną podziwu samokontrolą i taktem zdołała zatrzymać proces, nim posunął się zbyt daleko, łagodnie uwalniając się z jego objęć.

- Później - powiedziała przyjaźnie. - Wiesz, że naprawdę miałam powód, żeby tu zejść.

Wstała i włożyła z powrotem swą szatę, rzucając mu spokojny, radosny uśmiech, puściła oko i zniknęła w magazynie na rufie.

Lawler był zaskoczony jej opanowaniem. Z pewnością nie miał prawa oczekiwać, że to, co się właśnie wydarzyło, będzie równie niepokojące dla niej, jak dla niego po długim, narzuconym sobie celibacie. Wydawało się, że przyjęła to z radością. Tak, z pewnością była zadowolona. Mimo to, czyżby nie było to dla niej niczym więcej jak przypadkowym spotkaniem, konsekwencją kołysania okrętu? Tak mogłoby się zdawać.

Pewnego nudnego popołudnia ojciec Quillan postanowił zrobić katolika z Natima Gharkida. A przynajmniej właśnie to zdawał się robić, i to z wielkim zapałem, gdy Lawler przechodząc obok, spojrział na nich z mostka. Duchowny, spocony i rozpalony, zalewał drobnego, ciemnoskórego mężczyznę wartkim potokiem słów, a Gharkid słuchał uważnie i

spokojnie.

- Ojciec, Syn i Duch Święty - powiedział Quillan. - Jeden Bóg, ale w trzech postaciach. - Gharkid poważnie skinął głową. Lawler niewidzialny słuchacz zamrugał oczami, słysząc nie znane pojęcie "Duch Święty". Co to takiego? Lecz Quillan mówił dalej. Teraz wyjaśniał proces nazywany Niepokalanym Poczęciem. Lawler przestał uważać i poszedł dalej, lecz gdy po piętnastu minutach wracał, Quillan był wciąż przy tym samym temacie; mówił teraz o odkupieniu, odnowie, istocie, egzystencji, znaczeniu grzechu i jak to możliwe, że kała człowieka, który jest obrazem Boga, i o tym, dlaczego trzeba było wysłać na świat Zbawiciela, który przez śmierć wziął na siebie zło rodzaju ludzkiego. Część z tego Lawler rozumiał, część wydała mu się pustą gadaniną; a po pewnym czasie przewaga gadaniny nad sensem wydała mu się tak wielka, że rozeźliło go zaangażowanie Quillana. Lawler uważał, że Quillan był zbyt inteligentny, aby wierzyć w istnienie Boga, który najpierw musiał stworzyć świat zaludniony zeszeconą wersją samego siebie, a następnie wysłał jedną ze swych postaci na ten świat, aby pozwalając się zabić, uwolnił ją od wrodzonych skaz. Rozgniewał go fakt, że Quillan, tak długo zachowujący swoją wiarę dla siebie, teraz wylewał ją na Gharkida, którego niefortunnie wybrał na obiekt nawracania.

Podszedł później do Gharkida i powiedział:

- Nie powinieneś słuchać tego, co mówił ojciec Quillan. Byłoby mi przykro, gdybyś dał się złapać na ten stek bzdur.

W nieodgadnionych oczach Gharkida pojawił się przelotny błysk zdziwienia.

- Sądzi pan, że daję się złapać?

- Tak to wygląda. Gharkid zaśmiał się cicho.

- Och, ten człowiek nic nie rozumie - powiedział. I odszedł.

\*

Później tego dnia Quillan odszukał Lawlera i powiedział gniewnie:

- Byłbym wdzięczny, gdybyś unikał wygłaszania opinii na temat rzeczy, o których dowiadujesz się, podsłuchując cudze rozmowy. Dobrze, doktorze?

Lawler poczerwieniał.

- O czym mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

- Aha. Chyba tak.

- Jeśli chcesz coś wniesć do rozmowy, usiądź z nami, z Gharkidem i ze mną, i powiedz nam o tym. Ale nie strzelaj do mnie z zasadzki.

Kiwając głową, Lawler powiedział:

- Przykro mi.

Quillan obrzucił go przeciągłym, mroźnym spojrzeniem.

- Naprawdę?

- Uważasz, że to w porządku, iż próbujesz sprzedawać swoje wierzenia komuś tak prostodusznemu jak Gharkid?

- Już to przerabialiśmy. Nie jest taki prostoduszny, jak sądzisz.

- Być może - powiedział Lawler. - Powiedział mi, że nie jest specjalnie poruszony twoimi dogmatami.

- To prawda, ale przynajmniej nie ma wobec nich uprzedzeń. Podczas gdy ty...

- Dobrze - odpowiedział Lawler. - Z natury nie jestem religijny. Nic na to nie poradzę.

No dalej, zrób z Gharkida katolika. Tak naprawdę nie obchodzi mnie to. Zrób z niego nawet lepszego katolika od siebie. To nie będzie trudne. Dlaczego miałyby mi zależeć? Już powiedziałem, iż jest mi przykro, że się wtrącałem. Naprawdę. Przyjmiesz moje przeprosiny?

- Oczywiście - odpowiedział po chwili Quillan.



Jednakże przez jakiś czas ich wzajemne stosunki pozostały napięte. Lawler starał się trzymać z daleka, ilekroć widział duchownego i Gharkida. Jednak nie ulegało wątpliwości, że Gharkid nie widział większego sensu w naukach

Quillana niż Lawler, aż wreszcie jego dialogi z duchownym skończyły się. Ucieszyło to Lawlera bardziej, niż się spodziewał.

Na horyzoncie pojawiła się wyspa, pierwsza w czasie całej ich podróży, jeśli nie liczyć tej, którą budowali Skrzelowcy. Dag Tharp wywołał ją przez radio, lecz nie nadeszła żadna odpowiedź.

- Czy są po prostu nietowarzyscy - powiedział Lawler do Delagarda - czy to też jest wyspa Skrzelowców?

- To Skrzelowcy - odpowiedział Delagard. - Nie ma tam nikogo prócz pieprzonych Skrzelowców. Wierzcie mi, to nie jest jedna z naszych.

Trzy dni później zobaczyli kolejną, w kształcie półksiężyca. Leżała jak śpiące zwierzę na północnym horyzoncie. Pożyczywszy lunetę sternika, Lawler uznał, że dostrzega ślady ludzkiej osady na wschodnim krańcu wyspy. Tharp zaczął schodzić do pomieszczenia radiowego, ale Delagard powstrzymał go mówiąc, aby się tym nie przejmował.

- Czy to także wyspa Skrzelowców? - zapytał Lawler.

- Nie tym razem. Nie ma jednak sensu nawiązywać kontaktu. Nie zamierzamy ich odwiedzić.

- Może pozwoliliby nam uzupełnić wodę. Zapasy są już na wyczerpaniu.

- Nie - powiedział Delagard. - To Thetopal. Moje okręty nie mają prawa lądowania na Thetopal. Moje stosunki z tą wyspą nie układają się dobrze. Nie pozwoliliby nam nawet wziąć wiaderka starych sików.

- Thetopal? - powiedział Onyos Felk zdziwiony. - Jesteś pewien?

- Pewnie, że jestem pewien. Cóż innego? To Thetopal.

- Thetopal - powtórzył Felk. - W porządku. Niech będzie Thetopal. Jeśli tak mówisz, Nid.

Kiedy minęli Thetopal, morze znów pozbawione było wysp. Jak okiem sięgnąć, nie było widać nic prócz wody. Przypominało to podróż przez pusty wszechświat.

Lawler obliczył, że znajdowali się już mniej więcej w połowie drogi na Grayvard, chociaż tylko zgadywał. Z pewnością przebywali na morzu co najmniej cztery tygodnie. Lecz osamotnienie na okręcie oraz monotonia codziennych zajęć uniemożliwiały mu zachowanie poczucia czasu.

Przez trzy dni z rzędu zimny, ostry wiatr ogarniał flotę od północy, pobudzając gniew i wściekłość otaczającego ich morza. Pierwszym znakiem była gwałtowna zmiana klimatu, który w strefie raf koralowych był umiarkowany lub prawie tropikalny. Teraz nagle powietrze stało się przejrzyste, tak że niebo unosiło się wysokim sklepieniem nad okrętem, drgające i blade jak ogromna metalowa kopuła. Lawler, który był czymś w rodzaju meteorologa amatora, zmartwił się tym. O swoich obawach zawiadomił Delagarda, który wziął je poważnie i rozkazał uszczelnić luki. Po chwili usłyszeli odległe dudnienie, przeciągłe głębokie dudnienie, poprzedzające pierwsze podmuchy wichru, a potem pojawił się sam wiatr: szybkie, nerwowe, krótkotrwałe wybuchy chłodnego powietrza, które lizały i szarpały morze, mieszając je jak chochlą. Wraz z nimi pojawiły się rzadkie fale suchego gradu, jednak wciąż nie było deszczu.

- Najgorsze przed nami - wymamrotał Delagard. Od czasu załamania się pogody nie schodził z pokładu, czasem tylko robiąc przerwy na sen. Często znajdował się przy nim ojciec Quillan, stali razem jak starzy przyjaciele, wpatrując się w wiatr. Ciekawe, co ci dwaj mieli sobie do powiedzenia; ten szorstki, ochrypliwy, mówiący bez ogródek marynarz i surowy,

melancholijny, nawiedzony duchowny? Mimo to byli razem, razem w sterówce, razem przy kompasie, razem w nadbudówce. Czyżby Quillan próbował teraz nawrócić Delagarda? Albo chciał modłami uspokoić sztorm?

Ten i tak nadszedł. Morze zmieniło się w ogromną przestrzeń wzburzonej wody.

Powietrze wypełniła mgła wodnych kropelek, tak drobnych jak biały dym. Wicher uderzał z siłą młota i przelatywał jak płomień, pozostawiając im w uszach echo swego wycia. Skrócili żagle, a mimo to wanty pourywały się i ciężkie reje wirując, przelatywały między burtami.

Cała załoga była na pokładzie. Martello, Kinverson i Henders uwijali się ostrożnie w takielunku, przywiązując się, aby nie wypaść za burtę. Pozostali ciągnęli liny, podczas gdy Delagard wściekle wykrzykiwał rozkazy. Lawler pracował z innymi; koniec zwolnienia lekarskiego, nie w czasie takiej zawieruchy jak ta.,

Niebo było czarne. Morze jeszcze czarniejsze - wszędzie, gdzie nie było grzebieni białej piany lub kiedy mamuciej wielkości fala wznosiła się obok nich jak gigantyczna ściana z zielonego szkła. Okręt wbijał się w nią, spychany w dół, zamiast wznosić się, jak powinien, zapadał dziobem w ciemne, gładkie zagłębienia, przechylał się, gdy większa fala cofała się na zawietrzną ze straszliwym, ssącym dźwiękiem, a potem znowu uderzał, wzbijając kaskady wody spadające na pokład. Magnetron był bezużyteczny: wiatry wiały z przedziwnych kierunków, zderzały się, otaczały ich wzburzoną wodą, która biła w nich ze wszystkich stron, tak że nie można się było nad nią wzniesić. Puszczeliali wszystko wcześniej, poznosili pod pokład wszystkie ruchome przedmioty, ale łomoczące fale odnajdywały wszystko, co zostało: wiadro, stołek, oszczep, beczkę, i popychało je z hukiem, w podskokach przez pokład, dopóki nie zniknęły za burtą. Dziób okrętu zanurzał się, podnosił i znów zanurzał. Ktoś wymiotował. Ktoś pisał ze strachu. Lawler zauważył jeden z pozostałych okrętów - nie miał pojęcia który, nie miał flagi - pochwycony niedaleko nich przez gwałtowny wir wznoszący się nad

nimi, jakby miał zamiar spaść na ich pokład, to znów znikający za ścianą fal, jakby ściągany już na dno.

- Maszty! - krzyknął ktoś. - Puszczają! Na dół! Na dół!

Jednak maszty trzymały się mocno, pewnie, choć wydawało się, że wyskoczą z gniazd i zostaną wyrzucone do morza. Ich gwałtowne drgania wstrząsały całym okrętem. Lawler zdał sobie sprawę z tego, że trzyma kogoś - to była Pilya - a kiedy mijała ich Lis Niklaus, porwana przez wiatr, oboje chwycili ją i przyciągnęli jak rybę na wędce. Lawler w każdej chwili oczekiwał deszczu i martwiło go to, że przy tak silnym wietrze nie będą mogli ustawić pojemników, aby nałapać dobrej, słodkiej, świeżej wody. Jednak wiatr nie przynosił ani kropli deszczu. Spojrzawszy raz za burtę, w blasku morskiej piany Lawler zobaczył morze pełne małych, migoczących, nieruchomych oczu. Wyobraźnia? Halucynacja? Nie sądził. Łby drakkenów, oto co to takiego: armia, legion; długie paskudne pyski sterczące wszędzie z wody. Miriady ostrych zębów czekających na moment, gdy "Królowa Hydros" przewróci się, a jej trzynaścioro pasażerów wpadnie do wody.

Wicher dał, dał i dał bez końca, lecz okręt trwał, trwał i trwał. Stracili poczucie czasu.

Nie było nocy, nie było dnia; był tylko wiatr. Onyos Felk obliczył później, że trwało to prawie trzy dni - może miał rację. Sztorm ustał równie szybko, jak się zaczął; złowrogi wicher zmienił się w czystą, jasną siłę, która omiatała wszystko i cięła jak nóż; a potem, jakby na jakiś sekretny znak, ucichł w jednej chwili i cisza powróciła gwałtownie, jak uderzenie gromu.

Oszołomiony Lawler szedł powoli wzdłuż ociekającego pokładu, pośród tej dziwnej nowej ciszy. Pokład pokrywały kawałki glonów, fragmenty meduz, gniewnie podskakujące stworzenia, rozmaite morskie szczątki wyrzucone przez fale. Ręce otarte od lin bolały go, przypominając ból spowodowany przez tamtą żywą sieć. W milczeniu dokonał przeglądu: oto

Pilya, tam Gharkid, tam ojciec Quillan, a tam Delagard. Tharp, Golghoz, Felk, Niklaus.

Martello? Tak, na górze. Dann Henders? Tak.

Sundira?

Nie widział jej. Potem zobaczył i pożałował tego; stała przy fokmaszcie, zupełnie przemoczona, z ubraniem przylepionym do skóry tak, że równie dobrze mogła nie mieć na sobie niczego, a przy niej był Kinversion. Oglądali jakieś stworzenie z głębin, które on znalazł i pokazywał jej - rodzaj węża morskiego, długi, obwisły, komiczny stwór o szerokiej, lecz nieszkodliwie wyglądającej paszczy i rzędzie okrągłych, zielonych plamek biegnących wzdłuż wiotkiego żółtego tułowia, które nadawały mu zabawny wygląd. Śmiali się.

Kinversion potrząsał stworzeniem w stronę Sundiry, prawie przytykając je do jej twarzy, a ona zanosila się śmiechem i odsuwała je na bok. Kinversion trzymał stworzenie za ogon i patrzył, jak się wije, a Sundira gładziła ręką ciało węża, jak gdyby pieszcząc i pocieszając; później on wrzucił je z powrotem do morza. Potem objął ją ramieniem i odeszli razem.

Byli zżyci ze sobą. Swobodni, weseli, niepokojąco bliscy.

Lawler odwrócił się. Delagard szedł w jego stronę.

- Widziałeś Daga? - zawołał. Lawler wskazał ręką.

- O tam.

Radiooperator siedział rozmemłany jak kupa szmat przy nadburciu rufy, potrząsając głową, jakby nie mógł uwierzyć, że przetrwał.

Delagard odgarnął pasma ociekających wodą włosów z oczu i rozejrzał się.

- Dag! Dag! Dawaj ten swój pieprzony róg, szybko! Straciliśmy całą przeklętą flotę!

Przerażony Lawler odwrócił się i rozejrzał po spokojnych wodach. Delagard miał rację. W polu widzenia nie było ani jednego okrętu. "Królowa Hydros" została całkiem sama na wodzie.

- Czy sądzisz, że zatonięły? - zapytał właściciela statku.

- Lepiej się pomódlmy - powiedział Delagard.

Jednak okręty wcale nie zatonięły. Były po prostu poza zasięgiem ich wzroku. Gdy Tharp wywołał je, jeden po drugim nawiązały kontakt radiowy. Sztorm porozrzucał je jak wątle słomki, ciskając tu i tam na dużym obszarze morza; ale były wszystkie. "Królowa Hydros" utrzymała kurs, a pozostałe dołączyły do niej. Przed zapadnięciem nocy cała flota była w komplecie. Aby uczcić ich szczęśliwe ocalenie, Delagard kazał otworzyć ostatnią butelkę brandy z zapasów Gospo Struvina. Ojciec Quillan stanął na mostku i odmówił krótką modlitwę dziękczynną. Lawler odkrył, ku swemu własnemu zdziwieniu, że powtarza słowa modlitwy.

Cokolwiek łączyło Kinversona i Sundirę, zdawało się nie wykluczać tego, co powstawało pomiędzy Sundirą a Lawlerem. Lawler nie rozumiał żadnego z tych związków, ani Sundiry z Kinversonem, ani swojego własnego z Sundirą; był jednak dostatecznie mądry w tych sprawach, aby wiedzieć, że najpewniejszym sposobem zabicia tego typu związku jest próbować go zrozumieć. Musiał po prostu przyjmować sprawy takimi, jakimi były.

Jedno szybko stało się jasne. Kinversona nie obchodziło, że Sundirą zadaje się z Lawlerem. Najwidoczniej był zupełnie pozbawiony zaborczości seksualnej. Wydawało się, że seks był dla niego jak oddychanie: robił to i nie zastanawiał się na tym. Z każdą, jaka znalazła się pod ręką, tak często, jak domagało się tego ciało; czysto naturalna funkcja, automatyczna, mechaniczna. I oczekiwał, że inni będą traktować seks w ten sam sposób.

Kiedy Kinverson skaleczył się w ramię i przyszedł do Lawlera, aby ten oczyścił je i zabandażował, powiedział w trakcie zabiegu:

- A więc i ty pieprzysz teraz Sundirę, doktorze? Lawler mocniej docisnął bandaż.
- Nie widzę powodu, dlaczego miałbym odpowiadać na to pytanie. To nie twoja sprawa.
- To prawda. No tak, oczywiście pieprzysz ją. To wspaniała kobieta. Zbyt bystra dla mnie, ale mnie to nie przeszkadza. Nie przeszkadza mi również to, co z nią robisz.
- To bardzo ładnie z twojej strony - powiedział Lawler.
- Oczywiście, mam nadzieję, że ty myślisz tak samo.
- Co przez to rozumiesz?
- To znaczy, że coś mogło pozostać między mną a Sundirą - powiedział Kinverson.

Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Lawler obrzucił go długim, ostrym spojrzeniem.

- Ona jest dorosła. Może robić, co chce, z kim chce i kiedy chce.

- Dobrze. Ten okręt to małe miejsce. Nie potrzeba nam tu zamieszkania z powodu kobiety.

Ze wzrastającą irytacją Lawler powiedział:

- Rób, co uważasz, a ja będę robił to, co ja uważam, i nie rozmawiajmy już o tym.

Mówisz o niej jak o sprzęcie, którego obaj chcemy używać.

- O taak - powiedział Kinverson. - Cholernie pięknym sprzęcie.

Kilka dni później Lawler zawędrował do kuchni i zastał tam Kinversona z Lis

Niklaus; oboje chichotali, mruzcili i mocowali się jak Skrzelowcy podczas rui. Lis mrugnęła do niego i zaśmiała się ochryple zza ramienia Kinversona.

- Halo, doktorze! - zawołała pijackim głosem. Lawler spojrzał na nią zaskoczony i szybko wyszedł.

Kuchnia z całą pewnością nie była odosobnionym miejscem; najwyraźniej Kinverson nie przejmował się zbytnio tym, że Sundira - albo Delagard, jeśli o tym mowa - mogą odkryć, że kręci na boku z Lis. Kinverson był przynajmniej konsekwentny, pomyślał Lawler. Nie obchodziło go. Nic. I nikt.

Kilkakrotnie w ciągu tygodnia, który nastąpił po sztormie, Lawler i Sundira znaleźli chwilę czasu na randkę w ładowni. Jego ciało, którego ognie tak długo pozostawały wygaszone, szybko uczyło się na nowo pożądania. Tymczasem ona nie dawała ponieść się namiętności, przynajmniej tak widział to Lawler, chyba że zwinną, sprawną, entuzjastyczą, lecz prawie bezosobową fizyczną przyjemność uznać za namiętność. Kiedyś, jako młody człowiek, mógł mylić te dwie rzeczy, teraz już nie.

Nigdy nie rozmawiali ze sobą, gdy się kochali, a kiedy później leżeli razem,

powracając do normalności, na mocy niepisanego porozumienia ograniczali konwersację do



najbliższych tematów. Nowe zasady przyjęły się bardzo prędko. Lawler od początku świetnie ją rozumiał; najwyraźniej bawiło ją to, co działo się między nimi, i równie wyraźnie widać było, że nie życzy sobie żadnego poważniejszego związku. Gdy Lawler spotykał ją na pokładzie, rozmawiali w ten sam niezobowiązujący sposób. - Ładna pogoda - mówili. Albo: - Jaki dziwny kolor ma tutaj morze.

On mógł powiedzieć:

- Zastanawiam się, jak szybko dotrzemy na Grayvard. A ona:

- Zauważyłeś, że już nie kaszlę?

- Czy nie sądzisz, że ta czerwona ryba, którą jedliśmy na kolację była wspaniała? - pytał.

- Spójrz, czy to nie nurek przepływa obok nas? - zachwyciła się ona.

Wszystko bardzo uprzejme, przyjemne, kontrolowane. Nigdy nie wyznał:

- Nie czułem się tak dobrze od miliona lat, Sundiro. A ona nigdy nie powiedziała:

- Nie mogę doczekać się, kiedy znów będziemy mogli się spotkać, Val.

On nigdy nie powiedział:

- Oboje należymy do tego samego gatunku, ludzi nie przystosowanych.

Ona nigdy nie wyjaśniła mu:

- Nieustannie wędruję od wyspy do wyspy, ponieważ zawsze szukałam czegoś więcej, gdziekolwiek byłam.

Zamiast poznawać ją lepiej teraz, kiedy byli kochankami, zauważył, że stawała się coraz bardziej odległa i tajemnicza. Lawler nie spodziewał się tego. Pragnął czegoś więcej.

Nie wiedział jednak, jak mógłby to zdobyć, jeśli ona tego nie chciała.

Wydawało się, że chce go trzymać na dystans i brać od niego nie więcej, niż już brała od Kinversona. Jeżeli nie mylił się co do jej intencji, nie pragnęła żadnego bliższego związku.

Lawler jeszcze nigdy nie spotkał takiej kobiety, tak obojętnej na trwałość, ciągłość, pokrewieństwo dusz; kobiety, która wydawała się brać rzeczy takimi, jakimi są, i nie przejmować się tym, co było przedtem lub może nastąpić potem. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że znał już kogoś takiego.

To nie była kobieta. To był on sam. On sprzed lat, Lawler z wyspy Sorve, przeskakujący od kochanki do kochanki, nie myślący o niczym prócz chwili obecnej. Jednak teraz był inny. A przynajmniej taką miał nadzieję.

W nocy Lawler usłyszał stłumione krzyki i uderzenia dochodzące z sąsiedniej kabiny.

Delagard i Lis kłócili się. Bynajmniej nie pierwszy raz; lecz tym razem głośniejsze i gwałtowniejsze niż dotychczas.

Wczesnym rankiem, kiedy Lawler zszedł do kuchni na śniadanie, Lis stała skulona nad kuchenką i odwracała głowę. Z boku jej twarz wyglądała na opuchniętą, a kiedy się odwróciła, Lawler zobaczył żółty siniak wzdłuż kości policzkowej i nad okiem. Wargę miała pękniętą i obrzmiałą.

- Chcesz, abym dał ci coś na to? - zapytał Lawler.

- Przeżyję.

- Słyszałem hałas ubiegłej nocy. Co za świństwo.

- Spadłam z koi, oto co się stało.

- I tłukłaś się po kabinie przez pięć czy dziesięć minut, krzycząc i przeklinając? A Nid, kiedy cię podniósł, też poczuł, że musi sobie pokrzyczeć i poprzeklinać? Skończ z tym, Lis.

Obrzuciła go chłodnym, ponurym spojrzeniem. Wydawała się bliska płaczu. Jeszcze nigdy nie widział twardej, dzielnej Lis na krawędzi załamania.

- Niech śniadanie poczeka kilka minut - powiedział cicho. - Oczyszczę to rozcięcie i dam ci coś, od czego zejdzie ten siniak.

- Jestem do tego przyzwyczajona, doktorze.

- Często cię bije?

- Dość często.

- Nikt już nikogo nie bije, Lis. Tak postępowano w czasach jaskiniowców.

- Powiedz to Nidowi.

- Chcesz? Zrobię to.

W jej oczach pojawił się błysk strachu.

- Nie! Na rany Chrystusa, nie mów ani słowa, doktorze! On mnie zabije.

- Bardzo się go boisz, prawda?

- A ty nie?

Lawler powiedział ze zdziwieniem:

- Nie. Dlaczego miałbym się bać?

- No tak, może ty nie, ale to ty. I tak miałam szczęście. Zrobiłam coś, co mu się nie podobało, dowiedział się i przyjął to o wiele gorzej, niż oczekiwałam. Nauczyło mnie to kilku rzeczy. Nid to brutalny człowiek. Ostatniej nocy myślałam, że mnie zamorduje.

- Następnym razem zawołaj mnie lub postukaj w ścianę kabiny.

- Nie będzie następnego razu. Mam zamiar poprawić się od dzisiaj. Mówię poważnie.

- Aż tak bardzo się go boisz?

- Kocham go, doktorze. Czy możesz w to uwierzyć? Kocham tego drania. Jeśli nie chce, żebym pieprzyła się na boku, to nie będę. Bardzo mi na nim zależy.

- Mimo to, że cię bije.

- To świadczy, jak mu na mnie zależy.

- Chyba nie mówisz poważnie, Lis.

- Tak. Tak. Potrząsnął głową.

- Jezu. Tłucze cię na kwaśne jabłko, a ty mi mówisz, że to dlatego, że tak bardzo cię kocha.

- Ty nie rozumiesz tych spraw, doktorze - powiedziała Lis. - Nigdy nie rozumiałeś. Nie mogłeś.

Lawler przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, próbując pojąć, o czym mówiła. W tej chwili była dla niego kimś równie obcym jak Skrzelowiec.

- Chyba nie - powiedział.

Po burzy morze uspokoiło się na jakiś czas, nie było ciche, ale też nie wzburzone.

Napotkali kolejną strefę gęstą od splątanych wodorostów, jednakże tym razem nie była ona tak zbita jak poprzednio i udało się im przedrzeć, nie używając śmiertelnego afrodyzjaka dr. Nikitina. Trochę dalej znajdowało się miejsce, gdzie dryfowały ciasno upakowane kępy tajemniczych, cienkich, żółto-zielonych glonów. Wyskakiwały jak garby na powierzchnię morza, kiedy okręt przepływał obok, i z ciemnych, drgających pęcherzyków, zwisających na krótkich, kolczastych łodygach, emitowały piskliwe dźwięki:

- Wracajcie - wydawały się mówić - wracajcie, wracajcie, wracajcie.

To były denerwujące i nużące odgłosy. Najwyraźniej nie było to szczęśliwe miejsce.

Jednak niebawem te długie, dziwne glony zniknęły, chociaż jeszcze przez dzień lub dwa słyszało się w oddali ich melancholijny pomruk, od czasu do czasu przynoszony przez podmuchy wiatru.

Następnego dnia pojawiła się kolejna nieznana forma życia: gigantyczne, tworzące kolonie stworzenia, cała ich populacja, setki, a może tysiące różnych gatunków organizmów zawieszonych na jednym ogromnym pływaku niemal dorównującym rozmiarami platformom lub jamochłonom. Jego mięsiste, przezroczyste ciało prześwitywało przez wodę jak ledwie zanurzona wyspa; gdy podpłynęli bliżej, ujrzeli niezliczone składniki stworzenia, drgające,

turkoczące i zajęte swoimi indywidualnymi obowiązkami. Jedne wiosłowały, inne łowiły ryby, a małe trzepoczące organizmy rozmieszczone wokół krawędzi pełniły rolę stabilizatorów dla całego obszernego organizmu sunącego dostojnie poprzez morze. Kiedy okręt podpłynął bliżej, stworzenie wypuściło kilka tuzinów przezroczystych rurowatych tworów, które wznosiły się na wysokość kilku metrów jak grube, lśniące kominy ponad powierzchnią morza.

- Co to takiego, jak sądzisz? - zapytał ojciec Quillan.

- Aparat wzrokowy? - zasugerował Lawler. - Swego rodzaju peryskop?

- Patrz, coś się z nich wydobywa...

- Uwaga! - krzyknął z góry Kinversion. - Strzela do nas!

Lawler powalił duchownego na pokład dokładnie w chwili, gdy kula jakiejś kleistej, czerwonej substancji przeleciała ze świstem obok nich. Kula upadła na śródokręciu, dwa lub trzy metry za nimi. Wyglądała jak duże, pomarańczowe łajno, bezkształtne i drgające. Zaczynała wypuszczać łądygę. Pół tuzina takich pocisków wylądowało w innych punktach pokładu, a z każdą chwilą przybywały nowe.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - ryczał Delagard, miotając się dokoła. - To świństwo pali nam pokład. Wiadra i łopaty! Halsować! Halsować! Felk! Wydostań nas z tego piekła, do cholery!

Pokład skwierczał i dymił w miejscach, gdzie wgryzały się weń kule. Felk, przy sterze, starał się wyprowadzić j okręt ze strefy ostrzału, wykonując gwałtowne uniki. Pod jego ochrypłymi rozkazami wachta przeciągała liny, obracała reje, stawiała żagle. Lawler, Quillan i Lis Niklaus biegali po pokładzie, zgarniając łopatami miękkie korodujące pociski i wyrzucając je za burtę. W miejscach, gdzie kwaśne grudy dotykały jasnożółtego drewna pokładu, pozostawały ciemne ślady spalenizny. Kolonialny twór, choć znajdujący się już w

znacznej odległości, z metodyczną, bezmyślną wrogością nadal wyrzucał w kierunku okrętu swoje pociski, mimo iż nieszkodliwe spadały teraz do wody, wzbijając obłoczki pary, po czym z sykiem znikały w głębinach.

Wypalone ślady na pokładzie były zbyt głębokie, aby można je było usunąć. Lawler podejrzewał, że te lepkie pociski, gdyby ich natychmiast nie zmieciono za burtę, przepaliłyby okręt na wylot, pokład po pokładzie, aż do dna kadłuba.

Następnego ranka Gharkid zauważył w oddali na ster-burcie szarą chmurę brzęczących kształtów.

- Śluzica w godowym szale. Delagard zaklął i rozkazał zmienić kurs.

- Nie - powiedział Kinverson. - To nic nie da. Nie ma czasu na manewr. Opuścić żagle.

- Co?

- Ściągnij je na dół, inaczej posłużą jako sieci, kiedy wpadnie na nas ta chmura. A wtedy znajdziemy się po szyje w śluzicy.

Klnąc wściekle, Delagard rozkazał ściągnąć żagle. Wkrótce "Królowa Hydros"

dryfowała z nagimi masztami, sterczącymi w ciężkie białe niebo. A potem nadciągnęły śluzice.

Brzydkie, skrzydlate robaki o szczeciniastym tułowiu, oszalałe od chuci, nadlatywały milionami od nawietrzej. To było istne morze śluzicy; przez zderzające się ciała trudno było dostrzec wodę. Jak fale przyływu wzbijały się w powietrze - na czele samice, a ich niezliczone ilości prze słańały słońce. Z furią tłukły lśniącymi, ukośnymi skrzydełkami; rozpaczliwie unosiły zadarte nosy; parły do przodu całymi oszalałymi plutonami. A tuż za nimi leciały samce.

To, że na ich drodze stały okręty, nie miało żadnego znaczenia. Były jedynie drobną

przeszkodą dla słuzicy w gorączce. Tak samo jak góry. Słuzice miały genetycznie zaprogramowany kurs i podążały nim ślepo, niepowstrzymanie. Jeśli miało to oznaczać, że roztrzaskają sobie łby o burzę “Królowej Hydros”, niechaj tak będzie. Jeśli miało to oznaczać, że przelecą kilka metrów nad pokładem i uderzą w podstawę masztu lub drzwi nadbudówki, niechaj tak będzie. Niech tak będzie. Niech tak będzie. Kiedy armada słuzicy dotarła do pokładu, nie było na nim nikogo. Lawler wiedział już, co oznacza zderzenie z młodą słuzicą. Dorosła, ogarnięta godowym szalem, zapewne podróżowała z dziesięciokrotnie większą szybkością, więc spotkanie z nią prawdopodobnie skończyłoby się śmiercią. Muśnięcie ostrym końcem skrzydła przecięłoby skórę do kości. Ognista szczecina pozostawiłaby krwawy ślad.

Jedyne, co można było zrobić, to ukryć się i czekać, czekać, czekać. Wszyscy schronili się pod pokładem. Długie godziny powietrze wypełnione było brzęczeniem przelatujących ryb, przerywanym niesamowitymi jękami oraz odgłosami silnych i gwałtownych uderzeń.

Wreszcie zapadła cisza. Lawler i kilku innych ostrożnie wyszli na pokład.

Powietrze było czyste. Stado poleciało dalej. Jednak wszędzie leżały martwe i półmartwe słuzice, jak robactwo pokrywając stertami pokład wszędzie, gdzie jego konstrukcja utworzyła przeszkodę w ich locie. Chociaż porozbijane, niektóre miały w sobie jeszcze dość życia, aby syczeć, szczytać i próbować uderzać w twarze sprzątajacej załogi. Pozbycie się ich zajęło cały dzień.

Po słuzicach nadciągnęła ciemna chmura, która obiecywała deszcz, a zrzuciła jedynie warstwę szlamu: migrującą powietrzem masę jakichś drobnych cuchnących mikroorganizmów, które opadły okręt prawie nieskończonymi ilościami, pozostawiając warstwę lepkiej brązowej substancji na żaglach, takielunku, masztach i każdym milimetrze pokładu.

Oczyszczenie tego zajęło trzy dni. A potem były jeszcze taranorożce i Kinversion znowu siedział na pokładzie, waląc w swój bęben, aby je odstraszyć.

A po taranorożcach...

Lawler zaczął myśleć o tym wielkim planetarnym morzu jak o upartej, nieubłaganej wrogiej sile, która niezmiernie zsyłała na nich jedną plagę po drugiej w gniewnej reakcji na ich obecność na jej szerokim łonie. Wydawało się, że podróżnicy wywoływali swędzenie oceanu, a on się w ten sposób drapał. Niektóre drapnięcia były dość mocne. Lawler zastanawiał się, czy podróżnicy zdołają przetrwać wystarczająco długo, aby dotrzeć do Grayvard.

Nareszcie nadszedł błogosławiony dzień ulewnego deszczu. Zmył szlam mikroorganizmów i smród pozostawiony przez zdechłe śluzice, pozwolił im napełnić beczki słodką wodą dokładnie wtedy, gdy sytuacja stawała się krytyczna. W ślad za deszczem pojawiła się ławica nurków, które figlowały wesoło i beztrząsco płynąc z okrętem, pluskając się w pianie jak eleganccy tancerze witający turystów w rodzinnym kraju. Gdy tylko nurki zniknęły z pola widzenia, przydryfował w pobliże kolejny, a może ten sam, kolonialny potwór miotający kule łajna, który znów zbombardował okręt wilgotnymi pociskami zapalającymi. Wyglądało to tak, jakby ocean poniewczasie zorientował się, że zsyłając deszcz, a potem nurki ukazał podróżnikom zbyt przyjazną twarz i chciał im przypomnieć o swej prawdziwej naturze.

Potem przez jakiś czas znowu panował spokój. Wiały pomyślne wiatry, morskie stwory zaprzestały nieustannych ataków. Sześć okrętów spokojnie płynęło naprzód ku swemu celowi. Ich ślady, długie i proste, rozchodziły się za nimi jak szerokie autostrady w pustkę, którą już przemierzyły.

Pewnego idealnie spokojnego ranka - morze prawie bez fal, jednostajna bryza,



rozmigotane niebo, śliczny, błękitno-zielony kształt Sunrise widzialny tuż nad horyzontem i jeden z księżyców nadal w polu widzenia - Lawler wyszedł na pokład i natknął się na naradę na mostku. Brali w niej udział: Delagard, Kinversion, Onyos Felk i Leo Martello. Po chwili Lawler zauważył ojca Quillana, na poły schowanego za masywnym Kinversionem. Delagard trzymał lunetę. Przeglądał widnokrąg i opowiadał o czymś pozostałym, którzy pokazywali, patrzyli, komentowali.

Lawler wspiął się po drabinie.

- Coś się dzieje?

- Z pewnością tak - powiedział Delagard. - Brakuje jednego z naszych okrętów.

- Mówisz poważnie?

- Zobacz. - Delagard podał Lawlerowi lunetę. - Ładna noc. Raporty mówią, że między północą a świtem nie wydarzyło się nic niezwykłego. Policz okręty, które widzisz. Jeden, dwa, trzy, cztery.

Lawler przyłożył lunetę do oka. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery.

- Którego brakuje?

Delagard tarmosił swoje gęste loki.

- Jeszcze nie jestem pewien. Nie mają wywieszonych flag. Gabe uważa, że to siostry zginęły. Oddzieliły się w nocy i ruszyły własnym kursem.

- To byłoby szaleństwo - powiedział Lawler. - Przecież nie mają pojęcia o prowadzeniu okrętu.

- Jak dotąd radziły sobie dobrze - wtrącił Leo Martello.

- Tylko dlatego, że podążały za konwojem. Lecz gdyby spróbowały wyruszyć samodzielnie...

- No, tak - powiedział Delagard. - To byłoby szaleństwo. Ale one są szalone. Cholerne

suki, ani przez chwilę nie wahałbym się powiedzieć, że to do nich podobne...

Przerwał. Na schodkach poniżej rozległ się odgłos kroków.

- Dag, czy to ty? - zawołał Delagard. Lawlerowi wyjaśnił: - Wysłałem go na dół, aby nawiązał kontakt radiowy.

Z luku schodni wyłoniła się pomarszczona twarz Tharpa, a za nią jej właściciel.

- Brakuje "Złotego Słońca" - oznajmił Tharp.

- Siostry są na "Krzyżu Hydros" - powiedział Kinversion.

- Racja - powiedział gorzko Tharp. - Ale "Krzyż Hydros" odpowiedział, kiedy go przywołałem przed chwilą. Podobnie "Gwiazda", "Trzy Księżycy", "Bogini". Żadnej odpowiedzi ze "Złotego Słońca".

- Jesteś całkowicie pewien? Nie mogłeś nawiązać z nimi łączności? - zapytał

Delagard. - Nie ma żadnego sposobu, żeby ich wywołać?

- Chcesz spróbować, to idź i spróbuj. Wywoływałem całą flotę. Odpowiedziały cztery okręty.

- Łącznie z siostrami? - nalegał Kinversion.

- Rozmawiałem osobiście z siostrą Hallą, w porządku? Lawler powiedział:

- Zapomniałem, kto płynie na "Złotym Słońcu".

- Damis Saftelle - odpowiedział Leo Martello.

- Damis nigdy nie odpłynąłby na własną rękę. On nie jest taki.

- Nie - powiedział Delagard, patrząc podejrzliwie i nieufnie. - On nie jest taki, prawda, doktorze?

Przez cały dzień Tharp próbował złapać "Złote Słońce". Radiooperatorzy próbowali również.

Cisza na paśmie "Złotego Słońca". Cisza. Cisza. Cisza.

- Okręty tak po prostu nie znikają w ciemnościach - powiedział Delagard, gwałtownie przemierzając pokład.

- Jednak ten najwidoczniej zniknął - powiedziała Lis Niklaus.

- Zamknij ten swój pieprzony pysk!

- Och, to miłe, Nid, bardzo miłe.

- Zamknij go albo zrobię to za ciebie!

- To nic nie da - powiedział Lawler. Odwrócił się do Delagarda. - Czy nigdy dotąd nie straciłeś okrętu w ten sposób? Żeby tak zniknął cicho, bez S.O.S. ani niczego innego?

- Nigdy nie straciłem okrętu. Kropka.

- Gdyby były kłopoty, wzywaliby pomocy przez radio, prawda?

- Gdyby mogli - wtrącił Kinverson.

- Co to znaczy? - zapytał Delagard.

- Załóżmy, że cała zgraja takich sieciowatych potworów wczołgała się na pokład w nocy. Wachta zmienia się

O trzeciej nad ranem, ludzie schodzą z olinowania, wachta spod pokładu wchodzi na górę, wszyscy dostają się w sieci

I zostają wciągnięci za burtę, I w ten sposób połowa załogi znika. W czasie tej masakry Damis lub ktoś inny schodzi ze sterówki, aby zobaczyć, co się dzieje, i sieci dostają także jego. A potem resztę jednego po drugim...

- Gospo wrzeszczał jak opętany, kiedy porwała go sieć - zauważyła Pilya Braun. -

Myślicie, że cała załoga wpadnie w sieci i pozwoli wyciągnąć się za burtę, przy czym nikt nie narobi hałasu, który ostrzegłby pozostałych?

- No więc, to nie były sieci - powiedział Kinverson. - Coś innego wdrapało się na

pokład. A może to były sieci plus coś innego. I wszyscy zginęli.

- A potem pojawił się jamochłon i połknął okręt? - zapytał Delagard. - Gdzie, do cholery, jest okręt? Cała załoga mogła zginąć, ale co się stało z okrętem?

- Okręt pod żaglami mógł zdryfować i oddalić się w ciągu kilku godzin, nawet przy spokojnym morzu - zauważył Onyos Felk. - Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia kilometrów, kto wie? I płynie dalej. Nie odnajdziemy go, nawet gdybyśmy szukali przez milion lat.

- A może zatonął - powiedziała Neyana Golghoz. - Coś podpłynęło pod niego i wywierciło w nim dziurę, a okręt poszedł prosto na dno.

- Nie wysyłając sygnału - dziwił się Delagard. - Okręty nie toną w ciągu dwóch minut. Ktoś zdążyłby włączyć radio.

- Czy ja wiem? - powiedziała Neyana. - Powiedzmy, że pięćdziesiąt stworów przypląnęło i wywierciło dziury. Był pełen dziur. I poszedł na dno szybciej, niż ty możesz pierdnąć. Zanurzył się, ot tak, ani chwili na zrobienie czegokolwiek. Nie wiem. To tylko sugestia.

- Kto był na pokładzie "Złotego Słońca"? - zapytał Lawler.

Delagard policzył na palcach.

- Damis z Daną i ich mały chłopiec. Sidero Volkin. Sweynerowie. To sześcioro.

Każde imię spadało jak topór. Lawler pomyślał o zgarbionym starym wytwórcy narzędzi i jego przygarbionej, starej żonie. Jak zwinne były ręce Sweynera, jak biegle wykorzystywały niewielką ilość materiałów dostępnych na Hydros. Volkin, cieśla okrętowy, twardy i pracowity. Damis. Dana.

- Kto jeszcze?

- Niech pomyślę. Gdzieś mam listę, ale niech pomyślę. Hainowie? Nie, oni są z

Yanezem na "Trzech Księżycach". Ale Freddo Wong był tam i jego żona - jak ona ma na

imię, do diabła...

- Lucia - powiedziała Lis.

- Tak, Lucia. Freddo i Lucia Wong, i ta dziewczyna Berylda, ta z kucykami, i chyba młodszy brat Martina Yaneza. Tak. Tak.

- Jose - powiedział ktoś.

- Tak, Josc.

Lawler poczuł ukłucie bólu. Ten bystry, jasnooki chłopiec. Przyszły lekarz, który pewnego dnia miał przejąć od niego obowiązki uzdrowiciela.

Usłyszał głos mówiący:

- W porządku, to dziesięć. Ilu ich tam było na pokładzie? Czternastu? Więc musimy znaleźć jeszcze czterech.

Ludzie zaczęli podawać imiona. Po tylu tygodniach od chwili opuszczenia Sorve trudno było przypomnieć sobie, kto był na którym okręcie. Jednak wszyscy zgodnie twierdzili, że na pokładzie "Złotego Słońca" było czternaście osób.

Czternaście śmierci, pomyślał Lawler oszołomiony ogromem straty. Odczuł ją boleśnie. Była jego osobistą stratą. Ci ludzie dzielili jego życie, jego przeszłość. Odeszli. Odeszli bez ostrzeżenia, na zawsze. Prawie jedna piąta społeczności zginęła w jednej chwili. Na wyspie Sorve, jeśli mieli zły rok, zdarzały się dwa lub trzy zgony. Najczęściej nie było żadnego, a teraz czternaście naraz. Zaginięcie "Złotego Słońca" wytworzyło poszarpaną dziurę w tkance społeczności. Czy jednak ta społeczność nie była już rozproszona? Czy kiedykolwiek będą w stanie odbudować na Grayvard coś choćby podobnego do tego, co musieli pozostawić na Sorve?

Josc. Sawtelle'owie. Sweynerowie. Wongowie. Volkin. Berylda Cray. I czworo innych.

Lawler pozostawił ich wciąż dyskutujących na mostku i zszedł pod pokład. W chwilę po wejściu do kabiny miał w ręku flaszeczkę uśmierzychy. Osiem kropli, dziewięć, dziesięć, jedenaście. Powiedzmy tuzin, dobrze? Tak. Tak. Tuzin. Cóż, do diabła. Podwójna dawka: to powinno ukoić każdy ból.

- Val? - Głos Sundiry za drzwiami kabiny. - Dobrze się czujesz?

Wpuścił ją. Jej spojrzenie powędrowało do szklanki w jego ręce, a potem z powrotem do twarzy.

- Boże, naprawdę to przeżywasz, prawda?

- Jak utratę własnych palców.

- Czy dużo dla ciebie znaczyli?

- Niektórzy tak. - Uśmierzycha już działała. Poczuł, że ostrze bólu tępieje. Własny głos brzmiał głucho w jego uszach. - Inni byli tylko ludźmi, których znałem, częścią scenerii wyspy, starymi, znanymi twarzami. Jeden był moim uczniem.

- Jose Yanez.

- Znałaś go? Uśmiechnęła się smutno.

- Słodki chłopak. Kiedyś pływałam, a on podszedł i rozmawialiśmy przez chwilę.

Głównie o tobie. Uwielbiał cię, Val. Nawet bardziej niż swojego brata, który był kapitanem statku. - Na jej twarzy pojawił się grymas. - Chyba jeszcze wszystko pogarszam zamiast naprawić.

- Nie... naprawdę...

Język mu zdrętwiał. Lawler wiedział, że wziął za dużą dawkę nalewki.

Sundira wyjęła mu szklankę z rąk i odstawiła na bok.

- Przykro mi - powiedziała. - Chciałam pomóc. Podejdź bliżej, chciał powiedzieć

Lawler, ale jakoś nie

mógł powiedzieć i nie powiedział. Mimo to wydawała się go rozumieć.

\* \* \*

Przez dwa dni flota stała na kotwicy pośrodku pustki, A Delagard i Dag Tharp przeszukiwali wszystkie częstotliwości radiowe, starając się złapać "Złote Słońce". Udało im się znaleźć radiooperatorów z pół tuzina wysp, okręt o nazwie "Imperatorka Sunrise", kursujący jako prom po Morzu Lazurowym, pływającą stację górniczą pracującą gdzieś daleko na północy, istnienie której było całkowitą niespodzianką, maniła dla Delagarda. Ze "Złotego Słońca" Tharp nie pochwycił nawet szeptu.

- No dobrze - powiedział w końcu Delagard. - Jeśli są jeszcze na powierzchni, może znajdą sposób, aby się z nami skontaktować. Jeśli nie, to nie znajdą. Jednak nie możemy tutaj stać bez końca.

- Czy dowiemy się kiedyś, co się z nimi stało? - zapytała Pilya Braun.

- Pewnie nie - powiedział Lawler. - To wielki ocean pełen niebezpieczeństw, o jakich nie mamy pojęcia.

- Gdybyśmy je znali - powiedział Dann Henders - mielibyśmy większą szansę zabezpieczyć się na wypadek, gdyby nam przydarzyło się to samo.

- Kiedy to coś pojawi się tutaj, aby dostać nas - powiedział Lawler - dopiero wtedy dowiemy się, co to takiego. Nie wcześniej.

- A zatem miejmy nadzieję, że się nie dowiemy - powiedziała Pilya.

Pewnego dnia, wraz z gęstą mgłą i niespokojnym morzem, jakieś nieznane stworzenia w kształcie rombu z grubymi, mocno wypukłymi, zielonymi muszlami na grzbietach pojawiły się przy okręcie i towarzyszyły mu jakiś czas. Wyglądały jak pływające tankowce wyposażone w płetwy. Ich uzbrojone głowy były płaskie i pękate, o ostro zakończonych pyskach, oczach jak lodowate białe szpareczki i cofniętych szczękach, co nadawało im nieubłagany wyraz. Lawler przyglądał się im, stojąc przy nadburciu, gdy zjawił się przy nim Onyos Felk i zapytał:

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać, doktorze?

Felk należał do Pierwszych Rodzin, podobnie jak Lawler, choć to nie miało żadnego znaczeni teraz, gdy społeczność Sorve wyruszyła na morze. Kartograf miał około pięćdziesięciu lat, był upartym, krótkonogim i grubokościstym człowieczkiem, który nigdy się nie ożenił. Przypuszczalnie wiedział dużo na temat geografii Hydros oraz jej mórz, i gdyby w minionych latach wszystko ułożyło się inaczej, z pewnością to on, a nie Nid Delagard, kontrolowałby stocznie na Sorve; lecz Felk miał reputację pechowca i często popełniał błędy.

- Nie czujesz się dobrze, Onyos? - zapytał Lawler.

- Ty też nie będziesz, kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia. Zejdźmy pod pokład.

W swojej kabinie w nadbudówce dziobowej Felk pokazał mu niewielką, zielonkawą mapę morską w kształcie globusa, chociaż o wiele mniej skomplikowaną od tej, napędzanej zegarem, która należała do Delagarda. Globus Felka musiał być nakręcany drewnianym kluczem, a położenie wysp należało ustawiać ręcznie za każdym razem od nowa; zabawka w porównaniu ze spektakularnym urządzeniem Delagarda. Po kilku chwilach ustawiania Felk wyciągnął mapę w stronę Lawlera i powiedział:



- W porządku. Patrz uważnie, tutaj. To jest Sorve, o tu. To jest Grayvard, tak daleko od niej na północny zachód. A to jest trasa naszej podróży.

Napisy na mapie były wytarte, spłowiałe i bardzo trudne do odcyfrowania. Wyspy znajdowały się tak blisko jedna drugiej, że Lawlerowi trudno było zrozumieć, co widzi, nawet w miejscach, gdzie był w stanie odczytać napisy. Podążył jednak za wskazującym palcem Felka na zachód, wokół globusa, i kiedy kartograf pokazywał od początku ich podróz, Lawler zaczął przekładać symbole na mapie na trasę ich podróży.

- Tutaj byliśmy, kiedy sieć porwała Struvina. Tu zobaczyliśmy Skrzelowców budujących nową wyspę. A teraz tutaj wkroczyliśmy na Morze Żółte, zaś w tym miejscu taranorożce zaatakowały nas pierwszy raz. Tutaj natknęliśmy się na tę wielką Falę, która zepchnęła nas nieco z kursu, o tak. Nadążasz za mną?

- Mów dalej.

- Tutaj jest Morze Zielone. Tuż za nim jest miejsce, gdzie rósł koral. Tutaj mijaliśmy te dwie wyspy, jedną Skrzelowców, a potem tę drugą, o której Delagard mówił, że to Thetopal. A to miejsce, gdzie wpadliśmy w trzydniowy sztorm, który rozproszył flotę. Śluzica roiła się tutaj. Tu straciliśmy "Złote Słońce".

Gruby palec Felka znajdował się już daleko poza krzywizną globusa.

- Czy dostrzegasz coś dziwnego?

- Pokaż mi jeszcze raz Grayvard.

- Tutaj na górze. Na północny zachód od Sorve.

- Czy źle widzę, czy też może z powodu prądów morskich żeglujemy wprost na zachód, wzdłuż równika, zamiast na północ, w stronę Grayvard?

- My nie płyniemy na zachód - powiedział Felk. Lawler zmarszczył brwi.

- Nie?

- Mapa jest bardzo mała i trudno zobaczyć linie szerokości geograficznych, jeśli się nie jest do nich przyzwyczajonym. Jednak w rzeczywistości nie płyniemy na zachód, lecz oddalamy się na południowy zachód.

- Oddalamy się od Grayvard?

- Tak, oddalamy się od Grayvard.

- Jesteś tego absolutnie pewien?

W małych, czarnych oczach Felka pojawiła się przez moment ledwie powstrzymana wściekłość. Sztucznie opanowanym głosem powiedział:

- Dla dobra dyskusji załóżmy, że znam się na odczytywaniu map, dobrze, doktorze? A

kiedy wstaję rano i widzę, gdzie słońce wschodzi, pamiętam, gdzie zachodziło poprzedniego dnia i jeszcze poprzedniego, a także gdzie wschodziło przed tygodniem, i na podstawie tego umiem powiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu, czy płyniemy na północny zachód czy na południowy zachód, zgadza się?

- I przez cały ten czas płynęliśmy na południowy zachód?

- Nie. Wyruszyliśmy w prawidłowym, północno-zachodnim kierunku. Gdzieś koło wysp koralowych wyrównaliśmy, wracając na morza tropikalne i zaczęliśmy płynąć wprost na zachód, dokładnie wzdłuż równika, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że zbaczamy, dopóki nie minęliśmy tych wysp. Ponieważ to wcale nie była Thetopal. Nie tylko dlatego, że Thetopal znajduje się teraz znacznie dalej w strefie umiarkowanej, w pobliżu Grayvard, ale ponadto jest okrągła. Ta wyspa, którą mijaliśmy, miała kształt półksiężyca, pamiętasz? W rzeczywistości była to Hygala. Jest tutaj, na dole.

- Praktycznie na równiku.

- Tak. Powinniśmy być daleko na północ od Hygali, gdybyśmy płynęli w kierunku Grayvard. Tymczasem była na północ od nas. A kiedy Delagard ponownie obliczył nasze

położenie po tym, jak wichura roproszyła flotyllę, znowu ostro skręcił na południe. Jesteśmy teraz trochę poniżej równika. Można to rozpoznać po położeniu Krzyża, jeśli wie się cokolwiek o nocnym niebie. Myślę, że nie przyglądałeś się niebu, ale przynajmniej przez ostatni tydzień płyniemy z odchyleniem dokładnie dziewięćdziesięciu stopni od prawidłowego kursu. Czy chciałbyś zobaczyć, dokąd teraz zmierzamy? Czy już domyśliłeś się tego?

- Powiedz mi.

Felk powrócił do mapy.

- Oto miejsce, do którego właśnie żeglujemy. Nie widać tutaj żadnych wysp, prawda?

- Płyniemy na Morze Puste?

- Już na nim jesteśmy. Odkąd wyruszyliśmy, wyspy pokazywały się rzadko.

Minęliśmy tylko dwie, dwie i pół, w czasie całej podróży, a po Hygali nie było żadnych. I nie będzie. Morze Puste jest puste, ponieważ prądy nie przynoszą w tę stronę żadnych wysp, Gybyśmy byli na kursie do Grayvard, byłibyśmy daleko na północ od równika i minęlibyśmy już cztery wyspy. Barinan, Sivalak, Muril, Thetopal. Jeden, dwa, trzy, cztery. Podczas gdy tutaj nie ma nie prócz Hygali.

Lawler oglądał ćwiartkę mapy, którą Felk odwrócił w jego stronę. Zobaczył maleńki rogalik, który był Hygalą; na zachód i południe od niej widział tylko pustkę, pustkę i jeszcze raz pustkę, a potem, daleko po drugiej stronie globusa, ciemną plamę - to były Oblicza Wód.

- Czy sądzisz, że Delagard pomylił się, wytyczając nasz kurs?

- To ostatnia rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Delagardowie prowadzili okręty na tej planecie od czasu, kiedy była ona karną kolonią. Wiesz o tym. Przypuszczenie, że skierował nas na południowy zachód zamiast na północny-zachód, jest równie prawdopodobne jak to, że podpisując się, zaczniesz pisać wspak.

Lawler przyłożył kciuki do skroni i mocno ścisnął.

- Na rany Chrystusa, dlaczego Nid miałby płynąć na Morze Puste?

- Sądziłem, że może zechcesz go o to zapytać.

- Ja?

- Czasami wydaje się, że darzy cię odrobiną szacunku - powiedział Felk. - Może odpowie ci szczerze. Może nie. Jednak nie ulega wątpliwości, że nic nie powie mnie, prawda? Prawda?

Kinverson pracowicie układał haczyki i sprzęt, przygotowując się do połowów, kiedy Lawler odnalazł go chwilę później tego ranka. Niechętnie podniósł oczy obserwując Lawlera z doskonałą obojętnością, jakiej Lawler mógłby oczekiwać po wyspie, toporze albo Skrzelowcu. Następnie wrócił do swojego zajęcia.

- No więc zboczyliśmy z kursu. Wiedziałem o tym. Co to ma wspólnego ze mną, doktorze?

- Wiedziałeś?

- Te wody nie wyglądają na wody północne.

- Wiedziałeś przez cały czas, że kierujemy się na Morze Puste? I nikomu o tym nie powiedziałeś?

- Wiem, że zboczyliśmy z kursu, ale nie muszę wiedzieć, że kierujemy się na Morze Puste.

- Felk mówi, że tak. Pokazał mi to na mapie.

- Felk nie zawsze ma rację, doktorze.

- Powiedzmy, że tym razem ma.

- No więc, płyniemy na Puste - powiedział spokojnie Kinverson. - I co z tego?

- Zamiast na Grayvard.

- I co z tego? - powtórzył Kinverson. Podniósł haczyk, podumał nad nim, ścisnął go zębami i wykręcił w drugą stronę.

To do niczego nie prowadzi.

- Nie obchodzi cię ani trochę, że płyniemy w złym kierunku?

- Nie. Dlaczego, do diabła, miałyby mnie obchodzić? Jedna śmierdząca wyspa jest zupełnie taka sama jak druga. Nie obchodzi mnie, gdzie w końcu zamieszkamy.

- Na Pustym Morzu nie ma żadnych wysp, Gabe.

- To będziemy mieszkać na okręcie. Co z tego? Całkiem dobrze mogę żyć na Morzu Pustym. Czy nie ma w nim ryb, doktorze? Mówi się, że nie ma ich tutaj wiele, ale pewnie są, jeśli jest tu woda. A jeśli gdzieś są ryby, to ja mogę tam żyć. Gdybym musiał, mieszkałbym nawet w mojej starej łódce.

- Więc dlaczego nie mieszkałeś w niej przez cały czas? - zapytał Lawler, zaczynając czuć złość.

- Ponieważ przypadkiem zamieszkałem na Sorve. Jednak równie łatwo mogłem mieszkać na mojej łodzi. Czy ty uważasz, że te wyspy są tak cholernie cudowne, doktorze? Przez cały czas depczesz po drewnianych deskach, żywisz się rybą i wodorostami, jest za gorąco, gdy świeci słońce, i za zimno, kiedy pada deszcz, i to jest życie. Przynajmniej nasze życie. Niewiele. Jest mi więc wszystko jedno, czy to Sorve, czy Salimil, czy kabina na "Królowej Hydros", czy pieprzona łódka. Chcę po prostu mieć co jeść, kiedy jestem głodny, i położyć się, kiedy jestem zmęczony, oraz pozostać przy życiu aż do śmierci, czy to jasne? Prawdopodobnie była to najdłuższa mowa, jaką Kinverson wygłosił kiedykolwiek w swoim życiu. Sam wydawał się zdziwiony tym, że powiedział tak dużo. Kiedy skończył, przez chwilę zimno patrzył na Lawlera z widocznym gniewem i irytacją. Potem wrócił do swoich haczyków i sprzętu.

Lawler powiedział:

- Nie przeszkadza ci, że nasz wielki wódz prowadzi nas na nieznane terytorium i nie trzusi się nawet, żeby nas o tym powiadomić?

- Nie. Nie przeszkadza mi. Nie przeszkadza mi nic oprócz ludzi, którzy przeszkadzają mi za bardzo. Przyjmuję każdy dzień, jaki jest. Zostaw mnie w spokoju, doktorze. Mam robotę?

\* \* \*

- Chcesz teraz przeprowadzić te rozmowy? - spytał Dag Tharp. - Jesteś o godzinę za wcześnie, prawda?

- Być może. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Jak sobie życzysz. - Ręce Tharpa poruszały się przy tarczach i pokrętlach. - Jeśli chcesz rozmawiać teraz, wywołamy ich wcześniej. Tylko nie zrzucaj winy na mnie, jeśli nie wszyscy będą gotowi.

- Daj mi najpierw Bambera Cadrella.

- Zwykle rozmawiasz najpierw z "Gwiazdą".

- Wiem. Dzisiaj wezwij Cadrella. Tharp popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Co cię dziś ugryzło, doktorze?

- Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia Cadrellowi, zobaczysz, co mnie ugryzło.

Wezwij go, proszę.

- Dobrze. Dobrze. - Ze stołu, na którym stał sprzęt, rozległy się szумы i trzaski. - Ta przeklęta mgła - wymamrotał Tharp. - Cud, że sprzęt nie gnije. "Bogini", zgłoś się. "Bogini", zgłoś się. Tu "Królowa". "Bogini", "Bogini", zgłoś się.

- "Królowa", tu "Bogini". - Chłopięcy, wysoki, piskliwy głos Barda, syna Nicko Thalheima, z pokładu "Bogini Sorve".

- Powiedz mu, że chcę rozmawiać z Cadrellem - powiedział Lawler.

Tharp rzucił kilka słów do mikrofonu. Lawler nie dosłyszał dźwięcznej odpowiedzi.

- Co powiedział?

- Mówi, że Bamber jest przy sterze. Jego wachta kończy się za dwie godziny.

- Powiedz mu, aby natychmiast sprowadził Bambera na dół, do mikrofonu. Mam ważną sprawę.

Znowu szumy i trzaski. Chłopiec chyba sprzeciwiał się. Tharp powtórzył prośbę

Lawlera i z drugiej strony zapadła cisza na około minutę.

Potem usłyszeli głos Bambera Cadrella.

- Co jest tak cholernie pilne, doktorze?

- Powiem ci, tylko odeślij chłopca.

- On jest moim radiooperatorem.

- Wspaniale. Nie chcę jednak, aby usłyszał to, co mam do powiedzenia.

- Jakieś problemy, doktorze?

- Czy on tam jeszcze jest?

- Odesłałem go. Co się dzieje?

- Zboczyliśmy z kursu o dziewięćdziesiąt stopni, jesteśmy na wodach równikowych i

kierujemy się na południe, południowy zachód. Delagard prowadzi nas na Morze Puste. - Dag

Tharp stojący obok Lawlera ze zdumienia wstrzymał oddech. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę, Bamber?

Kolejne długie milczenie ze strony "Bogini Sorve".

- Oczywiście, że tak, doktorze. Uważasz mnie za kiepskiego marynarza?

- Morze Puste, Bamber.

- W porządku. Słyszałem.

- Mieliśmy płynąć na Grayvard.
- Wiem o tym, doktorze.
- Czy twoim zdaniem to w porządku, że płyniemy w złym kierunku?
- Zakładam, że Delagard wie, co robi.
- Zakładasz?
- To jego okręty, ja tylko dla niego pracuję. Kiedy zaczęliśmy zbaczać na południe, domyśliłem się, że na północy muszą być jakieś kłopoty, może sztorm albo coś innego, co on chce ominąć. W jego posiadaniu są wszystkie dobre mapy, doktorze. My po prostu podążamy wyznaczonym przez niego kursem.
- Prosto na Morze Puste?
- Delagard nie jest szalony - powiedział Cadrell. - Niedługo zawrócimy na północ. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.
- Nie chciałeś zapytać go, skąd ta zmiana kursu?
- Powiedziałem ci: zakładam, że jest to uzasadnione. Zakładam, że on wie, co robi.
- Cholernie dużo zakładasz - powiedział Lawler.

Tharp podniósł wzrok znad radia. Jego oczy, zwykle schowane w pomarszczonych fałdach ciała, były błyszczące i wielkie ze zdziwienia.

- Morze Puste?
- Na to wygląda.
- Przecież to szaleństwo!
- Jednak nie. Na razie udawaj, że tego nie słyszałeś, dobrze, Dag? Daj mi teraz Martina Yaneza.
- Nie Stayvola? Zawsze rozmawiasz najpierw ze Stayvolem.
- Yaneza - powiedział Lawler, starając się wymazać z pamięci obraz uśmiechającego



się do niego Josca.

Chwila manipulowania gałkami i przez piski zakłóceń usłyszeli głos radiooperatora

“Trzech Księżyców” - była nim jedna z dziewcząt Haina, Lawler nie pamiętał która - a potem,

chwilę później, głęboki, spokojny głos Martina Yaneza, mówiący:

- Nie mamy nic do zameldowania, doktorze, dzisiaj wszyscy zdrowi.

- To nie jest rutynowa kontrola medyczna - powiedział Lawler.

- A więc co? Czy mieliście jakieś wieści ze “Złotego Słońca”? - W głosie Yaneza

pojawiło się nagłe podniecenie, zapał, nadzieja.

- Niestety, nie - cicho powiedział Lawler.

- Aha!

- Chciałem dowiedzieć się, co sądzisz o naszej zmianie kursu.

- Co masz na myśli?

- Nie wciskaj mi kitu, Martin. Proszę.

- Od kiedy to lekarz interesuje się nawigacją?

- Powiedziałem, nie wciskaj mi kitu.

- Jesteś teraz nawigatorem, doktorze?

- Jestem stroną zainteresowaną. Wszyscy jesteśmy. To również moje życie. O co

chodzi, Martin? Czy siedzisz tak głęboko w kieszeni Delagarda, że mi nie powiesz?

- Mówisz, jakbyś był mocno rozgniewany - powiedział Yanez. - Zrobiliśmy obejście

na południe. Co z tego?

- Dlaczego to zrobiliśmy?

- Powinieneś zapytać o to Delagarda.

- A ty pytałeś?

- Ja nie potrzebuję. Po prostu idę po wyznaczonym kursie. On skręca na południe i ja

też skręcam na południe.

- Bamber powiedział mniej więcej to samo. Czy wy, chłopcy, jesteście marionetkami, że pozwalacie mu pociągać za sznurki, jak mu się podoba? Jezu, Martin, dlaczego my już nie płyniemy na Grayvard?

- Powiedziałem ci. Zapytaj Delagarda.

- Mam zamiar. Przedtem chciałem dowiedzieć się, co inni kapitanowie sądzą o tym, że płyniemy na Morze Puste.

- Czy to właśnie robimy? - zapytał Yanez jak zawsze spokojnym głosem. - Myślałem, że tylko zataczamy krótki łuk na południe, z przyczyn, o jakich Delagard nic nie mówi. O ile wiem, Grayvard jest w dalszym ciągu naszym ostatecznym celem.

- Naprawdę w to wierzysz?

- A jeśli powiem, że tak, czy mi uwierzysz?

- Chciałbym.

- To prawda, doktorze. Jak to, że kochałem mojego brata, przysięgam na Boga.

Delagard nie powiedział ani słowa o zmianie, a ja nie pytałem, tak samo jak Bamber i Poilin.

Zakładam, że siostry nie zdają sobie nawet sprawy, że zeszliśmy z kursu.

- Więc rozmawiałeś o tym z Cadrellem i Stayvolem?

- Oczywiście.

- Stayvol jest bardzo blisko z Delagardem. Niezbyt mu ufam. Co powiedział?

- Jest równie zdziwiony jak my.

- Naprawdę?

- Tak. A cóż to za różnica? Wszyscy płyniemy za Delagardem. Jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje, zapytaj jego. A jeśli ci powie, powiedz mi, doktorze.

- Obiecuję.

- Chcesz, żebym wezwał Stayvola? - zapytał Dag Tharp.

- Nie. Chyba go sobie podaruję. Tharp potarł skórę na szyi.

- Do diabła - powiedział. - Do diabła, do diabła.

Sądysz, że to spisek? Kapitanowie knują coś i nic nam nie mówią?

- Wierzę Martinowi Yanezowi. Gdyby coś się działo, i Delagard mógłby dopuścić do tajemnicy Stayvola, ale na pewno nie tamtych dwóch.

- A Damis Sawtelle?

- Co z nim?

- Załóżmy, że gdy zauważył zmianę kursu, zapytał przez radio Delagarda, o co chodzi, a Delagard powiedział, że to nie jego pieprzony interes, więc Damis zdenerwował się tak bardzo, że zmienił w nocy kurs i sam popłynął prosto jak strzełił w kierunku Grayvard. Damis ma dość wybuchowy temperament, jak wiesz. Tak więc jest tam, o tysiąc kilometrów od nas, i kiedy wysyłaliśmy sygnały radiowe, usiłując go znaleźć, zwyczajnie nas zignorował, ponieważ porzucił flotyllę.

- To miła teoria. Tylko czy Delagard umie obsługiwać ten aparat radiowy?

- Nie - odpowiedział Tharp. - Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- Więc jak Damis mógł kontaktować się z nim, jeśli ty nie przyjmowałaś wezwania?

- Słuszna uwaga.

- Sawtelle nie odłączył się tak po prostu i nie popłynął samotnie. Mogę się założyć,

Dag. "Złote Słońce" leży na dnie morza z Damisem Sawtelle'em i wszystkimi pozostałymi.

Coś, co żyje w tym oceanie, podpląnęło w nocy i zatopiło ich szybko i cicho, coś bardzo sprytne i pomysłowe, a jeśli będziemy mieli szczęście, nigdy nie dowiemy się, co to było. Nie ma sensu myśleć teraz o "Złotym Słońcu". Musimy się dowiedzieć, dlaczego płyniemy na południe zamiast na północ.

- Porozmawiasz z Delagardem, doktorze?

- Sądzę, że powinienem - powiedział Lawler.

Delagard właśnie zszedł z wachty. Wyglądał na zmęczonego. Jego szerokie ramiona były pochylone do przodu, głowa opuszczona ze znużenia. Kiedy zaczął schodzić do swojej kwatery, zawołał go Lawler.

- O co chodzi, doktorze?

- Czy możemy porozmawiać?

Jego powieki na moment opadły w dół.

- Teraz?

- Tak.

- W porządku. Chodź ze mną na dół.

Kajuta Delagarda, ponad dwukrotnie większa od kajuty Lawlera, była zasypana brudnymi częściami garderoby, pustymi butelkami po brandy, najróżniejszymi fragmentami okrętowego sprzętu, nawet książkami. Książki na Hydros były tak wielką rzadkością, że zdumiewało Lawlera, iż ktoś mógł je tak niedbale rozrzucić.

- Chcesz drinka? - zapytał Delagard.

- Na razie nie. Nie przeszkadzaj sobie. - Lawler zawahał się przez chwilę. - Pojawił się mały problem, Nid. Wydaje się, że przypadkowo zeszliśmy z kursu.

- Czyżby? - Głos Delagarda nie wyrażał zdziwienia.

- Wygląda na to, że jesteśmy po niewłaściwej stronie równika. Płyniemy na południe, południowy zachód zamiast na północ, północny zachód. Odbiega to dość znacznie od zamierzonego planu.

- Tak daleko od kursu? - powiedział Delagard. Było to bardzo nieudolnie fingowane

zdziwienie. - Płyniemy w przeciwną stronę? - Bawił się kieliszkiem brandy, potarł prawy

obojczyk, jakby go zabołał, poukładał kilka przedmiotów porozrzucanych na stole. - Jeśli to

prawda, jest to cholernie poważny błąd w nawigacji. Ktoś musiał się podkraść do kompasu i przestawić go, zamierzając nas oszukać. Jesteś tego zupełnie pewien, doktorze?

- Przestań pieprzyć. Za późno. Co ty knujesz, Nid?

- Przecież nie znasz się na nawigacji. Skąd wiesz, w którym kierunku płyniemy?

- Konsultowałem się z ekspertami.

- Z Onyosem Felkiem? Tym głupim starym- wypierdkiem?

- Tak, rozmawiałem z nim. Między innymi. Zgadza się, że Onyos nie jest niezawodny. Lecz inni są. Wierz mi.

Delagard rzucił Lawlerowi mordercze spojrzenie; zwężone oczy, zaciśnięte szczęki.

Potem uspokoił się; wypił i znów napełnił szklaneczkę, po czym zapadł w długie milczenie.

- W porządku - powiedział na koniec. - Pora dopuścić cię do tajemnicy. Tym razem

Felk ma rację. Nie płyniemy na Grayvard.

Spokój i pewność siebie Delagarda uderzyły Lawlera mocnym, szybkim ciosem.

- Jezu Chryste, Nid. Dlaczego?

- Na Grayvard nas nie chcą. Nigdy nie chcieli. Sprzedali mi tę samą gównianą historię jak inne wyspy, że mają miejsce może dla dwunastu uciekinierów, na pewno nie dla wszystkich. Pociągałem za wszystkie możliwe sznurki. Obstawali przy swoim. Zostaliśmy na lodzie, z ręką w nocniku, nie mamy gdzie się podziać.

- A więc kłamałeś od samego początku naszej podróży? Przez cały czas planowałeś zabrać nas na Morze Puste? Co ty, do diabła, knujesz? Dlaczego ze wszystkich miejsc wybrałeś właśnie to? - Lawler potrząsnął głową. - Ty naprawdę masz fioła, Nid.

- Nie okłamywałem wszystkich. Powiedziałem prawdę Gospo Struvinowi i ojcu Quillanowi.

- Myślę, że rozumiem, dlaczego powiedziałaś Gospo. Był twoim najlepszym

kapitanem liniowym. Ale dlaczego Quillan?

- Mówię mu wiele rzeczy.

- Jesteś teraz katolikiem? To twój spowiednik?

- To mój przyjaciel. Ma wiele ciekawych pomysłów.

- Och, z pewnością. A jakiż to interesujący pomysł ma ojciec Quillan co do kursu, jaki powinniśmy obrać? - zapytał Lawler. Wydawało mu się, że śni. - Czy powiedział ci, że przez modlitwy oraz hart ducha może uczynić dla nas cud? Czy może zaoferował się wyczarować dla nas jakąś miłą nie zamieszkaną wyspę na Morzu Pustym, na której moglibyśmy założyć gospodarstwo?

- Powiedział mi, że powinniśmy płynąć do Obliczy Wód - powiedział chłodno Delagard.

Kolejny cios, mocniejszy od pierwszego. Lawler wytrzeszczył oczy. Poczęstował się sporym łykiem brandy Delagarda i odczekał chwilę, aż zacznie działać. Delagard siedząc po drugiej stronie stołu, przyglądał mu się cierpliwie, czujnie, ze spokojem, a może nawet rozbawieniem.

- Oblicza Wód - powiedział Lawler, gdy uspokoił się na tyle, że mógł znowu mówić. -

Tak powiedziałaś. Oblicza Wód.

- Tak, doktorze.

- A dlaczego, możesz mi wyjaśnić, ojciec Quillan uznał podróż do Obliczy za wspaniały pomysł?

- Ponieważ wiedział, że zawsze chciałem tam popłynąć. Lawler potakująco skinął głową. Poczul ogarniającą go głęboką rozpacz. Kolejny drink wydawał się dobrym pomysłem.

- Pewnie. Ojciec Quillan wierzy w dobrodziejstwo irracjonalnych odruchów. A skoro

nie mieliśmy gdzie się podziać, mogłeś równie dobrze zabrać całą pieprzoną bandę na drugą półkulę, do najdziwniejszego, najbardziej odległego miejsca na Hydros, o którym nikt nie wie absolutnie nic poza tym, że nawet Skrzelowcy nie mają dość odwagi, aby się tam zbliżyć?

- Dokładnie tak. - Delagard nie zareagował na sarkazm, uśmiechając się łagodnie.

- Ojciec Quillan udziela wspaniałych rad. Dlatego odnosi takie sukcesy jako duchowny.

Z przedziwnym spokojem Delagard kontynuował:

- Pytałem cię kiedyś, czy pamiętasz historie, które opowiadał nam kiedyś Jolly o Obliczach.

- Te bajki? Tak.

- Mniej więcej to samo powiedziałaś wtedy. Ale czy je pamiętasz?

- Sprawdźmy. Jolly twierdził, że zdołał dotrzeć samotnie aż na Morze Puste, gdzie odnalazł Oblicza, które, jak mówił, są dużą wyspą, o wiele większą niż którakolwiek z wysp Skrzelowców, ciepłą i żyzną krainą z dziwnymi, wysokimi roślinami owocowymi oraz jeziorami słodkiej wody obfitującymi w ryby.

Lawler zastanawiał się przez chwilę, grzebiąc w pamięci.

- To było tak cudowne miejsce, że chętnie pozostałby tam na zawsze. Jednak pewnego dnia, gdy wypłynął na ryby, burza zniosła go na morze, stracił kompas i jak sądzę, do tego wszystkiego dostał się w Falę, a kiedy odzyskał kontrolę nad łodzią, był już w połowie drogi do domu, nie wiedząc, jak się dostać do Obliczy. Popłynął więc dalej, na Sorve, i próbował namówić ludzi, aby popłynęli z nim z powrotem, nikt jednak nie chciał. Wyśmiano go. Nie wierzono ani jednemu jego słowu. W końcu postradał zmysły. Czy tak?

- Tak - powiedział Delagard. - To z grubsza cała historia.

- Wspaniale. Gdybym miał wciąż dziesięć lat, odchodziłbym od zmysłów z zachwytem,



że płyniemy złożyć wizytę Obliczom Wód.

- Powinieneś, doktorze. Będzie to największa przygoda naszego życia.

- Czyżby?

- Miałem czternaście lat, kiedy wrócił Jolly - powiedział Delagard. - I słuchałem tego, co mówił. Słuchałem bardzo uważnie. Może był szalony, ale nie dla mnie, przynajmniej nie na początku i wierzyłem mu. Wielki, bogaty, żyzny, nie zamieszkały ląd, jakby czekający na nas - bez śmierdzących Skrzelowców wchodzących nam w drogę! To raj. Kraina mlekiem i miodem płynąca. Miejsce cudów. Ty chcesz utrzymać społeczność razem, prawda? Dlaczego więc, do diabła, mamy tłoczyć się w jakimś kącie obcej wyspy i żyć jak żebracy z cudzej łaski? Jak inaczej mogę wynagrodzić wszystkim krzywdę, jaką im wyrządziłem? Zabieram ich do raj.

Lawler przyglądał mu się uważnie.

- Cholera, ty postradałeś zmysły, Nidi

- Nie sądzę. Oblicza są w zasięgu ręki i możemy je zdobyć. Skrzelowcy czują wobec nich taki przesądny lęk, że będą trzymali się z daleka. My nie. Możemy się tam osiedlić, możemy budować i uprawiać. Możemy sprawić, że da nam to, czego najbardziej pragniemy.

- A czego najbardziej pragniemy? - podsunął Lawler, czując, że zaczyna dryfować, oderwawszy się od planety i odpływając w ciemność kosmosu.

- Siły - powiedział Delagard. - Władzy. Chcemy rządzić tym miejscem. Wystarczająco długo żyliśmy na Hydros jak żalosni, patetyczni wygnańcy. Czas, abyśmy zmusili Skrzelowców do całowania naszych tyłków. Chciałbym zbudować osadę na Obliczach, dwadzieścia razy większą niż jakakolwiek istniejąca wyspa Skrzelowców - pięćdziesiąt razy większą - i założyć tam prawdziwą społeczność, pięć tysięcy ludzi, dziesięć, uruchomić port kosmiczny i rozpocząć handel z innymi zamieszkanymi przez ludzi planetami tej pieprzonej

galaktyki, I zacząć wreszcie żyć jak prawdziwi ludzie, zamiast łapać nieszczęsne, ociekające wodą formy życia, dryfując z kąta w kąt oceanu, jak to robimy od stu pięćdziesięciu lat.

- Mówisz o tym tak spokojnie. Takim racjonalnym tonem.

- Myślisz, że oszalałem?

- Może tak, może nie. Co jednak naprawdę myślę - to że jesteś potwornie samolubnym sukinsynem. W ten sposób robisz z nas wszystkich zakładników swojej dziwacznej fantazji.

Jeśli Grayvard nie chciała nas przyjąć, mogłeś zostawiać po kilku z nas na

- Sam powiedziałaś, że nie chcesz tego. Pamiętasz?

- A czy tak jest lepiej? Wlec nas ze sobą aż tutaj? Ryzykując życie nas wszystkich, kiedy ty uganiasz się mirażami?

- Tak. Tak jest lepiej.

- Ty draniu. Ty absolutny, skończony draniu. Naprawdę jesteś szalony!

- Nie, nie jestem - powiedział Delagard. - Szykowałem to od lat. Pół życia spędziłem, myśląc o tym. Bez J końca wypytywałem Jolly'ego. Jestem zupełnie pewien, że odbył podróż, o której opowiadał, a Oblicza są takie, jak je opisywał. Przez lata planowałem wyprawę do tego miejsca. Gospo wiedział o tym. On i ja zamierzaliśmy popłynąć tam razem. Być może za jakieś pięć lat, albo coś koło tego. Więc Skrzelowcy dostarczyli mi dobrego pretekstu, wyrzucając nas z Sorve, a gdy inne wyspy także nie chciały nas przyjąć, pomyślałem, że nadszedł właściwy moment, jedyna i okazja. Chwytaj ją, Nid. I tak zrobiłem.

- Więc zamyślałeś to od czasu, gdy opuściliśmy Sorve?

- Tak.

- Jednak nie powiedziałaś o tym nawet kapitanom.

- Tylko Gospo.

- Który uznał to za wspaniały pomysł.

- Oczywiście - powiedział Delagard. - Zawsze był . po mojej stronie. Podobnie ojciec Quillan, kiedy mu powiedziałem. Ojciec zgadza się ze mną całkowicie.

- Z pewnością. Im dziwniej, tym lepiej dla niego. Im dalej od cywilizacji może się ukryć, tym bardziej mu się podoba. Oblicza są dla niego Ziemią Obiecaną. Kiedy tam dopłyniemy będzie mógł założyć w tym kraju mlekiem i miodem płynącym swój Kościół, w którym sam będzie duchownym, kardynałem, papieżem lub czymkolwiek zechce się nazwać - podczas gdy ty stworzysz imperium, co, Nid? I wszyscy będą szczęśliwi.

- A więc to wszystko zostało ukartowane. Jesteśmy na krawędzi Pustego Morza z każdą minutą zapuszczamy się w Me głębiej.

- Nie podoba ci się, doktorze? Chcesz wysiąść z okrętu? Proszę bardzo. Płyniemy naprzód, czy ci się to podoba czy nie.

- A twoi kapitanowie? Czy sądzisz, że pójdą z tobą, gdy dowiedzą się, jaki jest prawdziwy cel?

- Założę się, że tak. Popłyną, dokąd im rozkażę. Tak zawsze było i zawsze będzie.

Siostry mogą nie popłynąć, jeśli domyśla się, dokąd naprawdę płyniemy. No i dobrze. Nie ma z nich pożytku, z tych szalonych czarownic. Kiedy dotrzemy do Obliczy, będą z nimi same kłopoty. Lecz Stayvol popłynie wszędzie, gdzie go poprowadzę. I Bamber, i Martin. Ten biedny drań Damis także popłynąłby. Dokładnie na wprost Obliczy. To nie ulega wątpliwości.

Dotrzemy tam i zbudujemy największe, najbogatsze cholerne miejsce, jakie kiedykolwiek widziano na Hydros, a potem będziemy żyli szczęśliwie na wieki. Zaufaj mi, tak będzie.

Chcesz jeszcze trochę brandy, doktorze? Tak. Myślę, że chcesz. Proszę. Wypij solidny łyk. Wyglądasz tak, jakbyś go potrzebował.

Ojciec Quillan stał przy nadburciu, wbijając ekstatyczny wzrok w przestrzeń, która wydawała się jeszcze bardziej pusta niż bezkresna pustynia wód, które już przemierzili, i

wyglądał, jakby był tym razem w swym uduchowionym nastroju. Jego twarz była zarumieniona, a oczy lśniły.

- Tak - powiedział. - Powiedziałem Delagardowi, że powinien odbyć tę podróż do Obliczy.

- Kiedy to było? Jeszcze na Sorve?

- Och nie. Już na morzu. Niedługo po tym, jak Gospo Struvin został zabity. Delagard, jak wiesz, bardzo ciężko przeżył śmierć Gospo. Przyszedł do mnie i powiedział: Ojczy, nie jestem wierzący, ale potrzebuję z kimś porozmawiać. A ty jesteś tutaj jedynym, któremu mogę zaufać. Może ty mi pomożesz. I opowiedział mi o Obliczach. Jak wyglądają, dlaczego chce tam popłynąć. I o planie, który opracowali razem z Gospo. Nie wiedział, co począć, gdy tamtego zabrakło. Wciąż chciał płynąć do Obliczy, ale nie był pewien, czy potrafi doprowadzić podróż do końca. Długo dyskutowaliśmy o Obliczach Wód. Wyjaśnił mi dokładnie jego charakter, tak jak słyszał od starego żeglarza, dawno temu. A gdy opowiedział mi tę historię, zachęciłem go, aby nie rezygnował z realizacji planów, nawet bez Gospo. Rozumiałem znaczenie tego przedsięwzięcia i powiedziałem mu, że jest jedynym człowiekiem na tej planecie, który może je przeprowadzić. Nie można pozwolić, powiedziałem mu, aby cokolwiek stanęło na jego drodze. Dalej, prowadź nas do tego raj, na tę nieskalaną wyspę, gdzie zaczniemy wszystko od nowa. A on zmienił kurs i skierował okręt na południe.

- A dlaczego - ostrożnie zapytał Lawler - uważasz, że będziemy w stanie zacząć wszystko od nowa na tej nieskalanej wyspie, na którą zabieracie nas z Delagardem? Nie więcej niż garstkę ludzi, którzy osiedlą się w niezbadanej ziemi, zupełnie im nie znanej?

- Ponieważ - powiedział Quillan spokojnym, bezbarwnym głosem, głosem tak mocnym, że mógłby wyryć te słowa na metalowych płytach - ponieważ wierzę, że Oblicza są

po prostu rajem. Uważam, że to Eden. Dosłownie.

Lawler zmrużył oczy.

- Mówisz poważnie? Prawdziwy Eden, gdzie mieszkali Adam i Ewa? .

- Tak, prawdziwy Eden. Eden jest wszędzie tam, gdzie nie dotarł grzech pierworodny.

- A więc to od ciebie Delagard wziął ten pomysł, że Oblicza są rajem? Powinienem był się domyślić. Zakładam, że uważasz, iż mieszka tam sam Pan Bóg. A może ma tam tylko domek letniskowy?

- Nie wiem. Chciałbym jednak myśleć, że On tam jest. Jest zawsze wszędzie tam, gdzie jest raj.

- Pewnie - powiedział Lawler. - Stwórca wszechświata mieszka dokładnie tutaj, na Hydros, na gigantycznej, błotnistej wyspie, pokrytej płataniną wodorostów. Nie rozśmieszaj mnie, Ojczy. Nie jestem nawet pewien, czy wierzysz w Boga. Myślę, że najczęściej sam nie jesteś tego pewien.

- To prawda - powiedział duchowny.

- Wtedy gdy miewasz swoje "martwe" okresy.

- Tak. Okresy, gdy jestem zupełnie pewny, że ewoluowaliśmy ze zwierząt niższego rzędu, bez żadnego celu. Kiedy myślę, że ten cały proces wznoszenia się od ameby do człowieka na Ziemi, od jakiegoś mikroorganizmu do istoty czującej dowolnego gatunku na dowolnej planecie, jest równie automatyczny jak ruch planety wokół słońca i równie bezsensowny. Kiedy myślę, że rozpoczął się całkowicie samorzutnie. I że nic nim nie kieruje oprócz jego własnych, naturalnych praw.

- W to wierzysz najczęściej.

- Nie tak często. Jednak czasami. Przeważnie jest inaczej.

- Jak? W co wtedy wierzysz?

- Wierzę wtedy, że istnieje jakaś Pierwotna Przyczyna, która stworzyła to wszystko z powodów, których możemy nigdy nie poznać. I która kieruje całością ze swej wielkiej miłości do Swego dzieła. Bowiem Bóg jest miłością, jak powiedział Jezus, w tej części Biblii, którą ominałeś, a która mówi: Ten, który nie kocha, nie zna Boga, albowiem Bóg jest miłością. Bóg jest łącznikiem, kresem samotności, ostatecznym zjednoczeniem. I pewnego dnia weźmie nas wszystkich, choć na to nie zasługujemy, na swe łono, gdzie będziemy żyć wiecznie w chwale, wolni od wszelkiego bólu.

- I w to wierzysz przez większość czasu.

- Tak. Czy ty mógłbyś uwierzyć?

- Nie - powiedział Lawler. - Chciałbym. Jednak nie mogę.

- Wydaje ci się więc, że wszystko dzieje się bez celu?

- Niezupełnie. Jednak my nigdy nie poznamy tego celu. Nie dowiemy się też, co to za cel. Ani czyj on jest. Dzieją się różne rzeczy, takie jak zniknięcie "Złotego Słońca" w nocy, a my wcale nie musimy dowiedzieć się dlaczego. A kiedy umieramy, nie będzie żadnego łona ani dalszego życia w chwale. Nie będzie nic.

- Och - powiedział duchowny, kiwając głową. - Mój biedny przyjacielu. Przeżywasz każdy dzień w stanie, w jaki ja zapadam w chwilach najczarniejszej rozpacz.

- Być może. Jakoś to znoszę.

Lawler zmrużył oczy i spojrzał na południowy zachód, ponad lśniąca powierzchnią morza, jakby oczekiwał, że lada moment pojawi się tam rozległy kontur lądu. Bolała go głowa. Miał ochotę utopić ból w nalewce z uśmierzycy.

- Modłę się, żebyś pewnego dnia, jak najszybciej, mógł nareszcie ukoić swój ból - powiedział Quillan.

- Rozumiem - powiedział Lawler ponurym głosem.

- Naprawdę rozumiesz? Naprawdę?

- Rozumiem, że dla zaspokojenia swojego pragnienia raju nie zawahałeś się sprzedać nas Delagardowi.

- Wyrażasz to bardzo ostro - powiedział Quillan.

- Tak. Chyba tak. Przykro mi z tego powodu. Nie sądzisz, że mam ku temu powód?

- Moje dziecko...

- Nie jestem twoim dzieckiem!

- To przynajmniej jesteś Jego dzieckiem.

Lawler westchnął. Pomyślał sobie: dwóch lunatyków - Delagard i Quillan. Jeden zrobiłby wszystko dla odkupienia świata, drugi wyruszył, aby go podbić.

Quillan dotknął dłonią ręki Lawlera i uśmiechnął się.

- Bóg cię kocha - powiedział łagodnie. - Bóg obdarzy cię swą łaską, nie bój się.

- Powiedz mi, co wiesz o Obliczach Wód - powiedział Lawler do Sundiry. - Wszystko.

Byli w jego kabinie.

- Niewiele tego będzie - odparła. - Wiem, że istnieje jakaś gigantyczna wyspa lub podobny obiekt, nieporównanie większy od jakiejkolwiek znanej i zamieszkaney wyspy.

Obejmuje tysiące hektarów, jest ogromnym, zacumowanym na stałe obszarem lądu.

- Tyle już wiem. Czy nie dowiedziałaś się o niej nic więcej podczas tych wszystkich rozmów, jakie prowadziłaś ze Skrzelowcami? Wybacz mi: z Mieszkańcami.

- Oni nie lubili o tym rozmawiać. Oprócz jednej Mieszkaneki, którą znałam na Simbalimak. Ta odpowiedziała na kilka moich pytań.

- A więc?

- Powiedziała, że to zakazane miejsce, miejsce, gdzie nikomu nie wolno wchodzić.

- Czy to wszystko? Powiedz mi coś więcej.

- To dość ponura historia.

- Wyobrażam sobie. Opowiedz mi, Sundiro. Proszę.

- Była bardzo tajemnicza. Świadomie, jak mi się wydawało. Miałam jednak wrażenie, że Oblicza to nie tylko miejsce zakazane lub święte i dlatego należy go unikać, lecz, że to miejsce nie nadające się do życia - po prostu niebezpieczne. "To fontanna życia" -

powiedziała Mieszkanka. Oni uważają, że zmarły Mieszkaniec powraca tam jak do źródła.

Kiedy umiera Mieszkaniec, powiedziała, używa się wyrażenia "odszedł do Obliczy". Miałam wrażenie, że to coś kipi energią - jest gorące, rozszalałe i bardzo, bardzo potężne. Jakby nieprzerwanie zachodziła tam reakcja jądrowa.

- Chryste - powiedział bezgłośnie Lawler. Choć w wilgotnej kajutce było gorąco, poczuł chłodny dreszcz przebiegający mu po plecach. Palce miał również zimne i drżące.

Odwrócił się, sięgnął po flaszkę nalewki z uśmierzychy i odmierzył sobie porcję. Spojrzał pytająco na Sundirę, która przecząco potrząsnęła głową. - Gorące, rozszalałe i potężne - powiedział. - Reakcja nuklearna.

- Ona wcale tego nie twierdziła. To moja koncepcja, oparta na niejasnych i niewątpliwie metaforycznych wyrażeniach, jakich używała. Wiesz, jak trudno zrozumieć to, co mówią do nas Mieszkańcy.

- Tak.

- Jednak kiedy tak ze mną rozmawiała, zaczęłam się zastanawiać, czy Mieszkańcy dawno temu nie przeprowadzali tam jakiegoś eksperymentu, jakichś badań atomowych, które nie powiodły się - czegoś w tym rodzaju. Rozumiesz, ja tylko zgaduję. Z jej zachowania mogłam wywnioskować, jak bardzo ją to niepokoiło, jak próbowała stawiać przeszkody, gdy zadawałam zbyt wiele pytań. Mówiła, że wierzy, iż na Obliczach jest coś, czego należy się wystrzeżać. Coś, o czym nawet nie chce myśleć, nie mówiąc już o opowiadaniu.



- Jasna cholera. - Lawler wypił nalewkę jednym haustem i prawie natychmiast odczuł jej uspokajające skutki. - Nuklearna pustynia. Nieustanna reakcja łańcuchowa. To niezupełnie zgadza się z tym, co opowiedział mi Delagard. Albo ojciec Quillan.

- Rozmawiałeś z nimi o Obliczach Wód? Dlaczego? Co cię nagle tak zainteresowało?

- To aktualny temat dnia.

- Val, czy byłbyś tak dobry i powiedział mi, o się dzieje?

Zawahał się, a potem cicho rzekł:

- Od wielu dni nie płyniemy w stronę Grayvard. Znajdujemy się na południe od równika i posuwamy coraz dalej w głąb Morza Pustego.

Rzuciła mu zdumione spojrzenie. Powiedział:

- Płyniemy w kierunku Obliczy Wód.

- Mówisz to tak, jakbyś nie żartował.

- Bo to nie żart.

Odsunęła się od niego, jakby podniósł na nią rękę.

- Czy to robota Delagarda?

- Tak. Sam mi to powiedział pół godziny temu, kiedy zaatakowałem go, pytając o kurs, którym jakoby podążamy.

Lawler krótko streścił jej wszystko: opowiadanie Jolly'ego o podróży na Oblicza; o marzeniu Delagarda, aby założyć tam miasto i wykorzystać je do zdobycia władzy nad całą planetą, Mieszkańcami i całą resztą; o planie zbudowania portu kosmicznego i wreszcie o otwarciu Hydros dla handlu międzygwiazdowego.

- A ojciec Quillan? Co on ma do tego?

- On dopinguje Delagarda. Zdecydował, nie pytaj mnie dlaczego, że Oblicza to rodzaj rajy i że Bóg - jego Bóg, Ten, którego przez całe życie stara się znaleźć - pomieszkuje tam

sobie, kiedy przypadkiem znajdzie się w tej okolicy. Tak więc ojczulek zapalił się, że Delagard zabierze go tam i wreszcie będzie mógł powiedzieć Jemu “cześć”.

Sundira patrzyła na niego skonsternowanym spojrzeniem kobiety, która właśnie odkryła, że niewielki wąż pełźnie w górę po wewnętrznej stronie jej uda.

- Sądysz, że obaj są szaleni?

- Każdy, kto mówi o takich rzeczach jak “przejęcie kontroli” czy “zdobycie władzy”, wydaje mi się szalony - powiedział Lawler. - Podobnie jak każdy, kto pragnie “szukać Boga”.

W moim przekonaniu to bezsensowne pomysły. A według mnie, każdy, kto wyznaje bezsensowne idee, jest szaleńcem. A tak się składa, że jeden z nich dowodzi tą flotyllą.

Kiedy Lawler wrócił na pokład, niebo już pociemniało, a południowa wachta uwijała się przy takielunku, zręcznie skracając żagiel pod kierunkiem Onyosa Felka. Ostry, północny wiatr już wiał z dużą siłą, a w każdej chwili mógł przerodzić się w wyjący wichur. Nachodził silny sztorm, zbliżający się od północy postrzępioną, czarną masą turbulencji. Lawler widział ją maszerującą w oddali, ciskającą w dół potoki deszczu i pokrywającą powierzchnię morza ogromnymi grzebieniami białej piany. Błyskawica przecięła niebo - rzadki widok na Hydros - przerażający, zygzakowaty, żółty błysk. Niemal natychmiast nastąpił po niej głęboki, przeciągły łoskot gromu.

- Wiadra! Beczki! Idzie woda! - krzyczał Delagard.

- Taak, dość wody, aby posłać nas na dno - mruknął Dag Tharp, przebiegając truchtem obok Lawlera.

- Dag! Poczekaj! Radiooperator odwrócił się.

- O co chodzi, doktorze?

- Kiedy skończy się burza, obaj musimy porozmawiać z pozostałymi. Pytałem

Delagarda. Zabiera nas do Obliczy Wód, Dag.

- Chyba żartujesz.

- Chciałbym. - Lawler spojrzał w górę na gwałtownie zmieniające się niebo. Przybrało dziwnie metaliczny odcień, złowieszczo ponury, szarawy, a na obrzeżach wielkiej czarnej chmury burzowej, która teraz wisiała nieco na południe od okrętów, migotały syczące języki błyskawic. Ocean zaczynał wyglądać równie okropnie jak w czasie tamtego trzydniowego sztormu. - Posłuchaj, teraz nie mamy czasu o tym gadać. Jednak on ma mnóstwo zwariowanych argumentów na poparcie tego, co robi. Musimy go powstrzymać.

- A jak to zrobimy? - zapytał Tharp. Na sterburcie gwałtownie uniosła się olbrzymia fala.

- Porozmawiamy z kapitanami. Zwołamy zgromadzenie wszystkich okrętów.

Powiemy wszystkim, co się dzieje. W razie potrzeby poddamy to pod głosowanie i w jakiś sposób odsuniemy Delagarda. - Lawler wyraźnie widział cały plan oczyma duszy: spotkanie wszystkich ludzi z Sorve, odkrycie zatajanej prawdy o ich podróży, ujawnienie chorych ambicji właściciela okrętu, szczery apel do zdrowego rozsądku społeczności. Jego reputacja jako uosobienie logiki i zdrowego rozsądku przeciw wspaniałej wizji Delagarda i jego trudnego, upartego charakteru. - Nie możemy tak po prostu pozwolić mu, żeby ciągnął nas, gdzie mu się żywnie podoba. Trzeba go powstrzymać.

- Kapitanowie są wobec niego lojalni.

- A czy pozostaną lojalni, kiedy dowiedzą się, dokąd naprawdę zmierzamy?

Następna fala uderzyła w okręt, mocnym, zamaszystym ciosem, który zmusił go do przechyłu na lewą burtę. Rwący wodospad fal przewalił się z hukiem przez nadburcie. W chwilę później oślepił ich błysk błyskawicy i niemal natychmiast usłyszeli rozzierający uszy huk pioruna, a potem deszcz runął na nich litą ścianą wody.

- Porozmawiamy później! - krzyknął Lawler do Tharpa. - Później. Kiedy minie

sztorm!

Radiooperator pobiegł w stronę dziobu. Lawler przywarł do nadburcia, zalewany wodą, krztusząc się, kiedy waliła na niego z kilku stron naraz: zarówno z wściekle falującego, spienionego morza, jak i z czarnego jak sadza nieba. Usta i nozdrza miał wypełnione mieszanką słodkiej i słonej wody. Na pół utopiony, odwracając głowę, chwycił oddech, krztusił się, charczał i kaszłał, aż znów odzyskał oddech. Okręt pogrążył się w całkowitych ciemnościach. Nie było widać morza, tylko błyskawice ukazywały wszędzie wokół rozległe, ziejące, czarne jamy, podobne do tajemnych izb, otwierających się, aby ich pochłonąć. Na pokładzie wciąż majaczyły ciemne postacie biegające tam i z powrotem jak oszalałe, podczas gdy Delagard i Felk wykrzykiwali rozkazy. Już zrzucano żagle. "Królowa Hydros", gwałtownie kołysząc się i przysiadając pod impetem burzy, pokazała wichrowi swe nagie maszty. To wznosiła się wysoko na fali, to zapadała w rozwierające się przepaści, z potwornym hukiem uderzając w ich pienne dno. W oddali Lawler słyszał krzyki przerażenia. Miał wrażenie, że te ogromne ilości wody nieubłaganie walą na nich ze wszystkich stron. A potem, pośród potwornego zgiełku burzy, z przerażającą furią walącej w nich jak w bęben, w przeraźliwym wyciu wichru, łoskocie grzmotów i werblach deszczu pojawił się inny dźwięk, bardziej przerażający niż wszystko, co go poprzedzało: cisza, całkowity brak hałasu, opadająca jak magiczna kurtyna na tumult. Wszyscy na okręcie usłyszeli ją w tej samej chwili i zatrzymali się, spoglądając po sobie ze zdumieniem, oszołomieniem i zgrozą. Ta dziwna cisza trwała może przez dziesięć sekund: lecz ten czas wydawał się wiecznością.

A potem usłyszeli jeszcze dziwniejszy dźwięk - po prostu niesamowity i budzący tak niepohamowane przerażenie, że Lawler z trudem powstrzymywał chęć padnięcia na kolana. To był niski, huczący dźwięk, którego intensywność wzrastała z sekundy na sekundę, tak że

po kilku chwilach wypełniał powietrze jak krzyk z krtani większej niż galaktyka. Ogłuszył Lawlera. Ktoś podbiegł do niego - później zdał sobie sprawę, że to była Pilya Braun - i szarpnął go gwałtownie za ramię. Wskazując na nawietrzną zawołała coś do niego. Lawler gapił się na nią, nie rozumiejąc ani słowa; powtórzyła, i tym razem jej głos, nieskończenie cichy w monstrualnym ryku rozdzierającym niebo, dotarł do niego dość wyraźnie.

- Co robisz na pokładzie? - zapytała. - Zejdź na dół! Zejdź na dół! Czy nie widzisz, to Fala!

Lawler spojrział w mrok i zobaczył długi, wysoki i połyskujący złotym, wewnętrznym ogniem kształt, leżący w oddali na piersi oceanu: jaskrawą linię rozciągającą się na horyzoncie, coś wyższego od najwyższych ścian, z czego rozchodziły się strumienie blasku. Patrzył na to z zachwytem. Dwie postacie przebiegły obok, wykrzykując ostrzeżenia, a Lawler skinął im głową: tak, tak, widzę, rozumiem. Wciąż nie był w stanie oderwać oczu od tej odległej, prężnej naprzód rzeczy. Dlaczego lśniła w ten sposób? Jaką miała wysokość? Skąd nadeszła? Było w niej piękno: śnieżnobiałe języki piany wzdłuż grzbietu, krystaliczny blask jej serca, czystość niepowstrzymanego, postępującego ruchu. Nadchodząc, pochłaniała sztorm, narzucając swój tytaniczny porządek chaosowi burzy. Lawler obserwował ją prawie do ostatniej chwili. Potem popędził do przedniego luku. Zatrzymał się na moment, aby spojrzeć w tył, i zobaczył Falę górującą nad okrętem niczym jakiś bóg dosiadający morza. Zanurkował w otwór i zamknął go za sobą. Kinverson podniósł się obok niego, aby zasunąć rygle. Bez słowa Lawler zjechał po drabince pod pokład okrętu i skulił się obok towarzyszy, czekając na uderzenie.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

### **OBLICZA WÓD**

Okręt szybko sunął w górę, zdając się lecieć swobodnie w powietrzu. Pod stopami Lawler czuł wydłużone kołysanie oceanicznego świata; potężne, huśtające, planetarne przepływy, gdy kolosalna ściana wody, na której grzbiecie się znajdowali, niosła ich naprzód. Byli jedynie słomką unoszoną przez fale. Byli pojedynczym atomem rzuconym w próżnię. Byli zupełnie niczym, a wszystkim był ogrom rozszalałego oceanu.

Na śródkręciu znalazł miejsce, gdzie mógł wpełznąć i znaleźć oparcie, wciskając się między jedną z przegród a grubą warstwę koców. Nie miał jednak wielkiej nadziei na przetrwanie. Ta ściana wody była zbyt wielka, morze zbyt wzburzone, a okręt zbyt kruchy. Po dźwiękach i ruchach okrętu Lawler starał się domyślić, co dzieje się na górze.

“Królowa Hydros” mknęła po powierzchni morza, pochwycona przez Falę i bezwolnie unoszona przez nią na jej niższym garbie. Nawet gdyby Delagard zdołał włączyć swój magnetron na czas, w niewielkim lub żadnym stopniu nie ochroniłoby to okrętu przed uderzeniem nadchodzącej fali i porwaniem przez nią. Jakakolwiek była prędkość Fali, z taką prędkością poruszał się teraz okręt, gdyż wielka masa wody pchała go przed sobą. Lawler nigdy nie widział tak ogromnej Fali. Zapewne w całej krótkiej, stu pięćdziesięcioletniej historii ludzkości na Hydros nikt nie widział czegoś takiego. Prawdopodobnie skutkiem jakiegoś wyjątkowego ustawienia Trzech Księżycy i siostrzanego świata, jakiegoś diabolicznego połączenia się sił grawitacyjnych powstało to niewyobrażalne wybrzuszenie wody, które przetoczyło się po brzuchu planety.

Okręt wciąż był na wodzie. Lawler nie miał pojęcia jakim cudem. Jednak był pewien, że wciąż unoszą się jak podskakujący korek na powierzchni wody, ponieważ czuł równomierne przyśpieszenie, z jakim Fala posuwała się naprzód. Jej nieugięta siła wtlaczała go w przegrodę i przyciskała do niej, tak że nie mógł się ruszyć. Gdyby się już przewrócili,

rozumował, Fala minęłaby ich do tego czasu, pozostawiając ich, by cicho tonęli na zawietrznej. Jednak nie. Płynęli. Znajdowali się na Fali, opadając raz po raz to w górę, to w dół, w górę, w dół, a wszystkie nie przytwierdzone przedmioty skakały i tłukły się dokoła. Słyszał klekoczące dźwięki, jakby okrętem potrzasała ręka giganta, co było prawdą. Znowu, znowu i znowu. Zaczął walczyć o oddech, zachłystując się, jakby to on sam, a nie pokład był wciąż zanurzany i wypychany do góry. Dół, góra, dół, góra. Serce waliło mu w piersiach. Miał zawroty głowy, rodzaj pijackiej lekkości, odbierającej mu wszelkie poczucie lęku. Zbyt gwałtownie rzucano nim, aby czuł strach: nie było nań miejsca w jego umyśle.

Kiedy wreszcie zatoniemy? Teraz? Teraz? Teraz?

Czyżby Fala miała ich nigdy nie uwolnić i bez końca unosić wokół świata, wiecznie obracając jak koło swoją straszliwą mocą?

Aż nadszedł czas, kiedy wszystko znów się uspokoiło. Jesteśmy wolni, pomyślał, dryfujemy. Jednak nie. Złudzenie. Po chwili wirowanie zaczęło się na nowo, jeszcze intensywniejsze niż przedtem. Lawler czuł, jak krew odpływa mu z głowy do stóp, ze stóp do głowy, z głowy do stóp, ze stóp do głowy. Bolały go płuca. Nozdrza płonęły przy każdym wdechu.

Słysząc było głuche uderzenia i trzaski, które wydawały się dobiegać z wnętrza okrętu, spowodowane fruującymi wszędzie meblami, oraz głośniejsze uderzenia i trzaski, które zdawały się pochodzić z zewnątrz. Słyszał odległe okrzyki, czasami jęki. A także ryk wiatru, a przynajmniej złudzenie ryku wiatru. Zagłuszał go potężniejszy huk samej Fali.

Ponadto rozróżniał wysoki, bulgoczący syk przechodzący w chrapliwy warkot, którego źródła Lawler nie umiał zidentyfikować; może wywoływała go jakaś gniewna konfrontacja wody z niebem. A może Fala miała warstwy o różnej gęstości i te jej składniki, utrzymywane razem przez przeważającą siłę przyspieszenia, ścierały się ze sobą.

Potem nareszcie nadeszła kolejna chwila ciszy, która zdawała się trwać bez końca.

Toniemy, pomyślał Lawler. Jesteśmy pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią i schodzimy niżej. Wkrótce potopimy się. Ciśnienie wody z zewnątrz rozsądzi banieczkę, jaką jest okręt, morze wtargnie do środka i wszystko się skończy.

Czekał na implozję i strumień wody. To będzie szybka śmierć. Potężne uderzenie ściany wody w klatkę piersiową zablokuje dopływ krwi do mózgu: w jednej chwili straci przytomność. Nigdy nie pozna zakończenia tej historii, powolnego opadania na dno, trzasku miażdżonych desek, wizyt głębinowych stworów, które będą się przyglądać, zastanawiać i w końcu pożywiać.

Jednak nic się nie stało. Dryfowali w czasie, poza czasem, w ciszy, w spokoju.

Przyszło mu do głowy, że może już nie żyją, że może to jest przyszłe życie, w które nigdy nie mógł uwierzyć, i roześmiał się, spoglądając dokoła, mając nadzieję dojrzeć ojca Quillana, by móc go zapytać:

- Czy właśnie tego oczekiwałeś? Bezkresnego dryfowania w próżni? Leżysz sobie w miejscu, gdzie umarłeś, wciąż przytomny, a wokół ciebie ogromna cisza?

Uśmiechnął się ze swojej głupoty. Przyszłe życie nie byłoby jedynie kontynuacją obecnego. To było nadal stare życie. Oto jego znajome stopy; oto ręce, ze znikającymi bliznami na dłoniach; a to szmer jego oddechu. Nadal był żywy. Okręt musiał wciąż być na powierzchni. Fala chyba wreszcie odeszła.

- Val? - usłyszał głos. - Val, nic ci się nie stało?

- Sundira?

Czołgała się do niego wąskim korytarzykiem, zagraconym teraz różnymi przedmiotami, które wyrwały się z mocowań. Twarz miała bardzo bladą. Wyglądała na zamroczoną. W jej oczach zastygł lęk. Lawler podniósł się i uwolnił spod płyty, która spadła



nie wiadomo skąd i wylądowała na jego piersiach, a on nawet tego nie zauważył. Zaczął gra-  
molić się z przytulnego schronienia. Spotkali się w połowie drogi.

- Jezu - powiedziała cicho. - Och, Jezu Chryste! Zaczęła płakać. Lawler wyciągał do  
niej rękę i nagle

zdał sobie sprawę, że sam również płacze. Obejmowali się i płakali razem w tej  
dziwnej, przypominającej sen ciszy.

Otwarto jeden luk, przez który wpadał teraz słup światła. Trzymając się za ręce,  
wyszli razem na powietrze.

Okręt utrzymywał się na wodzie normalnie, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

Pokład był mokry i lśniący jak nigdy przedtem. Wyglądał, jakby armia, złożona z miliona  
robotników, szorowała go przez milion lat. Sterówka, podstawa kompasu, nadbudówka i  
mostek były na swoim miejscu. Maszty, co było zdumiewające, również pozostały na  
miejscu, chociaż fokmaszt utracił jedną reję.

Kinverson był już na pokładzie, przy pomoście dźwigowym, a Delagard stał na  
dziobie, skurczony i nieruchomy, zupełnie zaszokowany. Wydawało się, że wrósł w pokład,  
jakby stał w tym samym miejscu przez cały czas, gdy okręt miotał się w uścisku Fali. Za nim,  
przy prawej burcie, stał Onyos Felk, równie oszołomiony i nieruchomy.

Jeden po drugim wychodzili z ukrycia pozostali: Neyana Golghoz, Dann Henders, Leo  
Martello, Pilya Braun. Potem Gharkid, utykając nieco wskutek jakiegoś nieszczęśliwego  
zderzenia pod pokładem, oraz Lis Niklaus i Ojciec Quillan. Poruszali się ostrożnie, ciągnąc  
nogi jak lunatycy, upewniając się, że okręt nie został uszkodzony; dotykając rei, gniazd  
masztów, dachu nadbudówki. Brakowało tylko Daga Tharpa. Lawler domyślił się, że musiał  
pozostać na dole, aby nawiązać łączność z pozostałymi okrętami.

Pozostałe okręty? Nie było ich w polu widzenia.

- Spójrz jak spokojnie - powiedziała cicho Sundira.

- Spokojnie, tak. I pusto.

Tak musiał wyglądać świat pierwszego dnia stworzenia. Wszędzie wokół rozciągało się idealnie gładkie morze, szarobłękitne i spokojne, bez wybrzuszeń, bez fal, bez białej grzywy czy choćby najmniejszej zmarszczki: jednostajna, horyzontalna nicość. Przejście Fali pozbawiło je wszelkiej energii.

Niebo także było gładkie, szare i puste. Daleko na zachodzie widniała pojedyncza, nisko zawieszona chmura, za którą zachodziło słońce. Strumienie bladego światła sączyły się zza horyzontu. Nie było śladu burzy, która poprzedzała Falę. Zniknęła jak sama Fala.

A pozostałe okręty?

Lawler przeszedł wolno od jednej burty okrętu do drugiej i z powrotem. Jego oczy ogarniały wodę, szukając śladów nieszczęścia: pływających desek, dryfujących fragmentów ożaglowania, rozproszonych części odzieży albo rozbitków. Nie dostrzegł niczego. Już wcześniej w trakcie tej podróży, po tym poprzednim sztormie, trzydniowej wichurze, spoglądał na morze, na którym nie było widać innych okrętów. Wtedy flotylla została jedynie rozproszona przez wiatr i odnalazła się po kilku godzinach. Lawler obawiał się, że tym razem może być inaczej.

- Idzie Dag - zamruczała Sundira. - Mój Boże, spójrz na jego minę!

Tharp wychodził z luku na rufie; blady, o pustych oczach i obwisłej szczęce, miał zgarbione ramiona i luźno opuszczone ręce. Wyrwany z transu Delagard odwrócił się i warknął:

- No i co? Jakie wieści?

- Nic. Żadnych wieści. - Głos Tharpa był głuchym szeptem.

- Żadnego sygnału. Próbowałem wiele razy. Zgłoś się, "Bogini"; zgłoś się,

“Gwiazdo”. “Księżycy”, zgłóście się; zgłóś się, “Krzyżu”. Tu “Królowa”. Zgłóś się, zgłóś się, zgłóś się! - powtarzał, bliski szaleństwa. - Żadnego sygnału.

Nalana twarz Delagarda przybrała barwę ołowiu. Skóra na policzkach obwisła.

- Od żadnego z nich?

- Od żadnego, Nid. Nie zgłaszają się. Ich tam nie ma.

- Masz zepsute radio.

- Złapałem kilka wysp. Kentrup. I Kaggeram. To była paskudna Fala, Nid. Naprawdę paskudna...

- Ale moje okręty...

- Nic.

- Moje okręty, Dag?

Oczy Delagarda miotaly dzikie błyski. Skoczył naprzód, jakby zamierzał chwycić

Tharpa za ramiona i wytrząsnąć z niego lepsze wiadomości. Jak spod ziemi wyrósł między nimi Kinverson i przytrzymał Delagarda, uspokajając go, podczas gdy armator trząsał się i dygotał.

- Wracaj na dół - rozkazał Delagard radiooperatorowi. - Spróbuj jeszcze raz.

- Nie ma sensu - powiedział Tharp.

- Moje okręty! Moje okręty! - Delagard okręcił się w miejscu i podbiegł do nadburcia.

Przez chwilę Lawler myślał, że Delagard ma zamiar rzucić się za burtę. Jednak on po prostu chciał w coś uderzyć. Zaciśniętymi rękami walił jak maczugami o reling, raz po raz, uderzając ze zdumiewającą siłą, tak że prawie półmetrowy odcinek ustąpił, wygiął się i załamał pod ciosami. - Moje okręty! - wrzeszczał Delagard.

Lawler poczuł, że sam zaczyna drzeć. Okręty, tak. I wszyscy ci, którzy byli na ich pokładach. Odwrócił się do Sundiry i w jej oczach zobaczył współczucie. Wiedziała, jaki ból

teraz odczuwał. Tylko czy naprawdę mogła to zrozumieć? Dla niej to obcy ludzie. A dla niego byli całą jego przeszłością, esencją jego życia, na dobre i na złe. Nicko Thalheim, ojciec Nicko, Sandor, Bamber Cadrell, Sweynerowie, Tanamindowie, Brondo, biedne szalone siostry, Volkin, Yanez, Stayvol - wszyscy, których znał; całe jego dzieciństwo, wiek chłopięcy i męski, strażnicy dzielonych przez całe życie wspomnień, wszystko zmiecione w jednej chwili. Jak mogła to zrozumieć? Czy była kiedykolwiek częścią ustabilizowanej społeczności? Kiedykolwiek? Bez namysłu opuściła swoją rodzinną wyspę i wędrowała z miejsca na miejsce, nigdy nie oglądając się wstecz. Nie można zrozumieć, co znaczy stracić coś, czego się nigdy nie miało.

- Val - powiedziała miękko.

- Zostaw mnie, dobrze?

- Gdybym tylko mogła jakoś pomóc...

- Ale nie możesz - powiedział Lawler.

Nadchodziła ciemność. Krzyż zaczynał wstępować na niebo, wisiał pod dziwnym kątem, nienaturalnie wykrzywiony, ukośnie od południowego zachodu na północny wschód. Nie było wiatru. "Królowa Hydros" pławiła się ospale w spokojnym morzu. Wszyscy pozostali na pokładzie. Nikt nie przejmował się ponownym stawianiem żagli, chociaż od przejścia Fali upłynęło już kilka godzin. Jednak w panującej ciszy i przygnębieniu niemal nie miało to znaczenia.

Delagard zwrócił się do Onyosa Felka. Pozbawionym życia głosem zapytał:

- Jak sądzisz, gdzie jesteśmy?

- Mam powiedzieć, co myślę, czy chcesz, żebym wyciągnął przyrządy?

- Cholera, po prostu zgaduj, Onyos.

- Na Morzu Pustym.

- Tyle to sam wiem. Podaj mi długość.

- Uważasz mnie za czarodzieja, Nid?

- Uważam cię za głupiego kutasa. Jednak możesz mi podać przynajmniej długość.

Spójrz na ten pieprzony Krzyż.

- Widzę ten pieprzony Krzyż - powiedział Felk kwaśno. - Mówi mi, że jesteśmy na południe od równika i o wiele dalej na zachód, niż byliśmy, zanim dopadła nas Fala. Chcesz wiedzieć więcej, to pozwól mi zejść na dół i spróbować odnaleźć moje instrumenty.

- Dużo dalej na zachód? - zapytał Delagard.

- Dużo. Bardzo dużo. Odbyliśmy niezłą przejażdżkę.

- W takim razie idź po przyrządy.

Lawler patrzył, niewiele pojmując, jak Felk, po dłuższych poszukiwaniach pod pokładem, pojawił się, niosąc narzędzia swojego fachu - toporne, dziwacznie wymodelowane przyrządy nawigacyjne, które prawdopodobnie wywołałyby protekcyjny chichot szesnastowiecznego marynarza z Ziemi. Pracował cicho, od czasu do czasu mruczając do siebie, namierzając Krzyż, zastanawiając się i znowu mierząc. Po chwili spojrzał na Delagarda i powiedział:

- Jesteśmy dalej na zachód, niż myślałem.

- Jaka jest nasza pozycja?

Felk podał mu ją. Delagard wydawał się zdziwiony. Sam zszedł na dół, nie było go przez dłuższy czas, po czym wrócił ze swoją mapą. Lawler przysunął się, żeby zobaczyć, jak Delagard przesuwa palcem po liniach długości geograficznych.

- Aha. Tutaj. Tutaj.

- Czy widzisz, co on pokazuje? - zapytała Sundira.

- Jesteśmy w sercu Morza Pustego. Niemal równie blisko Obliczy Wód, jak

jakichkolwiek innych, zamieszkanym wysp. To dokładnie środek niczego i jesteśmy tu zupełnie sami.

Nie było już żadnej nadziei na zwołanie konklawe okrętów, na skupienie woli całej społeczności Sorve przeciw Delagardowi. Społeczność Sorve została zredukowana do grupki trzynastu osób. Do tej pory każdy z pasażerów znał prawdziwy cel podróży. Niektórzy, tacy jak Kinversion czy Gharkid, wydawali się tym nie przejmować: dla takich ludzi jeden cel był równie dobry jak drugi. Po innych - Neyana, Pilya, Lis - nie należało oczekiwać, że sprzeciwia się Delagardowi w czymkolwiek, obojętnie jak dziwne byłoby to przedsięwzięcie. A co najmniej jeden, ojciec Quillan, był zagorzałym sojusznikiem Delagarda w jego pogoni za Obliczami.

W ten sposób pozostawali Dag Tharp, Dann Henders, Leo Martello, Sundira i Onyos Felk. Ten ostatni nienawidził Delagarda. Dobrze. Jeden po mojej stronie, powiedział sobie Lawler. Co do Tharpa i Hendersa, obaj mieli już za sobą sprzeczki z Delagardem o cel podróży; nie będą się obawiać kolejnej. Jednak Martello był człowiekiem Delagarda i Lawler nie był pewien, po której stronie opowie się w rozgrywce z Delagardem. Nawet Sundira była niewiadomą. Lawler nie miał prawa oczekiwać, że go poprze, pomimo bliskich stosunków, jakie zdawały ich łączyć. Równie dobrze mogła być ciekawa Obliczy i pragnąć je poznać. Przecież z zamiłowaniem badała życie Skrzelowców.

Tak więc było ich czworo, w najlepszym wypadku sześcioro przeciwko pozostałym. Nawet nie połowa załogi. Za mało, pomyślał Lawler.

Zaczynał podejrzewać, że Delagarda nie uda się poskromić. Delagard stanowił zbyt wielką siłę, aby dało się go okiełznać. Był jak sama Fala: mogło nie podobać ci się to, że cię porywa, ale nic nie można było na to poradzić. Naprawdę nic.

Po katastrofie Delagard uwijał się z niewyczerpaną energią po pokładzie, przygotowując okręt do dalszej podróży. Naprawiono maszty, postawiono żagle. Jeśli wcześ-

niej Delagard był energicznym, zdecydowanym człowiekiem, teraz wydawał się demoniczną, nieubłaganą siłą natury. Lawler pomyślał, że porównanie z Falą jest bardzo odpowiednie. Po utracie bezcennych okrętów Delagard najwyraźniej przekroczył jakiś próg, za którym odnowił zapasy siły woli. Wściekły, nieobliczalny, tryskający energią Delagard działał teraz jakby w środku wiru siły kinetycznej, uniemożliwiającego jakiegokolwiek zbliżenie się do niego. Zrób to! Zrób tamto! Zamocuj to! Przesuń tamto! Nie dawał okazji do tego, aby ktoś taki jak Lawler podszedł do niego i powiedział:

- Nie pozwolimy ci popłynąć tam, gdzie chcesz, Nid. Następnego ranka po przejściu Fali na twarzy Lis Niklaus pojawiły się nowe sińce i zadrapania.

- Nie powiedziałam mu ani słowa - skarżyła się Lawlerowi, kiedy próbował naprawić szkody. - Jak tylko dotarliśmy do naszej kajuty, wściekł się i zaczął mnie bić.

- Czy to zdarzało się już przedtem?

- Nie aż tak, nie. On teraz zachowuje się jak szaleniec. Może sądził, że mam zamiar powiedzieć coś, co mu się nie spodoba. Oblicza, Oblicza, Oblicza, tylko o tym myśli. Mówi o nich we śnie. Negocjuje układy, odstrasza konkurentów, obiecuje cuda... sama nie wiem. Mimo iż była dużą, mocno zbudowaną kobietą, nagle wydała mu się drobna i wątła, jakby Delagard wysysał z niej życie.

- Im dłużej z nim jestem, tym bardziej mnie przeraża. Myślisz, że to tylko bogaty właściciel stoczni, którego nie interesuje nic poza piciem, jedzeniem, pieprzeniem i zdobywaniem coraz większego bogactwa, Bóg wie po co. A kiedy czasem pozwoli ci zajrzeć nieco głębiej w swoją duszę, zobaczysz tam diabły!

- Diabły?

- Diabły, wizje, fantazje. Nie wiem. On myśli, że ta wielka wyspa uczyni z niego imperatora, może nawet Boga, że wszyscy będą go słuchać, nie tylko tacy jak my, ale i inni



mieszkańcy wysp, nawet Skrzelowcy. I mieszkańcy innych światów. Czy wiesz, że chce zbudować kosmoport?

- Tak - powiedział Lawler. - Mówił mi o tym.

- On to zrobi. Zawsze ma to, czego chce. Nigdy nie odpoczywa, nigdy nie przestaje.

Nawet we śnie myśli. Naprawdę. - Lis ostrożnie dotknęła czerwieniejącego miejsca pomiędzy kością policzkową a lewym okiem.

- Czy sądzisz, że uda ci się go powstrzymać?

- Nie jestem pewien.

- Uważaj. Zabije cię, jeśli wejdiesz mu w drogę. Nawet ciebie, doktorze. Zabije cię tak, jakby zabijał rybę.

Morze Puste zdawało się odpowiednią nazwą dla tego morza, czystego i bezbarwnego, bez wysp, raf koralowych i sztormów, a nawet chmur. Gorące słońce rzucało długie, pomarańczowe błyski na apatyczne, szkliste, błękitnoszare fale. Horyzont wydawał się oddalony o milion kilometrów. Wiatr był słaby i nierówny. Przyływy pojawiały się rzadko i były bardzo niewielkie, nie większe niż zmarszczki na płaskiej tafli morza. Okręt łatwo je przeskakiwał.

Nie było tu również zbyt bogatego życia morskiego. Kinerson na próżno zarzucał liny; sieci Gharkida rzadko wyławiały jakieś użyteczne wodorosty. Czasami przepływała obok migocząca ławica ryb lub w oddali dokazywały jakieś większe stworzenia, ale rzadko pod pływały na tyle blisko, aby dać się schwycić. Zapasy suszonej ryby i glonów szybko się wyczerpywały. Delagard zarządził zmniejszenie dziennych racji. Wyglądało na to, że dalej będą podróżować głodni i spragnieni. W czasie gwałtownej ulewy, która poprzedziła nadejście Fali, nie było czasu wystawić zbiorników na wodę. Teraz, pod tym spokojnym, bezchmurnym niebem poziom wody w beczkach malał z każdym dniem.

Lawler poprosił Onyosa Felka, aby pokazał mu na mapie ich położenie. Kartograf, jak zwykle, nie był pewny swojej nawigacji, ale pokazał na mapie punkt na Morzu Pustym, prawie w połowie drogi między równikiem a przypuszczalnym położeniem Obliczy Wód.

- Czy to możliwe? - zapytał Lawler. - Czy naprawdę możemy być tak daleko?

- Fala posuwała się z niewiarygodną prędkością. Niosła nas przez cały dzień. To cud, że okręt nie rozleciał się.

Lawler spoglądał na mapę.

- Jesteśmy za daleko, żeby zawrócić, nie sądzisz?

- A kto mówi o powrocie? Ty? Ja? Na pewno nie Delagard.

- A gdybyśmy chcieli? - powiedział Lawler. - Mówię, gdyby.

- Lepiej zrobimy, płynąc naprzód - rzekł ponuro Felk. - Nie mamy wyboru. Za nami jest ogromna, pusta przestrzeń. Jeżeli zawrócimy w stronę znanych nam wód, prawdopodobnie umrzemy z głodu, zanim gdziekolwiek dopłyniemy. Odnalezienie Obliczy to chyba nasza jedyna szansa. Może znajdziemy tam żywność i świeżą wodę.

- Tak sądzisz?

- A skąd mogę wiedzieć? - odparł Felk.

\* \* \*

Leo Martello zagadnął go:

- Masz wolną chwilę, doktorze? Chciałbym ci coś pokazać.

Lawler był w kajucie i sortował papiery. Miał trzy skrzynie danych medycznych o sześćdziesięciu czterech byłych Mieszkańcach Sorve, którzy prawdopodobnie zaginęli na morzu. Lawler zawzięcie walczył z Delagardem o prawo zabrania ich ze sobą, gdy flota opuszczała Sorve i ten jeden raz zwyciężył. Co teraz? Zatrzymać je? Po co? Na wypadek gdyby pięć zaginionych okrętów powróciło wraz z kompletnymi załogami? Albo zachować je

dla jakiegoś przyszłego historyka wyspy?

Takim historykiem równie dobrze mógł zostać Martello. Może on zdołałby ująć te bezużyteczne dokumenty w kolejne pieśni swojego poematu.

- O co chodzi, Leo?

- Pisałem o Fali - powiedział Martello. - O tym, co nam się przydarzyło i gdzie teraz jesteśmy, dokąd płyniemy i tak dalej. Myślałem, że może chciałbyś przeczytać, co do tej pory napisałem.

Uśmiechnął się ochoczo. Jego lśniące brązowe oczy jaśniały podnieceniem. Lawler zrozumiał, że Martello musi być ogromnie dumny z siebie i oczekuje aplauzu. Zazdrościł mu jego żywioowości, otwartej natury, bezgranicznego entuzjazmu. W tej desperackiej, skazanej na klęskę wyprawie Martello potrafił doszukać się poezji. Zdumiewające.

- Czy troszeczkę nie przyspieszasz biegu wydarzeń? - zapytał Lawler. - Ostatnio byłeś dopiero przy emigracji z Ziemi na pierwsze skolonizowane światy.

- To prawda. Jednak uważam, że w końcu dotrę do tej części poematu, która mówi o naszym życiu na Hydros, a której ogromnym fragmentem będzie ta podróż. Tak więc pomyślałem, dlaczego nie opisać jej teraz, gdy mam ją na świeżo w pamięci, zamiast czekać pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, aż będę stary.

Rzeczywiście, dlaczego nie, pomyślał Lawler.

Od kilku tygodni Martello zapuszczał włosy na golonej dotąd głowie: odrastały gęste, bujne i brązowe. Dzięki temu wyglądał dziesięć lat młodziej. Jeśli ktokolwiek na tym okręcie miał przeżyć jeszcze pięćdziesiąt lat, to prawdopodobnie był to Martello. Nawet siedemdziesiąt. Dużo czasu na pisanie poezji. Jednak owszem, lepiej już teraz przelać wrażenia na papier.

Lawler wyciągnął dłoń.

- Dobrze, spójrzmy na to - powiedział.

Przeczytał kilka linijek udając, że przegląda resztę. Podobnie jak poprzedni fragment, który pokazał mu Martello, był to długi, zarejestrowany strumień świadomości, równie dziwny i ckliwy, ten jednak miał przynajmniej walor osobistego przeżycia.

Z nieba spadł potok ciemności,

Zatopił nas głęboko, zanurzył nasze kości.

Potem, gdy walczyliśmy, by zostać na górze,

Nadszedł nowy wróg, mocniejszy niż poprzednio.

To była Fala! Wzbudziła w nas głęboki strach.

Zdławiła nasze krtanie i zmroziła serca.

Fala! Obmierzył wróg, najtęższy z przeciwników.

Wznosiła się jak ściana śmierci na piersi morza.

Drżeliśmy wtedy, pobledliśmy wtedy,

Upadliśmy na kolana w rozpacz...

Lawler podniósł oczy.

- To bardzo mocna rzecz, Leo.

- Myślę, że osiągnąłem zupełnie nowy poziom. Zajmując się historycznym, musiałem dotrzeć do tego z zewnątrz, ale teraz - miałem to dokładnie tutaj. - Podniósł ręce do góry i szeroko rozłożył palce. - Po prostu musiałem to zapisać, tak szybko jak zdołałem umieścić słowa na papierze.

- Miałeś przyływ natchnienia.

- To właściwe słowo, tak. - Martello nieśmiało sięgnął po zwój manuskryptu. -

Mógłbym go zostawić, gdybyś chciał przejrzeć go dokładniej, doktorze.

- Nie, nie, poczekam raczej, aż dokończysz całą pieśń. Nie napisałeś jeszcze o naszym

wyjściu na pokład po wszystkim, i o tym, jak dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w głębi Morza Pustego.

- Pomyślałem, że poczekam - powiedział Martello - aż dotrzemy do Obliczy Wód. Ta część podróży nie jest zbyt ciekawa, prawda? Zupełnie nic się nie dzieje. Kiedy jednak dotrzemy do Obliczy...

Przerwał znacząco.

- Tak? - powiedział Lawler. - Jak sądzisz, co się tam zdarzy?

- Cuda, doktorze. Cuda, dziwy i bajkowe historie. - Oczy Martello zabłyśły. - Nie mogę się doczekać. Napiszę pieśń, z jakiej byłby zadowolony sam Homer. Sam Homer!

- Jestem pewien, że napiszesz - powiedział Lawler.

Nagle, znikąd, znowu pojawiły się śluzice, nadlatując setkami bez żadnego ostrzeżenia. Nie było powodu, aby ich oczekiwać. Jeżeli już, to morze wydawało się tutaj bardziej jałowe niż kiedykolwiek, od chwili gdy na nie wpłynęli.

Lecz tego upalnego południa morze otworzyło się i obiegiło okręt śluzicą. Ciskały się, wylatując nagle z wody i przeskakując gęstymi chmurami środkową część okrętu. Lawler był na pokładzie. Usłyszał pierwsze furkotania i odruchowo ukrył się za fokmasztem. Długie na pół metra i grube jak męskie ramię śluzice przelatywały przez powietrze niczym zwinne, śmiercionośne pociski. Ich ostro zakończone, skórzaste skrzydła były rozpostarte, a rzędy ostrej jak igły szczeciny pionowo sterczały na grzbietach.

Niektóre przelatywały nad okrętem jednym długim łukiem i lądowały w morzu, wzbijając fontanny bryzgów. Inne trzaskały o maszty lub dach nadbudówki, lub zalegały sterkami w nagle wybrzuszonych żaglach, albo po prostu kończyły swój lot nad okrętem i w gniewnych podrygach spadały na pokład. Dwie z nich przefrunęły tuż obok Lawlera, jedna przy drugiej, obrzucając go tępym, złośliwym spojrzeniem. Potem przeleciały trzy następne,

jeszcze bardziej zbliżone do siebie nawzajem, jakby w zaprzęgu; a później więcej niż mógł zliczyć. Nie było mowy, aby bezpiecznie dotrzeć do luku. Mógł tylko ukryć się, zwinąć w kłębek i czekać.

Usłyszał krzyk gdzieś na pokładzie i poirytowane chrząknięcie z innej strony.

Spoglądając w górę, dostrzegł w takielunku Pilyę Braun; z trudem trzymała się lin, jednocześnie oganiając się od roju ryb. Jeden policzek miała rozcięty i zakrwawiony.

Tłusta śluzica zahaczyła o ramię Lawlera, ale nie wyrządziła mu krzywdy: trafiła go brzuchem, nie szczeciną. Kolejna przeleciała przez pokład właśnie wtedy, gdy Delagard wychodził z luku. Uderzyła go w pierś, wycinając poszarpaną i gwałtownie czerwieniejącą linię w jego koszuli, a potem spadła, kręcąc się u jego stóp. Z wściekłością rozgniół ją obcasem.

Przez trzy lub cztery minuty zasypywał ich ten deszcz rybich oszczepów. Potem śluzice zniknęły. I znów zapadła cisza; morze było nieruchome i gładkie jak tafla matowego szkła rozpościerająca się w nieskończoność.

- Dranie - wychrypiał Delagard. - Zetrę je w proch! Zniszczę co do jednej!

Kiedy? Gdy Oblicza Wód uczynią z niego najwyższego władcę planety?

- Daj mi obejrzeć to rozcięcie, Nid - powiedział Lawler.

Delagard wyrwał mu się.

- To tylko zadrapanie. Już go nawet nie czuję.

- Jak sobie życzysz.

Spod pokładu wyszli Neyana Golghoz z Natimem Gharkidem i zaczęli zmiatać na kupę nieżywe i dogorywające śluzice. Martello, który miał głęboko rozcięte ramię i szczecinę śluzicy wbitą w plecy, przyszedł pokazać swoje rany Lawlerowi. Lekarz kazał mu zejść na dół do izby chorych i poczekać. Pilya zeszła z olinowania i również pokazała mu swoje rany:

krwawiące rozcięcie na policzku i drugie tuż pod piersiami.

- Myślę, że potrzeba kilka szwów - powiedział jej. - Bardzo cierpisz?

- Troszeczkę piecze. I parzy. Tak naprawdę to bardzo parzy. Ale nic nie szkodzi.

Uśmiechnęła się. Lawler nadal widział migoczące w jej oczach uczucie, pożądanie czy cokolwiek to było. Wiedziała, że sypiał z Sundirą Thane, ale to najwidoczniej nie miało dla niej znaczenia. Może nawet cieszyła się z ran zadanych jej przez służice: on zwróci na nią uwagę, będzie dotykał jej skóry. Lawler żałował jej. Cierpliwe przywiązanie dziewczyny smuciło go.

Delagard, wciąż krwawiąc, podszedł do Neyany i Gharkida, którzy przygotowywali się do wyrzucenia służice za burtę.

- Zaczekajcie - powiedział szorstko. - Od wielu dni nie jedliśmy świeżej ryby.

Gharkid obrzucił go spojrzeniem pełnym nie skrywanego zdziwienia.

- Zjadłbyś służice, kapitanie?

- Możemy przynajmniej spróbować - powiedział Delagard.

Okazało się, że pieczona służica smakuje jak szmaty moczone przez kilka tygodni w urynie. Lawler zdołał przełknąć trzy kęsy i zrezygnował, krztusząc się. Kinverson i Gharkid odmówili poczęstunku; Dag Tharp, Henders i Pilya również zrezygnowali ze swoich porcji. Leo Martello dzielnie zjadł połowę ryby. Ojciec Quillan dziobał swoją z widocznym obrzydzeniem, ale i z zawziętą determinacją, jakby dotrzymywał ślubu danego Dziewicy, że będzie jadł wszystko, co przed nim postawią, obojętnie jak byłoby to obrzydliwe.

Delagard zjadł całą porcję i poprosił o dokładkę.

- Smakuje ci? - zapytał Lawler.

- Człowiek musi jeść, prawda? Należy podtrzymywać swoje siły, doktorze. Zgodzisz się? Proteiny to proteiny. Czyż nie, doktorze? Co na to powiesz, doktorze? Proszę, dołoż

sobie.

- Dzięki - powiedział Lawler. - Myślę, że spróbuję się obejść bez nich.

Zauważył zmianę w Sundirze. Wydawało się, że ze zmianą kursu i celu podróży pozbyła się całej narzuconej sobie rezerwy, tak że kiedy teraz kochali się, nie zapadali później w długotrwałe napięte milczenie, przerywane jedynie momentami płytkiej paplaniny. Teraz, gdy leżeli razem w ciemnym i stęchłym kącie ładowni, który był ich kryjówką, opowiadała mu o sobie w długich i wyczekiwanych monologach.

- Zawsze byłam ciekawską dziewczynką. Chyba aż nazbyt ciekawską. Brodziłam w zatoce, wylawiałam różne przedmioty na płyciznach, narażałam się na uszczypnięcia i ugryzienia. Gdy miałam około czterech lat, włożyłam sobie małego kraba do pochwy. Lawler skrzywił się; zachichotała.

- Nie wiem, czy chciałam sprawdzić, co się stanie z krabem, czy z moją pochwą. Krabowi to najwyraźniej nie przeszkadzało. Ale moim rodzicom tak.

Jej ojciec był merem wyspy Khamsilaine. Mer, jak się zdaje, to termin używany przez wyspiarzy na Morzu Lazurym, oznaczający głowę rządu. Khamsilaine była jedną z większych ludzkich osad, liczyła około pięciu tysięcy osób. Dla Lawlera była to niewyobrażalnie wielka populacja. Sundira niewiele mówiła o matce: ta-była naukowcem, przypuszczalnie historykiem badającym migrację międzygalaktyczną ludzi, umarła jednak bardzo młodo i Sundira prawie jej nie pamiętała. Najwyraźniej Sundira odziedziczyła część analitycznego umysłu matki. Szczególnie fascynowali ją Skrzelowcy - Mieszkańcy; zawsze dbała o to, aby używać tego bardziej formalnego określenia, co Lawlerowi wydawało się dziwaczne i pompatyczne. Kiedy miała czternaście lat, Sundira wraz z nieco starszym od siebie chłopcem zaczęli śledzić tajemne ceremonie Mieszkańców na wyspie Khamsilaine. Zaczęli też eksperymentować z seksem, co dla Sundiry było nowością; wspomniała o tym



dość beznamiętnie, ale Lawler, ku swemu zdziwieniu, poczuł się wściekle zazdrosny. Mieć za kochankę tak oszałamiającą dziewczynę jak Sundira, kiedy się jest tak młodym - cóż to byłoby za przywilej! W okresie dojrzewania Lawler nie cierpiał na brak dziewcząt. Później także, ilekroć zdołał uciec od nie kończących się godzin studiów medycznych, które przez większość czasu trzymały go w chacie ojca. Jednak to nie zalety umysłów pociągały go w tych dziewczynach. Przez chwilę pomyślał o tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby na Sorve była jakaś Sundira, kiedy dorastał. A gdyby poślubił ją, a nie Mireyl? To była zdumiewająca myśl; dziesiątki lat bliskiego partnerstwa z taką nadzwyczajną kobietą zamiast samotnego i pustego życia, jakie wiódł z własnego wyboru. Rodzina. Ciągłość rodu. Odepchnął od siebie te dziwne myśli. Zwyczajne fantazje, oto czym były: on i Sundira dorastali oddaleni od siebie o tysiące kilometrów i wiele lat. A nawet gdyby sprawy ułożyły się inaczej, to każdy związek, jaki zbudowałiby na Sorve, zostałby tak czy inaczej nadwątlony przez wygnanie. Wszystkie drogi wiodły do tego pływającego więzienia, łupinki kołyszącej się na środku Morza Pustego.

Dociekliwość Sundiry w końcu doprowadziła do poważnego skandalu. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat; jej ojciec nadal był merem; mieszkała sama na granicy ludzkiej osady na Khamsilaine i spędzała wśród Mieszkańców tyle czasu, na ile jej pozwalali.

- To było intelektualne wyzwanie. Chciałam się nauczyć o tym świecie wszystkiego, co mogłam. Rozumieć świat oznaczało zrozumieć Mieszkańców. Byłam pewna, że coś się tutaj dzieje, coś, czego nikt z nas nie widzi.

Opanowała biegle język Mieszkańców, co najwidoczniej nie było na Khamsilaine umiejętnością powszechną. Ojciec zrobił ją ambasadorem wyspy u Skrzelowców: wszystkie kontakty z nimi odbywały się za jej pośrednictwem. Tyle samo czasu spędzała w wiosce Mieszkańców na południowym krańcu wyspy, co we własnej społeczności. Większość z nich

ledwie tolerowała jej obecność, jak to zwykle czynią Mieszkańcy; niektórzy byli otwarcie niechętni, ale kilkoro okazywało prawie przyjaźń. Sundira czuła, że zbliża się do poznania niektórych z nich jako indywidualności, a nie tylko jako niezdarnych, złowieszczych, nierozróżnialnych, obcych stworzeń, jakimi Mieszkańcy wydawali się większości ludzi.

- To był mój błąd i ich: zbyt blisko zbliżyłam się do nich. Budowałam na tej bliskości.

Przypominałam sobie pewne rzeczy, które widziałam jako dziewczynka, kiedy razem z Tomaszem szpiegowaliśmy ich w miejscach, do których nie powinniśmy byli zaglądać.

Zadawałam pytania. Otrzymywałam wymijające odpowiedzi. Dręczące odpowiedzi.

Zdecydowałam, że muszę znów pospiegować.

Cokolwiek zobaczyła Sundira w ukrytych izbach Skrzelowców, nie umiała, jak się wydawało, przekazać tego Lawlerowi: może chciała dochować tajemnicy, a może po prostu nie zobaczyła tyle, aby cokolwiek zrozumieć. Wspominała o ceremoniach, komuniach, rytuałach, misteriach; jednak niejasność opisów wydawała się wynikać z jej niedoskonałości odbioru, a nie z niechęci do dzielenia się z nim tym, co wiedziała.

- Powróciłam do tych samych miejsc, do których przed laty zakradałam się z Tomaszem. Tym razem złapano mnie.

Myślałam, że mnie zabiją. Zamiast tego zaprowadzili mnie do ojca i kazali mu mnie zabić. Obiecał, że mnie utopi, i wydawali się to akceptować. Wypłynęliśmy łodzią rybacką i wyskoczyłam za burtę. Ojciec jednak zorganizował łódź z Simbalimak, która czekała z drugiej strony wyspy. Aby się do niej dostać, musiałam płynąć przez trzy godziny. Nigdy nie wróciłam na Khamsilaine. I nigdy więcej nie widziałam się ani nie rozmawiałam z moim ojcem. Lawler łagodnie pogłaskał ją po policzku.

- A więc ty też wiesz coś o wygnaniu.

- Coś, tak.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Wzruszyła ramionami.

- Jakie by to miało znaczenie? Cierpiełaś tak bardzo. Czy czułbyś się lepiej, gdybym ci powiedziała, że ja też musiałam opuścić moją rodzinną wyspę?

- Możliwe.

Dzień lub dwa później znów spotkali się w ładowni i znowu opowiadała mu o życiu, które zostawiła za sobą. Rok na Simbalimak - poważny romans, o którym już wcześniej wspominała, i dalsze próby zgłębienia tajemnic Skrzelowców, które skończyły się prawie tak samo katastrofalnie jak nielegalne obserwacje na Khamsilaine - a potem wyprowadziła się z Morza Lazurowego na Shaktan. Lawler nie był pewien, czy powodem jej odejścia były naciski Skrzelowców, czy też zerwanie romansu, i wcale nie miał ochoty o to pytać.

Z Shaktan na Velmise, z Velmise na Kentrup, w końcu z Kentrup na Sorve:

niespokojne życie i chyba niezbyt szczęśliwe. Kolejna odpowiedź zawsze przynosiła nowe pytanie. Nowe próby penetracji tajemnic Skrzelowców i nowe kłopoty. Następne romanse, nie prowadzące do niczego. Samotna, niepełna, tułacza egzystencja. Dlaczego przybyła na Sorve?

- A dlaczego nie? Chciałam wyjechać z Kentrup. Sorve była jednym z wielu możliwych miejsc. Znajdowała się blisko, mogła mnie przyjąć. Zostałabym przez chwilę i ruszyłabym dalej.

- Czy chciałaś, żeby tak wyglądało całe twoje życie? Zatrzymać się gdzieś na krótko, przenieść gdzieś indziej i znów odpłynąć?

- Tak sądzę - powiedziała.

- Czego szukałaś?

- Prawdy.

Lawler czekał, nie komentując. Powiedziała:

- Nadal sądzę, że dzieje się tutaj coś, o czym nie mamy pojęcia. Mieszkańcy tworzą jednolite społeczeństwo. Takie samo na każdej wyspie. Istnieje jakiś związek między jedną społecznością Mieszkańców a drugą, między Mieszkańcami a nurkami, między Mieszkańcami a platformami, między Mieszkańcami a jamochłonami. O ile wiem, również między Mieszkańcami i służicą. Chcę wiedzieć, co to za związek.

- Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

- Hydros to miejsce, na którym będę musiała spędzić resztę życia. Czy nie sądzisz, że powinnam poznać je tak dokładnie, jak tylko zdołam?

- A zatem nie martwi cię to, że Delagard porwał nas i wlecze ze sobą?

- Nie. Im więcej zobaczę, tym lepiej zrozumieję tę planetę.

- Nie boisz się rejsu do Obliczy? Pływania po niezbadanych wodach?

- Nie - powiedziała. A po chwili dodała: - Tak, może trochę. Pewnie, że się boję.

Jednak tylko trochę.

- Jeżeli część z nas spróbowałaby powstrzymać Delagarda, czy przyłączyłabyś się do nas?

- Nie - odparła bez wahania.

Przez kilka dni nie było w ogóle wiatru, a okręt stał jak martwy w zupełnie gładkiej wodzie pod nadbrzmiałym słońcem, które rosło z każdą chwilą. W tym tropikalnym rejonie powietrze było suche i gorące, tak że często z trudem chwyтали oddech. Delagard dokonywał cudów za sterem, kazał stawiać żagle w tę lub tamtą stronę, w ten lub inny sposób, aby złapać choć najslabszą bryzę, więc przez cały czas jakoś posuwali się naprzód, płynąc powoli na południowy zachód, coraz dalej w głąb tych jałowych pustkowi oceanu. Bywały też jednak i takie okropne dni, kiedy wydawało się, że nigdy więcej żaden poryw powietrza nie napelni żagli i na wieki zostaną uwięzieni tutaj, aż zamienią się w wyschnięte szkielety.

- Stoi nieruchomo jak namalowany - powiedział Lawler. - Malowany statek na malowanym morzu.

- Co to? - zapytał ojciec Quillan.

- Poemat. Z Ziemi, stary wiersz. Jeden z moich ulubionych.

- Cytowałeś z niego już wcześniej, prawda? Pamiętam jego rytm. Coś o wodzie, wodzie dookoła.

- I ani kropli do picia - powiedział Lawler.

Woda pitna prawie się już skończyła. Na dnie większości beczek nie było nic prócz kleistych cieni. Lis odmierzała racje w kroplach.

Lawler miał prawo do dodatkowej racji dla celów medycznych. Zastanawiał się, jak poradzić sobie z problemem przyjmowania swoich dziennych porcji nalewki z uśmierzychy. Substancja ta powinna być rozpuszczana w dużej ilości wody, bo inaczej stawała się niebezpieczna; nie mógł jednak pozwolić sobie na luksus zużywania tak dużych ilości wody dla osobistych słabości. W takim razie co robić? Wymieszać ją z wodą morską? Przez jakiś czas mógłby sobie radzić w ten sposób; jednak gdyby trwało to zbyt długo, nerki ucierpiałyby

w wyniku kumulacji soli. Zawsze mógł mieć nadzieję, że w najbliższym czasie spadnie deszcz i będzie mógł przepłukać nerki świeżą wodą.

Ponadto mógł po prostu nie brać narkotyków.

W drodze eksperymentu spróbował pewnego ranka obejść się bez uśmierzychy. Przed południem czaszka zaczęła go dziwnie swędzieć. Późnym popołudniem cała skóra zdrętwiała, jak gdyby pokrywała ją łuska. O zmierzchu drżał cały i pocił się z pragnienia.

Siedem kropeł uśmierzychy i drzenie natychmiast zmieniło się w dobrze znane i oczekiwane odrętwienie.

Jednak zapasy narkotyku zaczęły się kurczyć. Lawler uznał to za większy problem niż brak wody. Mimo wszystko zawsze pozostawała nadzieja, że jutro spadnie deszcz. Tymczasem ziele uśmierzychy nie rosło w tych wodach.

Przedtem Lawler sądził, że znajdzie je, gdy okręt dotrze do Grayvard. Jednak nigdy nie dopłyną do Grayvard. Oszacował, że zapasy wystarczą mu na kilka następnych tygodni. Może mniej. W każdym razie niedługo się skończą.

I co wtedy? Co wtedy?

Do tego czasu spróbuje mieszać krople z odrobiną morskiej wody.

Sundira opowiedziała mu więcej o swoim dzieciństwie na Thamsilaine, o burzliwym dojrzewaniu, późniejszej wędrówce z wyspy na wyspę, o swoich ambicjach i nadziejach, wysiłkach i porażkach. Godzinami przesiadywali razem w wilgotnej ciemności, wyciągając swoje długie nogi przed siebie i splatając dłonie jak młodzi kochankowie, podczas gdy okręt dryfował łagodnie po łagodnych tropikalnych wodach. Pytała również Lawlera o jego życie, więc opowiadał historyjki ze swego nieskomplikowanego dzieciństwa oraz cichego, monotonnego, starannie zaplanowanego dorosłego życia na jedynej wyspie, jaką znał.

Aż pewnego popołudnia zszedł pod pokład, aby poszperać w skrzyniach z nowymi

zapasami, i usłyszał namiętne jęki i sapania, dochodzące z ciemnego kąta ładowni. To było ich miejsce; to był kobiecy głos. Neyana pracowała przy takielunku, Lis była w kuchni, Pilya miała wolne i wałęsała się po pokładzie. Pozostawała tylko Sundira. Gdzie był Kinverson? Miał pierwszą wachtę, tak samo jak Pilya, a zatem był wolny. Lawler uświadomił sobie, że to Kinverson jest za tymi skrzyniami i wydobywa te jęki i westchnienia z chętnego ciała Sundiry.

Tak więc, cokolwiek łączyło tych dwoje - a Lawler wiedział, co to było - nie skończyło się, mimo nowej zażyłości i trzymania się za ręce.

Osiem kropel uśmierzychy pomogło mu uporać się z tym - prawie.

Zmierzył to, co pozostało z zapasów. Nie było tego dużo. Całkiem niedużo.

Żywność również stawała się problemem. Od tak dawna nie złowili żadnej ryby, że kolejny atak roju śluzicy zaczynał się wydawać prawie miłą perspektywą. Żywili się malejącymi zapasami surowej ryby i sproszkowanych glonów, jakby mieli środek arktycznej zimy.

Czasami udawało się im wciągnąć ładunek planktonu za pomocą ciągniętego za okrętem pasma tkaniny, lecz jedzenie planktonu przypominało zjedanie piasku - był gorzki i niesmaczny. Dawały o sobie znać choroby związane z niedostatkami pożywienia.

Gdziekolwiek Lawler spojrzał, widział popękane usta, matowe włosy, plamistą skórę, wycieńczone i wymizerowane twarze.

- To szaleństwo - mamrotał Dag Tharp. - Musimy zawrócić, zanim wszyscy pomrzemy.

- Jak? - zapytał Onyos Felk. - Gdzie jest wiatr? Kiedy w ogóle wieje, wieje ze wschodu.

- To nie ma znaczenia - powiedział Tharp. - Znajdziemy sposób. Wyrzucimy za burtę tego drania, Delagarda, i zawrócimy okręt. Co na to powiesz, doktorze?

- Powiem, że potrzebujemy deszczu i dużej ławicy ryb przepływającej blisko nas.

- Już nie jesteś z nami? Myślałem, że zależało ci na powrocie tak samo jak nam.

- Onyos ma rację - powiedział ostrożnie Lawler. - Wiatr jest przeciwko nam. Z

Delagardem czy bez, możemy nie pokonać drogi powrotnej na wschód.

- Co mówisz, doktorze? Że musimy żeglować dookoła świata, aż dotrzemy do Morza Ojczystego z drugiej strony?

- Nie zapominaj o Obliczach - wtrącił się Dann Henders. - Zanim zaczniemy piąć się na drugą stronę świata, dotrzemy do Obliczy.

- Oblicza - powiedział Tharp ponuro. - Oblicza! Oblicza! Oblicza! Pieprzyć Oblicza!

- Prędzej Oblicza nas wypieprzą - powiedział Henders.

W końcu bryza nadleciała i odświeżyła powietrze, wiejąc od pomocnego wschodu na południowy wschód, niosąc zadziwiająco chłodny powiew, podczas gdy morze podnosiło się i burzyło, często przelewając się przez prawą burtę. Nagle znów pojawiły się ryby, w obfitych, srebrnych masach, a Kinverson wyciągał ciężkie sieci.

- Powoli - ostrzegał Delagard, gdy siedli do stołu. - Nie napychajcie się, bo popękacie.

Lis przeszła samą siebie, przygotowując posiłki, wyczarowując tuzin różnych sosów prawie z niczego. Jednak wciąż nie było wody, więc jedzenie stawało się wyczerpującym zadaniem. Kinverson nakłaniał ich do jedzenia świeżej ryby, aby skorzystać z zawartej w niej wilgoci. Zanurzanie świeżych, krwawiących kawałków w wodzie morskiej podnosiło ich smak, chociaż zwiększało pragnienie.

- Co się z nami stanie, jeśli będziemy pić słoną wodę, doktorze? - spytała Neyana

Golghoz. - Czy umrzemy? Oszalejemy?

- Już jesteśmy szaleni - powiedział cicho Dag Tharp.

- Tolerujemy pewną ilość słonej wody - powiedział Lawler, myśląc o ilości, którą sam



konsumował ostatnio. Nie miał jednak zamiaru o tym wspominać. - Gdybyśmy mieli choć trochę słodkiej wody, moglibyśmy zwiększyć jej zapas, dodając do niej dziesięć do piętnastu procent morskiej wody. To by nam nie zaszkodziło, a nawet pomogłoby uzupełnić ubytki soli, którą wypacamy z siebie przez cały czas w tym upale. Jednak nie pożyjemy długo na nie rozcieńczonej wodzie morskiej. Nasze ciała są w stanie przefiltrować ją i zamienić w czystą wodę, lecz nerki nie potrafią pozbyć się nagromadzonej soli, nie odciągając w tym celu wody z innych tkanek ciała. Bardzo szybko wyschniemy. Gorączka, wymioty, delirium, śmierć.

Dann Henders zainstalował rząd małych słonecznych kotłów destylacyjnych, napełnionych częściowo wodą morską i przykrytych przezroczystym plastikiem. Każdy kocioł miał wewnątrz naczynie, umieszczone tak, aby zbierało krople świeżej wody, które skraplały się na wewnętrznej stronie plastiku. Lecz był to długotrwały proces. Uzyskanie w ten sposób słodkiej wody w ilości wystarczającej dla zaspokojenia potrzeb wydawało się niemożliwe.

- Co będzie, jeśli wkrótce nie spadnie deszcz? - pytała Pilya Braun. - Co poczniemy?

Lawler wskazał na ojca Quillana.

- Możemy spróbować modlitw - powiedział.

\* \* \*

Późnym wieczorem następnego dnia, gdy upał trzymał ich w mocnym uścisku, a okręt prawie w idealnym bezruchu stał na wodzie, Lawler, wracając na noc do swojej kajuty, usłyszał Hendersa i Tharpa szepczących w pokoju radiowym. Chropowate brzmienie ich głosów było dziwnie irytujące. Gdy Lawler na moment przystanął w przejściu, w dół po drabinie zszedł Onyos Felk i skinął mu głową na powitanie; potem także wszedł do pokoju radiowego. Lawler, stojąc przed drzwiami swej kajuty, usłyszał, jak Felk mówi:

- Na korytarzu jest doktor. Chcecie, abym go zaprosił do środka?

Lawler nie słyszał odpowiedzi, ale musiała być pozytywna, ponieważ Felk odwrócił się, skinął do niego i rzekł:

- Może zaszedłby pan tutaj na minutkę, doktorze?
- Już późno, Onyos. O co chodzi?
- Tylko na chwilę.

Tharp i Henders siedzieli ramię przy ramieniu w małym pokoju radiowym, a kapiąca świeca rzucała na nich ponury blask. Na stole stała butelka brandy z winnych wodorostów i dwie filiżanki. Tharp zazwyczaj nie pije, przypomniał sobie Lawler.

Henders powiedział:

- Napijesz się, doktorze?
- Raczej nie, dziękuję.
- Wszystko w porządku?
- Jestem zmęczony - powiedział Lawler, trochę niecierpliwie. - O co chodzi, Dann?
- Rozmawialiśmy o Delagardzie. Dag, ja i Onyos. Mówiliśmy o tej idiotycznej, pieprzonej awanturze, w jaką nas wrobił. Co o nim sądzisz, doktorze?
- Delagard? - Lawler wzruszył ramionami. - Wiecie, co myślę.
- My wszyscy wiemy, co myślą inni. Znamy się cholernie długo. Powiedz nam jednak.
- To bardzo zdeterminowany człowiek. Uparty, silny, całkowicie pozbawiony skrupułów. Niezmiernie pewny siebie.
- Szalony?
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Założę się, że możesz - wtrącił Dag Tharp. - Uważasz, że postradał zmysły.
- To możliwe. A może nie. Czasami nie jest łatwo odróżnić głupotę od szaleństwa.

Wielu geniuszy w swoim czasie uważano za szaleńców.

- Czy uważasz, że on jest geniuszem? - zapytał Henders.

- Niekoniecznie. Jednak to co najmniej niezwykle człowiek. Nie mogę powiedzieć, co się dzieje w jego umyśle. Równie dobrze może być szalony. Jednak na pewno potrafi podać wam całkiem rozsądnie brzmiące przyczyny swojego postępowania. Mogę się o to założyć. Ta historia Oblicz Wód jest dla niego zupełnie sensowna.

Felk powiedział:

- Nie udawaj takiego niewinnego, doktorze. Każdy wariat twierdzi, że jego szaleństwo jest zupełnie normalne. Czy istnieje na świecie człowiek, który kiedykolwiek uwierzył, że jest obłąkany?

- Czy podziwiasz Delagarda? - spytał Lawlera Henders.

- Nieszczególnie. - Lawler wzruszył ramionami. - Muszę jednak przyznać, że ma swoje zalety. Ten człowiek ma wizję. Nie uważam jednak, żeby była ona godna podziwu.

- Lubisz go?

- Nie. Ani trochę.

- Przynajmniej jesteś szczery.

- Czy ta rozmowa ma jakiś cel? - zapytał Lawler. - Ponieważ jeśli dobrze bawicie się, siedząc tutaj nad butelką brandy i opowiadając sobie, jakim paskudnym draniem jest Delagard, to wolę pójść do łóżka?

- Chcemy tylko dowiedzieć się, jakie jest twoje zdanie, doktorze - powiedział Dann Henders. - Powiedz nam, czy chcesz, aby ta podróż nadal przebiegała w ten sposób?

- Nie.

- A czy znasz jakiś sposób, żeby to zmienić?

- Czy jest coś, co możemy zrobić?

- Zadałem ci pytanie. Odpowiadanie nań pytaniem do niczego nie prowadzi.

- Planujecie bunt, prawda?

- Czyja coś takiego powiedziałem? Nie przypominam sobie, doktorze.

- Nawet głuchy usłyszałby, co mówisz.

- Bunt - powiedział Henders. - Hm, a gdyby niektórzy z nas spróbowali odegrać czynną rolę w podejmowaniu decyzji, dokąd powinien płynąć okręt. Co byś powiedział, gdyby tak się stało? Co byś zrobił?

- To kiepski pomysł, Dann.

- Tak myślisz, doktorze?

- Był czas, kiedy równie chętnie jak ty kazałbym Delagardowi zawrócić okręt. Dag o tym wie. Rozmawiałem z nim o tym. Delagarda należy powstrzymać, mówiłem mu.

Pamiętasz, Dag? Jednak było to, zanim Fala zaniósła nas tak cholernie daleko. Od tej pory miałem dużo czasu do namysłu i zmieniłem zdanie.

- Dlaczego?

- Z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że to okręt Delagarda, na dobre i na złe, a me mam ochoty mu go odbierać. Kwestia moralna, można by powiedzieć. Możecie uzasadniać taki czyn dowodząc, że on ryzykuje naszym życiem bez naszej zgody. Mimo to nie sądzę, że to dobry pomysł. Delagard jest zbyt przebiegły. Zbyt niebezpieczny. Zbyt silny. Przez cały czas ma się na baczności. A wielu pozostałych jest względem niego lojalnych lub boi się go, co wychodzi na to samo. Nie pomogą nam. Raczej pomogą jemu. Jeśli spróbujecie jakichś sztuczek, bardzo szybko tego pożałujecie.

Henders rzucił mu lodowate spojrzenie.

- Powiedziałeś, że są trzy powody. Na razie podałeś dwa.

- Trzecim jest to, o czym Onyos mówił tamtego dnia. Nawet jeśli przejmiecie okręt, jak dopłyniecie z powrotem na Morze Ojczyste? Bądźcie realistami. Nie ma wiatru. Kończy

się nam żywność i woda, szybciej, niż chcę o tym myśleć. Jeśli nie złapiemy przypadkowo zachodniego wiatru, możemy jedynie mieć nadzieję, że dopłyniemy do Obliczy i tam zdołamy odświeżyć zapasy.

Henders obrzucił kartografa dziwnym spojrzeniem.

- W dalszym ciągu tak uważasz, Onyos?

- Tak, jesteśmy dość daleko. A teraz przez większość czasu znajdujemy się na spokojnych wodach. Tak więc przypuszczam, że nie mamy innego wyjścia, jak płynąć dalej obecnym kursem.

- Czy to twoja opinia? - zapytał Henders.

- Tak. Tak sądzę - powiedział Felk.

- Podążać za wariatem, który wiezie nas do miejsca, o którym nic nie wiemy?

Miejsca, które najprawdopodobniej jest pełne wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, jakich nawet nie umiemy sobie wyobrazić?

- Nie podoba mi się to bardziej niż tobie. Jednak, jak mówi doktor, musimy być realistami. Oczywiście, gdyby wiatr zmienił się...

- Pewnie, Onyos. Albo gdyby anieli zeszli z nieba, przynosząc ze sobą trochę dobrej,

chłodnej, świeżej wody. - W małym, zatłoczonym pomieszczeniu zapadła długa, kłująca

cisza. W końcu Henders podniósł wzrok i powiedział: - W porządku, doktorze. To nic nie

daje. Nie chcę zabierać więcej twojego czasu. Zaprosiliśmy cię na przyjacielskiego drinka, ale

widzimy, że jesteś bardzo zmęczony. Dobranoc, doktorze, śpij dobrze.

- Masz zamiar spróbować, Dann?

- Nie sądzę, aby to mogło dotyczyć ciebie, doktorze.

- W porządku - powiedział Lawler. - Dobranoc.

- Onyos, czy chciałbyś tu zostać jeszcze chwilę? - powiedział Henders.

- Cokolwiek sobie życzysz, Dann - powiedział Felk. W głosie kartografa brzmiała gotowość wysłuchania dalszych argumentów.

Banda głupców, pomyślał Lawler w drodze do kajuty. Bawią się w buntowników.

Wątpił, żeby cokolwiek z tego wyszło. Felk i Tharp to słabeusze, a Henders nie poradzi sobie sam z Delagardem. Ostatecznie nie zrobi nic, a okręt pozostanie na dotychczasowym kursie na Oblicza. Taki był najbardziej prawdopodobny wynik całego tego spiskowania.

W środku nocy Lawler usłyszał hałasy na pokładzie: krzyki, odgłosy uderzeń, tupot bosych stóp. Rozległ się gniewny krzyk, stłumiony przez poszycie pokładu, niemniej jednak był to wyraźnie okrzyk wściekłości i Lawler zrozumiał, że się mylił. Jednak zrobili to. Usiadł na koi, mrugając oczami. Nie tracąc czasu na ubieranie się, wstał i przeszedł korytarzykiem do schodni, a potem na górę.

Prawie świtało. Niebo miało szaroczną barwę; Krzyż wisiał nisko na niebie, dziwnie wykrzywiony, jak zwykle na tych szerokościach. Na pokładzie, w pobliżu przedniego luku, rozgrywał się niesamowity dramat. A może to była farsa?

Dwie postacie biegały wokół otwartego włazu, rycząc i gestykulując. Po chwili

Lawler wyteżył zaspane oczy i zobaczył, że to Dann Henders i Nid Delagard. Henders gonił, a Delagard uciekał.

Henders trzymał w ręku, jak dzidę, jeden z ościeni Kinversona. Biegając za

Delagardem wokół luku dźgał tą bronią powietrze, wyraźnie usiłując wbić ją w plecy właściciela okrętu. Do tej pory udało mu się to przynajmniej raz. Delagard miał rozerwaną koszulę; Lawler widział cienką, zygzakowatą strużkę krwi, która pojawiła się pod jego prawym ramieniem jak czerwona nitka wszyta w materiał, rozszerzająca się z każdą chwilą.

Jednak Henders był sam. Dag Tharp stał przy nadburciu, patrząc szeroko otwartymi oczami, nieruchomy jak posąg. Obok niego był Onyos Felk. Na rejach stali również zdumieni

Leo Martello i Pilya Braun, a na ich twarzach widać było zdumienie i zgrozę.

- Dag! - ryknął Henders. - Na rany Chrystusa, Dag, gdzie jesteś? Pomóż mi, już!

- Jestem tutaj... tutaj... - wyszeptał radiooperator chropowatym, świszczącym głosem, który ledwie było słyhać z odległości pięciu metrów. Nie ruszył się z miejsca.

- Na rany Chrystusa - powtórzył Henders z obrzydzeniem. Pogroził pięścią Tharpowi i runął na Delagarda, usiłując dosięgnąć go ościeniem. Jednak Delagard zdołał - z trudem - uchylić się przed ciosem. Klnąc obejrzał się przez ramię. Jego twarz lśniła od potu; oczy gorzały mu wściekłością.

Kiedy Delagard mijał fokmaszt w rozpaczliwej ucieczce przed napastnikiem, spojrział w górę i wrzasnął do Pilyi, uwieszanej na rei tuż nad nim:

- Pomóż mi! Szybko! Nóż!

Pilya błyskawicznie odpięła pochwę, w której przechowywała kościane ostrze, które zawsze nosiła u pasa, i rzuciła broń przebiegającemu pod nią Delagardowi. Chwycił ją w powietrzu szybkim ruchem dłoni, wyrwał ostrze z oprawki i zacisnął dłoń na rękojeści. Potem odwrócił się, stając nieoczekiwanie w rozkroku na wprost zdumionego Hendersa, który biegł zbyt szybko, żeby się zatrzymać. Wpadł prosto na Delagarda. Ten jednym szybkim, gwałtownym pchnięciem odbił oścień w bok, zanurkował pod nim i zadając cios od dołu, wbił ostrze aż po rękojeść w krtań Hendersa.

Henders zacharczał i wyrzucił ramiona w górę. Jego twarz miała wyraz zdziwienia.

Wypuścił oścień. Obejmując Hendersa, jakby byli kochankami, Delagard ścisnął drugą ręką szyję inżyniera i z upiorną czułością przyciskał go do siebie, tak że ostrze tkwiło mocno.

Oczy Hendersa, szerokie i wytrzeszczone, lśniły jak księżycy w pełni o szarym świetle.

Wydał niski, chrapliwy dźwięk i strumień ciemnej krwi wytrysnął mu z ust. Wywalił język, spuchnięty i poczerniały. Delagard mocno trzymał ofiarę.

Lawler wreszcie odzyskał głos.

- Nid... Mój Boże, Nid, co ty zrobiłeś...

- Chcesz być następny, doktorze? - zapytał spokojnie Delagard. Wyciągnął ostrze, obracając je przy tym, i cofnął się. Chlusnął potok krwi. Twarz Hendersa poczerniała. Zrobił jeden chwiejny krok, potem drugi, jak lunatyk. W oczach wciąż miał zdumienie.

Potem potknął się i upadł. Lawler wiedział, że umarł, zanim dotknął pokładu.

Pilya zeszła z olinowania. Delagard cisnął nóż na pokład u jej stóp.

- Dzięki - powiedział obojętnie. - Jestem ci winien kolejkę.

Podniósł ciało Hendersa, jakby było lekkie jak piórko, jedną ręką chwytając zabitego za ramię, a drugą za nogi, po czym pobiegł szybko do burty, podniósł ciało w górę i rzucił je w morze jak śmieć.

Tharp nie ruszył się z miejsca. Delagard podszedł do niego i uderzył go w twarz tak silnie, że głowa odskoczyła mu do tyłu.

- Ty tchórzliwy wypierdku - powiedział Delagard. - Nie miałeś nawet tyle odwagi, aby przeprowadzić własny plan. Powinienem również wyrzucić cię za burtę, ale szkoda zachodu.

- Nid, na litość boską, Nid...

- Zamknij się. Zejdź mi z oczu. - Delagard odwrócił się na pięcie i spojrzał ze złością na Felka. - A ty, Onyos? Też należałeś do spisku?

- Ja nie, Nid! Nie mógłbym! Przecież wiesz!

- Ja nie, Nid! - Delagard skrzywił się. - Popaprańcu! Byłbyś, gdybyś miał więcej odwagi. Tchórz z ciebie. A ty, Lawler? Założysz mi szwy czy też bierzesz udział w tym pieprzonym spisku?

- Nie brałem w tym udziału - cicho powiedział Lawler. - To był głupi pomysł, mówiłem irrr.



- Wiedziałaś i nie ostrzegłeś mnie?

- Zgadza się, Nid.

- Jeżeli nie należysz do spisku, twoim obowiązkiem jest zawiadomić kapitana, co się dzieje. Prawo morza. Nie zrobiłeś tego.

- To prawda - powiedział Lawler - nie zrobiłem. Delagard trawił to przez chwilę.

Potem wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- W porządku, doktorze. Myślę, że rozumiem. - Rozejrzał się. - Niech ktoś posprząta pokład. Nienawidzę bałaganu na okręcie. - Skinął do Felka, który wyglądał na

oszołomionego. - Onyos, stań za sterem, jak tylko się obudzisz. Muszę najpierw opatrzyć sobie ranę. Chodź, doktorze. Myślę, że mogę ci zaufać, jeśli chodzi o szwy.

W południe, w jednej chwili, nadleciał wiatr, jakby śmierć Hendersa była ofiarą dla jakichś bogów władających Hydros. Głuchą, długotrwałą morską ciszę nagle przerwały basowe ryki dalekich podmuchów: ostry, południowy wiatr nadlatujący od bieguna, chłodny i rzeński.

Morze zaczęło falować. Okręt, unieruchomiony przez tak długi czas, podskoczył, cofnął się i znów podskoczył. Niebo pociemniało z zadziwiającą gwałtownością. Wiatr przynosił deszcz.

- Wiadra! - wrzasnął Delagard. - Beczki!

Nikogo nie trzeba było zachęcać. Wachta pod pokładem natychmiast zareagowała i na pokładzie zaroilo się od ruchliwych postaci. Wszystko, w co można chwycić wodę, wystawiono na pokład. Nie tylko zwykłe słoje, beczki i kotły, ale również czyste szmaty, koce, odzież i co tylko pochłaniało wodę i mogło być wyżęte po burzy. Od ostatniego opadu minęły tygodnie; może ich upłynąć wiele przed następnym.

Deszcz dawał chwilę wytchnienia, łagodził szok po nieudanym buncie i gwałtownej

śmierci Hendersa. Biegając nago po pokładzie, tak jak wszyscy, i opróżniając mniejsze pojemniki do większych, Lawler dziękował losowi za ten deszcz. Koszmarna scena na pokładzie wpłynęła na niego w zupełnie nieoczekiwany sposób, odzierając go z warstw z trudem zdobytej pewności siebie. Od dawna już nie czuł się tak naiwny, tak niedoświadczony. Rany bluzgające krwią, poszarpane ciała, nawet nagła śmierć, wszystko to było dla niego chlebem powszednim, częścią jego profesji. Był do tego przyzwyczajony; traktował to obojętnie. Ale zabójstwo? Nigdy dotąd nie widział morderstwa. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie morderstwa. Mimo całej śmiałej gadaniny Daga Tharpa o wyrzuceniu Delagarda za burtę Lawler nie mógł uwierzyć, że człowiek mógłby odebrać życie innemu człowiekowi. Oczywiście nie podlegało dyskusji, że Delagard zabił Hendersa w obronie własnej. Jednak zrobił to z zimną krwią, z premedytacją, bez wyrzutów sumienia. W konfrontacji z paskudną rzeczywistością Lawler czuł się poniżające niewinny. Mądry, stary Doktor Lawler, który widział wszystko, trząśnięty ze strachu z powodu przypadku archaicznej przemocy? Absurd. A jednak to prawda. Wstrząs, jakiego doznał, był ogromny. To był okropny widok.

Archaiczny - to właściwe określenie. Szybkość i obojętność, z jaką Delagard pozbył się swego prześladowcy, były typowe dla średniowiecza, jeśli nie dla epoki jaskiniowej; tego ranka na pokładzie "Królowej Hydros" rozegrała się na nowo ponura scena z mrocznej przeszłości rodzaju ludzkiego. Lawler prawdopodobnie nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby sama Ziemia pokazała się na niebie tuż nad masztami, z wszystkimi kontynentami ociekającymi krwią.

To tyle, jeśli chodzi o całe wieki cywilizacji. I tyle, jeśli chodzi o rzetelne, powszechne mniemanie, że takie starożytne namiętności przestały istnieć, że o takiej krwawej przemocy człowiek zapomniał w procesie ewolucji.

Deszcz przyniósł chwilę wytchnienia, jak również niezwykle potrzebną wodę. Zmył z

pokładu ślady krwi. To, co się dziś zdarzyło, to jedna z rzeczy, o jakich Lawler chciał zapomnieć najszybciej, jak to możliwe.

Tej nocy przyszły męczące sny, sny wypełnione nie mordem, lecz potężną żądzą. Lawler spał, a wokół niego płąsały niewyraźne postacie kobiet, kobiet bez twarzy, będących jedynie poruszającymi się ciałami, zwyczajowymi naczyniami rozkoszy. Mogły być kimkolwiek; anonimowe, tajemnicze, czysta esencja kobiecości, bez własnej tożsamości, puste tablice i nic więcej: korowód rozkołysanych piersi, szerokich bioder, pełnych pośladków, gęsto zarośniętych trójkątów łonowych. Czasami wydawało mu się, że taniec wykonują same bezcielesne piersi lub szeregi rozchylających się bez końca ud lub wilgotnych, lśniących warg. Albo wijących się palców, lub śmigających języków. Rzucił się niespokojnie, dryfując ku jawie, lecz wciąż ponownie zapadając w sen, który przynosił nowe fale gorączkowej zmysłowości. Chmary kobiet otaczały jego koję, oczy miały zmrużone i swawolne, nozdrza rozdęte, a ciała nagie. Teraz ciała posiadały twarze, twarze kobiet z Sorve, które znał i kochał, lecz prawie o nich zapomniał. Legiony kobiet, a wśród nich przywrócone do życia i otaczające go teraz przygody bujnej młodości, dziecinne twarze dojrzewających dziewcząt, pożądliwe twarze starszych kobiet, które figlowały z chłopcem o połowę młodszym, napięte twarze o kłujących oczach, należące do kobiet dotkniętych miłością, o której wiedziały, że pozostanie nieodwzajemniona. Jedna po drugiej podchodziły do Lawlera, pozwalały mu się dotykać, przyciągać do siebie, a potem rozwiewały się jak dym i niemal natychmiast zastępowały je inne. Sundira - Anya Braun - Bodą Thalheim, jeszcze nie siostra Bodą - Marian Savtelle - Mireyl - znów Sundira - Meela - Moira - Sundira - Sundira - Anya - Mireyl - Sundira.

Lawler czuł całą mękę, jaką może powodować pożądanie i brak nadziei na jego zaspokojenie. Jego penis był ogromny, nabrzmiały, wielki jak kłoda. Jądra zmieniły się w żelazne odważniki. Piżmowy zapach kobiety, oszałamiający i nieodparty, zakrywał mu nos i

usta jak koc do tłumienia ognia, dławiąc, spływając głęboko w krtań i napełniając płuca, aż zapłonęły żarem.

A pod wyobrażeniami, pod fantazjami, pod dojmującym wrażeniem nieszczęścia i frustracji było coś jeszcze: jakieś dziwne drżenie, może dźwięk, może nie, w każdym razie równomiernie rozchodząca się wiązka mocnych bodźców, które wbijały się w jego ciało od jąder do czaszki. Czuł ją wchodzącą w niego jak lodowata dzida, tuż pod jądrami, i wznoszącą się wzdłuż całych, parujących skrętów wnętrzości, przez przeponę, serce, żeby wbić się w mózg. Był nadziany na nią jak na rożen i obracany wolno jak ryba smażąca się na szpikulcu; a w miarę jak się obracał, intensywność wrażeń erotycznych rosła, rosła i rosła, aż Lawlerowi wydało się, że w całym wszechświecie nie istnieje nic prócz potrzeby znalezienia partnerki i natychmiastowego spółkowania z nią.

Podniósł się z niskiej koi, nie wiedząc, czy obudził się, czy jeszcze śpi. Wyszedł do korytarzyka. W górę po drabince, przez właz na pokład.

Noc była łagodna i nieruchoma. Krzyż toczył się nisko po niebie jak garść klejnotów, które ktoś beztrosko odrzucił. Morze było spokojne, pokryte niewielkimi zmarszczkami fal, lśniącymi w świetle gwiazd. Wiała lekka bryza. Postawione żagle były wydęte.

Wokół poruszały się postacie: lunatycy, marzyciele.

Były równie niewyraźne i podobne do zjaw jak postacie z jego snu. Wiedział tylko, że je zna i to było wszystko. W tym momencie nie mieli imion. Nie mieli tożsamości. Zobaczył niskiego, krępego mężczyznę i innego, o kościstym i kanciastym ciele, i jeszcze jednego, drobnego i wycieńczonego, z workami skóry na szyi. Jednak nie szukał mężczyzn. Dalej, przy prawej burcie, stała wysoka, smukła, ciemnowłosa kobieta. Ruszył ku niej, lecz nim do niej dotarł, pojawił się inny mężczyzna: wysoki, dobrze zbudowany, o wielkich błyszczących

oczach, który wysliznął się z ciemności i wziął ją za rękę. Osunęli się razem na pokład.

Lawler odwrócił się. Na tym okręcie były jeszcze inne kobiety. Znajdzie jakąś. Musi.

Pulsujący ból między nogami był nie do zniesienia. Wciąż przeszywało go to dziwne wibrujące doznanie, sięgało do piersi, a poprzez przełyk aż do czaszki. Palilo zimnym płomieniem jak sopel lodu i przeszywało jak lodowaty nóż.

Przeszedł nad jakąś parą ściskającą się na pokładzie: siwiejący starszy mężczyzna, o krępych, masywnym ciele, i duża, silna kobieta o smagłej skórze i złotych włosach. Lawler niejasno przypominał sobie, że chyba kiedyś ich znał; jednak, tak jak poprzednio, nie przypominał sobie imion. Za nimi przemknął drobny, jasnooki mężczyzna, a potem Lawler napotkał kolejną parę zamkniętą w ciasnym uścisku: mężczyzna był wielki i muskularny, a kobieta gibka, młodzieńcza i pełna wigoru.

- Hej, ty! - nadbiegł głos z cienia. - Tutaj!

Leżała rozłożona pod mostkiem i kiwała na Lawlera; krępa, duża kobieta o pospolitej twarzy, pomarańczowych włosach i czerwonych piegach, rozsypanych na twarzy i piersiach. Lśniła od potu i dyszała ciężko. Lawler uklęknął przy niej, a ona pociągnęła go na siebie i ścisnęła udami.

- Zrób to! Zrób!

Wśliznął się w nią bez trudu. Była ciepła, wilgotna i miękka. Objęła go ramionami.

Przycisnęła mocno do obfitych piersi. Jego biodra poruszały się gwałtownymi ruchami. To była szybka, dzika, szaleńcza ruja. Prawie natychmiast, gdy zaczął się poruszać, Lawler poczuł, jak ścianki wilgotnego i gorącego przejścia zadrżały i zacisnęły się na nim głębokimi, równomiernymi spazmami. Czuł impulsy przyjemności, biegnące jej kanałami nerwowymi.

To zdumiewające, że mógł odczuwać to, co ona czuła. Chwilę później odpowiedział wytryskiem i poczuł go podwójnie: nie tylko swoje własne wrażenia, lecz i jej doznania, gdy

przyjmowała jego nasienie. To również było dziwne. Nie mógł rozróżnić, gdzie kończy się jego świadomość, a zaczyna jej.

Stoczył się z niej. Wyciągnęła ręce, usiłując przyciągnąć go z powrotem, ale on ruszył dalej. Chciał teraz innej partnerki. Ten jeden pulsujący moment to o wiele za mało, aby zaspokoić potrzebę, która nim kierowała. Może nic nie było w stanie jej zaspokoić. Jednak może tym razem znajdzie tę wysoką i smukłą, a może krzepką, młodą, o gładkiej skórze, która wydawała się tryskać siłą witalną. Albo nawet tę dużą, o ciemnej skórze i złotych włosach. Nie robiło mu to różnicy. Był nienasycony, niezmordowany.

Jeszcze raz zobaczył, że smukła jest sama. Lawler ruszył do niej. Za późno!

Owłosiony, gruby mężczyzna o piersiach pełnych jak u kobiety pochwycił ją i zagarnął dla siebie. Zniknęli w ciemności.

No cóż, a więc ta duża...

Albo ta młoda...

- Lawler! - powiedział męski głos.

- Kto tam?

- Quillan! Tutaj! Tutaj!

To był ten kanciasty mężczyzna, który wydawał się nie mieć ciała. Wyszedł zza zapakowanego łazika i chwycił ramię Lawlera. Lawler odepchnął go.

- Nie, nie ty - nie o mężczyznę mi chodzi...

- Mnie też nie. Ani o kobietę. Dobry Boże, Lawler! Czy wszyscy poszaleliście?

- Co?

- Zostań tu ze mną i popatrz, co się dzieje. To rozpasana orgia.

Lawler potrząsnął głową.

- Co? Co? Orgia?

- Widzisz Sundirę Thane i Delagarda robiących to tam? Kinversona i Pilyę? A tam, spójrz, to Neyana, jęcząca z żądry jak oszalała. Dopiero co sam z nią skończyłeś, prawda? I już chcesz więcej. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Lawler ścisnął lędźwia.

- Czuję... ból... tutaj...

- To coś z morza wpływa na nas w ten sposób. Działa na umysły. Ja też to czuję.

Jednak jestem w stanie się kontrolować. Podczas gdy wy... cała zwariowana banda...

Lawler ledwie rozumiał, co ten kościsty człowiek do niego mówi. Zaczął się odsuwać.

Zobaczył tę dużą, złotowłosą kobietę idącą po pokładzie w poszukiwaniu następnego partnera.

- Lawler, wróć!

- Poczekaj... później... porozmawiamy później... Kiedy szedł w stronę kobiety, obok niego przesunęła się

szczupła, ciemna sylwetka mężczyzny, wołając:

- Panie-ojczy! Panie-doktorze! Widzę to! Tutaj, za burtą!

- Co widzisz, Gharkid? - powiedział ten kościsty, zwany Quillanem.

- Wielki mięczak, panie-ojczy. Przytwierdzony do kadłuba. Musi wysyłać jakiś związek... jakiś narkotyk...

- Lawler! Chodź, zobacz, co znalazł Gharkid!

- Później... później...

Byli jednak bezlitośni. Podeszli do niego, wzięli go pod ręce, każdy z jednej strony, i pomaszerowali z nim do burty. Lawler wyjrzał. Tutaj doznania były dużo bardziej intensywne niż gdziekolwiek na pokładzie; Lawler odczuwał głębokie, rytmiczne pulsowanie wzdłuż kręgosłupa, ogłupiające łomotanie w lędźwiach. Jądra twardniały. Sztywny penis drżał i



sterczał w górę, ku gwiazdom.

Usiłował oprzytomnieć. Ledwie pojmował, co tu się dzieje.

Jakieś stworzenie zaatakowało okręt, doprowadzając wszystkich do szaleństwa.

Przypomniawszy sobie imiona, które zaczął dopasowywać do twarzy i postaci. Quillan.

Gharkid. Oparli się temu. I ci, którzy nie oparli się: on i Neyana, Sundira i Martello, Sundira i

Delagard. Kinverson i Pilya. Felk i Lis. Raz po raz nie kończąca się zmiana partnerów,

gorączkowy taniec członków i pochew. Gdzie jest Lis? Chciał Lis. Nigdy dotąd jej nie chciał.

Nigdy też nie pragnął Neyany. A teraz tak. Teraz Lis. A potem Pilya, nareszcie. Dać jej to, na

co czekała przez całą podróż. A potem Sundira. Zabrać ją temu obrzydliwemu Delagardowi.

Sundira, tak, potem znowu Neyana i Lis, i Pilya - Sundira, Neyana, Pilya, Lis - pieprzyć do

świtu - pieprzyć do południa - pieprzyć aż po kres czasu...

- Zabiję go - powiedział Quillan. - Podaj mi oścień, Natim.

- Nie czujesz tej siły? - zapytał Lawler. - Jesteś odporny?

- Oczywiście, że nie - powiedział duchowny.

- A więc to śluby...

- To nie śluby mnie powstrzymują. To po prostu strach, Lawler. - A do Gharkida

Quillan powiedział: - Oścień powinien go sięgnąć. Przytrzymaj mnie za nogi, żebym nie

wypadł za burtę.

- Pozwól mi to zrobić - powiedział Lawler. - Ja mam dłuższe ręce.

- Zostań na miejscu.

Duchowny wychylił się za burtę. Gharkid przytrzymał go za nogi. Lawler trzymał

Gharkida. Patrząc w dół, Lawler zobaczył coś, co wyglądało jak jaskrawożółta plama, o śred-

nicy około metra, przylegająca do okrętu tuż nad linią wody. Była płaska i okrągła, z

niewielką, pomarszczoną wypukłością na środku. Quillan sięgnął w dół, najdalej jak mógł, i

dźgnął ją. Potem jeszcze raz. I znowu. Małeńki strumień błękitnej cieczy trysnął jak małeńka fontanna z grzbietu stworzenia. Kolejne szturchnięcie. Stworzenie zadrżało konwulsyjnie.

Lawler poczuł, że ból w lędźwiach złagodniał.

- Trzymajcie mnie mocniej! - zawołał Quillan. - Zaczynam spadać!

- Nie, panie-ojczy, nie!

Lawler zacisnął dłonie na kostkach Quillana. Poczul, że ciało duchownego naprężyło się i odchyliło od kadłuba okrętu, gdy jednym krótkim i mocnym pchnięciem wbił oścień w cel. Stworzenie przylegające do okrętu skurczyło się gwałtownie. Jego ciało pociemniało, przybierając barwę głębokiej zieleni, a potem chorobliwej czerni; miękki korpus nagle poskręcał się dziwnie; stwór zadygotał, wpadł do morza i zniknął w pianie za rufą.

Niemal natychmiast Lawler poczuł, że rozwiewa się reszta oparu spowijającego jego mózg.

- Mój Boże - powiedział. - Co to było?

- Mięczak, przynajmniej tak nazwał go Gharkid - odpowiedział Quillan. - Przykleił się do okrętu i usypiał nas jakimś silnym narkotykiem. - Ksiądz drżał, jakby uwolnił się od nieznośnego napięcia. - Niektórzy z nas umieli to opanować. Inni nie.

Lawler spojrzał na pokład. Nadzy ludzie powoli kręcili się dookoła, spoglądali ze zdumieniem, jak ludzie nagle wyrwani ze snu. Leo Martello stał obok Neyany patrząc na nią, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Kinverson był z Lis Niklaus. Oczy Lawlera napotkały wzrok Sundiry. Wyglądała na oszołomioną. Bez końca pocierała dłonią swój płaski nagi brzuch udręczonym, kurczowym ruchem, jakby chciała zetrzeć z niego odcisk ciała Delagarda.

Mięczak był zwiastunem niebezpieczeństwa. Morze Puste w tych szerokościach geograficznych stawało się mniej puste.

Pojawił się nowy gatunek drakkeny - południowa odmiana. Były podobne do tych z pomocy, lecz większe, i wyglądały na bardziej przebiegłe, o zabawnie wyrachowanym spojrzeniu. W przeciwieństwie do tamtych, które pływały w liczących setki stadach, te podróżowały w gromadach liczących najwyżej kilka tuzinów osobników i kiedy ich długie, rurowate głowy wystawały z wody, sterczały daleko od siebie, jakby każdy członek bandy żądał i otrzymywał od swych kompanów własne, spore terytorium. Godzinami towarzyszyły okrętowi, niezmordowanie płynąc obok niego z nosami zadartymi wysoko w powietrze. Ich lśniące, szkarłatne ślepia nigdy się nie zamykały. Łatwo było uwierzyć, że czekały na zmrok i okazję, aby zakraść się na pokład. Delagard zarządził wcześniejszą zmianę wachty po to, aby patrolować pokład z bosakami w rękach.

O zmierzchu drakkeny zanurzyły się; wszystkie zniknęły jednocześnie, co było właściwością ich gatunku, jak gdyby zostały wessane jednym haustem przez ziejącą pod nimi głębię. Delagard wcale nie był przekonany, że odeszły, i przez całą noc utrzymywał patrole na pokładzie. Atak nie nadszedł, a rankiem okazało się, że morze jest puste.

Późnym popołudniem tego dnia, gdy zapadał już mrok, od nawietrznej przydryfowała do okrętu jakaś ogromna, amorficzna, miękka masa zbudowana z bladożółtej, lepkiej substancji. Ciągnęła się daleko, rozszerzając się na setki metrów, a może więcej. Mogła to być nawet wyspa jakiegoś dziwnego rodzaju, tak była wielka: kolosalna, wiotka wyspa, składająca się wyłącznie ze śluzu, gigantyczna aglomeracja smarków. Kiedy zbliżyli się do niej, zobaczyli, że ta ogromna, pomarszczona, pofałdowana rzecz jest żywa - przynajmniej częściowo. Jej bladokremowa powierzchnia drżała lekko, niemiarkowo i wypuszczała małe, zaokrąglone wypustki, które natychmiast wtapiały się z powrotem w główną masę. Dag Tharp przybrał dziwną pozę.

- Proszę bardzo, panie i panowie! Nareszcie Oblicze Wód!

Kinverson roześmiał się.

- Dla mnie to wygląda na zupełnie inną część ciała.

- Patrzcie tam - powiedział Martello. - Drobiny światła podnoszą się z niej i migoczą w powietrzu. Jakie są piękne!

- Jak świetliki - powiedział Quillan.

- Świetliki? - zapytał Lawler.

- Mają je na Sunrise. Insekty wyposażone w narządy luminescencyjne. Czy wiesz, co to są insekty? Żyjące na lądzie sześcionożne stawonogi, niewiarygodnie rozpowszechnione na większości zamieszkałych światów. Świetliki to insekty, które pojawiają się o zmierzchu i mrugają swoimi światełkami, włączając je i wyłączając. Bardzo ładne, bardzo romantyczne. Efekt jest podobny jak tutaj.

Lawler patrzył. Tak, to był piękny widok: drobne fragmenty tej ogromnej, napęczniałej, dryfującej masy oddzielały się i wznosiły, unoszone w górę przez letnią bryzę, świecąc w locie krótkimi błyskami żółtego światła jak maleńkie szybujące słoneczka. Powietrze było ich pełne: tuziny, setki. Płynęły na wietrze, wznosiły się, opadały, znowu wznosiły. Włączały się i wyłączały, zapalały i gasły - błysk, błysk, błysk.

Piękno na Hydros było zawsze podejrzane. Obserwując taniec świetlików, Lawler czuł rosnący niepokój.

Nagle Lis Niklaus krzyknęła:

- Żagle w ogniu!

Lawler spojrzał w górę. Część świetlików przefrunęła nad okręt, a te, które zaczepiły się o żagle, przylgnęły do nich, świecąc równomiernie i zapalając splecioną z bambusa morską tkaninę. Niewielkie obłoczki dymu unosiły się spiralnie w górę w dziesiątkach miejsc; widać było małe czerwone płomyki palących się włókien. Okręt został zaatakowany.

Delagard wykrzykiwał rozkazy zmiany kursu. "Królowa" najszybciej jak mogła odpływała od rozdętego wroga pływającego na falach. Każdy, kto nie był potrzebny przy zmianie żagli, został odesłany do ich obrony. Lawler kręcił się w olinowaniu, wraz z innymi zabijając iskrzące stworki, które nadlatywały do żagli, i zdrapując te, które już były do nich przyczepione. Ciepło, jakie wydzielały, było niewielkie, ale uporczywe: właśnie to powodowało zapłon. Lawler widział osmalenia w miejscach, gdzie usunięto je na czas, gwiazdy migoczące przez niewielkie otwory wypalone w żaglach, a - wysoko w górnej części foka - pojawił się szkarłatny język ognia otoczony czarnym pióropuszem dymu.

Kinverson wspinał się szybko w stronę ognia. Dotarł do niego i zaczął przyciskać płomienie dłońmi, aby je stłumić. Jaskrawe płomyki ginęły jeden po drugim w jego uścisku, jakby wskutek jakiejś czarodziejskiej sztuczki. Po chwili było już widać jedynie lśniący żar; a potem i ten zniknął. Świetlik, który wzniecił ten ogień, także już zniknął. Gdy żagiel wokół niego ustąpił, owad spadł na pokład, pozostawiając za sobą poszarpaną, czerniejącą dziurę wielkości ludzkiej głowy.

Okręt złapał wiatr w żagle i popłynął szybko na południowy zachód. Ich paskudny wróg, nie mogąc płynąć z tą samą prędkością, szybko zniknął z pola widzenia. Jednak jego piękne odpryski, te boskie migoczące świetliki, nadal pędziły z wiatrem, choć w coraz mniejszych ilościach, i dopiero o świcie Delagard poczuł się na tyle bezpieczny, że pozwolił obrońcom zejść z olinowania.

Sundira spędziła" następne trzy dni naprawiając żagle z pomocą Kinversona, Pilyi i Neyany. Przy nagich masztach okręt nie posuwał się do przodu. Powietrze było nieruchome; słońce nieprzyjemnie silne; morze ciche. Czasami w oddali zatrzepotała płetwa. Lawler miał wrażenie, że znajdowali się teraz pod ciągłą obserwacją.

Obliczył, że w najlepszym razie uśmierzchy zostało mu na tydzień.

Przypłynął kolejny, swobodnie unoszący się na wodzie stwór, ani tak gigantyczny, ani tak odpychający czy tak wrogi jak ostatni: duże, niczym nie wyróżniające się stworzenie jajowatego kształtu, idealnie gładkie, o pięknej szmaragdowej barwie, płonące jaskrawą luminescencją. Wystawał z wody do połowy, lecz przy morzu czystym w tym miejscu łatwo widoczna była również jego dolna połowa. Miał ze dwadzieścia metrów obwodu i dziesięć lub piętnaście metrów długości, licząc od zanurzonego dolnego końca do zaokrąglonego wierzchołka.

Delagard, przeczulony, gotowy na wszystko, ustawił wszystkich, uzbrojonych w bosaki, rzędem wzdłuż burty okrętu. Jednak jajowate stworzenie przepłynęło obok, nieszkodliwe jak kawałek jarzyny. Może nie było niczym innym. Później tego samego dnia przepłynęły kolejne dwa. Pierwszy, bardziej kulisty, drugi wydłużony, poza tym wydawało się, że należą do tego samego gatunku. Zachowywały się, jakby nie zauważały “Królowej”. Czego im brakowało, zdecydował Lawler, to wielkich, lśniących oczu, aby dokładniej przyglądać się okrętowi. Lecz ich pyski były ślepe, gładkie, tajemnicze, irytująco dobroduszne. Otaczała je dziwna powaga, jakiś spokojny smutek. Ojciec Quillan powiedział, że przypominały mu biskupa, którego kiedyś znał; a potem musiał tłumaczyć, kto to jest biskup.

Po jajowatych stworach zjawił się gatunek fruwającej ryby, niepodobny ani do opalizujących air-skimmers z Morza Ojczystego, ani do obrzydliwej śluzicy z otwartego oceanu. Tym razem były to delikatne, lśniące stworzenia o długości około piętnastu centymetrów i pełnych wdzięku przejrzystych skrzydłach, które unosiły je na zdumiewające wysokości. Widać je było w oddali, jak wyskakiwały pionowo z wody, przelatowały nadzwyczajnie długie dystanse i pikowały w dół, bez plusku wchodząc w toń. Po chwili znów były w górze; góra - dół, góra - dół, z każdym cyklem wlotu i opadania przybliżając się do

okrętu, aż wreszcie znalazły się tuż po prawej stronie dziobu. Ci lotnicy nie wydawali się bardziej niebezpieczni niż wczorajsze ogromne, dryfujące, jajowate stworzenia. Fruwały tak wysoko, że nie groziło zderzenie się z nimi na pokładzie, zatem nie było potrzeby, by kryć się jak przy przelocie śluzicy. Były tak piękne, błyszcząły jaskrawo na tle wyraźnej i surowej kopuły nieba, że prawie cała załoga okrętu wyszła na pokład, żeby obserwować ich przelot. Ich ciała były przejrzyste, więc gdy przelatywały nad głową, łatwo było dostrzec ich drobne, sprężyste szkielety, okrągłe, pulsujące, czerwono-fioletowe żołądki oraz cienkie jak nici błękitne żyły. Ich czerwone jak krew oczy odbijały światło jak drobno oszlifowane diamenty.

Piękne, owszem. Jednak gdy przelatywały w powietrzu nad okrętem, opadał z nich jakiś dziwny deszcz, drobny, szemrzący prysznic ciemnych migocących kropli, które wgryzały się głęboko i paliły wszystko, czego dotknęły.

W pierwszej chwili nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Początkowo pieczenie wywołane wydzielinami ryb było ledwie zauważalnym, denerwującym śwędzieniem. Jednak ból narastał: kwas wyżerał ciało, i to, co zaczęło się jako dziwne, łagodne ukłucie, zamieniało się w męczarnię.

Lawler, który stał w cieniu przednich żagli, był osłonięty przed tym prysznicem. Jakiś rozbryzg musnął jego przedramię, wywołując grymas obrzydzenia. Jednak potem zobaczył, że tuż obok niego na wypolerowanym, żółtym drewnie pokładu pojawiają się cętkowane ślady, a spoglądając wokół ujrzał swoich towarzyszy wyjących i biegających po pokładzie, klepiących się po rękach i rozcierających policzki.

- Na dół! - zawołał. - Ukryjcie się! To od tych latających ryb!

Powietrzni napastnicy minęli już okręt i pofrunęli dalej, ale z morza po prawej podnosiła się już nowa fala stworzeń.

Cały atak trwał około godziny i objął około pół tuzina fal. Potem ofiary ustawiły się w kolejce przed izbą chorych Lawlera, aby ich opatrzył.

Sundira, która zajmowała się ożaglowaniem, kiedy nadleciały ryby, stała ostatnia.

Była okryta jedynie skrawkiem materiału zakrywającym biodra i teraz na całym ciele miała pęcherze. Lawler w milczeniu nakładał maść. Stała przed nim naga, a jego ręce przesuwały się po jej skórze, wcierając maść wokół brodawek piersi, wzdłuż ud, w pachwiny, aż do miejsca oddalonego o palec od jej krocza.

Nie kochali się od czasu nocnego ataku mięczaka. Jednak Lawler nie odczuwał pożądania, nawet kiedy dotykał jej najbardziej intymnych miejsc.

Sundira również to zauważyła. Lawler czuł, jak jej mięśnie prężą się pod jego palcami. Wzbierał w niej gniew. W końcu powiedziała:

- Traktujesz mnie jak kawał mięsa, Val.

- Jestem medykiem leczącym pacjentkę mającą dużą ilość paskudnych pęcherzy na całym ciele.

- A więc teraz jestem dla ciebie tylko pacjentką?

- W tej chwili tak. Czy sądzisz, że to dobry pomysł, aby lekarz zaczynał ciężko dyszeć za każdym razem, kiedy dotknie ciała atrakcyjnej pacjentki?

- Przecież ja nie jestem tylko pacjentką, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- A jednak od wielu dni mnie unikasz. A teraz traktujesz mnie jak obcą, W czym problem?

- Problem? - Rzucił jej strapione spojrzenie. Poklepał ją lekko po udzie i powiedział: - Odwróć się. Przegapiłem pęcherze na plecach. O jakim problemie mówisz, Sundiro?

- Czy mam rację, myśląc, że już mnie nie pragniesz? Zanurzył palce w maści i wtarł ją



tuż powyżej jej nagich

pośladków.

- Nie wiedziałem, że mamy jakiś ustalony harmonogram.

- Oczywiście, że nie mamy. Ale popatrz, jak mnie teraz dotykasz.

- Właśnie usiłowałem ci wytłumaczyć - powiedział Lawler. - Pozwól, że spróbuję jeszcze raz. Sądziłem, że przyszłaś tutaj leczyć się, a nie kochać. Lekarze wcześniej uczą się, że niedobrze jest mieszać te dwie rzeczy. Ponadto mogło mi przyjść do głowy, nie z powodu etyki, ale zwykłego, zdrowego rozsądku, że nie' chciałabyś, abym się do ciebie zbliżał, kiedy na całym ciele masz bolesne pęcherze. Rozumiesz? - Była to najbliższa kłótni sytuacja, jaka się im kiedykolwiek zdarzyła. - Czy to brzmi rozsądnie, Sundiro?

Odwróciła się twarzą do niego.

- To z powodu Delagarda, prawda?

- Co?

- Nienawidzisz myśli o tym, że on położył na mnie ręce i nie tylko ręce, więc teraz nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

- Mówisz poważnie?

- Tak. I mam rację. Gdybyś widział swój wyraz twarzy w tej chwili...

Lawler powiedział:

- Kiedy to stworzenie przyczepiło się do kadłuba, wszyscy postradaliśmy zmysły. Nikt nie jest odpowiedzialny za to, co się stało tamtej nocy. Czy myślisz, że chciałem kochać się z Neyaną? Jeśli chcesz znać prawdę, Sundiro, to szukałem ciebie, kiedy wyszedłem na pokład. To nie znaczy, że pamiętałem choćby twoje czy swoje imię w stanie, w jakim się znajdowałem. Jednak zobaczyłem cię, zapragnąłem

i szedłem w twoją stronę, tylko że Martello złapał cię pierwszy. A wtedy Neyana pochwyciła mnie, więc zrobiłem to z nią. Byłem pod wpływem narkotyku, podobnie jak ty i wszyscy inni. To znaczy, wszyscy z wyjątkiem ojca Quillana i Gharkida. Naszych dwóch świętych. - Policzki Lawlera zaczerwieniły się. Czuł, że serce bije mu mocniej. - Jezu, Sundiro, przez cały czas wiedziałem o tobie i Kinversonie i to mnie nie powstrzymało, prawda? A tamtej nocy przed Delagardem byłaś z Martello. Dlaczego to, co robiłaś z Delagardem, miałoby mi przeszkadzać bardziej niż to, co robiłaś ze wszystkimi innymi?

- Delagard to co innego. Nienawidzisz go. Brzydzisz się nim.

- Czyżby?

- To morderca i tyran. Przez niego wyrzucono nas z wyspy Sorve. Od początku kieruje tą ekspedycją jak tyran. Biję Lis. Zabił Hendersa. Kłamie, oszukuje, robi wszystko, co mu się podoba, aby tylko przeprowadzić swoją wolę. Wszystko, co jego dotyczy, jest dla ciebie odrażające, a teraz nie możesz znieść myśli, że kochał się ze mną, niezależnie od tego czy byłam przy zdrowych zmysłach, kiedy mu na to pozwoliłam. Dlatego tak mnie traktujesz. Nie chcesz dotykać miejsc, których dotykały usta Delagarda, nie mówiąc o fiucie. Czy nie mam racji, Val?

- Ni stąd ni zowąd zaczynasz bawić się odczytywaniem myśli. Nie wiedziałem, że jesteś jasnowidzem, Sundiro.

- Nie bądź dupkiem. Jest tak czy nie?

- Posłuchaj, Sundiro...

- Jest tak czy nie jest? - Jej głos, dotychczas twardy i chłodny, nagle złagodniał.

Spojrzała na niego z czułością i tęsknotą, która go zdziwiła. - Val, czy nie wiesz, że ja również czuję obrzydzenie na myśl, że miałam go w sobie? Czy nie wiesz, że ciągle usiłuję go zmyć z siebie? Jednak to nie powinno cię obchodzić. Nie mam plam na skórze w

miejscach, gdzie mnie dotykał. Nie masz prawa odwracać się ode mnie tylko dlatego, że jakieś obce stworzenie pewnej nocy przyczepiło się do burty okrętu i zmusiło nas do robienia rzeczy, których inaczej nigdy byśmy nie zrobili. - W jej oczach znów pojawił się błysk gniewu. - Jeśli to nie Delagard, to o co chodzi? Powiedz mi.

Ochrypłym ze wstydu głosem Lawler powiedział:

- W porządku. Przyznaję. Chodzi o Delagarda.

- Do cholery, Val.

- Przykro mi.

- Naprawdę?

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mnie gnębi, dopóki nie rzuciłaś mi tego w twarz. Ale tak, tak. Przypuszczam, że podświadomie właśnie to gryzie mnie przez cały czas.

Ręka Delagarda pełzająca między twoimi udami. Grube wargi Delagarda na twoich piersiach.

- Lawler na chwilę zamknął oczy. - To nie twoja wina. Zachowuję się jak głupi, niedojrzały dzieciak.

- Masz rację. Zachowujesz się bardzo głupio. Chcę ci jeszcze przypomnieć, że w normalnych warunkach za nic w świecie nie pozwoliłabym Delagardowi się dotknąć. Nawet gdyby był ostatnim mężczyzną w galaktyce.

Lawler uśmiechnął się.

- To diabeł skłonił cię do tego.

- Mięczak.

- To to samo.

- Jeśli tak twierdzisz. Jednak to nigdy nie miało miejsca, nie w rzeczywistości. Nie w wyniku mojego świadomego działania. Staram się też, jak mogę, zapomnieć o tym. Ty też spróbuj. Kocham cię, Val.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. To słowo nigdy dotąd nie padło w ich rozmowach.

Nigdy też nie wyobrażał sobie, że kiedyś padnie. Tak dawno słyszał je po raz ostatni, że nie mógł sobie przypomnieć, kto tak do niego powiedział.

I co teraz? Czy oczekuje, że on też jej to powie?

Uśmiechała się szeroko. Nie spodziewała się, że powie jej cokolwiek. Znała go zbyt dobrze.

- Chodź, doktorze - powiedziała. - Potrzebuję trochę dokładniejszego badania.

Lawler zerknął, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte. Potem podszedł do niej.

- Uważaj na moje pęcherze - powiedziała.

Z morza wychyliły się stworzenia podobne do gigantycznych peryskopów, wysokie na dwadzieścia metrów, lśniące łodygi, zakończone błękitnymi pięciokątami. Z odległości około pół kilometra godzinami obserwowały okręt chłodnym niezmaconym wzrokiem.

Niewątpliwie były to oczy na słupkach. Tylko czyje oczy?

Peryskopy ześliznęły się w wodę i nie pokazały więcej. Po nich przyszły ogromne jamochłony, kolosalne stworzenia podobne do tych z Morza Ojczystego, lecz jeszcze większe: dostatecznie duże, jak się wydawało, aby jednym haustem połknąć "Królową Hydros". Te także trzymały się z daleka, dniem i nocą rozświetlając morze zielonkawym, fosforyzującym światłem. Nie znano przypadków, aby kiedykolwiek jamochłony sprawiały kłopoty okrętom na Hydros, ale te tutaj to jamochłony z Morza Pustego, zdolne do wszystkiego. Ciemne otchłanie ich otwartych gardzieli były przerażającym, męczącym widokiem.

Cała woda wokół zdawała się fosforyzować. Z początku efekt był ledwie widoczny, jedynie szczypta koloru, blady, czarowny blask. Potem jednak jego natężenie wzrosło. W nocy ślad okrętu wyglądał jak linia ognia biegnąca przez morze. Nawet za dnia fale jarzyły się ogniem. Bryzgi, które czasami padały na pokład, migotały jaskrawo barwami tęczy. Potem spadł na nich deszcz parzących meduz.

Później oglądali zwariowany taniec godowy nurków, które wyskakiwały tak wysoko ponad powierzchnię, że wydawało się, iż próbują fruwać. W jednym miejscu napotkali coś, co wyglądało jak wiązka drewnianych pali, związanych wystrzępionymi sznurami, a co zbliżyło się maszerując po powierzchni morza. W środku tej wiązki znajdowała się otwarta kapsuła, a w niej małe, wielookie, kuliste stworzenie, które wyglądało, jakby podróżowało na szczudłach.

Jeszcze później, pewnego ranka, Delagard, wyglądając za burtę - był teraz stale w

pogotowiu, w każdej chwili spodziewając się ataku - gwałtownie cofnął się i krzyknął:

- Co jest, do cholery! Kinverson, Gharkid, chodźcie tu i spójrzcie na to!

Lawler dołączył do nich. Delagard wskazywał na coś w wodzie. Z początku Lawler nie dostrzegł niczego niezwykłego; później zauważył, że dwadzieścia centymetrów poniżej poziomu wody z kadłuba wyrasta jakaś powłoka, narośl żółtawej, włóknistej substancji, która ciągnie się wzdłuż okrętu na szerokość około metra. Nie, to nie powłoka, zdecydował Lawler; to raczej przypomina występ, drewnianą półkę.

Delagard odwrócił się do Kinversona.

- Czy widziałeś kiedyś coś takiego?

- Nie.

- A ty, Gharkid?

- Nie, panie-kapitanie, nigdy.

- Obrosliśmy jakimiś wodorostami? Czy to jest skrzyżowanie wodorostu ze skorupiakiem? Jak myślisz, Gharkid?

Gharkid wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, panie-kapitanie.

Delagard kazał spuścić drabinę sznurową i zszedł na dół, żeby to sprawdzić.

Uczepiony jedną ręką drabinki, zwisając tuż nad powierzchnią wody i wychylając się najdalej jak mógł, nakłuł tę dziwną narośl za pomocą skrobaka do skorupiaków. Klnąc, wrócił na górę.

Jak stwierdził, problem dotyczył warstwy palcorostów, które obrastały kadłub, wciąż odnawiając się i tworząc powłokę zabezpieczającą i wzmacniającą zewnętrzne poszycie okrętu.

- Jakaś miejscowa roślina przyrosła do niego. Może jakiś pokrewny gatunek. Albo

taki, który żyje z nim w symbiozie. Cokolwiek to jest, przyczepia się do palcorostu i rozmnaża jak szalone. Półka, która sterczy z nas teraz, jest już wystarczająco duża, aby zmniejszać szybkość okrętu. A jeśli będzie rozrastać się w dotychczasowym tempie, to w ciągu kilku dni całkiem nas obrośnie.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Kinverson.

- A co proponujesz?

- Ktoś powinien wypłynąć łazikiem i odrąbać to paskudztwo, dopóki jeszcze można to zrobić.

Delagard przytaknął.

- Dobry pomysł. Zgłaszam się na ochotnika do pierwszej zmiany. Popłyniesz ze mną?

- Pewnie - powiedział Kinverson. - Dlaczego nie? Delagard i Kinverson wgramolili się do łazika. Martello,

który obsługiwał żurawie, podniósł pojazd i wysunął za burtę, poza nowo narosłą półkę, a potem opuścił go na powierzchnię wody.

Cała sztuka polegała na tym, aby pedałować dostatecznie szybko, utrzymując łazik na wodzie, nie za szybko jednak, żeby człowiek obsługujący skrobak zdążył ściąć natrętne narośla. Z początku przychodziło im to z trudem. Kinverson, trzymając skrobak, robił pełny użytek ze swoich długich ramion, wychylając się i siekąc półkę; jednak wykonał tylko kilka ruchów, zanim łazik pomknął dalej mijając miejsce, gdzie pracował, a gdy zwolnili i próbowali zatrzymać się dłużej w jednym miejscu, łazik zaczynał tracić wysokość i schodził w wodę.

Po jakimś czasie udało im się znaleźć właściwą metodę. Delagard pedałowiał, a Kinverson ciął. Kiedy Kinverson się zmęczył, zamienili się miejscami, niezgrabnie gramoląc się w chybotliwym pojeździe, aż Delagard przeszedł na dziób, a Kinverson stanął na

pedałach.

- W porządku, następna zmiana - zawołał w końcu Delagard. Pracował ze swym zwykłym, szaleńczym zapałem i wyglądał na wyczerpanego. - Dwóch następnych ochotników! Leo, czy dobrze słyszałem, że bierzesz następną zmianę? A może ty, Lawler?

Pilya Braun obsługiwała żurawie, opuszczając Martello i Lawlera za burtę. Morze było dość spokojne, lecz mały łazik i tak wciąż kołysał się i podskakiwał. Lawler miał wrażenie, że każda nieco silniejsza fala może strącić go do wody. Spoglądając w dół, widział pojedyncze włókna atakującej rośliny, rozpostarte na falach tuż za krawędzią półki, którą już utworzyły. Widział, jak niektóre z nich przyczepiały się do okrętu, gdy ruch wody przysuwał je do burty.

Widział także drobne, lśniące, wstęgowate kształty, wijące się i wykręcające na wszystkie strony. Robaki, węże, a może pstrągi. Wyglądały na szybkie i zwinne. Czyżby czekały na przekąskę?

Półka opierała się cięciom. Lawler musiał chwycić skro-bak oburącz i walić w nią z całej siły. Skrobak często ześlizgiwał się z niesamowicie twardej narośli. Kilka razy prawie wypadł mu z rąk.

- Hej! - wrzasnął z góry Delagard. - Nie mamy za dużo skrobaków!

Lawler odkrył sposób uderzania po lekkim skosie, co pozwalało wbijać skrobak między poszczególne pasma włóknistej masy. Wielkie kawałki jeden po drugim oddzielały się teraz i odpływały. Złapał rytm, plaster po plastrze. Pot lał mu się z czoła. Ramiona i przeguby zaczęły protestować. Ból rozszerzał się w górę, w stronę pach, piersi i barków. Serce waliło jak młotem.

- Dość - powiedział do Martello. - Twoja kolej, Leo.

Martello był niezmordowany. Ciął skrobakiem jak toporem, z radosnym wigorem,



poniżającym dla Lawlera. Wydawało mu się, że na swojej zmianie nieźle dawał sobie radę, ale Martello w ciągu pierwszych pięciu minut odciął tyle, ile Lawler przez cały ten czas.

Lawler podejrzewał, że Martello nawet teraz komponuje Pieśń Siepaczy do swojego wielkiego poematu, brzmiącą na przykład tak:

Potem wściekle wytężaliśmy się i walczyli

Z wciąż odrastającym wrogiem.

Dzielnie uderzaliśmy paskudne odrosty,

Zaciekle waliliśmy, rąbaliśmy i cięli...

Jako następni zeszli na dół Onyos Felk i Lis Niklaus. Po nich przyszła kolej na

Neyanę i Sundirę, a potem Pilyę i Gharkida.

- To cholerstwo rośnie tak szybko, jak my tniemy - stwierdził kwaśno Delagard.

Jednak powoli robili postępy. Wielkie kawałki narośli odpadły. W niektórych miejscach wycięto je aż do pierwotnej linii palcorostów.

Ponownie przyszła kolej Delagarda i Kinversona. Siekali i rąbali z diaboliczną furją.

Kiedy powrócili na okręt, wyglądali na kompletnie wyczerpanych; przekroczyli granicę zwykłego zmęczenia i zapadli w rodzaj transu, który pozostawił ich rozgorączkowanych i podnieconych.

- Chodźmy, doktorze - powiedział Martello. - Teraz znowu my.

Wydawało się, że Martello chce zakasować nawet Kinversona. Podczas gdy Lawler utrzymywał łazik w równowadze jednostajnym, mozolnym wysiłkiem, Martello niczym jakiś bóg zemsty gromił roślinnego wroga. Pac! Pac! Pac! Podnosił skrobak wysoko nad głowę i z całej siły, oburącz, wbijał go głęboko. Pac! Pac! Ogromne kawały wodorostów odrywały się i odpływały. Pac! Każdy cios był potężniejszy od poprzedniego. Łazik rzucał się dziko z boku na bok. Lawler z trudem utrzymywał go w pionie. Pac! Pac!

Nagle Martello podniósł się wyżej niż kiedykolwiek przedtem i opuścił skrobak straszliwie silnym ciosem. Od-kroił ogromny kawał wodorostu, aż do samego kadłuba "Królowej". Skorupa musiała ustąpić łatwiej, niż oczekiwał Martello: najpierw stracił równowagę, a potem wypuścił z ręki skrobak. Chciał go chwycić, chybił i runął na twarz, z donośnym pluskiem wpadając do morza.

Lawler, nie przestając pedałować, wychylił się i wyciągnął rękę. Martello znajdował się już kilka metrów za łazikiem i rozpaczliwie wymachiwał ramionami. Jednak albo nie widział wyciągniętej ręki, albo zbyt poddał się panice, aby wiedział, co robić.

- Płyń do mnie! - zawołał Lawler. - Tutaj, Leo! Tutaj!

Martello wciąż miotał się i tłukł w wodę. W oczach miał przerażenie. Nagle zeszywniał, jakby dźgnięty sztyletem od dołu. Zaczął konwulsyjnie dygotać.

Już wysunięto żurawiki, z których zwieszał się Kinverson.

- Niżej - rozkazał. - Jeszcze trochę. O tak. Trochę na lewo. Dobrze. Dobrze.

Chwycił miotającego się Martello pod ramiona i wciągnął go, jakby poeta był dzieckiem.

- Teraz ty, doktorze - powiedział Kinverson.

- Nie zdołasz podnieść nas obu!

- Chodź. Tutaj.

Drugie ramię Kinversona owinęło się wokół klatki piersiowej Lawlera.

Żurawiki podniosły się i przesunęły ponad nadburciem na pokład. Lawler niezgrabnie uwolnił się z uścisku Kinversona, potknął się i upadł, ciężko lądując na obu kolanach. Sundira natychmiast znalazła się u jego boku i pomogła mu wstać.

Martello, ociekając wodą, leżał twarzą do góry, bezwładny i nieruchomy.

- Trzymajcie się z daleka - nakazał Lawler. Ruchem ręki odsunął Kinversona. - Ty też,

Gabe.

- Musimy go odwrócić i wypompować z niego wodę, doktorze.

- To nie woda mnie martwi. Odejdź, Gabe. - Lawler zwrócił się do Sundiry. - Czy wiesz, gdzie jest moja torba z narzędziami? Skalpele i cała reszta? Przynies ją tutaj, dobrze? Ukląkł obok Martello i obnażył go do pasa. Martello oddychał, ale wydawał się nieprzytomny. Oczy miał rozszerzone, puste, niewidzące. Od czasu do czasu krzywił usta w straszliwym, przerażającym grymasie bólu, a całe jego ciało sztywniało i drgało, jakby rażono go prądem. Potem znów leżał bezwładnie.

Lawler przyłożył rękę do brzucha Martello i przycisnął. W środku, pod twardą, napiętą warstwą mięśni brzucha wyczuł ruch: jakieś drżenie, dziwne trzepotanie.

Coś tam jest? Tak. Przeklęty ocean, atakuje cię, gdy tylko dasz mu choć najmniejszą szansę. Jednak może jeszcze nie jest za późno, aby go uratować, pomyślał Lawler. Oczyszczyć, zamknąć ranę, nie dopuścić do dalszego kurczenia się małej społeczności.

Dookoła poruszały się jakieś cienie. Wszyscy tłoczyli się wokół, wytrzeszczając oczy.

Widok ofiary jednocześnie fascynował i budził wstręt.

Lawler rzekł szorstko:

- Idźcie stąd, wszyscy. Nie spodoba się wam to, co zobaczycie. I nie chcę, żebyście mnie obserwowali.

Nikt się nie ruszył.

- Słyszeliście? - warknął wściekle Delagard. - Cofnijcie się. Dajcie mu robić swoje.

Sundira postawiła torbę lekarską na pokładzie obok Lawlera.

Ponownie dotknął brzucha Martello. Poruszenie, tak. Bezsprzecznie jakiś ruch.

Trzepotanie. Twarz Martello była zaczerwieniona, źrenice rozszerzone, a oczy zwrócone ku całkiem innemu światu. Pot płynął z niego wszystkimi porami skóry.

Lawler wyjął z torby swój najlepszy skalpel i ułożył go na pokładzie. Obie dłonie położył na brzuchu Martello, tuż nad przeponą, i ściskając przesunął je w górę. Martello wydał ciche westchnienie, a z jego ust wypłynęła strużka morskiej wody i wymiocin, ale nic więcej. Lawler spróbował jeszcze raz. Nic. Pod palcami znowu poczuł ruch: kolejne skurcze, kolejne skręty.

Spróbował jeszcze raz. Odwrócił Martello i złączonymi dłońmi uderzył go z całej siły w plecy, w okolicy pasa. Nieszczęśnik jęknął, chrząknął. Znowu zwymiotował. I to wszystko. Lawler przykucnął, zastanawiając się.

Ponownie odwrócił Martello i wziął skalpel.

- To wam się nie spodoba - powiedział do tych, którzy mogli mu się przyglądać, i ostrym końcem narzędzia nakreślił czerwoną linię od lewej do prawej, w poprzek brzucha Martello. Martello zdawał się tego nie czuć. Wydał słaby, niewyraźny dźwięk, najcichszy z komentarzy. Najwyraźniej miał teraz większe problemy.

Skóra. Mięsień. Wydawało się, że nóż sam wie, co robić. Lawler sprawnie odsłaniał kolejne warstwy tkanek. Teraz przecinał otrzewną. Nauczył się przechodzić w odmienny stan świadomości wtedy, gdy wykonywał zabiegi chirurgiczne. W takim stanie myślał o sobie jako o rzeźbiarzu, a nie chirurgu, a o pacjencie jako o nieożywionym, drewnianym kłocu, a nie cierpiącej ludzkiej istocie. To był jedyny sposób, aby znieść te zabiegi.

Głębiej. Teraz przeciął oporną ścianę żołądka. Na pokładzie wokół Martello krew mieszała się z kałużą morskiej wody.

Teraz powinny ukazać się zwoje jelit...

Tak. Były.

Ktoś krzyknął z przerażenia. Ktoś inny chrząknął z odrazy. Wcale nie na widok jelit.

Coś jeszcze uniosło się z brzucha Martello, jakiś smukły i jasny kształt powoli rozwinął się i

zastygł w pionie. Widać było jakieś sześć centymetrów tego stworzenia: pozbawione oczu, a najwyraźniej również głowy, nic tylko gładkie, śliskie, różowe pasmo nieodróżnionianej, żywej materii. Na końcu miało otwór, swego rodzaju jamę gębową, z której wylaniał się cienki, ruchliwy, czerwony języczek. Giętkie, lśniące stworzenie poruszało się z gracją, kołysząc się z boku na bok hipnotycznym ruchem. Za plecami Lawlera ktoś przeraźliwie krzyczał.

Jednym szybkim i pewnym, zamaszystym ciosem skalpela przeciął potworka na pół. Górna część, wijąc się, wylądowała na pokładzie obok Martello. Zaczęła sunąć w stronę Lawlera. Natychmiast spadł na nią ogromny bucior Kinversona i rozduził na miazgę.

- Dzięki - powiedział cicho Lawler.

Jednak druga połowa nadal pozostawała w środku. Lawler próbował ją wydobyć czubkiem skalpela. Wydawało się, że przecięcie na pół wcale jej nie zaszkodziło; kontynuowała swój taniec równie wdzięcznie jak przedtem. Sięgając za twarde zwój jelit, Lawler próbował ją usunąć. Szturczał to tu, to tam. Wydawało mu się, że znalazł drugi koniec stwora i odciął go, ale to nie było wszystko: kolejne kilka centymetrów wciąż drwiło z jego wysiłków. Ciął jeszcze raz. Tym razem wyciął wszystko. Cisnął to na bok. Kinverson rozdeptał paskudztwo.

Wokół zapadła cisza.

Zaczął zszywać rozcięcie. Jednak powstrzymał go kolejny ruch.

Następny? Tak. Tak, jeszcze jeden, co najmniej. Prawdopodobnie więcej. Martello jęknął. Poruszył się lekko. Potem rzucił się gwałtownie, unosząc się nieco nad pokład; Lawler ledwie zdążył cofnąć rękę ze skalpelem, unikając przebicia pacjenta. Z rany podniósł się drugi węgorz, a po nim trzeci, falując w tym samym niesamowitym tańcu; wtem jeden z nich schował się z powrotem i zniknął w jamie brzusznej Martello, kierując się w górę, ku płucom.

Lawler wywabiał pozostałego na zewnątrz, przeciął na pół i jeszcze raz na pół, niszcząc go całkowicie. Czekał, aż ten drugi pokaże się znowu. Po chwili dojrzał go, jasnego i lśniącego, w zakrwawionym brzuchu Martello. Jednak to wcale nie był ostatni. Teraz Lawler dostrzegł smukłe zwoje innych węgorzy, pracowicie wijących się, uczujących. Ile ich tam było? Dwa? Trzy? Trzydzieści?

Posępnie spojrział w górę. Napotkał wzrok Delagarda. W oczach kapitana ujrzał szok, przerażenie i głębokie obrzydzenie.

- Czy możesz wydobyć wszystkie?

- Żadnych szans. Jest ich mnóstwo. Pożerają go. Mógłbym cię bez końca i zanim usunąłbym wszystkie, pociąłbym go na kawałki, a i tak mógłbym jakiegoś ominąć.

- Jezu - mruknął Delagard. - Jak długo pożyje?

- Sądzę, że dopóki jeden z nich nie przegryzie serca. To nie potrwa długo.

- Czy myślisz, że on coś czuje?

- Mam nadzieję, że nie - powiedział: Lawler.

Agonia trwała jeszcze pięć minut. Lawler nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, że pięć minut może trwać tak długo. Od czasu do czasu Martello wił się i dygotał, gdy inwazja dotknęła jednego z głównych nerwów; raz wydawało się, że próbuje wstać z pokładu. Potem cicho westchnął i opadł z powrotem, a światło w jego oczach zgasło na zawsze.

- Koniec - oznajmił Lawler. Czuł się odrętwiały, pusty i zmęczony, niezdolny do odczuwania żalu czy gniewu.

Prawdopodobnie, pomyślał, od początku nie było szansy na uratowanie Martello.

Musiało w niego wejść przynajmniej tuzin albo i więcej węgorzy; zapewne cała ich horda błyskawicznie wśliznęła się przez usta lub odbył i przegryzła przez ciało i mięśnie do brzucha. Lawler wydobył dziewięć, ale pozostałe wciąż wiły się wewnątrz, pracując nad

trzustką, śledzioną, wątrobą i nerkami. A gdy skończyły z tymi specjałami, cała reszta czekała na ich ruchliwe, czerwone jęczyczki. Żaden zabieg chirurgiczny, nawet najszybszy i bezbłędny, nie zdołałby usunąć ich na czas.

Neyana przyniosła koc, w który go owinęli. Kinverson podniósł ciało i poszedł z nim w stronę burty.

- Poczekaj - powiedziała Pilya. - Włóż to razem z nim.

Podala mu zwój papieru, który musiała przynieść z kajuty Martello. Sławetny poemat.

Wetknęła zniszczone i pozwijane kartki manuskryptu pod koc, którego końce owinęła wokół ciała. Przez moment Lawler miał ochotę zaprotestować, ale zrezygnował. Niech tak będzie.

Poemat należał do Martello.

Quillan powiedział:

- A teraz powierzamy naszego ukochanego Leo morzu, w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Znowu Duch Święty? Za każdym razem, gdy Lawler słyszał te dziwne słowa w ustach

Quillana, zaskakiwały go na nowo. To była taka przedziwna koncepcja; starał się, jak mógł, lecz nie potrafił sobie wyobrazić, czym mógł być taki święty duch. Odepchnął od siebie tę myśl. W tej chwili był zbyt zmęczony na takie spekulacje.

Kinverson zaniósł ciało do nadburcia i przytrzymał je tam. Potem pchnął lekko, tak że wypadło za burtę, na dół, do wody.

Natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z głębin wypłynęły jakieś dziwne stworzenia: długie, smukłe, płetwiaste i pokryte gęstym, czarnym, jedwabistym futrem. Było ich pięć, wijących się, łagodnookich, o ciemnych, stożkowatych pyskach, pokrytych wijącą się, czarną szczeciną. Łagodnie, delikatnie otoczyły dryfujące ciało Martello i utrzymując je na powierzchni zaczęły rozwijać okrywający go koc. Delikatnie, łagodnie

ściągnęły go z nieboszczyka. A potem - łagodnie, delikatnie - skupiły się wokół jego zeszywniałego ciała i zaczęły je konsumować.

Wykonały to zadanie cicho, bez niechlujnej i wściekłej żarłoczności. Widok był przerażający, a jednocześnie upiornie piękny. Ich ruchy pobudzały morze do nadzwyczajnej fosforescencji. Wydawało się, że Martello jest pochłaniany przez zimne, szkarłatne płomienie. Powoli zmieniał się w światło. Stwory przeprowadziły na nim pogładową lekcję anatomii, sprawnie ściągając z niego skórę i odsłaniając ścięgna, wiązania, mięśnie, nerwy. Następnie weszły głębiej. Nawet dla Lawlera, dla którego wewnętrzne sekrety ludzkiego ciała nie były żadną tajemnicą, ten widok był głęboko niepokojący, a jednak zadanie wykonano tak czysto, bez pośpiechu i z szacunkiem, że nie sposób było nie patrzeć i nie dostrzec piękna w tym, co robiły. Warstwa po warstwie odsłaniały szkielet Martello, aż w końcu pozostały tylko białe kości. Wtedy spojrzały w górę, na widzów przy relingu, jakby oczekując aprobaty. Ich oczy miały bezsprzecznie inteligentny wyraz. Lawler zobaczył, jak skinęły łbami - to mogło być jedynie pozdrowienie - a potem zniknęły z pola widzenia równie cicho, jak się pojawiły. Oczyszczony szkielet Martello zapadł już w niezbadane głębiny, gdzie niewątpliwie czekały inne organizmy, aby wykorzystać zawarty w nim wapń. Z tryskającego życiem młodego człowieka, jakim był Leo Martello, nie pozostało nic prócz kilku stron manuskryptu dryfujących na powierzchni wody. A po krótkiej chwili nawet ich nie było już widać.

Później, kiedy znalazł się sam w kajucie, Lawler sprawdził swój zapas uśmierzychy.

Wystarczy na dwa dni, stwierdził. Przełał połowę do flaszeczki i wypił.

Niech to diabli, pomyślał.

A potem wypił również drugą połowę. Niech to diabli.



Po dwóch dniach, tuż przed południem, wystąpiły pierwsze objawy głodu: poty, dreszcze, mdłości. Lawler był na nie przygotowany, a przynajmniej sądził, że jest. Szybko jednak nasiliły się bardziej, niż oczekiwał, zmieniając się w próbę tak trudną, że nie był pewien, czy ją wytrzyma. Intensywność bólu, który nadchodził wielkimi falami, przeraziła go. Wydawało mu się, że czuje, jak jego mózg pęcznieje i uciska ściany czaszki.

Machinalnie sięgnął po flaszeczką, która oczywiście była pusta. Skulił się na koi, drżący, rozgorączkowany, nieszczęśliwy.

Wczesnym popołudniem przyszła do niego Sundira.

- To przez to, co zdarzyło się tamtego dnia? - zapytała.

- Z Martello? Nie, to nie to.

- A zatem jesteś chory? Wskazał na pustą flaszeczkę. Po chwili zrozumiała.

- Czy mogę ci jakoś pomóc, Val?

- Przytul mnie, to wszystko.

Chwyliła jego głowę i położyła na swej piersi. Lawler przez chwilę gwałtownie dygotał. Potem uspokoił się, choć nadal czuł się okropnie.

- Chyba czujesz się trochę lepiej - powiedziała.

- Troszeczkę. Nie odchodź.

- Jestem tutaj. Chcesz wody?

- Tak. Nie. Nie, tylko zostań tam, gdzie jesteś. Wtulił się w nią. Czuł, jak gorączka narasta, spada, znowu rośnie z gwałtowną, niszczącą szybkością. Narkotyk był silniejszy, niż Lawler przypuszczał, a jego uzależnienie najwyraźniej bardzo silne. A jednak - jednak - ból przychodził falami; wraz z upływem godzin zdarzały się chwile, gdy czuł się prawie normalnie. To było dziwne. Lecz dawało mu nadzieję. Nie miał nic przeciwko walce, jeśli

musiał walczyć, ale chciał ja\_ wygrać.

Sundira pozostała z nim przez całe popołudnie. Zasnął, a kiedy się obudził, wciąż przy nim była. Miał opuchnięty język. Był zbyt słaby, aby ustać na nogach.

- Czy wiedziałeś, że tak będzie? - zapytała.

- Tak. Sądzę, że tak. Może nie myślałem, że będzie aż tak źle.

- Jak się teraz czujesz?

- Różnie - powiedział Lawler. Zza drzwi dobiegł głos Delagarda:

- Jak on się czuje?

- Martwi się o ciebie - powiedziała Sundira do Lawlera.

- Bardzo troskliwie z jego strony.

- Powiedziałam mu, że jesteś chory.

- Nie wdając się w szczegóły?

- Nie, żadnych szczegółów.

Ta noc była okropna. Przez jakiś czas Lawler myślał, że postrada zmysły. Jednak tuż przed świtem nadszedł kolejny z tych nieoczekiwanych, niewytłumaczalnych okresów ulgi, jak gdyby coś z oddali sięgało do jego mózgu i tłumilo głód narkotyku. O świcie wrócił mmi apetyt, a kiedy wstał - po raz pierwszy podniósł się z koi od czasu, gdy zaczął gorączkować - był w stanie utrzymać równowagę.

- Wyglądasz nieźle - powiedziała do niego Sundira. - A jak się czujesz?

- Tak sobie. Złe samopoczucie powróci. Zapowiada się długa walka.

Jednak kiedy wróciło, było słabsze niż poprzednio. Lawler bezskutecznie próbował wyjaśnić tę zmianę. Spodziewał się trzech, czterech, a nawet pięciu dni tego koszmaru, a potem może stopniowej ulgi w cierpieniach, w miarę jak jego organizm zacznie stopniowo wyzwalać się z nałogu. Tymczasem to był zaledwie drugi dzień.

Znowu wrażenie czyjeś interwencji; coś go prowadziło, podnosiło, wyciągało z bagna.

Później znów drgawki i poty. I następne ozdrowienie, trwające prawie pół dnia.

Lawler wyszedł na pokład, oddychał świeżym powietrzem, wolno spacerował dookoła.

Powiedział do Sundiry, że jego zdaniem wychodzi z tego zbyt łatwo.

- Masz szczęście - powiedziała.

Z nastaniem nocy znów był chory. Zdrowy, chory: góra, dół. Jednak ogólny obraz był zachęcający. Dochodzi do siebie. Przed końcem tygodnia miał tylko sporadyczne chwile złego samopoczucia. Patrzył na pustą flaszeczkę i uśmiechał się z zadowoleniem.

Powietrze było czyste, a wiatr silny. "Królowa Hydros" gnała naprzód ze stałą prędkością, podążając południowo-zachodnim kursem wokół wodnego globu. Morze świeciło coraz intensywniej z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę. Cały świat zaczynał wyglądać świetliście. Niebo i woda lśniły w dzień i w nocy. Pół tuzina nieznanymi gatunków koszmarnych stworzeń wyskoczyło z wody, aby poszybować wysoko nad głowami widzów i z głośnym pluskiem zniknąć w oddali. W głębinach czyhały ogromne jamochłony.

Przez większość czasu na pokładzie "Królowej" panowała cisza. Wszyscy cicho i sprawnie krzątali się wokół swych codziennych zajęć. Mieli sporo roboty, ponieważ teraz pozostało ich tylko jedenaścioro do pracy, którą na początku rejsu dzielili między czternaście par rąk. Martello, niefrasobliwy, radosny i pełen optymizmu, poprawiał innym humor; jego śmiech wszystko zmieniał.

Jednak Oblicze zbliżało się coraz szybciej. Zapewne to musi mieć coś wspólnego z tym poważnym, ponurym nastrojem wśród załogi, pomyślał Lawler. Jeszcze nie było go widać na horyzoncie, ale każdy wiedział, że jest już blisko. Każdy to czuł. Na pokładzie wyczuwali jego obecność. Jego wpływ był nieuchwytny, a jednak niezaprzeczalny. Coś tam

jest, często rozmyślał Lawler, coś więcej niż wyspa. Rozumne i czujne. Czekają na nich.

Potrząsnął głową usiłując odzyskać jasność umysłu. To bezsensowne fantazje, horrory z nocnych koszmarów, bezpodstawne i głupie. To efekt głodu narkotycznego, powiedział sobie. Był niepewny, niespokojny, słaby.

Oblicze wciąż zaprzętało jego myśli. Z trudem usiłował przypomnieć sobie to, co dawno temu opowiadał mu o nim Jolly, jednak wszystko było niejasne, zamulone warstwami blisko trzydziestoletnich wspomnień. Niesamowite i fantastyczne miejsce, powiedział Jolly. Pełne roślin niepodobnych do tych, jakie rosną w morzu. Rośliny, tak. Niesamowite kolory, jaskrawe światła świecące dzień i noc, dziwaczne królestwo na odległym krańcu świata, piękne i straszne. Czy Jolly wspominał o zwierzętach, jakichkolwiek stworzeniach lądowych? Nie, Lawler niczego takiego nie pamiętał. Żadnej fauny, tylko gęste dżungle. -

A przecież mówił też coś o mieście...

Nie na samym Obliczu. Obok niego.

Gdzie? W oceanie? Obraz wymykał mu się. Walczył, aby pochwycić wspomnienie czasów, które spędził z Jollym nad wodą; stary człowiek o twarzy spalonej słońcem i skórze twardej jak rzemień kołysał się w przód i w rył, zbierał wędki i mówił...

Miasto. Miasto w morzu. Pod wodą.

Lawler uchwycił koniuszek wspomnienia, uczył, jak mu się wyslizguje, sięgnął po nie, bezskutecznie, sięgnął znowu...

Miasto pod morzem. Tak. Brama w oceanie otwierająca się na korytarz, swego rodzaju komin grawitacyjny prowadzący w dół do wspaniałego podwodnego miasta, gdzie mieszkali Skrzelowcy, ukryte miasto Skrzelowców przewyższających tych, którzy mieszkali na wyspach, tak samo jak królowie górują nad wieśniakami; Skrzelowców, którzy żyli jak bogowie i nigdy nie wychodzili na powierzchnię. Zamknięci w ciśnieniowych podziemiach,

żyli w dostojnym majestacie i absolutnym luksusie...

Lawler uśmiechnął się. Tak, to było to. Wspaniała bajka, płód wyobraźni.

Najpiękniejsza, najbarwniejsza ze wszystkich opowieści Jolly'ego. Lawler pamiętał, jak próbował wyobrazić sobie to miasto, tworząc wizję wysokich, okazałych, nieskończenie majestatycznych Skrzelowców kroczących wysokimi hakowatymi przejściami lśniących, pałacowych sal. Myśląc o tym teraz, znów czuł się jak chłopiec, który przykucał w zachwycie u stóp starego marynarza, słuchając chropowatego, zgrzytliwego głosu.

Ojciec Quillan także myślał o Obliczu.

- Mam nową teorię na ten temat - oznajmił. Duchowny spędził cały ranek medytując, siedząc z Gharkidem obok pomostu. Lawler, przechodząc obok, patrzył na nich ze zdumieniem. Obaj wyglądali jak pogrążeni w transie. Ich dusze równie dobrze mogły przebywać na całkiem innej płaszczyźnie istnienia.

- Zmieniłem zdanie - powiedział Quillan. - Pamiętasz, powiedziałem ci kiedyś, że Oblicze musi być rajem, po którym spaceruje sam Bóg, Praprzyczyna, prawdziwy Stwórca, Ten, do którego kierujemy wszystkie nasze modlitwy. No więc, już tak nie myślę.

- W porządku - powiedział Lawler obojętnie. - Tak więc Oblicze nie jest chatą Boga. Wiesz o tych sprawach więcej niż ja.

- Nie, nie chatą Boga. Jednak na pewno siedzibą jakiegoś boga. Widzisz, to całkowite przeciwieństwo mojej początkowej koncepcji. I wszystkiego, w co wierzyłem w związku z istotą boskości. Zaczynam głosić najgorsze herezje. W tej fazie mojego życia zostałem politeistą. Poganinem! Nawet mnie samemu wydaje się to absurdalne. A jednak całym sercem skłaniam się do tej idei.

- Nie rozumiem. Jakiś bóg, ten bóg - co za różnica? Jeśli jesteś w stanie uwierzyć w jednego boga, to możesz wierzyć w dowolną ich liczbę, przynajmniej ja tak uważam. Rzecz w

tym, aby uwierzyć w tego Jednego, a mnie nie udało się osiągnąć nawet tego.

Quillan obdarzył go serdecznym uśmiechem.

- Ty naprawdę nie rozumiesz, prawda? Klasyczna tradycja chrześcijańska, wywodząca się z judaizmu i - o ile wiemy - częściowo ze starożytnego Egiptu, utrzymuje, że Bóg jest jedyną niepodzielną istotą. Nigdy tego nie kwestionowałem. Nigdy nawet nie myślałem o kwestionowaniu tego. My chrześcijanie mówimy o Nim jako o Trójcy, lecz jesteśmy świadomi, że Trójca jest Jednym. Dla niewierzącego może to być nieco skomplikowali, ale my wiemy, co to oznacza. To nie podlega dyskusji: j eden Bóg, jeden jedyny. Jednakże w ciągu kilku ostatnich dni, a nawet kilku ostatnich godzin... - duchowny przerwał. - Użyjmy matematycznego porównania. Czy wiesz, co to jest twierdzenie Godela?

- Nie.

- Ja też nie, przynajmniej niedokładnie. Jednak mogę ci je przedstawić w przybliżeniu.

Sądzę, że to pojęcie z dwudziestego wieku. Według twierdzenia Godela, którego nikt nie zdołał obalić, istnieje podstawowa granica racjonalnego poznania matematycznego. Jesteśmy w stanie udowodnić wszystkie założenia rozumowania matematycznego aż do pewnego stadium, a potem osiągamy poziom, poza który po prostu nie możemy się posunąć.

Ostatecznie dowiadujemy się, że zeszliliśmy poza proces matematycznego dowodzenia w sferę nieudowodnialnych aksjomatów, rzeczy, które trzeba po prostu przyjąć na wiarę: , jeżeli chcemy zrozumieć wszechświat. W ten sposób dochodzimy do granicy rozumu. Aby ją przekroczyć - aby w ogóle móc myśleć dalej - jesteśmy zmuszeni zaakceptować pewne podstawowe aksjomaty jako prawdziwe, nawet jeśli nie możemy j ich udowodnić. Nadążasz za mną?

- Myślę, że tak.

- Dobrze. Proponuję założyć, że twierdzenie Godela wyznacza granicę między bogami

a śmiertelnikami.

- Naprawdę? - dociekał Lawler.

- O to mi chodzi - powiedział Quillan. - Wyznacza ono granicę ludzkiego pojmowania. Po drugiej stronie tej granicy stoją bogowie. Z definicji bogowie to istoty, które nie są ograniczone twierdzeniem Godela. My ludzie żyjemy w świecie, gdzie rzeczywistość ostatecznie rozplywa się w irracjonalnych założeniach, lub przynajmniej założeniach, które są nieracjonalne, ponieważ nie można ich udowodnić. Bogowie żyją w królestwie absolutu, gdzie rzeczywistość nie tylko jest ustalona i znana poza poziom naszego aksjornatycznego dna, lecz także może być na nowo definiowana i kształtowana przez boską moc.

Po raz pierwszy w czasie tej dyskusji Lawler poczuł dreszcz zainteresowania.

- Galaktyka jest pełna istot, które nie są ludźmi, a których matematyka wcale nie jest lepsza od naszej, prawda? Jak one pasują do twojej teorii?

- Określmy wszystkie inteligentne stworzenia, które podlegają ograniczeniom Godela, jako ludzkie, niezależnie od ich rzeczywistego gatunku. A wszystkie istoty, zdolne do funkcjonowania w ultragodelowskiej sferze logiki, są bogami.

Lawler kiwnął głową.

- Mów dalej.

- Pozwól mi teraz wprowadzić pojęcie, które przyszło mi do głowy dziś rano, gdy rozmyślałem o Obliczu Wód. Przyznaję, że to najokropniejsza herezja. Jednak już wcześniej bywałem heretykiem i przeżyłem. Chociaż nie aż takim heretykiem. - Ponownie Quillan uśmiechnął się niewinnie. - Załóżmy, że w pewnym punkcie bogowie muszą osiągnąć granicę Godela, miejsce, gdzie kończą się ich moce rozumowania - moce tworzenia i odtwarzania - i dojdą do pewnego rodzaju bariery. Podobnie jak my, lecz na jakościowo innej płaszczyźnie, w końcu osiągną punkt, poza który nie będą mogli wyjść.

- Ostateczny kres wszechświata - stwierdził Lawler.

- Nie. Jedynie ich ostateczna granica. Równie dobrze oprócz nich mogą istnieć więksi bogowie. Bogowie, o których mówimy, są zamknięci w większej rzeczywistości określonej przez inną matematykę, do której nie mają dostępu. Podnoszą oczy na następną rzeczywistość i następny poziom bogów. A tamci bogowie - mieszkańcy tej większej rzeczywistości - również mają wokół siebie ścianę Godela, na zewnątrz której znajdują się jeszcze więksi bogowie. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Lawlerowi zakręciło się w głowie.

- W nieskończoność?

- Tak.

- Ale czy nie określasz boga jako coś nieskończonego? Jak może nieskończona rzecz być mniejsza od innej nieskończoności?

- Zbiór nieskończony może być zawarty w zbiorze nieskończonym. Zbiór nieskończony może zawierać nieskończoną liczbę nieskończonych podzbiorów.

- Jeśli tak twierdzisz - odpowiedział lekko podenerwowany Lawler. - Tylko co to ma wspólnego z Obliczem?

- Jeśli Oblicze jest prawdziwym rajem, niezniszczonym i dziewiczym - siedzibą Ducha Świętego - to równie dobrze może być zamieszkałe przez istoty wyższego rzędu, istoty o wielkiej czystości i mocy. W Kościele nazywano je aniołami. Wyznawcy innych religii nazywali je bogami.

Cierpliwości, pomyślał Lawler. Ten człowiek traktuje to poważnie. Powiedział:

- A te istoty wyższe - aniołowie, bogowie, nieważne jak je nazwiemy - są miejscowymi, postgodelowskimi geniuszami, czy dobrze to rozumiem? Dla nas bogami.

Również dla Skrzelowców, ponieważ Oblicze wydaje się ich świętym miejscem. Nie jest



jednak samym Bogiem, Bogiem wszechmogącym, twoim Bogiem, którego czci twój Kościół, najwyższym stwórcą Skrzelowców i nas oraz wszystkiego we wszechświecie. Nie znajdujesz go w pobliżu, przynajmniej niezbyt często. Ten Bóg stoi wyżej na drabinie rozwoju. Nie mieszka na żadnej szczególnej planecie. Jest gdzieś w górze, w wyższej sferze, w większym wszechświecie, patrzy w dół i czasami sprawdza, jak się rzeczy mają.

- Dokładnie.

- Jednak nawet On nie jest na samym szczycie?

- Nie ma żadnego szczytu - odparł Quillan. - Jest tylko nie kończąca się drabina boskości, biegnąca od stadium stojącego tuż ponad śmiertelnikiem w bezkres. Nie wiem, na jakim szczeblu tej drabiny znajdują się mieszkańcy Oblicza, lecz bardzo prawdopodobne, że stoją wyżej od nas. Bóg wszechmogący jest całą tą drabiną. Ponieważ Bóg jest nieskończony, nie może być żadnego poziomu boskości, a jedynie nieskończony szereg; nie ma Najwyższego, jest tylko Wyższy, Wyższy i Jeszcze Wyższy, ad infinitum. Oblicze jest jednym z pośrednich ogniw tego łańcucha.

- Rozumiem - powiedział niepewnie Lawler.

- Medytując nad tym zaczyna się dostrzegać wyższe nieskończoności, nawet jeśli z definicji nie możemy nigdy dostrzec najwyższej, ponieważ musielibyśmy być więksi od największej nieskończoności, aby tego dokonać. - Quillan spojrział w niebo i rozpostarł szeroko ramiona w geście, który był niemal autoironiczny. Jednak zaraz odwrócił się do Lawlera i powiedział głosem, który był zupełnie różny od tego, jakim mówił wcześniej: - W końcu, doktorze, doszedłem do przyczyny mojego nieudanego kapłaństwa. Przez cały czas musiałem być świadomy tego, że Bóg, którego poszukuję, jedna nadrzędna Istota, która się nami opiekuje, jest całkowicie nieosiągalny. Jeśli chodzi o nas, On praktycznie nie istnieje. A jeśli istnieje, to w obszarze tak dalece odległym od naszego istnienia, że równie dobrze

mógłby wcale nie istnieć. Teraz nareszcie rozumiem, że muszę szukać mniejszego boga, który istnieje bliżej naszego poziomu świadomości. Po raz pierwszy, Lawler, widzę możliwość znalezienia spokoju za życia.

- Co za bzdury tu wygadujecie? - zagadnął Delagard, który zaszedł ich z tyłu.

- Teologiczne bzdury - powiedział Quillan.

- Aha. Nowe objawienie?

- Usiądź - zaproponował duchowny. - Wszystko ci opowiem.

Rozpalony logiką swego nowego objawienia, Quillan chodził po okręcie i dzielił się nim z każdym, kto chciał słuchać. Nie znalazł jednak wielu chętnych.

Najbardziej zainteresowany wydawał się Gharkid. Lawler zawsze podejrzewał, że ten dziwaczny człowieczek ma skłonności do mistycyzmu - a teraz, jak zawsze enigmatyczny, Gharkid przesiadywał z lśnącymi oczami, w pozie głębokiego skupienia wysłuchując wszystkiego, co duchowny miał do powiedzenia. Jednak, jak zwykle, Gharkid nie podsuwał żadnych własnych komentarzy, a tylko od czasu do czasu jakieś delikatne pytanie.

Sundira spędziła godzinę z Quillanem i przyszła później do Lawlera zamyślona i zaintrygowana.

- Biedny człowiek - powiedziała. - Raj. Święte duchy spacerujące, błogosławiące pielgrzymów. Te długie tygodnie na morzu musiały go doprowadzić do obłądzenia.

- Jeśli kiedykolwiek był zdrowy na umyśle.

- Tak bardzo chce poddać się czemuś większemu i mądrzejszemu niż on. Przez całe życie szukał Boga. Myślę, że w rzeczywistości próbuje odnaleźć swoją drogę do macicy.

- Cóż za cyniczne stwierdzenie.

- Czy jednak nie prawdziwe? - Sundira położyła głowę na kolanach Lawlera. - Jak myślisz? Czy twoim zdaniem to matematyczne bożyszczce ma jakiś sens? Albo cała ta

teologia? Raj? Wyspa świętych duchów?

Gładził jej gęste, ciemne włosy. Tygodnie i miesiące podróży uczyniły je bardziej szorstkimi, nadając im kruchy i kędzierzawy wygląd. Wciąż jednak były piękne.

Powiedział:

- Częściowo rozumiem. A przynajmniej rozumiem metaforę, jaką się posługuje.

Jednak to nie ma żadnego znaczenia. Nie dla mnie. Być może we wszechświecie istnieje nieskończoność wyraźnych warstw bogów, a każdy z nich ma dokładnie szesnaście razy więcej oczu niż ten z niższej warstwy, zaś Quillan może mieć absolutnie niepodważalny dowód na istnienie tej całej wymyślnej bzdury, a i tak nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia. Żyję na tym i tylko na tym świecie i nie ma tu żadnych bogów. Nie obchodzi mnie, co dzieje się na wyższych poziomach, jeżeli takowe istnieją.

- To wcale oznacza, że wyższe poziomy nie istnieją.

- Nie. Myślę, że masz rację. Kto wie? Stary rybak, który pierwszy mówił nam o

Obliczu, opowiadał również niesamowitą historię o podwodnym mieście supermieszkańców, położonym tuż przy brzegu. Jak sądzę, równie trudno mi w nią uwierzyć, jak w teologiczne dyrdymały Quillana. Jedna idea jest równie szalona jak druga.

Podniosła głowę i odwróciła się, by spojrzeć na niego.

- Dla dobra dyskusji przyjmijmy, że w pobliżu Oblicza naprawdę istnieje jakieś miasto pod powierzchnią morza i że mieszka tam jakiś szczególny rodzaj Mieszkańców. Jeżeli tak, to wyjaśnialoby, dlaczego Mieszkańcy, których znamy, uważają Oblicze za świętą wyspę i boją się lub przynajmniej nie chcą się tam zbliżyć. A jeśli tam naprawdę są jakieś boskie istoty?

- Poczekamy i zobaczymy, co tam jest, kiedy tam dotrzemy, a wtedy ci odpowiem, dobrze?

- Dobrze - powiedziała Sundira.

W środku nocy Lawler nagle obudził się, pozostając w półśnie, który zwykle trwa aż do świtu. Usiadł, potarł bolące czoło. Czuł się, jakby ktoś otworzył mu czaszkę podczas snu i napełnił ją milionem jaskrawych pasm cienkiego, iskrzącego się drutu, które teraz ocierały się o siebie przy każdym oddechu.

Ktoś był w kajucie. W nikłym blasku gwiazd, który wpadał przez pojedynczy świetlik, zobaczył przy grodzi wysoką postać o kwadratowych ramionach, która patrzyła na niego w milczeniu. Kinverson? Nie, nie tak duży jak Kinverson, a poza tym dlaczego Kinverson miałby nachodzić jego kajutę grucha nocą? Jednak żaden z pozostałych na pokładzie mężczyzn nie był nawet w przybliżeniu tak wysoki.

- Kto tam? - powiedział Lawler.

- Nie poznajesz mnie, Valben? - Głęboki, donośny głos, cudownie spokojny i pewny siebie.

- Kim jesteś?

- Przyjrzyj się dobrze, chłopcze! - Intruz odwrócił się, tak że część jego twarzy znalazła się w świetle. Lawler ujrzał silną szczękę, gęstą, kręconą, czarną brodę, prosty, władczy nos. Oprócz brody ta twarz mogła być jego własną. Nie, oczy były inne. Błyszczały mocniej; ich spojrzenie było bardziej surowe i bardziej współczujące niż oczu Lawlera. Znał to spojrzenie. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Sądziłem, że nie śpię - powiedział spokojnie. - Ale teraz widzę, że jeszcze śnię.

Witaj, ojciec. Miło cię znów widzieć. Upłynęło sporo czasu.

- Czyżby? Nie dla mnie. - Wysoki mężczyzna zrobił kilka kroków w jego stronę. W maleńkiej kajucie zbliżył się do krawędzi koi. Miał na sobie ciemną, wymiętą szatę staromodnego kroju, szatę, którą Lawler bardzo dobrze pamiętał. - A jednak widocznie trwało to chwilę. Jesteś już dorosły, chłopcze. Jesteś starszy ode mnie, prawda?

- Mniej więcej w tym samym wieku.
- I jesteś lekarzem. Dobrym lekarzem, jak słyszę.
- Ależ skąd. Staram się, jak mogę. To nie wystarcza.
- Jeśli starasz się najlepiej jak możesz, to zupełnie wystarczy, Valben. Jeżeli naprawdę robisz, co możesz. Mówiłem ci o tym, ale przypuszczam, że mi nie wierzyłeś. Dopóki nie obijasz się, dopóki naprawdę ci zależy. Poza pracą lekarz może być absolutnym draniem, lecz dopóki mu zależy, jest w porządku. Dopóki rozumie, że jego zadaniem jest chronić, leczyć, kochać. I myślę, że ty to zrozumiałeś. - Przysiadł na krawędzi koi. Zachowywał się bardzo swobodnie. - Nie masz rodziny, prawda?
- Nie.
- To źle. Byłbyś dobrym ojcem.
- Tak sądzisz?
- Oczywiście, ojcostwo odmieniłoby cię. Chyba na lepsze, jak sądzę. Żałujesz?
- Nie wiem. Prawdopodobnie. Żałuję wielu rzeczy. Żałuję, że moje małżeństwo się nie udało. Że nigdy nie ożeniłem się ponownie. Że ty zmarłeś zbyt szybko, ojcze.
- Czy to było zbyt szybko?
- Dla mnie tak.
- No tak. Tak, myślę, że tak.
- Kochałem cię.
- A ja ciebie, chłopcze. I nadal bardzo cię kocham. Jestem z ciebie dumny.
- Mówisz, jakbyś wciąż żył. Przecież to tylko sen; możesz mówić wszystko, co chcesz, prawda?

Postać podniosła się i zniknęła w mroku. Wydawało się, że chce się ukryć.

- To nie jest sen, Valben.

- Nie? A więc co? Nawet jeśli tak, ty nie żyjesz, ojcze.

Nie żyjesz już od dwudziestu pięciu lat. Jeśli to nie sen, dlaczego tutaj jesteś? Jeśli jesteś duchem, dlaczego czekałeś tak długo, aby mnie nawiedzać?

- Bo jeszcze nigdy nie byłeś tak blisko Oblicza.

- Co Oblicze ma wspólnego z tobą lub ze mną?

- Mieszkam na Obliczu, Valben. Lawler mimowolnie roześmiał się.

- To, co powiedziałaś, bardziej pasuje do Skrzelowca niż do ciebie.

- Nie tylko Skrzelowcy trafiają na Oblicze, chłopcze. To kategoryczne stwierdzenie zawisło w powietrzu jak

gęsty opar. Lawler cofnął się przed nim. Teraz zaczynał rozumieć. Wzbierał w nim gniew.

Zirytowany, wyciągnął rękę w stronę zjawy.

- Wyjdź stąd. Daj mi spać.

- Czy tak się rozmawia z ojcem?

- Ty nie jesteś moim ojcem. Jesteś bardzo złym snem albo kłamliwą iluzją, telepatycznie wysłaną przez jakiegoś morskiego jeżozwierza lub smoka. Mój ojciec nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. Nawet gdyby powrócił jako duch, czego również nigdy by nie zrobił. Straszenie nie było w jego stylu. Odejdź i zostaw mnie!

- Valben, Valben, Valben!

- Czego chcesz ode mnie? Dlaczego nie zostawisz mnie w .spokoju?

- Valben, chłopcze...

Lawler nagle zdał sobie sprawę, że już nie widzi wysokiej, ciemnej postaci.

- Gdzie jesteś?

- Wszędzie wokół ciebie i nigdzie.

Lawlerowi łupało w głowie. Skręcało go w brzuchu. Po ciemku sięgnął po flaszeczkę uśmierzychy. Po chwili przypomniał sobie, że jest pusta.

- Czym jesteś?

- Jestem zmartwychwstaniem i życiem. Ten, kto wierzy we mnie, choćby umarł, żyć będzie na wieki.

- Nie!

- Bóg cię zbawi, pierwotny Żeglarzu! Od wrogów, którzy cię nękają!

- To obłąd! Przestań! Wynoś się stąd! Już! - Drżąc na całym ciele, Lawler sięgnął po lampę. Światło przepędziło coś. Lecz nim ją znalazł, poczuł nagłe ukłucie samotności i pojął, że wizja, lub cokolwiek to było, opuściła go z własnej woli. Jej zniknięcie nieoczekiwanie pozostawiło za sobą dzwoniącą pustkę.

Ta nieobecność była dla Lawlera wstrząsem jak po amputacji. Przez jakiś czas siedział na krawędzi koi, drżący, zlany potem, trzęsąc się jak w najgorszym stadium narkotykowego głodu.

Potem wstał. Niepodobna, żeby teraz zasnął. Wyszedł na pokład. Para księżyców wisiała na niebie, dziwnie poplamiona purpurową i zieloną luminescencją, która barwiła zachodni horyzont i zdawała się od zawsze wypełniać powietrze. Krzyż Hydros, zwieszając się w kącie nieba jak kawałek odrzuconej ozdoby, również pulsował kolorami, czego Lawler nigdy dotąd nie widział: z obu jego ramion spływały oślepiające, olśniewające zwoje turkus, bursztynu, szkarłatu i ultramaryny.

Wydawało się, że nikt nie stoi na wachcie. Żagle były postawione i okręt płynął w lekkiej, równomiernej bryzie, ale pokład był pusty. Widząc to Lawler poczuł ukłucie strachu. Pierwsza wachta powinna być na pokładzie: Pilya, Kinerson, Gharkid, Felk, Tharp. Gdzie się podziali? Nawet w sterówce nie było nikogo. Czyżby okręt płynął sam?

Tak wyglądało. W dodatku zbaczał z kursu. Ostatniej nocy, przypomniał sobie, Krzyż był po lewej stronie dziobu. Teraz pokrywał się z bukszprytem. Nie płynęli już na zachód, południowy zachód, lecz zawrócili pod ostrym kątem na poprzedni kurs.

Zaintrygowany, obszedł na palcach cały pokład. Gdy podszedł do grotmasztu, zobaczył Pilyę śpiącą na stosie lin, a obok chrapiącego Tharpa. Delagard obdarłby ich ze skóry, gdyby się dowiedział. Kawalek dalej znalazł Kinversona, który siedział oparty plecami o nadburcie. Oczy miał otwarte, ale również nie wydawał się przytomny.

- Gabe? - powiedział cicho Lawler. Ukląkł i pomachał ręką przed oczami Kinversona.

Żadnej reakcji. - Gabe, co się dzieje? Jesteś zahipnotyzowany?

- Odpoczywa - dobiegł nagle z tyłu głos Onyosa Felka. - Nie przeszkadzaj mu. To była ciężka noc. Godzinami zmienialiśmy żagle. Spójrz teraz: ląd, dokładnie na wprost. Posuwamy się bardzo szybko w jego stronę.

Ląd? Czy na Hydros ktoś kiedykolwiek mówił o lądzie?

- O czym ty mówisz? - zapytał Lawler.

- Tam. Widzisz?

Felk niedbale machnął w stronę dziobu. Lawler spojrzał i nie zobaczył nic prócz bezmiaru rozświetlonego morza i pustego horyzontu, zaznaczonego jedynie przez kilka nisko położonych gwiazd oraz rozrastającą się, ciężką chmurę pośrodku. Ciemna kurtyna nieba wydawała się dziwnie rozplómienna, otoczona przerażającą, płonąca gwałtownie zorzą. Wszędzie było widać kolory, niesamowite kolory, fantastyczny pokaz dziwnego światła. Ale żadnego lądu.

- W nocy - powiedział Felk - wiatr zmienił kierunek i odwrócił nas w tę stronę. Cóż za niewiarygodny widok! Te góry! Te wspaniałe doliny! Czy kiedykolwiek uwierzyłbyś w coś takiego, doktorze? Oblicze Wód! - Wydawało się, że Felk zaraz się rozplącze. - Przez całe



życie patrzyłem na mapy morza i widziałem ten czarny znaczek na odległej półkuli, a teraz widzimy go twarzą w twarz... Oblicze, doktorze, to Oblicze!

Lawler splótł ręce na piersi. W tropikalnym cieple nocy poczuł nagły chłód.

Wciąż nie widział nic prócz bezkresnego falowania pustej wody.

- Słuchaj, Onyos, jeśli Delagard wyjdzie na pokład wcześniej i znajdzie całą twoją zmianę śpiącą, wiesz, co się stanie. Na litość boską, jeśli ty ich nie obudzisz, ja to zrobię!

- Niech śpią. Rankiem będziemy na Obliczu.

- Jakim Obliczu? Gdzie?

- Tam, człowieku! Tam!

Lawler wciąż nic nie widział. Ruszył wielkimi krokami. Na dziobie znalazł Gharkida, ostatniego brakującego członka wachty, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na dachu nadbudówki, z głową odrzucając w tył, a oczami szeroko rozwartymi i nieruchomymi jak dwie szklane kule. Podobnie jak Kinverson, znajdował się na jakiejś całkiem innej płaszczyźnie świadomości.

Oszołomiony Lawler spojrzał w noc. Ujrzał oślepiający labirynt kolorów, jednak wciąż widział tylko czystą wodę i puste niebo nad nią. Nagle coś się zmieniło. Jakby wizja zamazała się, a teraz wreszcie nabrała ostrości. Wydawało mu się, że część nieba oddzieliła się i zeszła na powierzchnię wody, wykonując skomplikowane manewry, zwijając i rozwijając się, aż wyglądała jak zwój zmiętego papieru, potem jak wiązka patyków, potem jak masa rozgniewanych węży, a potem jak tłoki napędzane niewidzialnym silnikiem. Wijąca się, splątana sieć jakiejś nieznanej substancji wytrysnęła wzdłuż horyzontu. Oczy bolały go, gdy na nią patrzył.

Felk przyszedł za nim.

- Czy teraz widzisz? Widzisz?

Lawler zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili powstrzymywał oddech, więc powoli wypuścił powietrze.

Coś, co zdawało się bryzą, lecz było czymś innym, wiało mu w twarz. Wiedział, że to nie może być bryza, ponieważ równocześnie czuł wiatr wiejący od rufy, a kiedy spojrział w górę na żagle, zobaczył, jak się wybrzuszą. Nie. To nie bryza. Emanacja. Siła.

Promieniowanie. Skierowane na niego. Czuł, jak skrzypiało cicho w powietrzu, jak uderzało o jego policzki niczym drobny grad gnany wichrem zimowej burzy. Stał nieruchomo, ogarnięty grozą i przerażeniem.

- Czy widzisz? - zapytał znowu Felk.

- Tak. Tak, teraz widzę. - Odwrócił twarz do kartografa. Przy tym dziwnym świetle, które padało na nich z zachodu, twarz Felka wyglądała jak namalowana, jak twarz chochlika.

- Mimo wszystko lepiej obudź wachtę. Zejdę na dół i sprowadzę Delagarda. Na dobre czy złe, to on nas tu przywiódł. Nie zasługuje na to, aby przegapił moment naszego przybycia.

W rzednących ciemnościach Lawler wyobrażał sobie, że leżące przed nimi morze cofa się zwinnie, odciągane, jakby było obieraną skórką, pozostawiając między okrętem a Obliczem nagi, zadziwiająco piaszczysty ugór. Lecz kiedy spojrzął ponownie, zobaczył lśniące jak zawsze wody.

Niedługo później wstał świt, przynosząc nowe nieznane dźwięki i widoki: widoczne grzywacze, rześki plusk maleńkich fal o dziób, linię skłębionej, świetlistej piany w oddali.

O pierwszym szarym brzasku Lawler nie mógł dostrzec nic więcej. Przed nim był ląd, niezbyt daleko, ale nie mógł go zobaczyć. Wszystko tutaj było niejasne. Powietrze wydawało się gęste od mgły, która nie chciała się rozwiać, nawet gdy słońce uniosło się wyżej. Potem nagle uświadomił sobie obecność wielkiej, ciemnej bariery, leżącej w poprzek horyzontu jak niski garb, który nieco przypominał linię brzegową wyspy Skrzelowców, tyle że na Hydros nie było tak wielkich wysp. Rozpościerała się przed nimi od jednego końca świata po drugi, odpierając morze, które grzmiało i rozbijało się o nią w oddali, lecz nie mogło w żaden sposób narzucić jej swojej siły.

Zjawił się Delagard. Stał na mostku trzęsąc się, zwrócony twarzą do lądu, z rękami kurczowo zaciśniętymi na relingu.

- Oto jest! - krzyknął. - pierzyłeś mi czy nie? Oto jest Oblicze, nareszcie! Spójrzcie na nie! Spójrzcie!

Nie można było tego nie podziwiać. Nawet najbardziej tępi i apatyczni z podróżników

- na przykład Neyana, Pilya czy Gharkid - wydawali się poruszeni widokiem tego niesamowitego krajobrazu, siłą niewytłumaczalnej, psychicznej emanacji, jaka płynęła pulsującymi falami od Oblicza. Wszyscy jedenaścioro stali jeden przy drugim na pokładzie, nikt nie przejmował się żaglami ani sterem, patrząc w zdumionym milczeniu, jak okręt

dryfuje w stronę wyspy, jakby pochwycony silnym, magnetycznym uściskiem.

Tylko Kinverson wydawał się jeśli nie nieporuszony, to przynajmniej nie wstrząśnięty. Otrząsnął się już z transu. Teraz także patrzył nieruchomo na zbliżający się brzeg. Jego nieprzenikniona twarz zdawała się zmieniać pod wpływem jakichś silnych emocji. Jednak kiedy Dag Tharp odwrócił się do niego i zapytał, czy się nie boi, Kinverson odpowiedział obojętnie, jak gdyby pytanie to było dla niego bez znaczenia, i patrzył monotonnym, nie zdradzającym zainteresowania spojrzeniem, jakby nie czuł potrzeby wyjaśniania.

- Bać się? - powiedział. - Nie. A powinienem?

Dla Lawlera najdziwniejszy w tym widoku był nieustanny ruch wszystkiego na wyspie. Nic nie pozostawało w spoczynku. Jakakolwiek roślinność porastała jej brzeg, jeśli w ogóle była to roślinność, wydawała się w fazie intensywnego, dynamicznego, bujnego wzrostu. Nigdzie nie było bezruchu. Żadnych stałych punktów odniesienia. Wszystko się ruszało, wirowało, młóciło, splatało w pogmatwaną pajęczynę migoczącej substancji i znowu rozplatało, bicząc dookoła w bezustannym, lunatycznym tańcu, który równie dobrze mógł trwać od początku czasu.

Sundira podeszła do Lawlera i delikatnie położyła mu rękę na nagim ramieniu. Stali patrząc przed siebie, prawie nie śmiać oddychać.

- Kolory - powiedziała miękko. - Elektryczność. To był fantastyczny pokaz. Światło nieustannie rodziło się na każdym milimetrze powierzchni. Raz było czysto białe, potem jaskrawoczerwone, to znów przybierało barwę najgłębszego fioletu, przechodzącego w niezgłębioną czerń. A potem pojawiły się kolory, których Lawler nie umiał nazwać. Znikały, zanim mógł je dostrzec, a na ich miejsce przychodziły nowe, równie intensywne.

Światło to miało jakość potężnego dźwięku: było eksplozją, przerażającą dziurą,

błyskiem, oślepiającym blaskiem. Przytłaczająca energia tego światła miała perwersyjny, szalony wigor; taka furia nie mogła być normalna. Widmowe wybuchy zimnego płomienia tańczyły i lśniły, i znikwały, zastępowane przez kolejne. Nie można było skupić się na jakiejś części przez dłuższy czas; siła tych gwałtownych wybuchów kolorów zmuszała do odwrócenia oczu. Nawet jeśli nie patrzysz, natrętnie atakuje twój mózg, pomyślał Lawler. To miejsce przypominało ogromny radioodbiornik wysyłający nieubłagany sygnał na długościach rejestrowanych przez biosensor. Czuł, jak ta emanacja sonduje go, dotyka mózgu, porusza się wewnątrz czaszki jak niewidzialne palce pieszczące duszę.

Stał nieruchomo, obejmując ramieniem talię Sundiry, napinając wszystkie mięśnie, od czubka głowy do palców u nóg.

Wtem przez oszalałą, płonąca jasność przedarło się coś równie gwałtownego, równie obłąkanego, ale lepiej znanego: głos Nida Delagarda, zmieniony, surowszy, bardziej chrapliwy i dziwnie nieustępliwy, lecz mimo to rozpoznawalny.

- W porządku, na stanowiska, wszyscy! Mamy robole do wykonania!

Delagard dyszał w dziwnym podnieceniu. Jego twarz przybrała mroczny i niespokojny wyraz, jakby w jego duszy kotłowały się jakieś dziwne uczucia. Gorączkowo krążył po pokładzie, szorstko chwytając jednego po drugim, i siłą obracał ich twarzami do siebie, aby oderwać ich wzrok od j Oblicza.

- Odwróćcie się! Odwróćcie się! To podejrzane światło zahipnotyzuje was, jeśli mu na to pozwolicie!

Lawler poczuł palce Delagarda wbijające się w jego ramiona. Poddał się szarpnięciu i pozwolił się odciągnąć od zdumiewającego widoku za wodą.

- Postarajcie się nie patrzeć na to - powiedział Delagard. - Onyos, przejmij ster!

Neyana, Pilya, Lawler, poluzujcie żagle! Musimy znaleźć jakąś zatokę.

Żeglując ze zwężonymi oczami, starając się odwracać wzrok od niepojętego widoku, jaki mieli przed sobą, krążyli wzdłuż niespokojnego brzegu szukając zatoczki lub zatoki, gdzie mogliby znaleźć schronienie. Z początku wydawało się, że na próżno. Oblicze było jednym długim cyplem, niezbadanym i nieprzyjaznym.

Potem, nieoczekiwanie, okręt wpłynął za linię przybrzeżnych fal na spokojne wody łagodnej zatoki, otoczonej dwoma sterczącymi ramionami wyspy, zwieńczonymi stromymi wzgórzami. Jej spokój okazał się jednak pozorny i krótkotrwały. W ciągu kilku chwil od ich pojawienia się zatoka zaczęła falować i burzyć się. Pośród kipiących wód wyrosły grube, czarne pasma czegoś, co mogło być wodorostami, i zaczęły smagać powierzchnię jak ciemne kończyny potworów. Między nimi pojawiły się groźnie zjeżone, podobne do dzid wypustki, emitując chmury złowroźnie świecącego żółtego dymu. Wzdłuż brzegu ląd wydawał się drgać w konwulsjach.

Wyczerpany Lawler miał wizje: tajemnicze, abstrakcyjne, zwodnicze. Przed oczami tańczyły mu dziwne kształty. Pod czaszką czuł doprowadzające do szału, dręczące swędzenie, aż przycisnął dłonie do skroni, co nie przyniosło mu ulgi.

Delagard w zadumie przemierzał pokład, mrużąc coś do siebie. Po pewnym czasie wydał rozkaz, aby zawrócić okręt i wyprowadzić go z powrotem poza linię fal przybrzeżnych.

Zatoka uspokoiła się, jak tylko ją opuścili. Wyglądała równie kusząco jak przedtem.

- Spróbujemy jeszcze raz? - zapytał Felk.

- Nie teraz - odpowiedział stanowczo Delagard. Jego oczy lśniły zimnym gniewem. -

Może to nie jest dobre miejsce. Skierujemy się na zachód.

Zachodni brzeg wyglądał niezbyt obiecująco: surowy, dziki i stromy. Wiatr niósł ostry, kwaśny odór spalenizny. Od lądu nadlatywały iskry. Samo powietrze wydawało się płonąć. Od czasu do czasu płynęły do nich z wyspy obezwładniające fale telepatyczne,

krótkie, nagle szarpnięcia, które powodowały zaburzenia wzroku i zamęt w myślach.

Południowe słońce było rozdęte i odbarwione. Wydawało się, że nie ma tu żadnej zatoczki.

Po pewnym czasie Delagard, który zszedł pod pokład, powrócił i napiętym, pełnym goryczy głosem oznajmił, że na razie chce zaniechać próby bliższego podejścia.

Wycofali się daleko poza granicę spienionych fal przybrzeżnych, do miejsca, gdzie morze było spokojne i płytkie, promieniejące kolorami, które wznosiły się z migoczącego piasku na dnie. Po raz drugi od początku podróży zarzucili kotwicę.

Lawler znalazł Delagarda przy relingu, patrzącego w dal.

- No więc? Co teraz myślisz o swoim rajku, Nid? Twojej krainie mlekiem i miodem płynącej?

- Znajdziemy do niego drogę. Podeszliśmy ze złej strony, to wszystko.

- Naprawdę zamierzasz tam lądować?

Delagard odwrócił się do niego. Jego oczy, nabiegłe krwią, okropnie zmienione przez zalewające ich barwy, wydawały się martwe, całkiem bez życia. Lecz kiedy przemówił, jego głos był silny jak zwykle.

- Jak dotąd nie zobaczyłem nic, co zmieniłoby moje zdanie, doktorze. To jest miejsce, gdzie chcę mieszkać. Jeśli Jolly mógł tutaj wylądować, to i my wylądujemy.

Lawler nie odpowiedział. Nie potrafił wymyślić nic takiego, co nie doprowadziłoby do ataku furii kapitana.

Ten uśmiechnął się jednak szeroko, pochylił do przodu i przyjaźnie poklepał Lawlera po ramieniu.

- Doktorze, doktorze, nie rób takiej ponurej miny! Oczywiście, to miejsce wygląda dziwnie. To prawda. Czy inaczej Skrzelowcy trzymaliby się od niego z daleka? I oczywiście te unoszące się w powietrzu wyziewy wydają się nam niesamowite. Po prostu nie jesteśmy do

nich przyzwyczajeni. Jednak to nie oznacza, że musimy się ich obawiać. To tylko odrobina efektów specjalnych. Dekoracja. Opakowanie prezentu. To nic nie znaczy. Ni cholery.

- Cieszy mnie, że jesteś taki pewny siebie.

- Mnie też. Posłuchaj, doktorze, zaufaj mi. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Dotarliśmy tak daleko i pokonamy resztę drogi. Nie ma się o co martwić. - Znow się uśmiechnął. - Posłuchaj, doktorze, wyluzuj się, dobrze? Wczoraj znalazłem trochę ukrytej brandy Gospo. Zejdź do mojej kajuty mniej więcej za godzinę. Wszyscy przyjdą. Zrobimy przyjęcie. Uczymy nasz przyjazd.

Lawler przyszedł ostatni. Przy świetle świec, w ciemnym, zatłoczonym, pachnącym piżmem pomieszczeniu wszyscy otoczyli półkolem Delagarda; po lewej Sundira, obok niej Kinerson, za nim Pilya i Neyana, potem Gharkid, Quillan, Tharp, Felk, Lis. Każdy trzymał szklaneczkę brandy. Pusta butelka i dwie pełne stały na stole. Delagard stał naprzeciw nich, plecami oparty o grodz i z głową wciągniętą w ramiona, w szczególny sposób, jednocześnie obronny i zaczepny. Wyglądał jak obłąkany. Oczy miał pałające, prawie rozgorączkowane. Jego twarz, pokryta zarostem i krostami w wyniku jakiegoś podrażnienia skóry, była zarumieniona i spocona. Lawlera uderzyła nagle myśl, że ten człowiek jest bliski jakiegoś gwałtownego wybuchu, uwolnienia dławionych nazbyt długo emocji.

- Napij się, doktorze - zawołał Delagard.

- Dzięki, chętnie. Sądziłem, że już nie mamy tego artykułu.

- Ja też tak myślałem - powiedział Delagard. - Myliłem się. - Nalał, aż płyn przelał się na zewnątrz, i popchnął po stole szklankę do Lawlera. - Więc pamiętałeś opowiadanie Jolly'ego o podmorskim mieście, co?

Lawler pociągnął długi łyk brandy i zaczął czekać, aż poczuł jej uderzenie do głowy.

- Skąd o tym wiesz?



- Sundira mi powiedziała. Mówiła, że rozmawiałeś z nią o tym.

Lawler wzruszył ramionami i odparł:

- Wczoraj, ni stąd ni zowąd, przypomniało mi się. Od lat o tym nie myślałem.

Najlepsza część historyjki Jolly'ego i zupełnie o niej zapomniałem.

- Ale ja nie - odpowiedział Delagard. - Właśnie opowiadałem ją pozostałym, gdy czekaliśmy na twoje przyjście. Jak myślisz, doktorze? Czy to tylko stek łągarstw, czy nie?

- Podwodne miasto? Czy to możliwe?

- Komin grawitacyjny, o ile pamiętam, tak nazywał go Jolly. Supertechnologia.

Osiągnięcie superskrzelowców. - Delagard zakręcił szklanką, mieszając brandy. Lawler zrozumiał, że jest bliski upicia się. - Tak samo jak ty, zawsze najbardziej lubiłem tę historię - powiedział Delagard. - O tym jak Skrzelowcy, pół miliona lat temu, postanowili żyć pod oceanem. Był jakiś ład na tej planecie, jak powiedzieli Jolly'emu, pamiętasz? Duże wyspy, nawet małe kontynenty, a oni rozebrali większość z nich wykorzystując je do budowy zamkniętych komnat w głębi tego tunelu grawitacyjnego. A kiedy wszystko było gotowe, wprowadzili się do nich zatrzaszkując za sobą drzwi.

- I ty w to wierzysz? - zapytał Lawler.

- Prawdopodobnie nie. Brzmi bardzo niewiarygodnie.

Jednak to ładna historyjka, prawda, doktorze? Tam na dole zaawansowany w rozwoju gatunek Skrzelowców, władców planety. Za sobą pozostawili swych wiejskich kuzynów na pływających wyspach, wasali i niewolników, którzy zarządzają naziemnym światem jak farmą, zaopatrując ich w żywność. A wszystkie formy życia na Hydros, Skrzelowcy z wysp, jamochłony, platformy, nurki, śluzice i wszystko inne, aż po pełzające ostrygi i tarniki, wszystko wiąże się w jedną, wielką, ekologiczną pajęczynę, której jedynym celem jest zaspokajanie potrzeb tych, którzy mieszkają w podmorskim mieście. Skrzelowcy z wysp

wierzą, że gdy umierają, przychodzą mieszkać na Obliczu. Zapytaj Sundiry, jeśli mi nie wierzysz. To musi oznaczać, że mają nadzieję zejść na dół i wieść lekkie życie w ukrytym mieście. Może nurki wierzą w to także. I ostrygi.

- To miasto to zwariowana bajka starca - powiedział Lawler. - Mit.

- Może tak. Może nie. - Delagard zaoferował mu chłodny, nieszczerzy uśmiech. Jego panowanie nad sobą było przerażająco doskonałe, nierealne, złowieszcze. - Założmy jednak, że nie. To, co widzieliśmy dziś rano - to całe obłądne wirowanie, taniec czy Bóg wie co - może być w rzeczywistości ogromną maszyną biologiczną, która dostarcza energii tajemnemu miastu Skrzelowców. Rośliny, które tam rosną, są z metalu. Założę się, że są. To części maszyny. Mają korzenie zanurzone w wodzie i pobierają z niej minerały, z których budują nowe tkanki. Wykonują też różne funkcje mechaniczne. I być może gdzieś na tej wyspie znajduje się sieć energetyczna. Założę się, że gdzieś w środku jest kolektor słoneczny, tarcza akumulatora, która gromadzi energię pompowaną w dół, do zanurzonego w wodzie miasta, przez wszystkie te na wpół żyjące przewody. To, co odczuwaliśmy, to nadwyżka siły tej maszyny. Nadpływa z trzaskiem przez powietrze i atakuje nasze mózgi. Lub zaatakuje, jeśli jej na to pozwolimy. Jednak my jej nie pozwolimy. Jesteśmy na tyle mądrzy, aby nie dać się jej złapać. Popłyniemy wzdłuż brzegu, w bezpiecznej odległości, dopóki nie znajdziemy wejścia do ukrytego miasta, a wtedy... Lawler powiedział:

- Lecisz za szybko, Nid. Mówisz, że nie sądzisz, aby podwodne miasto było czymś więcej jak fantazją starego człowieka, a nagle jesteś u jego bram. >

Delagard nie przejął się tym.

- Zakładam tylko, że jest prawdziwa. Dla dobra konwersacji. Napij się jeszcze, doktorze. To już na pewno ostatnia.

- Zakładając, że tak jest - powiedział Lawler - jak masz zamiar zbudować tam to

wielkie miasto, o którym mówisz, skoro to miejsce jest już w posiadaniu bandy superskrzelowców? Czy to ich nie zdenerwuje? Zakładając, że istnieją.

- Wyobrażam sobie, że się zdenerwują. Zakładając, że istnieją.

- Czy nie jest więc prawdopodobne, że wezwą armadę taranorożców, hatchetjaws, morskich lampartów i drakkenów, aby nauczyły nas, że mamy ich nie nachodzić i nie niepokoić?

- Nie będą miały okazji - poważnie odpowiedział Delagard. - Jeśli tam są, zejdziemy na dół i wyprujemy im flaki.

- Co zrobimy?

- To będzie najłatwiejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Oni są słabi, zdegenerowani i starzy. Jeżeli tam są, doktorze. Od zarania czasu rządili światem według własnej woli i pojęcie wroga nie istnieje nawet w ich umysłach. Wszystko na Hydros jest po to, żeby im służyć. Siedzą w tej swojej dziurze od pół miliona lat, żyjąc w luksusie, jaki trudno nawet sobie wyobrazić. Kiedy zejdziemy na dół, odkryjemy, że nie umieją się w ogóle bronić. Dlaczego mieliby umieć? Bronić się przed kim? Wejdziemy po prostu i powiemy, że przejmujemy to miejsce, a oni padną nam do stóp i poddadzą się.

- Jedenaścioro półnagich kobiet i mężczyzn, uzbrojonych w ościenie i bosaki, ma zdobyć stolicę wysoko rozwiniętej obcej cywilizacji?

- Czy studiowałeś kiedyś historię Ziemi, Lawler? Było tam miejsce, zwane Peru, które rządziło połową kontynentu i miało świątynie ze złota. Człowiek o nazwisku Pizarro wkroczył tam zaledwie z dwoma setkami ludzi, uzbrojony w średniowieczną broń, która wcale nie była zbyt dobra; nie uwierzyłbyś, jedno lub dwa działa oraz trochę strzelb; porwał ich króla i - ot tak! - podbił całe państwo. Mniej więcej w tym samym czasie człowiek o nazwisku Cortes zrobił to samo w imperium zwanym Meksykiem, które było równie bogate.

Bierzesz ich przez zaskoczenie, nie dajesz czasu na zorganizowanie obrony, po prostu wkra-  
czasz i przejmujesz kontrolę nad ich centralną władzą, a oni padają ci do stóp. I wszystko, co  
mają, jest twoje.

Lawler patrzył na Delagarda oniemiały ze zdumienia.

- Nie kiwnąwszy nawet palcem we własnej obronie, Nid, daliśmy się wyrzucić z  
wyspy, na której mieszkaliśmy przez sto pięćdziesiąt lat, i to wyrzucić głupim, wiejskim  
kuzynom tych superskrzelowców, ponieważ wiedzieliśmy, że nie zwyciężymy ich w walce. A  
teraz nie mrugnąwszy okiem mówisz, że masz zamiar obalić gołymi rękami całą  
przewyższającą nas technologicznie cywilizację, a jako dowód, że można to zrobić, podajesz  
mi średniowieczne bajki o mitycznych królestwach zdobywanych przez herosów prastarej  
kultury. Jezu, Nid! Jezu!

- Zobaczysz, doktorze. Obiecuję ci.

Lawler rozejrzał się wokół, szukając pomocy u innych. Lecz oni siedzieli niemi, jakby  
pogrążeni we śnie.

- Dlaczego w ogóle tracimy na to czas? - zapytał. - Nie ma takiego miasta. To  
poroniony pomysł. Sam ani przez chwilę w to nie wierzyłeś, Nid. Prawda? Prawda?

- Już ci powiedziałem: może tak, może nie. Jolly wierzył w to.

- Jolly był szalony.

- Nie wtedy, gdy pierwszy raz wrócił na Sorve. Dopiero później, gdy przez lata  
wyśmiewano się z niego...

Lawler miał dość. Delagard gadał bez końca, zupełnie bez sensu. Gęste, ociekające  
wilgocią powietrze kajuty nagle zrobiło się tak trudne do wdychania jak woda. Lawler poczuł,  
że się dławi. Wstrząsnęły nim skurcze klaustrofobicznych mdłości. Zatęsknił za swoją  
uśmierzcą.

Teraz zrozumiał, że w przypadku Delagarda nie była to tylko niebezpieczna obsesja; kapitan był szalony.

A my wszyscy jesteśmy zagubieni tutaj, na dalekim krańcu świata - pomyślał Lawler - i nie mamy jak ani dokąd uciec, nawet gdybyśmy mogli.

- Nie będę więcej słuchać tych bzdur - powiedział głosem zduszonym z gniewu i odrazy. Wstał i wybiegł z pokoju.

- Doktorze! - zawołał Delagard. - Wracaj! Do cholery, doktorze, wróć!

Lawler trzasnął drzwiami i nie zatrzymał się.

Gdy Lawler stał sam na pokładzie, nie oglądając się wiedział, że ojciec Quillan podchodzi do niego z tyłu. To było dziwne, wiedzieć nie oglądając się. To zapewne uboczny skutek silnej emanacji płynącej z Oblicza.

- Delagard poprosił, abym z tobą porozmawiał - powiedział duchowny.

- O czym?

- O twoim wybuchu na dole.

- Moim wybuchu? - powtórzył zdumiony Lawler. Odwrócił się i spojrzał na

duchownego. W niesamowitym, wielokolorowym świetle, które ich otaczało, Quillan wydawał się chudszy niż zwykle, jego długa twarz składała się z miriada płaszczyzn, skóra była opalona i lśniąca, oczy jasne jak latarnie morskie. - A co powiesz na wybuch Delagarda?

Zagubione miasta na dnie morza! Podejrzane wojny, wzorowane na mitycznych podaniach wziętych ze starożytności!

- One nie były mityczne. Cortes i Pizarro żyli naprawdę i naprawdę podbijali wielkie imperia z nielicznymi oddziałami, tysiąc lat temu. To prawda. Zostało to udokumentowane w historii Ziemi.

Lawler wzruszył ramionami.

- To, co zdarzyło się dawno temu na innej planecie, nie ma tutaj znaczenia.

- I ty to mówisz? Ty, człowiek, który we śnie odwiedza Ziemię?

- Cortes i Pizarro nie mieli do czynienia ze Skrzelowcami. Delagard jest obłąkany i

wszystko, co do nas dzisiaj mówi, to czyste szaleństwo. - Wtem, z nagłym zainteresowaniem, powiedział: - Czyżbyś nie zgadzał się z nim?

- Jest zmienny i melodramatyczny, pełen ognia i szaleństwa. Jednak nie sędzę, żeby był obłąkany.

- Podwodne miasto na końcu komina grawitacyjnego? Naprawdę wierzysz, że coś takiego może istnieć? Uwierzyłbyś we wszystko, prawda? Tak, uwierzyłbyś. Jeśli wierzysz w Ojca i Syna, i Ducha Świętego, to dlaczego nie w podwodne miasto?

- Dlaczego nie? - powiedział duchowny. - Dziwniejsze rzeczy odkrywano na innych światach.

- Nic o tym nie wiem - powiedział ponuro Lawler.

- To jednocześnie wiarygodnie tłumaczyłoby, dlaczego Hydros jest taka, jaka jest.

Myślałem trochę o tym miejscu, Lawler. Wiesz, że w tej galaktyce nie ma prawdziwie wodnych światów. Wszystkie planety podobne do Hydros mają przynajmniej łańcuchy naturalnych wysp, archipelagi, wierzchołki zanurzonych gór, wystające ponad powierzchnię. Hydros jednak jest tylko wielką kulą wody. Lecz jeśli zakładasz, że kiedyś istniała pewna ilość lądu, która została ścięta celem zbudowania jednego lub więcej ogromnych, podmorskich miast, tak że wszelkie terytoria powierzchniowe zniknęły z Hydros i zostały przeniesione pod wodę, a na powierzchni została tylko woda...

- Może tak. Może nie.

- To logiczne. Dlaczego Skrzelowcy są gatunkiem budującym wyspy? Ponieważ ewoluowali z formy wodnej i potrzebują do życia lądu. To rozsądna teoria. A jeśli jest

zupełnie odwrotnie, jeśli na początku byli stworzeniami lądowymi, a te, które pozostawiono na powierzchni w czasie migracji pod ziemią, ewoluowały w formy lądowo-wodne, gdy ląd został zabrany? To tłumaczyłoby... Lawler powiedział znużony:

- Dyskutujesz o nauce tak jak o teologii: zaczynasz od nielogicznego pojęcia, opierasz na nim wszelkiego rodzaju hipotezy i spekulacje w nadziei, że tym razem da to jakiś sens.

Jeśli chcesz wierzyć, że Skrzelowcy nagle znudzili się życiem na zewnątrz i zbudowali sobie schronienie w oceanie, rozbierając przy tym całą powierzchnię lądową planety, a za sobą zostawili, zupełnie bez celu, jakiegoś ziemnowodnego mutantu swojego gatunku, proszę bardzo, dogodź sobie i wierz. Nie obchodzi mnie to. Tylko czy wierzysz także, że Delagard może wmaszerować tam i pokonać ich w sposób, jaki planuje?

- Ja...

- Posłuchaj - powiedział Lawler. - Nie wierzę, że to magiczne miasto istnieje. Ja także rozmawiałem z tym Jollym i zawsze uważałem go za nieudacznika. Lecz nawet jeśli to miejsce znajduje się tuż za następnym załamaniem brzegu, nie zdołamy go zaatakować.

Skrzelowcy roznieśliby nas w ciągu pięciu minut. - Nachylił się do niego. - Posłuchaj mnie, ojczy. Musimy koniecznie powstrzymać Delagarda i uwolnić się stąd. Myślałem tak dawno temu, a potem zmieniłem zdanie, ale teraz widzę, że wtedy miałem rację. Ten człowiek jest pomyłony, a my nie mamy tu nic do roboty.

- Nie - powiedział Quillan.

- Nie?

- Delagard może być tak roztrzęsiony, a jego plany tak obłąkane, jak mówisz. Jednak ja nie poprę cię, jeśli zechcesz przeciwstawić się mu. Wprost przeciwnie.

- Chcesz nadal węszyć wokół Oblicza, niezależnie od ryzyka?

- Tak.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego.

Lawler milczał przez chwilę trwającą jedno lub dwa uderzenia serca.

- Racja - rzekł w końcu. - Na moment uniknęło mi to z pamięci. Anioły. Raj. Jak mogłem zapomnieć, że to właśnie ty zachęcałeś Delagarda, żeby tu przyплыnął, przede wszystkim ze swoich osobistych powodów, które nie mają nic wspólnego z jego celami.

Lawler pogardliwie machnął ręką w stronę kręgu bujnej roślinności po drugiej stronie wąskiego pasma wody, na brzegu Oblicza.

- Nadal myślisz, że to ziemia aniołów? Lub bogów?

- W pewnym sensie tak.

- I wciąż sądzisz, że możesz uzyskać tam jakieś odkupienie?

- Tak.

- Odkupiony przez to? Przez światło i dźwięk?

- Tak.

- Jesteś bardziej obłąkany od Delagarda.

- Rozumiem, dlaczego tak myślisz - powiedział duchowny.

Lawler zaśmiał się chrapliwie.

- Już widzę, jak maszerujesz obok niego do podmorskiego miasta superskrzelowców.

On niesie oścień, a ty krzyż i obaj śpiewacie hymny, on w jednej tonacji, a ty w drugiej.

Skrzelowcy wychodzą naprzód i klękają, ty chrzczisz jednego po drugim, a potem wyjaśniasz im, że Delagard jest teraz ich królem.

- Proszę, Lawler.

- Proszę co? Chcesz, żebym pogłaskał cię po głowie i powiedział, że jestem pod wielkim wrażeniem twoich głębokich idei? A potem zszedł na dół i powiedział Delagar-dowi,



jak wdzięczny jestem za jego natchnione przywództwo? Nie, ojcze, płynę na pokładzie okrętu dowodzonego przez szaleńca, który za twoim przyzwoleniem przywiódł nas do najbardziej niesamowitego i niebezpiecznego miejsca na tej planecie. Nie podoba mi się tu i chcę się stąd wydostać.

- Gdybyś tylko chciał zobaczyć, co Oblicze ma nam do zaoferowania...

- Wiem, co Oblicze ma nam do zaoferowania. To' śmierć, ojcze. Głód. Odwodnienie.

Lub gorzej. Widzisz błyskające tam światła? Słyszysz te dziwne, elektryczne trzaski? Nie wydaje mi się to przyjazne. Raczej śmiertelnie niebezpieczne. Czy to jest twoja koncepcja odkupienia? Umrzeć?

Quillan rzucił mu szybkie, zdumione, rozbiegane spojrzenie.

- Czy nie jest prawdą - powiedział Lawler - że twoja wiara uznaje samobójstwo za jeden z najcięższych grzechów?

- To ty mówisz o samobójstwie, nie ja.

- Jednak ty planujesz je popełnić.

- Nie wiesz, o czym mówisz, Lawler. A w swojej ignorancji wszystko zniekształcasz.

- Czy naprawdę? - spytał Lawler. - Naprawdę?

Później tego popołudnia Delagard kazał podnieść kotwicę i znów popłynęli na zachód wzdłuż brzegu Oblicza. Gorący, stały wiatr wiał w stronę brzegu, jakby wielka wyspa próbowała przyciągnąć ich do siebie.

- Val? - zawołała Sundira. Znajdowała się tuż nad nim, w olinowaniu, mocując bloki na przedniej rei.

Spojrzał na nią.

- Gdzie my jesteśmy, Val? Co się z nami stanie? - Drżała pomimo tropikalnego ciepła.

Niespokojnie spojrzała w stronę wyspy. - Wygląda na to, że myliłam się wyobrażając sobie to miejsce jako wielkie śmietnisko nuklearne. Mimo to wygląda równie przerażająco.

- Tak.

- A jednak nadal mnie pociąga. Wciąż chcę dowiedzieć się, czym naprawdę jest.

- Jest czymś złym - powiedział Lawler. - Nawet stąd możesz to zobaczyć.

- Tak łatwo byłoby zawrócić okręt w stronę brzegu - ty i ja, Val, moglibyśmy zrobić to nawet teraz, we dwoje...

- Nie.

- Dlaczego nie? - W jej głosie nie było wielkiego przekonania. Była równie niepewna co do wyspy, jak on. Ręce drżały jej tak mocno, że upuściła młotek. Lawler złapał go w locie i odrzucił z powrotem w górę.

- Jak sądzisz, co stałoby się z nami, gdybyśmy podeszli bliżej brzegu? - zapytała. -

Gdybyśmy zeszli na samo Oblicze?

- Niech ktoś inny sprawdzi to za nas - odpowiedział Lawler. - Niech Gabe tam płyń, jeśli jest taki odważny. Albo ojciec Quillan. Lub Delagard. To jego piknik, niech on pierwszy zejdzie na brzeg. Ja zostanę tu i zobaczę, co się stanie.

- Przypuszczam, że to ma sens. A jednak... jednak...

- Kusi cię to.

- Tak.

- Czujesz jakieś przyciąganie, prawda? Ja też je czuję. Słyszę, jak coś w środku mówi mi: Chodź tutaj, rozejrzyj się, zobacz, co tu jest. To niepodobne do niczego innego. Musisz to zobaczyć. Jednak to zwariowany pomysł.

- Tak - powiedziała cicho Sundira. - Masz rację.

Milczała przez chwilę zajęta naprawą. Potem zeszła niżej, zrównując się z nim w olinowaniu. Lawler dotknął koniuszkami palców jej nagiego ramienia, lekko, prawie eksperymentalnie. Westchnęła lekko, przytuliła się do niego i razem patrzyli na morzę zabarwione przez zachodzące słońce, płomień oślepiającego światła płynący z nad wyspy.

- Val, czy mogę dzisiaj w nocy zostać w twojej kajucie? - zapytała.

Nie robiła tego często i już sporo czasu upłynęło od ostatniego razu. Oboje ledwie mieścili się w jego małej kajucie i na wąskiej koi.

- Oczywiście.

- Kocham cię, Val.

Przesunął dłońmi po silnych mięśniach jej ramion, aż do karku. Czuł, że jest mu bliska jak nigdy przedtem: prawie jakby byli dwoma połówkami jednego organizmu, a nie po prostu dwojgiem na pół obcych sobie ludzi, którzy przypadkiem odnaleźli się podczas dziwnej podróży do niesamowitego miejsca. Czy to właśnie niebezpieczeństwo - zastanawiał się Lawler - zbliżyło ich ku sobie? Czy też - uchowaj Boże! - poczucie samotności pośrodku oceanu sprawiło, że był tak otwarty w stosunku do niej, tak pragnął być blisko niej?

- Kocham cię - szepnął.

Pobiegli do kajuty. Nigdy nie czuł się jej tak bliski... ani nie czuł tego do nikogo

innego. Byli współnikami, ich dwoje przeciwko niespokojnemu, tajemniczemu wszechświatowi. W konfrontacji z otaczającą ich tajemnicą Oblicza mogli liczyć tylko na siebie.

Ta krótka noc była gmatwaniną splecionych rąk i nóg, spoconych ciał ślizgających się i ocierających o siebie, oczu wpatrzonych w oczy, uśmiechów odpowiadających na uśmiechy, zmieszanych ze sobą oddechów, czułych słów, jej imię na jego ustach, jego na jej, wymieniane wspomnienia, tworzone nowe wspomnienia, ani chwili snu. I bardzo dobrze, pomyślał Lawler. Sen mógł przynieść nowe koszmary. Lepiej spędzić noc na jawie. I na kochaniu. Nowy dzień może być ich ostatnim.

Wyszedł na pokład o świcie. Ostatnio pracował na pierwszej wachcie. Lawler zobaczył, że w ciągu nocy okręt znów przeszedł przez linię przybrzeżnych grzywaczy. Stał na kotwicy w zatoczce bardzo podobnej do pierwszej, chociaż wzdłuż jej brzegów nie było wzgórz, jedynie łąki gęsto porośnięte ciemną roślinnością. Ta zatoka wydawała się akceptować ich obecność, a nawet mile ją widzieć. Jej powierzchnia była spokojna, fale nie większe od zmarszczek; nie było śladu młócających wodę wodorostów, które wyгнаły ich prawie natychmiast z poprzedniej zatoki.

Tutaj, jak wszędzie, woda świeciła wysyłając kaskady różowego, złotego, szkarłatnego i szafirowego promieniowania; a na brzegu dziki, kręty taniec nieustannego życia toczył się ze zwykłym rozpasaniem. Znad lądu unosiły się purpurowe iskry. Powietrze znów wydawało się płonąć. Wszędzie widać było jaskrawe kolory. Szalona, niestrudzona wspaniałość tego miejsca była trudna do zniesienia tak wczesnym rankiem, po nie przespanej nocy.

Delagard stał samotnie na mostku, dziwnie skulony w sobie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Chodź porozmawiać, doktorze - powiedział. Oczy miał zaczerwienione i zaropiałe.

Wyglądał, jakby

nie spał nie tylko ostatniej nocy, ale od wielu dni. Jego policzki były szare i obwisłe, a głowa zdawała się wpadać w grubą szyję. Twarz Delagarda raz po raz wykrzywiał nerwowy tik. Demon, który dręczył go wczoraj, przy pierwszym podejściu do Oblicza, powrócił nocą.

Kapitan powiedział ochryplym głosem:

- Słyszę, że uważasz mnie za szaleńca.

- A jeśli nawet, czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Czy uszczęśliwi cię, jeśli powiem, że zaczynam dochodzić do tego samego wniosku?

Prawie. Prawie.

Lawler szukał w słowach Delagarda śladów ironii albo żartu czy kpiny. Niczego

takiego nie znalazł. Głos Delagarda był stłumiony, chrapliwy i załamujący się.

- Spójrz na to pieprzone miejsce - wymamrotał. Zakreślił ramieniem szeroki krąg. -

Spójrz na to, doktorze! To ugór. Koszmar. Dlaczego w ogóle tu przypląnąłem? - Trząsał się, a

widoczna pod gęstą brodą skóra twarzy była ściągnięta i blada. Wyglądał na okropnie

wymizerowanego. Niskim, świszczącym głosem powiedział: - Tylko szaleniec mógł

przypląnąć tak daleko. Teraz to widzę. Widziałem to wczoraj, kiedy zawinęliśmy do tej

zatoki, ale starałem się udawać, że tak nie jest. Myliłem się. Jestem przynajmniej dostatecznie

dorośli, aby się do tego przyznać. Chryste, doktorze, o czym ja myślałem, gdy sprowadziłem

nas w to miejsce? Ono nie jest dla nas. - Potrząsnął głową. Kiedy znów przemówił, jego głos

był wysiłonym krakaniem. - Doktorze, musimy się natychmiast stąd wydostać.

Czy mówił poważnie? A może był to jeden z jego groteskowych testów lojalności?

- Mówisz poważnie? - zapytał go Lawler.

- Cholernie poważnie.

Tak. Naprawdę mówił poważnie. Był przerażony, drżący. Lawlerowi wydawało się, że ten mężczyzna rozpada się na jego oczach. Cóż za zdumiewająca zmiana, ostatnia rzecz, jakiej Lawler mógł oczekiwać. Usiłował pogodzić się z tą myślą. Po chwili powiedział:

- A co z zatopionym miastem?

- Myślisz, że ono istnieje? - zapytał Delagard.

- Ani przez chwilę. Ale ty tak myślisz.

- Gówno prawda. Wypiłem za dużo, to wszystko. Przepłynęliśmy jedną trzecią obwodu Oblicza, jak myślę, a miasta ani śladu. Należałoby oczekiwać rwącego prądu przybrzeżnego, gdyby istniał tu jakiś komin grawitacyjny powstrzymujący otwarte morze. Silnego wiru. Gdzie to jest, do cholery?

- Ty mi powiedz, Nid. To ty myślałeś, że on tu jest.

- Jolly tak myślał.

- Jolly był szalony. Jego mózg ugotował się podczas podróży dookoła Oblicza.

Delagard przytaknął ponuro. Powieki powoli opadły na jego przekrwione oczy. Przez chwilę Lawler myślał, że zasnął na stojąco. Wtem kapitan powiedział nie otwierając oczu:

- Byłem tu całą noc, doktorze. Rozmyślałem o tym wszystkim. Próbowałem

obiektywnie ocenić sytuację. To musi brzmieć zabawnie dla ciebie, ponieważ uważasz, że jestem szalony. Jednak ja nie zwariowałem, doktorze. Naprawdę. Mogę postępować w sposób, który innym wydaje się szaleństwem, ale wcale nie zwariowałem. Jestem po prostu inny niż ty. Ty jesteś trzeźwy, ostrożny, nienawidzisz ryzyka, chcesz tylko kontynuować, kontynuować i kontynuować. Bardzo dobrze. We wszechświecie są ludzie tacy jak ty i tacy jak ja; nigdy się nie rozumiemy, lecz czasami zdarza się, że zostaniemy postawieni w takiej sytuacji, że mimo wszystko musimy pracować razem. Doktorze, nie pragnąłem niczego w moim życiu tak bardzo, jak tutaj przyplłynąć. Dla mnie był to klucz do wszystkiego. Nie prosz

o wyjaśnienia. I tak ich nie otrzymasz. Jednak teraz jestem tutaj i widzę, że popełniłem błąd.

Tutaj niczego dla nas nie ma. Niczego.

- Pizarro - powiedział Lawler. - Cortes. Oni przynajmniej wyszliby na brzeg, zanim wzięliby ogon pod siebie.

- Nie drwij ze mnie, do cholery - powiedział Delagard. - Usiłuję grać z tobą uczciwie.

- Kiedy ja chciałem grać z tobą uczciwie, Nid, ty poczęstowałaś mnie gadką o Pizarro i Cortezie.

Delagard otworzył oczy. Były straszne: jak żarzące się węgle, płonące bólem.

Ściągnął kącik ust w grymasie, który mógł być próbą uśmiechu.

- Nie wściekaj się, doktorze. Byłem pijany.

- Wiem.

- Wiesz, jaki popełniłem błąd, doktorze? Wierzyłem w moje własne brednie. I w brednie Jolly'ego. I ojca Quillana. Quillan nakarmił mnie opowieściami o tym, że Oblicze Wód to miejsce, gdzie boskie siły czekają, żebym sięgnął po nie ręką, a przynajmniej tak interpretowałem to, co mówił. I oto jesteśmy tutaj. Leżymy, spoczywamy w pokoju. Stałem tutaj całą noc myśląc, jak zbudowałbym port kosmiczny? Czym? Jak ktoś może mieszkać w tym zamęcie, nie tracąc zmysłów w ciągu pół dnia? Co będziemy jedli? Czy będziemy chociaż mieli czym oddychać? Nic dziwnego, że Skrzelowcy tutaj nie przychodzą. To nie-szczęsne miejsce nie nadaje się do zamieszkania. I nagle wszystko zrozumiałem i stałem tu zupełnie sam, twarzą w twarz ze sobą, śmiejąc się z siebie. Śmiejąc się, doktorze. Tylko że to ja byłem obiektem tego żartu, a żart wcale nie był zabawny. Cała ta podróż to czysty obłąd, prawda, doktorze?

Delagard chybotął się teraz w przód i w tył. Nagle Lawler pomyślał, iż pewnie wciąż jest pijany. Musiał gdzieś znaleźć kolejny schowek z brandy, którą popijał przez całą noc. A

może przez kilka nocy. Był tak pijany, iż wydawało mu się, że jest trzeźwy.

- Powinieneś się położyć. Dam ci środek uspokajający.

- Pieprzę twój środek. Chcę, żebyś przyznał mi rację! To obłąkana podróż.

Nieprawdaż, doktorze?

- Wiesz, że tak właśnie myślę, Nid.

- I myślisz, że ja też jestem obłąkany.

- Nie wiem, czy jesteś, czy nie. Widzę jednak, że jesteś na krawędzi załamania.

- To co, jeśli jestem? - zapytał Delagard. - Nadal jestem kapitanem tego okrętu. Ja nas w to wpędziłem. Ci wszyscy ludzie, którzy zginęli, zginęli z mojego powodu. Nie mogę pozwolić, aby jeszcze ktoś zginął. Ja odpowiadam za wydostanie nas stąd.

- Jaki masz więc plan?

- To, co musimy teraz zrobić - powiedział Delagard powoli i ostrożnie, z bezdennej otchłani zmęczenia - to obrać kurs, który wyprowadzi nas na zamieszkałe wody, dopłynąć do pierwszej napotkanej wyspy i błagać ich na wszystko, aby nas przyjęli. Jedenaścioro ludzi; zawsze znajdą miejsce dla jedenaścioro osób, obojętnie jak - według nich - będzie tam ciasno.

- Według mnie brzmi to wspaniale.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Więc w porządku. Odpocznij trochę, Nid. My zajmiemy się wszystkim. Felk zna się na nawigacji, my postawimy żagle i jeszcze przed wieczorem będziemy o sto kilometrów stąd, płynąc najszybciej jak zdołamy na jakąś wyspę, taką jak Grayvard. - Lawler popchnął lekko Delagarda w stronę schodków wiodących w dół z mostka.

- Idź. Zanim się przewrócisz.

- Nie - powiedział Delagard. - Powiedziałem ci, wciąż jestem kapitanem. Jeśli mamy



odpłynąć, to ze mną przy sterze.

- Dobrze. Jak sobie życzysz.

- To nie tego sobie życzę, ale to właśnie muszę zrobić. I jest coś jeszcze, czego chcę od ciebie, zanim odpłyniemy.

- Co takiego?

- Coś, co pozwoli mi pogodzić się z tą sytuacją. To całkowita klęska, prawda?

Kompletne dno. Aż do dziś nigdy i w niczym nie doznałem porażki. Jednak ta katastrofa... to nieszczęście...

Ręka Delagarda nagle zacisnęła się na ramieniu Lawlera.

- Muszę znaleźć sposób, aby móc z tym żyć, doktorze. Wstyd. Poczucie winy. Ty nie sądzisz, że ja mogę mieć poczucie winy, lecz cóż ty w ogóle o mnie wiesz? Jeśli przeżyjemy tę podróż, każdy na Hydros będzie patrzył na mnie i mówił: Oto człowiek, który prowadził ten rejs, który spuścił z wodą pięć okrętów z ich załogami. I zawsze będą wspomnienia. Zawsze, ilekroć zobaczę ciebie czy Daga, Felka czy Kinversona - oczy Delagarda były nieruchome i płonące.

- Masz jakiś narkotyk, który tłumi uczucia, prawda? Chcę, abyś mi go dał. Chcę się nim nafaszerować i nie trzeźwieć. Ponieważ w przeciwnym razie będę musiał zabić się, a tego nawet nie umiem sobie wyobrazić.

- Narkotyki to również pewien rodzaj samobójstwa, Nid.

- Oszczędź mi tych pobożnych bzdur, doktorze.

- Mówię poważnie. Słyszysz opinię kogoś, kto całe lata faszerował się tym świństwem. To śmierć za życia.

- Mimo wszystko lepsze to niż prawdziwa śmierć.

- Być może. W każdym razie i tak nie mogę ci tego dać. Zużyłem resztki moich

zapasów, zanim tu dopłynęliśmy.

Palce Delagarda boleśnie wpiły się w ramię Lawlera.

- Kłamiesz.

- Czyżby?

- Wiem, że tak. Nie możesz żyć bez narkotyku. Bierzesz go codziennie. Myślisz, że nie wiem? Wszyscy o tym wiedzą.

- Nic mi nie zostało, Nid. Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu byłem taki chory?

Byłem na głodzie. Nie mam ani kropli. Możesz przeszukać moje zapasy, jeśli chcesz. Nic nie znajdziesz.

- Kłamiesz!

- Idź i zobacz. Możesz wziąć wszystko, co znajdziesz. Obiecuję. - Lawler zdjął rękę

Delagarda ze swojego ramienia. - Posłuchaj, Nid. Połóż się i odpocznij. Wierz mi, kiedy się zbudzisz, będziemy już daleko stąd, a ty poczujesz się lepiej i z czasem wybaczysz sobie.

Jesteś twardym człowiekiem. Wiesz, jak radzić sobie z takimi rzeczami jak poczucie winy - wierz mi, że potrafisz. Teraz jesteś cholernie zmęczony i nie patrzysz dalej niż w następne pięć minut, lecz gdy wyjdziemy znów na otwarte morze...

- Zaczekaj chwilę - powiedział Delagard spoglądając przez ramię Lawlera. Wskazał na pomost towarowy na rufie. - Co się tam dzieje, u diabła?

Lawler odwrócił się i spojrział. Dwóch mężczyzn walczyło ze sobą: wielki i o wiele mniejszy. Kinverson i Quillan, nieprawdopodobna para antagonistów. Kinverson unieruchomił ręce duchownego w swoich dłoniach i trzymał wrywającego się Quillana na odległość wyciągniętego ramienia.

Lawler zbiegł ze stopni i pospieszył na rufę, a Delagard, potykając się, pobiegł za nim.

- Co robisz? - zapytał Lawler. - Puść go.

- Ja go puszczę, a on popłynie na Oblicze. Tak mówi. Chcesz, aby to zrobił, doktorze?

Quillan najwidoczniej wpadł w niezwykłą ekstazę. Jego oczy miały szklisty wyraz lunatyka. Źrenice były rozszerzone, a skóra blada, jakby bezkrwista. Jego wargi zastygły w szerokim uśmiechu.

Kinverson powiedział:

- Kręcił się w kółko, jakby postradał zmysły. Muszę zejść na Oblicze, powtarzał.

Muszę zejść na Oblicze. Zaczął się wspinać na burtę, więc złapałem go, a on mnie uderzył.

Jezu, nie wiedziałem, że z niego taki zapaśnik! Jednak myślę, że już się trochę uspokaja.

- Spróbuj go puścić - powiedział Lawler. - Zobaczymy, co zrobi.

Wzruszając ramionami Kinverson uwolnił go. Quillan zaczął natychmiast przepychać się w stronę nadburcia. Oczy duchownego gorzały wewnętrznym światłem.

- Widzisz? - zapytał rybak.

Delagard przepchnął się do przodu. Wyglądał na zmęczonego, ale zdecydowanego. Na okręcie trzeba zaprowadzić porządek. Chwycił duchownego za nadgarstek.

- O co ci chodzi? Co chcesz zrobić?

- Idę na brzeg... na Oblicze... na Oblicze... - Senny uśmiech Quillana poszerzył się tak, że jego policzki wydawały się pękać. - Bóg mnie potrzebuje... Bóg na Obliczu...

- Jezu - powiedział Delagard z twarzą pobladłą z irytacji. - Co ty wygadujesz?

Umrzesz, jeśli tam pójdziesz. Nie rozumiesz tego? Tam nie można żyć. Spójrz, tam wszystko świeci. To miejsce jest skażone. Otrząśnij się z tego, proszę. Otrząśnij się!

- Bóg na Obliczu...

Quillan próbował uwolnić się z uchwytu Delagarda i w końcu mu się to udało. Zrobił dwa chwiejne kroki w kierunku burty. Wtedy Delagard chwycił go znowu, przyciągnął do siebie i spoliczkował tak mocno, że rozciął mu wargę. Quillan, oszołomiony, patrzył

niewidzącym wzrokiem. Delagard znów podniósł rękę.

- Dość - powiedział Lawler. - Dochodzi do siebie. Rzeczywiście, oczy Quillana nabrały wyrazu. Opuszczał

je gorączkowy blask i zastygły wyraz, typowy dla człowieka w transie. Nadal był oszołomiony, ale już oprzytomniał i starał się otrząsnąć. Wolno potarł policzek w miejscu, gdzie uderzył go Delagard. Potrząsnął głową. Ten ruch zmienił się w konwulsyjny skurcz całego ciała, potem w dygotanie. W oczach zabłyśły mu łzy.

- Mój Boże. Ja naprawdę tam szedłem. To właśnie robiłem, prawda? To mnie przyciągało. Czulem przyciąganie.

Lawler skinął głową. Nagle wydało mu się, że również je czuje. Pulsowanie, dudnienie w mózgu. Coś silniejszego niż pokusa, łagodny impuls ciekawości, jaki odczuli z Sundirą minionej nocy. Teraz było to silne psychiczne napięcie, wprawiające w trans, wabiące ku dzikiemu brzegowi za linią przybrzeżnych fal.

Gniewnie odsunął tę myśl na bok. Był równie bliski obłądu jak Quillan.

Duchowny wciąż mówił o przyciąganiu, jakie odczuwał.

- W żaden sposób nie mogłem się temu oprzeć. Oferowało mi to, czego poszukiwałem przez całe życie. Dzięki Bogu, że Kinversion schwycił mnie na czas. - Quillan rzucił

Lawlerowi niepewne spojrzenie, pełne zgrozy pomieszanej ze zdumieniem. - Miałeś rację, doktorze, w tym, o czym mówiłeś wczoraj. To byłoby samobójstwo. Myślałem wtedy, że idę do Boga, do jakiegoś boga. Jednak myślę, że to był raczej diabeł. Tam jest piekło. Sądziłem, że to raj, a tymczasem to piekło. - Głos duchownego załamał się. Potem, trochę wyraźniej, powiedział do Delagarda: - Proszę, zabierz nas stąd. Nasze dusze są tu w niebezpieczeństwie, a jeśli nie wierzysz w istnienie takiej rzeczy jak dusza, to przynajmniej zważ, że nasze życie jest tu zagrożone również. Jeżeli zostaniemy tu dłużej...

- Nie martw się - powiedział Delagard. - Nie zostaniemy. Odpływamy tak szybko, jak się da.

Usta Quillana ułożyły się w zdumione "O". Zmęczonym głosem Delagard powiedział:

- Miałem swoje własne, małe objawienie, ojczy, które zgadza się z twoim. Ta podróż to jeden wielki, pieprzony błąd w kalkulacjach, jeśli wybaczysz mi żargon. To nie miejsce dla nas. Chcę się stąd wydostać równie gorąco jak ty.

- Nie rozumiem. Myślałem... że ty...

- Nie myśl za dużo - powiedział Delagard. - Niedobrze za dużo myśleć.

- Czy powiedziałeś, że odpływamy? - zapytał Kinverson.

- Tak jest. - Delagard wyzywająco spojrzał w górę na olbrzyma. Jego twarz poczerwieniała ze smutku. Jednak teraz wydawał się prawie ubawiony rozmiarem nieszczęścia, które się na niego zważyło. Znowu był sobą. Na jego twarzy pojawił się grymas podobny do uśmiechu. - Spływamy stąd.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Kinverson. - Możemy odpłynąć w każdej chwili.

Lawler spojrzał w bok; jakiś niezwykle widok przyciągnął nagle jego uwagę.

- Czy słyszeliście ten dźwięk, przed chwilą? - zapytał. - Ktoś mówi coś do nas z Oblicza!

- Co? Gdzie?

- Stójcie spokojnie i posłuchajcie. To płynie od strony Oblicza. Panie-Doktorze.

Panie-Kapitanie. Panie-Ojczy! - Lawler przedrzeźniał wysoki, cienki, łagodny głos. - Słyszycie to? Jestem teraz z Obliczem. Panie-Kapitanie, Panie-Dofaorze, Panie-Ojczy. Słysząc go tak, jakby stał tuż obok nas.

- Gharkid! - wykrzyknął Quillan. - Ale jak... gdzie... Na pokład wyszli inni: Sundira,

Neyana, Pilya Braun.

Dag Tharp i Onyos Felk nadeszli tuż za nimi. Wszyscy wydawali się zdumieni tym, co słyszeli. Ostatnia pojawiła się Lis Niklaus poruszając się w szczególny sposób, potykając się i powłócząc nogami. Raz po raz dźgała palcem niebo, jakby chciała je zasztyletować.

Lawler odwrócił się i spojrzał w górę. Zobaczył, co pokazywała Lis. Wirujące kolory na niebie gęstniały, nabierały kształtu - tworząc ciemnoskórą, nieprzeniklioną twarz Natim Gharkida. Gigantyczny wizerunek tajemniczego człowieka unosił się nad nimi, nieodgadniony, nieunikniony.

- Gdzie on jest? - krzyknął Delagard stłumionym, zakrzepłym głosem. - Jak on to robi? Sprowadźcie go tutaj! Gharkid! Gharkid! - Gwałtownie zamachał ramionami. - Idźcie i znajdźcie go. Wszyscy! Przeszukać okręt! Gharkid!

- Jest na niebie - powiedziała łagodnie Neyana Golghoz, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Nie - powiedział Kinversion. - Jest na Obliczu. Spójrzcie - nie ma łazika. Musiał popłynąć na brzeg, kiedy my zajmowaliśmy się ojcem.

Rzeczywiście, łazika nie było. Gharkid spuścił go na wodę i przepłynął zatoczkę za nimi. I wszedł na Oblicze; i został wchłonięty; i został przemieniony. Lawler patrzył ze zdumieniem i zgrozą na ogromny obraz na niebie. Niewątpliwie twarz Gharkida. Tylko jak? Jak?

Sundira podeszła do niego. Chwyciła go za ramię. Drżała ze strachu. Chciał ją pocieszyć, lecz nie mógł znaleźć słów.

Delagard pierwszy odzyskał głos.

- Na miejsca, wszyscy! Wciągnąć kotwicę! Postawić żagle! Wynosimy się stąd w cholerę!

- Poczekaj chwilę - powiedział cicho Quillan. Ruchem głowy wskazał na brzeg. -

Gharkid wraca.

Podróż małego człowieczka do okrętu zdawała się trwać tysiąc lat. Nikt nie śmiał się ruszyć. Wszyscy stali przy relingu, zmrozeni, przerażeni.

W chwili gdy prawdziwy Gharkid pojawił się w polu widzenia, jego obraz zniknął z nieba. Jednak jego charakterystyczny głos pozostał częścią dziwnej, psychicznej siły, która stale emanowała z Oblicza. Fizyczne wcielenie tego człowieka mogło wracać, ale coś z niego pozostało tam.

Zostawił łazik - teraz Lawler zobaczył pojazd wśród roślinności na samym brzegu; już zaczynały owijać się wokół niego młode pędy roślin - i płynął, a raczej brodził, przez wąską zatokę. Posuwał się bez pośpiechu, najwidoczniej nie obawiając się niczego ze strony stworzeń, które mogły zamieszkiwać te niesamowite wody. Oczywiście, że nie, pomyślał Lawler. Gharkid był teraz jednym z nich.

Kiedy dotarł na głębinę, bliżej okrętu, Gharkid położył się na wodzie i zaczął płynąć. Jego ruchy były powolne i poważne, posuwał się łatwo i płynnie.

Kinverson poszedł na pomost i wrócił z jednym ze swoich ościeni. Mięśnie policzka drgały mu w ledwie kontrolowanym skurczu. Trzymał oścień pionowo, jak włócznię.

- Jeśli spróbuje wejść na pokład...

- Nie - powiedział ojciec Quillan. - Nie wolno ci. To jego okręt, tak samo jak twój.

- Kto to mówi? Kim on jest? I kto mówi, że to Gharkid? Zabiję go, jeśli zbliży się do nas.

Jednak Gharkid najwidoczniej nie miał zamiaru wchodzić na pokład. Podpłynął do burty i spokojnie unosił się na wodzie lekkimi ruchami rąk.

Spojrzał na nich z dołu.

Jak zwykle uśmiechał się słodko, swoim nieodgadniwym uśmiechem.

Pomachał do nich.

- Zabiję go! - ryknął Kinverson. - Drań! Nędzny, mały drań!

- Nie! - Quillan powtórzył cicho, gdy olbrzym zamierzył się ościeniem. - Nie bój się.

On nas nie skrzywdzi.

Duchowny wyciągnął rękę i lekko dotknął piersi Kinversona; rybak jakby zwiotczał pod tym dotknięciem. Zdumiony pozwolił, aby ramię opadło w dół. Sundira podeszła do niego i wyjęła mu oścień z ręki. Kinverson prawie tego nie zauważył.

Lawler patrzył na pływaka. Gharkid - a może było to Oblicze przemawiające poprzez coś, co kiedyś było Gharkidem? - wołał do nich i przyzywał ich na wyspę. Teraz Lawler naprawdę poczuł przyciąganie, bez wątpienia, nie iluzję, lecz silny, kategoryczny nakaz, napływający silnymi, pulsującymi falami; przypominał silny prąd wsteczny, jaki czasem tworzył silne wiry w zatoce wyspy Sorve. Stosunkowo łatwo opierał się tym falom.

Zastanawiał się, czy zdoła oprzeć się tej. Sięgała do korzeni jego duszy.

Usłyszał zdyszany oddech stojącej obok Sundiry. Pobladła, a w oczach miała lęk, jednak stanowczo zaciskała zęby. Postanowiła nie poddawać się upiornemu wezwaniu.

Chodźcie do mnie, mówił Gharkid. Chodźcie do mnie, chodźcie.

Łagodny głos Gharkida. Jednak jego ustami przemawiało do nich Oblicze. Lawler był tego pewien: to mówiła wyspa, kusząc i obiecując wszystko, cokolwiek było na świecie.

Tylko przyjdźcie. Tylko przyjdźcie.

- Idę! - krzyknęła nagle Lis Niklaus. - Poczekaj na mnie! Poczekaj! Idę!

Już była w połowie pokładu, przy maszcie, z pustką w oczach, z twarzą zmienioną transem, kroczyła niepewnie w stronę burty, powłócząc nogami, jakby miała płaskostopie.

Delagard zawołał, żeby się zatrzymała. Lis szła dalej. Zaklął i pobiegł za nią. Dogonił ją tuż



przy relingu i chwycił za ramię.

Zimnym, wściekłym głosem, który Lawler ledwie rozpoznał, powiedziała:

- Nie, ty draniu. Nie. Trzymaj się ode mnie z daleka! - Pchnęła Delagarda tak, że upadł na pokład. Leżał na plecach i patrzył na nią z niedowierzaniem. Wydawało się, że nie może wstać.

Po chwili Lis stała już na nadburciu, a potem zrobiła jeszcze krok i spadła do wody, lądując ze wspaniałym, fosforyzującym pluskiem.

Ramię w ramię, ona i Gharkid odpłynęli w kierunku Oblicza.

Chmury nowych kolorów wisiały nisko w gorącym, rozprężonym powietrzu nad Obliczem Wód. Górą brązowe, niżej ciemniejsze: kolory Lis Niklaus. Spotkała swoje przeznaczenie.

- To zabierze nas wszystkich - powiedziała Sundira, z trudem łapiąc oddech. - Musimy się wydostać!

- Tak - odparł Lawler. - I to szybko. Rozejrzał się wokół. Delagard wciąż leżał na pokładzie,

chyba bardziej zdumiony niż zraniony, jednak nie podnosił się. Onyos Felk kulił się przy fokmaszcie, szepcząc coś do siebie. Ojciec Quillan klęczał i raz po raz robił znak krzyża, mamrocząc modlitwy. Dag Tharp z oczami wytrzeszczonymi ze strachu trzymał się za brzuch, walcząc z mdłościami. Lawler potrząsnął głową.

- Kto poprowadzi okręt?

- Co za różnica? Musimy tylko zostawić za sobą Oblicze i płynąć naprzód. Dopóki mamy dość ludzi do stawiania żagli...

Sundira obeszła pokład.

- Pilya! Neyana! Chwytajcie za liny! Val, czy wiesz, jak trzymać ster? O Jezu, kotwica

jest wciąż na dole. Gabe! Gabe, na litość boską, podnieś kotwicę!

- Lis wraca - powiedział Lawler.

- Nieważne. Pomóż Gabe'owi przy kotwicy. Jednak już było za późno. Lis znalazła się w połowie drogi do okrętu, mocno i bez wysiłku machając rękami. Gharkid płynął tuż za nią. Zatrzymała się w wodzie i spojrzała w górę, a jej oczy miał nowy, dziwny, obcy wyraz.

- Boże, dopomóż nam - wymamrotał ojciec Quillan. - Teraz oboje nas przyciągają! -

W oczach miał przerażenie. Dygotał konwulsyjnie. - Boję się, Lawler. Pragnąłem tego przez całe życie, a teraz boję się, boję! - Duchowny wyciągnął ręce do Lawlera. - Pomóż mi. Zabierz mnie pod pokład. Bo inaczej pójdę do nich. Nie mogę już dłużej walczyć.

Lawler zrobił kilka kroków w jego stronę.

- Puść go! - krzyknęła Sundira. - Nie mamy czasu, i tak nie będzie z niego pożytku.

- Pomóżcie mi! - jęczał Quillan. Posuwał się w stronę burty tym samym sennym krokiem co poprzednio Lis. - Bóg mnie wzywa, a ja boję się iść do Niego!

- To nie Bóg cię wzywa - warknęła Sundira. Miotła się po pokładzie, usiłując zagrzać innych do walki, jednak najwidoczniej bezskutecznie. Pilya patrzyła w górę na takielunek, jakby nigdy przedtem nie widziała żagla. Neyana stała samotnie przy nadbudówce, podśpiewując coś monotonie. Kinversion nie wyciągał kotwicy; stał nieruchomy jak gład na śródkręciu, patrząc niewidzącym spojrzeniem, pogrążony w niezwykłej dla niego zadumie. Chodźcie do nas, mówili Gharkid i Lis. Chodźcie do nas, chodźcie do nas, chodźcie do nas.

Lawler zadrżał. Przyciąganie było teraz o wiele silniejsze niż wtedy, kiedy wzywał ich tylko Gharkid. Usłyszał plusk. Znów ktoś wyskoczył za burtę. Felk? Tharp? Nie, Tharp wciąż był tutaj, biedny, rzygający kłębek. Felk zniknął. Wtem Lawler zobaczył Neyaną gramolącą się na nadburcie i wpadającą jak meteor do wody.

Jeden po drugim pójdą tam wszyscy, pomyślał. Jeden po drugim zostaną wchłonięci przez tę obcą istotę, która była Obliczem.

Opierał się. Wezwał cały swój upór, całe umiłowanie samotności, całe zawzięte dążenie do wyboru własnej drogi i użył ich jako broni przeciw temu, co go wzywało. Owinął się jak płaszczem samotnością całego swojego życia.

I to najwidoczniej poskutkowało. Mimo że zew był silny - i stawał się coraz silniejszy - nie zdołał wyciągnąć go za burtę. Outsider do końca, pomyślał, wieczny samotnik, nie chcesz się zjednoczyć nawet z tym potężnym i głodnym stworzeniem, które czeka na nas za wąskim pasem wody.

- Proszę - powiedział ojciec Quillan, prawie skamłając. - Gdzie jest luk? Nie mogę znaleźć luku!

- Chodź ze mną - zaproponował Lawler. - Zabiorę cię na dół.

Zobaczył Sundirę rozpaczliwie szarpiącą kabestan, próbującą podnieść kotwicę.

Jednak była na to zbyt słaba: z nich wszystkich tylko Kinverson był na tyle silny, aby zrobić to samodzielnie. Lawler zawahał się, rozdarty między chęcią ratowania Quillana a pilniejszą potrzebą uwolnienia okrętu.

Delagard w końcu wstał i podszedł do niego chwiejnie, jak człowiek po zawale.

Lawler pchnął duchownego w ramiona kapitana.

- Trzymaj go. Mocno, bo inaczej pójdzie za burtę. Lawler pobiegł do Sundiry. Lecz

Kinverson nagle wyrósł

mu na drodze i odepchnął go w tył, uderzając jedną wielką ręką w pierś.

- Kotwica - zaczął Lawler. - Musimy podnieść kotwicę...

- Nie. Niech tak będzie.

Oczy Kinversona miały dziwny wyraz. Wyglądały tak, jakby wywróciły się w

oczodołach.

- Ty też? - zapytał Lawler.

Za plecami usłyszał sapanie, a potem kolejny plusk. Odwrócił się. Delagard stał sam przy nadburciu, oglądając swoje palce, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

Quillana nie było. Lawler zobaczył go w wodzie płynącego w skupieniu, z determinacją. Nareszcie był w drodze do Boga - lub czegokolwiek, co czekało na niego za wodą.

- Val! - zawołała Sundira, wciąż próbując wyciągnąć kotwicę.

- To na nic - odpowiedział Lawler. - Wszyscy pójdą za burzę!

Na brzegu widział sylwetki brnące coraz głębiej w pulsujący gąszcz bujnej roślinności: Neyana, Felk. A teraz Quillan wygramolił się na ląd i ruszył za nimi. Gharkid i Lis zniknęli już z pola widzenia.

Lawler policzył tych, którzy zostali na pokładzie: Kinverson, Pilya, Tharp, Delagard, Sundira. I on. Razem sześcioro. Tharp wyskoczył w czasie, gdy robił obliczenia. A zatem pięcioro. Tylko pięcioro z tych wszystkich, którzy wyruszyli z wyspy Sorve.

Kinverson rzekł:

- To nędzne życie. Jak ja nienawidziłem każdego parszywego dnia. Jak żałowałem, że się urodziłem. Nie wiedzieliście o tym? A co wiedzieliście? Co ktokolwiek wiedział? Myśleli, że jestem zbyt duży i silny, aby można mnie było zranić. Dlatego, że nic nie mówiłem, nikt o tym nie wiedział. Ale czułem się skrzywdzony w każdej cholernej minucie dnia! I nikt nie wiedział. Nikt nie wiedział.

- Gabe! - krzyknęła Sundira.

- Zejdź mi z drogi albo rozetnę cię na pół.

Lawler pochylił się i chwycił go w pól. Kinverson odepchnął go na bok jak słomkę i

jednym susem wskoczył na nadburcie, a stamtąd do wody.

Czworo.

Gdzie Pilya? Lawler rozejrzał się i zobaczył ją w olinowaniu, naga, lśniąca w promieniach słońca. Wspinała się wyżej i wyżej - czyżby miała zamiar skoczyć stamtąd? Tak.

Plusk.

Troje.

- Zostaliśmy tylko my - powiedziała Sundira. Spojrzała na Lawlera, a potem na Delagarda, który siedział przygnębiony, oparty o podstawę masztu, z twarzą ukrytą w dłoniach. - Myślę, że jesteśmy tymi, których ono nie chce.

- Nie - powiedział Lawler. - Jedynymi wystarczająco silnymi, aby mu się oprzeć.

- Wiwat my - powiedział ponuro Delagard nie podnosząc oczu.

- Czy troje wystarczy, aby poprowadzić okręt? - zapytała. - Jak sądzisz, Val?

- Myślę, że możemy spróbować.

- Nie gadaj bzdur - powiedział Delagard. - Nie można żeglować z trzyosobową załogą.

- Moglibyśmy ustawić żagle na najsilniejszy wiatr i po prostu płynąć tam, gdzie nas zanieśie - powiedział Lawler. - Wcześniej czy później dotarlibyśmy do jakiejś zamieszkałej wyspy. To lepsze niż zostać tutaj. Co ty na to, Nid?

Delagard wzruszył ramionami. Sundira spoglądała w stronę Oblicza.

- Czy widzisz kogoś? - zapytał Lawler.

- Nikogo. Jednak coś słyszę. Coś czuję. To chyba wraca ojciec Quillan.

Lawler spojrzał w stronę brzegu.

- Gdzie? - Duchownego nie było w polu widzenia. A jednak... Lawler też miał wrażenie, że wyczuwa obecność duchownego. Zdawało się, że Quillan stoi na pokładzie tuż obok niego. Kolejna sztuczka Oblicza, zdecydował.

- Nie - powiedział Quillan. - To nie sztuczka. Ja naprawdę jestem tutaj.
- To nieprawda. Jesteś naciąg na wyspie - powiedział bezgłośnie Lawler.
- Na wyspie i tutaj z tobą, jednocześnie. Delagard wydał cichy pomruk obrzydzenia.
- Sukinsyn. Dlaczego nie zostawi nas w spokoju?
- Kocha was - powiedział Quillan. - Potrzebuje was. My was potrzebujemy. Chodźcie i przyłączcie się do nas.

Lawler zrozumiał, że ich zwycięstwo było tylko pozorne. Przyciąganie nadal działało - teraz subtelniej, jakby wyczekując odpowiedniej chwili, gotowe chwycić ich, gdy tylko dadzą się zaskoczyć. Quillan miał odwrócić ich uwagę - i kusić.

- Czy jesteś ojcem Quillanem, czy też przemawia przez ciebie Oblicze? - zapytał Lawler.

- Jedno i drugie. Należę teraz do Oblicza.

- A przecież nadal postrzegasz siebie jako duchownego, ojca Ouillana, który istnieje w obrębie istoty Oblicza Wód?

- Tak. Właśnie tak.

- Jak to możliwe? - zapytał Lawler.

- Przyjdź i zobacz - powiedział Quillan. - Pozostajesz sobą. A jednocześnie stajesz się czymś nieskończenie większym.

- Nieskończenie?

- Tak, nieskończenie.

- To jest jak sen - powiedziała Sundira. - Rozmawiamy z kimś, kogo nie widzimy, a kto mówi do nas głosem znanej nam osoby. - Była bardzo spokojna. Podobnie jak Delagard, wydawała się już niedostępna wszelkim obawom i lękom. Oblicze dostanie ich lub nie, ale właściwie nie mają na to żadnego wpływu. - Ojcze, czy ty mnie słyszysz?

- Oczywiście, Sundiro.

- Czy wiesz, czym jest Oblicze? Czy to Bóg? Czy możesz nam powiedzieć?

- Oblicze to Hydros, a Hydros to Oblicze - odparł cichy głos duchownego. - Hydros to

wielki, zbiorowy mózg, kolektywny organizm, pojedyncza, inteligentna istota, obejmująca całą planetę. Ta wyspa, do której przybyliśmy, którą nazywamy Obliczem Wód, jest żywym stworzeniem, mózgiem planety. Nawet więcej niż mózgiem: centralnym łonem wszystkiego, oto czym jest. Uniwersalna matka, z której pochodzi wszelkie życie na Hydros.

- Czy to dlatego Mieszkańcy nie przychodzą tutaj? - zapytała Sundira. - Ponieważ powrót do miejsca, z którego się wyszło, jest świętokradztwem?

- Tak, coś takiego.

- A mnogość inteligentnych form życia na Hydros? - zapytał Lawler, który nagle powiązał pewne fakty. - Czy jest możliwa dlatego, że wszystkie pochodzą od Oblicza? Skrzelowcy, nurki, taranorożce i wszystko inne? Jeden gigantyczny konglomerat, świat-mózg?

- Tak. Tak. Jedna, uniwersalna inteligencja.

Lawler skinął głową. Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, co to znaczy być częścią takiej istoty. Świat jako pojedynczy, ogromny mechanizm zegara, tykający bez końca, a wszystkie żywe stworzenia na nim tańczą w rytm tego tykania.

Quillan był teraz częścią tego. I Gharkid. Lis, Pilya, Neyana, Tharp, Felk, a nawet biedny, udręczony Kinverson. Połknięci przez bóstwo. Zagubieni w ogromie boskości. Delagard nagle przemówił, nie podnosząc głowy, pogrążony w najczarniejszej depresji.

- Powiedz mi, Quillan: a co z podwodnym miastem? Istnieje czy nie?

- To mit - odparł głos niewidzialnego Quillana. - Bajka.

- Bajka - powtórzył Delagard z goryczą. - Aha,

- Mówiąc dokładniej, metafora. Twój zabłąkany marynarz przyswoił podstawową ideę, ale ją zniekształcił. Wielkie miasto jest na Hydros wszędzie, pod morzem i na jego powierzchni. Planeta jest jednym miastem; każda żywa istota jest jego mieszkańcem.

Delagard uniósł głowę. Oczy miał zmętniałe z wyczerpania.

Quillan kontynuował:

- Stworzenia, które tutaj żyją, zawsze mieszkały w wodzie. Kierowane przez Oblicze, zjednoczone z Obliczem. Na początku były wyłącznie wodne, a potem Oblicze nauczyło je budować pływające wyspy, aby przygotować je na ten okres w odległej przyszłości, kiedy ląd zacznie podnosić się z głębin. Jednak nigdy nie było tu żadnego ukrytego, podwodnego miasta. To tylko wodny świat i nic więcej, i wszystko na nim jest harmonijnie powiązane mocą Oblicza.

- Wszystko oprócz nas - powiedziała Sundira.

- Tak, wszystko oprócz kilku zabłąkanych istot ludzkich, które znalazły drogę do tego świata - powiedział Quillan. - Wygnańców. Którzy wskutek niewiedzy nadal byli tutaj wygnańcami. A nawet upierali się przy tym. Obcy, odrzucający życie w harmonii, jaką jest Hydros.

- Ponieważ nic im z tego nie przyjdzie - powiedział Lawler.

- Nieprawda. Nieprawda. Hydros chętnie przyjmie każdego.

- Jednak tylko na swoich własnych warunkach.

- Nieprawda - zaprzeczył Quillan.

- Gdy raz przestaniesz być sobą - powiedział Lawler. - Gdy raz staniesz się częścią czegoś większego...

Zmarszczył brwi. Coś się właśnie zmieniło. Poczł ciszę wokół siebie. Ta aura, ten



spowijający wszystko koc myśli, który otaczał ich podczas rozmowy z Quillanem, zniknął.

- Nie sądzę, aby jeszcze tu był - powiedziała Sundira.

- Nie, nie ma go - odparł Lawler. - Odszedł od nas. To odeszło.

Oblicze, wrażenie ogromnej, bliskiej obecności, najwidoczniej zniknęło. Przynajmniej na razie.

- Jakie to dziwne uczucie znowu być samą.

- Powiedziałbym, że to miłe uczucie. Tylko my troje, każdy sam w swoim umyśle i nikt nie mówi do nas z nieba.

Niezależnie od tego jak długo potrwa, zanim znowu się zacznie.

- To wróci, prawda?

- Nie możemy dać się połknąć. Ludzie nie powinni stawać się częścią obcego świata.

Nie jesteśmy do tego stworzeni.

Delagard odezwał się dziwnym głosem, łagodnym i tęsknym:

- Wydawał się szczęśliwy, prawda?

- Tak sądzisz? - zapytał Lawler.

- Tak, tak myślę. Zawsze był taki niesamowity, taki smutny, daleki. Zastanawiał się, gdzie jest Bóg. Teraz wie. Jest już nareszcie z Bogiem.

Lawler obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem.

- Nie wiedziałem, że wierzysz w Boga, Nid. Czy teraz uważasz, że Oblicze jest Bogiem?

- Quillan tak uważa. I jest szczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu.

- Quillan nie żyje, Nid. Ktokolwiek do nas mówił, to nie był Quillan.

- Mówił jak Quillan. Quillan i coś jeszcze, ale bardziej Quillan.

- Jeżeli tak uważasz...

- Uważam - powiedział Delagard. Nagle podniósł się, chwiejąc się lekko, jakby ten wysiłek przyprawił go o zawrót głowy. - Mam zamiar popłynąć tam i przyłączyć się do nich.

Lawler patrzył na niego oniemiały.

- Ty też? - powiedział w końcu ze zdumieniem.

- Tak, ja. Nie próbuj mnie zatrzymać. Zabiję cię, jeśli to zrobisz. Przypomnij sobie, co

Lis zrobiła ze mną, kiedy próbowałem ją zatrzymać. Nas nie można powstrzymać, doktorze.

Lawler nie odrywał od niego oczu. On mówi poważnie, pomyślał. On naprawdę mówi

poważnie. Zrobi to. Czy to może być naprawdę Delagard? Tak. Tak. Delagard zawsze robił

tylko to, co dla Delagarda najlepsze, niezależnie od skutków, jakie to mogło mieć dla innych.

W takim razie do diabła z nim. Dobry sposób, aby się go pozbyć.

- Zatrzymać ciebie? - powiedział Lawler. - Nawet by mi to nie przyszło do głowy.

Proszę bardzo, Nid. Jeżeli sądzisz, że będziesz tam szczęśliwy, idź. Idź. Dlaczego miałbym

cię zatrzymywać? Jaka to teraz różnica?

Delagard uśmiechnął się.

- Dla ciebie może żadna. Ale dla mnie ogromna. Jestem cholernie zmęczony,

doktorze. Miałem wielkie marzenia. Próbowałem raz jednego planu, raz drugiego i przez

długi czas wszystko szło dobrze, a potem zjawiłem się tutaj i wszystko się rozpadło. Ja się

rozpadłem. Cóż, pieprzę to. Teraz chcę odpocząć.

- To znaczy zabić się?

- To ty myślisz, że to to samo. Ja nie. Jestem zmęczony kapitanowaniem. Jestem

zmęczony mówieniem ludziom, co mają robić, szczególnie kiedy widzę teraz, że tak

naprawdę to sam nie wiem, co robię. Mam dosyć, doktorze. Odchodzę.

- Oczy Delagarda rozbłysły odnalezioną na nowo energią.

- Może po to odbyłem całą tę długą podróż, tylko dotychczas nie zdawałem sobie z

tego sprawy? Może Oblicze wysłało Jolly'ego do domu, żeby przyprowadził nas wszystkich - tyle że zabrało to czterdzieści lat, a i tak przyszło nas tylko kilkoro. - Mówił teraz prawie beztrosko. - Na razie, doktorze, Sundiro. Miło było was poznać. Odwiedźcie mnie kiedyś. Patrzyli, jak odchodził.

- A więc teraz tylko ja i ty, mała - powiedział do niej Lawler. Roześmiali się. Cóż mogli zrobić?

Nadeszła noc. Płomienna noc komet i cudów, migocących światła w stu różnych skrzących się kolorach. Gdy nadeszła ciemność, Lawler i Sundira pozostali na pokładzie, siedząc cicho przy maszcie i niewiele mówiąc do siebie. On czuł się oszołomiony, wypalony przez wydarzenia tego dnia. Ona milczała, wyczerpana.

Eksplozje kolorów nad głowami. Świątuje nowe podboje, pomyślał Lawler. Miał wrażenie, że niebo skrzy się kolorami jego dawnych współtowarzyszy. Ten wielki rozbryzg burzliwego błękitu - czy to Delagard? A ten ciepły, bursztynowy blask - Quillan? Czyż ten szkarłatny słup może być Kinversonem, a ta plama stopionego złota nad horyzontem - Pilyą Braun? Felk... Tharp... Neyana... Gharkid...

Wydawało się, że są na wyciągnięcie ręki, każdy z nich. Niebo kipiało promiennymi barwami. Lawler nasłuchiwał ich głosów, lecz nie był w stanie ich usłyszeć. Do jego uszu dobiegała jedynie kakofonia dźwięków.

Na ciemniejącym horyzoncie, po drugiej stronie cieśniny, nie słabła gorączkowa aktywność wyspy: rośliny kiełkowały, wiły się, trzepotały na tle nieba, wysyłały w górę strumienie świetlistej energii. Fale światła wznosiły się ku niebiosom. Tam nigdy nie zapadał spokój. Lawler i Sundira siedzieli do późnej nocy, obserwując pokaz, aż w końcu on podniósł się i powiedział: - Czy nie jesteś głodna?

- Ani trochę.

- Ja też nie. W takim razie chodźmy spać.

- Dobrze.

Podawała mu rękę, a on pomógł jej wstać. Przez chwilę stali blisko siebie przy burcie, przyglądając się wyspie za cieśniną.

- Czy czujesz jakieś przyciąganie? - zapytała.

- Tak. Myślę, że ono zawsze tam jest - tylko wyczekuje na stosowną chwilę. Czeka na odpowiedni moment, aby nas zaskoczyć.

- Ja też je odczuwam. Nie jest takie silne jak przedtem, ale wiem, że to tylko podstęp. Przez cały czas muszę kontrolować mój umysł.

- Zastanawiam się, dlaczego to właśnie my zdołaliśmy się temu oprzeć - powiedział

Lawler. - Czy jesteśmy silniejsi i zdrowsi od innych, bardziej predestynowani do życia własnym życiem? Czy też tak wyalienowani ze społeczeństwa, że nie potrafimy poddać się i wtopić w ten zbiorowy umysł.

-Czy naprawdę czułeś się tak wyobcowany, kiedy mieszkałeś na Sorve, Val?

Zastanowił się.

- Może "wyobcowany" to zbyt mocne słowo. Stanowiłem część społeczności Sorve, a ona stanowiła część mnie. Jednak nie byłem jej częścią w taki sposób jak większość pozostałych. Zawsze stałem trochę na uboczu.

- Podobnie było ze mną na Khamsilaine. Myślę, że nigdy nie miałam poczucia przynależności do tamtejszej społeczności.

- Ja też nie.

- Nigdy nawet nie chciałam przynależeć. Niektórzy chcą, tylko im się to nie udaje.

Gabe Kinverson był takim samotnikiem jak my. Może nawet większym. Nagle nadszedł czas, kiedy zapragnął zmiany. I proszę, mieszka na Obliczu. Przyprawia mnie o drżenie myśli, że

poddam się i połączę z jakimś obcym mózgiem.

- Nigdy nie rozumiałem tego człowieka - powiedział Lawler.

- Ani ja. Próbowałam. Jednak zawsze był zamknięty w sobie. Nawet w łóżku.

- Nie chcę o tym słuchać.

- Przepraszam.

- W porządku.

Przytuliła się mocniej do niego.

- Tylko my dwoje - powiedziała. - Wyrzuceni na mieliznę na końcu świata, całkiem sami na opuszczonym okręcie. To bardzo romantyczne, niezależnie od tego, jak długo wytrwamy. Co zrobimy, Val?

- Zejdziemy na dół i będziemy się kochać jak szaleni. Dzisiaj możemy skorzystać z wielkiej koi w kajucie Delagarda.

- A potem?

- Potem porozmawiamy o tym, co potem - powiedział Lawler.

Obudził się tuż przed świtem. Sundira spała spokojnie, z twarzą gładką i beztroską jak dziecko. Wyśliznął się z kajuty i wyszedł na pokład. Słońce wschodziło; oślepiający pokaz kolorów, emitowanych stale przez Oblicze, wydawał się tego ranka nieco stłumiony i o wiele mniej widowiskowy. Częścią swego umysłu nadal czuł przyciąganie Oblicza, ale teraz było ono zaledwie cichym tykaniem zegara.

Na brzegu Lawler widział sylwetki swoich dawnych towarzyszy.

Obserwował ich. Nawet z tej odległości poznawał ich bez trudu: górujący nad wszystkimi Kinverson, mały Tharp, krępy Delagard i krzywonogi Felk. Sama skóra i kości - ojciec Quillan. Gharkid, o skórze ciemniejszej niż inni i lekki jak piórko. Oraz trzy kobiety: piersiasta Lis, krępa i barczysta Neyana oraz gibka, przystojna Pilya. Co robili? Brodzili wzdłuż brzegu? Nie, nie, wchodzili do wody, kierowali się w tę stronę, wracali na okręt. Wszyscy. Spokojnie i bez wysiłku płynęli przez płytką zatokę w stronę "Królowej Hydros". Lawler zadrżał ze strachu. Wyglądało to jak procesja umarłych, nadchodzących do niego przez fale.

Zszedł na dół i obudził Sundirę.

- Wracają - powiedział jej.

- Co? Kto? Och. Och.

- Cała banda. Płyną tutaj.

Pokiwała głową, jakby bez zdziwienia mogła przyjąć do wiadomości, że fizyczne powłoki dawnych towarzyszy wracały, porzuciwszy tę niepojętą istotę, która pochłonęła ich dusze. Może jeszcze całkiem nie oprzytomniała, pomyślał Lawler. Jednak Sundira wstała z koi i wyszła z nim na pokład. Wokół okrętu, tuż przy burcie, unosiły się na wodzie ludzkie postacie. Lawler wyjrzał do nich.

- Czego chcecie? - zawołał.

- Zrzuć nam drabinę - odpowiedziała postać Kinversona głosem, który zdecydowanie był głosem Kinversona. - Wchodzimy na pokład.

- Mój Boże - powiedział Lawler szeptem. Z przerażeniem spojrzął na Sundirę.

- Zrób to - powiedziała mu.

- Przecież kiedy wejdą na pokład...

- Jakie to ma znaczenie? Gdyby Oblicze chciało zwrócić na nas całą swą moc, zapewne i tak bylibyśmy bezsilni. Jeśli chcą wejść na pokład, niech wejdą. Nie mamy wiele do stracenia, prawda?

Wzruszywszy ramionami Lawler zrzucił drabinę. Kinverson pierwszy wdrapał się na pokład, po nim Delagard, Pilya, Tharp. Za nimi reszta. Wszyscy byli nadzy. Stanęli cichą grupką. Nie było w nich siły witalnej; zachowywali się jak lunatycy, jak duchy. Oni są duchami, stwierdził Lawler.

- No więc? - powiedział w końcu.

- Przyszliśmy, żeby pomóc wam poprowadzić okręt - wyjaśnił Delagard.

Lawler zdumiał się.

- Poprowadzić? Dokąd?

- Tam, skąd przyplłynęliście. Zdajesz sobie sprawę, że nie możecie zostać tutaj.

Zabierzemy was na Grayvard, gdzie poprosicie o azyl.

Głos Delagarda był bezbarwny i spokojny, a jego oczy jasne i poważne, pozbawione dawnego maniakałnego blasku. Kimkolwiek lub czymkolwiek było to stworzenie, różniło się od Nida Delagarda, którego Lawler znał od wielu lat. Dręczące go demony uciekły. Przeszedł głęboką przemianę - a nawet coś w rodzaju odrodzenia. Zapomniał o swoich ryzykownych planach, a jego dusza zaznała spokoju. Podobnie było z innymi. Wydawali się spokojni. Pod-

dali się Obliczu, zrezygnowali ze swoich indywidualności, co dla Lawlera było niepojęte; nie mógł jednak zaprzeczyć, że wyglądali tak, jakby znaleźli szczęście.

Głosem rzeźkim jak powietrze Quillan rzekł:

- Zanim odpłyniemy, jeszcze jedna szansa. Czy chcecie popłynąć na wyspę?

Doktorze? Sundiro?

- Wiesz, że nie chcemy - odparł Lawler.

- To zależy od was. Lecz jeśli wrócicie na Morze Ojczyście i zmienicie zdanie, nie będzie łatwo tu wrócić.

- Przeżyję to.

- Sundiro? - powiedział Quillan.

- Ja również.

Duchowny uśmiechnął się smutno.

- Jak chcecie. Żałuję, że nie mogę wam wytłumaczyć, jaki błąd popełniacie. Czy rozumiecie, dlaczego byliśmy wciąż atakowani na morzu? Dlaczego przyplływały taranorożce, mięczaki, śluzice i wszystkie inne? Nie dlatego, że są z natury złe. Nie ma takich stworzeń na Hydros. One tylko próbowały uleczyć świat, to wszystko.

- Uleczyć świat? - zdumiał się Lawler.

- Oczyszczyć go. Pozbyć się nieczystości. Dla nich - dla każdej formy życia na Hydros -

Ziemiańskie życie tutaj są inwazyjną, obcą formą życia, ponieważ zakłócają harmonię, jaką jest Oblicze. Widzą w nas wirusy lub bakterie, które zaatakowały zdrowy organizm. Ataki na nas były czymś w rodzaju prób leczenia choroby.

- Albo oczyszczenia trybów mechanizmu z piasku. Lawler odwrócił się, czując jak narasta w nim gniew i odraza.

Sundira cicho powiedziała do niego:



- Jacy oni są przerażający. Jak duchy. Nie, gorzej - jak żywe trupy. Mamy szczęście, że byliśmy wystarczająco silni, aby się oprzeć.

- Czy naprawdę? - zapytał Lawler. Szeroko otworzyła oczy.

- Co chcesz powiedzieć?

- Nie jestem pewien, Sundiro. Oni wyglądają tak spokojnie. Może i zmienili się w obce istoty, ale przynajmniej znaleźli spokój.

Pogardliwie rozdeła nozdrza.

- Pragniesz spokoju? A więc idź. To tylko wąska cieśnina.

- Nie. Nie.

- Jesteś pewien, Val?

- Chodź tutaj. Przytul mnie.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Val. - Objęli się bez zażenowania, ignorując nowo przybyłych.

Szeptęła mu do ucha: - Nie pójdę, jeśli ty nie pójdziesz.

- Nie martw się, ja nie idę.

- A jeśli pójdziesz, zrobimy to razem.

- Co?

- Czy sądzisz, że chcę być jedyną prawdziwą istotą na okręcie prowadzonym przez dziesięć żywych trupów? Oto nasza umowa, Val. Albo nie idziemy wcale, albo pójdziemy razem.

- Nie idziemy.

- Ale jeśli...

- Wtedy zrobimy to razem - powiedział Lawler. - Jednak nie idziemy.

Jakby na Obliczu Wód nie zaszło nic niezwykłego, załoga "Królowej Hydros"

szkowała się do drogi powrotnej. Kinverson zarzucał sieci, do których posłusznie wpływały ryby. Gharkid spokojnie poruszał się w sięgającej do ud wodzie i zbierał pożyteczne glony. Neyana, Pilya i Lis kursowały tam i z powrotem między wyspą a okrętem, przenosząc pojemniki świeżej wody, które napełniały u źródła na brzegu. Onyos Felk dumał nad mapami. Dag Tharp dostrajał i sprawdzał sprzęt radiowy. Delagard przeglądał olinowanie i żagle, ster i kadłub, szukając miejsc, które wymagały naprawy, a potem z Sundirą, Lawlerem, a nawet ojcem Quillanem robili to, co trzeba było zrobić.

Rozmawiano niewiele. Każdy wypełniał swoje obowiązki, jakby był częścią dobrze zaprojektowanej maszyny. Nowo przybyli traktowali łagodnie tych dwoje, którzy nie popłynęli na wyspę, prawie jak trudne dzieci, które wymagają wielkiej troski; lecz Lawler nie czuł z nimi żadnej więzi.

Często z zachwytem patrzył na Oblicze. Gra światek i barw zdawała się trwać bez końca. Ten nieustanny wojowniczy pokaz fascynował go i odpychał. Próbował sobie wyobrazić, jak inni wyszli na brzeg, jak poruszali się w tym żywym gąszczu, skwierczącym obcością. Wiedział, że podobne spekulacje są niebezpieczne. Od czasu do czasu przyciąganie z wyspy wracało, czasami zaskakująco silne. W takich chwilach odczuwał pokusę. Tak łatwo byłoby ześliznąć się za burtę jak pozostali, przepłynąć szybko przez ciepłe, przyjazne wody zatoki i wdrapać się na obcy brzeg...

Jednak wciąż się opierał. Dopóki trzymał wyspę na dystans i zostawał na pokładzie, jak Sundirą, podczas gdy inni swobodnie przychodzili i odchodzili. Ten dziwny okres nie był nieprzyjemny. Życie wydawało się zawieszony w próżni. W jakiś dziwny sposób Lawler był prawie szczęśliwy: przetrwał, pokonał wszystkie przeciwności; zahartowano go w kuźni Hydros, przez co stał się bardziej wytrzymały. Zakochał się w Sundirze; czuł jej miłość dla niego. To były nowe doświadczenia. Jeśli na końcu podróży oczekuje go jakieś życie, to

będzie sobie lepiej radzić niż kiedyś z wątpliwościami targającymi duszą.

Zbliżała się pora, by ruszyć w drogę.

Było późne popołudnie. Delagard oświadczył, że odpływają o zachodzie słońca.

Wcale nie przejmował się tym, że opuszczą Oblicze po zmroku. Blask wyspy przez jakiś czas poprowadzi okręt, a potem mogą płynąć według gwiazd. Wszystko na Hydros będzie im sprzyjało.

Lawler zauważył, że jest sam na pokładzie. Większość, a może nawet wszyscy popłynęli na wyspę - zapewne z pożegnalną wizytą. Ale gdzie jest Sundira?

Zawołał ją.

Żadnej odpowiedzi. Przez jedną straszną chwilę pomyślał, że popłynęła z nimi. Potem zobaczył ją na rufie, na pomoście. Był z nią Kinversion. Wydawali się pogrążeni w rozmowie.

Lawler ruszył w ich kierunku.

Usłyszał, jak Kinversion mówi:

- Nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest, dopóki sama nie popłyniesz. To tak różni się od bycia zwykłym człowiekiem jak życie od śmierci.

- Czuję się wystarczająco żywa.

- Nie masz pojęcia. Nie możesz sobie tego wyobrazić. Chodź ze mną, Sundiro. To tylko chwila, a potem wszystko się przed tobą otwiera. Nie jestem tym samym człowiekiem, jakim byłem, prawda?

- Nawet w przybliżeniu.

- Ale jestem. Ponadto czymś znacznie większym. Chodź ze mną.

- Proszę, Gabe.

- Przecież tego chcesz. Wiem, że chcesz. Zostajesz tylko ze względu na Lawlera.

- Zostaję ze względu na siebie - powiedziała Sundira.

- Wcale nie. Ja wiem. Żał ci tego załosnego drania. Nie chcesz go opuścić.
- Nie, Gabe.
- Będziesz mi później dziękować.
- Nie.
- Chodź ze mną.
- Gabe... proszę...

W jej głosie pojawiła się nagle nuta zwątpienia, słabości, która uderzyła Lawlera z siłą młota. Wskoczył na pomost obok nich. Sundira westchnęła ze zdumienia i cofnęła się.

Kinverson nie ruszył się z miejsca, mierząc Lawlera spokojnym wzrokiem.

Ościenie stały na stojakach. Lawler chwycił jeden i nastawił go prosto w twarz Kinversona.

- Zostaw ją w spokoju.

Olbrzym z rozbawieniem, a może z pogardą patrzył na ostrze.

- Nic jej nie zrobię, doktorze.

- Próbujesz ją uwieść. Kinverson roześmiał się.

- Wcale nie trzeba jej długo uwodzić, prawda? Lawlerowi pociemniało w oczach. Z najwyższym trudem powstrzymał się od wepchnięcia ościenia w gardło Kinversona.

- Val, proszę, my tylko rozmawialiśmy - powiedziała Sundira.

- Słyszałem, o czym rozmawialiście. Próbuje cię namówić, żebyś popłynęła na Oblicze. Czy nie tak?

- Nie przeczę - odparł spokojnie Kinverson.

Lawler trzymał oścień, wiedząc, że jego gniew musi wydawać się Kinversonowi zabawny, drażniący i głupi. Mimo swej nowo nabytej łagodności Kinverson nadal miał nad nim przewagę, nieugięty, niepokonany.

Jednak Lawler musiał zedrzeć tę maskę. Napiętym głosem powiedział:

- Nie chcę, żebyś z nią rozmawiał, póki nie odpłyniemy. Kinverson uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie chciałem jej zrobić nic złego.

- Wiem, co zamierzałeś zrobić. Nie pozwolę ci.

- Czy decyzja nie powinna należeć do niej, doktorze? Lawler spojrzał na Sundirę.

Powiedziała łagodnie:

- W porządku, Val. Potrafię zadbać o siebie.

- Tak. Tak, oczywiście.

- Daj mi ten oścień, doktorze - powiedział Kinverson. - Możesz zrobić sobie krzywdę.

- Nie zbliżaj się.

- To mój oścień. Nie powinieneś nim wymachiwać. - Uważaj - warknął Lawler. -

Odejdź. Wynoś się

z okrętu! No już - z powrotem na Oblicze. Już, Gabe. To nie twoje miejsce. Żadnego z was. Ten okręt jest dla ludzi.

- Val - powiedziała Sundira.

Lawler mocno chwycił oścień, trzymając go jak skalpel, i zrobił krok lub dwa w stronę Kinversona. Niezgrabna postać rybaka rozmazywała mu się w oczach. Lawler głęboko wciągnął powietrze.

- No już - powtórzył. - Wracaj na Oblicze. Skacz, Gabe. Zaraz, za burtę.

- Doktorze, doktorze...

Lawler dźgnął ościeniem w górę i w przód, kierując go krótkim, mocnym pchnięciem w przeponę Kinversona. Powinien był trafić go prosto w serce, lecz ręka Kinversona

poruszyła się z nieprawdopodobną szybkością. Złapał drzewce i przekręcił; ból przeszył

ramię Lawlera. W następnej chwili oszczep był już w ręku Kinversona.

Lawler odruchowo skrzyżował ramiona na piersi, aby się obronić przed ciosem, który miał zaraz nastąpić.

Kinverson mierzył go wzrokiem, jakby przymierzając się do ciosu. Kończ, do cholery, pomyślał Lawler. Teraz. Szybko. Już prawie czuł ogniste wtargnięcie, rozstępujące się tkanki, ostrze sięgające serca zamkniętego w klatce żeber.

Jednak cios nie padał. Kinverson spokojnie pochylił się i umieścił oścień w stojaku.

- Nie powinieneś bawić się sprzętem, doktorze - powiedział łagodnie. - Wybaczcie mi.

Zostawię was samych.

Odwrócił się, ominął Lawlera i zszedł po schodkach na główny pokład.

- Czy wyglądałem bardzo głupio? - zapytał Lawler Sundirę.

Uśmiechnęła się blado.

- Zawsze był dla ciebie zagrożeniem, prawda?

- Próbował namówić cię, żebyś popłynęła na wyspę. Czy to nie jest zagrożenie?

- O zagrożeniu moglibyśmy mówić, gdyby wziął mnie na ręce i wyniósł za burtę, Val.

- W porządku. W porządku.

- Jednak rozumiem, dlaczego byłeś zły. Nawet do tego stopnia, aby rzucić się na niego z ościeniem.

- To było głupie. Zachowałem się jak szczeniak.

- Tak - powiedziała. - To było głupie.

Lawler nie spodziewał się, że mu przytaknie. Spojrzał na nią ze zdziwieniem i

zobaczył w jej oczach coś, co jeszcze bardziej zdumiało go i przeraziło.

Coś się zmieniło. Pojawił się w nich dystans, jakiego już od dłuższego czasu nie było.

- O co chodzi, Sundiro? Co się dzieje?

- Och, Val... Val...

- Powiedz mi.

- Nie chodzi o to, co powiedział Kinverson. Mnie do niczego nie można łatwo namówić. To moja własna decyzja.

- Jaka? Na litość boską, o czym ty mówisz?

- O Obliczu.

- Co?

- Chodź ze mną, Val.

Miał wrażenie, że przeszył go oścień Kinversona.

- O Jezu. - Cofnął się o kilka kroków. - Jezu, Sundiro. Co ty mówisz?

- Że powinniśmy popłynąć.

Patrzył na nią mając wrażenie, że zamienia się w kamień.

- To błąd, że próbujemy się opierać - powiedziała. - Powinniśmy poddać się temu, tak jak inni. Oni zrozumieli. My byliśmy ślepi.

- Sundiro...

- Widziałam to, przejrzałam w jednym mgnieniu oka, Val, kiedy próbowałeś obronić mnie przed Gabem. Jakie to głupie próbować zachować nasze indywidualne tożsamości, wszystkie nasze maleńkie strachy, zawiści i gierki. O ileż lepiej byłoby porzucić to wszystko i włączyć się w wielką, istniejącą tu harmonię. Wraz z innymi. Z Hydros.

- Nie. Nie.

- Mamy szansę odrzucić wszystko, co nas przygniata.

- Nie mogę uwierzyć, że ty to mówisz, Sundiro.

- Przecież to ja. Ja.

- Zahipnotyzował cię, prawda? Oczarował. To cię zaczarowało.

- Nie - powiedziała z uśmiechem. - Powiedziałeś mi kiedyś, że na Hydros nigdy nie czułeś się jak u siebie, mimo że tu się urodziłeś. Pamiętasz to, Val?

- Myślę...

- Pamiętasz? Powiedziałeś, że nurki i ryby mięsne czują się tu jak w domu, a ty nigdy.

Pamiętasz; widzę, że tak. Dobrze. Oto masz szansę nareszcie poczuć się jak w domu. Stać się częścią Hydros. Ziemi już nie ma. My jesteśmy Hydranami, a Hydranie należą do Oblicza.

Wystarczająco długo trzymałeś się z boku. Ja też; lecz ja się teraz poddaję. Nagle zobaczyłam to wszystko inaczej. Czy popłyniesz ze mną?

- Nie! To szaleństwo, Sundiro. Mam zamiar zaciągnąć cię pod pokład i trzymać związaną, dopóki nie odzyskasz zdrowych zmysłów.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała bardzo cicho. - Mówię ci, Val, nie próbuj mnie dotknąć. - Spojrzała w stronę stojaka z ościeniami.

- W porządku. Słyszę cię.

- Płynę. A ty?

- Znasz odpowiedź.

- Obiecałeś, że popłyniemy razem albo nie popłyniemy wcale.

- A więc nie płyniemy wcale. Taka jest umowa.

- Ale ja chcę płynąć, Val. Naprawdę.

Ogarnął go zimny gniew i zmroził jego duszę. Ze strony Sundiry nie spodziewał się zdrady. Z goryczą powiedział:

- Idź więc, jeśli naprawdę tego chcesz.

- Chodź ze mną.

- Nie. Nie. Nie. Nie.

- Obiecałeś...



- Więc cofam obietnicę - powiedział Lawler. - Nigdy nie zamierzałem tam płynąć.

Jeżeli obiecałem ci, że to zrobię, to kłamałem. Nigdy nie popłynę.

- Przykro mi, Val.

- Mnie też.

Pragnął ją chwycić, zaciągnąć pod pokład i trzymać związaną w swojej kabinie, aż okręt znajdzie się w bezpiecznej odległości na morzu. Wiedział jednak, że nigdy nie mógłby tego zrobić. Nic nie mógł zrobić. Nic.

- Idź - powiedział. - Przestań o tym mówić i zrób to. Niedobrze mi się robi, gdy tego słucham.

- Chodź ze mną - powtórzyła. - To potrwa tylko chwilkę.

- Nigdy.

- W porządku, Val. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, że cię kocham. Nigdy o tym nie zapominaj. Proszę cię z miłości, a jeśli tego nie zrobisz, no cóż, potem nadal będę cię kochać.

Mam nadzieję, że ty mnie też.

- Jak mógłbym?

- Na razie, Val. Do zobaczenia później.

Lawler patrzył z niedowierzaniem, jak zeszła po drabince na główny pokład, podeszła do burty, wspięła się na nią, zanurkowała gładko i wprawnie do oczekującego morza. Zaczęła płynąć do brzegu poruszając się zwinnie i energicznie, jej nogi i ramiona przecinały ciemną wodę. Patrzył tak samo jak kiedyś, milion lat wcześniej, gdy pływała w wodach zatoki Sorve. Odwrócił się, nie chcąc już dłużej patrzeć, zanim przepłynęła pół drogi. Zszedł do swojej kajuty, zamknął za sobą drzwi i usiadł na koi w gęstniejącym zmroku. To byłby dobry moment na odrobinę uśmierzychy, a nawet dzban czy kadz; wypiłby ją jednym haustem, żeby zapomnieć o bólu. Oczywiście nie zostało mu ani kropelki. Tak więc nie mógł zrobić nic,

tylko siedzieć cicho i pozwalać przemijać czasowi. Jakie miało znaczenie, czy upłyną godziny, czy lata. Po pewnym czasie usłyszał na górze głos Delagarda, dający rozkaz wypłynięcia.

Rzadko widywał niebo tak przejrzyste, a Krzyż Hydros tak lśniący, jak tej nocy.

Powietrze było idealnie nieruchome. Morze spokojne. Jak okręt mógł poruszać się na tak gładkiej powierzchni morza, w bezwietrzną noc? A jednak poruszał się. Jakby pod wpływem czarów ślizgał się gładko przez mrok. Podróżowali już od wielu godzin. Blask Oblicza bladł, aż stał się tylko purpurową smugą na horyzoncie, potem mniej niż smugą i w końcu zniknął prawie zupełnie. Rankiem będą już daleko na Morzu Pustym.

Lawler leżał samotnie na stosie sieci przy rufie.

Nigdy w całym swoim życiu nie czuł się tak samotny jak teraz.

Pozostali w milczeniu kręcili się po pokładzie, pracowali przy żaglach, linach, bomach, wantach, całym tym zawiłym oprzyrządowaniu żeglarskim, którego nigdy nie rozumiał, a teraz wyrzucił ze swojego umysłu. Nie potrzebowali go, a on nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Byli maszynami, częściami większej maszyny. Tik. Tik.

Sundira podeszła do niego zaraz po tym, jak wypłynęli.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Nic się nie zmieniło.

Kiedy podeszła do niego, zadrżał i odwrócił się. Nie mógł na nią patrzeć.

- Mylisz się - powiedział. - Wszystko się zmieniło. Teraz jesteś częścią maszyny. I chcesz mnie w nią wciągnąć. Ona tyka, a ty tańczysz.

- To nie jest tak, Val. Też byłbyś tą maszyną. A także tykaniem. Byłbyś tańcem.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie. Jak mógłbyś rozumieć? - Dotknęła go czule, a on odsunął się, jakby podejrzewając, że może go zmienić samym dotknięciem. Popatrzyła na niego z żalem. -

Dobrze - powiedziała cicho. - Jak chcesz.

To było wiele godzin temu. Nie poszedł z innymi do kuchni na wieczorny posiłek, ale nie czuł głodu. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby już nigdy nie jeść. Nie mógł znieść myśli, że miałby siedzieć z nimi przy jednym stole. Jedyne niezmiennym człowiekiem na tym okręcie pełnym żywych trupów... jedyny prawdziwy...

Sam, sam, sam, całkiem sam,

A w krąg - bezmierne morze!

Czyż któryś święty litość miał

Nad duszą, której gorze?

Słowa. Okruchy pamięci. Zaginiony wiersz, ze starego zaginionego świata.

Brzeg słońca znikł; rój zeszedł gwiazd;

W mig pada ćma wieczorna;

Z donośnym szumem w morską dal

Pomknęła łódź upiorna.

Lawler spojrzał w górę, na zimny blask odległych gwiazd. Spłynął na niego

nieoczekiwany spokój. Zdziwiło go, jak bardzo czuł się spokojny, jakby przekroczył granicę,

do której sięgają burze. Nawet w czasach, kiedy mógł uspokajać się uśmierzyczą, rzadko

kiedy był tak spokojny jak teraz.

Dlaczego? Czyżby Oblicze miało nad nim jakąś tajemniczą moc nawet na odległość,

tak jak w przypadku Sundiry?

Wątpił w to. Nie miało na niego wpływu. Z pewnością znajdował się poza zasięgiem

jego działania. Nic nie mogło oddziaływać na jego umysł poza ciemną otchłanią nieba,

lekkim kołysaniem morza i ostrym, jasnym blaskiem gwiazd. Był jeszcze Krzyż rozciągający

się na południu, ogromny, podwójny łuk słońc - bilionów słońc, jak ktoś mu kiedyś

powiedział. Biliony słońc! I dziesiątki bilionów światów! Jego mózg uginał się pod ciężarem tej wizji. Rojne mnóstwo światów - miast, kontynentów, stworzeń z tysięcy tysięcy rodzajów...

Patrzył na nie wszystkie i gdy tak patrzył, powoli zaczynał dostrzegać nowy obraz, z początku bezkształtny, później bardzo szybko nabierający wyrazistości, tak że w końcu prawie nie zostało w jego umyśle miejsca na nic innego. Ujrzał gwiazdy jako jedną rozległą pajęczynę, pojedynczy, ogromny twór metafizyczny, połączony w tajemniczą galaktyczną jedność, dokładnie tak samo jak łączyły się ze sobą w jedną całość poszczególne ogniwa tego wodnego świata.

W próżni pulsowały linie sił; płynęły przez firmament jak rzeki krwi łączące wszystko ze wszystkim. Ta nieprzerwana sieć łączności pulsowała między światami. Czuł oddech wszechświata, jak żywej istoty, płonącej niegasnącą witalnością.

Hydros należała do nieba; a niebo było jednolitym, wielkim, płonącym i czującym tworem. Wejść w Hydros, a staniesz się częścią Wszystkiego. To była propozycja. I tylko on, z całego wszechświata, zdecydował się odrzucić propozycję połączenia z tym ogromnym tworem.

Tylko on.

Czy naprawdę tego chciał, tej samotności, tej straszliwej niezależności ducha?

Oblicze oferowało nieśmiertelność - nawet boskość - w obrębie jednego, ogromnego, zjednoczonego organizmu. On jednak wolał pozostać Valbenem Lawlerem i niczym więcej, tylko Valbenem Lawlerem. Dumnie odwrócił się od tego, czym obdarzono wszystkich uczestników tej podróży. Niech biedny, skłopotany Quillan z przyjemnością odda się bogu, którego szukał całe życie; niech mały Dag Tharp znajdzie w Obliczu takie pocieszenie, jakiego szukał; niech tajemniczy Gharkid, który przez całe życie poszukiwał czegoś

większego od siebie, płynie na Oblicze. Nie ja. Ja nie jestem do nich podobny.

Pomyślał o Kinversonie. Nawet on, ten gburowaty, samotny człowiek, opowiedział się całkowicie za Obliczem. Delagard. Sundira.

No cóż, niech tak będzie, powiedział sobie Lawler. Jestem, kim jestem. Na dobre czy złe.

Położył się, patrząc w gwiazdy i pozwalając, by gorejąca jasność Krzyża wypełniła mu umysł. Jak tu spokojnie, pomyślał. Jak cicho.

Zbudziwszy się, płynąłem wciąż

Jak kiedy wiatr nie wstaje;

Spokojna noc, księżycyca blask,

Umarłych stały zgraje.

- Val? To ja.

Podniósł oczy. Blask gwiazd oświetlił mu twarz. Przed nim stała Sundira.

- Czy mogę posiedzieć z tobą? - spytała.

- Jeśli chcesz. Przysiadła obok.

- Rozglądałam się za tobą w mesie. Nie było cię tam. Powinieneś coś zjeść.

- Nie byłem głodny. Nadal jecie, teraz, kiedy ulegliście przemianie?

- Oczywiście, że tak. To nie jest tego rodzaju przemiana.

- Pewnie tak. Skąd mógłbym wiedzieć?

- Tak, skąd mógłbyś wiedzieć. - Poglądziła lekko jego rękę. Tym razem nie cofnął jej.

- Nie zmieniłam się tak bardzo, jak sądzisz. Nadal cię kocham, Val. Powiedziałam, że tak będzie, i to prawda.

Skinął głową. Nie miał nic do powiedzenia.

Czy nadal ją kochał? Zastanawiał się. Czy to w ogóle było możliwe?

Objął ją ramieniem. Jej skóra była gładka, chłodna, znajoma. Miła. Sundira przytuliła się do niego. Mogli być dwojgiem jedynych ludzi na świecie. Nadal wydawała mu się człowiekiem. Pochylił głowę i lekko pocałował zagłębienie między brodą i ramieniem, a ona zaśmiała się.

- Val - westchnęła. - Och, Val.

To wszystko, tylko jego imię. O czym myślała, co zostawiła niedopowiedziane? Że chciała, aby popłynął z nią na Oblicze? Że nadal ma nadzieję, że on to zrobi? Że modliła się, aby poszedł do Delagarda i błagał, aby zawrócił okręt i zabrał go z powrotem na wyspę, żeby i on mógł poddać się przemianie?

Czy powinienem z nią popłynąć?

Czy odmowa była pomyłką?

Przez moment ujrzał siebie wewnątrz maszyny, jako jej część, jako część całości - nareszcie uległy, tańczący z pozostałymi.

Nie. Nie. Nie. Nie.

Jestem, kim jestem. Zrobiłem to, co zrobiłem, ponieważ jestem tym, kim jestem. Leżał na wznak z Sundira skuloną u jego boku i znowu patrzył w gwiazdy. Ujrzał jeszcze jedną wizję: obraz Ziemi, która kiedyś istniała, Ziemi, która zginęła.

Znowu wróciło wielkie, romantyczne marzenie o dawno straconej Ziemi, tej błękitnej i cudownej planecie, zniszczonej, macierzystej planecie ludzkości; zobaczył ją tak, jak zawsze chciał, żeby wyglądała: jako spokojny i harmonijny świat pełen kochających się ludzi, niebo, idealną jedność. Czy kiedykolwiek taka była? Prawdopodobnie nie, pomyślał. Prawie na pewno nie. Była miejscem jak każde inne, gdzie zło miesza się z dobrem, są błędy i porażki.

W każdym razie ten świat zniknął z wszechświata, zmieciony przez złośliwy los.

I oto jesteśmy. Leżymy tutaj. Spoczywamy w pokoju.

Lawler spoglądał w noc wyobrażając sobie, że patrzy w stronę miejsca na niebie, gdzie był ten świat. Wiedział jednak, że dla ludzi, którzy zostali rozproszeni po całym wszechświecie, nie ma nadziei na odzyskanie ich utraconego domu. Muszą iść naprzód, muszą znaleźć dla siebie nowe miejsce w tym rozległym wszechświecie, w który zostali rzućeni jako wygnańcy. Muszą się przeobrazić.

Muszą się przeobrazić.

Muszą się przeobrazić.

Usiadł, jakby rażony strumieniem palącego światła. Nagle wszystko wydało mu się cudownie wyraziste. Rację mieli ci, którzy żyli z dnia na dzień, jak gdyby Ziemia nigdy nie istniała, a on, który beznadziejnie marzył o tym, co było kiedyś, daleko i dawno temu, mylił się. Ziemia nigdy nie powróci. Dla Ziemiaków na Hydros istniała tylko Hydros, teraz i na zawsze. Szaleństwem było trzymać się na uboczu i rozpaczliwie upierać się przy swojej prastarej ziemskiej tożsamości, żyjąc wśród tubylczych form życia nowej ojczyzny.

Niezależnie od tego, na jakim świecie przyjdzie żyć, należy w pełni przystosować się i stać częścią tego świata. Inaczej zawsze jest się outsiderem, obcym i wyobcowanym.

I tak było. Jestem tego przykładem. Jestem samotny jak nigdy przedtem.

A Hydros chciała mnie przyjąć, lecz ja odmówiłem i trwałem w uporze, a teraz jest już za późno.

Zamknął oczy i jeszcze raz zobaczył Ziemię, błyszczącą i piękną. Obraz utraconej Ziemi, który od tak dawna nosił w sobie, był wyrazisty jak nigdy dotychczas. Błękitna Ziemia, piękna i obca, z wielkimi, złoto-zielonymi masami lądów oświetlanymi słońcem, którego nigdy nie widział. Nagle bezkresne, błękitne morza zaczęły kipieć. Podniosła się z nich para. Łądy stanęły w płomieniach. Złoto-zielone przestrzenie spaliły się i poczerniały. Na rozległych obszarach pojawiły się ciemniejsze niż noc poszarpane szczeliny.

A po płomieniach lód, śmierć, ciemność.

Strumień martwych drobiazgów spadał poprzez przestrzeń. Moneta, kawałek statuetki, gliniana skorupa, mapa, zardzewiała broń, kamień. Spadały wirując, lecąc poprzez bezwietrzne pustkowia galaktyki. Śledził je wzrokiem, podążał śladem ich lotu.

Wszystko skończone, pomyślał. Niech tak zostanie. Zapomnij o tym. Zaczynaj nowe życie.

Ta nagła myśl zdumiała go.

Co to znaczy? - pytał sam siebie. - Co ty mówisz?

Poddać się? Przyłączyć? Czy to miał na myśli? Lawler zadrżał. Oblał się potem.

Usiadł i spojrzał na morze w kierunku Oblicza.

Wydało mu się, że mimo wszystko czuje jego siłę, która dosięgła go nawet z tak daleka, penetrując mózg, owijając mackami duszę, przyciągając, wciągając.

Walczył. Zazarcie, wściekle walczył, z desperacką energią odcinając pasma obcej mocy, które wydawały się go atakować. Przez dłuższą chwilę w milczeniu stawiał opór, rozpaczliwie usiłując wyzwolić się spod wpływu obcej mocy. Przypomniał sobie Gospo Struvina, który kiedyś, na początku podróży, walczył z plątaniną wilgotnych, żółtych włókien, które wyszły z morza i schwytały go w sidła. Struvin kopał powietrze, trząsał stopą, daremnie próbując uwolnić się od tej lepkiej, upartej istoty, która go złapała. Teraz było podobnie. Lawler wiedział, że walczy o życie, podobnie jak Gospo; a Gospo przegrał.

Odejdź... ode... mnie...

Włożył wszystkie siły w jeden potężny, oswobodzający cios. I zadał go.

Nie trafiając w nic. Niczego tam nie było. Nie trzymały go żadne sieci. Żadna tajemnicza siła nie schwytała go w sidła. Lawler zrozumiał to i nie miał żadnych wątpliwości: walczył z cieniem, a w rzeczywistości walczył ze sobą, tylko ze sobą i z nikim więcej.



A więc chcesz tam pójść? - zapytał odrętwiały. - Mimo wszystko naprawdę chcesz tam iść? Nawet ty? Czy właśnie tego chcesz? Czego ty w ogóle chcesz?

Jeszcze raz zobaczył błękitną Ziemię, lśniąca w jego umyśle jak poprzednio, a potem znowu zaczęła kipieć i czernieć; ponownie ujrzał lód, śmierć, ciemność i maleńkie spadające przedmioty.

Wtedy nadeszła odpowiedź: Nie chcę już dłużej być sam. Boże, dopomóż mi, nie chcę być ostatnim Ziemianinem, gdy nie ma już Ziemi.

Sundira poruszyła się, ciepła u jego boku.

- O czym myślisz, Val?

- Że cię kocham - powiedział.

- Naprawdę? Kochasz mnie taką, jaka jestem teraz? Wciągnął głęboko powietrze, najgłębiej jak potrafił, wypełniając całe płuca powietrzem Hydros.

- Tak - rzekł Lawler.

Tam, gdzie w jego myślach była Ziemia, pozostała tylko lśniąca kula roziskrzonej wody. Spadające z umierającego świata maleńkie przedmioty szybowwały przez chwilę nad powierzchnią tego wielkiego morza, wpadły w nie i zniknęły bez śladu.

Odczuł wielką ulgę, nagłe tajanie. Coś pękało w nim jak lodowa kra u kresu zimy.

Popękało, spłynęło i popłynęło strumieniem. Płynęło.

Usiadł i obrócił się do niej, aby jej powiedzieć, co się stało. Nie musiał. Uśmiechała się. Wiedziała. Poczuł, jak okręt pod nim zatoczył duży łuk, odwrócił się i popłynął z powrotem poprzez rozświetlone morze ku Obliczom Wód.